KRÓLOWA

Elżbieta Cherezińska

Nikt przed nią nie opowiadał o naszych początkach tak świetnie..

Krzysztof Masłoń

KRÓLOWA

Elżbieta Cherezińska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Elżbieta Cherezińska
Królowa

ISBN 978-83-65676-09-2

Copyright © Elżbieta Cherezińska, 2016
All rights reserved

Redakcja
Bogusław Jusiak

Opieka redakcyjna
Tadeusz Zysk
Tomasz Zysk

Ilustracja oraz projekt graficzny okładki
Tobiasz Zysk

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

CZĘŚĆ I

CZĘŚĆ II

CZĘŚĆ III

Nawa królów

Od autorki

Podziękowania

Korony Rody Królestwa

Wszystkim bezimiennym, zapomnianym księżniczkom piastowskim
Mniszkom, żonom, matkom, władczyniom, o których historia milczy
Dziewczynom oznaczonym w biogramach dynastii smutnym N.N.

CZĘŚĆ I

Bitwa trzech królów

997–1000

Noc, której skradziono księżyc, jest ponura i zimna. Mści się nierównymi podmuchami wiatru i falą zdradziecko zalewającą pokład. Jest bezkarna, świadoma, że nikt jej nie rozpozna. Plącze liny, szarpie żaglem, podpowiada zły kurs. Chude ramiona nocy zanurzają się w morskiej toni, szukając topielców i śniętych ryb. Przebiera w nich palcami, wyciągając z głębin to, co nie może ożyć, i to, co w słonej wodzie nie potrafi zgnić. Bezksiężycowa noc nie jest wybredna, spieszy się świadoma, że śledzi ją świt. Chce go zaskoczyć, strojąc pokład statku martwym połowem. Głuchym chlupnięciem wrzuca łup przez burtę i znika, by nie zastał jej zwiadowca poranka, brzask.

ASTRYDA przyglądała się drzemiącej Tyrze. Księżniczka spała z otwartymi ustami, pochrapując lekko. To wina wyciągu z maku, który jej podałam — pomyślała Astryda. — Albo ma zwykły katar. Nawet księżniczki miewają zapchany nos.

Morcar Żaba zadbał o wszelkie wygody, a w każdym razie o to, co tylko było możliwe na pokładzie kupieckiej łodzi. Miały namiot rozpięty między burtami, który chronił je przed wiatrem, słońcem i deszczem, a także przed ciekawskimi spojrzeniami załogi; ciepłe koce i prawie ciepłe posiłki. I wino, naprawdę dobre czerwone wino z zapasów kupca. Astryda sączyła je, czekając, aż Tyra się obudzi. Nie myślała o niej, myślała o sobie. O tym, że życie ciągle stawia ją naprzeciw Olava i zawsze nie w tym miejscu, co trzeba. Sądziła, iż nic gorszego niż sprowadzanie na świat jego syna już nie może jej spotkać. A jednak los ułożył kolejną strofę tej pieśni i teraz pomogła w porwaniu Tyry, by ta obca jej dziewczyna mogła zostać żoną Olava.

Ach, żeby to jeszcze była Świętosława. Jej słona siostra, tak ostra, tak zła. Dla Świętosławy mogłaby to zrobić z czystym sercem, ale stało się, zrobiła to wbrew niej. „Pani rodzi!” — słyszała krzyk służek, gdy niezaczepiana przez nikogo przemykała przez kuchnię dworzyska w

Roskilde. Gdyby zamiast do samotni Tyry poszła do alkowy królowej… Gdyby złamała słowo… Nie, nie ona. Od urodzenia była zbyt dorosła. „Baw się z dziećmi” — mówił Dalwin, a ona patrzyła na dzieci krzywo. Hałasowały i gadały głupoty. Nie podobały jej się. Znacznie bardziej podobało jej się, gdy Mieszko mówił do niej: „Moja mądra córeczka Astryda”. Tak, była mądra. I co jej z tego przyszło?

Tyra otworzyła oczy.

— Gdzie jestem? — wyszeptała.

— Na łodzi.

Podniosła się z posłania i wsparła na ramieniu. Włosy zaplecione w trzy warkocze rozczochrał sen; kosmyki przy twarzy zwilgotniały od potu i skręcały się w drobne, spiralne loki. Potarła czoło i spuchnięte powieki.

— Na łodzi… — powtórzyła. — Więc się udało, tak?

— Tak. Chcesz wina?

— Dzisiaj jest piątek?

— Tak.

— Nie, dzisiaj nie mogę. W piątki piję tylko wodę.

— Jak sobie chcesz — odpowiedziała Astryda i wypiła kolejny łyk. — Mnie wino pomaga na chorobę morską.

Tyra zamrugała. Astryda nie znosiła kobiet trzepoczących rzęsami. Dziwiło ją, że mężczyźni nabierają się na ten prostacki gest.

— A więc ty jesteś mą wybawicielką — powiedziała Tyra. — Przepraszam cię najmocniej, ale z nerwów zapomniałam, jak ci na imię.

— Astryda.

— Astryda… — Tyra oprzytomniała i sięgnęła do mieszka przy pasku sukni. Pogrzebała w nim i wyjęła denara. — Siostra księcia Burizleifa, tak? — Spojrzała na imię jej brata wybite na monecie.

— Tak.

— Nie spodziewałam się, że misja pana Grettera przyniesie owoce tak szybko. Twój brat jest nader rzutkim władcą i będę mu dozgonnie wdzięczna, że wybawił mnie z drapieżnych pazurów Svena. Jestem niezwykle ciekawa mego przyszłego męża.

Co to za język? — pomyślała Astryda. — Czy ona zawsze tak gada?

— Opowiedz mi o mej siostrze — powiedziała, wychylając kolejny łyk wina.

— Siostrze? — zdziwiła się Tyra. — Ach, wybacz, pani! Gdzież ja mam rozum! Przecież królowa jest siostrą twoją i twego brata…

Co za cipa! — przebiegło przez głowę Astrydzie i natychmiast zrzuciła obelgę na karb wypitego wina. Dolała sobie szybko, bo kubek był pusty.

— Tak, poznałam waszą siostrę w kościele i dopiero tam ujrzałam jej prawdziwą naturę. Bo przed ludem jest taka władcza. Władcza i piękna. Ten potwór Sven zmuszał mnie, bym brała udział w jego ucztach, i wtedy widywałam królową z daleka. Ale ona… wybacz, Astrydo, na uroczystościach twa siostra była dla mnie tylko królową, odległą i obcą. Ona chodzi, prowadząc na smyczy dwa rysie, a przed nią taki potwór wielki i łysy, z pociętą twarzą, potem chłopak o spojrzeniu wilka, dalej straszny Jorun, druh Svena, i jego topornicy, którzy wykrzykują imię twej siostry „Sigrida Storråda”, choć mój brat chce, by zwano ją Gunhildą, ale to się na dworze nie przyjęło… Czy mogę prosić wody? — Tyra przerwała i oblizała spierzchnięte wargi.

— Proszę. — Astryda podała jej kubek.

Księżniczka przełknęła kilka łyków łapczywie, ale gdy zobaczyła, że Astryda przygląda się jej, natychmiast zaczęła pić powoli.

— Jesteś głodna, pani? — spytała Astryda.

— Być może, ale mówiłam ci, że w piątki poszczę. Jak się powinnam do ciebie zwracać? Skoro jesteś siostrą księcia Burizleifa i królowej Sigridy, to

powinnam mówić do ciebie „księżniczko”?

— Nazywają mnie wolińską panią, to wystarczy. Miałaś opowiedzieć o mojej siostrze.

— Ach tak. Na czym skończyłam?

— Na imieniu, że mąż chciał ją nazwać Gunhildą.

— Paskudny pomysł. Dawna królowa Gunhild, wstyd to mówić, wszak była mą ciotką, parała się… wiesz czym? — Tyra zrobiła trwożliwy znak krzyża, spojrzała na Astrydę znacząco i wyszeptała najciszej, jak się dało: — Seidr, rozumiesz?

— Czarownica — skonstatowała Astryda.

— Tak. I zginęła jak wiedźma. Wrzucili ją w bagno. — Otrząsnęła się na samą myśl. — Nic dziwnego, że imię się nie przyjęło. Ludzie widzą, że twa siostra jest chrześcijańską królową, a wojowie Svena, którzy wraz z nim byli w Sigtunie, uznali, że przywieźli stamtąd Sigridę Storrådę i tak wolą ją zwać. Astrydo! — Tyra złapała ją nagle za rękę. — Czy królowa jest wtajemniczona w nasze plany? Sven będzie ją podejrzewał, wiedział, że utrzymujemy ze sobą dobre kontakty, spotykałyśmy się podczas nabożeństw…

— Nie, pani. Moja siostra nie ma o niczym pojęcia — odpowiedziała Astryda i nagle zrobiło jej się niedobrze.

Wstała i chwiejnym krokiem wyszła z namiotu. Musiała wychylić się przez burtę i zwymiotować. Wino ani nie pomogło jej na chorobę morską, ani nie uciszyło wyrzutów sumienia. Jasna twarz Świętosławy natrętnie stawała jej przed oczami. Gdy wróciła do Tyry, ta zdążyła rozpleść warkocze i teraz czesała włosy.

— Powinnam się przygotować na spotkanie z mężem — powiedziała i na jej policzki wyszły rumieńce.

Jak na zawołanie! — pomyślała z niesmakiem Astryda.

— Minie tydzień lub dwa, nim do niego dotrzesz, ale jak chcesz, możesz już zacząć się stroić — odpowiedziała księżniczce.

— Tak długo? — zdziwiła się Tyra. — Żeglarze mówili, że do Nidaros płynie się dużo krócej.

— Nie będziesz całą drogę płynąć, niedługo Morcar wysadzi nas na ląd i dalej pojedziemy konno. Trzeba zgubić pogoń.

Tyra się zaniepokoiła, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że cała wyprawa jest niebezpieczna.

— Powiedz mi, Astrydo, jak wyprowadziłaś mnie z dworu? Jak znalazłam się na pokładzie? Wybacz, ale ja nic nie mogę sobie przypomnieć… Tylko chwilę, gdy weszłaś do mej samotni, pokazałaś mi denara na znak, że przysłał cię książę Burizleif, i powiedziałaś: „Jak się obudzisz, będziesz bezpieczna”, a potem kazałaś mi coś wypić. Więcej nie pamiętam…

— Podałam ci odwar z maku — powiedziała Astryda.

Bo przeczuwałam, że nie grzeszysz odwagą — pomyślała, nie mówiąc tego głośno.

— Gdy zasnęłaś, schowaliśmy cię do wielkiej skrzyni, w której wcześniej słudzy Morcara przynieśli do dworu broń kupioną przez Svena. I w tej skrzyni wnieśli cię na pokład na oczach twego brata.

— Co ty mówisz?

— Sven siedział wygodnie rozparty w wielkim krześle i oglądał błyskotki Morcara.

— To niesamowite! — Tyra zaklaskała z radości.

Czy Olav będzie z nią szczęśliwy? — zadała sobie pytanie Astryda i znów poczuła ciężar w żołądku. — Jestem podła, przemawia przeze mnie zazdrość — pogrążyła się jeszcze.

— A pogoń? — dopytała Tyra. — Jak myślisz, wysłał za nami pogoń?

— Z pewnością i mam nadzieję, że jego ludzie dali się nabrać na grupę kilkunastu jeźdźców uciekających na zachód, w stronę Trelleborga. Ich zadaniem jest odciągnięcie uwagi od portu.

— Morcarowi coś grozi? — szeptem spytała Tyra.

— Nie bądź naiwna — żachnęła się Astryda. — Każdemu, kto brał udział w tym przedsięwzięciu, grozi gniew Svena.

— Wybacz, wolińska pani. To ten napar z maku pozbawił mnie jasności myśli.

Nie odzywały się więcej do siebie. Astryda położyła się i odwróciła plecami do Tyry, udając, że śpi. Naprawdę pragnęła, by wreszcie zmorzył ją sen, uwalniając od natarczywych myśli. Oszukała Świętosławę i podjęła się misji wydobycia Tyry z Roskilde tylko po to, by móc znów zobaczyć Olava. Taka jest prawda. Jej wstydliwa i obciążająca sumienie tajemnica. Zgodziła się na udział w tym przedsięwzięciu, by móc jeszcze raz spojrzeć w jego jasne, niemal przejrzyste oczy, poczuć słoną woń włosów, usłyszeć dźwięk głosu. Pragnęła zobaczyć go po latach, jakie upłynęły od śmierci Geiry, po tym wszystkim, co się zdarzyło. Do licha! Ależ jestem głupia! — pomyślała o sobie z pogardą i naciągnęła koc na głowę. Nim przyszedł do niej sen, podjęła decyzję.

Nazajutrz statek Morcara wpłynął do niewielkiej zatoki przy ujściu rzeki Göta. Tam czekał na nich Geivar, wódz zwiadowców z Jom.

— Wolińska pani — przywitał Astrydę, gdy zeszła na ląd. — Czy wszystko w porządku?

— Tak, Geivarze. Księżniczka Tyra jest z nami. Myślę, że przydałby się jej dzień odpoczynku, zanim ruszy w dalszą drogę.

— Jak uważasz, Astrydo — odpowiedział Geivar.

— Czy to twój mąż, słynny jarl Sigvald, wódz wikingów z Jom? — spytała Tyra.

— Nie. To wódz ciszy — zaśmiała się Astryda. — Masz przyjemność poznać Geivara, który jest uchem i okiem Jomsborga. On odpowiada za twą dalszą podróż. I jeśli to ma dla ciebie znaczenie, był kiedyś towarzyszem Olava Tryggvasona.

— Cieszę się, że mogę cię poznać, Geivarze. — Tyra skłoniła głowę na powitanie i uśmiechnęła się nieoczekiwanie. — To niezwykłe! Twój mąż w czasie wojny z Erikiem porwał Svena, ty, Astrydo, porwałaś mnie z Roskilde, a do Olava pojedziemy obie pod opieką jego dawnego przyjaciela! To takie ekscytujące…

— Wybacz, pani, ale czeka nas zmiana planów — przerwała jej ostro Astryda. — Nie będę ci towarzyszyć w dalszej drodze. Wracam do męża.

BOLESŁAW ponuro wpatrywał się w srebrne wieko trumny.

— Zrobiłeś, co mogłeś — powiedział Zarad, ale jego głos zabrzmiał głucho. — Wykupiłeś ciało Wojciecha za wagę srebra, sprowadziłeś jego szczątki, odzyskałeś nawet obciętą głowę.

— To był ostatni brat Sobiesława. Dwa lata temu mój wuj wyrżnął mu całą rodzinę.

— Książę — zaprotestował Zarad — został mu jeszcze ten przyrodni brat. No ten, co nawiał Prusom. Radzim, czy jak mu tam…

— Dziwna rzecz. — Bolesław pochylił się nad wiekiem trumny. W polerowanym srebrze ujrzał swe niewyraźne odbicie. — Poganie zabili tylko Wojciecha, oszczędzili zaś jego brata i prezbitera Boguszę. Rozumiesz coś z tego?

— Są dwa wyjaśnienia. Pierwsze: Radzim i reszta uciekli i jak tchórze zostawili Wojciecha na pastwę Prusów. Drugie: poganie, zabijając tylko biskupa, chcieli dać informację, że odrzucają misję, ale nie chcą wojny.

— Racja — z roztargnieniem przytaknął Bolesław. Znów pochylił się nad wiekiem. — To upiorne. — Pokazał Zaradowi swoje odbicie w

trumnie. — I prawdziwe.

— O co ci chodzi, książę? — zaniepokoił się Zarad. — Ja jestem prosty wojak. Jeśli chcesz dumać o jakichś znakach, czy coś, to może poproszę biskupa Ungera?

— To ja stoję za zagładą rodu Sławnikowiców — powiedział Bolesław. — Wspierałem ich ambicje, podtrzymywałem rywalizację z Przemyślidami, zależało mi na nich, silnych sojusznikach, książętach z Libic…

— Obwiniasz się, bracie? — Spod ściany odezwał się głęboki głos.

W pierwszej chwili Bolesław i Zarad spojrzeli na siebie z przerażeniem, Zarad szepnął:

— Duch.

Ale z mroku pod ścianą wyszedł ubrany w pokutne ciemne szaty Sobiesław.

— Nie chciałem was podsłuchiwać — powiedział przepraszająco. — Czuwałem przy zwłokach i zasnąłem na ławie pod ścianą. Nie wychodzę stąd, choć wiem, że to nic nie zmieni. Mój brat z odrąbaną głową nie zmartwychwstanie.

Bolesław czuł się niezręcznie z tym, że przyjaciel usłyszał jego słowa. Widział brudne włosy i nierówny zarost na twarzy Sobiesława. Książę libicki cierpiał. Jeszcze niedawno jego ród rywalizował z Przemyślidami o wpływy w Czechach. Byli potężni, bogaci, sławni i niezależni. Wojciech dwa razy porzucał biskupstwo praskie na hańbę Przemyślidów; Sobiesław walczył u jego boku przeciw Wieletom. Przy pogarszających się relacjach Przemyślidów z cesarstwem ich wspólny plan obalenia księcia Pragi i zastąpienia go Sobiesławem zdawał się już niemal dojrzewać. Jego wuj, Boleslav, przeciął wszystko tamtym okrutnym mordem, a teraz śmierć biskupa Pragi na misji do Prusów dokończyła dzieła zniszczenia.

Sobiesław podszedł bliżej, otoczył Bolesława ramieniem i zmusił, by obaj pochylili się nad trumną. Gładka tafla srebrnej blachy odbiła twarze ich obu.

— Widzisz, bracie? — wyszeptał.

Książę poczuł nieświeży powiew jego oddechu.

— Wina nie leży po twojej stronie, podziel się ze mną! — Sobiesław puścił Bolesława i zaśmiał się jak człowiek szalony. — A zresztą to ułuda! Każdy, kto pochyli się nad trumną mego brata, poczuje się winny. Tak, żywi lubią się przeglądać w cudzej śmierci. Chcesz poznać winnego wszystkich nieszczęść rodu? Oto on!

Wyjął z sakiewki srebrną monetę i z brzękiem położył ją na wieku trumny. Bolesław wziął ją do ręki. Na jednej stronie orzeł zrywał się do lotu. Na drugiej widniała dłoń trzymająca nóż.

— A na otoku moje imię. Tak, bijąc monetę z napisem „książę Sobiesław”, sam wydałem wyrok na ród libicki. Na mój ród! — Oczy Sobiesława zalśniły dziko. — Przemyślida nie zdzierżył takiej buty i zapłacił mi nożem. Czy gdybyśmy byli bez winy, Bóg pozwoliłby Wojciechowi zginąć tak ohydnie? Nie. Bóg też wskazał na nas. Chciał, byśmy zniknęli z tego świata…

— Sobiesławie! — przerwał mu wchodzący do kaplicy biskup Unger. — Zamilcz! Nie można pychy osądzać pychą! Nie tobie wyrokować, czego pragnie Bóg, nie tobie stawiać się na Jego miejscu. Nawet w cierpieniu po stracie bliskich należy zachować umiar. Wiesz dlaczego? By nie podważać wyroków boskich. Opamiętaj się, książę!

Sobiesław cofnął się o krok, a Unger rozkazał idącym za nim sługom:

— Więcej światła. Zapalcie pochodnie i rozproszcie te mroki, które nie przystają do jasności Pana, bo oto niosę strapionym Dobrą Nowinę.

Bolesław przyjrzał się Ungerowi uważnie. Jego biskup nie należał do ludzi szafujących słowami.

— Dobrze się czujesz, Ungerze? — zapytał.

— Doskonale. Mój książę, Sobiesławie… Przeglądaliście się w trumnie, szukając winnych śmierci biskupa Wojciecha. Spójrzcie raz jeszcze, gdy kaplicę rozjarza światło. Co widzicie?

— Blask bijący od srebra — mruknął Sobiesław.

Dopiero teraz było widać, jak głęboko swe pazury zatopiła w nim żałoba. Bruzdy na twarzy libickiego księcia pokrywał brudny, wielodniowy zarost, a strąki niemytych włosów nadawały mu wygląd niechlujnego starca, choć był tylko nieco starszy od Bolesława.

— Blask — powtórzył Unger. — Masz rację, dzisiaj bije od srebra, ale jutro będzie bił od nieziemskiej sławy twego brata. Wojciech, oddając życie na misji wśród pogan, w chwili śmierci stał się męczennikiem Kościoła. Jego świętym synem. Rozumiecie?

Brata mu to nie przywróci, ale może pocieszy — pomyślał o Sobiesławie Bolesław.

— Znali go najmożniejsi tego świata — ciągnął Unger. — Przyjaźnił się z hierarchami Rzymu. Cesarz Otto nazwał go swym drogim towarzyszem w ziemskiej drodze. Męczennik, który za życia chodził między nami jak Chrystus pośród apostołów. Rozumiecie? — z nadzieją po raz drugi zapytał Unger. Spojrzał na nich i pokręcił głową. — Nie rozumiecie.

Bolesław przez chwilę poczuł się jak podczas lekcji. Na szczęście Unger nie czekał na odpowiedź.

— Oto w czasach, gdy Kościół papieża Sylwestra poszukuje nowych świętych, świętych na miarę wyzwań, jakie stawia przed nami dzisiejszy świat, a nie ten sprzed wieków, my, w Gnieźnie, mamy doczesne szczątki

świętego, który jak w zamierzchłych czasach oddał życie za wiarę. Mamy skarb! — zawołał Unger i do Bolesława wreszcie dotarło.

— Jak długo potrwa kanonizacja? — spytał trzeźwo.

— Męczennik dostępuje jej w dniu śmierci — odpowiedział z uśmiechem Unger. — Choć oczywiście bez zwłoki wyślemy delegację do Rzymu. Liczę na wielką przychylność cesarza Ottona, wszak to on posłał Wojciecha na misję.

— Nie, mój biskupie — twardo oświadczył Bolesław. — Od tej chwili to nie cesarska, a moja misja. Otto posłał go do Wieletów, co było, jak wszyscy zgodnie uznaliśmy, nieroztropne ze względu na wojnę. Ja posłałem go do Prusów, gdzie doznał boskiego męczeństwa.

— Podziwiam twój rozum, panie. — Unger skłonił głowę i powtórzył: — Twoja misja. A co powiesz na złagodzenie kursu? Powiedzmy „misja wspólna”? Twoja i cesarza? To pomoże w szerzeniu kultu Wojciecha.

— Powiem „tak”. Bo chwilę wcześniej pouczyłeś nas, że pycha jest grzechem.

— Dzieląc się z cesarzem chwałą, dajesz dowód…

— Litości? — podpowiedział Bolesław.

— Nie.

— Umiarkowania? — poprawił się książę.

— Roztropności, mój panie — zakończył Unger.

OLAV wprowadził księżniczkę Tyrę do dworu w Nidaros jako swoją żonę wprost z uroczystości zaślubin. Mężem i żoną w obliczu Boga nazwał ich biskup Sigurd. Gdy żenił się z Geirą przed laty, po prostu wypowiedzieli słowa. Oboje byli wówczas zagubionymi duszami błąkającymi się w mroku; wiadomo, jak skończyło się ich małżeństwo. A teraz? Jak będzie teraz? Patrzył na delikatną urodę kobiety, której ślubował. Piękne ciemnorude włosy, wypukłe czoło, nos może odrobinę za długi, ale

nieodbierający wdzięku. Ubrana była skromnie, bo jak wyznała ze wstydem: „Porwano mnie w jednej sukni”. „Dostaniesz ode mnie nowe stroje, pani” — obiecał jej, ale nie chciała nic od niego przyjąć przed złożeniem przysięgi. Geivar, który ją przywiózł, powiedział krótko: „Modliła się na każdym postoju”. Olav żałował, że Astryda nie przyjechała z nimi, chciał zobaczyć dawną przyjaciółkę, podziękować za to, co dla niego zrobiła. „Wolińska pani spieszyła do swego męża” — wyjaśniła jej nieobecność Tyra. Mąż. Jarl Sigvald. Dziwny człowiek. Z czterech małżeństw skojarzonych przez Mieszka w tamtej chwili, gdy wszyscy spotkali się w Poznaniu, przetrwało tylko to jedno. Erik i węgierska żona Bolesława nie żyją, umarła Geira, jedynie Sigvald i Astryda wciąż są małżeństwem, choć trudno o mniej dobraną parę.

— Król Olav i królowa Tyra! — powitali ich okrzykiem goście weselni zebrani w wielkiej halli.

Biskup Sigurd wzniósł toast, gdy zasiedli na swych miejscach.

— Oby dobry Bóg pobłogosławił dynastii Ynglingów!

— Amen — odpowiedzieli razem z Tyrą i wychylili kielich.

Czy to znak Boży, że Tyra wysiadła na ląd przy ujściu rzeki Göta, w miejscu, w którym rozstał się z marzeniem o Świętosławie? Wspomnienie skalnych kochanków i zawieszonego nad ich głowami topora prześladowało go w snach. Odwrócił się ku żonie, położył rękę na jej dłoni i pomyślał, że od dzisiaj koniec ze wspomnieniami.

— Czy mój brat już się o mnie upomniał? — spytała cicho.

— Nie, pani.

— Pewnie na razie świętuje narodziny drugiego syna — powiedziała, uśmiechając się lekko. — Królowa Sigrida pragnęła córki, ale mówią, że syn. To było w dzień mego porwania — wyjaśniła.

— Dlaczego ciągle mówisz „porwanie”? — zapytał Olav. — To sugeruje, że coś uczyniono wbrew twej woli, a przecież od ciebie wyszły rozmowy małżeńskie, i to, co nastąpiło później, raczej powinno nazywać się „uwolnieniem”.

Zarumieniła się i speszyła.

— Masz rację, panie… Mężu — poprawiła się.

Vigi podszedł do nich i położył biały łeb na jego kolanach.

— Piękny pies — powiedziała. — Jak się nazywa?

— Vigi.

Chciał dodać, jak go poznał, ale się powstrzymał. Jak opowiedzieć o psie z przepowiedni, który przyszedł do niego przy skale kochanków, i jednocześnie nie rzec słowa o Świętosławie?

— Wiele słyszałam o twoich osiągnięciach, panie — odezwała się Tyra po dłuższej chwili. — Przypływali do Roskilde podróżni i opowiadali o tym, jak ochrzciłeś swój kraj. Byłam wzruszona, słuchając tego.

Zatem i Świętosława słyszała — przemknęło mu przez myśl.

— Ostateczna rozprawa jeszcze przede mną — powiedział szybko, by zagłuszyć niestosowne w dniu ślubu myśli o Hardej.

— Jak to? — zdziwiła się. — Z tego, co u nas mówiono, już niemal cały twój kraj poddał się Chrystusowi.

— Podróżni przesadzają nie tylko, kiedy mówią o własnych przygodach — zaśmiał się Olav. — Została mi krnąbrna Północ, Hålogaland, kraina zórz polarnych, stad reniferów i najzagorzalszych pogan. Finowie to naród bogaty w czarowników wszelkiej maści, kiedyś nawet mówiło się, że każdy Fin to czarodziej. To też zapewne przesada, ale prawdą jest, iż mam kilku niepokornych jarlów na Północy. Lada dzień muszę tam ruszyć, bo doniesiono mi, że Tore Hjort, czyli Tore Jeleń, pan Lofotów, pojawił się w

swych posiadłościach, choć wcześniej ukrywał się przede mną nadzwyczaj skutecznie.

— Czy to niebezpieczna wyprawa? — spytała z niepokojem Tyra.

— Nie bardziej niż każda inna, pani, ale obejmując tron, złożyłem przysięgę.

— Jaką, jeśli to nie tajemnica?

— Że albo ochrzczę cały kraj, albo umrę — odpowiedział szczerze.

— Każdy musi kiedyś umrzeć — powiedziała Tyra i dalsza rozmowa im nie szła.

Oboje siedzieli sztywno; uczta wydawała się Olavowi ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie gdy goście nasycili pierwszy i drugi głód, nadszedł czas na pokładziny. Biskup Sigurd poprowadził orszak do alkowy Olava.

— Nie bój się, pani — szepnął na ucho żonie. — Zakazałem barbarzyńskiego zwyczaju rozbierania nowożeńców.

Podziękowała mu skinieniem głowy.

— Błogosławię to łoże, by dobry Bóg pozwolił małżonkom począć w nim nowe życie! — Sigurd pokropił święconą wodą i ich, i łoże, po czym Olav i Tyra, trzymając się za ręce, skłonili się poddanym.

— Idźcie i bawcie się, pijąc nasze zdrowie! — krzyknął Tryggvason.

Varin zamknął drzwi alkowy i zostali sami.

— Ufff! — Pocałował dłoń Tyry i puścił. — W życiu władców zbyt wiele dzieje się na oczach wszystkich.

— Taki nasz los — uśmiechnęła się do niego nieśmiało. — Do porwania… przepraszam, uwolnienia, miałam nieustannie toporników mego brata pod drzwiami.

— Sven zrobił ci krzywdę, pani? — spytał Olav.

— Jedną, ale za to wielką — odpowiedziała, patrząc mu wyzywająco w oczy. — Był moim bratem. Mówię „był”, bo od dzisiaj ty, mężu, przejąłeś opiekę nade mną.

Olav się roześmiał.

— Nienawidzisz go, pani?

— Dobry biskup Odinkarr mówił, że nienawiść to uczucie niegodne, a ja pracuję nad sobą, by pozbyć się tego, co oddala mnie od Boga. — Poruszyła głową i blask paleniska wydobył z jej włosów odcienie miedzi.

— Napijesz się miodu? Czy może wolisz wino? — Olav złapał się na tym, że wypatruje w jej twarzy podobieństwa do Svena.

— Wolę wino, ale go nie piję, bo Sven lubi je ponad miarę. Poproszę o miód.

— Twój brat wciąż ma zapasy, które wywiózł z Anglii? — spytał, podając jej kielich.

— Nie. Wypił je szybko. Kupuje wino, ma mnóstwo srebra — odpowiedziała szybko i wypiła kielich duszkiem. — Żyje jak bogacz. Jest rozrzutny — wyrzucała z siebie słowa przeciw Svenowi. — Ma zamiłowanie do zdobionej broni i klejnotów. Swoją królową też obsypuje prezentami. I jarlów. Nikomu niczego nie szczędzi, tylko na budowę kościoła, kutwa jeden, dać nic nie chciał, dopiero jak jego pani powiedziała, że każdy z jarlów obiecał jej srebro na kościoły, to Sven ze złości dał jej, ile chciała. Taki jest. Wszystko robi po złości. Dasz mi jeszcze miodu, mój królu?

Uzupełnił jej kielich. Najwyraźniej miód roztapiał lodową tamę, którą budowała przez lata, nie mogąc mówić przeciw bratu. Usiadła na brzegu ławy.

— Najgorsze było, że tylko mnie wszystkiego skąpił. Liczył się tylko on. On i on! Syn króla Haralda. A ja? — Wypiła drugi kielich i jej głos

zabrzmiał jak u urażonego dziecka. — On był dzieckiem królowej Tove, ja jakiejś możnej panny, ale mimo to zbyt nisko urodzonej, by mogła stać się kimś więcej niż nałożnicą króla. Czy ty wiesz, Olavie, że nikt nigdy nie podał mi imienia matki? Żyłam jak szczenię podrzucone do pańskiego stołu! Gdyby nie dobry biskup Odinkarr, pewnie nikt by się nie zajął mą edukacją i wychowaniem. Dopiero gdy zaczęłam dorastać, ojciec zwrócił na mnie uwagę. Nie jestem głupia! Nagle byłam mu potrzebna, mógł mnie wydać za mąż. Ale książę Mieszko odrzucił jego ofertę i Harald przestał się mną interesować.

— Mieszko? — podchwycił Olav.

— Tak. Haraldowi marzyło się wydać mnie za księcia Burizleifa! Proszę, nalej mi jeszcze miodu! — zażądała.

Olav odwrócił się od Tyry. Sięgając po dzban, pomyślał, że być może księżniczka duńska prosiła Bolesława o pomoc z zupełnie innym zamiarem. Może liczyła, że to Bolesław ją poślubi? Mógł ją upić trzecim kielichem; widział, jak z każdym łykiem rozwiązywał się Tyrze język. Zawahał się i odstawił pełen kielich.

— Żono — powiedział i podszedł do niej. — Wstań i chodź do łoża. Mamy do wypełnienia obowiązek wobec dynastii.

Trzy dni później pożegnał Tyrę i z biskupem Sigurdem i Vigim przy boku wsiadł na pokład „Krótkiego Węża”. Załogę tworzyło sześćdziesięciu wioślarzy i czterdziestu wojowników.

Kiedy odbijali od brzegu, Sigurd chwycił w dłoń pastorał. Jego zwieńczenie przypominało dwa idealnie skręcone baranie rogi. Modląc się o powodzenie misji, biskup uniósł pastorał wysoko nad sobą i promienie słońca najpierw zatańczyły na wypolerowanym brązie, a potem wsunęły się przez oba otwory krzywaśni i złotą linią światła odbiły na płachcie podnoszonego żagla.

— Pierwszy rejs! — zawołał Varin, gdy wiosła równo uderzyły w wodę.

Omold stanął na dziobnicy i zaczął recytować:

„Wąż” z sykiem kąsa fale,
wiatr połyka zuchwale…

— Królu! — Omold przerwał tworzenie. — Czy nazwałeś statek „Krótkim Wężem” dlatego, że zamierzasz zbudować jakiegoś „Długiego Węża”?

— Skald i myśliciel! — pochwalił go Varin. — Żeby nam biskup Sigurd nie chciał cię porwać do szkoły katedralnej.

— Myślisz? — poważnie zapytał Omold. — Nic mi nie mówił. Może nie zdążył? E, Varin! Nabrałeś mnie. My nie mamy szkoły katedralnej!

— Ale kiedyś będziemy mieli — wyszczerzył malowane kły Varin.

Do Olava podszedł Hårek, możny z Hålogalandu. Tryggvason ochrzcił go niedawno, płacąc mu za wierność dowództwem nad czterema okręgami w kraju na północy. Drogo, ale potrzebował pierwszego przyczółka na ziemi, która opierała mu się najdłużej. To Hårek, przypływając na jego ślub, przywiózł wiadomość o powrocie do domu Torego Jelenia.

— Płyniemy zapolować na jelenia w jego własnym mateczniku. — Hårek się zaśmiał i westchnął: — Dobra pogoda, dobry wiatr. Pierwszy raz zobaczysz Lofoty, królu?

— Tak.

— Niebiańska kraina. Tore był szczęściarzem, oglądając ją co dnia. Zapytam wprost, mój panie. Czy jeśli pokonamy Torego Jelenia, oddasz mi jego ziemię w zamian za mą pomoc?

— Płynę, by go pokonać, nie uznaję innych możliwości — odpowiedział Olav zdziwiony tym, że Hårek je dopuszcza. — Jarl będzie miał wybór, jak

każdy mój poddany. I jeśli wybierze życie i chrzest, zostawię go przy jego dobrach.

— Znam Torego Jelenia, panie. On wybierze walkę.

— Spójrz na moją załogę. Ramiona i plecy wioślarzy opowiadają ich historię lepiej niż przechwałki w portowej tawernie. A drużynnicy? Zobacz, żaden z nich nie siedzi bezczynnie. Już czyszczą i ostrzą broń. Czy Jeleń wystawi lepszych ludzi?

Hårek zrobił dziwną minę i zaprzeczył.

— Nie, mój królu. On nie wystawi ludzi.

Milczeli chwilę. Hårek założył ramiona na piersi.

— Mój dawny przyjaciel, Tore Hjort, wystawi twych wojowników na próbę. Ale nie ich męstwo czy siły, lecz ich wiarę w Chrystusa.

— A twoją tak świeżą wiarę też? — zapytał Olav. Hårek był ochrzczony niedawno.

— Moją? Nie, panie. Ja znałem zasady na długo przed tym, nim przyjąłem chrzest z rąk twego biskupa. Nikt ci nie wspomniał, że mój ojciec był skaldem króla Hakona Dobrego? Tak myślałem. Pamięć ludzka, najdziwniejsza z zagadek. Wiesz, Olavie, czym się różnił tamten król od ciebie? On wyznawał wiarę w Chrystusa, lecz tylko prosił ludzi, by się ochrzcili, nie stawiał ich przed wyborem ostatecznym.

— Ostateczny to będzie sąd u kresu dni — odpowiedział Olav i wzruszył ramionami. — Nie moja rzecz oceniać dawnego króla. Każdy z nas dostaje inne zadanie. Moje Bóg wyznaczył jasno: mam wszystkim, których spotkam, dać szansę, więc daję.

— Twardy z ciebie człowiek, królu Olavie. Ostrzegę cię tylko, że Północ też jest twarda. Z jakiegoś powodu w tej krainie dziwów dawni bogowie trzymają się mocno. Tore Jeleń zmusi twych ludzi do patrzenia na rzeczy, których się nie spodziewają.

— Widzisz ten szkier, Håreku? — Olav pokazał mu niewielką skalistą wysepkę oznaczoną drewnianym, widocznym z oddali krzyżem. — Od roku zwą go Szkierem Czarodziejów.

— Biała wyspa? — Hårek przyłożył dłoń do oczu. — Nie zwróciłem na nią uwagi. O pogromie, jaki urządziłeś parającym się magią, słyszałem. To było tutaj?

— Tak. Rafn Topór Boży ściął ich wszystkich. Pod jego ostrze poszli zaklinacze chorób, rzucający uroki, niewolący dziewki na odległość. Każdy, kto przyznał się do uprawiania seidr. Ciała zepchnęliśmy do wody.

— Leczących to bym akurat zostawił — mruknął Hårek.

Gdy „Krótki Wąż” przepływał w pobliżu Szkieru Czarodziejów, z ramion krzyża i skalistej wyspy uniosły się stada mew. W jednej chwili biała wyspa stała się szarą skałą. Rafn wychylił się przez burtę i krzyknął:

— Topór Boży pozdrawia Szkier Czarodziejów! Niech was piekło pochłonie!

— Pozwalasz na takie okrzyki? — skrzywił się Hårek. — A gdzie miłosierdzie boże?

— Miłosierdzie jest dla tych, którzy w nie wierzą. Czarodzieje, nawet kładąc głowy na pniu Rafna, nie chcieli przyjąć wiary. Na cóż im więc miłosierdzie?

— Pomódlmy się o nie, zanim dopłyniemy do Lofotów — mruknął Hårek. — Będzie nam potrzebne, byśmy nie wpadli w szpony wirów, które otaczają wyspy.

Olav potraktował serio jego słowa. „Krótki Wąż” wbrew nazwie miał długi i smukły kadłub. Był łodzią bojową, przeznaczoną do transportu wojowników i szybkiego ślizgu po falach. To był statek stworzony do tego, by budzić przerażenie wrogów wyniosłym smoczym dziobem, majestatycznie wielkim żaglem i niemal błyskawicznym ruchem po

grzbiecie średniej fali. Z wirami lepiej radziły sobie pełnomorskie snekkje niż długie drakkary.

— Zbliżamy się — powiedział Hårek po kilku dniach żeglugi. W jego głosie zabrzmiał z trudem ukrywany lęk. — Spójrz, królu, na tę siną mgłę przed nami. To ona skrywa największy ze znanych mi morskich wirów.

Ochłodziło się w jednej chwili i silne uderzenie wiatru wydęło żagle „Węża".

— Sigurdzie! — zawołał Olav. — Już czas!

W tej samej chwili zobaczył, jak z mgły wyłania się wielki lej fal.

Biskup stanął z pastorałem w dłoni na dziobie statku. Wicher wściekle uderzał w jego brązowy habit, ale Sigurd, nieruchomy jak posąg, nieczuły na podmuchy, modlił się gromko. Załoga „Krótkiego Węża" widziała, jak daleko przed dziobnicą statku kłębią i unoszą się fale. Niektórzy z wioślarzy robili znak krzyża z trwogą. Wojownicy zaciskali palce na rękojeściach mieczy. Varin trzymał ster, patrząc to w wodny wir, ku któremu płynęli, to na plecy biskupa i pastorał wzniesiony wysoko nad jego głową.

— Nie wahaj się! — krzyknął Olav do sternika. — Nie wahaj się ani przez chwilę. Płyń!

Boczna fala zalała pokład. Sigurd nie drgnął, tylko krzyknął jeszcze głośniej:

— Chwała przedwiecznemu Panu w grozie i pięknie stworzenia!

— Na-wieki-wieków-amen! — w rytm ruchu wioseł odpowiedzieli żeglarze.

Morze się uspokoiło i gdy opadły fale, zobaczyli na horyzoncie wynurzające się z wody zielone wyspy. Hårek w zupełnie zmoczonym kaftanie podbiegł do Olava, ślizgając się po mokrym pokładzie.

— Gdybym nie uwierzył wcześniej, teraz przyjąłbym twą wiarę, królu! — zawołał. Oczy mu lśniły. — Przed tobą Lofoty!

„Krótki Wąż” pokonał mocą Bożą wir tak straszliwy, że przez ściany leja widać było spoczywające na dnie morza kości śmiałków…

Omold zachłysnął się własnym wierszem.

Sigurd, kapłan nieznający lęku, wzywał imienia Najwyższego, gdy okręt nasz szedł w objęcia nieuchronnej śmierci, a pokład zalewały fale…

Zielone pasma wysp zaczęły olbrzymieć.

— Królu! — zawołał Ingvar, najbystrzejszy z jego ludzi. — Płyną naprzeciw nas.

— Ile łodzi?

— Dwie.

— Łucznicy! — wydał komendę Olav. — W gotowości.

Naprzeciw zdobywcom mórz i pogromcom wirów wodnych wypłynęli wrogowie. Dwa uzbrojone statki na jednego „Krótkiego Węża”. Już są, już się zbliżają…

Omold wyjął strzałę i naciągnął łuk.

— Królu! — zawołał. — Wolisz, gdy recytuję ci poemat czy gdy walczę, bo nie wiem, czy szukać rymów, czy sposobić strzały.

— Walcz, gdy pora walki, a gadaj, gdy przyjdzie czas miodu — odpowiedział Olav, przyglądając się nadpływającym.

— Chryste! — jęknął skald. — Ależ to było dobre. Muszę zapamiętać i wplotę w strofy.

Walcz, gdy pora walki, a składaj pieśni, gdy nadejdzie czas złotego miodu i zwycięskiej uczty…

— Zawracają! — krzyknął Ingvar.

— Gonimy ich! — rozkazał Olav.

— Chcą cię wciągnąć na ląd, królu — ostrzegł Hårek.

— „Krótki Wąż” powinien ich dopaść, nim dopłyniemy — uspokoił go Olav, patrząc na wiatr mocno wydymający wielki żagiel.

Zbliżali się szybko. Po chwili mogli już rozróżnić sylwetki ludzi na pokładach obu umykających przed nimi łodzi.

— Tore Jeleń jest na statku po lewej. Widzisz wysokiego mężczyznę w czerwonym płaszczu? — wskazał Hårek. — To on.

— Łucznicy! — zawołał Olav i wyczekiwał, aż znajdą się w dobrej odległości. — Strzał!

Czterdziestu łuczników napinało łuki na dwie zmiany. Ustrzelili obu sterników i przez chwilę na uciekających łodziach zapanował chaos.

— Taranujemy z lewej! — rozkazał Tryggvason, widząc, że na łodzi Torego jest więcej wojowników.

— Wchodzimy na płytką wodę! — ostrzegł Varin.

— Haki! Przygotować haki! — krzyknął Olav i w tej samej chwili ślizgnęli się wzdłuż burty statku Torego. „Krótkim Wężem” zabujało. Usłyszeli metaliczny zgrzyt zarzucanych na burtę haków.

— Z Bogiem! — krzyknął Olav, wyciągając miecz i skacząc na pokład Torego.

— Za królem! — zawołał Rafn Topór Boży.

Olav ciął wojownika ubranego w pancerz z utwardzonej skóry. Widział plecy Torego Jelenia na dziobie łodzi. Ruszył ku niemu.

— Tore, poddaj się w imię Boże! — krzyknął.

Ten jednak odwrócił się, zaśmiał i skoczył w wodę.

— Ucieka! Ma szalupę! — krzyknął ktoś.

Olav, tnąc na oślep zachodzących mu drogę wojowników Torego, biegł na dziób. Tak, Jeleń odpływał. Tryggvason się obrócił. Wyrwał łuk z rąk martwego, leżącego na pokładzie. Nie widział strzał.

— Plecy z lewej! — krzyknął do niego Varin walczący z topornikiem na prawej burcie.

Olav spojrzał. Tak, po lewej stronie leżał trup ze strzałą w piersi. Tryggvason wyszarpnął ją z ciała, założył i wycelował. Poczuł chłód. Szalupa, którą chwilę wcześniej uciekał Tore, kolebała się pusta przy wrzynającej się w ląd skale. Uniósł wzrok. Jest! Dostrzegł czerwoną plamę płaszcza. Tore Jeleń zręcznie wspinał się po skale. Olav strzelił. Trafił między łopatki. Tore Jeleń zachwiał się i padł na twarz. Tryggvason odetchnął, ale w tym samym momencie Hårek krzyknął:

— Chryste, ratuj! Oto północne czary!

Czerwony płaszcz Torego uniósł się w powietrze i uformował w sylwetkę wielkiego jelenia z wbitą w grzbiet strzałą. Zwierzę potrząsnęło wspaniałym porożem i majestatycznym krokiem ruszyło w głąb wyspy.

— Jezu! — jęknęli ludzie Olava, a potem ze zdwojoną siłą zabrali się do zabijania pozostałych na łodzi wojowników północnego jarla.

Tryggvason poczuł coś ciepłego ocierającego mu się o nogi. Vigi. Pies przeszedł z pokładu „Krótkiego Węża”, pobiegł na dziób i skoczył w fale. Olav słyszał bicie własnego serca. Vigi wynurzył się i wdrapywał na skałę. Majestatyczny jeleń ze strzałą tkwiącą między łopatkami też już zobaczył

psa. Zrobił kilka kroków w głąb wyspy i spojrzał za siebie. Vigi otrząsnął sierść z wody i ruszył w pogoń za jeleniem.

— Łódź! — krzyknął Olav, wracając na pokład „Węża”.

Już spuszczano dla niego łódź. Do wioseł skoczyli Varin, Rafn, Ingvar i Hårek.

— I ja! — błagalnie krzyknął skald. — Muszę to widzieć!

Zabrali go, ale łódź płynęła za wolno. Olav wyskoczył za burtę i ruszył wpław. Vigi — myślał — gonisz ułudę. Nie warto!

— Królu! Utoniesz! — słyszał za sobą przerażony ryk Håreka.

Nie, przyjacielu. Nie grałeś ze mną w pływanie. Nie wiesz, że umiem zdjąć pod wodą kolczugę.

Teraz nie musiał tego robić. Do brzegu było blisko. Już poczuł pod stopami kamienie. Wybiegł na plażę, rozejrzał się i przytrzymując się małych drzewek, ruszył w górę skalnego rumowiska.

Vigi — myślał. — Oby nie było za późno!

— Vigi! — krzyknął, gdy stanął na górze.

Jak okiem sięgnąć widział tylko zielone, przetykane kamieniami łąki. Ani śladu białego psa. Ani śladu jelenia.

Szukali do zmierzchu, aż wreszcie, idąc śladem zrytej racicami ziemi, natrafili na nich.

— Vigi… — Olav dopadł ukochanego zwierzęcia. Białą sierść znaczyły krwawe rany. — Ty żyjesz…

Pies oddychał ciężko i zaskomlał na widok Olava. Polizał go po ręku.

— Wyjdziesz z tego, przyjacielu — obiecał mu Olav, głaszcząc skrwawione ciało. Owinął go w swój płaszcz.

— Królu, spójrz na to — głucho powiedział Varin, dotykając nogą jeleniego truchła.

Z daleka zwierzę wyglądało normalnie, ale z bliska było widać, że to tylko skóra z jelenia. Olav podniósł ją jedną ręką. Ścierwo było lekkie jak nadęty mech. Strzała wciąż w nim tkwiła.

— Spalcie to! — powiedział i odrzucił je ze wstrętem.

Gdy skończyli, wziął psa na ręce i zaniósł do łodzi.

Zmierzch trwał długo. Było późne lato. Hårek poprowadził „Węża" wzdłuż wybrzeży i wpłynęli do fiordu. Na jego krańcu była duża i wygodna przystań. Zacumowali. Na brzegu zebrali się liczni mieszkańcy osady.

— Wasz pan nie żyje! — krzyknął Hårek. — Pokonał go król Olav, który od dziś jest waszym władcą. Posłuchajcie tych, którzy ocaleli!

Wyprowadzili na brzeg skrępowanych jeńców. Nie było ich więcej niż dwie dziesiątki. Kobiety, które rozpoznały mężów, rzuciły się ku nim z płaczem. Te, których bliscy nie znaleźli się wśród szczęśliwców, stały, milcząc. Matki obejmowały córki. Nawet jedno dziecko nie zakwiliło.

— Obiecuję wolność tym, którzy przyjmą mą władzę i wiarę — powiedział Olav. Był zmęczony. — Daję wam czas do namysłu, jutro przyjdziecie i powiecie mi, coście zdecydowali.

Ucztowali na wzgórzu, we dworze Torego Jelenia. Było to dworzysko tak ogromne, że nie mógł się z nim równać ani jego dwór w Nidaros, ani dwór królowej Świętosławy w Sigtunie. Przypominało wielką, odwróconą do góry dnem łódź o ścianach wzmocnionych i uszczelnionych wałem z darni, a jego wnętrze zdobiły bogate i przyciągające oko rzeźbienia. Przy łodzi zostało dwudziestu ludzi Olava, osiemdziesięciu siedziało z nim teraz w

halli wielkiego dworu i nie wypełniali jej nawet w połowie, zajmując tylko jeden długi stół, a pozostałe, wokół ścian, stały puste.

Walcz, gdy pora walki, a składaj pieśni, gdy nadejdzie czas złotego miodu i zwycięskiej uczty…

Omold skald krzyczał i lał w siebie miód bez opamiętania, skacząc po pustych ławach.

— Jesteśmy na obcej ziemi, wśród pokonanych wrogów. Wystaw straże — powiedział do Varina Olav.

— Nie obawiałbym się ataku resztek Jeleniowego wojska — odrzekł siedzący przy królu Hårek. — Pozbawieni wodza nie mają po co rzucać się na ciebie i twoje siły. Zwykłym ludziom w gruncie rzeczy wszystko jedno, kto nimi włada, byleby nie był tyranem.

— Czego więc się boisz?

— Wiesz, co mam na myśli, królu. — Hårek zmrużył oczy. — Północ ma jeszcze kilku czarodziejów, którzy mogą chcieć się zemścić. To w nich uderza twoja wyprawa.

— Więcej światła! — krzyknął Olav do nielicznej służby.

Ogień płonął w długim palenisku biegnącym środkiem halli; w uchwytach wzdłuż ścian jarzyło się kilkanaście pochodni, ale nawet gdy słudzy przynieśli drugie tyle, w olbrzymim pomieszczeniu wciąż było mroczno.

Vigi owinięty płaszczem Olava dyszał ciężko, leżąc u stóp króla.

— Pan pobłogosławił! — powiedział Sigurd i rozejrzał się wokół siebie. — Olavie, przynieśliśmy Słowo Boże na Północ, w miejsce, gdzie o nim nie słyszano. Tak daleko jeszcze nie było. Może kiedyś zasłużysz na miano Apostoła Północy?

Od strony wejścia zaczął nieść się śmiech.

— Co to? — czujnie spytał Varin.

W pierwszej chwili wydawało im się, że do halli wtoczył się niedźwiadek fikający koziołki. Ale gdy wylądował na wprost króla i wstał ze zręcznym wyskokiem, zobaczyli, że to człowiek w kamizelce z niedźwiedziego futra. Varin odruchowo sięgnął do rękojeści długiego noża na plecach. Olav powstrzymał go ruchem dłoni.

Człowieczek ukłonił się przed królem głęboko i zapytał:

— Czy wielki jarl Tore zwany Jeleniem przyjmie służby Bjarniego zwanego Synem Wesołego Niedźwiedzia? Ściągnęła mnie z dalekich krain twa sława, jarlu…

— Jarl nie żyje — chłodno odpowiedział Olav. — Poległ w walce z królem Norwegii, Olavem Tryggvasonem.

Przybysz musiał iść z daleka, miał zniszczoną, znoszoną odzież; spod warstwy brudu wyzierały przykurzone odcienie żółci, zieleni i czerwieni, a na kostkach nóg miał przywieszone dzwonki.

— Poległ… — zmartwił się Syn Wesołego Niedźwiedzia i rozejrzał po zgromadzonych. — Czy trafiłem na jego pożegnalną ucztę?

— Nie. To uczta powitalna dla króla Olava — odrzekł Hårek. — A ty masz zaszczyt stać przed władcą.

Okrągłe i wypukłe oczy Bjarniego zrobiły się jeszcze większe. Wyglądał teraz jak wielkie, stare, nieogolone i smutne… dziecko. Pokłonił się jeszcze raz i zatrzymał pochylony. Patrzył na rannego psa. Uniósł głowę i spojrzał Olavowi w oczy.

— Twój pies cierpi, panie.

— I ja cierpię razem z nim — odpowiedział Olav. — Nazywa się Vigi. To on pokonał jelenia, który żył w Torem.

— Chcesz, bym spróbował mu pomóc, królu?

— A potrafisz?

Przybysz się wyprostował.

— Widywałem wielu ludzi poszarpanych przez czary. Moja matka kiedyś leczyła… Raz się udało, raz nie. — Pokiwał głową smutno.

— Gdybyś wyleczył mego psa, uczyniłbym cię wolnym człowiekiem — odpowiedział Olav.

— Ależ ja jestem wolny, królu!

Patrzyli sobie w oczy przez chwilę. W spojrzeniu Bjarniego nie było śladu zaczepki.

— A kim naprawdę jesteś? — spytał Olav.

— Bjarni, Syn Wesołego Niedźwiedzia, tak mnie zwą. — Gość się uśmiechnął, choć jego oczy wciąż pozostawały smutne. — Znam wiele pieśni, zabawne sztuczki, którymi ożywiam ciemność długich polarnych nocy. Rozbawiam znudzone dzieci, zmęczone żony i tęskniących za dniem i wyprawą mężczyzn. Chodzę od dworu do dworu, niosąc śmiech i radość, czasem zadumę.

— Chętnie posłucham twoich pieśni, Bjarni, ale znacznie bardziej zależy mi na tym, byś pomógł memu psu, jeśli tylko potrafisz.

— Spróbuję, królu. Muszę go wynieść na dwór. Tu jest duszno i głośno, a on potrzebuje powietrza i trawy pod grzbietem. Pozwolisz?

Olav zawahał się przez chwilę. Pochylił nad Vigim i położył mu rękę na rozpalonym łbie.

— Pozwolisz? — zapytał psa.

Vigi zaskomlał cicho.

— Weź go, Bjarni, i wiedz, że ten pies jest dla mnie wiele wart. Zapłaciłem za niego złotym naramiennikiem.

— Więc to najdroższy ze znanych mi psów — poważnie odpowiedział Bjarni.

— Mówię to, byś wiedział, że potrafię się odwdzięczyć za jego wyleczenie.

Varin sam wziął psa na ręce i idąc za przybyszem, wyszedł z dworu. Po długiej chwili wrócił, usiadł przy Olavie i rzekł:

— Sztukmistrz znalazł miejsce z tyłu, za domem. Tam położył psa na trawie, rozpalił małe ognisko i kazał sobie przynieść kociołek. W mieszkach przy pasie miał sporo ziół, teraz je miesza i gotuje. Pytałem bab z kuchni. Mówiły, że słyszały o Synu Wesołego Niedźwiedzia, ponoć bywał już tu przed wieloma laty.

Uczta trwała i z każdym wypitym rogiem miodu bawili się lepiej.

— Oto prawdziwy urok Północy! — śmiał się Hårek. — Przez pół roku ucztujemy, bo dzień się nie kończy. Pijemy i pijemy, bo skoro nocy nie ma, to do rana daleko. A gdy nadejdzie półrocze mroku i zimy, pijemy, bo wydaje nam się, że to wciąż jedna i ta sama, niekończąca się uczta! Zdrowie króla!

— Zdrowie!

— Zostań, królu Olavie, do jesieni — powiedział Hårek między jednym a drugim toastem. — Czy nie pragnąłbyś zobaczyć świetlistego tańca na mroźnym niebie? Nie chciałbyś, aby zaśpiewały ci zorze?

Olav i Sigurd spojrzeli na siebie, mówiąc jednocześnie:

— Biskupie?

— Królu?

— Apostoł Północy powinien widzieć zorze — powiedział Olav bez chwili namysłu.

— A królowa? — zapytał Sigurd. — Czy zasiałeś w jej łonie dziedzica Ynglingów?

Olav nie zdążył odpowiedzieć, bo do halli wrócił Bjarni. Syn Wesołego Niedźwiedzia wskoczył na wolną ławę wzdłuż jednej ze ścian i szedł po

niej tanecznym krokiem, raz po raz fikając koziołki.

— Vigi? — spytał Olav, ale wrzawa, jaką uczynili jego ludzie, zagłuszyła jego słowa.

Bjarni podskakiwał, wyciągał ku uciesze gości z rękawów barwne chustki.

— Co z moim psem? — zawołał Tryggvason.

— Odpoczywa, królu! — krzyknął Bjarni, wyjmując z kaptura żywego ptaka. — Teraz potrzebuje snu, a reszta w rękach bogów!

— Varin — warknął Olav. — Sprawdź, co z Vigim.

Sztukmistrz nie przerywał zabawy. Wyskakiwał w powietrze ze zręcznością wiewiórki i chwytając się belek stropowych, bujał w powietrzu. Wojownicy Olava klaskali i śmiali się. Wrócił Varin.

— Prawda. Pies śpi, oddycha spokojnie.

— A nie mówiłem, królu? — Bjarni się zaśmiał, wisząc głową w dół tuż nad Olavem. — Wszystko w rękach dzikich bogów Północy. Tych, którymi gardzisz. Tych, których pragniesz zniszczyć…

— Brać go! — rozkazał Olav.

Bjarni w mgnieniu oka podciągnął się i zaczął biec po belkach pod stropem halli. Do ludzi Olava wreszcie dotarł rozkaz króla i rzucili się, by łapać sztukmistrza. On jednak zdawał się nieuchwytny; obdarzony jakąś zwierzęcą zręcznością wciąż umykał przed nimi. Zarzucili linę z hakiem; wydawało się, że trafi Bjarniego w stopę, ale ten odbił się od belki i przeleciał, rozkładając ramiona jak skrzydła. Varin wskoczył na stół i pociągnął lecącego za kraj płaszcza. Bjarni spadł na ziemię z hukiem.

— Nie żyje! — krzyknął Ingvar.

— Żyję — odpowiedział sztukmistrz. — I śmieję się z was i waszego zabitego boga!

Czterech ludzi rzuciło się na niego i przytrzymało go na klepisku.

— To nie Bjarni — zawołał Varin. — Spójrzcie tylko!…

Olav pochylił się nad leżącym. Człowiek miał na sobie te same brudne łachy, w których przybył Syn Wesołego Niedźwiedzia, ale nie był nim z pewnością. Patrzył na nich rudowłosy i rudobrody mężczyzna.

— Sven? — wyszeptał Olav, chwytając go za włosy. — To niemożliwe. Nie możesz być Svenem…

— Mogę być, kim chcę — warknął leżący i wściekle ruszył głową.

W garści Olava zostały rude włosy, a ten, którego trzymali, nagle stał się łysy. Jak Erik Segersäll — pomyślał ze zgrozą Olav. — To diabeł, który pokazuje mi się pod postaciami ludzi.

— Biskupie! — zawołał król. — Złapaliśmy siłę nieczystą.

Łysy na ich oczach przeobraził się w ciemnowłosego, przystojnego młodzieńca, którego Olav nie znał.

— Jarl Erik? Na Boga, niemożliwe… — wyszeptał Hårek. — Nie możesz być młodym jarlem, synem Hakona.

— Mogę być, kim chcę — zawołał, tłukąc z całych sił głową o podłogę — bo jestem Wielki Eyvind! Eyvind!

— Tylko nie Eyvind… — jęknął Hårek. — Panie, jeśli to on…

— Dajcie ogień! — krzyknął Olav, wiedząc, iż muszą natychmiast pokonać tego demona, kimkolwiek by był. — Ogień! — powtórzył, bo dostrzegł, że jego ludzie struchleli ze strachu i cofają się bojaźliwie.

Omold podał żelazny kosz z płonącymi wewnątrz głowniami, choć Olav miał na myśli pochodnię.

— Wyrzeknij się szatana, siło nieczysta! — zawołał biskup. — Wyrzeknij się!

— Nie! — Przystojny młodzieniec w jednej chwili przemienił się w pokrytego siwą szczeciną brody starca. — Jestem Eyvind.

— To naprawdę on — wyszeptał zlękniony Hårek. — Największy z czarodziejów Północy… Chryste…

— Nie chcę cię zabijać — powiedział stanowczo Olav. — Daję ci szansę. Wyrzeknij się szatana i przyjmij czyste światło Jedynego Boga.

— Nie! — warknął Eyvind i splunął. — Nigdy!

Olav wyrwał kosz z ogniem i postawił na brzuchu czarodzieja. Ten zawył poparzony.

— Ogień piekielny, który cię pochłonie, będzie po tysiąckroć gorętszy. Wyrzeknij się Złego, a wybawię cię od ognia za życia i po śmierci.

Poczuli swąd tlącego się ubrania. Czarodziej przestał się szamotać.

— Wyrzeknij się i pozwól się ochrzcić!

— Nie mogę — szepnął zupełnie spokojnie Eyvind. — Wysłuchaj mnie, królu, a zrozumiesz…

Olav kazał zdjąć żelazny kosz. Na kaftanie czarodzieja został wypalony czarny okrąg; pod nim widać było czerwoną, okropnie poparzoną skórę.

— Wody! — krzyknął Olav. — Polejcie go!

Gdy Varin chlusnął z cebra, rozszedł się smród spalonego ubrania i skóry.

— Nie mogę przyjąć chrztu — powtórzył Eyvind, dysząc ciężko. — Chcę, byś zrozumiał… Moi rodzice mieli kawał ziemi na wyspie, tej, którą zwą Czerwonym Okiem. Mieli bogactwo, ale nie mogli doczekać się potomka… Popłynęli do Fina, słynnego czarownika… Ten wziął ich pieniądze i wezwał służące mu duchy… jakie duchy? Nie wolno mi zdradzać imion, powiem tylko, że wziął je z powietrza, nie z ziemi… Jeden z nich poddał się mocy Fina i dał się zamknąć w ciemnym, wilgotnym więzieniu matczynego łona… Tak… matka poczęła… mnie… ducha, któremu Fin nadał ludzką postać… Przychodząc na świat, odziedziczyłem po ojcu majątek i wyspę. Mieszkałem na Czerwonym Oku, ciesząc się ludzkim uznaniem. Pomagałem ludziom, gdy o to prosili, bo pod

człowieczą postacią wciąż miałem siły ducha, z którego mnie stworzono… Ale gdy pytasz, czy się ochrzczę, odpowiadam: nie… Nawet tak wielki król jak ty nie może ochrzcić kogoś, kto nie jest człowiekiem…

Eyvind skończył mówić, oddychał ciężko. Nagle, jakby ostatnim wysiłkiem, zaśmiał się i spytał niemal pogodnie:

— Czy źle mówię, królu? Czy stary Eyvind nie ma racji?

I skonał. Gdy przestał oddychać, zaczął się kurczyć, jakby jego skóra wysychała i rozsypywała się na ich oczach. Trwało to ledwie chwilę, ale gdy minęła, na podłodze leżało przepalone ubranie, znoszone buty i dzwoneczki, które Syn Wesołego Niedźwiedzia miał wcześniej na nogach.

— Bjarni? — Olav uniósł głowę znad sterty ubrań. — Vigi! — zawołał.

Zerwał się, Varin i inni za nim. Wybiegli na zewnątrz dworzyska. Było już jasno albo jeszcze jasno; dzień polarny nie miał początku ani końca.

— Tam! — Varin wskazał smużkę z dopalającego się na wzgórzu za domem ogniska.

Olav biegł, potykając się; czuł, jak wali mu serce.

Vigi leżał przytulony do nagiego mężczyzny, który obejmował go ramionami, jakby wzajemnie grzali się własnym ciepłem.

— To Bjarni… — wyszeptał Olav. — Vigi?

Pies uniósł biały łeb i zaskomlał radośnie na jego widok. Wstał, budząc Bjarniego. Ten usiadł, przecierając oczy, nieprzytomny. Zobaczył, że jest nagi. Patrzył to na psa, to na Olava i jego nadbiegających ludzi.

— Vigi… jesteś zdrów… — Olav głaskał psa po łbie i po bokach, na których były zabliźnione rany po jelenich rogach. Przyklęknął, dotknął raz jeszcze. — Blizny zarosły, jakby minął miesiąc albo i więcej — wyszeptał do swych ludzi. — Kim ty jesteś, Bjarni? — spytał nagiego, wciąż zaspanego mężczyznę.

— Mówiłem ci, królu. Śpiewam pieśni po dworach, opowiadam bajki, rozbawiam sztuczkami dzieci…

— Jesteś czarownikiem?

— Nie. Jestem wolnym człowiekiem, królu.

— Uzdrowiłeś mego psa.

— Pomogłem mu tylko, on sam się uzdrowił. — Bjarni się skulił, szukając czegoś, czym mógłby się okryć.

Vigi polizał Olava po twarzy. Tryggvason zdjął z ramion płaszcz i przykrył Bjarniego. Spiął go na jego ramieniu wielką, złoconą broszą i położył przy jego bosych stopach sakiewkę pełną denarów ze swym imieniem.

— Powiedziałem, że jeśli uzdrowisz mego psa, dam ci wolność. Mówiąc to, myślałem, że dam ci wolność, która płynie z wiary w Jedynego Boga. Ale zmieniłem zdanie, Bjarni. Nie będę nakłaniał cię do chrztu. Jeżeli zechcesz, kiedyś sam przyjdziesz do mnie i powiesz: „Oto jestem”, a ja powitam cię jak przyjaciela. Nie ma między nami zadry, uzdrowicielu. Jestem ci wdzięczny, a ty jesteś wolny.

Bjarni zgarnął sakiewkę, owinął się płaszczem, by nie było widać jego nagości, wstał i skinął głową.

— Tak, jestem wolny, królu.

Vigi podszedł do niego i trącił Bjarniego pyskiem. Ten puścił poły płaszcza, by pogłaskać psa. I wtedy Olav zobaczył na nagim brzuchu uzdrowiciela wypalony okrąg.

ŚWIĘTOSŁAWA i Sven krzyknęli do Sigvalda jednocześnie:

— Co mówisz?!

Królowa poczuła, że gniew uderza jej do głowy, Sven musiał czuć to samo, bo zerwał się z krzesła i skoczył ku stojącemu przed nimi jarlowi Jomsborga. Powstrzymał go Jorun, zachodząc Svenowi drogę z okrzykiem:

— To jarl Jomsborga! Poseł! Prawo gościnności, królu!

Sigvald stał nieporuszony. Sven się zatrzymał, zaklął i ciężko opadł na krzesło. Świętosława zacisnęła palce na obroży rysia i dopiero gdy uspokoiła oddech, odezwała się:

— Wybacz, jarlu. Jesteś nie tylko posłem, gościem, ale i moim szwagrem, mężem ukochanej siostry, Astrydy. Wybacz wybuch gniewu królowi, lecz sam rozumiesz, dotknęła nas ta wiadomość do żywego.

— Gdybym nie znał wagi sytuacji, nie przypłynąłbym tu osobiście, lecz wysłał ludzi — powiedział sztywno Sigvald. — Ze względu na przeszłość, na pewne zdarzenia związane z twoim byłym mężem i obecnym tu królem, wiedziałem, iż mogę być źle przyjęty na dworze.

Mało powiedziane. Sigvald ryzykował życie; odwiedziny w Roskilde mogły kosztować go wiele. Tu każdy pamiętał, że jomsborczycy byli sojusznikami Erika w wojnie przeciw Svenowi. A Sigvald więził Svena w warowni Jom, czy też, jak wolał to nazywać, „był zmuszony przetrzymać drogiego gościa”. Świętosława nie miała powodu, by nie ufać ludziom Sigvalda. Przypływali do niej, do Roskilde, w zaufaniu, w przebraniu wolińskich kupców i przewozili informacje między nią a jej bratem, Bolesławem. Dzięki nim zachowywała kontakt z rodziną, a książę mógł być spokojny, wiedząc, że nic jej nie grozi w małżeńskim stadle z Rudobrodym.

— Powtórz, proszę, wszystko od początku — powiedziała do Sigvalda. — Może coś źle zrozumieliśmy.

— Nie sądzę, królowo. — Sigvald pokręcił głową. — Ale jak sobie życzysz, opowiem. Przybyło do Jom trzech młodych, bitnych ludzi, proszących o przyjęcie do bractwa jomswikingów. Naszym zwyczajem jest, że nowych musi wprowadzić ktoś, kto już służy. Oni nie znali nikogo, ale powiedzieli, że ich bohaterskie czyny przemówią za nich. Opowiedzieli, że na prośbę norweskiego króla wzięli udział w uwolnieniu z Roskilde

księżniczki Tyry. Chwalili się, że wyprowadzili ją z dworu przebrani za służbę podczas zamieszania, jakie panowało, gdy ty, królowo, rodziłaś syna.

Sven zaklął po raz kolejny. Świętosława syknęła. Wrzask i Zgrzyt warknęły wściekle.

— Mówili, że przy gospodzie mieli wierzchowce i konno dojechali z księżniczką do Trelleborga, tam czekała na nich łódź, którą nie niepokojeni przez nikogo pożeglowali do Nidaros, by oddać rękę Tyry Olavowi.

— A niech to diabli! — tym razem zaklęła Świętosława. — Co za podstęp! Czy Tyra była przez nich porwana, czy też w zmowie z nimi?

— Niestety, pani, była w zmowie. Tyra i Olav sobie tylko znanym sposobem porozumieli się odnośnie do małżeństwa.

— Mówiłem ci, że to zdradliwa suka! — krzyknął Sven do Świętosławy. — Ale ty jej broniłaś, jakby sam fakt, że codziennie biegała na mszę, miał sprawić, że jest niewinna!

— Jak on śmiał — wysyczała Świętosława i zacisnęła usta. Jak śmiał poślubić Tyrę?! Przecież wiedział, że nie wybrałam Svena, że nie z własnej woli wyszłam za niego! Biorąc jego siostrę za żonę, wymierzył mi policzek. Zadrwił ze mnie! Podeptał wszystko, co nas łączyło! Zbezcześcił każdą chwilę! Tamtą noc w domu wioślarzy… — Jak on śmiał! — powtórzyła na głos i odkaszlnęła. — Obraził cię, mężu. Upokorzył. Biorąc bez twej zgody twoją siostrę…

— Oszaleję! — zawył Sven i cisnął o podłogę rogiem trzymanym w dłoni.

Siła uderzenia przepołowiła róg. Rozszczepił się jak suche drewno. Srebrne okucie spadło z niego i potoczyło się po posadzce niczym mała, pusta korona.

— Wybaczcie — opanowanym głosem powiedział Sigvald. — To nie wszystko.

— Wina! — krzyknęła Świętosława, wiedząc, że cokolwiek więcej usłyszą, Sven nie zniesie tego na trzeźwo. Ona też.

Jasnowłosa Vali, zwinna i zmyślna, wycofała służkę niosącą szklane kielichy i kazała podać zwykłe kubki.

Podziękuję jej później — przemknęło przez głowę Świętosławie.

— Powiedziałem tym ludziom, że w świetle prawa takie małżeństwo jest nieważne — ciągnął Sigvald, gdy Sven tylko zanurzył usta w winie. — Żona powinna wnieść mężowi posag, a on odpowiedzieć jej rodzinie wianem. Na to oni odrzekli, że Tyra i Olav zadbali o wszystko. „Jak — zapytałem — skoro sprawa była tajna?”. A oni mówią, że ponoć król Olav zapłacił za rękę księżniczki Tyry skrzynką pełną swych denarów. „Mnóstwo srebra — powiedzieli. — Dar iście królewski, a żeby nikt nie miał wątpliwości, na każdej monecie jest wybite imię króla Olava”. Ona zaś, jak opowiadali, miała przy sobie taką samą skrzynkę denarów z twym imieniem, panie. Ponoć na każdym z nich widnieje ZVEN REX DENER. Wręczyła je mężowi w dniu zaślubin.

Świętosława spojrzała na męża. Sven poczerwieniał.

— Gdzie niby są denary? — syknął. — Nie widziałem ich na oczy.

— Powiedzieli, że gdy przyszli po Tyrę, schowali je w skrytce pod podłogą — odrzekł Sigvald.

— Jorunie. Weź ludzi i rozpruj dawną komnatę mej siostry — rozkazał zimno Sven.

— Napij się wina, jarlu — zaproponowała Świętosława. — Za chwilę okaże się, że to wszystko bzdura, wierutne kłamstwo, nie ma żadnych denarów. Prawda, Sven?

Spojrzała na niego i poczuła, że jest źle. Płomiennorude włosy jej męża, ogniste warkocze jego brody i intensywnie poczerwieniała twarz tworzyły niemal jedną purpurową plamę.

— Sven? Dobrze się czujesz? — spytała miękko.

Nie odpowiedział. Uniosła wzrok i napotkała przerażone spojrzenie Vali. Służka zniknęła na długą chwilę, podczas której słychać było z odległej części dworu głuche uderzenia toporów.

Jarl Sigvald pociągnął łyk wina i potrząsając pięknymi, ciemnymi włosami, powiedział od niechcenia:

— Tak, lepiej, byś miała rację, królowo. Lepiej, by okazało się, że przynajmniej w kwestii zostawionego wiana kłamali. Bo w to, że po nocy poślubnej król Olav w otoczeniu swego biskupa i dworu dał królowej dar poranny na potwierdzenie dopełnienia małżeństwa, nie mamy powodu nie wierzyć. Tak, ponoć przed wszystkimi pokazali, że stali się w nocy mężem i żoną. Cała nadzieja, że skłamali w kwestii zapłaty za żonę…

Mam gdzieś jej wiano — pomyślała Świętosława, łapiąc się za serce. — Mnie boli jej dar poranny!

Sven wstał, bo stuk toporów umilkł. Przez krótką chwilę w halli panowała martwa cisza przerywana tylko głośnym oddechem dwóch dzikich kotów. Świętosława zaciskała smycz, okręcając ją sobie nerwowo na ręce. W drzwiach halli stanął Jorun. Niósł skrzynkę.

— Była pod podłogą — powiedział głucho i postawił ją na stole przed Świętosławą i Svenem.

Król podniósł wieko. W środku były denary ONLAF REX NOR i pergamin zapisany łacińskim pismem.

— Ionie! — Królowa wezwała mnicha. — Czytaj.

— „Król Olav Tryggvason zostawia srebro jako wiano swej żony, księżniczki Tyry” — odczytał Ion.

— To jeszcze nic nie znaczy! — zawołała rozpaczliwie Świętosława. — On zapłacił, ale czy ona…

— Tak, pani — powiedział Sigvald i sięgnął do sakiewki przy pasie. — Porywacze dostali w prezencie od Olava jedną z monet, które przywieźli wraz z Tyrą. Zabrałem im ją, by wam pokazać.

Na stole zabrzęczało srebro. ZVEN REX DENER.

— Mówią, że Tyra wniosła ich w posagu całą skrzynkę — zakończył Sigvald.

Ion wziął monetę, ugryzł i cmoknął.

— Ale skąd? — wrzasnęła Świętosława. — Skąd by je miała? Sven, odezwij się!

— Morcar Żaba, kupiec z Yorku — wycedził Sven. — Zapłaciłem mu tamtego dnia garncem srebrnych svenów. Garncem monet noszących mój stempel i imię.

— Okradli go — rzucił Sigvald domyślnie. — Jeśli wiedzieli, że król dał kupcowi swe denary…

— Mogli go dopaść na morzu — dorzucił Jorun. — Morcar odpłynął tego samego dnia.

— Albo byli z nim w zmowie — jęknęła królowa.

— Nie sądzę, pani. Tak często jestem na Wolinie, że znam kupców, jakbym się spośród nich wywodził — zaśmiał się jarl Sigvald. — To nieprzekupne plemię. Tak jak jomswikingowie. Wolą nie mieszać się w sprawy królów. I nie wywołują wojen, bo jak mawia Dalwin: „Wojna rujnuje interesy”.

Świętosławie pociemniało przed oczami. Vali podbiegła do podwyższenia i podała czerwonemu jak żywa krew Svenowi kubek.

— Błagam, królu, to cię uspokoi — jęknęła. — Wypij!

Sven wypił.

Jesień gwałtownie przeszła w zimę. Dni, które nastały po wizycie Sigvalda, były niczym jedno ciemne pasmo wzburzeń. Tak, poszła ze Svenem do łóżka w gniewie. Połączyła ich obopólna wściekłość. Poczucie zdrady. Choć każde z nich nadawało mu inną barwę i brzmienie. Kochali się brutalnie, dysząc ze złości, kipiąc pożądaniem, wyjąc z oburzenia. Byli jak piorun i grzmot. Gradobicie. Sztorm. Rozdzierała białe plecy Svena paznokciami. Ciągnęła go za brodę zębami. Wyła, gdy wtargnął w nią od tyłu jak pies na sukę. Rzucali się na siebie wściekle, nie wiedząc, czy chcą się połączyć, czy bić. Jak tokujące podniebne drapieżniki wczepieni w siebie pazurami zatracali się i spadali w otchłań snu. I budzili się, bo złość w nich nie mogła się wypalić. Sven przynosił dzban wina do łoża, pili z niego, oblewając się purpurowym trunkiem jak krwią. Chwytał ją za ramiona, rozgniatał jej piersi w potężnych dłoniach i Sven, bóg zemsty, znowu w nią wchodził. A w niej budziła się bogini gniewu. Potworna w wizjach, które przepełniały jej głowę. Krwiożercza i pragnąca zniszczenia. Karmiąca się ciałem Svena jak martwym mięsem, padliną, z której wyssała życie. Aż wreszcie wzajemnie wyładowali na sobie gniew. I pożądanie uleciało.

Obudziła się i od czubka głowy do stóp czuła jedynie pustkę i ból. Wyszła z alkowy męża i wróciła do swojej.

— Dusza, przygotuj mi kąpiel — powiedziała, stając w progu.

A kiedy służki trzy razy wymieniły stygnącą wodę, kiedy wydało jej się, że zmyła z siebie te straszne noce, ubrała się i poprosiła Duszę, by Heidi Kózka przyprowadziła jej synów.

Harald wbiegł do alkowy, krzycząc:

— Mama!

A mały Knut wyciągnął ku niej ramiona. Kózka podała go Świętosławie. Przygarnęła chłopców do piersi i zaczęła do nich mówić.

— Cokolwiek się zdarzy, pamiętajcie, że kocham was obu.

— Wiem — powiedział mały Harald, kręcąc palcem kosmyk rudych włosów. — Dusza nam mówiła…

Przycisnęła Haralda do piersi. Biedny malec, tak źle zniósł tych kilka dni rozłąki, że pomieszało mu się w głowie. Nie wypuszczała synów z ramion aż do wieczora. A kiedy Heidi zabrała ich, by ułożyć do snu, Świętosława poprosiła Duszę, by przyniosła jej klatkę z drugą parą islandzkich sokołów.

— Tych, które podarował mi Olav.

Kiedy przyszła, dźwigając klatkę, Świętosława powiedziała:

— Zostaw mnie samą.

SVEN kazał Sigvaldowi wyjechać z Roskilde. Oczywiście podziękował mu za wieści, obdarował zwyczajowo i pożegnał. Nie chciał, by jomsborczyk widział jego wściekłość, nie chciał, by się nią pasł. Wolał zostać ze swą złością sam, by zaplanować zemstę na Olavie i Tyrze.

— Na zimno! Przez wzgląd na wszystkie lata, które nas łączą, zrób to na zimno, królu — prosił go Jorun. — Nie każ nam wsiadać na „Poławiacza Wiatrów”, nie każ sposobić floty. Idzie zima, zły czas na podróże. Popłyniemy za tobą, gdzie zechcesz, wiesz o tym. Ale zdecyduj bez emocji.

Rozważali, co robić, całą zimę. Długie wieczory i krótkie dni, ledwie znaczone leniwym wyjściem słabego słońca. Ożywił się w czas Jula. Bożego Narodzenia, jak wolała mówić jego żona. I powodem, dla którego odżył na krótko, była ona. Jej brzuch znów zrobił się okrągły.

— Knuta poczęliśmy z węzła na rogu mej chusty, a to dziecko spłodzone w naszym wspólnym gniewie — powiedziała do niego smutno. — To zły znak dla nowego życia.

— Dlaczego? — oburzył się. — Może urodzisz mściciela?

— Nie chcę tak długo czekać na zemstę, Svenie — powiedziała mu. — Te dni, które spędzamy teraz, w mroku, są dla mnie udręką. Postanówmy coś.

— Przysięgam, że nie puścimy tej zniewagi płazem — obiecał. — A teraz przyjmij prezent, który dawno miałem ci dać, ale z powodu wszystkiego, co nastąpiło po zniknięciu Tyry, po prostu o nim zapomniałem.

Dał jej broszę, którą kupił od Morcara Żaby. Złota ryba trzymana w szponach przez dwa orły. Zamyśliła się i pogładziła łuski ryby palcem.

— To piękna rzecz — powiedziała i przypięła broszę do sukni. — Dziękuję.

I odeszła do swych komnat w asyście Wilczana, Iona i toporników, którzy nie wiedzieć kiedy sami podjęli się służby u jej drzwi i pod komendą Wielkiego Ulfa nie opuszczali królowej ani na chwilę. Odeszła, zabierając ze sobą Knuta i Haralda, i dwa rysie.

Sven nie rozumiał swej żony. Jej gwałtownych nastrojów od gniewu do smutku. Zrzucał wszystko na karb trzeciej ciąży. On, król, musiał planować na zimno, żeby jego królowa mogła zaspokoić swą drapieżną żądzę zemsty.

Nie powiedział jej, że nie popłynie do Norwegii. Bał się jej złości, tego, że nie zrozumie, a od razu wyda wyrok: „Jesteś tchórzem, Svenie”. A nie był. Gdyby chodziło tylko o niego, zgarnąłby najwierniejszą drużynę, wsiadł na pokład „Poławiacza Wiatrów” i w tydzień stanął u wejścia do Trondheimfiordu, wysyłając Olavowi płonącą strzałę na znak wojny. Ale wojen nie wygrywa się jedną łodzią, a jego wodzowie odmawiali. Tkwiła w nich zła pamięć bitwy sprzed niemal piętnastu lat. Bitwy w zatoce Hjørung, którą jego ojciec, Harald, chciał zdyscyplinować Norwegię i władającego nią wówczas jarla Hakona. Wezwał zastępy jomsborczyków, wezwał i wielu swoich, z których mało kto powrócił, bo jarl Hakon pokonał na

swych wodach zjednoczone siły i więcej nie zapłacił trybutu. Pamięć tamtej porażki tkwiła w jego ludziach i w jarlu Jomsborga, Sigvaldzie, który wtedy pierwszy dał rozkaz do odwrotu, przesądzając o wyniku bitwy.

— Panie — powiedział Jorun któregoś wieczoru, gdy po raz wtóry rozważali, jak przełamać opór wodzów. — Przecież syn tamtego zwycięzcy, jarla Hakona, jest mężem twej córki, Gydy. Pochodzi stamtąd i jeśli istnieje sposób, by pokonać to pechowe miejsce, powinien go znać. Erik, choć młodzian, walczył wtedy przy boku ojca.

Sven wezwał do Roskilde swego zięcia, jarla Erika.

— Nie będę ci opowiadał tamtej bitwy, królu, bo znasz jej przebieg i pewnie nie o tym chcesz słuchać. Prawdą jest, że wydarzyło się wówczas coś, czego nikt nie umiał zrozumieć. Mówiono, że mój ojciec, jarl Hakon, poświęcił życie najmłodszego z naszych braci, rzucił je na ofiarę swym drapieżnym boginiom, a one zesłały grad na połączone siły jomswikingów i Duńczyków. Grad i niebo, które zaszło czarnymi chmurami, widziałem, bogiń nie. Prawdą jest, iż mój mały brat zginął, ale czy zginął w ofierze, czy utopił się przypadkiem? Nie wiem. Nie było mnie przy tym, stałem na dziobie swego statku, walczyłem. Powiem ci co innego, królu. Życzliwi mi ludzie krążą po Norwegii, słuchają, patrzą i powtarzają. Olav Tryggvason, choć zniechęcił do siebie wielu brutalnym wprowadzaniem wiary w Chrysta, jako król i zarządca kraju sprawuje się dobrze. Zapanowały rządy prawa. Surowego, ale prawa. Przywrócił zaniedbany przez mego ojca obowiązek palenia ogni na półwyspach. Żeglarze znów mogą bezpiecznie trafiać do portów, a straż wybrzeża…

— Rozumiem — przerwał mu Sven. — Informuje o każdym zbliżającym się statku.

— Tak, królu — potwierdził jarl Erik. — Nie ma mowy o tym, że flota nadpłynie do Nidaros niezauważona. Szlak latarni morskich jest tak gęsty,

że król, nawet będąc na dalekiej Północy, dowie się w ciągu jednego dnia, że płyniesz ku niemu z wojenną tarczą. Najpierw stawią ci czoło statki panów z południowych dzielnic. Są najsłabsi, pokonasz ich, ale czas, który stracisz w bitwie, wystarczy Olavowi, by zebrał główne siły. Gdy po zwycięstwie nad wodzami Południa popłyniesz dalej, zaczną cię nękać piraci z Sogn, są na usługach króla. Dziesiątki małych, zwrotnych łodzi, które każdej nocy uszczuplą twą flotę. Nie zejdziesz na ląd, by uzupełnić zapasy, bo ustrzelą wioślarzy i sterników, kryjąc się za skałami. To matnia fiordów, zatoczek i wysepek, wyglądająca tak pięknie jak raj na ziemi. Śmiertelna matnia. Jeśli będziesz miał szczęście, miniesz ją i dopłyniesz do Gula. Tam powitają cię zastępy panów Zachodu. Nie dogadasz się z nimi, bo trzej najważniejsi to szwagrowie Olava. Chrzcząc ich, dał im siostry za żony. Wydadzą ci bitwę. Gdybyś jakimś cudem przedarł się przez szeregi ich łodzi, spotkasz się z główną armią króla, która przywita cię albo w okrytej złą sławą zatoce Hjørung, albo u wejścia do Trondheimfiordu. I z góry mówię: najgorsze, co może spotkać najeźdźcę, to nie zobaczyć sił obrońców, nim do niego wpłyną.

— Dlaczego? — spytał Sven.

— Bo wody fiordu są najlepszą linią obrony siedzib władców w Lade i Nidaros. Tam obrońcy króla mogą wygrać wojnę, nie wydając rozkazu łucznikom. Wystarczy poczekać na wiatr, który obudzi drzemiące w wodzie wiry i potopi statki najeźdźców. Dawni, legendarni królowie tak wygrywali bitwy. Duńczycy nie dlatego władali nami, że pokonali nas na swych wodach, tylko dlatego, że potrafili zwaśnić naszych wodzów i władców. To smutny sekret, ale jeśli pytasz, to znaj odpowiedź, królu.

Sven ugościł zięcia i oddał się własnym myślom. Gdy uczta powitalna cichła, gdy jego ludzie posnęli z głowami na ławach, jego umysł był już

jasny i czysty. Wiedział, że musi zabić Olava. Nie pokonać jego armię, lecz zabić króla.

I nie może tego zrobić skrycie. To nie cichy, nieuchwytny zabójca ma pozbawić życia norweskiego króla, ale on, król duński, musi to uczynić na oczach wszystkich. Nie w zdradliwych norweskich zatokach. Na własnych wodach.

— Zatem to on musi najechać mnie, nie ja jego — powiedział Sven, odgarniając nad ranem puste kielichy ze stołu. Trzeba wywabić Olava z fiordów.

Joruna zbudził hałas upadającego na podłogę dzbana.

— …musi najechać? — powtórzył, budząc się, Jorun. — A pretekst?

— Idę go poszukać — powiedział Sven i wyszedł na przystań.

ŚWIĘTOSŁAWA urodziła latem.

— Córka! — zawyła z zachwytu Heidi Kózka. — Mamy córkę!

Córka gniewu — pomyślała o niej Świętosława. — Moja pierwsza córka.

— Potrzeba nam ich wielu, moja pani. — Sven pocałował jej czoło, gdy przyszedł okazać radość z narodzin.

— A co? — spytała go zaczepnie. — Planujesz sojusze? Dziwne, bo miałam nadzieję, że myślisz o zemście.

— Wydobrzej, moja królowo, po trudzie narodzin, pomówimy, gdy do nas wrócisz. — Znów pochylił się nad nią. Poczuła odór trawionego wina. Zrobiło jej się niedobrze i odepchnęła go.

— Nigdzie nie wychodziłam, więc nie muszę wracać — odrzekła zaczepnie. — Za to ty, jak czuję, piłeś. W kielichu nie znajdziesz odpowiedzi, a jeśli szukasz drogi do Nidaros, zapytaj żeglarzy! Czas najwyższy, byś posłał po swoją siostrę i zabrał ją do Roskilde.

— A jeśli Tyra już urodziła Olavowi syna? — spytał i uśmiechnął się.

— To znak, że się spóźniłeś, mój panie! — fuknęła na niego.

Rzadko wchodził do jej prywatnych komnat. Teraz rozglądał się ciekawie. Drażniło ją to. Miała ochotę poszczuć na niego rysie. Dziewczynka w jej ramionach zakręciła się.

— Jak jej damy na imię? — spytała męża.

— Może Gunhild? — Przekrzywił głowę i uśmiechnął się bezczelnie.

— Jeszcze ci mało? Daj spokój. — Warknęła.

Przestał się uśmiechać i powiedział:

— Astryda. Księżniczka Astryda.

— Astryda? — powtórzyła za Svenem w zamyśleniu. — Dziecko poczęte w gniewie ma nosić imię mej siostry, tej, która nigdy się nie złości?

Dziewczynka otworzyła zapuchnięte oczy.

— Astryda. Dobre imię.

— Pani musi odpocząć i przebrać się — stanowczo powiedziała Melkorka, której obecność Svena też najwyraźniej ciążyła.

— Nadałeś imię. Idź już.

Rudowłosy skierował się ku wyjściu, ale zawrócił. Przykucnął i grzebał w szparze podłogi. Wstał, unosząc coś w palcach.

— Pióro sokoła — powiedział w zamyśleniu i spojrzał na Świętosławę.

— Oskubałam je — odpowiedziała, wzruszając ramionami. — I odesłałam.

Najstraszniejsza rzecz, jaką zrobiła. Jeszcze czuła ból na opuszkach palców. Powodowała nią wściekłość, urażona duma i miłość, którą chciała zabić. „Jeśli zechcesz się spotkać, wyślij sokoła”. Przed laty, gdy wysłała jednego, nadpłynął ze swą flotą Sven. Czy go wzywała? Nie. Czy go pragnęła? Nie. Czy miała wybór? Nie. A Olav nie musiał poślubiać Tyry. Zrobił to i zasłużył na jej gniew. Odesłała mu żywcem oskubane sokoły.

— Dokąd? — zapytał Sven.

— Donikąd — odpowiedziała. — Idź, jestem zmęczona, dałam ci córkę.

— I pretekst — powiedział Sven, wychodząc.

Pretekst? — pomyślała przez chwilę, ale Astryda rozpłakała się i trzeba było ją utulić. Jakie to dziwne — zastanawiała się, patrząc na córkę — że noworodki, choć podobne do siebie, można odróżnić. Dziewczynki z ich drobnymi ciałkami są zupełnie inne niż chłopcy.

Dusza przysiadła z boku łoża i zrobiła to, co przy każdym z dzieci. Obejrzała główkę. Uniosła jasne oczy na Świętosławę i ta już wiedziała, że coś jest nie tak. Astryda nie miała znamienia na potylicy. Świętosława przycisnęła dziewczynkę mocniej do piersi.

— No i co z tego — powiedziała zaczepnie. — I tak jest moja.

A jednak po trzech dniach straciła pokarm i Heidi przyjęła do piersi małą. Knuta nie karmiła już od jakiegoś czasu, więc z radością odstawiła syna złotnika i wzięła w ramiona Astrydę.

— Moja pierwsza królewska córka! — powiedziała z dumą Kózka.

Świętosława po utracie pokarmu była słaba, nie wstawała z łóżka, nie mogła pójść na żadną z hucznych uczt, które wydawał jej pan mąż. Kazała sobie przyprowadzać Arnorę, by nie zwariować z duszącej ją wrogiej samotności.

— Opowiedz mi coś, a Dusza będzie ci lała wino — powitała plemienną królową.

— A może Dusza nam coś opowie, a ja będę piła wino? — zaśmiała się Arnora.

— Nie kpij! — upomniała ją Świętosława. — Urodziłam córkę.

— Wiem, wiem. Twoi topornicy narobili hałasu. „Księżniczka! Księżniczka!” — wrzeszczeli. Swoją drogą, jak odebrałaś ich Svenowi, hę?

— Nie chodzisz do kościoła, nic nie wiesz. — Świętosława machnęła ręką. — Dałam im dobry przykład, modliłam się z nimi, tak to ujmijmy.

— Nic nie mam do Kościoła, królowo — odrzekła Arnora. — Ale nie cierpię tych przebierańców. Twój Ion doprowadza mnie do pasji, dziwię się, że trzymasz przy sobie takie tchórzliwe dziwadło. Wiesz chyba, że najgroźniejsi są tchórze?

— Wiem, Arnoro. Tchórz jest nieprzewidywalny. Ale Ion jest niegroźnym tchórzem, zapewniam cię. To kiepski mnich, niezgorszy żarłok, a pewnie i nienasycony kochanek, jednak był ze mną w najkrwawszych chwilach i mam do niego serce. Uratował życie mego najstarszego syna, Olofa. Daj mu spokój.

— Jak uważasz, królowo. Wiesz, kto kazał obciąć głowy memu mężowi i synom?

— Duszko, nalej Arnorze — poprosiła, bo pomyślała, że na taką opowieść kielich plemiennej królowej nie może być pusty.

— Przebieraniec Odinkarr — oskarżycielsko powiedziała Arnora, gdy upiła łyk wina.

— Biskup Ribe? — Świętosława sądziła, że to Sven kazał zamordować jej bliskich w zemście za ich dawne pretensje do tronu.

— Tak. Chciał się przypodobać rudemu królowi — bez cienia emocji powiedziała Arnora. — Sam miał ręce splamione zdradą, a wiarołomca zawsze wskaże innego zdrajcę. Przyjechali do Lejre nocą, jak wilki. Otoczyli nasz dwór, wywlekli z łóżek. Odinkarr stał na podwórcu i gdy jego zbrojni chcieli nas zabić, powiedział: „Starucha zawiezie głowy swego miotu”. Więc odłączyli mnie od męża i synów, a ich wzięli pod topór.

— Upiorne — wyszeptała Świętosława.

— Upiorne, moja młoda królowo, to było, gdy jechałam wozem, trzymając na kolanach ich głowy. Rozwarte w śmiertelnym przerażeniu oczy, galaretę tężejącej krwi…

Duszka upuściła trzymany przez siebie dzban.

— No i wino się rozlało, co, Dusza? — zachichotała Arnora. — Odkąd sięgam pamięcią, w mym rodzinnym domu opowiadano o dawnych dziejach. Nim wyszłam za mąż, znałam wszystkie ponure historie mężczyzn i kobiet, setki lat pokrewieństwa cierpień, dziesiątki rzek przelanej krwi. Nie, nie miałam złudzeń, młoda królowo, że mój los będzie jaśniejszy niż tych dziewcząt przede mną. Znasz straszne losy Gudrun?

— Pieśń o Gudrun i Sigurdzie, który zabił smoka i posiadł jego skarb? Znam.

Arnora wyprostowała plecy i wyciągnęła pomarszczoną szyję. Jej ostro zarysowany podbródek odmłodniał w jednej chwili.

— Niczym był jej ból za czasów Sigurda — powiedziała. — To, że poślubił ją, choć kochał inną? Zdarza się. To nie było cierpienie, to był zwykły ból. Cierpienie Gudrun zaczęło się, gdy zmuszono ją, by poślubiła wodza imieniem Atli.

— Jezu — jęknęła Świętosława i otrząsnęła się z gorzkim śmiechem. — Mówisz tak, że mam dreszcze na całym ciele. Gdybym nie straciła pokarmu parę dni temu, na pewno od samego brzmienia twych słów mleko by wyschło w moich piersiach.

— Jeśli chcesz posłuchać o kobiecie, która dotknęła śmierci pod każdą postacią, to słuchaj…

Arnora mówiła dalej, a Świętosława pogrążyła się we własnych myślach. To nie było cierpienie? — powtórzyła za starą. — To był zwykły ból? Poślubił jedną, choć kochał drugą. Dlaczego do tej pory nie dopuściła do siebie myśli, że wybór Olava miał być ciosem zadanym Svenowi? Zemstą za to, że Sven wziął ją gwałtem i poślubił. Odkąd jarl Sigvald przywiózł wiadomość o małżeństwie Olava i Tyry, myślała wyłącznie o sobie, o tym, że Olav ją zdradził. A przecież żadne z nich wcześniej nie decydowało za siebie. Nie mogli podejmować decyzji, kierując się własnymi uczuciami.

Czy na pewno? Czy ten jeden raz, w Sigtunie, zanim nadpłynął Sven, nie mogła zrobić inaczej? Uniosła się dumą i gniewem. Odmówiła mu wtedy i odmówiła mu teraz — prawa do takiego samego gniewu. Poczuła na palcach odcisk każdego z wyrwanych sokołom piór i zimny pot wystąpił jej na czoło. Postąpiła źle. Hardo i źle.

Muszę zrobić rachunek sumienia — pomyślała gorączkowo. — Tego czarnego sumienia, którym zawładnęły duma i gniew.

— …Gudrun wiedziała, że braci czeka na jej dworze śmierć z ręki jej męża. Chciała ich przestrzec, wysłała im pierścień owinięty wilczym włosem. Wiadomość, że jeśli przyjmą zaproszenie, czeka ich wilcza droga…

— Arnoro! — przerwała jej opowieść. — Wybacz, ale coś mi się przypomniało. Pamiętasz, jak nazwałaś mnie, gdy rozmawiałyśmy pierwszy raz?

— Ot, młodość! Zawsze myśli, że to, co dzisiaj, jest mniej ważne od tego, co było przed laty. A czas jest jak wąż, który gryzie swój ogon…

— Arnoro — poprosiła. — Powiedz, dlaczego nazwałaś mnie Cierniową Królową?

Stara popatrzyła na nią jasnymi oczami, które nic nie straciły z młodzieńczego blasku, jakby czas odcisnął się na wszystkim prócz nich. Na skórze, która się pomarszczyła, siwych włosach, przygarbionych plecach, ciemnych plamach na dłoni. W jej wzroku było wyzwanie, lecz ani śladu współczucia.

— Bo z bliska widzę dobrze! — odpowiedziała Arnora i po chwili dodała dźwięcznie: — Kobiety władców dzielą się na żony i nałożnice. Żony zaś mogą być rodzicielkami dzieci lub królowymi. Jedne i drugie ozdobią swe czoła i piersi klejnotami. Lecz królowe zawsze noszą w sercu ciernie.

— Rozumiem — odpowiedziała Świętosława cicho. — Dziękuję za twe opowieści, Dusza pomoże ci wrócić do samotni.

Gdy Arnora i Dusza wyszły, nie wahała się ani chwili dłużej. Kazała przywołać Iona, a gdy przyszedł, poprosiła wszystkie służki o opuszczenie alkowy.

— Niech nikt mi nie przeszkadza. Rysie popilnują drzwi.

Zostali sami.

— Pani? — spytał Ion. — Co się stało?

— To, co powinno nastąpić już dawno. Mój mnichu, potrzebuję spowiedzi.

— Ja… — Ion rozłożył pulchne ręce. — No, wiesz przecież… Może zawołam Wulfrica?

— Nie — zabroniła. — Wulfric jest człowiekiem Svena. Wiem, że nie masz mocy udzielania sakramentu pokuty, ale ja potrzebuję, byś wysłuchał mej spowiedzi. Rozgrzeszyć mnie może jedynie Bóg.

OLAV po zdarzeniu z Bjarnim wrócił do Nidaros na zimę. Jego królowa wydała mu się piękniejsza, niż ją zostawił.

— Jesteś brzemienna, pani? — spytał ze czcią, dotykając jej warkocza.

— Nie, królu. — Zarumieniła się. — Powiadają, że do tego trzeba dwojga.

— Oto jestem!

— I dobrze, bo kiedy cię nie było, odwiedzili nas ludzie z Roskilde. Przywieźli odgłos gniewu Svena.

Olav się roześmiał. Niemal widział, jak drugi wódz kipi i czerwienieje z wściekłości. Tyra spojrzała na niego zdumiona.

— To cię bawi, mój mężu? Opowiadali, że Sven i jego królowa poprzysięgli nam zemstę.

— Chcesz powiedzieć, że się tego nie spodziewałaś, pani? — odrzekł zimno.

Nie bał się gniewu Svena. Uderzyła go wściekłość Świętosławy.

— Coś jeszcze mówili?

— Przywieźli dla ciebie dwa martwe ptaki, ale kazałam je wyrzucić. Psuły się.

— Jakie to były ptaki? — spytał.

W tej samej chwili postawiono przed nimi wieczerzę i Tyra, spojrzawszy na niego, wymownie wzruszyła ramionami.

— Proszę, nie rozmawiajmy o takich rzeczach przy posiłku.

— Jak sobie życzysz, pani.

Nie wrócił do tej sprawy. Przecież wiedział, że to musiały być sokoły. Zajął się tym, czym powinien zajmować się król, który wrócił z wyprawy. Rozsądzał spory, przyjmował pod swą opiekę chłopów i żeglarzy, których przyciągnęła sława władcy. Rozdawał białe, chrzcielne szaty. Domowe ognisko nie grzało go, w każdym razie nie na tyle, by odciągnąć jego uwagę od innych spraw. Ujarzmił Norwegię, pokonując Torego Jelenia, przyłączył Lofoty, ale teraz jego umysłem zawładnęła Islandia. Krzyż postawiony na Lodowej Wyspie byłby ukoronowaniem dzieła! Ale Islandia musiała poczekać. Najpierw trzeba było zdobyć Orkady.

Popłynął tam wiosną, by szerzyć wiarę i władzę. Spotkanie z mieszkańcami wysp zaczął ponuro, od buntu ich przywódcy, Sigurda zwanego Wnukiem Rąbiczaszki.

— Jestem zmęczony — powiedział do Varina. — Tymi ludźmi i ich paskudnymi przydomkami. Przy Rąbiczaszce Tore Jeleń wydaje się finezyjny. Jak o nas powiedzą, gdy pomrzemy?

— O mnie Varin Malowane Kły. Chyba że mi wypadną i skończę jako bezzębny starzec. A o tobie? Kiedyś mówili Srebrny Ole, ale to było w

czasach, gdy największą sławę przynosił ci danegeld zdobyty na Ethelredzie.

— Jak o mnie mówią za plecami?

— Bestia z Krzyżem. — Varin splunął do wody. — Nie najgorzej.

— Nie najgorzej, druhu — potwierdził Olav. — Chodź, ochrzcijmy Wnuka Rąbiczaszki.

Ochrzcili, ale najpierw Olav musiał postraszyć, że zabije jego syna, którego przezywali Szczenięciem.

— Okaże się, że trafnie nadałeś chłopcu imię — zagroził ojcu. — Bo nie dożyje lat męskich.

Wystarczyło. Wyrzekli się Złego, biskup ich wyspowiadał, ochrzcił, a Olav pobłogosławił.

— Orkady są twoje! — Sigurd go uściskał. — Ale ty wyglądasz na znużonego, królu.

— Popłyńmy znów na Lofoty. Chcę zobaczyć zorzę — odpowiedział Olav.

Hårek, któremu przed wyjazdem Tryggvason powierzył władzę nad Hålogalandem, mieszkał w wielkim dworze Borg, który zdobyli na Torem Jeleniu.

— Wiedziałem, że mój król powróci! — Otworzył szeroko ramiona, widząc ich u swych wrót. — Domostwo należy do ciebie, królu. Jestem twym sługą, podczaszym i przewodnikiem po krainie zórz polarnych. Nie każ mi tylko śpiewać.

— Widzisz, Håreku? Omold jest ze mną, całą drogę układał rymy do „zorza”.

— „Zorza — morza” rymują nasi lofoccy skaldowie — podpowiedział Hårek.

— Tak to byle wierszokleta potrafi — fuknął Omold.

— Ach, królu! Gdzież ma głowa. Gość na ciebie czeka!

— Bjarni? — z nadzieją spytał Olav.

— Nie. A spodziewałeś się go? — Hårek zmrużył oczy. — Jeśli tak, to Syn Niedźwiedzia cię rozczarował. Zamiast poganina czeka na ciebie duchowny, ojciec Thangbrand. Przypłynął z Islandii.

Olav posłał Thangbranda na Islandię przed dwoma laty. Interesowało go wszystko, co opowiadano o Lodowej Wyspie; czuł, że ochrzczenie jej będzie tym, co przesądzi o jego tryumfie.

— Przed wielu laty ci, którym nie podobały się mocne rządy mego pradziada, Haralda Pięknowłosego, uciekli z Norwegii na Islandię — powtarzał. — Gdy przyjmą Słowo Boże z mych ust i chrzest z mej ręki, to tak, jakbym ich przywrócił ojczyźnie.

Thangbrand nie wyglądał dobrze. Schudł, zszarzał na twarzy.

— Królu! — zawołał, gdy Olav wszedł do olbrzymiej halli. — Mój panie!

— Jakie masz dla mnie wieści, przyjacielu? — powitał go Tryggvason.

— Nie najlepsze — skrzywił się Thangbrand. — Islandczycy to uparte, diabelskie natury.

— Może nie włożyłeś dość serca, by ich pozyskać? — zapytał Sigurd.

— Ochrzciłem kilku, zaraz jak przypłynąłem. Sami się zgłosili. Gizur Biały, Hall, Hjati to ich imiona. Dobrzy ludzie. Ale gdy zachęcony powodzeniem ruszyłem w głąb wyspy, czekały mnie same smutki. Alting, wielki wiec Islandczyków, przegnał mnie.

— Czegoś nie rozumiem — drążył Olav. — Ci trzej zgłosili się do ciebie z własnej woli. Czy to ma znaczyć, że sam nikogo nie pozyskałeś dla wiary?

— Tak — ponuro przyznał duchowny. — Dobrze zrozumiałeś, panie. Islandia stracona.

— Mylisz się, Thangbrandzie — zaprzeczył Olav. — Ty jesteś stracony dla Islandii, nie ona dla Boga. Napij się, coś wymyślę. No, bez obaw, nie każę ci odpływać w środku zimy!

— Nie sprawdził się. Popełniłem błąd, wysyłając go do kraju, na którym tak bardzo mi zależy — wyznał Olav biskupowi, gdy duchowny odszedł.

— Tak — potwierdził Sigurd. — Ale czyż nie przypłynęliśmy tu cieszyć się widowiskiem bożym? Czy musimy wiecznie roztrząsać swe winy? Napijmy się, panie, nie jako król i biskup. Napijmy się jako przyjaciele, którzy są w długiej i męczącej podróży.

Pili, aż w którymś momencie niekończącej się nocy do halli wszedł Hårek i powiedział:

— Ubierzcie najcieplejsze z futer. Zaczęło się.

Stali na lodowym pustkowiu, niczym na krańcu zasypanego śniegiem świata, a niebo nad nimi pulsowało nieziemskim światłem.

— Finowie mówią, że każdego zmarłego można przywołać przez zorzę. Wystarczy zagwizdać i ten, którego wzywamy, przyjdzie do nas z zaświatów — powiedział Hårek, patrząc w niebo. — Ale to takie tam… fińskie gadki… wiadomo, poganie. — Trwożliwie zerknął na biskupa.

Ten go nie słuchał. Rozłożył szeroko ramiona i kręcił się w kółko, szepcząc:

— Archaniołowie Pańscy zstępują na ziemię. — Padł na kolana.

— A mnie matka mówiła, że to jedyna poza dniem śmierci chwila, gdy można zobaczyć na własne oczy walkirie. To chyba one… — wyszeptał Omold. — Jezu… ależ one piękne… Chcę umrzeć…

Vigi biegał w kółko, jakby chciał zbadać, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy zorza. Nie dogonił jej i nie odkrył świetlistego początku. Usiadł, otworzył i uniósł pysk, jakby chciał zawyć, ale nie wydobył z siebie głosu, tylko obłok pary. Biały pies na białym śniegu.

Olav chłonął zieloną łunę, która zdawała się zataczać kręgi wokół nich. Miał wrażenie, że słyszy śpiew zorzy. Tak, widział swych ludzi, z których każdy patrzył na zjawisko, jakie wzięło ich w posiadanie, ale ich nie słyszał. Był sam. On i zorza, mroźny oddech Boga. Rozmawiał z Wszechmogącym bez słów, wielbiąc Go w naturze. Jeśli to wstęp do życia wiecznego? — pomyślał i odpowiedział: — Jestem gotów, Panie, zabierz mnie.

W tej samej chwili, w której przeszło mu to przez myśl, usłyszał wysoki, świdrujący ucho świst, który zamienił się w dobrze mu znany głos. Świętosława? Tak, ona! Wzywała go śpiewnie przez morza. Cicho — pomyślał do niej — nic nie mów. Chcę z tobą oglądać zorzę.

Hårek pozbierał ich i zgarnął do dworu, do buzującego w długim palenisku ognia.

— Pozamarzacie! — śmiał się. — Zorza będzie przez całą zimę, wystarczy. No, skaldzie, czekam na wiersz! Gdzie twe rymy?

Omold miał czerwoną od mrozu twarz i sople na brodzie. Oczy nieprzytomne.

— Czego chcesz? O co ci chodzi? — Patrzył błędnym wzrokiem na Hårekа.

— Ry-my! Miałeś ułożyć poemat o zorzy.

— Nic z tego — zaciął się skald. — Byłem głupcem, jeśli mi się zdawało, że to, co widziałem, można zamknąć w słowach. Będę pić, nie będę rymować.

— Zorza rzecz boża. — Biskup Sigurd z rozanieloną twarzą pokiwał głową. — Rzecz boża.

Varin szeptał coś bełkotliwie, raz po raz konwulsyjnie przecierając oczy. Wreszcie sapnął, wyrwał Hårekowi róg z miodem, wypił i jęknął:

— Był chrzest z wody i był z ognia. Daliśmy się ochrzcić zorzy.

Olav milczał.

Wiosną popłynęli do Nidaros.

Królowa Tyra wyszła im naprzeciw z naręczem kwiatów. Biskup Sigurd mrugnął do Olava i szepnął:

— Myślałem, że królowa Tyra przywita nas z twym synem na ręku. Ale dzieci można zrobić w każdej chwili, a kto wie, kiedy znów popłyniemy oglądać zorzę?

— Masz rację, przyjacielu — równie cicho odpowiedział Olav. — Mam nadzieję, że gdy znów ją ujrzymy, poczuję to co za pierwszym razem.

— Jak byś to nazwał? — spytał biskup z ciekawością.

Olav pokręcił głową.

— Nie jestem lepszy niż Omold, słów mi brakuje. Nie wiem, czy widziałem naturę Boga, czy Boga w naturze.

— Prawda, druhu — szepnął Varin, przysuwając się do nich. — Ale teraz się przygotuj, bo idzie ku tobie królowa zazdrosna o zorzę.

ŚWIĘTOSŁAWA i Sven świętowali Zmartwychwstanie Pańskie wraz z trójką swych dzieci. Trzyletni Harald szedł przy boku ojca, dwuletni Knut przy matce, trzymając się obroży rysiów. Astrydę trzymał na ręku Sven.

Żmijowaty Thorgils z Jelling wraz ze swym synem Ulfem stał w głównym szeregu pod kościołem i jako pierwszy krzyknął:

— Niech żyje królewska rodzina!

— Zapraszam wszystkich na ucztę! — zawołał Sven. — Chrystus zmartwychwstał. Weselmy się i radujmy!

Od pewnego czasu Świętosława go nie poznawała. Sven zachowywał się inaczej niż zwykle, nie nastawał na nią, nie narzucał się. Czyżby naprawdę zapragnął sprostać jej wymaganiom i stać się „chrześcijańskim królem”?

Z okazji świąt odwiedzili ich Gyda i Erik. Córka Svena wciąż wyglądała jak dziewczynka, ale jarl Erik, nawet jeśli mu to przeszkadzało, w niczym nie okazywał żonie niechęci. Przeciwnie, obdarzał ją wyrazami szacunku.

— Jaka z nich udana para. — Melkorka otarła łzę, biorąc od Świętosławy dzieci, gdy świąteczna uczta znużyła malców.

— Owszem — powiedziała Świętosława, wiedząc, iż w istocie Erik wziął ślub ze Svenem, nie z Gydą. Tylko potężny teść mógł mu zapewnić powrót do władzy. Wiadomo czyim kosztem.

Odkąd otworzyła przed Ionem serce, uleciała z niej wściekłość. Nie miała pojęcia, czy Bóg jej wybaczy, ale doznała kojącej mocy spowiedzi. Dlatego ostatnie miesiące, czas od narodzin Astrydy, gdy Sven się uspokoił, zamilkł, odsunął i tym samym przestał natrętnie mówić o zemście, były dla niej czasem uśmierzenia bólu.

— Nasza pani pięknieje z każdym dzieckiem. — Hakon z Fionii uśmiechał się do niej tak szeroko, że szrama pod jego okiem zdawała się wydłużać.

— Król Sven jest szczęściarzem! — zawołał siwy Gunar z Limfiordu. — Dwóch synów i córka!

— Dla równowagi przydałaby się druga! — dołożył swoje mądrości pulchny Uddorm z Viborga.

— A może i trzecia! — dodał Ragn z Wysp.

Tylko Thorgils z Jelling oszczędził jej tych pustych słów. Znała go, był na to o wiele za sprytny. Dyskretnie obserwowała jarla z Jelling. A on spod zmrużonych powiek zdawał się przyglądać głównie Erikowi. Nie odzywała się. Piła miód i patrzyła na graczy.

— Czas zebrać chętnych na kolejną angielską wyprawę — odezwał się jarl Stenkil z Hobro. — Wyrażasz zgodę, królu?

Sven nigdy nie zaniedbał Anglii. Pilnował, by i Anglicy o nim nie zapominali, choć nie wyprawiał się tam osobiście. Przez ostatnie lata wprowadził przechodnie dowództwo, wyznaczając rokrocznie jednego ze swych jarlów do poprowadzenia wyprawy. Dzięki temu pozwalał swym wodzom i ludziom bogacić się, a sam dostawał należną królowi część łupów i jednocześnie nie wyróżniał żadnego z nich, utrzymując między swymi możnymi stan równowagi.

— Być może — tajemniczo odpowiedział Sven i upił łyk wina. — Być może w tym roku będę miał inne plany.

Świętosława dostrzegła zwężające się oczy Thorgilsa i poruszenie jarla Erika.

— Ale przypada moja kolej! — Czerwona twarz Stenkila zdradzała, że „inne plany” są nie po jego myśli.

— Jakie? — ciekawie spytał Ragn z Wysp, który zarobił, płynąc w ubiegłym roku.

— Królewskie! — zaśmiał się Sven.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a gdy po chwili Sven położył dłoń na jej dłoni, skamieniała.

— Moja królowa — to mówiąc, uniósł jej rękę i pocałował, by wszyscy widzieli — oczekuje od swego króla aktu zemsty. Dawno obiecałem mej pani sprawiedliwość i jedynie przyjście na świat naszej słodkiej Astrydy odwlekało tę sprawę, o której wiemy, że nie cierpi zwłoki.

— Mój król — odpowiedziała, uśmiechając się dumnie — przecenia mą mściwość. Powinnością władczyń jest miłosierdzie. Jeśli więc mamy wspominać tę dawną sprawę, przyjmij, panie, iż odpuściłam winowajcom.

Wstał i nie przestając się uśmiechać, podszedł ku niej. Znała ten uśmiech. Nie miał nic wspólnego z radością. Z boku krzesła spał Wrzask;

Sven ominął rysia i stanął za oparciem tronu, kładąc jej dłonie na ramionach i zbliżając do niej głowę. Poczuła jego oddech we włosach.

— A cóż takiego się stało, że moja pani zmieniła zdanie? Czyż nie tu, w tej halli, nasza harda królowa krzyczała: „Jak on śmiał! Obraził cię, mężu. Upokorzył, biorąc bez twej zgody twoją siostrę”?

Prawą rękę zaciskał na jej ramieniu, lewą zaczął gładzić jej włosy.

— Żono — szepnął jej wprost do ucha — czy już nie pamiętasz, jak powiedziałaś do mnie: „Nie planuj sojuszy, lecz zemstę”?

Czuła się jak za mocno napięta cięciwa. Nie mogła być sobą, nie mogła odpowiedzieć na jego zaczepki. Z całych sił starała się, by jej śmiech zabrzmiał prawdziwie.

— Nie przeczę, że się zdenerwowałam, gdy Sigvald przywiózł wiadomość o małżeństwie twej siostry, ale gniew wietrzeje z czasem. Urodziłam Astrydę, nasi synowie rosną zdrowo, jestem szczęśliwa, mężu! Nie chcę innym odbierać prawa do…

— Do miłości? — wszedł jej w słowo.

— I do szczęścia — dodała.

Goście wpatrywali się w nich. Widziała czujność Wielkiego Ulfa, zmrużone powieki Thorgilsa, nerwowo wiercącego się Iona. Jarl Erik pochylił się ku Gydzie i coś jej szepnął na ucho. Dziewczyna potrząsnęła głową zaskoczona.

Sven wyprostował się nagle i przestał gładzić jej włosy, obie dłonie kładąc na ramionach Świętosławy.

— Może więc zamiast Hardą Panią powinniśmy zacząć cię zwać Dobrą Panią, co?

— Jak sobie życzysz. Wszyscy wiedzą, że lubisz nadawać mi imiona.

— O tak. A ty nie lubisz ich przyjmować! — Znów się roześmiał. — Z sobie tylko znanych przyczyn!

W co gra Sven? — myślała gorączkowo.

Wrzask warknął ostrzegawczo. I bez tego wiedziała, że poza słowami dzieje się więcej, niż wypowiada jej mąż.

— Za późno! — melodyjnie zawołał Sven. — Za późno na zmianę. Nawet jeśli Harda zmieniła się w Dobrą, już na to za późno.

Chryste, ratuj! — jęknęła w duszy, choć twarz, na którą patrzyli zebrani, została nieporuszona.

— Zaplanowałem najazd na Norwegię, myśląc, iż ucieszę tym swą królową. Trudno! — Zacisnął palce na jej ramionach z całych sił.

Wrzask się podniósł, odsłaniając kły. Zgrzyt błyskawicznie wstał z drugiej strony jej siedziska. Sven znał grę rysiów. Pocałował Świętosławę w policzek i puścił, siadając na swym miejscu. Koty popatrzyły za nim i położyły się leniwie.

Szkoda, że nie skoczyły mu do gardła — przebiegło mściwie przez jej głowę.

— Najedziemy Olava Tryggvasona, nawet jeśli moja pani straciła serce… do zemsty! — powiedział twardo. — Ja jestem bardziej stały w uczuciach. Norwegia była nam poddana w czasach mego ojca, w czasach przed buntem jarla Hakona. Dzisiaj naszym drogim sprzymierzeńcem jest jego syn, Erik, i jak mniemam, drugi z synów, mój imiennik, jarl Sven.

— Potwierdzam to, królu — odpowiedział dawny dziedzic Lade.

Dlatego ściągnął go na święta — pomyślała. — Chce rękoma Erika pokonać Olava. Pewnie młody jarl ma wielu przyjaciół w Norwegii. Takich, co w ostatniej chwili zdradzą króla. „Wiarołomca zawsze wskaże innego zdrajcę” — mówiła Arnora.

— Czy zaciąg ludzi w Szwecji idzie zgodnie z planem? — spytał Sven.

— W Szwecji?! — nie wytrzymała. — Jak śmiesz robić cokolwiek w Szwecji bez mojej zgody? To moje królestwo!

— Było twoje — odpowiedział. — A teraz należy do twego syna. Czyż nie wymogłaś w naszej umowie ślubnej, by to Olofa nazwano Królem Szwedów?

Wredna gra — przebiegło jej przez myśl.

— Owszem. Olof Król Szwedów, mój pierworodny syn, jest jedynym władcą. Dlaczego więc przeprowadzasz zaciąg ludzi na jego ziemi?

— Bo drogi pasierb jest mym sprzymierzeńcem, pani! — Uśmiechnął się zimno. — Niesłusznie mnie oskarżasz, nie chciałbym podkopywać władzy Olofa. Jarl Erik w moim imieniu rozmawiał z młodym królem. Eriku?

— Tak było, królowo. Przywożę ci najszczersze wyrazy miłości od twego syna. Prosił, bym pozdrowił także jego przyrodnie rodzeństwo. Mówił, iż raduje się z przyjścia na świat siostry.

— Olof zgodził się na udział swych wojsk w wyprawie… — musiała przepchnąć to słowo przez gardło — …przeciw królowi Olavowi?

— Powiem więcej, pani. Uznał to za swój obowiązek i zaszczyt. Młody król, podobnie jak ty, królowo, wysoko stawia swój honor. Powiedział, iż nie zapomniał Tryggvasonowi obelgi, jaką ten rzucił w gniewie na ciebie.

To było niespodziewane. Policzki Świętosławy zapłonęły. Nie mogła nic z tym zrobić.

— Ach, dawne dzieje! — roześmiała się sztywno.

— Twój syn i twój mąż pamiętają! — dobitnie powiedział Sven.

Sięgnęła po kielich. Olof, synku — pomyślała — w coś ty się wpakował! Gdzie był Wilkomir?

— Zatem — ciągnął zadowolony król — posiłki szwedzkie mamy zapewnione. Do tego nasze siły, w tym roku wolne od najazdu na Anglię, i twoje wojsko, zięciu.

— Nie jest liczne, panie, ale wiesz, jak bitne — powiedział Erik.

— Twoja rola nie w tym, ilu ludzi wprowadzisz do bitwy, zięciu, lecz w tym, ilu z niej wyprowadzisz.

— Nie rozumiem, królu. — Na twarzy Erika pojawiło się zakłopotanie.

Jesteś zbyt prostolinijny, chłopcze, by grać z Rudobrodym — pomyślała z przerażeniem. — Ty myślisz o wojnie, uczciwym pojedynku, a on ci każe zwerbować poddanych Olava, by nie ruszyli przy swym królu do walki.

Nie myliła się. Gdy Sven oznajmił to Erikowi, dziedzic Lade poczerwieniał. Uczepiła się tego, myśląc, iż w tym chłopaku nadzieja. Może nie pójdzie na układ proponowany mu przez Svena?

— Nie wiem, królu, czy to możliwe. Musiałbym w sekrecie ruszyć do kraju i pomówić z ludźmi — odpowiedział zmieszany Erik.

— Zdążysz się z nami napić za powodzenie wyprawy? — zażartował wrednie Sven. — Oczywiście, słodka Gyda zostanie w Roskilde, pod opieką ojca i macochy. Królowa Sigrida będzie wdrażała ją w sekrety macierzyństwa. Bo spodziewacie się dziecka, jak mniemam?

— Jeszcze nie — szepnęła speszona Gyda. — Ale ja bardzo lubię dzieci, chętnie pomogę królowej przy małej Astrydzie…

— Pomagaj, pomagaj, moja słodziutka! — Sven bawił się w najlepsze. — Gdy twój pan mąż stanie na wysokości zadania, jakie mu postawiłem, jeszcze w tym roku zostanie namiestnikiem Norwegii i wróci na rodowe ziemie wokół Lade. Dziedzic bardzo by go ucieszył, prawda, Eriku?

Młody jarl skinął głową nie mniej speszony od Gydy.

Sven wstał i rozłożywszy szeroko ramiona, zawołał:

— Zatem, moi wodzowie, moi panowie i goście… Weselmy się i radujmy, bo oto wasz król zmartwychwstał!

Poszła do jego alkowy nocą.

— Sven? Śpisz, mój królu? — spytała, wchodząc.

— Nie — odpowiedział z mroku. — Czekam na ciebie.

Ciemność była jej sprzymierzeńcem. Byleby jej nie widział.

— Wiedziałeś, że przyjdę — zamruczała czule.

— Wiedziałem — odparł.

— Jesteś gotów? — Wsunęła się pod miękki błam i przylgnęła do niego.

— Na co? — spytał trzeźwo i chłodno.

— Na miłość. — Pogładziła jego pierś.

— Odkąd pojąłem cię za żonę, jestem gotów na miłość.

Przywarła do niego całym ciałem. Nawet jeżeli jego oręż nie był gotów, gdy wchodziła do łoża, to teraz już tak, choć Sven nie wykonał ruchu, by ją do siebie przygarnąć. Po prostu leżał. Wślizgnęła się na niego.

— Twój miecz w mojej pochwie! — jęknęła.

Nie poruszył się, ale poruszała się ona.

— Chcesz mnie zawojować, żono? — spytał zupełnie trzeźwo.

— Tak — szepnęła, łapiąc go za brodę.

Szarpnęła lekko. Uchylił się, choć zwykle to lubił. Jego ciało wciąż było nieporuszone. Panował nad sobą. To jej biodra poruszały się zręcznie.

— O co toczysz tę bitwę? — spytał i usłyszała wreszcie w jego głosie przyspieszony oddech.

— To nie bitwa — zaśmiała się gardłowo. — To miłość! Ach…

— A więc o wszystko — odpowiedział i nagle chwycił ją za biodra.

Złamał się! — pomyślała.

Zdjął ją z siebie i przewrócił na łoże. Rozłożył na plecach jedną ręką. I teraz wtargnął w nią jak zwykle. Na swoich warunkach. Brutalnie i ostro, bez zmiłowania. Tak jej mąż sprawiał sobie przyjemność. Tylko tak mógł osiągnąć rozkosz. Dała mu siebie jak niewolnicę, brankę wojenną, bo wiedziała, że to smak, który lubi. Dałaby mu siebie po wielekroć, gdyby wiedziała, że poddając się w łożu, nie dopuści do wojny.

Krzyknął krótko i stoczył się z niej. Leżeli obok siebie jak ranni po bitwie.

— Kto wygrał? — zapytała.

Nie odpowiedział.

— Przy kim zostanie zwycięstwo? — ponowiła pytanie szeptem.

W odpowiedzi usłyszała jego głośny oddech, a potem chrapanie. Bezsilna opadła na łoże. A niech to! Przyszła tu, pokonując wstręt i lęk, przyszła po wygraną, a on wziął, co chciał, i zasnął. Palce jej drżały, gdy wkładała suknię.

ASTRYDA wiedziała, że to zły pomysł, ale wyrzuty sumienia nie pozwalały jej odmówić siostrze. Wezwanie od Świętosławy do Roskilde nie było żądaniem królowej, było pulsującą emocjami prośbą siostry.

— Jak mam to zrobić? — spytała męża. — Sven widział mnie jako córkę Morcara Żaby, mógł zapamiętać twarz…

— Ja bym cię nie zapomniał — zamruczał Sigvald wprost do jej ucha.

— Przestań! — Odsunęła się od niego gwałtownie. — Pomóż mi! Tkwimy w tym oboje.

— Spotkajcie się w Skanii. Królowa Sigrida kazała jarlowi Gjotgarowi w imieniu króla sprawować nadzór nad budową kościoła w Lund. To dla niej dobry pretekst.

— Nie — odrzuciła ten pomysł Astryda. — Przekazała wyraźnie, że Sven jej pilnuje i dlatego musimy się spotkać w Roskilde.

Długie palce Sigvalda owinęły się wokół jej talii. Siedzieli w łóżku, bo tylko tu potrafili się ze sobą porozumieć.

— Kto z ludzi Svena widział cię przy statku Morcara?

— Jasnowłosy.

— Jorun. Był moim gościem w Jom wraz ze Svenem. — Sigvald gładził jej pępek.

— I topornicy z jego przybocznej gwardii.

— Niegroźni, to już gwardia królowej.

— Nikt więcej — przeszukała pamięć.

— Zatem możesz przygotowywać się do drogi, żono. — Położył głowę na jej udzie. — Zadbaj o to, by wziąć ze sobą olśniewające suknie, klejnoty i tak dalej. Ci, którzy cię widzieli, patrzyli na skromną córkę kupca. Teraz zobaczą bogatą i strojną wolińską panią. Wierz mi, oko ludzkie widzi to, co chce widzieć. Popłyniesz z Geivarem, bo nie powierzyłbym bezpieczeństwa żony nikomu innemu niż ten ponury typ.

— A Sven? Myślisz, że jego oko da się oszukać? — denerwowała się Astryda.

— Jeżeli wyruszysz jutro, powinniście się minąć. Zwiadowcy Geivara mówią, że król wybiera się na Fionię, by werbować ludzi na angielską wyprawę. Stamtąd ma przeskoczyć przez Mały Bełt i z takim samym przesłaniem spotkać się z bogatymi kupcami z Hedeby.

— Nie będzie go w domu? Jesteś pewien?

— Ja? Ludzie Geivara są pewni, ja jestem tylko posłańcem dobrych wiadomości, pani.

— Przestań! — Gra Sigvalda doprowadzała ją do szału. Jej mąż najwyraźniej czerpał jakąś niezdrową przyjemność z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Warknęła na niego. — Nie zapominaj, że Świętosława nic nie wie o naszym udziale w małżeństwie Olava i Tyry! I nie może się dowiedzieć!

— Byłbym ostatnim, który chciałby ją uświadomić. — Dłonie Sigvalda gładziły uda Astrydy. — Ach, gdybyś widziała wściekłość, z jaką odpowiedziała na wiadomość! — Zaśmiał się i pocałował Astrydę w wewnętrzną stronę uda.

— Starczy! — Zepchnęła jego głowę. — Mnie to nie bawi. Jestem zła, że dałam się wciągnąć w tę intrygę.

Ulżyło jej, gdy wypłynęli z Wolina. Sigvald zachowywał się jak ktoś zupełnie pozbawiony uczuć. Znała go. Za każdym razem, gdy powtarzał swą dewizę: „Jomswikingowie nie wtrącają się w sprawy królów", łgał. On uwielbiał sprawy królów. Bawił się nimi, jakby grał w hnefatafl.

Geivar był inny; lubiła jego milczenie. „Wódz zwiadowców nie odzywa się, bo wie, jak paskudnie wyglądają jego malowane kły" — mawiał po pijaku Sigvald. Za każdym razem, kiedy wypowiadał tę zbędną mądrość, chciała mu odpowiedzieć: „Pies bojowy nie musi szczekać". Ale i ona wolała o pewnych sprawach milczeć. Jej władza nad Sigvaldem polegała na subtelnym wyważeniu dyskrecji i nacisku.

— Gdy wpłyniemy do portu, poślę swych ludzi do dworu, by zawiadomili królową. — Geivar spokojnie wyjaśniał plan. — Sprawdzimy, czy Svena naprawdę nie ma w domu i czy Jorun mu towarzyszy. Ty, pani, będziesz miała czas, by przebrać się i przygotować na spotkanie z królową.

— Z siostrą — mimowolnie poprawiła go Astryda. — Wierz mi, wodzu, że po tym, co się wydarzyło, wolałabym spotkać się z Sigridą Storrådą, Hardą Panią, niż z siostrą.

— Rozumiem — odpowiedział jomswiking. I dodał po dłuższej chwili: — Pamiętam ich oboje w dzień, kiedy wsiadała na „Wyniosłą Olbrzymkę" i odpływała do Uppsali. Nie zazdroszczę ci, pani.

No i mnie pocieszył — skwitowała w myślach.

Drżały jej kolana, gdy wystrojona niczym księżna, w eskorcie ludzi Geivara występujących jako „załoga wolińskiej pani", wkraczała do dworu w Roskilde. Z całych sił usuwała z pamięci dzień, gdy była tu skrycie.

— Astrydo! — Świętosława na jej widok poderwała się z podwyższenia. Na ręku trzymała córkę, a u jej stóp bawili się z rysiami dwaj chłopcy.

— Królowo! — Pochyliła się w ukłonie.

— Siostro! — poprawiła ją Świętosława. — Chodź, czekaliśmy na ciebie!

Zeszła do niej i nie wypuszczając małej z ramion, uściskała ją.

— Poznaj dzieci! Ten rudy brzydal to Harald, pierworodny Svena. Jasnowłosy piękniś to Knut…

„Syn królowej” — słyszała to w dzień, gdy była ledwie kilkadziesiąt kroków od tej halli.

— …a słodka dziewczyna o wciąż niepewnej urodzie to Astryda! Cieszysz się, siostro? Oto masz imienniczkę, której nie wypuszczam z ramion. Koty znasz i one cię znają…

Kotów tamtego dnia bała się najbardziej. Że je spotka, zaczną skakać na nią, lizać po rękach i twarzy, aż ktoś ze służby się zorientuje.

— …Wrzask, nie skacz na Astrydę! Odgoń go, daj mu w ucho, nic ci nie zrobi! Wiesz, obawiam się, że niedługo zrobią się z nich stare, leniwe kocury… Ach, gdzie moja gościnność! Jesteś głodna, spragniona po podróży! Poznaj więc Vali! Tak, tak! Ta piękność jest mistrzynią kuchni, odkąd nasza droga Melkorka zgodziła się podjąć obowiązki przy moich dzieciach. Melkorko, chodź do nas, chcę cię przedstawić siostrze! O, jest i piastunka Astrydy. Heidi, nie wstydź się. Astrydo, jak byś nazwała Heidi, gdybyś nadawała przydomki, tak jak zwykli robić ludzie?

— Kózka! — odpowiedziała bez wahania, przerywając słowotok siostry.

— Oczywiście! Heidi Kózka i najmleczniejsze piersi w Roskilde! Chcesz potrzymać Astrydę?

Nim zdążyła odpowiedzieć, Świętosława podała jej małą.

— Poznajesz Wielkiego Ulfa? Był ze mną w Poznaniu, gdy ojciec się z nami żegnał. Kiedy patrzę na niego, myślę, że niektórzy mężczyźni się nie starzeją.

Nieprawda. Nawet ten olbrzym nie był odporny na czas, choć rzeczywiście, plecy wciąż miał potężne i proste, a jego starość nie objawiała się brzuszyskiem, jedynie pogłębiała bruzdy na twardej skórze twarzy.

— I jeszcze Ion, nasz występny mnich! Ionie, pokłoń się przed wolińską panią.

Zamarła. Tłuścioch w habicie. Potrącił ją, gdy tamtego dnia wybiegała z dworu. Tyra uśpiona odwarem z maku kołysała się w wielkiej skrzyni, którą, udając, iż jest lekka i pusta, wynosili ludzie Morcara Żaby. Ona biegła przodem, niczym spiesząca do ojca kupca córka, a ten grubas wpadł na nią we drzwiach dworu. Czy ją zapamiętał?

Skłoniła głową wyniośle i udała, że nie poświęca mu najmniejszej uwagi.

— Wolińska pani — zagadał do niej mnich. — Słyszałem, że w najbogatszym portowym grodzie nad Bałtykiem nie ma ani jednej świątyni Pańskiej. Prawda to?

— Nieścisłość, mnichu — odpowiedziała. — Jest słowiańska gontyna, jest miejsce dla Odyna i Frei, gdzie spotykają się wyznawcy północnych bogów. W domu arabskiego kupca modlą się wyznawcy Allacha, a na obrzeżach spotykają Żydzi. Każdy z nich powie o swym bogu „Pan”, więc to świątynie Pańskie. Jednak niezależnie od tego, do którego boga się modlą, kupcy wyznają jedną wiarę: w zysk. Tym samym najbogatszy port Bałtyku jest jedną wielką świątynią boga zysku.

Świętosława śmiała się tak głośno, że rysie zaczęły niespokojnie warczeć.

— Ionie, wybacz — powiedziała, gdy uspokoiła się nieco. — Chcę nacieszyć się siostrą. Ciebie mam na co dzień, ją tylko od święta. Weź sobie, co zechcesz, ze stołu, wiem, że lubisz pieczone szynki Vali.

— Wolałbym jej uda — mruknął pod nosem mnich i zerkając na Astrydę podejrzliwie, zgarniał do miski co tłustsze kawałki. — Żegnam panie. Gdybym miał się do czegoś przydać, będę w pobliżu.

— Wiem, gdzie cię szukać — zaśmiała się jej siostra.

Mnich żachnął się i wyszedł.

— Heidi, weź Astrydę, bo wygląda na głodną. Melkorko miła, podaj nam miodu. A ty, siostro, opowiadaj, proszę, co na dworze w Poznaniu! — zarządziła Świętosława i gdy wyglądająca jak kózka dziewczyna wzięła z jej ramion dziecko, szepnęła: — Mów cokolwiek, rozmawiać będziemy dopiero w alkowie. — A potem dodała głośno: — Jak dzieci Bolesława? A księżna Emnilda? Wciąż miód i mleko?

— Bezpryma już nikt nie waży się przezywać Czarnym Węgrem, przynajmniej nie wtedy, gdy książę słyszy. Wyrósł, zmężniał, Bolesław trzyma go przy sobie razem z Mieszkiem.

— Ile mają teraz lat?

— Bezprym prawie czternaście, Mieszko dziewięć. Pamiętasz dziewczynki?

— Dwie anielice w wiankach.

— Jedna nie zdejmie wianka do końca życia — westchnęła Astryda. — Bogumiłę, tę starszą, przeznaczył do klasztoru.

— Żartujesz?

— Uznał, że przy pięciorgu dzieci jedno należy się Bogu.

— Ciekawe, dlaczego nie wybrał syna! — wzruszyła ramionami siostra.

— Ma ich tylko dwóch, choć jak go znam, nie da spokoju Emnildzie, póki nie wyrówna szeregów. Trzy córki to trzech synów.

— Dobrze — mrugnęła do niej siostra. — Wtedy jednego chłopca do klasztoru. Będzie biskup z łona dynastii!

— Planuje budowę wspaniałego kościoła, w Gnieźnie. Ma tam zwłoki świętego, do których ciągną tłumy.

— Biskup Wojciech, wiem, słyszałam. A Unger?

— Widuję go wyłącznie z daleka — obruszyła się Astryda.

— Że też nikomu nie udało się ciebie ochrzcić! Tylko specjalnym względom ojca zawdzięczasz tę wolność, poganko! Choć w interesie twej duszy byłoby…

— Daj spokój. — Astryda machnęła ręką. — Nie mamy innych spraw do omówienia?

Oczy Świętosławy zalśniły niemal dziko.

Gdy znalazły się w alkowie, one dwie, Dusza, rysie i nikt więcej, Świętosława wybuchła.

— Błagam cię, pomóż mi, siostro! Jestem w potrzasku! Nie odmawiaj, proszę, bo to jest gra o życie!

Astryda wzięła głęboki oddech.

— Mów.

— Sven zbiera wojska. Tym razem nie na angielską wyprawę, lecz przeciw Olavowi. Otumanił mego syna, Olofa, i bez mej wiedzy wysłał do niego jarla Lade, Erika. Rozumiesz?

Astryda rozumiała więcej, niż się siostrze wydawało.

— Wojna królów — wyszeptała, czując, że jej serce chce wyskoczyć z piersi.

— Tak! Wojna królów. Zrobiłam, co w mojej mocy, by jej zapobiec, ale to niemożliwe. Tylko rzucając wszystko na jedną szalę, mogę odwrócić los tej wojny. Potrzebuję twej pomocy!

— Co masz na myśli? — Przyjrzała się siostrze.

— Zdradę. — Świętosława powiedziała to słowo tak, jakby łykała ość. — Już zdradziłam, prosząc cię o przyjazd. Chcę, byś przez swego męża przestrzegła Olava. I… — popatrzyła w oczy Astrydzie — …chcę zapłacić za udział jomswikingów w bitwie. Po stronie Tryggvasona.

— Poczekaj. — Astryda dbała, by właściwie dobierać słowa. — Jomswikingowie i Tryggvason, tak? Ale naprzeciw nich będzie twój mąż i syn.

— Nie — pokręciła głową siostra. — Wysłałam do Olofa zaufanego człowieka. Ma przekonać mego syna, by stanął po stronie norweskiego króla.

Do licha! — pomyślała Astryda.

— Jak sądzisz? — gorączkowo szeptała Świętosława. — Kogo posłucha syn? Ojczyma Svena czy matki? Matki, oczywiście, że matki. To też szansa dla niego. Uwolni się od Svena, który coraz natrętniej wtrąca się w sprawy szwedzkie.

— Poczekaj! — poprosiła Astryda. — Chwila, muszę to pojąć… A co ze Svenem?

Świętosława chwyciła ją za ręce. Zielone oczy siostry lśniły gorączkowo. Była całkowicie poważna.

— Muszą go pokonać — powiedziała. — Muszą. Moje posłanie do Olava brzmi: pokonaj mego męża. Ofiarowuję ci w zamian swą rękę i tron Danii, który przejmiesz wraz z królową wdową.

Przerwało im głośne westchnienie, na granicy jęku. Odwróciły się jak oparzone.

— Dusza? — powiedziały jednocześnie.

Przerażona Dusza zatkała dłońmi usta. Dała znak, że mają się nią nie przejmować, że mogą rozmawiać dalej.

— Sven, biorąc mnie po śmierci Erika za żonę, pośrednio opanował Szwecję. Nie wprost, królem jest mój syn, ale wpływy Svena, jak się zorientowałam, już sięgają zbyt daleko. Olav po śmierci Svena wykona ten sam manewr. To się uda.

— O ile go pokonają — niepewnie powiedziała Astryda. — Ale… czekaj. Jomswikingowie rzeczywiście mogą zmienić losy wojny.

— Tak, siostro! Chcę, by mój syn udawał, że będzie walczył dla Svena, nie budząc jego obaw za wcześnie. Przekazałam mu, żeby w ostatniej chwili odwrócił swe wojsko. To będzie jedno zaskoczenie. A drugie… twoi jomswikingowie.

— Nie są moi, są Sigvalda, ale sądzę, że Bolesław przystanie na twój plan. Zawsze sprzyjał Olavowi. Wyda rozkaz jomswikingom, tak myślę.

Obiecał to w dniu, w którym padł pomysł małżeństwa Olava i Tyry. Nasz brat to wszystko przewidział dużo wcześniej — pomyślała w gorączce Astryda.

— Jest jeszcze dziedzic Lade, Erik, i jego brat Sven — powiedziała szybko Świętosława. — Ci dwaj staną przeciw Olavowi. Jak wiesz, Erik jest zięciem mego pana męża. Trzeba przestrzec Olava, że Erik szuka sojuszników w Norwegii. Olav musi o tym wiedzieć…

— Ile mamy czasu?

— Mało. Sven głośno nie podał terminu najazdu, ale teraz popłynął po ludzi z Hedeby. Udaje, że werbuje załogi do wyprawy na Anglię, bo nie chce, by do Olava dotarła wiadomość o planowanej inwazji… Astrydo, mamy mało czasu… Muszę to wszystko odwrócić, rozumiesz? — Oczy siostry mówiły znacznie więcej niż ona. — Przyznaję, wściekłam się na wieść o ich ślubie. Gniew jest złym doradcą. A gniew i urażona duma są jak cięciwa i łuk. Wystrzeliłam, Astrydo. Dałam się ponieść złości… potem jednak wyspowiadałam się Ionowi i zrozumiałam, że popełniłam błąd. Tyle

tylko, że Svena nie dało się zatrzymać. Ach, gdyby nie to małżeństwo!… Ale nie, Sven znalazłby inny pretekst, by uderzyć w Olava. On żył gniewem. Ubzdurał sobie, że musi rywalizować z „drugim wodzem”.

— Tak myślisz? — z nadzieją zapytała Astryda. Z całych sił pragnęła, by siostra miała rację.

— Tak. Ale teraz to nieważne, co ja myślę. Ważne, że… — nabrała powietrza i wyrzuciła z siebie: — …wyznaję mu swe uczucia, jak powinnam zrobić to przed laty w Sigtunie. Wtedy podjęłam złą decyzję i potem już nic nie zależało ode mnie. Teraz oddaję mu swą rękę i tron. I chcę go ratować przed Svenem. Popłyniesz do Olava, siostro?

Nie masz pojęcia, o co mnie prosisz, dziewczyno — jęknęła w duszy Astryda. — Nic nie wiesz, słona siostro. A jednak, by zadośćuczynić za swój udział…

— Ja popłynę — usłyszały chrapliwy szept i zamarły.

ŚWIĘTOSŁAWA była pewna, że śni, gdy usłyszała głos Duszy.

— Ja popłynę.

— Ty?… Ty… mówisz?… — Zaschło jej w gardle.

Dusza pokiwała głową.

— Jezu! Astrydo, uszczypnij mnie. — Świętosława chwyciła dłoń siostry, bo to jednak musiał być sen.

— Ja też słyszę — wyszeptała Astryda. — Dusza? Co jest? Jak to możliwe?…

— Książę Mieszko… powiedział, że to znak… — Głos Duszy był bezdźwięczny jak głuchy, chrapliwy szept. Wydawało się, że mówienie sprawia jej ból.

— Ojciec wiedział? — zapytała Świętosława.

Dusza kiwnęła głową.

— Jak odkryłam, że… mogę powtarzać słowa, to… poszłam i mu powiedziałam. A książę na to…

— Poczekaj, napij się. — Świętosława zerwała się, by przynieść Duszce kielich. — Wydaje mi się, że każde słowo cię boli…

Dusza zaprzeczyła ruchem głowy i uśmiechnęła się przepraszająco.

— To dlatego, że głos niezwyczajny.

— Od kiedy mówisz? Kiedy to odkryłaś? — pytały jedna przez drugą.

— Boże! Przecież pamiętam, jaki był płacz na dworze, gdy się okazało, żeś niemowa!

Dusza się zawstydziła. Odruchowo zaczęła tłumaczyć na migi, pokazując na łono.

— Gdy zaczęłaś krwawić? — domyśliła się Astryda.

Kiwnęła głową. Świętosława nie mogła opanować łez. Zagarnęła Duszę w ramiona.

— Matko Najświętsza! Tyle lat razem! A ty nigdy… ani słowem… Dlaczego się nie przyznałaś? Byłoby nam łatwiej…

Zaprzeczyła ruchem głowy i wysunęła się z jej objęć.

— Książę pan nie pozwolił… Powiedział, że może nadejść taki dzień, kiedy tylko ja… będę mogła ci pomóc… bo nikt niemowy nie podejrzewa.

— Ojciec pan! — jęknęły równo z Astrydą.

— Wszystko zaplanował…

— …wszystko urządził, każdemu dał miejsce w szeregu swych wojsk! Oj, Dusza, Dusza!

— Oj, Mieszko, Mieszko! — sprostowała Świętosława. — Nie zdziwiłabym się, gdyby nas teraz widział z nieba i sprawdzał, czy dobrze wypełniamy rozkazy. Boże! Nie wiem, co powiedzieć…

— Nagadałaś się. Nie mów nic — wyszeptała Dusza.

Astryda zaczęła się opętańczo śmiać.

— Uspokój się! Jeszcze ściągniesz ciekawskich pod drzwi i usłyszą, że Dusza gada! Ach! Teraz rozumiem, co Harald mówił! Ja sądziłam, że dzieciakowi pomieszało się w głowie, a ty naprawdę z nim rozmawiałaś.

— Nie — szorstko zaprotestowała Dusza. — Z nikim nie rozmawiałam. Mówiłam do dzieci, gdy spały. Byłam ich snem.

— Czekaj! — Oczy Astrydy zabłyszczały. — Skoro uczyłaś się mówić, słuchając Świętosławy, skoro znasz jej każdą myśl, to znaczy, że…

— Tak — szepnęła Dusza i odwróciła się do Świętosławy, kładąc jej ręce na ramionach. — Wiem to, co ty wiesz. Znam każdy język, którym mówiłaś. I umiem twoimi słowami powiedzieć, co czujesz.

Po policzkach Świętosławy popłynęły łzy.

— Tylko Dusza wie, kim jestem. Żałuję tego, że w dniu, w którym odkryłaś przede mną, iż nie jesteś niema, muszę cię wypuścić w świat. Płyń do Olava. Przestrzeż go. I…

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwała jej Dusza.

Astryda rozejrzała się po alkowie.

— Szukam miodu. Trzeba to opić.

— Najpierw dokończmy plan. Duszka, pamiętasz opowieść Arnory o Gudrun? Przestrzegła braci przed zasadzką. Daj Olavowi ode mnie to. — Odpięła broszę od sukni. — Zrozumie.

Ryba trzymana w szponach przez dwa orły.

— A ty, Astrydo? — ciągnęła Świętosława. — Przekonasz Bolesława, by stanął po naszej stronie? By skierował jomswikingów przeciw Svenowi? I czy twój mąż…

— Biorę go na siebie, jak zawsze. No, co się gapicie? — Siostra uśmiechnęła się gorzko. — Nie brałaś Erika i Svena na siebie, chcąc z nimi załatwić to czy tamto?

— Ja nie! — szepnęła Dusza.

Nawet nie wiesz, ile razy — pomyślała Świętosława i poczuła wdzięczność wobec Astrydy. Przylgnęła do niej całą sobą jak za dawnych lat.

— Przestań, nie czas na czułości. — Astryda wyrwała się z jej objęć.

Dusza nalała do kielichów miodu i podała im.

— Napijmy się za dusze, które mówią! — powiedziała Świętosława.

Duszka uśmiechnęła się ze łzami w oczach. Astryda skinęła głową smutno, tak smutno, że przez chwilę Świętosławie zrobiło się bardziej żal siostry niż siebie.

— Jeśli Bóg nam sprzyja — powiedziała, gdy odstawiły kielichy i wszystko było już ustalone — urodzę ostatnie dziecko Svena w świecie bez niego. — Położyła dłoń na brzuchu i popatrzyła im w oczy. — Tak, znów spodziewam się dziecka.

OLOF i Wilczan pływali łódką po wodach zatoki Mälaren. Tylko oni dwaj, nikt więcej. Wilkomir nie zaprotestował, choć dbał o to, by Olof nigdy i nigdzie nie bywał sam. Wystawił straże na nabrzeżnych skałach i powiedział: „Płyńcie. Nie widzieliście się pięć lat”.

— Sięgałeś mi do ramienia, gdy razem z moją matką odpływałeś z Sigtuny — powiedział Olof, patrząc na druha. — A teraz jesteś prawie tak wysoki jak ja.

— A ty byłeś chudy jak patyk. Teraz masz klatę i możesz założyć kolczugę. Jej ciężar już cię nie przygniata do ziemi, co?

Olof się zaśmiał.

— To zasługa twego ojca. Zmuszał mnie do ćwiczeń. Powiedz, jak tam jest w Roskilde? Ale powiedz prawdę, nie te gładkie gadki, które za każdym razem wygłaszają posłowie.

— Normalnie. — Wilczan wzruszył ramionami. — Prawie jak tu. Król i jego wojowie piją, a królowa, twoja matka, rządzi po cichu. Tyle że zmusza

Svena, by chodził do kościoła, a króla Erika nie zmuszała. Rodzi mu dzieci, to wiesz, król ją nagradza. Poza tym przekonała go, że chrześcijański król jest kimś więcej niż wikingiem. Ale kłócą się. Potrafią ściąć się przy wszystkich tak ostro, że iskry lecą. Naszej pani zdarza się nie przebierać w słowach.

Olof niemal ją widział. Taką matkę zapamiętał. Hardą i władczą, w koronach złotych warkoczy owiniętych wokół głowy, z rysiami na smyczy. Czasami w nocy budził go tamten sen, matka wchodząca ze skrwawionym mieczem do halli; a czasami budziła go pustka. Chłód, którego nie mógł się pozbyć ani od ognia w palenisku, ani naciągając na siebie kolejne błamy. Wtedy marzył o tym, by Wrzask albo Zgrzyt wskoczyły mu do łóżka i polizały po twarzy.

— Ostatnio kłócili się o żonę dla ciebie — odezwał się Wilczan po chwili. — Sven uznał, że powinieneś się ożenić.

Olof odwrócił głowę, udając, że wpatruje się w coś za burtą; nie chciał, by przyjaciel zobaczył rumieniec na jego twarzy. Tak, to się już zdarzyło, choć wcale tego nie chciał. To znaczy chciał, ale nie myślał, że tak. Od jakiegoś czasu nie umiał spokojnie przebywać w towarzystwie kobiet. Ciągle gapił się na ich piersi albo tyłki. Nie umiał się skupić, gdy widział ładną dziewczynę, czuł gorąco i cały drżał, aż w końcu jednego wieczoru, kiedy służąca przyszła dołożyć drew do paleniska w jego alkowie… No i stało się, tak. Ale ona była zbyt śmiała, całowała go jak szalona i nim zdążył rozsupłać spodnie, już było po wszystkim. Wstydził się, okropnie się wstydził, kazał ją odesłać ze służby, bo bał się, że rozgada albo się będzie śmiać. Tyle tylko, że mu nie przeszło i tydzień później kolejna dziewka… Od tamtej drugiej pilnował się, ale co z tego, skoro wciąż myślał o jednym. Skąd mógł o tym wiedzieć Sven?

— Ożenić? I co? — spytał Wilczana obojętnym głosem.

— Królowa nakrzyczała na króla, że ma cię zostawić w spokoju, że jeszcze masz czas. I że nie będzie ci wciskał żon według własnego uznania, takie tam. Sven dał spokój.

Wiosłowali przez chwilę w milczeniu, aż Wilczan wrócił do posłania, z którym przybył.

— Jak będzie, Olofie? — zapytał. — Co zrobisz?

Olof obserwował wodę ściekającą po piórze wiosła. Nie odpowiadał.

— No, Olofie! Nie odmawia się matce! A już takiej matce, Hardej Pani, co… — Wilczan się rozgadał i nie zauważył, że młody król go nie słucha.

Gdyby nie Sven, gdyby nie obecność jego ludzi w Sigtunie, Olof mógłby nie być królem. Od wypłynięcia matki do Danii możni podnosili głowy coraz śmielej. Zadbał o podatki na wojsko, nie podobało się. Burczeli, że kraju bronią ludzie, nie srebro. Pomógł mu jarl Erik, wysłannik Svena. Erik umiał rozmawiać z możnymi. Albo ten potężny kupiec z Birki, Rognvald, i jego synowie, Bjarne i Erling, kiedyś wysłani przez ojca do Danii, ci, których w powrozach przywiózł Sven. Rognvald gromadził wokół siebie każdego, kto miał coś przeciw władzy Olofa. Birka była rozsadnikiem buntu; na każdym tingu musiał się liczyć z tym, że ktoś wystąpi przeciw niemu. Olof czuł, że potrzebuje czegoś, co zamknie buntownikom usta. Zwycięstwa, po którym spojrzą na niego inaczej niż tylko jak na syna matki, młodego króla. Gdy słyszał o sobie „młody król”, miał ochotę gryźć. Bo pod „młodym” czaiła się źle ukrywana pogarda. Usłyszał jednego razu, przypadkiem: „Olav Tryggvason w jego wieku dowodził statkiem, który wypłynął z Gardarike. Olav w jego wieku pokonał łowców niewolników”. Dlaczego? Dlaczego za plecami porównywano go do Tryggvasona? Tak. Znał plotki. Gadano, że nim został norweskim królem, był kochankiem jego matki. Ale przecież go odrzuciła! Był tu, w Sigtunie, prosił ją o rękę, a ona powiedziała „nie”. A jeśli to prawda? Jeśli nadała mu imię na pamiątkę

młodzieńczej miłości? Gówno, nie prawda. Ma imię po stryju, bracie ojca! „Król jest twym imiennikiem, to zobowiązuje” — powiedziała wtedy. Zobowiązuje? Kogo? Pamiętał jasne i przenikliwe oczy Tryggvasona, który gapił się na niego jak wąż, nim ukąsi ofiarę. I teraz matka przysyła Wilczana, by rozkazywać jego ustami. „Zdradź Svena. Przygotuj się na wojnę, ale zdradź. Gdy nadejdzie czas bitwy, odwróć wojsko i stań przy boku Olava Tryggvasona”. I mówi: „Uwolnisz się od Svena, od jego kontroli, wtrącania się do twych spraw”. Matko, gdyby nie Sven i jego wtrącanie się, twój syn okazałby się zbyt słabym królem, by utrzymać tron. Powiedzieliby „młody król”, splunęli i byłoby po mnie. Ale tak, masz rację, ciąży mi duński ojczym. Tak samo jak królowa matka.

— Hej, Olofie! — Wilczan trącił jego łokieć. — Wiosłujesz przez sen?

— Nie, brachu. Obudziłem się.

— To dobrze, bo królowa kazała mi wracać jak najszybciej. Jaką odpowiedź zawiozę swej pani?

— Nie pytaj. — Olof się zaśmiał. — Przecież nie odmawia się królowej!

OLAV siedział ze swą panią żoną w halli w Nidaros, czekając na przybycie Islandczyków, Gizura Białego, Halla i Hjatiego. Był pewien, że ci ludzie zrobią więcej dla ochrzczenia Lodowej Wyspy niż nieszczęsny Thangbrand, duchowny bez ducha. „Islandia — wyjaśniał mu urodzony tam Gizur — to kraj ludzi rozsądku. Pozwól więc, królu, byśmy pomówili z rodakami rozsądnie”.

Grał z Tyrą w hnefatafl. Królowa miała życzenie wziąć piony czerwone.

— Chcę zagrać hordami najeźdźców — powiedziała, rumieniąc się. — Chcę poczuć, jak to jest.

— Dobrze, pani. Zatem białe piony są moje. Będę bronił króla.

— Ależ ty jesteś królem! — zaśmiała się. — Będę atakować cię z czterech stron… Czyż to nie podniecające?

Nie — pomyślał. — W miłości nie podnieca mnie gra. Sztuczki, fortele, strategie, urażona duma, splamiony honor… to nie miłość.

— Wiesz o tym, pani, że w hnefatafl najczęściej wygrywają obrońcy króla? — wtrącił się Hallfred.

— Wiem, skaldzie! — Tyra uniosła podbródek. — Dlatego chcę spróbować przechytrzyć los!

Hallfred przybył do nich niedawno. Nim przyjął wiarę, wymógł na Olavie, że król będzie jego ojcem chrzestnym. Tryggvason miał do niego słabość. Złamany nos Hallfreda, jego zadziorność, bezczelność i talent, co tu dużo mówić, bijący na łeb zdolności Omolda, wszystko to razem sprawiało, że Olav przyjął go na swój dwór i obdarzył cierpliwością dużo większą, niż na to zasługiwał skald.

— Hallfredzie, grasz z królową? — spytał Olav.

— Chciałbym, choć nie śmiem, panie. Grać przeciw tobie to grzech. — Ciemne oczy skalda zalśniły przekornie.

— Nauczyłeś się nowego słowa i szafujesz nim nie wtedy, gdy trzeba. Grzech byłby, gdybyś spał z królową, a nie pomagał jej w grze!

— Olavie! — Tyra się zapłoniła.

Jak ona to robi? — pomyślał. — Rumieniec zawsze wtedy, gdy jest potrzebny.

— Pani, uważaj! — syknął skald. — Robisz dziurę w swej ścianie tarcz. Pilnuj pionów! By zabić wojownika, wystarczy wziąć go z dwóch stron!

— A co zrobić, by zabić króla? — Spojrzała na Olava spod zasłony rzęs.

— Musisz otoczyć mnie z trzech stron.

— Panie! — Skald przesiadł się z ławy królowej do niego. — Chcę wyrecytować poemat na twą cześć.

— Zmiataj do królowej. — Olav się uśmiechnął. — Nie chcę z tobą grać.

— To nie gra — zapewnił skald. — To wiersz. Kunsztowny, obiecuję!

— Nie chcę wiersza w tej chwili. Powiesz go na uczcie.

— Ale dlaczego, królu? Poezja nie znosi zwłoki, jest jak rozgrzana, wilgotna kobieta, którą trzeba brać, gdy rumieniec na jej twarzy i twardniejące sutki…

— Milcz! — krzyknęła Tyra, gwałtownie wstając od stołu. Piony i plansza się wywróciły.

— Ciii, moja pani… — Chwycił ją za chłodne palce, ale wyrwała się i odeszła na bok. — Hallfred nie miał zamiaru cię urazić.

On nie wie, że jesteś zimna, Tyro. Że twoje łono jest doskonale piękne, bosko sklepione, lecz suche. Że twe uda są niczym marmurowe kolumny, można je gładzić, podziwiać barwę i rysunek szlachetnych żyłek, ale nie ma się ochoty ich całować i gnieść. Że twych szlachetnie pięknych piersi nie da się ściskać palcami ani ssać. Skąd miałby to wiedzieć skald? Może się jedynie domyślać, patrząc, jak grasz.

Vigi zaszczekał. Do halli wszedł Omold i zmierzył nowego skalda zimnym wzrokiem.

— Królu — powiedział — Gizur i Hjati przybili do portu. Niebawem Islandczycy przyjadą na dwór.

— Czekam na nich! — krzyknął Olav. — Jak tylko przybędą, prowadź do nas! Vigi… — Pogłaskał biały łeb psa. — Ty szczekasz na dobre wieści!

— Królu! — znów natarł na niego Hallfred. — Pozwól, bym wyrecytował nowy wiersz.

Olav chwycił za miecz.

— Masz. — Wymierzył w pierś skalda. — Bierz to ostrze i oddal się.

Wystraszony Hallfred oddychał ciężko. Olav się roześmiał.

— Jesteś kłopotliwym skaldem, Hallfredzie. Lubię twe rymy, ale zrozum, że nie zawsze mam ochotę na poezję.

— Nie rozumiem! — Skald błysnął zębami w uśmiechu. — Ale biorę ostrze. Zapłacę za nie rymem, gdy powiesz, że jesteś gotów, panie!

Hallfred chwycił za miecz i syknął. Puścił ostrze i uniósł dłoń. Spłynęła z niej krew.

— Krwawe rymy, krwawa pieśń — powiedział, mrużąc oczy. — Doskonała melodyka śmierci!

Olav puścił rękojeść miecza i skald złapał go ponownie.

Stojąca z boku Tyra zaszeleściła uniesionymi sukniami. Odwróciła się i wyszła.

— Ach! — zaśmiał się skald. — Czerwone piony zeszły z planszy.

— Milcz — powiedział król. — Powiedziałem: żadnych pieśni. Obraziłeś królową.

— Czuję się podle, panie, tak podle… — skłamał z uśmiechem skald.

Olav zacisnął szczęki. To ja czuję się podle, broniąc żony, która czeka na mnie w łożu zimna niczym lodowiec — pomyślał.

Nie zdążył skarcić Hallfreda, gdy weszli goście.

— Hjati i Gizur, panowie z Islandii! — zawołał Ingvar, wprowadzając dwóch mężczyzn.

Vigi wybiegł do nich, machając ogonem; Olav wstał i wymienił się spojrzeniem z biskupem Sigurdem.

— Zwycięstwo! — zawołał Gizur.

— Lodowa Wyspa przyjęła naukę! — dodał Hjati.

— Jak? — zapytał Olav.

— Jednogłośną decyzją Altingu. Islandia czeka na chrzest, królu.

— Mówcie po kolei, jak było. — Olav w jednej chwili zapomniał o żonie i złośliwym skaldzie, zapraszając gości do stołu.

— Przedstawiliśmy sprawę głosicielowi prawa, Thorgeirowi.

— To zatwardziały poganin! — wtrącił się zaskoczony Hallfred.

— Znacie mego nowego skalda? — spytał gości Olav. — Nazywam go Kłopotliwym, bo odzywa się niepytany.

— Jesteś łaskawy, królu — powiedział Gizur Biały. — Na Islandii pamiętają go jako kłótnika, awanturnika i zabójcę.

— Wyspowiadałem się i odbyłem pokutę! — Hallfred pogroził Gizurowi. — Siedzę przy królu i nie grzeszę, choć gram z królową.

— Nie kradnij uwagi, Hallfredzie. Nie ty mnie teraz zajmujesz, a Islandia. Mówcie.

— Rozmawialiśmy przed obradami Altingu ze wspomnianym głosicielem prawa. Gizur powiedział mu, że nie ustaniesz w staraniach o wprowadzenie chrześcijaństwa na wyspie. Thorgeir znał relacje ludzi z Orkadów, słyszał, co się wydarzyło na Lofotach, no i oczywiście wiedział, jak sprawy przebiegały, nim objąłeś tron. To rozsądny człowiek i urodzony Islandczyk.

— Hjati ma na myśli to, że Thorgeir kocha Islandię tak samo jak wolność — dodał Gizur.

— Umiał sobie wyobrazić, co będzie, gdy słynny, wojowniczy król Olav przybije ze swą flotą do wybrzeży wyspy.

— Nie straszyliście go? — spytał podejrzliwie Olav.

— My? Nie — zaprzeczyli obaj.

— Zresztą głosiciel prawa nie jest zbyt strachliwy. Po prostu od innych ludzi różni się tym, że słucha.

Hjati, mówiąc, gestykulował żywo.

— Wiesz, królu, większość z góry zakłada, że prawda jest po ich stronie, i wysłuchując racji innych, słyszą tylko to, co pasuje do ich wyobrażeń. On zaś starał się zrozumieć wszystko. Także i to, co mu powtórzyliśmy: „Król nie zmusza do chrztu. Chrzest musi być dobrowolny”. Ludzie zwykle

rozumieją to jako przewrotną formę szantażu, Thorgeir, jako człowiek znający prawo, zrozumiał regułę.

— Poza tym — dodał Gizur — patrząc z punktu widzenia interesu Islandii, nie zamykał spojrzenia na świat. Przeciwnie, zobaczył wszystko w odległej perspektywie, więc tym łatwiej zrozumiał, że przed pewnymi sprawami nie ma już ucieczki.

— Tak, tak to właśnie ujął. Powiedział nam: „Świat się zmienił i nawet jeśli nam ta zmiana się nie podoba, to nie znaczy, że nas ominie. Zamykając oczy, nie zmienimy otoczenia”.

— Potem spotkaliśmy się wszyscy na obradach Altingu. W imieniu chrześcijan przemawiał nasz przyjaciel Hall. A Thorgeir, jako poganin, nie odzywał się w sprawach wiary. Przedstawił jednak zgromadzonym twe warunki. Ludzie podzielili się w swych głosach pół na pół i poprosili go, by pomógł im podjąć decyzję.

— A on uważnie wysłuchał przeciwników nowej wiary, każdego argumentu, nawet najbłahszego. Potem kazał zrobić dzień przerwy w obradach i udał się w miejsce odosobnienia. Owinął się płaszczem i wydawało się, że zasnął.

Oczy Gizura i Hjatiego lśniły, gdy opowiadali. Biskup Sigurd wpatrywał się w nich ze skupieniem.

— Kiedy minął dzień, głosiciel stanął przy Skale Prawa i powiedział… Ach! — Hjati zakrztusił się wzruszeniem i szturchnął Gizura. — Ty powiedz!

— Thorgeir wyjaśnił ludziom, że chrześcijaństwo jest jak wiosna, która przychodzi po zimie, po prostu nie da się go zatrzymać…

— Nie, czekaj — przerwał mu Hjati, rozkładając ramiona. — Najpierw było o ogniu, nie pamiętasz? Że w pradawnych czasach ludzie żywili się surowym mięsem, bo nie znali ognia, a gdy odkryli moc jego płomieni,

zaczęli mięso gotować i piec i grzać się w jego cieple. I od tamtej pory zaczęła się epoka ognia. Mówił, że i wtedy wielu ludzi obrażało się na pieczone mięso i potajemnie jadło surowe, mówiąc, że tak robili dziadowie.

Przewrotny przykład — pomyślał Olav i spojrzał na Sigurda. Oczy biskupa lśniły w półmroku jak u dzikiego rysia.

— A potem… — podjął Gizur Biały — potem już szło gładko. Głosiciel prawa powiedział, że lepiej przyjąć ogień z własnej woli, niż upierać się, że porządek w kraju wymaga jednolitego prawa, a dwie religie nie dadzą jedności.

— I teraz najważniejsze, królu. Thorgeir zaproponował, by chrześcijaństwo stało się jedyną oficjalną religią Islandii…

— Ale? — przerwał mu król. — W tym musi tkwić jakieś „ale”.

— Owszem — przytaknął Gizur. — Zgoda na prywatne czczenie dawnych bogów.

— Tylko w zaciszu domowym — uzupełnił Hjati. — Nigdy na zewnątrz. I jeszcze zgoda na jedzenie koniny i porzucanie kalekich dzieci na śmierć. Te dwa zwyczaje, zdaniem Thorgeira, są nie do wykorzenienia od razu. Ale głosiciel zastrzega, iż w prawie znajdzie się ostrzeżenie, że nikomu nie wolno spożywać koniny na ucztach.

— A dzieci? Na wyplenieniu tej barbarzyńskiej praktyki szczególnie mi zależy! — żachnął się zawiedziony Olav.

— Królu, jeśli przyjmą chrzest i będą słuchać nauk Chrysta, to z czasem sami przestaną porzucać kaleki. W propozycji głosiciela prawa jest rozsądek. Posłuchaj go, nie bądź jak ci, którzy z góry zakładają, że racja jest tylko po ich stronie.

— Islandczycy mówią mądrze — odezwał się po raz pierwszy biskup Sigurd. — Znasz, królu, niezwykłą moc Słowa Bożego. Kto je usłyszy, odmienia swe serce. Pozwól im słuchać.

Sigurd wstał z miejsca na uboczu, które zajął, gdy przybyli Islandczycy. Teraz wolno szedł ku płonącemu pośrodku halli palenisku.

— Zgadzają się, by chrześcijaństwo zostało jedyną oficjalną religią — mówił. — Będą musieli co niedzielę chodzić na nabożeństwo i będą słuchać. Gizur ma rację. Rok, dwa, trzy lata i z własnej woli przestaną wynosić kalekie noworodki na skały. Królu! — Jasne oczy biskupa zalśniły tym światłem, które kiedyś sprawiło, że Olav ugiął kolana przed Chrystusem. — Wiesz, że na Islandii dokonał się cud, a my jesteśmy jego pokornymi świadkami.

— Wiem — powiedział Olav, wstając. — Świat nie znał takiej historii, by jakiś kraj decyzją swego zgromadzenia przyjął wiarę. Stało się.

— Amen! — krzyknął biskup.

ASTRYDA, gdy przyjechała do Gniezna, rozglądała się za Duszanem. Tajemnica Duszy obudziła w niej przeczucie, że i Duszan musi nosić jakiś sekret. Rozczarowano ją szybko, mówiąc, iż Duszan został w Poznaniu, bo książę pan kazał mu czuwać nad swymi synami. Na podwórcu gnieźnieńskiego dworzyska panował nastrój co najmniej napięty.

— Gdzie znajdę brata? — spytała jego straży.

— Na budowie, wolińska pani!

Wbiła pięty w końskie boki i pojechała na wzgórze, które wskazali.

— Książę? — zdziwił się zapytany cieśla. — Książę przed chwilą był tam! — wskazał stronę.

Przywiązała konia do drzewa i wysoko unosząc suknię, ruszyła.

— Nie, jasna pani. — Woźnica pokręcił głową. — Książę już poszedł, ale widziałem go na środku placu, to jest tam, gdzie te długie podesty.

Gdy w końcu go dopadła, musiała niemal biec, by dotrzymać kroku bratu. Bolesław przeskakiwał przez wykopy na gnieźnieńskim wzgórzu. Woźnice pokrzykiwali na konie, wyładowane kamieniami wozy z trudem

toczyły się po rozmiękłym gruncie. Jedni słudzy z mozołem mieszali wapno w wielkich kadziach, drudzy nosili koszami rzeczny piach, jeszcze inni cebry wody. Na platformach pracowali cieśle stawiający rusztowania. Książę budował wielką katedrę.

— Tu będzie nawa główna — pokazał jej, gdy go wreszcie dopadła. — Widzisz?

— Nie. Widzę tylko dziury.

— To nie dziury! Wąskie i długie to wykop pod fundament, a to wielkie zagłębienie to krypta. Tam z tyłu stanie apsyda. Półokrągła, rozumiesz? A wieża będzie tu — wskazał w niebo.

— A to? — spytała, pokazując na szopę naprędce przykrytą deskami. — Co to jest?

Bolesław zgrzytnął zębami i chwycił ją za łokieć. Oczywiście za mocno.

— To stare martyrium. Nowe, ale stare, wszystko się pozmieniało, Astrydo. Zrobiliśmy z Ungerem małe sanktuarium, by uczcić w nim szczątki Wojciecha, a potem, jak się dowiedziałem, że ogłosili go świętym, zacząłem budowę kościoła. Mistrzów sprowadziłem z Saksonii. Wiesz, jak długo buduje się okazałą świątynię? Dziesięć, dwadzieścia lat, a i to może być mało!

Rozejrzała się krytycznym okiem po budowie. Tak. To wyglądało jak coś, co nie skończy się w dwadzieścia lat.

— Myślałem, że wybuduję i z honorami przeniesiemy świętego do kościoła. Chryste Panie, Astrydo! Co to by była za uroczystość! Ale tydzień temu przybyli posłowie od cesarza i mówią, że Otto chce przyjechać do Gniezna, do grobu świętego jeszcze przed Wielkanocą! Rozumiesz? Gdzie ja go przyjmę? Na budowie?

— I co? Myślisz, że jak będziesz gonił ludzi, to oni w dwa miesiące wybudują to, co zajmuje dwadzieścia lat? — Spojrzała na brata zdumiona.

— Nie denerwuj mnie! — warknął na nią.

Bolesław nigdy nie miał cierpliwości do złych wieści.

— Coś wymyślisz — powiedziała polubownie. — Ty zawsze potrafisz coś wymyślić.

— Racja — przytaknął i złapał kamień zsuwający się ze sterty.

— Pamiętasz, jak wymyśliłeś ślub Olava i Tyry? Rozpętał się wokół tego sztorm…

— Nie! — wrzasnął do sługi podającego kamienie robotnikom. — Te szare zostaw na apsydę. Bierz stąd!

— Słuchasz mnie? — zapytała.

— Tak. Mówiłaś, że zawsze potrafię coś wymyślić.

Chwyciła go za ramię.

— Bolesławie, rozumiem, że masz budowę i wizytę cesarza na głowie, ale musisz mnie posłuchać, bo to sprawa życia i śmierci. Chodźmy w jakieś spokojne miejsce…

— Ale ja jestem spokojny! — krzyknął i znów rzucił się w bok, rozkazując robotnikom. — Co mówiłaś? — wrócił do niej po chwili.

Nie próbowała więcej mówić. Po prostu odciągnęła go z placu budowy w dół, w porastające zbocza wzgórza zarośla. Przepłoszyli jakiegoś woźnicę, który próbował się załatwić, a na widok księcia posikał spodnie. Astryda siłą posadziła brata na kamieniu, stanęła przed nim i nie pozwalając mu się odwrócić w bok, powiedziała:

— Nawarzyłeś piwa i musisz je teraz wypić.

— Ja? — zdziwił się.

— Tak, ty. Ty pchnąłeś Tyrę i Olava ku sobie, wiedząc, że może z tego wyniknąć wojna. Teraz stroną w tej wojnie jest nasza siostra, która błaga cię o pomoc.

— Błaga? — roześmiał się. — To nie może być nasza siostra! Ktoś się pod nią podszywa!

— Nie kpij! — zdenerwowała się. — Świętosława, królowa Szwecji i Danii, moimi ustami błaga o pomoc swego brata, księcia Bolesława.

— Co mam zrobić? — Skupił się w jednej chwili.

— Wystawić wojsko w tej wojnie.

— Mowy nie ma. — Potrząsnął głową stanowczo i znów się zapalił. — Mam wizytę cesarza w kraju, wiesz, co to znaczy? Moja granica z Rusią jest granicą wpływu dwóch zwalczających się wściekle cesarzy. Wschód i Zachód, Astrydo! Nie tylko Północ, jak chciałaby nasza siostra. Cesarz przybędzie wyłącznie z osobistą świtą, ja muszę zabezpieczyć ochronę wszystkich granic i jego majestatu. Rozumiesz? Gdyby cesarze Bizancjum, bracia Bazyli i Konstantyn, zechcieli pozbyć się swego zachodniego rywala, to wizyta Ottona w Gnieźnie byłaby ku temu najlepszą okazją! Ot, posłaliby swego zięcia, kniazia Wladimira, z ruskim zagonem przez Bug! My tu zajęci w Gnieźnie, kości świętego, msza za mszą, a wojska Wladimira pod grodem! Czy ty rozumiesz, w jakiej sytuacji bym się znalazł?! Tak! Witam wielkiego gościa z Zachodu, więc obstawić muszę wschodnie granice. I o południowych pamiętać! Piekielni Przemyślidzi nie mogą mi darować, że ich Wojciech stał się moim Wojciechem! Och, im także byłoby na rękę zrobić jakiś rajd pod nosem cesarza! A ty mówisz, że mam wystawić wojsko na wojnę mej siostry?

— To daj jej jomswikingów. Ich do wizyty cesarza ci nie trzeba.

— Nie — potwierdził trzeźwo.

— I opłać ich — poszła za ciosem Astryda. — Obiecałeś.

— Kiedy?

— Gdy Sigvald przedstawił ci prośbę Tyry — mściwie przypomniała bratu. — „Mówisz, jarlu, że to byłby powód do wojny? Zatem mam

nadzieję, że żaden z mieczy jomswikingów nie pokrył się rdzą”. To twoje słowa.

— Przyznasz, że nic tam nie ma o płaceniu za jomswikingów. — Wyszczerzył do niej zęby.

— Paskudny uśmiech i brzydkie zagranie. To nie pasuje do ciebie, książę. — Uniosła podbródek.

— Mylisz się, Astrydo. To właśnie pasuje do księcia! — Podniósł się z kamienia, na którym siedział. — Ale masz rację, źle brzmi w ustach brata. Proponuję układ pół na pół. Ja zapłacę za to, że wyruszą, Harda za zwycięstwo.

Usłyszeli wołanie Zarada od strony budowy.

— Książę! Gdzie książę?!

— Tutaj! — krzyknął Bolesław.

Ciemnooki Zarad, zbiegając ze stoku, poślizgnął się na mokrej ziemi i wpadł między nich.

— Psiakrew! — krzyknął, zatrzymując się na bezlistnym krzaku. — Całą dupę mam w błocie.

— To czemu biegasz po krzakach? — zganił go Bolesław.

— Czerwony piaskowiec przywieźli z kopalni! Mistrz kamieniarski chce, byś ocenił, co na kolumny, co na sarkofag, bo ponoć jeden blok tego czerwonego ma skazę.

— Skazę?! — Książę ryknął na druha tak, jakby to Zarad był winien złego materiału. Odwrócił się do niej, starając się okiełznać emocje. — Astrydo. Widzisz, że nie mogę się stąd ruszyć. — Rozłożył bezradnie ramiona. — Załatw to. Powiedz Sigvaldowi, jaki jest mój rozkaz. Ma z całymi siłami Jom stanąć do wojny po stronie Olava. No, bywaj siostro! — Uściskał ją i zatrzymując się na chwilę, uśmiechnął znacząco. — I weź na siebie wykrzesanie zapału z Sigvalda!

Puścił ją i już sadził długimi krokami pod górę. Teraz Zarad nie mógł za nim nadążyć.

— Wezmę go na siebie, jak zawsze — odpowiedziała cicho do jego znikających pleców. — Zgodnie z rozkazem, mój bracie, mój książę.

OLAV, gdy zobaczył Geivara wchodzącego do wielkiej halli, w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że śni, w drugiej, że wypił zbyt wiele. Odstawił kielich i krzyknął:

— To ty, stary druhu?!

— Ja, mój królu! — powiedział Geivar i klęknął przed nim.

— Wódz domu zwiadowców? — zawołał wesoło Varin. — Żelazny chłopak z Jom? Ach! Drugie malowane kły! — Porwał Geivara w objęcia.

— Chciałbym się cieszyć, że cię widzę — powiedział Olav, wstając, by uściskać przyjaciela. — Ale wizyta wodza Jomsborga w Nidaros może być zapowiedzią kłopotów.

Jego twarz była opanowana jak zawsze. Takiego Geivara poznał przed laty na Dniestrze, z takim przeszedł swój pierwszy sztorm na „Kanugårdzie”. Gdy trzymali się w ramionach, Geivar szepnął:

— Musimy porozmawiać w małym gronie. Nie przypłynąłem sam. Jest ze mną kobieta.

Olav zacisnął palce na ramieniu przyjaciela. Ona — przebiegło mu przez myśl, ale natychmiast się od tego uwolnił. Królowa Szwecji i Danii nie mogłaby tak po prostu przypłynąć do Nidaros.

— Twoja pani ją zna — dodał Geivar.

— Nie mogę wyprosić królowej — powiedział cicho, zerkając na przyglądającą się im Tyrę.

— Zatem zadbaj o to, by ta rozmowa mogła mieć ciąg dalszy, gdy królowa pójdzie spać. Nie wszystko, co mamy do powiedzenia, jest przeznaczone dla uszu twej pani.

W tej samej chwili Olav zobaczył wchodzącą do halli kobietę w płaszczu z kapturem. Nim go zsunęła z głowy, wiedział, kim jest.

— To służka królowej Sigridy! — krzyknęła jego żona, jakby zobaczyła ducha.

— Tak, pani — powiedział Geivar. — Dusza jest wysłanniczką królowej.

— Wysłanniczką? — zdziwiła się Tyra. — Jeśli mnie pamięć nie myli, ta kobieta jest niema.

Geivar nie zaprzeczył, wyjaśnił:

— Mimo to może potwierdzić prawdziwość wszystkiego, co powiem. — Dusza skinęła głową, a Geivar dokończył: — Jej obecność ma świadczyć, iż sprawa jest poufna, znana jedynie królowej Danii, nie zaś królowi.

— To dziwne — stwierdziła Tyra i Olav wiedział, że jego żona się nie myli.

— Mów, Geivarze — zachęcił go.

— Królowa Sigrida Storråda chce cię przestrzec, że jej mąż zwołuje siły, które mają stanąć przeciw tobie, królu.

To musiało nastąpić — pomyślał Olav i zapytał:

— Kto?

— Duńczycy pod wodzą króla Svena. Jarlowie Erik i Sven, dziedzice Lade. I młody Olof Król Szwedów.

— Jezu Chryste, miej nas w swej opiece! — zawołała Tyra.

— Może zechcesz udać się na spoczynek, żono? — spytał Olav i nim skończył mówić, zrozumiał, że zrobił to za wcześnie.

— Jak możesz? — żachnęła się gniewnie. — Myślisz, że pójdę spać, gdy ważą się nasze losy?

— Uspokój się, pani. Losy wojen ważą się w czasie walnej bitwy. Teraz jedynie rozmawiamy. Geivarze, jakimi siłami dysponują jarlowie?

— Mają kilkanaście własnych łodzi, ale Sven postawił przed nimi zadanie pozyskania ludzi z Norwegii.

— Co za brednie! — krzyknęła Tyra. — Rodacy uwielbiają króla!

Dusza zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

— To podstęp! Uważaj, mężu! — rozpędzała się jego żona. — Królowa Sigrida jest w zmowie z mym bratem, Svenem! Chcą cię wciągnąć w zasadzkę, a niemowa ma to uwiarygodnić! Nie ufaj im!

— Zamilcz, pani, albo wyjdź i nie obrażaj mych gości. — Olav starał się nad sobą panować.

— Olavie, pomyśl! Dlaczego Sigrida Storråda miałaby cię przestrzec?

Serce królowej jest trwożliwe jak u kuropatwy,
tak jak lico piękne, zdobione rumieńcem,
tak duch w niej lękliwy i płochy.

Hallfred, Kłopotliwy Skald, zjawił się w halli znienacka.

Tyra się zarumieniła.

— Pozwolisz, by ten awanturnik mnie obrażał po raz kolejny? By lżył królową przy twych wodzach? — uniosła się.

— Hallfred nie chciał cię obrazić, pani. Powiedział prawdę…

Tyra wstała, dumnie unosząc podbródek, i rzuciła Olavowi pogardliwe spojrzenie.

— …powiedział, że twe lico jest piękne i rumiane, wszyscy to widzą. A że jesteś lękliwa? Cóż, taki przywilej kobiety…

Podziałało. Tyra prychnęła i wyszła z halli bez słowa.

— Varinie — powiedział Olav cicho — zadbaj o dyskretną straż przed komnatami pani. Dyskretną! Hallfredzie!

— Czy zasłużyłem na to, byś wysłuchał mego wiersza, królu? — Ciemne oczy skalda zalśniły. Jego złamany nos rzucał na pół twarzy nierówny,

poszarpany cień, sprawiając, że Islandczyk wyglądał niemal demonicznie.

— Zasłużyłeś. Wysłucham go niebawem i jeśli będzie tak dobry, jak go zapowiadasz, podaruję ci pierścień. A teraz idź. Muszę zostać sam z mymi gośćmi i wodzami.

— Do usług, panie! Nie żądaj jedynie, bym dziś w nocy grał z twoją królową.

— Nie igraj z ogniem!

— Och, panie! Igranie z tobą to jak zabawa z lodem i ogniem! Jesteś wrzący i zimny w jednej chwili niczym lodowiec, który osuwa się w płomień…

— Hallfredzie, wyjdź — lodowatym tonem zakończył popis skalda Olav.

W halli zostali Sigurd, Varin, Omold, Ingvar, Thorolf, Rafn Topór Boży i goście, Dusza i Geivar.

— Vigi, najmądrzejszy z psów, stań pod drzwiami halli i pilnuj, by nikt nie słuchał.

Nad ranem, gdy poznał wszystkie tajemnice Duszy, gdy uzgodnił z Geivarem plan ataku i posłał swych wodzów, by potajemnie zbierali ludzi, został z Sigurdem, swym biskupem, sam na sam. W ręku trzymał złotą broszę, którą przez Duszę przekazała mu Świętosława. Obracał ją w palcach.

— Ryba rozrywana przez dwa orły — powiedział w zamyśleniu Sigurd. — Wymowny znak.

— Wymowny — potwierdził Olav. — Co o tym wszystkim sądzisz, biskupie?

— Sądzić będzie nas Bóg.

— Islandia przyjęła chrzest. Mogę umierać! — Olav zaśmiał się głucho.

— Nie chciałbyś raz jeszcze zobaczyć zorzy, przyjacielu? — Biskup uśmiechnął się przekornie i spoważniał. — Jeśli Olof posłucha rozkazu

matki, rzecz może się udać. Z jomsborczykami i szwedzkim królem będziesz miał siły równe lub większe niż Sven i jarlowie Lade. Mnie martwi zupełnie inna rzecz. Królowa Sigrida zdradza swego męża nie tylko po to, by uratować ciebie, ale i po to, by cię zdobyć. Jakby zapomniała, że poślubiłeś przed Bogiem Tyrę. Ta kobieta jest tyleż wspaniałomyślna, co okrutna.

— Jest harda, zawsze taka była. — Olav kiwnął głową.

— Sigrida daje ci wybór: „życie ze mną albo śmierć". Ale jakiż wybór daje twej żonie? Wyznała ci miłość ustami swej Duszy…

— Wyznała też grzechy! Przyznasz, że to niespodziewane! Była zdolna odesłać mi oskubane martwe sokoły jako wyraz swej wściekłości i była zdolna do przemiany, zobacz to!

Sigurd był opanowany jak zawsze, jego jasne oczy lśniły w półmroku dogasającego paleniska. Przekrzywił głowę, cedząc słowa:

— Dostrzegam jej odwagę graniczącą z zuchwalstwem. I widzę grzech, który już wzięła na swe barki. Zdradzając plany męża, zabija go…

— A nie wyjawiając ich, zabiłaby mnie! — Olav kopnął stojącą przed nim ławę. — Niekoniecznie armią Svena płynącą z południa. Wierzę, że Svenowi dałbym radę na morzu, nawet gdyby przypłynął wsparty przez Olofa! Diabelski pazur planu Svena tkwi w wykorzystaniu siły dziedziców z Lade. Jeśli już pozyskali panów Trondelagu, to ci są zdolni zabić mnie skrycie tu, na miejscu. Nie doceniłem synów jarla Hakona. Myślałem, że uciekli z kraju i odpuścili sobie marzenia o powrocie. Nie doceniłem wagi małżeństwa Erika z Gydą. Tak bardzo skupiłem się na uczynieniu Norwegii podległą Panu, że popełniłem grzech zaniechania.

— Patrzyłeś daleko, nie widziałeś blisko — westchnął ciężko Sigurd. — Mimo to uważam plan królowej Sigridy za ryzykowny. Chociaż z drugiej strony… W jej pomyśle tkwi geniusz pokoju. Ona na tronie duńskim, ty na

norweskim, jej syn na szwedzkim. Po raz pierwszy trzy królestwa zjednoczone, pozbawione wobec siebie agresji… Wizja tak kusząca, aż czuję dreszcz… A jednak ten trójstronny pokój zaczyna się od zdrady i na zdradzie musiałby się skończyć, bo żeby się ziścił, byłbyś zmuszony oddalić od siebie królową Tyrę.

— Zmuszony to złe słowo, Sigurdzie — wolno powiedział Olav. — Poznaj prawdę, biskupie. Z radością odeślę Tyrę i stanę przed obliczem Boga ze Świętosławą Sigridą. Śni mi się to od piętnastu lat.

ŚWIĘTOSŁAWA robiła wszystko, by wstrzymać poród. Sven obiecał, że będzie przy narodzinach dziecka, a ona wiedziała, że Olav potrzebuje jeszcze trochę czasu, by zebrać siły. Była pełnia lata. Wrzask i Zgrzyt dusiły się we dworze. Ziajały. Dzień i noc słyszała ich przyspieszone oddechy. Ach, gdyby mogła być przy niej Astryda! Jej mądra, znająca tajniki ziół siostra coś by wymyśliła! Melkorka na wszystkie dolegliwości miała tylko jedną radę: „Zaparzę ci rumianku”. Rzygała rumiankiem. Nie mogła jeść ani spać, ale to oznaczać mogło tylko zbliżający się dzień narodzin, ona zaś pragnęła odsunąć je od siebie jak najdalej. Dać mu czas.

Nieobecność Duszy działała na nią drażniąco, choć ani razu nie żałowała, że to ona popłynęła do Olava. Dusza wszystko wie. Dusza go przekona — powtarzała w myślach. — Dusza to ja.

— Może ugotuję ci coś, pani? — spytała jasnowłosa Vali, stając w drzwiach alkowy.

Świętosława od tygodnia nie wstawała z łoża nie dlatego, że nie mogła chodzić, ale po to, by opóźnić porodowe skurcze.

— Vali… — jęknęła, udając, iż ledwo żyje. — Nie mogę z tego upału jeść. Chcesz mi pomóc, piękna dziewczyno?

— No przecież królowa wie — zapłoniła się.

Wiem — pomyślała. — Wiem, że Sven bierze cię do łoża, odkąd powziął zamiar tej wojny. Wiem, że znajduje w tobie ukojenie, i wiem, że się tym martwisz. Ja nie.

— Król w Roskilde? — spytała.

— Tak. — Vali się zawstydziła. — Co dzień dogląda budowy łodzi i zbiera siły.

— Dobrze. Podejdź tu, siądź na moim łożu, nie bój się.

Vali przycupnęła na krawędzi wielkiego łóżka. Ręce jej drżały. Świętosława złapała ją za palce.

— Vali, ja wiem…

Dziewczyna chciała cofnąć dłoń, lecz Świętosława ją przytrzymała.

— Nie uciekaj i nie lękaj się. Kochasz mnie?

— Tak, pani!

— A króla?

Vali zamarła.

— Jeśli kochasz króla, nie bój się. Daj mu miłość, której ja nie mogę mu dać. — Położyła dłoń na swym wielkim brzuchu. — Widzisz? Lada dzień urodzę kolejnego dziedzica. Nie mogę być z nim jak żona z mężem. A mężczyzna przed wypłynięciem na wojnę potrzebuje miłości bardziej niż wina i miodu.

— Nie mów tak, pani… — Vali zaszlochała.

— Oj, przestań! — fuknęła na nią. — Co? Mam do Svena posłać Melkorkę?

Vali zaśmiała się przez łzy. Świętosława pogładziła ją po dłoni.

— Połóż się przy mnie — zażądała.

Vali sztywno wykonała polecenie.

— Pokaż, jak kładziesz się przy królu.

Dziewczyna położyła się na boku i szepnęła:

— Pan życzy sobie tak. Nie patrzy na mnie, tylko…

Świętosława z trudem się dźwignęła. Uklękła na łożu, przewróciła Vali na plecy i usiadła na dziewczynie.

— Dziś w nocy zrób tak. Spodoba mu się. I powtórz to jutro.

Vali patrzyła jej w oczy, szeroko rozwierając powieki.

— Nie bój się. — Świętosława zeszła z niej. — Jeśli zajdziesz w ciążę, zaopiekujemy się twym dzieckiem. Wybrał cię król, to wielki zaszczyt! Idź do niego, proszę. — Pocałowała Vali w mokry od łez policzek. — Idź.

Nad ranem nie zapanowała nad skurczami. Zaczął się poród i musiała przywołać Melkorkę.

— Poślę po Vali — powiedziała gospodyni.

— Nie! Daj jej spokój! Poradziłyśmy sobie z trójką, damy radę czwartemu. Tylko ty i ja, dobrze?

— Jak rozkażesz, pani. — Melkorka kiwnęła głową.

Nim nastał świt, dziecko było na świecie.

— Dziewczynka, zdrowa, ruda — zameldowała Melkorka. — Muszę posłać po króla.

— Jeszcze nie — jęknęła Świętosława i po twarzy popłynęły jej łzy.

Przyszedł rano. Wziął dziewczynkę na ręce i uznał, unosząc nad głowę.

— Moja druga córka — powiedział chłodno. — Astryda była córką gniewu, jak nazwać tę?

— Jak chcesz — odpowiedziała Świętosława, chowając twarz w poduszce.

— Jutro wypływam, więc to córka wojny — oświadczył. — Damy jej twoje imię.

— Milczysz — dodał po chwili. — Dziwne jest to milczenie. Żona powinna życzyć mężowi zwycięstwa.

Życzę ci śmierci — pomyślała, gryząc poduszkę.

Położył dziewczynkę przy niej i wyszedł.

Gdy straż zadęła w rogi sygnał „Król opuszcza dom”, Świętosława zapłakała.

OLAV płynął na pokładzie najpiękniejszego statku, jaki widział świat. Dziewiczy rejs „Długiego Węża”. Smukły kadłub wieńczyły na dziobie i rufie wielkie drapieżne pyski smoków. Rig, snycerz, który je wyrzeźbił, miał palce zdolne wydzierać z drewna wizerunki życia. Smok na dziobnicy miał oczy płonące płytkami złota i łuski inkrustowane srebrem. Jego wygiętą szyję zdobiła przepaska z granatów rozszczepiających światło słońca lub księżyca na krwawy blask. Na rufie pysznił się drugi smok, nie mniejszy niż ten z dziobu. Różnił je wyraz rozwartego w ataku pyska. Smok z tyłu „Długiego Węża” siał jasność grozy złoconymi kłami. Trzydzieści cztery ławki. Dwakroć tyle wioślarzy. Burty obite blachą jak uzbrojony w stal wojownik. Na szczycie masztu furkotał złoty wiatrowskaz. Tak, ten sam.

Za „Długim Wężem” sunął jego starszy, lecz mniejszy brat, „Krótki Wąż”. Potem piękny i okrutny w odrapanym rysunku dziobnicy „Żuraw” pod wodzą przyrodniego brata Olava, Torkila Nosa. Za nimi kolejni pływający drapieżcy. Siedemdziesiąt jeden statków. Gorzka lekcja. Norwegia mogła wystawić trzykroć tyle, ale rację miała Dusza. Trondelag opuścił swego króla. Stanęli przy nim panowie Zachodu, mężowie jego sióstr. Ludzie Lodina, jego ojczyma. I Hårek, który z dalekich Lofotów wysłał dziesięć wielkich, zbrojnych łodzi.

Gdy dzioby jego floty wpłynęły w wody Skagerraku, zarządził postój.

— Przy ujściu rzeki Göta stajemy w dryf!

— To ostatni postój, nim wpłyniemy w Øresund. — Varin poruszył nosem. — Wiesz, czym będzie Øresund? Paszczą smoka, tak wąską, że żywa z niej może wyjść tylko jedna ze stron.

— Nie wycofam się — powiedział Olav.

— Wiem. — Varin machnął ręką. — Ty nie.

Zszedł na ląd. Chciał jeszcze raz zobaczyć te skały, sprawdzić, czy nie zwodzi go pamięć. Vigi pobiegł przodem, prowadząc go, aż stanął i szczeknął. Olav nie wiedział, że za jego plecami stoją wodzowie. Teraz usłyszał ich oddechy. Jego brat przyrodni, Torkil Nos, zapytał:

— To ona?

Olav odpowiedział pytaniem:

— Widzicie to, co ja?

— Kochankowie.

— Nad nimi kat.

Kiwnął głową. To znaczy, że umysł go nie oszukał. Omold skald położył się na skale i zaczął zrywać mech.

— Jezu… — jęknął, a reszta wodzów przypadła do niego i pomogła mu odsłonić kamień.

Ich oczom ukazała się dalsza część skalnego rytu. Łodzie, dziesiątki łodzi płynących ku swemu przeznaczeniu. Czym ono jest? Łodzie znikały nagle, a miejsca po nich znaczyły jedynie punkty. Kropki skalnych żłobień, więcej nic.

Poczuł niemal namacalny lęk swych ludzi. Położył się, przylgnął twarzą do zrytowanej obrazami skały. Chłód głazu i ziemista woń porostów. Przez chwilę uległ złudzeniu, że z głębi kamienia słychać odgłosy dawnej bitwy, krzyki rannych, uderzenia wioseł o wodę, szczęk stali. Wstał, zwrócił się twarzą do swoich i krzyknął:

— Wodzowie! Chyba nie lękacie się skalnego rytu sprzed wieków? Nastał czas Boga Prawdziwego, a to oznacza, że nam nie wypada się bać. Na łodzie! Król walczyć będzie o kraj!

— A wojowie o króla — chrapliwym głosem odpowiedział mu Varin. — W drogę! Czeka na nas gardziel Øresundu.

Wpłynęli w nią przed świtem. Jesienna mgła unosiła się nad powierzchnią wody. Było cicho, tak cicho, jakby świat nie chciał się obudzić. Przed „Długiego Węża” wysunęła się „Jesionowa Włócznia”, smukły i szybki statek Geivara. Jego druh miał odnaleźć jomswikingów czekających w jednej z zatok i dołączyć z nimi do floty Olava.

— Omoldzie — Tryggvason próbował dobudzić skalda. — Wstawaj.

— Założyłeś złotą kolczugę, panie… Zaczęło się? — Omold potarł zapuchnięte powieki.

— Tak — powiedział król.

Skald zerwał się na równe nogi i rozejrzał.

— Nie… — pokręcił głową. — Cisza i mgła. Nawet brzegów nie widać…

— Zapewniam cię, że brzegi są blisko. Øresund jest wąski. — Olav położył rękę na ramieniu Omolda. — Ostatnio płynąłem nim w sztormie.

— Królu, byłem wtedy z tobą, pamiętam. — Skald pociągnął nosem. — Mógłbym jeszcze pospać, a ty budzisz mnie przed bitwą…

— Patrz! — Olav zwrócił głowę Omolda na prawo. — „Jesionowa Włócznia” wpływa do zatoki.

— Raczej znika we mgle — żachnął się skald.

— Z tej mgły wypłynie wraz z siłami jomswikingów.

— Dlaczego na nich nie czekamy?

— Król Norwegii nie będzie płynął za zasłoną tarcz żelaznych chłopców z Jom. Popłyną za naszymi plecami.

— Aha. — Omold ziewnął.

— Może niepotrzebnie wysyłałem Hallfreda na Islandię, co? — zezłościł się Olav. — Mam żałować, że zabrałem ciebie, a nie nowego skalda?

— A tam we mgle to wyspa? — Omold obudził się w jednej chwili.

— Nie, półwysep. Właściwie są dwa, jeden na prawym brzegu, drugi na lewym. To najwęższe miejsce cieśniny Øresund. Wygodne kotwicowiska. Masz miód?

— Nie ruszam się bez niego, połowa mego talentu bierze się z miodu. — Skald podał Olavowi bukłak.

Tryggvason pociągnął łyk. I w tej chwili mgła zaczęła rzednieć.

— Na złote cycki Frei — jęknął skald i natychmiast próbował się poprawić. — Maryi… Jezu, wybacz, to Twoja Matka! Królu…

— Patrz i zapamiętuj — przerwał jego jęki Olav. — Chcę, byś zrymował każdą chwilę. Nie zapomnij niczego.

— Ta flota po prawej?

— To siły duńskie. Po lewej, za półwyspem, powinny być siły szwedzkie.

— Te, które mają nas wesprzeć? — upewnił się nerwowo skald.

— Tak. Nie widzę jeszcze floty dziedziców Lade.

— Jaką taktykę przyjmiesz, królu? Uderzysz w nich klinem?

— Nie, skaldzie. Utworzę pływającą fortecę. Mur ze statków.

— Ależ, królu! Jeśli każesz związać okręty linami, nie będzie odwrotu, nie będziemy mogli…

— Słusznie, Omoldzie. Nie zamierzam się zhańbić ucieczką.

— Ale wtedy nie będziemy mogli ich zaatakować!

— Nie chcę atakować. Chcę przyjąć bitwę. To Duńczycy zamierzali uderzyć na mój kraj. Przyjmę ich uderzenie tutaj.

— Chryste Panie, rozumiem! Chcesz z nimi zagrać na morzu w hnefatafl.

— Tak. — Olav Tryggvason skinął głową, zakładając na złoconą kolczugę purpurową królewską tunikę. Spojrzał na zapinkę. Ryba w

szponach dwóch orłów. Złapał zdobiony złotem hełm i krzyknął do załogi „Długiego Węża”: — Obrońcy króla, szykować się do bitwy!

SVEN trzymał swe statki na wodzy. Najpierw chciał płynąć na pokładzie odnowionego „Krwawego Lisa”, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, zdecydował, że wsiądzie na swą najnowszą łódź. Nadał jej nazwę „Gniew”.

Stał na pokładzie „Gniewu” i czekał, aż opadnie mgła. Zwiadowcy mówili, że to będzie dziś. Dzień wcześniej wyśledzili flotę Olava, gdy zatrzymała się na noc przy ujściu rzeki Göta, więc to musiało być dziś. Zwołał wtedy naradę wodzów i ciągnęli losy. Øresund był zbyt wąski, by wszystkie floty zaatakowały jednocześnie. Tak, przy nim było szczęście. Wyciągnął pierwszy los. Pierwszy atak.

— Są! — krzyknął Jorun. — Wysuwają dzioby z mgły!

Po załodze „Gniewu” przeszedł jęk podziwu.

— Mówili, że „Długi Wąż” jest najpiękniejszym statkiem na ziemi, ale to, co wypływa z mgły…

— To nie jest „Długi Wąż”, Jorunie — powiedział zwiadowca. — To tylko „Żuraw”. „Długi Wąż” płynie teraz.

Ktoś nie wytrzymał i cmoknął z podziwu.

— Zabiję — warknął na cmokacza Sven.

Musiał przyznać, że czegoś takiego się nie spodziewał. Statek wyglądał jak prawdziwy morski smok.

— Duńczycy! — krzyknął Sven. — Wyciągnęliśmy szczęśliwy los! To my płyniemy do ataku pierwsi!

— „Gniew” na czoło! — zawołał Jorun, chwytając ster.

— Nie — wstrzymał go Sven. — Płyną statki mych wodzów, a „Gniew” chroni króla i czeka na właściwą chwilę. Zadmij w bojowy róg.

Niski, głęboki sygnał odbił się od wody. Odpowiedzieli na niego z pokładów Ragna z Wysp, Hakona z Fionii, Gunara z Limfiordu, Stenkila z

Hobro, Thorgilsa z Jelling i jedna po drugiej szybkie i zwrotne łodzie bojowe ruszyły na ustawiające się w linii norweskie statki.

— Skuli! — przywołał skalda Sven. — Masz dobry widok?

— Tak, królu. Widzę, zapamiętuję, układam pieśń. Zacznie się tak:

Sześć dziesiątek łodzi, niczym oszczepów puszczonych pewną ręką, na rozkaz króla Svena skoczyło w toń cieśniny Øresund!

Mgły opadły, wschodziło ostre, jesienne słońce, świecąc Norwegom prosto w oczy. Nawet wschód nam sprzyja — pomyślał Sven i wspiął się na dziób „Gniewu”. Jednocześnie zobaczył czerwoną tunikę Olava i czerwony blask na szyi smoka zdobiącego dziobnicę jego okrętu.

— „Długi Wąż” wygląda, jakbym już poderżnął mu gardło — powiedział do siebie i złapał w nozdrza słoną woń fal.

Usłyszał dźwięk rogu na norweskich okrętach; widział, że Olav powiązał swoje statki ze sobą.

Chce uniknąć abordażu — pomyślał Sven. — Jest piekielnie pewny siebie. Spuścił żagle i stoi, czekając na nasz cios. Ragnie z Wysp, wiem, że to będziesz ty! Lubisz zanurzać szpony w stewach dziobowych ładnych łodzi!

— Zaczęło się! — krzyknął Jorun, doskakując do Svena.

Razem patrzyli na chmurę strzał wypuszczonych przez obie strony. Widzieli, jak duńskie zwrotne statki starają się osaczyć stojącą w miejscu okrętową fortecę Olava.

— Podziwiam cię, królu. Że też potrafisz stać w miejscu, gdy tam dzieje się…

— Pamiętasz dzień, w którym zacząłem planować wojnę z Olavem? — zapytał Sven Joruna, nie przestając obserwować bitwy.

— Dziś wydaje mi się, że o niczym innym nie myślałeś od chwili powrotu z Anglii.

— Owszem, ale tamtej nocy, gdy targała mną wściekłość, powiedziałeś: „Zrób to na zimno, królu”. I wiesz co? Posłuchałem rady.

— Tonie! Jedna z łodzi Gunara tonie! — krzyknął Jorun. — I pożar na drugiej, królu. Nie jest dobrze — gorączkował się.

Sven patrzył, jak ludzie z tonącej łodzi próbują dostać się na pokłady płynących najbliżej; jak strzały z „Żurawia” i „Krótkiego Węża” celnie trafiają załogi duńskich łodzi.

— Słyszysz? Ragn daje sygnał do odwrotu! — krzyknął zdruzgotany Jorun. — Svenie, nie poznaję cię! Stoisz, patrzysz i nic?

— Poszczerbili nas i co? Nic. To był dopiero pierwszy atak, druhu. Za chwilę nastąpi strzał, którego nikt się nie spodziewa.

— Chryste! — jęknął Jorun. — Ty naprawdę obmyśliłeś to na zimno.

SIGVALD stał na pokładzie „Zelandzkiego Sokoła” i patrzył, jak odpływa „Jesionowa Włócznia” z Geivarem na pokładzie. Nie miał złudzeń; wiedział, że wódz domu zwiadowców, choć złożył przysięgę na wierność Jomsborgowi, nigdy nie przestał być w pierwszej kolejności człowiekiem Olava. Mógłby dać swym chłopcom rozkaz i zdążyliby wystrzelać z łuków pół załogi „Jesionowej Włóczni”, ale wiedział, że tego nie zrobi. Nie splami się przed nimi takim rozkazem.

— Geivar od tej chwili przestaje być wodzem domu! Nie ma dla niego miejsca w warowni! — krzyknął tak, by wszystkie załogi usłyszały. — Pierwszym prawem Jom jest bezwzględne posłuszeństwo jarlowi, a Geivar je złamał! Jomswikingowie, szykujcie łodzie do bitwy! Atak poprowadzi mój brat, Thorkel Wysoki!

— Wodzu! — zawołał jasnowłosy chłopak z domu zwiadowców. — Mieliśmy walczyć po stronie Tryggvasona! W Uroczysku mówili, że razem

z Norwegami uderzymy na Duńczyków!

Sigvald się roześmiał i chwycił za liny.

— Jomswikingowie nie słuchają plotek w Uroczysku! Jomswikingowie wypełniają rozkazy wodza. Płyniemy wbić Norwegom włócznię w plecy. Gotowi? Do wioseł!

— Jom! Jom! Jom! — zawołali wojownicy z domu żeglarzy i pierwszy z pięćdziesięciu okrętów ruszył. Z jego pokładu Thorkel, brat Sigvalda, zadął w bojowy róg.

Długi wąż wysuwających się z zatoki okrętów płynął ukąsić „Długiego Węża".

Sigvald stał z obnażonym mieczem na pokładzie dziobowym. Widział, że „Jesionowa Włócznia" Geivara już dopłynęła do linii statków Tryggvasona. Zaraz powinni zacząć przegrupowanie — pomyślał. — Za chwilę Olav się dowie, że Sven dał nam wyższą stawkę niż Świętosława i jej brat. Za chwilę na pokładach norweskich łodzi zapanuje chaos, panika i lęk. Będą wzięci w kleszcze i w kleszczach zginą.

Nieprawda. Sven nie przebił stawki. Sigvald parł do ataku, by zagłuszyć wyjący w nim ból. Przysiągł kiedyś Astrydzie: „Tak długo jak ty będziesz mi wierna, ja i Jomsborg będziemy wierni tobie". Cenił srebro, ale miał go dość, by stać go było na wzgardzenie zapłatą. Wzgarda, dobre słowo. Splunął przez burtę. Wciąż czuł w ustach niesmak wzgardy, którą nakarmiła go Astryda. Skończyło się! Kobiety to wyjątkowo jadowite istoty. Potrafią zadać śmiertelny cios bez pozostawiania ran. Podejrzewał ją od dawna, ale tłumił w sobie nieufność, zapijał ją winem. Gdy na naradzie z księciem Bolesławem usłyszał, jak się wyrwała gniewnie: „Dlaczego Tyra ma wyjść za Olava?!", gdy zobaczył najprawdziwszy rumieniec na jej policzkach, rumieniec, którego nigdy nie miała przy nim, ocknął się ze snu. A potem słodkie słowa Olava o niej — „Takich kobiet jak twoja żona należy strzec"

— utwierdziły go w przeczuciu, że Astrydę i Tryggvasona łączy coś, co nie powinno. I zimna zniewaga potrójnej przegranej, gdy zagrali w zapasy pod wodą. Nie mógł mu tego darować. Od tamtej chwili wiedział, że musi mieć się na baczności, że nie pozwoli się wykorzystać. Na Odyna i Thora! Jest wodzem Jomsborga, a nie sługą! „Niech Sigvald wykona mój rozkaz". Albo jeszcze gorsze: „Przekaż mu". Jakby był chłopcem pokładowym, a nie jarlem żelaznych ludzi! Gdy Astryda wróciła z Gniezna, od książęcego brata, zwarli się w kłótni. Jego żona była niczym burzowa chmura, poganiała go. „Bolesław rozkazał ci stanąć przy boku Olava, spiesz się, nie ma czasu. Geivar razem z Duszą popłynął z Roskilde do Nidaros, Sigvaldzie, rusz się!". Nie zauważyła, że nie odpowiadał. Potem uległa mu w łożu, zawsze ulegała. Rozkładała przed nim nogi, jęczała, wiła się niczym kotka w rui. Ale gdy w nią wszedł, zrozumiał, że dał się nabrać kolejny raz. Była sucha. Nie miała w sobie ani kropli wilgoci. Jęczała, udając rozkosz, ale jej łono nie potrafiło łgać. Udawał, że tego nie zauważył. W odwecie wziął ją brutalnie, gwałtownie, aż usłyszał w jej krzyku prawdziwe uczucie: ból. Potem ją przytulił i pogłaskał. Szeptał do ucha, że popłynie. Uzbroi łodzie, pięćdziesiąt statków z wilczym pyskiem na żaglu, pięćdziesiąt słynnych łodzi z Jom. „Stanę przy boku Tryggvasona. Obronię jego flanki i plecy. Wyjdzie z tego cało i zdrowo, nasz przyjaciel, nasz norweski król". Szeptał jej raz w prawe, raz w lewe ucho o tym, jak odwiedził go w Nidaros. „Posłuchaj: Biały koń, biały pies, piękny, białowłosy król. Gdy idzie między poddanymi, ludzie klękają na jego widok. Pływałem z nim, wiesz? Nasi żeglarze z Jom mają ramiona i plecy wyrzeźbione od pracy przy wiosłach, ale mówię ci, Astrydo, gdy Olav zdjął koszulę, zamarłem". Jęknęła dokładnie w tej chwili. Na „Olav zdjął koszulę". Wsunął palce pomiędzy jej nogi i nie musiała nic mówić. Sekret Astrydy stał przed nim otworem. Oto szczerość kobiecego łona. Pocałował

ją i udał, że chce spać. Nie spał. Słuchał jej równego oddechu i myślał o tym, jak się zemścić. I zrozumiał, że ta zemsta przetnie wiele złych spraw. Wypowie posłuszeństwo Bolesławowi. Posłuszeństwo, które przed laty narzucił mu Mieszko w zamian za poparcie w wyborach na jarla Jom. Czasy się zmieniły i teraz nic nie zagrażało jego pozycji, nie musiał płaszczyć się przed dumnym księciem. A zabijając Tryggvasona, zmaże hańbę ucieczki sprzed lat. Z zatoki Hjørung, spod natarcia norweskich wojsk. Pokaże, że on, Sigvald, nie boi się rzucić na króla.

Dopływali do ruf floty Olava. Zaklął, bo na tyłach króla stały mniejsze jednostki. By dostać się na „Długiego Węża", by dosięgnąć Olava, musiałby przebić się do przodu.

— Mają powiązane burty — zameldował wojownik z dziobu „Zelandzkiego Sokoła".

— Musimy poczekać, aż przyjmą z przodu uderzenie króla i odwrócą uwagę. Wtedy podpłyniemy bliżej, zarzucimy gradem strzał i pod osłoną łuczników i tarcz odetniemy pierwszy z brzegu statek. Jak wskoczymy na niego, to wykorzystamy ich pływającą warownię i będziemy mogli iść z pokładu na pokład, czyszcząc je z ludzi.

— Tak jest!

No i pięknie! — pomyślał Sigvald. — Wystarczyło pozbyć się złudzeń co do Astrydy i wszystko stało się prostsze. Życie znów nabrało barw!

— Jarlu! — Zdyszany czerwonolicy chłopak dobiegł do niego. — Twój brat Thorkel przekazuje wiadomość, że po przeciwnej stronie pływającej fortecy Olava zauważył „Słoną Siostrę".

— Co?! — wrzasnął Sigvald. — A to suka!

„Słona Siostra" była łodzią Astrydy.

— Thorkel pyta, co robić.

— Traktować jak wroga — zimno rozkazał Sigvald.

OLOF stał na dziobie swojej pierwszej wojennej łodzi. Nazwał ją „Złotą Tarczą” i powiedział swym ludziom, gdy wypływali z Sigtuny: „»Złota Tarcza« zawsze będzie bronić was i mego królestwa!”. Tak pragnął tej bitwy, że nie mógł jeść i spać. Stał się już mężczyzną w łożu. Potrafił przytrzymać przy sobie dziewczynę do rana, dać jej rozkosz, nie wybuchać za wcześnie. Teraz chciał stać się mężczyzną na polu chwały. Prawdziwym królem dla swych ludzi. „Tryggvason w jego wieku już pokonał…”. Tak. Olof był we właściwym wieku, by pokonać w sobie chłopca, by dowodzić bez Wilkomira pilnującego każdego kroku i ruchu. „Wyżej łokieć. Zasłona. Tarcza za nisko. Osłoń się, bo stracisz zęby po odbiciu sztychu! Pchnij, teraz! Za wolno. Za późno. Już nie żyjesz. Wstań, ćwicz. Mężczyzna się nie poddaje”. Miał dosyć ćwiczeń na placu. Koniec z tym! Prawdziwy król w bitwie dowodzi swego męstwa.

— Ruszamy! — krzyknął. — Pod moją komendą… za „Złotą Tarczą”… naprzód!

Stał na dziobie, w hełmie, w kolczudze. Ściskał w dłoni miecz, a na stali lśniło słońce.

— Ojciec byłby z ciebie dumny, panie! — pochwalił go wojownik wielki jak niedźwiedź.

Ojciec tak. Ale matka? Otrząsnął się.

By stać się mężczyzną, muszę zabić w sobie synka mamusi — pomyślał twardo.

— Na pływającą fortecę Tryggvasona… ile siły w wiosłach! — zawołał i sześćdziesiąt łodzi ruszyło, prując fale.

Wyciągnął trzeci los.

Zdradził swym wodzom plan zaraz po spotkaniu z królem Svenem na wyspie w cieśninie Øresund. „Najpierw Sven, potem jomswikingowie z

tyłu i trzecie natarcie my. Jeśli ktokolwiek z floty Olava przeżyje, czwarty cios zada mu jarl Erik z Lade, choć wolałbym, by padł pod naszymi toporami”. „My też!” — zakrzyknęli wodzowie. Połowa z nich pływała z Erikiem.

Gdy wymógł na Wilkomirze pozostanie w Sigtunie, mówiąc: „Czynię cię namiestnikiem królestwa”, nie było przy nim nikogo, kto by znał przewrotną prośbę jego matki. Zawołanie do zdrady. „Wystąpisz przy Svenie, by się nie zorientował, ale gdy przyjdzie czas bitwy, odwrócisz łodzie i staniesz przy Olavie”.

Nigdy! Nie splamię się zdradą w pierwszej bitwie, matko — tłumaczył jej to w duchu. — Nie mogę. Nie chcę. Ty i twój jasnooki drapieżny Olav zrobilibyście ze mnie na powrót chłopca. A Sven rozumie, że jestem mężczyzną. Obiecał mi trzy rzeczy, których pragnę. Zwycięstwo, chwałę i żonę. „Tryggvason zginie, Olofie, bo nie będzie miał szans. Nasze połączone siły zmiotą go, więc twoja pierwsza bitwa będzie bitwą wygraną. I na wieki zyskasz sławę tego, co walczył w starciu trzech królów. Skuli już układa pieśń, wybornie rymując Olofa z Olavem. A gdy tylko podzielimy owoce zwycięstwa, znajdę ci księżniczkę godną twego łoża. Piękną pannę wysokiego rodu, którą uczynisz swoją królową. Na razie, jako zapowiedź przyszłych rozkoszy, przyjmij ode mnie niewolnicę. Ma na imię Edla i jest słodką Słowianką”. Nie skłamał. Była słodka. To ona nauczyła go, jak wytrwać w miłosnych zmaganiach. I jej mowa, mowa jego matki, czyniła Edlę w łożu zdobyczą podwójnie przyjemną.

„Złota Tarcza” wciąż jeszcze płynęła na żaglu wspieranym jedynie siłą wioseł. Przepływając obok pozycji duńskich, pozdrowił uniesionym ramieniem króla Svena. Rude włosy męża matki tańczyły na wietrze, jakby głowę Svena ogarnęły płomienie. Wojownicy na burtach napinali łuki.

Dowodził nimi Vestar z Uppsali. Jego szwagier, Toki, miał komendę na rufie, nad topornikami.

Zobaczył „Długiego Węża” i pomyślał, że trzeba wielkiej pychy, by sprawić sobie tak olbrzymi statek. Sześćdziesięciu ośmiu wioślarzy. Pokład, na którym mieściło się dwustu wojów.

Do mojej matki przypłynął skromnie, w trzy łodzie. Każda miała zdartą stewę dziobową, co oznacza drapieżcę ze śladami krwi na pysku. Gdyby przypłynął wtedy „Długim Wężem”, może moją hardą panią matkę skusiłaby jego propozycja. Ale nie miał dla niej tyle szacunku. Przybył jak żebrak, prosić, by to ona wsparła jego. Pomylił się. Sigrida Storråda, królowa Szwecji, nie przyjęła obdartusa bez tronu. Teraz, kiedy jest już sławny na całą Północ, zmieniła zdanie. Za późno, mamo. Za późno. Twój mąż bardzo cię kocha i nie odda cię bez walki. Twój syn stoi u jego boku i wystarczyłoby nas dwóch, by pokonać twego kochasia. Ale tak się stało, że jest nas czterech na jednego.

— Łucznicy… strzał! — wydał rozkaz Vestar i niebo zaczerniło się od lecących pocisków.

Ostrzał ze strony pływającej fortecy był dużo słabszy. Wystarczyło unieść tarczę. „Wyżej, zasłoń całą głowę, pochyl tarczę, grot strzały się ześlizgnie” — w jego umyśle wciąż rozkazy wydawał Wilkomir. Olof po raz pierwszy w życiu usłyszał dźwięk prawdziwej, nie ćwiczebnej strzały odbijającej się od gładkiej powierzchni tarczy. Ależ siła! Niemal poczuł ślizgnięcie na blasze hełmu. Zadzwoniło mu w głowie. Odsłonił się niepewnie.

Sternik zatrzymał „Złotą Tarczę”.

— Zwijać żagiel! — rozkazał.

Po co? — przebiegło mu przez myśl. — Aha! Żeby wiatr nie rzucał pokładem na boki! Poczuł wściekłość na Wilkomira, że nie nauczył go

reguł walki na morzu. Tylko plac i plac. Miecz, tarcza, oszczep, łuk, topór. A plac nie buja się pod stopami, gdy trzeba biec do ataku. Nagle wszystko podeszło mu do gardła. Porzygam się — jęknął. — Nie mogę! Wyśmialiby mnie!

Sternik gwałtownie odwrócił „Złotą Tarczę". Powiązane łodzie Tryggvasona uniemożliwiały podpłynięcie pod burtę i abordaż. Olof się zachwiał, musiał uklęknąć.

— Co robisz?! — zawołał do sternika.

— Wiosła! — Sternik najpierw wydał komendę, a dopiero potem mu odpowiedział: — Weźmy ich z boku, królu! Od skrajnej łodzi.

— Chcę ataku na „Długiego Węża"!

— Po kolei, panie! Nie dobierzemy się do dziobu królewskiej łodzi, ale dobierzemy się do tej zgrabnej panny, która stoi na boku! Jak Odyn pomoże, to po pokładach doskoczymy do króla w czerwonej tunice!

Dopiero teraz go zobaczył. Tak, to on! Chociaż twarz miał skrytą pod hełmem, to na ramionach widać było jego jasne, niemal białe włosy. Wzrost, szerokość pleców. To musiał być on. „Złota Tarcza" już mijała wysokie burty „Długiego Węża"; Olof, chcąc patrzeć na króla, musiałby biec na rufę. W pierwszej chwili chciał to zrobić, ale w drugiej się opamiętał. Nad głową usłyszał świst strzał. „Tarcza. Pochyl ją". Wykonał rozkaz Wilkomira. Rozkaz z placu, z bezpiecznej Sigtuny, z daleka. Strzała prawdziwa, tu i teraz. Przykucnął pod tarczą i zwymiotował. W tej samej chwili jego ludzie zarzucili na burtę norweskiej łodzi hak.

OLAV wsunął miecz do pochwy, złapał wiązkę oszczepów. Wciąż jeszcze nie miał wrogów na pokładzie, ale jego druga linia się załamała. Jomswikingowie zadali mu cios w plecy. Niemal widział Sigvalda przekrzywiającego głowę, wyciskającego z włosów wodę i uśmiechającego się krzywo, gdy przegrał walkę w wodzie. Zemścił się.

Tyłów, po stracie całej linii statków, bronili wojowie na rufie „Długiego Węża”. On wziął na siebie atak Szwedów. Jej syn — pomyślał zimno, patrząc na skręcające ostro łodzie. — Odegrał się na mnie jej syn.

Miotał oszczepy na przemian, prawą i lewą ręką. Widział abordaż z boków, ale to wciąż było o dwa pokłady dalej. Jego łucznikom krew płynęła z palców, strzała za strzałą.

— Królu! — krzyknął Varin. — Mam wiadomość od lewej. Widzisz zielony żagiel przy brzegu?

— Widzę! — odkrzyknął Olav, uchylając się przed strzałą.

— To „Słona Siostra”, łódź wolińskiej pani. Astryda przypłynęła do walki przeciw zdrajcy Sigvaldowi. Przywiodła ze sobą dwadzieścia słowiańskich łodzi. Pyta, gdzie ma się ustawić.

Astryda! Czuł, że ona nie zdradzi. Wiedział, że Sigvald wyłamał się z rozkazów Bolesława; Geivar, jego druh, dopadł do ich szeregów ledwie chwilę przed zdradzieckim uderzeniem jomsborczyków. „Jesionowa Włócznia” stanęła z nim burta w burtę, a gdy jej pokład strzaskał „Zelandzki Sokół”, dwie dziesiątki jomswikingów Geivara przeskoczyły na jego statki.

— Przekażcie, że mają stanąć w zatoce i czekać. Nie chcę, by Astryda brała udział w walce. Weźmie naszych rannych.

Rannych i zabitych. Nas wszystkich — nie powiedział tego głośno. Wycelował w sternika trzeciej szwedzkiej łodzi i zabił go. Miałem siedemdziesiąt statków. Straciłem drugą linię, zostało mi trzydzieści. Sven stracił dziesięć, zostało mu pięćdziesiąt. Olof uderzył sześćdziesięcioma. Na tyłach mam jeszcze dziesięć albo piętnaście łodzi jomswikingów. To czterokrotna przewaga sił. A jeszcze czeka mnie Erik, ile on ma łodzi? Ile wypoczętych załóg? Bóg wie. Odwrócił się i spojrzał za siebie. Strzaskane maszty i burty. Przechylone pokłady tonących statków. Skalny ryt: łodzie,

dziesiątki łodzi płynących ku przeznaczeniu znikały z kamienia, a miejsca po nich znaczyły punkty.

„Musisz coś wiedzieć, królu — powiedział mu Sigurd tamtej nocy, gdy po wysłuchaniu Geivara i Duszy zostali sami. — Chrystus, wjeżdżając do Jeruzalem w niedzielę przed męką, pozdrawiał wiwatujące na jego cześć tłumy, ale wiedział, iż jedzie na śmierć". Odpowiadam na wezwanie Świętosławy — pomyślał wtedy — nie cofnę się. To tak, jakby na mnie patrzyła, chociaż jej tam nie będzie. Sigurd przeszywał go spojrzeniem jasnych oczu i mówił dalej: „Nasz Pan tylko raz, podczas modlitwy w Ogrójcu, poprosił Ojca, by cofnął bieg zdarzeń. Ale chwilę później zrozumiał, że Jego droga wiedzie przez śmierć. Bóg oszczędził Abrahama i jego syna, Izaaka. Zaniechał próby wiary wobec zwykłego człowieka. Ale wobec swego Syna się nie zawahał. Kazał mu przejść przez śmierć, bo taka była Jego wola. Tego wymagało świadectwo wiary. Rozumiesz, królu?". Podczas tamtej rozmowy Olav trzymał w palcach broszę. Rybę rozrywaną przez dwa orły. Dwóch królów. Wtedy pojął, że Świętosława przypuszcza, iż drugi król, Olof, zdradzi. „Nie ma we mnie pychy, która pozwala utożsamić swą drogę z posłaniem Chrystusa — odpowiedział tamtej nocy biskupowi. — Lecz jeśli Bogu podoba się, bym był Jego narzędziem, to nie zboczę z tej drogi. Zaopiekujesz się Tyrą, gdybym nie wrócił?". „Jezus Chrystus został po raz pierwszy nazwany królem w chwili swej męczeńskiej śmierci — odpowiedział Sigurd. I dodał: — Tak, zaopiekuję się królową Tyrą".

— Olavie! — krzyknął Varin. — Król Szwedów kąsa nasze skrzydła, ale naprzeciw nam płynie jarl Erik, a przy nim okręty jarlów Trondelagu! Tych, od których przyjąłeś przysięgę…

„Zapiał trzeci kur” — powiedział Sigurd w głowie Olava. Król skoczył w bok po nową wiązkę oszczepów.

SVEN stał na burcie „Gniewu” i oglądał przebieg bitwy. Skuli natchniony wonią krwi i miodem wykrzykiwał kolejne strofy układanego wiersza.

Niczym gończe psy jelenia
dopadły miecze dwóch królów trzeciego.
Nie krył się w kniei,
Stał dumnie i przyjmował kąsanie sfory z męstwem.

— Skuli! — ryknął Sven. — Ja płacę!
— To tylko wstęp, panie! Słuchaj dalej!

Duńskie statki krew utoczyły z ofiary,
łodzie żelaznych braci kąsały jej tyły.
Młody Szwed rzucił się do boków znękanego wroga,
głodny posoki Erik wpłynął w gardziel smoka.

— Chyba chcesz, by płacił ci Erik!
— Królu, nie krytykuj. Poezja wymaga rozbiegu. Słuchaj!

Sfora walecznych wilków walczy razem,
lecz przewodzi jej jeden.
Krwawy król o brodzie splecionej w rozwidlone rzeki warkoczy
płynących niczym posoka w dół twarzy.
Sven, pan Dunów, wydał rozkaz i jeleń padł na kolana.

Sven stał na burcie i patrzył, jak jego zięć, jarl Erik, wpływa zbrojnym w kolce „Żelaznym Dziobem” wprost na „Długiego Węża”. Olav chwilę wcześniej kazał odciąć „Krótkiego Węża” i „Żurawia” od burt. „Żuraw” z

pokładem pełnym rannych odpłynął w bok ku słowiańskiej łodzi z zielonym żaglem. „Gniew” był tak blisko, że Sven widział, co się dzieje na łodziach. Czuł woń śmierci i krwi. Słyszał rozkazy Olava. Gdy „Żelazny Dziób” Erika z pełną prędkością płynął ku osamotnionemu na polu bitwy „Długiemu Wężowi”, zobaczył Olava wahającego się. Tak! Wreszcie „drugi wódz” zdjął hełm. Wojownik zdejmuje hełm wtedy, gdy wie, że nie uniknie śmierci. Olav krzyknął coś w głąb łodzi i podbiegła do niego kobieta. Sven czuł, jak na krótką chwilę staje mu serce. Myślał, że to ona. Jego żona. Sventoslava. Nie. To była jej służka, Dusza. Spadł jej kaptur z głowy i zobaczył płowe, nie złote włosy. Olav szepnął coś niemowie i chwycił jej twarz w obie dłonie. Pocałował Duszę w usta, zostawiając krwawy ślad palców na jej policzkach.

Pocałunek zdrady i dotknięcie śmierci — pomyślał Sven i rozkazał Jorunowi:

— Podnieś kotwicę! Płyniemy!

— Po co? — krzyknął Jorun. — Erikowi został tylko na wpół przetrzebiony „Długi Wąż”! Reszta Norwegów zginęła!

— Chcę wbić mu sztych w pierś — zawył Sven. — Płyńmy!

Gdy poczuł drgnięcie uwolnionego z kotwicy „Gniewu”, zaczął grać w porównania.

Biały król wykrwawia się!

Rudy król płynie z mieczem!

Biały król walczył!

Rudy czekał! — podpowiedział mu jakiś wredny głos.

Białego kocha królowa, rudego zdradziła, dzieci mu urodziła i zdradziła, zdradziła!

Zdradziła, zdradziła — zachichotały trolle w jego głowie.

OLAV był ranny. Spod kolczugi płynęła krew. Słyszał chrapliwy oddech Geivara za swymi plecami. Jego druh walczył z wilczymi ludźmi, żelaznymi chłopcami z Jom.

— Sigvaldzie! Chodź! — krzyczał Geivar, szczerząc malowane kły.

Przy boku Olava Varin wystawiał swoje, wchodząc w berserkerski szał. Odrzucił tarczę, hełm i miecz. Walczył nożem jak pazurem. Dusza Świętosławy poległa przed chwilą trafiona strzałą w serce. Nie przekaże swej pani posłania. Krótkiej wiadomości: „Kocham cię”. Skonała z nią na ustach. Orm przebity włócznią wisi przerzucony przez burtę. Rafn Topór Boży z nożem wbitym między łopatki walczy na kolanach. Ingvar broni się na oślep, bo jego oczy spływają krwią. Thorolf wciąż wypuszcza strzały, choć sam ma ich w tułowiu tuzin. Omold skald krzyczy z dala, z „Żurawia” unoszącego rannych:

Krwawymi zgłoskami wchodzi w grono nieśmiertelnych…

Olav otarł krew z twarzy i zobaczył „drugiego wodza”. Sven płynął ku niemu. Rude włosy duńskiego króla niczym pochodnia zapłonęły na wietrze.

Zamek w Bamburghu. „Zagramy?”. „Nie zagram z tobą w pływanie” — odpowiedział Sven. Nie? — Olav odwrócił się i otarł krew zalewającą mu oczy.

Zielony żagiel „Słonej Siostry” mignął w nadchodzącej mgle wieczoru.

Thorolf padł, wypuszczając z dłoni łuk. Geivar zębami przebił tętnice Sigvalda i nie wypuszczając go ze szponów, plując krwawą śliną w pysk zdrajcy, dusił go na pokładzie.

— Varin! — krzyknął Olav do najbliższego ze swych druhów.

Varin, berserk zamieniony w bestię, pożerał serce wydarte z piersi wroga.

— Vigi — szepnął Olav, szukając swego psa.

Vigi, kiedyś biały, zamienił sierść na królewską purpurę krwi. Czerwony pies przybiegł ku niemu i zaskomlał.

Dziób w dziób z „Długim Wężem” zakołysał się „Gniew”. Czerwonowłosy „drugi wódz” stał na dziobie, wyjmując z pochwy miecz. Złoty wiatrowskaz zaśpiewał, jakby dostał podmuch. Olav zobaczył załogę Svena. Za plecami usłyszał śmiertelne wycie Varina.

— Vigi, skaczemy! — rozkazał Olav i wyrzucił miecz. — Nie weźmiesz mnie! Nie pokonasz mnie! — krzyknął Svenowi w twarz i nakrywając się tarczą, skoczył w toń.

— Bitwa Trzech Królów dobiegła kresu! — krzyknął ktoś, lecz Olav nie wiedział kto. Był już pod wodą. Zamknęła się nad nim zimna toń.

„Mój król pływa jak ryba z głębin!” — zalicytowałby Varin, gdyby żył.

CZĘŚĆ II

Korona cierniowa

1000–1014

Księżyc wisi nisko nad pustą ziemią jak wielka srebrna tarcza. Kogo ma osłonić, gdy zgiełk bitewny dawno ucichł? Wrzosowisko puste, w oddali ciemne grzebienie lasów, czarna fala fiordu obmywa urwisko, jakby drapała skałę poszarpanym pazurem. Zimny blask nocnego światła śledzi żerującego między skałami jelenia i widzi nadciągających ku niemu przyczajonych drapieżców. Wataha bezszelestnych wilków zwietrzyła krew, która jeszcze tętni w żyłach zwierzęcia. Księżyc, blady pan nocy, nie pomoże ofierze ani nie wesprze wilków. Kołysze się nad ziemią doskonale obojętny na życie i śmierć.

ŚWIĘTOSŁAWA jak wilczyca wyła z bólu w Roskilde. Sven i jego wodzowie jeszcze nie wrócili, popłynęli do ujścia rzeki Göta, w miejsce będące granicą trzech królestw, by dzielić łupy. Ale przesłali jej wiadomość przez skalda. Skuli miał ręce tak samo zbroczone krwią, jak każdy z drużynników jej męża.

— Bitwa Trzech Królów — powiedział skald, kiedy przyjęła go w wielkiej halli w Roskilde — zakończona zwycięstwem.

Wbijała palce w podłokietniki tronu. Nie patrzyła na skalda, ale ponad jego głową w misterny ornament oplatający ściany halli. Zaciskając szczęki, wodziła wzrokiem wzdłuż rzeźbień. Wilk w długim skoku chwytał pazurami orła. Orzeł wyciągał dziób do końskiego łba. Dziki kot wpleciony w spiralny wzór rzucał się z rozwartym pyskiem do gardła łasicy. Nie było początku i końca mitycznej walce bestii. Nikt nie wygrywał. Jedno zwierzę trzymało drugie; pazurami, łapami, zębami. Jeszcze mogła się łudzić.

— Królowo — zapytał skald — słyszałaś?

Z trudem wydobyła głos.

— Mów, Skuli. Opowiadaj, jak było.

— Król Sven odniósł wspaniałe zwycięstwo…

Nie chcę tego słyszeć — przebiegło jej przez głowę.

— …zjednoczone wojska pokonały Olava. Przed bitwą ciągnęli losy i pierwszy uderzył nasz król. Trzeci atak przypadł w udziale twemu synowi, Olofowi Królowi Szwedów. Czwarty był jarl Erik…

Boże! — Jej serce niemal stanęło. — A więc nie myliło mnie przeczucie, Olof zdradził. Był drugim orłem, który wbił pazury w lśniącą rybę. Ciągnęli losy… jak żołdacy o płaszcz Zbawiciela.

— Król Olav Tryggvason liczył na wsparcie jomswikingów, ale jarl Sigvald trzymał swe siły na uboczu i gdy zobaczył, że Olav jest bez szans, zadał mu cios w plecy, uderzając ze swą flotą na jego tyły.

Chryste! — jęknęła w duszy. — I on zdradził…

— Tryggvason, gdy tylko zajął pozycje, kazał powiązać swe statki linami. To był jego błąd. Stworzył pływającą fortecę, która stała w miejscu. Nie mógł uciec…

On nie chciał uciekać. Chciał wygrać. Nie wiedział, że zdradzą go dwaj sprzymierzeńcy.

— …bronił się dzielnie — ciągnął Skuli. — Trzeba mu to przyznać. Odcinał kolejne statki pełne poległych…

Trupie okręty — myślała. — Jak w opowieści o Ragnarök. Czy to była bitwa u kresu czasów? Tak. Teraz zapanują ciemności i skończy się świat, jaki znam.

— …aż wreszcie, gdy ginęli ostatni obrońcy na „Długim Wężu”, gdy król Sven zadawał ostateczny cios, Olav, nie chcąc oddać się w nasze ręce, nakrył się tarczą i skoczył do wody.

— Utonął? — spytała chrapliwie.

— Nie wypłynął. Wielu dzielnych ludzi poszło tego dnia na dno cieśniny Øresund.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

— Pani! Ciesz się i świętuj! Korona Norwegii jest twoja! Wiesz, jak od dzisiaj będą o tobie mówić? Pani trzech tronów! To wielki, wielki zaszczyt… Królowo Sigrido, król Sven zaprasza cię…

Poczuła szarpnięcie. Wrzask i Zgrzyt wstały i szarpnęły za smycz. Bez słowa dała się wyprowadzić rysiom. Ciągnęły ją na wrzosowiska za Roskilde. Biegła, potykając się o suknie. Dopiero gdy minęła ostatnie zabudowania, upadła na kolana i zawyła z bólu jak śmiertelnie ranione zwierzę. Rysie biegały wokół niej. Uniosła twarz wykrzywioną spazmem. Podmuch wiatru targnął jej włosami. To był wiatr ze wschodu, znad Øresundu. Wciągnęła jego woń. Niósł krew, sól i śmierć. Tak, to już nie jest ból. To cierpienie. Zgrzyt i Wrzask położyły się przy jej bokach i ciężko ziajały.

OLOF wrócił z uczty zwycięzców urządzonej przez Svena w pięknej kotlinie przy ujściu rzeki Göta. W Sigtunie przywitała go Edla. Jej uściski w pierwszą, drugą i trzecią noc po powrocie były słodkie. Odnalazł w ciele kochanki pocieszenie i prawdziwy smak tryumfu. Ilekroć w nią wchodził, czuł, jak trzeszczą burty i pokład „Złotej Tarczy”, gdy uderza w bok pływającej fortecy. Za każdym razem, gdy Edla drżała, krzycząc w jego ramionach „mój król!”, zmywał z siebie wstrętną woń tchórzliwych wymiocin, których nie mógł powstrzymać. Ciało i miłość Edli go oczyszczały. Tak. Stanął do Bitwy Trzech Królów po stronie zwycięzców. Dlaczego nie czuł się bohaterem? Dlaczego wciąż pamiętał, jak kuca na pokładzie i nakrywa się tarczą? Widzi falę wdzierającą się na pokład łodzi i boi się.

— Edla, daj mi wina!

— Nie miodu? — Jego kochanka się przeciągnęła. — Odkąd to mój król pije wino?

— Odkąd je dostałem w prezencie od króla Svena! — krzyknął w gniewie.

Usiadł na łożu. W ustach wciąż miał słony smak Edli, ale rozkosz gdzieś odpłynęła. Otarł czoło. Dziewczyna narzuciła na siebie płaszcz i wyszła z alkowy po wino. Gdy został sam, odruchowo się zgarbił. Nie musiał być królem. Podciągnął kolana pod brodę. Drzwi alkowy się otworzyły. Nie podnosił głowy, myśląc, że Edla wróciła.

— Olofie… — w mroku zabrzmiał głos Wilkomira.

Olof wyprostował się jak na komendę.

— Olofie, właśnie wróciłem z Uppsali i dowiedziałem się, co zaszło w Øresundzie. Coś ty zrobił?!

— Jak śmiesz się tak do mnie odzywać? — powiedział, zakrywając nagość błamem lisiego futra. — Jestem królem, a ty…

— Królem? — Wilkomir podszedł do niego miękkim krokiem drapieżnika. — Jaki król łamie słowo?

— To ona chciała, bym je złamał! — krzyknął Olof i usłyszał, że jego głos zabrzmiał jak u chłopca, nie jak u mężczyzny. — To ona kazała mi zachować się jak podły zdrajca!

— To nie „ona”. To twoja matka. Królowa Szwecji i Danii. — Oczy Wilkomira zalśniły w mroku.

— A teraz, dzięki mnie, królowa Norwegii! — odgryzł się.

— Myślisz, że podziękuje ci za ten tron? — Wilkomir krążył wokół łoża jak ryś matki. Ten chudy, Wrzask. Olof poczuł lęk. — Zdradziłeś ją — syknął Wilkomir. — Zachowałeś się jak tchórz.

— Milcz! Jestem zwycięzcą! Moi wojowie…

Wilkomir pochylił się nad nim i położył mu ręce na ramionach. Patrzył na niego z tak bliska, że Olof widział każdą bruzdę na jego twarzy.

— Tak, wygrałeś bitwę, dostałeś łupy, twoi ludzie powiedzą, że to była dobra wyprawa. Ale ty do końca życia będziesz synem, który zdradził. Królem, który wziął udział w bitwie, w jakiej trzech stanęło przeciw jednemu. I wiesz? Jestem pewien, że skaldowie, nawet ci opłacani przez każdego z was srebrem, w strofach o Øresundzie oddadzą hołd Olavowi. Miłość ludzi jest przy zwycięzcach, to prawda. Ale w każdym wierszu będzie mowa o trzech na jednego. Czas was osądzi, młody królu.

— Więc ty się powstrzymaj od sądu, Wilkomirze, mój nauczycielu — szepnął.

— Albo ja byłem złym nauczycielem, albo ty złym uczniem, Olofie. To, co zrobiłeś, było niehonorowe. Nie tego cię uczyłem. Wypowiadam ci służbę i odchodzę. — Wilkomir puścił jego ramiona i wyprostował się.

— Idź do diabła! Nie chcę cię więcej widzieć! — krzyknął szczerze Olof. — Tak, byłeś złym nauczycielem! Nie przestrzegłeś mnie, że pokład łodzi chwieje się na boki, że trudno utrzymać równowagę pod ciężarem tarczy i miecza! Źle mnie uczyłeś, ale ja i tak dałem sobie radę!…

Zamilkł, bo zorientował się, że Wilkomira już nie ma w alkowie. Wyszedł bez pożegnania. W drzwiach stała Edla z dzbanem wina, wystraszona jego krzykiem.

— Co się tak gapisz? — zrugał ją. — Nalej mi!

Zbyt gwałtownie uniósł kielich i wino popłynęło mu po brodzie. Zapuszczał ją; nie była gęsta jak u ojca, przypominała raczej porosty. Otarł wino. Edla usiadła obok niego i objęła go ramieniem.

— Nie złość się, mój królu. Jesteś bohaterem. A bohater potrzebuje następcy. — Pocałowała go w policzek. — Noszę w łonie twoje dziecko, Olofie.

— Syna? — Zachłysnął się po raz drugi.

Roześmiała się i położyła głowę na jego ramieniu.

— Nie wiem…

Teraz czy kiedy indziej? — pomyślał. — Jestem twardy, powiem jej od razu.

— Edla, nadchodzą zmiany. Muszę się ożenić.

Oplotła go ramionami i przylgnęła wilgotnym pocałunkiem do jego piersi.

— Będę zaszczycona…

— Nie będziesz — powiedział cicho. — Nie ożenię się z tobą, zwariowałaś? Jesteś tylko nałożnicą, branką.

— Matką twego następcy! — jęknęła.

— Mego dziecka — poprawił ją. — I przysięgam ci, nie wyprę się ani dziecka, ani ciebie. Ale moją żoną zostanie księżniczka Astryda.

— To jeszcze dziecko! I córka twej matki, przyrodnia siostra… — protestowała.

— Nie, nie ta Astryda, inna. Córka obodryckiego księcia. Sven, mój ojczym, wybrał ją dla mnie. Przywiezie wielki posag…

— Po co ci jej posag? Jesteś bogaty, Olofie!

Złapał ją za ramiona i oderwał od siebie.

— Edla, opanuj się! Nie możesz być moją żoną, nie jesteś dość wysoko urodzona! Nawet jeśli snułaś takie marzenia, pozbądź się ich. Życie królów nie należy do nich, rozumiesz?

— Nie — załkała.

— No i dlatego nie możesz być żoną króla. Nic nie rozumiesz. Nie nadajesz się.

— Przestań, przestań… — szlochała. — Mówiłeś, że umiem dać ci rozkosz…

— Umiesz — potwierdził. — I dlatego cię nie odeślę. Zostaniesz w Sigtunie i będziesz robić to, co potrafisz.

Chwilę później położyła się na nim, by pokazać, że potrafi. Brał rozkosz, którą mu dawała, pił wino kielich za kielichem, aż w końcu oddalił od siebie twardy i niedobry obraz pleców Wilkomira, który go opuszczał.

SVEN na pokładzie „Gniewu” wracał do Roskilde. Czekał w wielkim obozie przy ujściu rzeki Göta na Świętosławę i nie doczekał się. Wysłał do niej skalda, ale najwidoczniej Skuli nie umiał skłonić królowej do przybycia na radę zwycięzców.

— Znów postawiła mnie w niezręcznej sytuacji! — warknął do Joruna i splunął przez burtę.

— Daj spokój, królu. Taka już jest nasza Harda Pani — uspokajał go druh. — Cieszmy się ze zwycięstwa. Swoją drogą, wciąż nie mogę uwierzyć, że Tryggvason wpłynął do Øresundu. W Anglii, jako drugi wódz, był dużo rozsądniejszy.

A uwierzyłbyś w prawdziwe motywy, gdybyś je znał? — ponuro pomyślał Sven.

— I wiesz co? — ciągnął Jorun. — Zastanawia mnie ta dziewczyna na pokładzie „Długiego Węża”. Widziałeś ją?

Sven odwrócił głowę, wiatr targnął jego rudymi włosami i zasłonił mu twarz.

— Miałem wrażenie, że ją znam, że już gdzieś ją widziałem…

— Dziewczyna jak dziewczyna — mruknął niechętnie Sven. — Podobna jedna do drugiej. Dowód, że świątobliwy Olav miał jakąś na boku, poza moją siostrą. Jakie to ma znaczenie, skoro i Tyra nie żyje? Zawsze była tchórzliwa, bała się odebrać sobie życie żelazem, więc na wieść o śmierci męża zagłodziła się na śmierć. Głupia Tyra, wybaczyłbym jej zdradę i mógłbym znowu wydać za mąż jako królową wdowę.

— Masz rację — przyznał Jorun i przestał męczyć go dziewczyną.

Wpływali w Roskildefiord, dmąc w rogi sygnał „Wraca zwycięski król”. Jeszcze się łudził, że Świętosława zachowa się jak trzeba i wyjdzie na przystań, by powitać go, jak na królową przystało. Ale w ciżbie wypełniającej nabrzeże byli wszyscy prócz niej.

— Harda Pani pewnie we dworze, pilnuje powitalnej uczty… — odezwał się Jorun.

Bzdura. Sam nie wierzysz w to, co mówisz, a mimo to jej bronisz — pomyślał Sven, ale nic nie powiedział.

Czekała na niego w wielkiej halli z pięcioletnim Haraldem i trzyletnim Knutem u boku. Miała na sobie suknię w barwie popiołu i ta szarość wzbudziła w Svenie nadzieję na pojednanie.

Chce się ukorzyć — pomyślał. — To dobry znak.

Ale kiedy zbliżał się do niej, wstała i obydwa rysie zerwały się jak na zawołanie, warcząc głośno. Zmarszczył brwi. Koty wręcz rwały się z jej smyczy.

— Pani, tak nie będziemy rozmawiać. Każ je odprowadzić.

Nie odpowiedziała. Przywołała Wilczana ruchem głowy i dała mu smycz. Chłopak z trudem zapanował nad rysiami, ale w końcu wyprowadził je z halli.

— Żono, czekałem na ciebie w obozie zwycięzców. Skuli nie przekazał ci zaproszenia?

— Przekazał — odpowiedziała.

— Dlaczego nie przypłynęłaś?

— Wiatry były niepomyślne, a nasze córki chorowały — odpowiedziała. Na jej twarzy nie odmalowało się najmniejsze uczucie.

Potargał rudą czuprynę Haralda i jasną Knuta. Chłopcy stali sztywno, jak matka.

— Wyzdrowiały? — spytał i rozejrzał się za Melkorką i Kózką.

— Jeszcze kaszlą. Heidi się nimi zajmuje.

Nagle zaświtała w nim jakaś nadzieja, że żona nie kłamie.

— Chcę je zobaczyć — powiedział. — Teraz.

— Jak sobie życzysz, królu.

Odwrócił się do gości i krzyknął:

— Bawcie się! Pijcie, jedzcie, weselcie! Za chwilę z królową do was dołączymy!

— O tak! Nie ma słodszego powitania niż w alkowie żony! — wrzasnął pulchny Uddorm z Viborga. — Takie powitania często powiększają rodzinę!

Halla odpowiedziała mu śmiechem. W jednej chwili zapanował gwar. Spojrzał na Świętosławę i skinął jej głową. Ruszyli do alkowy. Drzwi pilnował jeden z toporników Hardej.

— Idź, baw się. — Sven klepnął go w ramię.

Chłopak skinął mu głową, ale nie ruszył się spod drzwi. Weszli do środka. Kózka siedziała przy łożu jego żony, a obie dziewczynki spały.

— Są zdrowe? — zapytał piastunki.

— Jeszcze nie, panie — odpowiedziała. — Gorączkują.

Dotknął czoła jednej, potem drugiej. Były rozpalone. Powinien się zmartwić, ale ucieszył się, że Świętosława mówiła prawdę.

— Heidi, Kózko, zostaw nas samych — powiedział do niej miękko. — Chcę pomówić z żoną. Zawołamy cię, jeśli będziesz potrzebna.

— Jak tam król uważa — odpowiedziała i ociągając się, ruszyła do wyjścia. — Ale jakby się rozpłakały, wołajcie. Na gorączkę najlepsza jest pierś Kózki, tak mówią i tak jest.

Gdy wyszła, odwrócił się do żony.

— Nie przypłynęłaś, bo były chore — powiedział cicho. — Jesteś dobrą matką.

Milczała.

— Przywiozłem zwycięstwo, ale o tym już wiesz. Norwegia należy do nas, królowo. Nie będę sprawował władzy osobiście, swym namiestnikiem uczyniłem jarla Erika z Lade, do Danii przyłączyłem tylko Viken. Wschodnią część kraju oddałem twemu synowi, a jego namiestnikiem będzie brat Erika, jarl Sven. To dobry i godziwy podział.

Wciąż milczała. Zaczynał wrzeć.

— Odezwij się — szepnął. — Nie rozumiesz? Proponuję ci zgodę, żono! Miałaś mnie za barbarzyńcę, ale się myliłaś. Jestem wspaniałomyślny. Jeśli ukorzysz się i mnie przeprosisz, gotów jestem wybaczyć ci zdradę.

— Wybaczyć? — powtórzyła za nim bezbarwnym głosem.

— Do diabła, ty nic nie rozumiesz! — warknął. — Przecież ja wiem o twojej zdradzie! Wiem o twoim posłaniu do Olava i do syna. Wiem wszystko! Że byłaś gotowa mnie poświęcić! Tak. Wyspowiadałaś się Ionowi, a Ion wyspowiadał się przede mną. Gdybym powiedział o tym swoim wodzom, rozsiekaliby cię w mgnieniu oka. Ale zatrzymałem spowiedź Iona dla siebie. Nawet Jorun nie wie, co zrobiłaś. Ochroniłem cię. I wiesz co, niewierna żono? Postanowiłem dać ci szansę. Jak prawdziwy chrześcijanin. Ale oczekuję głębokiego żalu za grzechy. Kobiety kochają zwycięzców, a ja rzucam ci to zwycięstwo do stóp! Olav nie żyje. Tchórzliwie skoczył w toń. Nie ma go już! Zapomnisz, że go kochałaś i…

— Kochałaś? — powtórzyła za nim głucho. — Mylisz się. Wciąż go kocham.

Miał wrażenie, że jego uszy wypełnił ogłuszający świst. Czuł, jak krew uderza mu do twarzy. Uniósł rękę i z całej siły uderzył ją w twarz. Nie zachwiała się nawet. Wyprostowała się, unosząc głowę wysoko. W tej jednej chwili wiedział, że może ją zabić. Kopnął drzwi i wybiegł z alkowy.

Gdy przebiegał przez hallę pełną gości, czuł woń pieczonego mięsa, cebuli, piwa i miodu, ale nadal nic nie słyszał. Widział ruszające się usta swych wojów, czerwone twarze wykrzywione uśmiechami, uniesione rogi i nie słyszał nic, tylko ten świst. Wybiegł na podwórzec, gdzie owionął go chłód. Zimno — zrozumiał w lot. — Zrób to na zimno. Uspokoił bieg serca, odczekał chwilę. Świst w uszach umilkł i wrócił mu słuch. W oddali dostrzegł smukłą sylwetkę Wilczana.

— Hej, wilczy chłopcze! — zawołał do niego wesoło. — Twoja pani cię szuka!

— Już biegnę, królu! — odkrzyknął chłopak.

— Zostaw mi rysie. Przejdę się z nimi. — Sven wyciągnął rękę po smycz; koty mruknęły, ale podeszły do niego ufnie.

ASTRYDA zajmowała się rannymi z Øresundu. Dalwin dał jej jedną z żeglarskich chałup na obrzeżach Wolina i trochę własnych sług do pomocy, a kiedy potrzebowała wyjechać, zastępowała ją Busla. Najgorsze były pierwsze tygodnie po bitwie. Trawiła zdradę Sigvalda, ale to, co zrobił jej mąż, nie dało się strawić.

Jesienny zmierzch zapadał szybko; narzuciła na siebie wełniany płaszcz i wyszła na przystań. W porcie stały jeszcze dwa duże fryzyjskie statki o wielkich ładowniach i wysokich burtach; słyszała, jak Dalwin mówił, że odpłyną za tydzień. Poza nimi kilka łodzi z Truso i właściwie nic więcej. Kupcy odpływali na zimowe leże.

Leszko, jej sternik, kręcił się przy „Słonej Siostrze”.

— Czas wyciągnąć łódź na brzeg — zagadał do niej. — Zimno jak pierun i lada dzień mogą nadejść przymrozki. Co myślisz, pani? W nosie mnie szczypie.

— Potrzebuję jeszcze raz popłynąć na Rugię — odpowiedziała, słuchając wody pluskającej o burty.

— No, na mój nos to już się nie da.

Leszko większość zdań zaczynał od „nie da rady”.

— Wobec tego zmienię sternika — odpowiedziała spokojnie. — Na takiego, który nie boi się krótkiej podróży przed jesiennym sztormem.

Starała się nawet nie patrzeć w stronę Jom. Nie widzieć. To zresztą nie było trudne. Od śmierci Sigvalda i Geivara w bitwie Jomsborg nie miał wodzów. Jomswikingowie zaprzestali nawet palenia nocnych ogni dla żeglarzy. Ciemność i nic więcej.

— Nie powiedziałem, że się boję — obraził się. — Powiedziałem, że nos mnie szczypie.

— Wiesz, gdzie mam twój nos? — skrzywiła się.

— Gdziekolwiek sobie życzysz, pani. Każde z twych miejsc mi się podoba.

— To bądź gotów o świcie — oświadczyła i ruszyła w stronę domu.

Z daleka usłyszała dźwięk rogu z żelaznej bramy Jom. Odruchowo policzyła. Trzy razy. Przybysze — pomyślała. — Ciekawe kto? I szybko się za to zganiła. To już nie twoja sprawa, Astrydo.

Za bramą spotkała Dalwina. Stał z kimś, kogo sylwetkę znała, choć nie potrafiła w ciemności przyporządkować człowieka do imienia.

— Wolińska pani — odezwał się i pokłonił.

Skinęła mu głową.

— Astrydo, to Bjornar — podpowiedział Dalwin i, jak jej się zdawało, wymienił z Bjornarem porozumiewawcze spojrzenie.

— Bjornar — powtórzyła.

Dalwin westchnął.

— Mówiłem ci, panie, że moja Astryda jeszcze się nie nadaje. To wszystko, co się stało, odcisnęło na niej piętno. Była tam, w Øresundzie. Z pokładu „Słonej Siostry” widziała wszystko, słyszała jęki konających,

okropne krzyki zabijanych… — Dalwin pokręcił głową. — Nie, moja dziewczynka nie może pojechać z tobą do Poznania. Musi odpocząć. Astrydo — teraz zwrócił się do niej — pan Bjornar to przyjaciel twego brata. Rudy jak wiewiórka, pamiętasz?

— Tak, przypominam sobie — odpowiedziała cicho. — Zimno mi.

— No tak, wejdźmy do domu. — Dalwin ją objął i lekko zacisnął palce na jej ramieniu. — Jesienią znad Dziwny idzie ziąb, trupi ziąb. Chodźmy, panie Bjornarze.

Gdy usiedli przy ogniu, służba przyniosła grzanego piwa z miodem i masłem.

Widziała, jak Bjornar wpatruje się w nią badawczo.

— Książę mnie przysłał — powiedział ostrożnie. — Chciałby z tobą pomówić o tym, co się stało, i o tym, co dalej, ale Dalwin mówi, że nie czujesz się najlepiej.

Skinęła mu głową w odpowiedzi.

— Może więc choć powiesz mi to, co powinienem przekazać księciu Bolesławowi?

— Sigvald zdradził — powiedziała głucho. — Olof Król Szwedów nie przyłączył się do Olava Tryggvasona, tylko zajął pozycje wraz ze Svenem…

— Tak, tak — łagodnie przerwał jej Bjornar. — To wiemy. Chcemy jednak zrozumieć, dlaczego jarl Sigvald…

Przeze mnie. Nie dość dobrze kłamałam. Nie dość dobrze udawałam miłość do niego. Mój brat tego nie zrozumie. Moja siostra tym bardziej — pomyślała, zaciskając palce na kubku.

— Nie wiem, Bjornarze — odpowiedziała cicho. — Nie mam pojęcia.

— Sigvald był tchórzem — wtrącił się Dalwin gniewnie. — Książę Mieszko źle zrobił, wydając Astrydę za tchórza! Sigvald zdradził króla

Haralda w bitwie w zatoce Hjørung i zdradził króla Svena, gdy uwięził go w Jom. Dwie zdrady zawsze dobiorą sobie trzecią! Odczekał, zobaczył, że młody Olof nie dołączył do Tryggvasona, i stwierdził, że woli przystąpić do silniejszych, ot co! Moja Astryda dość już wycierpiała przez tego…

— Daj spokój, dziadku — powiedziała łagodnie. — On nie żyje, a ja nie płaczę po nim.

— A ranni? — uważnie zapytał Bjornar. — Wywiozłaś z bitwy rannych.

— Są w chacie. — Kiwnęła głową. — Wielu nie odratowałam, ale jest szansa, że Omold będzie mówił. Wiesz, jego skald.

— A?… — Bjornar wpatrywał się w nią.

— Skoczył.

— Nie znaleźli ciała?

Pokręciła głową i z trudem hamowała łzy.

— Był ciężko ranny. I skoczył w kolczudze… — zaszlochała wreszcie.

— Rozumiem, nie ma o czym mówić. Nie płacz, proszę…

— Widziałam śmierć Sigvalda. Geivar… Geivar wpadł w szał i przegryzł mu tętnicę, jak bestia — wyrzucała z siebie słowa jak kamienie. — Po pokładach płynęły rzeki krwi! Przez burty zwisały wywleczone wnętrzności. Sine jelita, krwawe kiszki, brunatne wątroby! Widziałam drużynnika Olava, któremu odrąbano nogę i walczył na kolanach… Ach!

— Astrydo, starczy, nie płacz już. — Bjornar wyciągnął rękę i chciał ją pogłaskać.

Strąciła ją i krzyknęła na niego:

— Bo co? Mam nie płakać, bo źle się czujesz przy płaczącej z bólu kobiecie? Wywołujecie wojny, jakby to była gra w hnefatafl, a potem mówicie „nie płacz”? Powiedz memu bratu, że on jest winien tak samo jak mój przeklęty mąż! Nie powinien był układać małżeństwa Tyry i Olava. Od tego się zaczęło całe zło, powiedz mu!

Nieprawda. Zło się zaczęło wcześniej, od decyzji Mieszka — pomyślała trzeźwo. — Ale on nie żyje i nie może naprawić żadnej z nich. Dokonało się.

— Miałeś rację, Dalwinie — szepnął Bjornar — Astryda nie nadaje się jeszcze do wizyty w Poznaniu. Może później, może na wiosnę. Ale są dwie kwestie, które niepokoją księcia. Pierwsza to Świętosława, co z nią? Druga to Jomsborg. Warownia bez wodzów.

— Powiedz księciu — odezwał się Dalwin, gładząc Astrydę po rozedrganej dłoni — że jomswikingowie od czasu bitwy liżą rany. Stracili jedną trzecią łodzi, niby niedużo, ale ważniejsze od tego, że stracili ducha. W warowni rozprężenie, nie ma kto pilnować domów. Piją na umór, kłócą się, ponoć Sven nie wypłacił im za tę bitwę żołdu. Pomstują na Sigvalda, bo liczyli na walkę u boku Tryggvasona. Każdy, kto widział „Długiego Węża" pod żaglami, chce walczyć za niego, nie przeciw. — Dalwin przerwał i rozkaszlał się.

Przyjrzała mu się badawczo. Coraz częściej kaszle. Odchrząknął i dokończył:

— Tak więc, jeśli książę Bolesław wiąże jakieś plany z Jomsborgiem, powinien zrealizować je szybko. Znaleźć dobrego wodza, takiego, co twardą ręką złapie ich za pysk i odnowi dawne, żelazne zasady chłopców z Jom. Inaczej będzie po nich. — Splunął i otarł usta. — Za rok, dwa wezmą się do morskiego rabunku i tyle będzie legendy! Tak mu powiedz.

— A co ze Świętosławą?

— Moja biedna siostra — zaszlochała Astryda. — Moja biedna, biedna siostra…

Bjornar speszył się od razu i sam odpowiedział szybko:

— Książę wyśle do niej oficjalne poselstwo.

— Zły pomysł — skrytykował Dalwin. — Oficjalne poselstwo znaczy, że Bolesław wie, iż po bitwie coś się zmieniło w życiu jego siostry. Niech wyśle poufnych. Mogę dać ze swych załóg, jak dawniej robiliśmy.

Bjornar spojrzał na nią i już otwierał usta, by spytać, ale zrezygnował. Westchnęła głęboko.

— Ja nie dam rady, Bjornarze. — Rozłożyła ręce. — Nie mogę spojrzeć jej w oczy po tym, jak Sigvald ją zdradził.

— Rozumiem, nie śmiałem prosić. Może za jakiś czas, jak dojdziesz do siebie, pani. Wyglądasz bardzo słabo, bardzo…

— Pójdę się położyć — odparła i wstała z wysiłkiem.

Dalwin odprowadził ją do drzwi i wyszedł z nią przed dom. Pocałowała go w policzek.

— Nie podoba mi się twój kaszel — powiedziała do niego.

— A mi twoja wyprawa — odpowiedział, głaszcząc ją po głowie.

— Ruszam przed świtem. Gdyby Bjornar pytał jutro o mnie, powiedz, że zaniemogłam. Busla potwierdzi i go nie wpuści, to baba twarda jak żelazo. Obrócę w tydzień.

— Uważaj na siebie — szepnął.

— Bądź zdrów! — odpowiedziała i biegiem ruszyła przed siebie.

ŚWIĘTOSŁAWA krzyknęła:

— Nieee! Nie mogłeś tego zrobić!

Bała się, że serce przestanie jej bić. Sven stał przed nią, przekrzywiał głowę i uśmiechał się. Na ramionach miał wyprawione skóry rysiów. Jej rysiów. Rzucił nimi do jej stóp. Upadła i zagarnęła je do piersi.

— Wrzask… — szeptała, gładząc to, co z niego zostało. — Zgrzyt… Sven, ty piekielny barbarzyńco!

Zaśmiał się.

— Dałem ci chrześcijańską propozycję darowania win. Odrzuciłaś ją, tak jak odrzuciłaś moją miłość. Sama jesteś sobie winna! Myślałaś, że nie wiem, iż traktujesz te koty, jakby były dziećmi Olava? Dziećmi, których z nim nigdy nie miałaś i mieć nie będziesz! Wiedziałem, że dostałaś rysie od niego! Masz za swoje!

Chryste! — pomyślała. — Nawet rysie umarły przeze mnie.

Dłonie drżały jej konwulsyjnie. Szarpała palcami skóry swych kotów, nie mogła uspokoić rąk. Sven bawił się w najlepsze. Wreszcie był sobą. Wilk zrzucił skórę baranka.

— Nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś, żono. Głowiłem się nad tym, jak wyciągnąć Olava z norweskich fiordów, jak zwabić go na nasze wody. A tu proszę! Własna żona przysłużyła mi się jak nikt inny! — Zaśmiał się metalicznie, jakby szczekał. — Była tak zakochana, że zaplanowała wielką, paskudną zdradę i wysłała poselstwo do kochasia. Geivar, rozumiem. Ale dlaczego wysłałaś niemowę? Tego nie mogę pojąć. Bogu dzięki, jesteś religijna i wyspowiadałaś się przed Ionem ze wszystkiego.

Ion, ty parszywy zdrajco — jęczała jej dusza. — Jak mogłeś? Jak mogłeś wyjawić tajemnice spowiedzi. Jesteś Judaszem!

— Było mi tak przykro, gdy usłyszałem, jak bardzo mnie nienawidzisz — ciągnął Sven, potrząsając włosami. — Mogłem cię zabić albo zabić Geivara i Duszę, ale kiedyś Jorun mi poradził, bym się mścił tylko na zimno, więc oziębłem. Wtedy zrozumiałem, że dałaś mi to, czego potrzebowałem. Któż lepiej niż zakochana kobieta zwabi zakochanego mężczyznę w zasadzkę? Owszem, mógłby przypłynąć do Øresundu na wieść, że zbieram armię, by zadać mi wyprzedzający cios, ale gdyby trochę pomyślał, nie zrobiłby tego. Wiedziałby, że ma większe szanse, jeśli wciągnie nas na własne wody. No, ale wezwanie kobiety? Obiecującej mu wojska syna i jomswikingów? Nie odmawia się takim ofertom!

Słuchała go i stygła. Miała wrażenie, że jej ciało po kawałku zamienia się w lód. Zrozumiała, że Sven ją wykorzystał, a ona swoją miłością wciągnęła Olava w śmiertelną pułapkę. Zabiła jego, a teraz ukochane rysie.

— Co z Duszą? — wycharczała, unosząc głowę.

— Strzała w serce! — Rozłożył szeroko ramiona. — Twoja Dusza spoczywa na dnie Øresundu.

— Mylisz się — syknęła, patrząc w jego zadowoloną twarz. — Dusza ludzka jest nieśmiertelna i moja, choć odebrałeś mi to, co kocham, nie umrze!

— Hola, hola, moja pani! Jeszcze nie skończyłem. — Zatrzymał się i zmierzył ją gniewnie.

Wstała z kolan i powiedziała:

— Ja też.

Patrzyli sobie w oczy.

— Jesteś tchórzem, Svenie Haraldssonie — oświadczyła mu. — Tak, nazwij mnie zdrajczynią, nie zaprzeczę. Ale ja nazwę cię tchórzem, a ty nie masz nic na swoją obronę. Wykorzystałeś mnie, by zwabić go w pułapkę. Wykorzystałeś młodość i naiwność mego syna, by stanął u twego boku. Kupiłeś jomsborczyków, by zdradzili…

— Mylisz się — syknął. — Sigvald sam zaoferował swoje usługi! Nie ja do niego posłałem, ale on przypłynął do mnie.

— Łżesz! — powiedziała, choć nie była pewna. — Jaki miałby powód?

— Tego nie wyjawił, ale mam przeczucie, że powód był osobisty.

— Bzdura! — krzyknęła. — Sigvald jest chciwy!

— Być może, moja pani, ale ja nie zaproponowałem srebra! — Sven się roześmiał. — Ani jednej grzywny! Jeśli wypłaciłaś mu zaliczkę, to przepadła. Sigvald zginął i swą tajemnicę zabrał w głębiny. Może kiedyś

zdradzi ją jakiejś rybie? A tak przy okazji, już nie nosisz zapinki z rybą, którą ci podarowałem?

Chciała uderzyć go w twarz. Ta zimna kpina doprowadzała ją do pasji. Nawet nie zaprzeczył swemu tchórzostwu!

— Gardzę tobą — powiedziała.

— I dochodzimy do sedna naszej małżeńskiej rozgrywki. — Wyszczerzył zęby. — Ty mną gardzisz, ja ciebie nienawidzę. Nie możemy ze sobą żyć.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Ona zaciskała szczęki. Sven dyszał ciężko i jego twarz zaczynała czerwienieć. Wpada we wściekłość — pomyślała. — Za chwilę wybuchnie.

— Wynoś się! — krzyknął. — Nie chcę cię więcej widzieć! Mógłbym cię zabić, ale wtedy miałbym na głowie twego brata i cesarza! Mówi się, że od dnia wizyty Ottona w Gnieźnie twój brat został wyniesiony ponad wszystkich panów Rzeszy. Nie jestem głupi. Daruję ci życie, ale nie chcę cię więcej widzieć! Wsiadaj na łódź i odpłyń z Roskilde! Podaruję ci Iona na drogę. Dwoje zdrajców siebie wartych!

W pierwszym odruchu chciała mu splunąć w twarz. Opanowała się, wyprostowała i oświadczyła na jednym tchu:

— Zabieram dzieci, moich toporników, ludzi, którzy przypłynęli ze mną z Sigtuny, i wszystkie swoje skarby.

Roześmiał się, aż krople śliny skapnęły mu na rozwidloną rudą brodę.

— Moja pani… dzieci zostają!

— Nie! — wrzasnęła.

— Tak! Dzieci nie należą do ciebie, ale do dynastii. Zagrałaś o wszystko i wszystko straciłaś.

Nagle w jej pamięci cofnął się czas. Stała wraz ze wszystkimi w sali audiencyjnej poznańskiego palatium. Bolesław mówił do Ody: „Mylisz się, pani. Synowie należą do dynastii”, a ona odwróciła się na pięcie, nie

złożyła przysięgi wierności nowemu władcy i zabrała małego Lamberta i Mieszka ze sobą. Ale Bolesław nie potrzebował tych dzieci, przyrodnich braci. Przeciwnie, byli mu zawadą w drodze do jedynowładztwa, więc decyzja Ody była mu na rękę. Harald i Knut to jedyni synowie Svena. Jego następcy. Nie wypuści ich z rąk, pojęła to w lot.

— Daj mi chociaż dziewczynki — podjęła walkę. — Oddam ci je, gdy osiągną wiek zdolny do małżeństwa. Wydasz je po swojemu.

— Nie! — Błysnął zębami. — Moje dzieci nie będą się tułać po świecie ze swą wygnaną matką. Moje dzieci będą żyły w przepychu królewskiego dworu w Roskilde.

— Nie twoje dzieci, lecz nasze! — warknęła i szybko zmieniła ton. — Dobrze wiesz, że w Poznaniu dam im lepsze wychowanie. Będą miały większe szanse…

— Na co? — przerwał jej. — By stać się wilczycami podobnymi do matki? Nic z tego! Na próżno wyciągasz pazury, moja piękna. Nie oddam ci ich. Heidi je wykarmi, jak wszystkie nasze dzieci.

— Po co ci one? — spróbowała jeszcze raz. — Ożeń się znów, zrób sobie nowe dzieci, potulne, grzeczne…

— Zrobię, ile zechcę — zaśmiał się jej w oczy. — Ale nie potrzebuję do tego żony. Gdzie ja bym teraz znalazł tak dobrą partię?

Rzuciła się na niego. Nim zdążył chwycić ją za nadgarstki, podrapała mu twarz. Przyciągnął ją do siebie z całych sił. Trzymał w ramionach jak zwierzę w potrzasku. Dyszał jej w twarz. Czuła, że obudziło się w nim pożądanie. Gdyby miała choć cień nadziei, że oddając mu się, utarguje choć jedno dziecko, które pozwoli jej zabrać ze sobą, pokonałaby obrzydzenie i wstręt. Ale nie ufała mu. Pamiętała ich ostatnią wspólną noc. To było po świętokradczej spowiedzi u Iona. Wiedział już, oszukał ją. Teraz zaczął zbliżać usta do jej warg. Splunęła w nie.

— Musisz wziąć mnie gwałtem. Nienawidzę cię — syknęła.

Odepchnął ją, aż upadła.

— Nie chcę cię. — Strzepnął palcami, jakby chciał pozbyć się śladu jej dotyku. — Knujesz do samego końca. Chciałaś mnie sprowokować, bym wziął cię do łoża, zasiał w twym łonie dziecko, które mi ukradniesz, uprowadzisz z Roskilde…

— Masz pomieszane zmysły — warknęła do niego, próbując wstać. Zaplątała się w suknie. — Przysięgam, że jeśli skrzywdzisz moje dzieci, wrócę i wydrapię ci oczy!

— Do Roskilde? — zaśmiał się. — Po moim trupie! Nie zapomnij skór z rysiów, chyba że mam zrobić z nich posłanie pod mój tron.

Pochyliła się szybko i zagarnęła skóry w ramiona.

— Gdybyś chciała wiedzieć — ciągnął Sven, gładząc widły rudej brody — umierały głośno. Wrzask i Zgrzyt. Naprawdę, dobrze dobrane imiona!

Spojrzała na niego ostatni raz. Tak, usłyszała, że wymówił imiona jej kotów dokładnie co do głoski. Nie doceniła go po raz kolejny. Ale wzgardziła nim jeszcze bardziej.

BOLESŁAW zawrzał gniewem.

— Co zrobił?! Powtórz!

Ostrowod był wciąż w stroju podróżnym, bo książę przyzwał go, kiedy ten ledwie stanął w bramach Poznania. Wyglądał na bardzo zdrożonego. Wziął wdech i najspokojniej, jak się dało, powtórzył:

— Twój pierworodny syn Bezprym porzucił orszak cesarza Ottona i udał się do pustelni mnicha Romualda. Oświadczył, iż nie wraca do kraju, bo doznał duchowego olśnienia. Prosił, by ci przekazać, że zostanie eremitą i błaga o twą zgodę i ojcowskie wybaczenie.

— Nigdy w życiu! — wrzasnął książę i doskoczył do Ostrowoda. Chwycił go za kaftan na piersi i uniósł.

Jego drużynnik przyjął to spokojnie. Każdy wiedział, iż książę nie znosi złych wiadomości. Bolesław odstawił posłańca.

— Ostry — warknął na niego. — Byłeś w orszaku mego syna, by go strzec i pilnować, a nie po to, by pozwolić mu na takie szaleństwo. Co mu przyszło do głowy? Oszalał?!

— Czy książę pozwoli mi się napić? Jechałem przez tydzień, zmieniałem konie, ale sam nie odpoczywałem.

— Nie chwal się. — Bolesław poruszył nosem. — Przecież czuję, że konie zmieniałeś, a odzieży nie. Siadaj. Służba, miodu!

Książę nie usiadł. Krążył po świetlicy jak żbik. Wściekłość rozsadzała mu płuca, a myśli goniące jedna za drugą — głowę.

— Zrób coś, żebym to zrozumiał, do diabła! — wycedził do Ostrowoda.

— Jeśli mogę poprosić… — Emnilda zjawiła się bezszelestnie — to napij się, mój mężu. — Wsadziła mu kubek w dłoń i sama nalała miodu.

— Księżna ma rację. — Ostrowod otarł wąsy. — Tego na trzeźwo się nie pojmie. Pamiętasz, książę, Wielkanoc w Kwedlinburgu?

Jakżeby mógł zapomnieć, to ledwie rok temu! Przed Wielkanocą Otto III zrobił coś, czego nie uczynił przed nim żaden z cesarzy: przekroczył granice swego władztwa w celu innym niż wojna. Przyjechał z pielgrzymką do Gniezna, do grobu Wojciecha, biskupa męczennika. Bolesław przyjął go na granicy, ruszyli razem. Mały Otto wyrósł od czasu, gdy dostał w prezencie wielbłąda. Był wiotkim, ale wysokim dwudziestoparolatkiem. Młodzieńcem o urodzie anioła, idealnie złotych lokach i przenikliwym, choć nadzwyczaj mistycznym umyśle. Gdy na powitanie obdarował go królewskim darem, włócznią świętego Maurycego, wiadomo było, iż w tym spotkaniu nie chodzi tylko o świętych. „To kopia włóczni — powiedział — ale relikwia Krzyża Świętego w jej wnętrzu prawdziwa. Są tylko dwie takie na świecie, Bolizlaus. Twoja i moja. Na znak, że jesteś dla mnie jak brat”.

Cenę podał potem. „Chcę odtworzyć cesarstwo wielkie jak w złotych czasach i przekroczyć dawne granice. Wyobraź sobie cztery filary naszego świata: Galia, Italia, Germania i Sklawinia. Władcą czwartego filaru jesteś ty, Bolizlaus”. Od razu wiedział, co to znaczy: mam bronić całej wschodniej flanki. Za moją granicą kończy się cesarstwo Zachodu i zaczyna władztwo Wschodu. „Dobrze — powiedział Ottonowi — ale musisz dać mi królewską koronę, bo nie mogę być władcą równym trzem filarom bez niej. Ty się koronowałeś na króla Rzeszy, króla Italii. Chcę koronacji królewskiej”. „Podarowałem ci włócznię. To więcej niż korona. Królestwa wojowników zdobywano mieczem i włócznią”. „Nie chcę korony od ciebie, cesarzu — odpowiedział mu wtedy. — Doceniam dar. Koronę chcę od papieża”. Nie był głupi. Przyjąć koronę z rąk cesarskich to jak uznać się lennikiem silniejszego, a Otto obiecywał, że będą równi. „Dobrze, Bolizlaus, gdy wrócę do Rzymu, załatwimy sprawę z papieżem Sylwestrem. Na znak mej woli przyjmij mój cesarski diadem”. Zdjął go z głowy i włożył Bolesławowi na skronie. Ta część rozmów poszła im dobrze. Zazgrzytało przy przeniesieniu relikwii Wojciecha. Bolesław przygotował wspaniałe martyrium z czerwonego piaskowca, do którego mieli uroczyście przenieść ciało męczennika. Okazało się jednak, że Otto źle zrozumiał jego intencje i wydawało mu się, że Bolesław pozwoli na wywiezienie zwłok świętego do Rzymu. Bolesław ani myślał rozstawać się z nimi i nie chodziło mu o to, że wykupił je na wagę srebra. Chodziło mu o kult męczennika. Tłumy pielgrzymów. Baby szeptuchy, zatwardziałe w składaniu ofiar starym bogom, przy grobie świętego doznawały objawień i prosiły o łaskę chrztu. Złodzieje porzucali łupy. Chłopi zaczynali się modlić. Widział to na własne oczy. Żaden biskup nie zrobiłby tyle, co jeden święty grób. Mowy nie ma; zaparł się, że świętego nie odda. Otto niemal płakał; mówił, że dwa kościoły już dla tych relikwii ufundował. Unger

podjął się negocjacji i Bolesław zgodził się wreszcie. Dał cesarzowi całe prawe ramię Wojciecha w zamian za trzy nowe biskupstwa w Kołobrzegu, Krakowie, Wrocławiu i arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Sukces większy, niż gdy ojciec pokonał Hodona z Wichmanem na dokładkę. Własna prowincja kościelna niezależna od arcybiskupów Rzeszy. Szkopuł był jeden i na imię miał Radzim. Radzim Gaudenty. To on został arcybiskupem, a nie jego Unger. Niech to szlag! Ale Unger przełknął porażkę, dla dobra księstwa. Potem ruszyli razem z Ottonem do Magdeburga; zabrał ze sobą Bezpryma, chłopak skończył czternaście lat, był niemal dorosły. Chciał, by jego następcę poznali panowie Rzeszy; by pokłonili się przed nim jak przed Bolesławem. Gdy wjeżdżali do Magdeburga, przed ich orszakiem niesiono dwie włócznie: cesarza i jego. A Gizyler, Retar, Bernward, Idzi, Arnulf, Ramward i cała reszta saskich biskupów i możnych musieli uznać w nim, Bolesławie, kogoś lepszego od siebie. Cesarskiego brata i sojusznika. Wyraz ich twarzy, zaciśnięte szczęki, ach! Gdyby zapłacił za ciało Wojciecha złotem, też by było warto. Potem była Wielkanoc w Kwedlinburgu. Dalej Otto kierował się do Akwizgranu; chciał, by Bolesław mu towarzyszył, ale on postanowił wracać. Emnilda ledwie co urodziła mu syna, nie zdążył się dzieckiem nacieszyć. Zostawił cesarzowi Bezpryma, dołożył mu iście książęcy orszak i przykazanie: „Pokłonisz się papieżowi Sylwestrowi i w moim imieniu poprosisz o królewską koronę”. Na to odpowiedział mu Otton: „Będę się nim opiekował jak własnym synem, Bolizlaus. Da Bóg, załatwię swoje sprawy w Italii i raz jeszcze odwiedzę ciebie i to święte Gniezno. Może razem z Bezprymem przywiozę ci koronę z Rzymu”. Nie śmiał mu odmówić, ale wolał, by syn przywiózł mu koronę szybko. Cesarski orszak wlókł się niemiłosiernie; gdyby miał na nich czekać, to zdążyłby osiwieć przed koronacją. Bezprym prędzej wróci sam,

to jedno, a drugie, Bolesław nie chciał, by koronował go cesarz. Wtedy się rozstali.

— Pamiętasz, książę, że już w Kwedlinburgu twój syn zostawał dłużej po mszy? Modlił się, jakby skończyć nie mógł, jakby zapomniał, gdzie powiedzieć „amen”. No i w Akwizgranie było jeszcze gorzej.

— Ostry — skarciła go Emnilda. — Nie wolno tak mówić. To dobrze, że młody książę jest religijny.

— Dobrze, najjaśniejsza pani, to by było, gdyby był w miarę religijny. Ale jemu poszło w nadmiar.

— Cóż począć — westchnęła księżna. — W końcu jest Piastem.

Bolesław sapnął.

— Co się stało w Akwizgranie?

— Cesarz otworzył grób Karola Wielkiego. — Ostrowod przewrócił oczami. — On naprawdę ma słabość do grobów i zwłok. U nas w Gnieźnie aż się trząsł, jak Unger wydobył z trumny Wojciechowe ciało. W Akwizgranie tak samo, tyle że komora grobowa była pod posadzką i Karol został pochowany na siedząco. Bezprym był z cesarzem, gdy ten wszedł do grobu obrobić zwłoki…

— Maryjo Panno — szepnęła Emnilda.

— Wybacz, pani, ja jestem prosty ciężkozbrojny — przeprosił Ostrowod. — Mógłbym powiedzieć księżym językiem, że pokłonili się nieboszczykowi, że pobrali z niego kawałki jako przyszłe relikwie, zakładając, że Karol Wielki zostanie uznany za świętego. Że Otto łkał wzruszony, a Bezprym razem z nim, że zachwycali się, iż ciało niemal nienaruszone i tak dalej. Ale ja wiem, że mój książę lubi, bym mówił, co widziały me oczy, a nie dorabiał do tego rymu jak jaki skald. Mój książę jest tak bystry, że sam sobie zrymuje, co ja mu powiem.

— Dobrze, dobrze. — Księżna machnęła ręką. — Tylko już nie mów, że obrabiali zwłoki, proszę.

— Tak jest, jaśnie pani. Nie obrabiając zwłok, obcięli nieboszczykowi paznokcie, wyjęli ząb, odcięli brodę i zabrali płaszcz. Potem i tron.

Bolesław spojrzał na żonę. Była blada. Głęboko pożałował, że powierzył Bezpryma opiece cesarza. Nic dziwnego, że chłopak zwariował, skoro obrabiał z Ottonem trupa. Swoją drogą, ciekawe, co tak cesarza pociąga w słynnych nieboszczykach?

— Tron? — spytała słabym głosem Emnilda. — Jak mogli zabrać mu tron? To świętokradztwo! Wszak Carolus Magnus właśnie z tego tronu rządził światem…

— No, ja tam się nie znam… — Ostrowod pociągnął miodu. — Ja tylko powiem, że ten tron Karola to cesarz przeznaczył na podarunek dla księcia Bolesława.

— Posadzili potem nieboszczyka na jakimś zastępczym tronie? — spytał szybko Bolesław.

— Tak!

— No, to nie świętokradztwo, żono. To po prostu odnawianie wyposażenia grobu. Stary się pewnie zużył, dali nieboszczykowi nowy.

— To po co ci taki zużyty? — Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

— Odnowię sobie.

— Bolesławie! Zrób z nim, co zechcesz, tylko przysięgnij, że nie zarazisz się od cesarza tą dziwaczną pasją.

— Przywiozłeś? — spytał książę Ostrowoda. — Przywiozłeś.

— Nie, panie. Mówiłem, że w tydzień przejechałem sam jeden z Rawenny, to jak ja miałem go ze sobą zabrać? To wielki tron, bo Karol… znaczy… jego zwłoki… też były wielkie. Prawie jak ty, patrząc po wzroście, no, może troszkę niższy. Ale truposz się mógł przykurczyć…

— Nie gadaj mi o trupie, tylko mów, gdzie mój tron?!

— Tron został przy naszym orszaku.

— A co, do diabła, nasz orszak robi w Italii, skoro mój syn wam uciekł?! Rozkawałkuję!

— Nie krzycz na Ostrego, mężu — teraz jego skarciła księżna. — Napij się, skoro chcesz zrozumieć. A najlepiej poproś biskupa Ungera, by nam towarzyszył. Będzie mowa o sprawach duchowych.

— Unger! — krzyknął odruchowo, ale się opanował. — Idź, zaproś biskupa — nakazał słudze.

Ciemne oczy Ungera zalśniły, gdy wszedł do świetlicy i streszczono mu początek rozmowy. Osoba biskupa, tak jak i obecność żony, działały na niego uspokajająco.

— Książę Bezprym po odwiedzinach w Akwizgranie, a zwłaszcza w komorze grobowej cesarza Karola, zaczął jeszcze silniej przejawiać skłonności duchowe…

— Ostry — przerwał mu książę. — To, że jest z nami Unger, nie znaczy, że masz udawać lepszego, niż jesteś. Mów, jak widziały twe oczy. Nie chrzań.

— Dziękuję, książę. Za wybaczeniem biskupa i księżnej… — Uśmiechnął się do nich. — To było tak, że na popasach, zamiast iść się odlać, poskakać dla rozruszania tyłka, wypić, zjeść, pożartować, Bezprym oddalał się w las, rozkładał ramiona i chyba się modlił. Czasami też na klęczkach, ale częściej na stojaka. Otto miał w zwyczaju udział w dwóch mszach dziennie i do tego pięć postojów na zwykłe modły. Nasz chłopak cały czas przy nim. Obaj oczy nieprzytomne i dalej psalmy. Jakeśmy już dojeżdżali do Rzymu, ja biorę księcia na stronę i mówię: „Msze mszami, bardzo zbożnie, ale jaśnie panicz pamięta, że dla ojca jedzie po koronę”. A on mi na to: „Ziemskie zaszczyty są niczym wobec darów Ducha

Świętego”. Pomyślałem, że nie rozumiem. Ale potem szybko skojarzyłem: „Duch Święty to pewnie to samo, co Ojciec Święty” i uspokoiłem się, że Bezprym nie zapomniał o celu podróży.

— Chętnie wyjaśnię ci różnicę między papieżem a darami Ducha — wtrącił Unger. — Oczywiście w stosownym czasie.

Bolesław z tonu biskupa wywnioskował, że Ostry był w błędzie.

Ostrowod ciągnął dalej.

— Cesarz się biczował…

— Co? — przerwał mu Bolesław.

— Nie zmyślam. — Ostry pokiwał smutno głową. — Sam siebie okładał biczem, a żeby bardziej bolało, rzemień miał na końcu haczyk. Odkryłem to niechcący, szukałem naszego panicza na przedostatnim popasie, a zamiast niego zobaczyłem, co wyrabia Otto.

— Biczowanie jest sposobem na łączność z Męką Zbawiciela — sucho wyjaśnił Unger i dodał, widząc zaskoczenie na twarzy Bolesława: — To nie jest dziwactwo.

— Aha. No jasne — potwierdził książę. — Ale czekaj, mój syn tego nie robił?!

— Nie — uspokoił go Ostry. — Zbierał tylko krew z jego pleców szmatką.

Bolesław zagryzł zęby. Uszanował obecność Ungera i nic nie powiedział.

— Co dalej?

— W Rzymie były niepokoje. Pobliskie Tivoli wypowiedziało posłuszeństwo Ottonowi. Do spotkania z papieżem nie mogło dojść, cesarz musiał stanąć na czele wojsk i odesłał nas do klasztoru na Monte Cassino, tam kazał czekać na wezwanie. No a w tym klasztorze…

— Święte miejsce — powiedział sucho Unger. — Jedno z najświętszych. Tam Benedykt z Nursji urzeczony mistyką gór i bliskością Boga założył

klasztor. On i jego siostra Scholastyka kazali złożyć na Monte Cassino swe kości.

— Uhm — chrząknął Ostry. — Było święcie. Post, woda i chleb, trochę oliwy. Konie miały lepiej niż ludzie, bo owies wszędzie ten sam. No i tam spotkaliśmy świątobliwego Romualda. I się zaczęło. Staruch miał w sobie jakąś moc. Nawet ja to czułem.

— Prosty ciężkozbrojny czuł moc czegoś innego niż miecz? — zapytała podejrzliwie Emnilda.

— Tak, pani — przyznał skruszony Ostrowod. — Czułem. Gdy starzec się pojawiał, miałem wrażenie, że jego oczy przeświecają mnie na wylot. Jak Romuald na kogoś spojrzy, to jakby kości i ścięgna widział. Wybacz, książę, wiem, że dziwnie gadam, ale tak było. Sam z siebie zaczynałem wyznawać grzechy, jak tylko przechodził obok! Wyspowiadałem się kiedyś do jego pleców…

— Tak działa wola Boga. — Unger skinął głową. Jego oczy były jak ciekła miedź albo płynny ołów.

— A co dopiero Bezprym! Co młody książę miał zrobić, skoro starzec upodobał go sobie do rozmów jak nikogo innego?

— Wybrał go — oświadczył biskup, jakby to było oczywiste.

— Po kilku pierwszych dniach w klasztorze na Monte Cassino Bezprym zdjął książęce szaty i przywdział burą wełnianą suknię. A gdy wiosną przybył cesarz Otto, Bezprym przyszedł do niego i powiedział: „Bóg tak chciał. Idę za ojcem Romualdem do pustelni w Pereum”. Cesarz zbladł i szczerze mówiąc, bronił twych spraw. Powiedział księciu: „Nie możesz. Jesteś następcą tronu, twoje miejsce gdzie indziej”. Ale Bezprym jak, nie obraź się, książę, ty. Błysnął oczami i powiedział twardo: „Wola boska przed ludzką”. Cesarz zamilkł i nie wiedział, jak ma go odwieść od zamiaru.

— Pustelnia, erem, oddanie Bogu w medytacji — wyjaśnił Unger. — Koniec spraw tego świata. Początek życia boskiego na ziemi.

— Ale on jest moim synem! — przerwał Bolesław.

— Bóg tak chciał, książę. Nie odbierzesz Bogu.

Bolesław pomyślał co innego.

— Skoro mój pierworodny pokazał mi drogę, moim pragnieniem jest założenie eremu w Polanii.

Polania. Gdy był tu Otto, Bolesław musiał mu podać nazwę swego kraju do zapisu w dokumentach. Kiedyś ziemie te zwano, od Lestka, Lechistanem, Lechią. Potem jego ojciec ze starczym uporem nazywał kraj „ziemią Mieszka”. On widział, że tak wielkie księstwo nie może w nieskończoność zmieniać nazwy razem z władcą. Gdy Otto spytał, powiedział „Polania”. Od polan. Tych pięknych leśnych zaułków, gdzie jeźdźcy znajdowali wytchnienie po długiej podróży. I od wielkich polan zarastających połacie wyciętych lasów, z czasów dziadów, gdy setki wozów drewna szły na budowę grodów. Trochę z sentymentu, bo pamiętał, jak ich matka, słodka Dobrawa, mówiła do ojca „książę leśnych polan”.

— Erem w Polanii? — powtórzył Unger. — Bardziej przydaliby się nam misjonarze.

— Sam słyszysz, biskupie, jak wielki wpływ mają pustelnicy na ludzi — twardo zakończył Bolesław.

Gdy Emnilda i Ostrowod wyszli, spojrzeli sobie w oczy z Ungerem.

— Święty Wojciech zaowocował świątobliwym księciem — powiedział biskup.

— Najwyższy czas, żeby tym cudom nadać jakąś kontrolę — odpowiedział Bolesław. — Jeżeli Bezprym chce być eremitą, niech będzie nim na naszej ziemi.

— Trafne słowa. — Oczy Ungera błysnęły zrozumieniem. — Choć radziłbym ci tak sformułować posłanie, by nie zabrzmiało zbyt osobiście.

— Naturalnie — odpowiedział z uśmiechem Bolesław.

Przecież nie powiem mu teraz, kiedy jest w objęciach Ducha Świętego, że gdy z powrotem znajdzie się w moich, trafi na przeznaczone sobie miejsce. Ojcowski, nie duchowy, tron.

OLOF Król Szwedów dowiedział się o wygnaniu matki i jęknął. Dlaczego teraz, kiedy wszystko zaczęło się układać? Król Sven wywiązał się z obietnicy i znalazł mu żonę. Olof poślubił śliczną Astrydę, obodrycką księżniczkę, a ta przywiozła posag tak wielki, że olśnił Sigtunę. Edlę oddalił z samego dworu, by uniknąć nieporozumień, ale wciąż miał ją pod ręką. Jarl Asgrim wziął jego kochankę pod swój dach. W Sigtunie wszyscy wiedzieli, kim jest Edla i że urodziła królowi córkę; Asgrim się nią opiekował, a Olof, gdy tylko chciał, mógł ją dyskretnie odwiedzać. Jego żona póki co nie zadawała niestosownych pytań, sama była brzemienna i Olof spodziewał się syna.

— Będzie następca — obiecywała mu i uśmiechała się ślicznie.

A jednak zamiast chłopca urodziła córkę. Nazwali ją Ingegerdą.

Olof chodził chmurny. Dwie córki. Jedna z nałożnicy, druga z żony. Czy to jakiś znak, że nie ma synów?

— Dwie córki, królu — uspokajał go jarl Asgrim — to dwa sojusze, gdy dziewczęta dorosną. Jesteś tak młody, że zdążysz mieć i synów.

„Tak młody” — powtórzył w myślach. Był czuły na punkcie tego słowa.

— Młody, a już sławny! — poprawił się Asgrim. — I po zwycięstwie nad Tryggvasonem twoje sprawy układają się świetnie.

Układały się. Aż do dnia, gdy duńscy kupcy przywieźli wiadomość o tym, że król Sven zamierza oddalić od siebie królową Sigridę Storrådę.

— Dokąd? — zapytał i poczuł ucisk w żołądku.

— Tego nie wiemy, królu Olofie, kupcom się nie zwierzał. W porcie mówi się, że da swojej pani statek i drużynę zbrojną…

Żona złapała go za ramię i spytała:

— Chyba twoja matka nie zamierza przypłynąć do nas?

— Moja matka wciąż jest królową Szwecji i Danii — gorzko powiedział Olof.

— I Norwegii — wtrącił Asgrim — choć nie sprawuje tam władzy.

— Ale przecież ja, jako twoja żona, też jestem królową! — zaprotestowała Astryda. — Jakżeby to mogło być? Dwie królowe?

I wtedy stało się to, czego bał się najbardziej. Cofnął się czas. Jego wodzowie z bitwy w Øresundzie, szwagrowie Vestar i Toki oraz Torvald, islandzki skald jego ojca, i wszyscy obecni w wielkiej halli zawołali jak jeden mąż:

— Królowa Sigrida Storråda! Nasza Harda Pani!

Wznieśli toast za jej zdrowie i Torvald wygłosił poemat, którego nie słuchano tu od dawna.

Sigrid Dumna, Sigrid Nieugięta,
do której świetlistej siedziby
ze skalistych grani bagnistym szlakiem
wytrwale bieżą zalotnicy.
Tym, którzy przybyli nie w porę,
łaskawa pani udzieliła nagany.
Płomienie umyły ich dłonie splamione,
ogień oczyścił ich…

Widząc przerażone oczy swej ślicznej żony, szepnął do niej:

— Masz nauczkę. Nigdy nie mów źle o mojej matce.

— Ale, Olofie… ja nie powiedziałam o niej nic złego — tłumaczyła się, rumieniąc. — Chciałam tylko zapytać, jak to możliwe? Dwie królowe?

— Cicho — skarcił ją. — Sama słyszysz, którą z nich wybraliby moi wodzowie! Ale nie myśl, że chcę, by królowa Sigrida przybyła do Sigtuny. — Ściszył głos jeszcze bardziej. — Nie chcę tego jeszcze bardziej niż ty. Matka odsunęłaby mnie od władzy. Ukradłaby mi posłuch u wodzów.

— Co zrobimy? — szeptem zapytała żona.

Wzruszył ramionami.

— Nic. Nie mogę jej zabronić powrotu do królestwa.

Jarl Asgrim podszedł do niego i spytał:

— Dlaczego Wilkomir i Helga odpłynęli z Sigtuny?

— Chcieli się spotkać z synem — skłamał Olof. — Wyraziłem zgodę.

— Rozumiem — skinął głową.

— Jak sądzisz, jarlu, kiedy możemy spodziewać się przybycia mej matki? Chciałbym przygotować dwór na jej powrót.

— Minął rok od bitwy w Øresundzie. — Asgrim zmarszczył brwi. — Nadchodzi zima, to zła pora na podróż. Gdybym był sternikiem królowej, radziłbym jej wiosenny rejs.

— To jeszcze trochę czasu — sucho odpowiedział Olof.

— Królowa Sigrida z całą pewnością powiadomiłaby ciebie o swym zamiarze, królu — ciągnął Asgrim. — Bo jej obecność w Sigtunie zmieniłaby układ sił…

Jeszcze jak — westchnął Olof w duchu.

— …jeśli bowiem rozstaje się z królem Svenem w gniewie, a należy to przyjąć, skoro mówi się o „oddaleniu żony”, to znaczy, że wracając do Szwecji, może postawić nas w trudnej sytuacji. Nie wykluczam nawet wojny.

— Wojny? Ależ jestem sojusznikiem swego ojczyma… — wzburzył się Olof.

— Ty tak, królu — potwierdził Asgrim. — Lecz królowa Sigrida nigdy nikomu nie puściła płazem zniewagi. Rozumiesz, co mam na myśli?

Olof drgnął i rozlał wino. Dopiero teraz do niego dotarło. Jeśli matka wróci i przejmie władzę, to za jednym posunięciem zemści się na Svenie i na nim. Zadudniły mu w głowie ostatnie słowa Wilkomira: „Do końca życia będziesz synem, który zdradził”.

ŚWIĘTOSŁAWA ze swym orszakiem jechała w stronę mostu wiodącego na grodową wyspę. Warta nie zamarzła. Początek roku był bezśnieżny, lekki mróz czynił drogi przejezdnymi, a podróż wygodną. Za chwilę otworzą przed nią bramy Poznania.

W myślach wciąż żegnała się z dziećmi. Ściskała jasną główkę Knuta, rude włosy Haralda. Astrydę i Świętosławę. „To nie jest ostatni raz, przysięgam — szeptała każdemu z nich do ucha. — Nigdy się was nie wyrzeknę. Nigdy was nie zapomnę. Wrócę po was”. Powierzyła je Melkorce i Vali, Heidi Kózce, nawet starej Arnorze, której śmierć zdawała się nie imać. Zostawiłaby z nimi Wielkiego Ulfa, Wilczana, ale Sven stanowczo sprzeciwił się temu, by pozostał przy nich ktokolwiek z jej ludzi. „Nie wymażesz mnie z ich pamięci!” — krzyczała. „Zobaczymy” — odgrażał się. W Roskilde pożegnali się z nią wszyscy wodzowie. Był Stenkil z Hobro i Hakon z Fionii. Uddorm z Viborga szepnął jej: „Żal, że nas opuszcza królowa”. Ragn z Wysp powiedział na ucho: „Mam nadzieję ugościć cię kiedyś, pani, na każdej mojej wyspie”. Gjotgar, przystojniak ze Skanii: „Będę dbał o kościół w Lund. I modlił się, byś kiedyś i ty go odwiedziła, moja królowo”. Gunar z Limfiordu powiedział tylko: „Wielka szkoda”, a Thorgils z Jelling, wraz z Ulfem, synem podrostkiem, ledwie skinęli jej głową. Zrozumiała układ sił przy Svenie. I zapamiętała go.

Jechała do Poznania z pięćdziesiątką zbrojnych i służbą. Topornikami Hardej dowodził jasnowłosy Egil, było ich trzydziestu. Wielki Ulf miał pod sobą dwudziestu, którzy samozwańczo nazwali się Rysiami. Wiadomo dlaczego. A na czele jej osobistej straży znów stanął Wilkomir. Złamał rozkaz i opuścił Olofa. Nie mogła mu mieć tego za złe po tym, co się stało. I podziękowała, że wziął z Sigtuny Helgę. Brakowało jej towarzyszki. Jedynie Wilczan czuł się niezręcznie w towarzystwie rodziców. Odwykł. Z Roskilde zabrała służkę imieniem Ylva. Potrzebowała kobiecej służby, to jedno. Ale drugi, znacznie ważniejszy powód tkwił w tym, że Ylva miała nadzwyczaj liczną rodzinę. Pięciu braci na służbie u Svena i trzy siostry we dworze.

Kilka wozów wyładowanych dobytkiem ciężko kolebało się na tyłach orszaku. Przywoziła ze sobą więcej, niż przed szesnastu laty wywiozła. Na samym końcu, przywiązany postronkiem do ostatniego wozu, z obrożą na szyi człapał Ion.

Serce jej drgnęło na widok potężnych wałów Poznania. Zapomniała, jakie były masywne. W zimnych porach roku, gdy przeważało niskie słońce, często wewnątrz grodu panował cień. Teraz też.

Cień i mrok — pomyślała — coś w sam raz dla królowej w żałobie. Po Olavie, rysiach, dzieciach, które Sven zatrzymał.

Kopyta już uderzały o bruk podwórca przed palatium. Wyszli ją przywitać barwnym, dużym orszakiem. Wielki Ulf zadął w róg.

— Sigrida Storråda, królowa Szwecji i Danii!

Tron zdobyty przez śmierć Olava odrzucała, nie pozwalając się tytułować norweską królową.

— Świętosławo! — zawołał brat.

— Bolesławie! — Wilkomir już zsadzał ją z konia. — Brzuch ci urósł — nie omieszkała zauważyć, gdy ją wziął w ramiona. — Dawno nie byłeś na

żadnej wojnie? Emnilda cię rozpieszcza, co?

— Królowo — przywitała ją księżna. — Nie szczuj go, błagam. Od wczoraj jest piekielnie nerwowy.

— Nigdy nie był inny, Emnildo! — zaśmiała się i objęła bratową.

— Ach! — Emnilda wpatrywała się w jej twarz, nie kryjąc zdumienia. — Co się stało z twoimi oczami, Świętosławo?

— Pamiątka po Svenie — odpowiedziała twardo.

Bolesław już znowu był przy niej.

— O czym mówicie? Uderzył cię? Nic nie zauważyłem.

— To patrz — powiedziała i spojrzała mu w oczy.

Mówiono jej zawsze, że ma zielonozłote oczy, ale nazajutrz po dniu, w którym Sven oddał jej wyprawione skóry rysiów, Heidi spostrzegła zmianę. „Pani — jęknęła. — Masz dwoje różnych oczu. Jedno zielone, drugie jakby złote”.

— Różnooka — powiedział Bolesław i dodał krzepiąco: — Są gorsze nieszczęścia. Wiesz, że urodziła mi się klacz z dwoma ogonami?

— Dobrze, że nie ogier z podwójnym… — nie zdążyła mu się odgryźć, bo Emnilda przezornie pociągnęła ją za łokieć.

— Ciociu, a gdzie są twoje rysie? — zapytała Regelinda.

Świętosława pochyliła się i pocałowała ją w czoło.

— Właśnie tu, księżniczko. Wrzask miał zielone oczy jak dziś moje prawe. Zgrzyt ze złotymi oczami został w moim lewym. Nigdy ich nie zapomnę, choć już nie żyją.

— Ja też ich nie zapomnę, ciociu — obiecała Regelinda.

— I ja! Ja też! — dodali Mieszko i Sława, najmłodsza z córek.

— Wy ich nie widzieliście — z wyższością przypomniała im najstarsza. — Tylko ja. Mieszko był mały i ciągle spał, a ciebie, siostro, na świecie nie było.

— Daj spokój, córko. — Emnilda pogłaskała młodsze dzieci. — Znają je z opowiadań.

Świętosława wyprostowała się i poruszyła barkami, by rozprostować plecy.

— Wygnana królowa wróciła do rodzinnego gniazda — mruknęła bez sentymentu.

— Nie mów „wygnana” — szepnął jej brat, krzywiąc się — bo to sugeruje, że powinienem wziąć dwa hufce i ruszyć na Roskilde, by pomścić zniewagę, a oboje wiemy, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. — Wyprostował się i powiedział oficjalnie: — Witamy cię, Świętosławo. Dom Piastów nigdy nie przestał być twoim domem. Chodź, proszę, musimy porozmawiać. — Pociągnął ją szybko.

— Może ty uspokoisz mego męża — wyraziła pobożne życzenie Emnilda.

Wieczorem siedzieli w obszernej świetlicy w wąskim gronie. Poprosiła, by na razie brat darował jej powitalne uczty.

— Nie wyobrażasz sobie, siostro, jaki jestem wściekły! — kipiał.

— Widzę — zmierzyła go. Chodził wokół ścian, nie mógł usiedzieć w miejscu. — To, że mam różne oczy, nie znaczy, że straciłam wzrok. Nie przyjmujesz do wiadomości, że Bezprym naprawdę chce zostać pustelnikiem?

— Nie! Nie przyjmuję! To jakaś bzdura! Książęcy syn może być biskupem, hierarchą Kościoła, ale nie obdartusem, co jada korzonki! Jaki w tym sens?

— Bolesław wysłał poselstwo do cesarza Ottona — spokojnie klarowała Emnilda. — I do pierworodnego. Poprosił, by cesarz przysłał mu eremitów wraz z synem. Eremici przybyli, ale bez Bezpryma.

— Wszystkiemu winien ten piekielny starzec! Romuald!

— Hamuj się, Bolesławie! — Emnilda się wystraszyła. — To świątobliwy człowiek…

— Pustelnik Romuald? Znam to imię. Ion, mój zdradziecki mnich, był u Romualda, ale uciekł — przypomniała sobie Świętosława.

— Słyszałaś, Emnildo? Można uciec Romualdowi, jeśli się chce. Widocznie Bezprym nie chciał! Czuję, jakbym tracił syna! — ryknął Bolesław.

Wstała, podeszła do niego i powiedziała:

— Sven odebrał mi czworo dzieci, ale nie mówię, że je straciłam. Opamiętaj się.

Gdy byli dziećmi, prześcigali się we wszystkim. W szybkim wpadaniu w gniew i równie szybkim opamiętaniu zawsze lepszy był Bolesław.

— Czy Ion, którego przyprowadziłaś na smyczy i nazwałaś zdrajcą, może się przydać do wyciągnięcia Bezpryma z eremu? — zapytał niemal spokojnie.

— Nie wiem. Nie ufam mu. Ale może wie o świątobliwym pustelniku to, co należy wiedzieć, by ułatwić powrót twego pierworodnego. Przebywał z nim dość długo, o ile możemy wierzyć temu, co mi opowiadał.

— Mogę z nim pomówić? Mogę go męczyć? — chciał od razu wiedzieć Bolesław.

— Zrób z nim, co zechcesz, ale nie zabijaj. Jego pokutą ma być to, że patrzy na mnie codziennie — odpowiedziała i nim skończyła, Bolesław i jego przyboczni wyszli.

— Świętosławo — odezwała się księżna Emnilda, gdy zostały same. — Gniew mego męża wynika z głębszych pobudek. Nie myśl, że nie szanuje Bożych wyborów. Widzisz, Bolz dwoje naszych dzieci przeznaczył do służby Panu. Moją śliczną Bogumiłę, pamiętasz ją, prawda? I Mieszka. — Przełknęła ślinę.

O Bogumile mówiła jej Astryda, o Mieszku nie miała pojęcia.

— Gdy Mieszko się narodził, prawie cztery lata po naszym ślubie — ciągnęła z rumieńcem Emnilda — Bolesław szalał z radości. Nosił syna na rękach. Przez krótką chwilę rozważał, czy… — spojrzała na Świętosławę zmieszana — …wiesz, nie odwrócić kolejności i Mieszka, a nie Bezpryma uczynić swoim następcą. Ale się przemógł, powiedział, że nie będzie łamał zwyczaju. Mieszko, odkąd skończył pięć lat, pobiera nauki. Pisze i czyta po łacinie i grecku, zna arytmetykę. Teraz Unger wprowadza go w tajniki teologii, ponoć nasz syn wyjątkowo zdolny. Widziałaś go dzisiaj…

— Widziałam. Skóra zdarta z Bolka. Jak był w jego wieku, wyglądał tak samo.

Erik wciąż powtarzał, że Olof ma ciemne loki jak on w młodości. Sven wyraźnie faworyzował rudego Haralda, a nie jasnowłosego Knuta. Mężczyźni są przewidywalni. Umiała zrozumieć rozdarcie brata, gdy jeden z synów już kształci się na duchownego, a drugi wybrał erem, który nie daje szans kościelnej kariery.

— A wasz najmłodszy… Otto, tak?

— Maluszek. Urodził się tuż przed zjazdem z cesarzem, stąd imię.

Świętosława machnęła ręką.

— Masz rację. Przed małym najtrudniejsze lata dzieciństwa. Trzeba zrobić wszystko, żeby Bezprym wrócił.

Świętosława patrzyła, jak Emnilda bez wydawania rozkazów zarządza służbą. Wystarczyło, że uniosła dłoń, spojrzała w jakąś stronę, a jej bezszelestne dziewczęta spełniały niewypowiedziane życzenia. Teraz też, ledwie Świętosława zdążyła pomyśleć, że opróżniła kielich, a już, po spojrzeniu Emnildy, został napełniony.

— Świętosławo — głos bratowej zrobił się niemal nieśmiały. — Pozwól, miejmy to już za sobą.

— Co takiego?

— Twój przyjazd do Poznania… jesteś podwójną królową, ja tylko księżną… Chcę, byś wiedziała, że znam swoje miejsce i jestem gotowa we wszystkim ustąpić ci pierwszeństwa.

— Chyba oszalałaś, Emnildo! — zaśmiała się Świętosława, wyciągając się wygodnie i kładąc nogi na ławie. — Ty jesteś żoną mego brata i gospodynią, nie ma mowy o żadnym moim pierwszeństwie! Zresztą wiesz dobrze, że tytuły królewskie mych mężów nie były tym samym, co rozumie się pod słowem „król” w iście chrześcijańskich krajach. Dajmy temu spokój. I lepiej powiedz mi coś, księżno. — Przechyliła się przez stół. — Jak ty to zrobiłaś, co? Jakim cudem utrzymałaś miłość mego brata przez piętnaście lat?

Emnilda miała szczere, niebieskie oczy. Rumieniła się, ale nie jak Tyra, „na czas”. Nie używała gry powiek, trzepotania rzęs. Spojrzała na nią tak po prostu.

— Gdy książę Mieszko przysłał swaty do mego ojca, księcia Dobromira, straszono mnie. Mówiono, że Bolz jest porywczy, gwałtowny, nieopanowany, przebiegły, sprytny i wojowniczy. I że odprawi mnie szybko. Wiadomo, że dla mego pana ojca to małżeństwo było tak zaszczytne, iż nie mógł odmówić Mieszkowi, więc pokornie przyjęłam swą rolę. Każdy rok traktowałam jak ten jedyny, wiedząc, że może być moim ostatnim. Wciąż myślę: „nic mi nie jest dane na zawsze, jestem tu na chwilę” i jak widać, ta chwila wciąż jeszcze się nie skończyła. — Emnilda uśmiechnęła się na koniec.

Świętosława patrzyła na nią swymi różnymi oczami. Emnilda była piękna i spokojna jak wody jeziora. Nie było w niej piany morskich fal, nie było zapowiedzi sztormu. A więc na tym polegał jej sekret? Była tu na chwilę?

— Niechaj trwa wiecznie. — Uścisnęła jej dłoń. — Gdybym była Bolesławem, też bym się w tobie zakochała. Ale ja zawsze spotykałam mężczyzn, z którymi walczyłam.

— Jesteś jak wiatr, Świętosławo — odpowiedziała jej Emnilda. — Twardą skałę owioniesz, rozpalasz ogień, wodę zamieniasz w fale…

— I omal się nie utopiłam. Za późno dostrzegłam zbliżający się sztorm.

Erik był skałą — pomyślała. — Olav ogniem, rozniecaliśmy się wzajemnie. Sven morzem, które niemal mnie zabiło.

— Mylisz się. — Emnilda uśmiechnęła się smutno. — Wiatru nie można zatopić. To nie woda wywołuje sztorm, tylko on. Ty. Chciałabym, byś odpoczęła w Poznaniu po wszystkim, co ci się przydarzyło. Byś z wichury stała się podmuchem.

Świętosława wyczuła pod powiekami łzy. Jeszcze chwila, a rozpuściłaby się w czułych i ciepłych dłoniach Emnildy. Jeszcze moment, a pękłaby w niej tama uczuć tłumionych tak długo. Żalu za Duszą. Dzikiej tęsknoty za Olavem, niemal zwierzęcej za Wrzaskiem i Zgrzytem. Matczynej za Knutem, Haraldem i dziewczynkami. Ale w tej samej chwili obie usłyszały ryk. Dziki, wściekły ryk Bolesława. Wpadł do świetlicy, krzycząc:

— Cesarz Otto nie żyje!

BOLESŁAW wiedział, że śmierć cesarza zmienia wszystko, i nie wahał się ani chwili.

— Na koń! — wydał rozkaz swym wojskom.

Jaksa, Zarad, Bjornar już byli przy nim.

— Wilkomirze! — krzyknął. — Powierzam ci obronę Poznania i obu mych kobiet, żony i siostry. Bądźcie gotowi na wszystko. Harda, wyduś z Iona co trzeba i wyślij Ostrego z ludźmi do Pereum, po mego syna. Emnildo!… — Podbiegł do żony i zamiast się pochylić, uniósł ją do pocałunku. — Wrócę. Obiecuję.

— Nie obiecuj — odpowiedziała. — Po prostu wróć.

— Zabieram Duszana, dobrze? — spytał, bo przez ostatnie lata niemal oddał go Emnildzie, a właściwie swym synom. Miał jakąś zabobonną pewność, że tam, gdzie Duszan, tam spokój. Wyrzucał sobie, że nie posłał go z Bezprymem do Rzymu.

— Tak będzie najlepiej, Bolz — odpowiedziała żona.

Ruszył w stronę zachodnich granic, a trzystu ciężkozbrojnych za nim. Proporce z białym orłem załopotały na wściekle błękitnym wczesnowiosennym niebie.

W drodze, tuż przed granicą, dowiedział się o śmierci swego druha, margrabiego Miśni, Ekkeharda. I zawył po raz drugi.

— Grafowie Udo i Henryk z Kaltenburga, i Zygfryd wraz z Bennem z Northeimu — zameldowali na popasie posłańcy od Guncelina, brata Ekkeharda. — Jeszcze się nie przyznali, ale są zeznania świadków. Zwabili go w zasadzkę, zasiekli… — Posłaniec się zawahał, jakby czuł lęk przed przekazaniem wszystkiego.

— Mów, bo łeb urwę! — huknął Bolesław.

— Tak było — szepnął pobladły poseł. — Zabili… trupa okradli, pozorując rabunek, a potem… odrąbali margrabiemu Ekkehardowi głowę…

Poczuł, jak krew się w nim gotuje.

— Niech ich piekło pochłonie! — ryknął. — To ludzie księcia bawarskiego, Henryka! Ohydny mord na zlecenie!

Henryk, kuzyn Ottona, był nieustannym oponentem zmarłego. Skoro doprowadził do śmierci Ekkeharda, znaczyło, że błyskawicznie eliminuje przeciwników w walce o tron Rzeszy.

Czy wie o moich i Ottona planach? — myślał Bolesław, przekraczając granice.

Przeszli rzekę Bóbr pod Iławą, potem bród na Odrze. Weszli na Łużyce, zajmując gród za grodem. Ludność nie stawiała oporu. Zarządcy niespecjalnie bronili grodów. Niemcza, Lubusza, posuwał się szybko. Wielki Budziszyn otworzył przed nim bramy. Witali go jak swego pana.

To właśnie ułożyłem z Ottonem — pomyślał. — Połabie miało być moje. Wielka Sklawinia, ja i nikt więcej.

Przekroczył granice Łużyc i wszedł do Strzały. Po krótkim oblężeniu zdobył gród. I wysłał zwycięskich posłańców do Miśni. Broniła się jeszcze krócej niż Strzała, otworzyła przed nim na oścież bramy i witała.

— Książę nasz! Bolz! Bolesław!

— Sława mu!

Guncelin, brat Ekkeharda, stanął przy jego boku. Marchia miśnieńska położyła się przed Bolesławem jak nadobna panna. Dla Słowian Połabia on był swoim, nie saskim panem, mimo albo właśnie dzięki stuleciu panowania Sasów nad tym krajem.

Jaksa, dowódca jego zwiadu, w środku nocy przybył do namiotu Bolesława.

— Książę — zaszemrał, bo nigdy nie unosił głosu. — Za miesiąc w Merseburgu zjazd panów Rzeszy. Henryk oczekuje, iż potwierdzą jego prawa do korony. Jutro, najdalej pojutrze przybędzie do ciebie poseł z zaproszeniem. Wiedzą, iż po tym, jak Otto wywyższył cię dwa lata temu, ich decyzja nie będzie ważna bez ciebie.

— Są wściekli? — dopytał Jaksę.

— Jak diabli, książę. Dla nich posunięcia Ottona były niedopuszczalne.

Zaśmiał się pełną piersią. A jakże! Oni i umiłowanie słodkiej Germanii! Krainy krwawej kiszki ze słoniną, piwa i przechwałek z pełnym brzuchem przy stole. O, o, o! Nie umieli pojąć planu Ottona, by cesarstwo rozszerzać bez wojny, na zasadzie konfederacji równych sobie królestw.

„Bolesław królem? — piszczał Gizyler. — Ależ jego ojciec był barbarzyńskim poooganinem! Nie może to być, wasza cesarska mość, no nie może”.

A jednak Otto wiedział, że może i będzie. Bolesław zaś pamiętał ich pożegnanie w Kwedlindburgu. Oczy Ottona płonęły jak najczystsze złoto. „Bolizlaus, gdybym nie miał synów, chciałbym, byś ty został po mnie panem Rzeszy i cesarzem Imperium. I jeślibym nie dożył potomków, walcz w Rzeszy o swoje. Obiecujesz?”. Obiecał. Wierzył, że Otto zdąży poślubić śliczną Zoe, zrodzoną w porfirze cesarzównę Wschodu, i razem spłodzą dziecię, które przyniesie sojusz obu wielkim a wrogim cesarstwom. Ale jego wiara dziś na nic. Ottona złożyła malaria. Bezprym uwięziony w Italii przez szalonego pustelnika. A Henryk trzeźwo jak nikt przed nim dobija się tytułu króla Rzeszy. Jeśli go zdobędzie, pójdzie jak burza i koronuje się na cesarza. Na drodze jednak ma nie kamień, lecz głaz. Bolesława.

Książę miał do zjazdu dość czasu, by jechać do Merseburga powoli, rozkoszując się pięknem lata. Zatrzymując po drodze, wypytując ludzi, przyglądając się urodzie miśnieńskiej ziemi. Od tylu lat marzył, by przyłączyć ją do Polanii, a teraz, po śmierci Ottona, spełnił to marzenie w tak przewrotny sposób. Nie miał złudzeń; Rzesza nie odda Miśni za darmo tylko dlatego, że ją zdobył, ale z tego samego powodu Henrykowi będzie trudno mu tę ziemię odebrać. Tu ludzie mówili tym samym językiem co on, swój książę.

— Sala! Rzeka Sala przed nami! — zameldował Jaksa, wódz zwiadowców.

— Wygląda jak płynny ołów — odezwał się ni stąd, ni zowąd Duszan.

— Granica marchii. — Zarad ściągnął konia. — Za rzeką już Merseburg i Rzesza.

Książę zakręcił się konno.

— Do Merseburga, na zjazd panów Rzeszy, nie mogę wjechać z wojskiem. Zabiorę tylko osobistą drużynę.

— Tak jest! — przyjął rozkaz Zarad.

— Lecz wiem, że książę Henryk patrzy na nas z okien zamku. Gdy będę przekraczał bród, każ wojsku wjechać w rzekę i wiesz, co mają robić?

— Tak jest! — potwierdził Zarad. — I nie ruszymy się na krok.

— Tak ma być — spokojnie oświadczył Bolesław i założył swój paradny szyszak. Ten z wykładanym złotem czołem, zdobny pękiem orlich piór. Gwizdnął i dwunastka wielkich jak on sam, doborowych wojów ruszyła za nim w nurt rzeki. I jego Duszan też.

Dojeżdżał do jej zachodnich brzegów, słysząc, jak Zarad komenderuje:

— Pale wbić!

Odwrócił się i zobaczył, jak ludzie wbili włócznie z jego proporcami w nurt rzeki Sali.

To nowa granica mego władztwa — pomyślał i rozbryzgując fale, wyjechał w stronę grodu. Merseburg otworzył przed nim bramy, a rogi zagrały.

— Bolizlaus! Bolizlaus! Bolizlaus!

W sali audiencyjnej spotkał tych, których znał. Byli tam: arcybiskup magdeburski Gizyler, biskup Retar z Paderbornu, biskup Bernward z Hildesheimu, biskup Arnulf z Halbertstadu, biskup Ramward z Minden, biskup Idzi z Miśni, biskup Bernhard z Werden, biskup Hugo z Żytyc, książę saski Bernhard Billung, margrabia Henryk ze Schweinfurtu, Guncelin, brat Ekkeharda, dla Bolesława brat krwi. I Henryk, książę bawarski. Szczupły, ciemnowłosy, ciemnooki, podobny do ptaka.

Mały ten ptak — pomyślał złośliwie Bolesław i spojrzał po minach obecnych — ale duże stado zebrał przy sobie.

— Długo kazałeś na siebie czekać, książę — kwaśno powitał go Henryk bawarski, po czym uśmiechnął się nieoczekiwanie. — Pozwól, że ci objaśnię — jego ton nabrał fałszywej troski — iż w cesarstwie naszym, gdy książę jedzie odwiedzić drugiego księcia, nie musi…

— …kraść całej drogi — wszedł mu w słowo Gizyler i zgromadzeni gruchnęli śmiechem.

— …ani wyrąbywać sobie jej mieczem — zakończył Henryk. — To po prostu wśród nas, książąt Rzeszy, nie uchodzi.

— Ale odrąbanie głowy ujdzie? Ohydny mord na głównym pretendencie do tronu jest w dobrym tonie? — natarł Bolesław. — Haniebnie postąpiliście z margrabią Ekkehardem. Usunąć z drogi najbliższego współpracownika Ottona, by nie przeszkodził ci, książę Henryku, w przejęciu władzy? Daruj sobie pouczenia wobec mnie.

— Umarł król, niech żyje król! — zaskrzeczał Gizyler, szybko przechodząc do sedna. — Kto wspiera Henryka, księcia Bawarii? Najbliższego męskiego krewnego drogiego naszym sercom Ottona?

— Ja nie! — krzyknął Bolesław, aż jego głos, odbity od kamiennych ścian, powtórzyło echo: — nie, nie, nie.

— A ja tak! — wrzasnął stary arcybiskup Magdeburga i echo sprawiedliwie odbiło: — tak, tak…

Retar z Paderbornu, Bernward z Hildesheimu, Arnulf z Halbertstadu, Ramward z Minden, Idzi z Miśni, Bernhard z Werden, Hugo z Żytyc powtórzyli za Gizylerem:

— Tak, tak.

A Guncelin, brat Ekkeharda, i Bernhard Billung za Bolesławem:

— Nie.

Billung zaskoczył Bolesława. Wiadomo było, że jeszcze niedawno popierał Bawarczyka. Henryk ze Schweinfurtu nie opowiedział się.

Wydawało się, iż chce dołączyć swój głos do większości, ale czekał.

Za mało, przegłosowali nas! — pomyślał z goryczą Bolesław i w tej samej chwili postanowił pójść na całość.

— Moje „nie” znaczy więcej, bo ja znaczę więcej niż wy! — krzyknął. — Taka była wola Ottona. Chciał, bym był władcą całej Sklawinii. Całej, czyli z Połabiem.

— Znaczyłeś, książę — grzecznie odrzekł ptasi Henryk — póki Otto żył…

— Trybutariusza uczynił panem! — dorzucił Gizyler.

— Trybutariusza? — zimno powtórzył za nim Bolesław. — Chcesz, biskupie, posmakować mych wojsk?

— Tego nie rzekłem! — obruszył się siwowłosy Gizyler.

— A ja tak — szepnął w jego stronę Bolesław, aż zdmuchnął płomienie stojących na stole świec.

— Nie możemy procedować jak mój zmarły kuzyn — obolałym głosem rzekł Henryk — nie ma go bowiem wśród nas. Musimy uznać zwykłą większość głosów, tym samym…

— Sam sobie przyznajesz tytuł króla? — zakpił Bolesław. — A skąd weźmiesz konieczny dla niego szacunek i wierność? Na mnie nie licz! Jeśli dadzą ci go te szczury, to wiedz, że będę kotem, który je wyłapie…

— Książę Bolesławie, co za barbarzyństwo — obruszył się Gizyler. — Nie wypada tak się odzywać na Hoftagu. Może u ciebie, na polanie…

— W Polanii — poprawił go Bolesław.

— Tak, tak — drwiąco podjął arcybiskup.

— Stój, panie! — zdenerwował się książę. — Nie widziałeś potęgi mego kraju. Chcesz? Zabiorę cię w pielgrzymkę przez Polanię do grobu świętego Wojciecha.

— Dziękuję za zaszczyt. Podagrę mam.

— Co?

— Ból stawów. Nie znasz go, książę? Za młodyś…

— Albo ty za stary na sprawowanie władzy, Gizylerze. Nie próbuj drwić z mego kraju!

— Książę polański — odezwał się polubownie Henryk — dobrze pamiętam twego ojca, księcia Mieszka. Mój własny ojciec też mi dużo o nim opowiadał. Książę Mieszko dwukrotnie stawał po stronie mego ojca, a nie po stronie Ottonów. Dobre tradycje warto podtrzymywać.

— Owszem. — Bolesław spojrzał chłodno na ptasiego księcia. — Mój ojciec dwa razy stawał przy twoim i dwa razy go zostawiał, przechodząc na stronę Ottonów. Podtrzymania takiej tradycji pragniesz?

— Ottonów już nie ma — zimno odpowiedział Henryk. — A ostatni z nich nie zdążył się ożenić i zostawić potomka.

Bał się, że tak będzie. Dlatego mówił: „Chciałbym, byś ty, Bolizlaus, wziął po mnie schedę”. Zbyt wielu mam ich przeciw sobie — patrzył kolejno po twarzach stronników Henryka.

— Dlatego koniec z tradycją przechodzenia ze strony na stronę — oświadczył Bolesław. — Ja mówię, że nie stoję po twojej, książę, a ty rób, co uważasz.

— Proponuję przerwę w obradach — zręcznie wtrącił Gizyler.

Zgromadzeni wstawali i wolno odchodzili od stołu. Książę saski Bernhard Billung, przechodząc obok Bolesława, szepnął do niego:

— Nie daj się kupić.

Billung nigdy wcześniej nie był mi przyjacielem — pomyślał książę. — Co się zmieniło?

— Książę Henryk bawarski prosi cię, panie, do osobnej komnaty na wspólny posiłek. — Sługa ukłonił się przed nim.

Spotkali się w skromnej, kamiennej celi. Na prostym, dębowym stole stały trzy nakrycia. Jedyną ozdobą pomieszczenia była ciężka tkanina na ścianie i krucyfiks z mocno poczerniałego drewna. Tylko cierniowa korona na głowie Chrystusa połyskiwała złotem. Z boku umierającego Zbawiciela sterczała włócznia. Tak, taka jak włócznia świętego Maurycego. Gdy Bolesław wszedł do środka, Henryk stał przy dającym niewiele światła oknie, a sługa szybko zabrał ze stołu trzecie nakrycie.

Drzwi pilnowało dwóch uzbrojonych strażników.

— Wina, książę? — spytał Henryk i uśmiechnął się zachęcająco, gdyż Bolesław nic nie odpowiedział. — Będę pił z tego samego dzbana, co ty.

— Nie boję się trucizny — odrzekł Bolesław. — To broń niegodna mężczyzny. Poza tym nikt nigdy nie zamordował nikogo na zjeździe panów Rzeszy.

— Nie wiąż mej osoby z nieszczęśliwym wypadkiem Ekkeharda. Naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

Ale jako jedyny czerpiesz z jego śmierci korzyść — pomyślał Bolesław.

— Twoje zdrowie, książę! — Henryk wzniósł kielich i upił. — Twoje przywiązanie do zmarłego cesarza budzi moją sympatię. Więcej, imponuje mi. Chciałbym, żebyś i mnie okazał równą lojalność. Domyślam się, że nasz drogi Otto obiecał ci coś, za co jesteś mu tak wierny. Może ja mógłbym spełnić część jego obietnic?

— Wycofaj się z gry o tron i poprzyj mnie.

— Co? — Ptasie oczy Henryka zrobiły się niemal okrągłe.

— Otto III w razie bezpotomnej śmierci chciał przekazać tron mnie.

— Ale nie masz do niego żadnych praw! Ja mam. Jestem jego kuzynem. Poza tym, to niemożliwe, to musiała być jakaś chorobliwa mrzonka Ottona!

— Pytasz, to odpowiadam. — Bolesław nie spuszczał z niego oczu. — Słyszałeś, że w Akwizgranie otworzył grobowiec Karola Wielkiego?

— Świętokradcza praktyka! — fuknął Henryk. — Tron cesarza zabrał…

— I podarował mnie.

— Niemożliwe!

— Zapraszam do Poznania! — zełgał bez mrugnięcia okiem Bolesław. Tron wciąż tkwił w Italii, ale o tym Henryk nie musiał wiedzieć.

— To nic nie znaczy!

— Włócznia świętego Maurycego też?

Henryk odstawił kielich na stół i położył obie dłonie na blacie.

— Bolesławie, ja jestem człowiekiem praktycznym, a mój kuzyn Otto był chorobliwym marzycielem. Wpakował Rzeszę w wojnę w Italii, której nie chcemy. Jego marzenia już kosztują nas zbyt dużo. Ta cała idea renowacji cesarstwa, Galia, Italia, Germania i Sklawinia, cztery równe sobie prowincje, to mrzonki! To się nie uda!

— Skoro zaczynasz od wojny i morderstw, to rzeczywiście nie może się udać. Otto zakładał, że wszystkie cztery prowincje są nie tylko równe sobie statusem, ale żyją ze sobą w pokoju i władca każdej z nich zajmuje się utrzymaniem bezpieczeństwa na zewnętrznych granicach cesarstwa, bo granice wewnętrzne z samej idei miały być bezpieczne.

— Bolesławie, sytuacja jest zupełnie inna. Nie mam zamiaru kontynuować szalonego pomysłu mego poprzednika.

— Jeszcze nie jesteś jego następcą. Nawet jeżeli zdobędziesz koronę Sasów, do cesarskiego diademu ciągle daleko!

— Zostawmy na boku różnice. Chcę pomówić o tym, co nas łączy. — Skinął na sługę, a ten uzupełnił kielichy i podał wystygłą pieczeń. — Pogódź się z faktami, książę — kontynuował Henryk. — Korona Rzeszy jest już moja.

— A Łużyce, Milsko i Miśnia moje — odpowiedział Bolesław.

— To nie jest możliwe, Bolesławie.

— Ale to prawda. Zająłem je. — Przełknął kęs pieczeni. — Korona królewska i Połabie pod mymi rządami, oto warunki.

Przyglądał się Henrykowi. Bawarski książę nie wpadał w gniew, dobrze maskował uczucia. Był drobny, suchy i choć nie zdradzał objawów choroby, musiał mu dokuczać jakiś ból, bo raz po raz mocno zaciskał szczęki, a cała jego twarz tężała wówczas na chwilę. Po młodości spędzonej w opactwie Świętego Emmerama miał nadzwyczajną słabość do biskupów. Ten zjazd i poparcie, jakiego mu jednogłośnie udzielili, to najlepszy dowód. Ale o czym innym myślał Bolesław, przypatrując się Henrykowi. Książę bawarski nie miał dzieci. Mówiono, że wraz z żoną złożyli śluby czystości, ale Bolesław nie brał tego poważnie. Rzekome śluby miały raczej zamaskować problem księcia. Skoro tak, to niedługo negocjować może z kimś innym.

— Miśni ci nie oddam, książę — podjął Henryk.

— Nie chcę prezentu. Kupię ją od ciebie. I nie będę się targował.

Wiedział, że Henryk potrzebuje środków na wojnę z wrogimi mu Italczykami.

— Nie jest na sprzedaż. Chcę okazać wyraz dobrej woli i oddać ją bratu Ekkeharda, Guncelinowi. Twemu sojusznikowi. A wschodnią część miśnieńskiej marchii synowi Ekkeharda, Hermanowi.

Chcesz zmyć ze swych rąk krew Ekkeharda — pomyślał Bolesław. — I jak widać, jesteś gotów sporo poświęcić na ten cel. Ale Guncelin jako władca Miśni to dla mnie dobre rozwiązanie.

— A za Milsko i Łużyce nie wezmę od ciebie srebra — kontynuował Henryk. — Oddam ci je w lenno.

— I tak są moje. — Bolesław wzruszył ramionami. — Zdobyłem je.

— Bezprawnie.

— Nie. Na mocy moich porozumień z Ottonem.

— Otto nie żyje, nie zostawił żadnych zapisów na potwierdzenie twych słów. — Oczy Henryka sprawiały wrażenie znużonych. — Łużyce i Milsko jako lenno. To naprawdę dobra propozycja.

Wiem — pomyślał Bolesław, a na głos odpowiedział:

— I korona królewska.

— Na twą koronację przyjdzie czas, gdy ja będę cesarzem. — Henryk chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego grymas. Znów zacisnął szczęki. — Przyjmujesz?

— Tak. — Bolesław kiwnął głową i odsunął od siebie talerz. Zimna pieczeń mu nie smakowała.

— Wiedziałem, że dojdziemy do zgody. — Henryk, wstając od stołu, mocno przytrzymał się blatu.

To nie jest zgoda. To tylko chwilowy kompromis — pomyślał Bolesław, wychodząc.

Wieczorem biskupi udali się na mszę, a margrabiowie i książęta, poza Henrykiem bawarskim, wymówili od niej. Bolesław z Guncelinem, księciem Bernhardem Billungiem i margrabią Henrykiem ze Schweinfurtu czekali na dziedzińcu, aż stajenni przyprowadzą im konie.

— Henryk bawarski jako król Rzeszy… — Billung wzruszył ramionami i rozprostował zesztywniały od długiego siedzenia kark. — Lepszy byłby książę szwabski Herman.

— Przegłosowali nas i tyle — skrzywił się margrabia ze Schweinfurtu. — Póki co, to książę Bolesław wychodzi z tego najlepiej. Łużyce, Milsko…

— Dobrze wiecie, że miało być zupełnie inaczej. Gdyby żył Otto, sprawy potoczyłyby się odmiennie. Guncelinie, ile chcesz za Miśnię? — Bolesław klepnął go w plecy.

— Przestań, Bolz! Mnie to nie bawi. Podział marchii między mnie a bratanka też może stać się zarzewiem konfliktu.

— Ale na pomysł, byście pożenili twego bratanka i córkę księcia Bolesława, bawarski kutwa się zgodził — wtrącił się Billung.

Stajenni przyprowadzili wierzchowce. Duszan przytrzymał mu konia.

Dwunastu ludzi Bolesława stało w gotowości. Obstawa Henryka ze Schweinfurtu i Billunga była dwakroć liczniejsza.

— Dołączę do ciebie za murami miasta — powiedział Guncelin. — Spotkamy się wieczorem w twoim obozie.

Na zamkowej bramie zagrały rogi i otworzono ją dla nich.

— Jak chcesz — odpowiedział książę i dosiadł konia. Odwrócił się do Billunga, a ten zapytał:

— Dlaczego masz tylko dwunastu ludzi?

— A dlaczego ty masz ich więcej? — spytał Bolesław, ruszając.

Jego drużynnicy wysunęli się na czoło orszaku, a dwóch zajęło miejsca po bokach obu książąt. Duszan jak zwykle jechał tuż za nim.

— Mnie posłowie Henryka przekazali, że mogę wprowadzić tylko dwunastu — dodał książę i poczuł, że coś tu nie gra.

Billung spojrzał na niego uważnie i zmarszczył brwi. Bolesław wiedziony odruchem sięgnął po hełm wiszący u siodła. Włożył go na głowę. Przekroczyli bramę zamku, jadąc wąskim przesmykiem między składami kupców.

— Z drogi! — krzyknęła jego straż przednia do ludzi, którzy usiłowali przepchnąć wóz wyładowany workami mąki, z zaprzężonym do niego wołem.

— Litości, panie! — zajęczał woźnica. — Wóz mi utknął, koło pękło…

Wół smagnięty batem ryknął.

— Droga dla książąt!

Za tarasującym drogę wozem zaczęli zbierać się ludzie.

— Dla jakich książąt? — krzyknął z tłumu ktoś ciekawski.

— A dla których?

— Książę Polanii, Bolesław, książę saski Bernhard…

W tej samej chwili z głębi zaułka wyleciała strzała. Bolesław i Bernhard uchylili się. Tłum, który jeszcze przed chwilą wyglądał na zwykłą miejską tłuszczę, wyciągnął broń. Rzeźnickie tasaki i topory. Jak spod ziemi pojawili się łucznicy i zajęli miejsca, mając za osłonę worki mąki na wozie. W wąskiej uliczce rozpętała się rzeź.

— To zamach! — krzyknął za ich plecami Henryk ze Schweinfurtu.

Potężny drużynnik, który wepchnął się konno przed Bolesława, by go osłonić, poległ w tej samej chwili od kolejnych strzał. Jego miejsce zajął następny. Temu raniono konia, który upadając, przygniótł jeźdźca. Bolesław się odwrócił. Wąską drogę za nimi tarasowali wojowie Billunga i Henryka. Jego ludzie, na szpicy, wystawieni na liczący kilkudziesięciu zbirów tłum, padali jeden za drugim.

— Odwrót! — krzyknął Billung. — Do małej bramy!

Z trudem zawrócili konie w wąskiej uliczce. Ostatni ludzie Bolesława osłonili ich tyły. Przeciskali się z powrotem.

Gdzie, u licha, książęca straż Henryka? — pomyślał, gdy udało im się wydostać z uliczki na niewielki plac. Odwrócił się gwałtownie i poczuł chłód. Poza Duszanem nie miał już ludzi. Kwik i rżenie koni, jęki rannych, okrzyki tłuszczy i przerażone głosy przypadkowych przechodniów mieszały się ze sobą.

— Osłaniać księcia Bolesława! — wydał rozkaz swoim zbrojnym margrabia.

Otoczyli go tarczami. Billung wysforował się na przód kolumny i prowadził do małej bramy. Bolesław zrozumiał, że nawet nie wie, gdzie ta

brama jest.

Jeśli wyjdę z tego cało, nauczę się rozkładu wszystkich bram w każdym grodzie, do którego będę wjeżdżał — przemknęło mu przez głowę.

W tej samej chwili jego koń kwiknął i niemal stanął dęba. Dostał w zad — zrozumiał Bolesław, błyskawicznie wyjmując nogi ze strzemion, by upadający wierzchowiec nie pociągnął go pod siebie.

Zeskoczył z końskiego grzbietu w bok. Na chwilę znalazł się poza ochroną tarcz. Duszan już był przy nim; niższy od Bolesława, przylgnął do niego plecami, by osłaniać księcia całym ciałem. Cofali się w stronę muru. I wtedy podbiegł do nich ktoś w szarym kapturze na głowie. Bolesław odwrócił się błyskawicznie, słysząc, jak Duszan szepnął:

— To ja…

Ale tamten nie dał się nabrać, że Duszan jest księciem. Ponad jego głową syknął prosto w twarz Bolesława:

— Cesarstwu wystarczą trzy filary! Sklawinia nigdy nie będzie równa Germanii. Ale może być jej podległa!

Bolesław chłonął każde słowo, błyskawicznie wyjmując długi saski nóż, który nosił wzdłuż pasa na plecach. Nie czekał na więcej. Lewą ręką odepchnął w bok Duszana, który upadł na bruk, a prawą wbił nóż w brzuch napastnika. W tej samej chwili doskoczył do niego Billung, a jego ludzie znów ich osłonili.

— Bolz! Dlaczego zwlekałeś tak długo? Mógł cię zabić! — krzyknął książę Bernhard.

— Chciałem wysłuchać przesłania śmierci — odpowiedział Bolesław, oddychając głośno.

— Znasz go? — Billung trącił nogą konającego.

— Nie — odrzekł, odwrócił się i zawołał: — Duszan, wstawaj!

— Konia dla księcia! — krzyknął, podjeżdżając do nich margrabia.

— Duszan! — Bolesław wiedziony okropnym przeczuciem przypadł do niego. — Pchnął cię nożem?

Duszan krwawił z rany w brzuchu. Obiema dłońmi usiłował przytrzymać wypływającą z niego krew.

— Przyciśnij. Nie wolno ci umrzeć! To rozkaz! — krzyknął Bolesław i uniósł go z ziemi jak dziecko. — Duszan, słyszysz?

— Tak…

Przyboczny margrabiego przyprowadził mu konia. Bolesław delikatnie przełożył Duszana przez siodło i wskoczył na nie.

— Za mną! Wyjedźmy za bramę — komenderował Henryk ze Schweinfurtu. — Tu wciąż nie jest bezpiecznie, a straży książęcej nie widać.

Bolesław ruszył za księciem i margrabią.

— I nie zobaczymy jej — powiedział, wskazując głową na trupa. — On przesłał mi pozdrowienia od księcia Henryka.

Szybko dojechali do małej bramy dla służby. Ludzie margrabiego ze Schweinfurtu kończyli rąbać ją toporami.

— Była zabita dechami! — zameldował dowódca. — A jeszcze dziś rano ją sprawdzałem.

— Duszan, słyszysz mnie? — Bolesław trzymał lewą dłoń na jego ciele.

Bez zwłoki wyskoczyli za Merseburg, odjeżdżając galopem na bezpieczną odległość. Z murów nikt do nich nie strzelał. Bolesław uniósł się w siodle i odwrócił w stronę miasta.

— Sklawinia nie będzie podległa Germanii! — ryknął.

Zaczyna się wojna — pomyślał. — Czy mój syn wciąż jest w Italii?

Duszan jęknął. Bolesław pochylił się nad nim.

— Nie mogę wykonać ostatniego rozkazu — wycharczał i jego oczy zaszły mgłą.

ŚWIĘTOSŁAWA nie miała pewności, czy wysłać Iona do Italii. Nie miała powodów, by mu ufać. Przekonał ją Unger, mówiąc:

— Owszem, zgrzeszył ciężko, ale Pan wymaga od nas, byśmy odpuszczali winowajcom. Zna Romualda, zna Pereum i okolice. Umie pisać, więc będzie mógł przekazać nam wiadomość przez posłańca.

— On nie ma nam przekazywać wiadomości, tylko Bezpryma! A jeśli okłamuje nas, mówiąc, że był u Romualda pustelnikiem?

— Nic prostszego, pani. Niech zbrojni księcia zabiorą Iona do eremu w Międzyrzeczu i okażą mnichom z Pereum. Jeśli ci go poznają, sprawa będzie jasna.

Poznali. Ion po wizycie u nich trząsł się cały. Dopiero do niego dotarło, że naprawdę ma jechać do starego eremity.

— Gdyby żyły Wrzask i Zgrzyt, wyczułyby smród twego strachu — powiedziała do niego pogardliwie. — Ale przez ciebie nie żyją. Ostry — zwróciła się do dowódcy wyprawy — gdyby Ion w czymkolwiek ci podpadł, zabij go. Trupa możesz porzucić przy drodze.

— Pani — upomniał ją Unger. — To się nie godzi.

— A wygadywać tajemnice spowiedzi się godzi? — odpowiedziała pytaniem. — Dobrze, Ostry. Jakby co, porzuć go w krzakach. Na popasach przywiązuj i pilnuj. To tchórzliwy szczur. Jeśli Wilkomir i Helga się zgodzą, zabierzcie ze sobą Wilczana. Jest bystry i będzie umiał dopilnować przeklętego mnicha.

— Królowo — jęknął Ion. — Jeśli sprawię się, jak sobie życzysz, czy rozważysz darowanie mej winy?

— Jeśli zawiedziesz, wymyślę lepszą mękę niż bycie przy mnie — odpowiedziała wtedy i wyszła.

Słyszała, jak jęknął cicho za jej plecami:

— Nie zdołasz, moja pani.

Od ich wyjazdu minęły trzy miesiące, Bolesław był już pod Merseburgiem w drodze na zjazd panów Rzeszy, gdy posłaniec przywiózł list z Italii.

Brat Brunon z Kwerfurtu, który zgodnie z przysięgą złożoną jeszcze cesarzowi Ottonowi osobiście opiekował się księciem Bezprymem, przekazał młodego pana w nasze ręce. Ruszamy przez Alpy i Bawarię, starając się uniknąć spotkania z wojskami księcia Henryka. Musimy być ostrożni, bo Italczycy na króla obrali Arduina z Ivrei, a ten prześladuje zarówno dawnych przyjaciół Ottona, jak i obecnych Henryka. Drogi nie są bezpieczne. Brat Brunon ruszył zaś do Rzymu, aby otrzymać od papieża sakrę biskupią i paliusz, co ponoć ma nastąpić bez zwłoki i dać Brunonowi możliwość prowadzenia misji wedle życzenia księcia Bolesława. Nim jednak przybędzie do Poznania, będzie musiał się udać po inwestyturę do nowego króla Niemiec, jak tylko ten zostanie wybrany, zatem Brunona nie należy się spodziewać w kraju tak szybko. Młody książę zdrów i wyraził zgodę na powrót do kraju, pod warunkiem że ojciec pozwoli mu zostać w międzyrzeckim eremie, co zostało mu przyrzeczone.

Unger skończył czytać i odłożył pergamin.

— Sekretny znak jest? — dopytała nieufnie Świętosława.

— Jest, pani. To bez wątpienia list, który napisał Ion według życzenia pana Ostrowoda. W złą godzinę wypadła ich podróż, niestety.

Emnilda z Ottonem, najmłodszym synem, na kolanach westchnęła.

— Ostrowod wziął najlepszych ludzi — powiedziała na pokrzepienie.

— I ma przy sobie największego tchórza — dodała Świętosława. — Ion cało wychodzi z każdej opresji, więc może też im przyniesie szczęście.

— Co będzie, gdy Bezprym się dowie, że Bolesław nie ma zamiaru zostawić go w eremie? — spytała Emnilda, nie zważając na ostrzegawcze syknięcie Świętosławy.

— A nie ma? — zapytał czujnie Unger.

— Och, mój brat lubi zmieniać zdanie — powiedziała szybko królowa, by uspokoić biskupa. — Do diabła! Nie napisali słowa o tronie? Ungerze, proszę, sprawdź. Bolesław bardzo chce posadzić swój… siebie… Mógłbyś sprawdzić?

Unger zmarszczył brwi. Nie była odporna na jego biskupi urok, grzeczniała przy nim. Miał coś w sobie. Przenikliwy jak Bóg Ojciec.

— Ani słowa — odrzekł sucho. — Proszę, powiedzcie…

Z odsieczą przyszedł im Sobiesław. Wszedł do świetlicy wyraźnie zmartwiony.

— Kłopoty w Pradze — oznajmił.

— Doskonale! — wyrwało się Świętosławie. — W dobrą godzinę. — Uśmiechnęła się przepraszająco do Ungera, potem do Sobiesława. — W złą?

— Mów, książę libicki — poprosiła go Emnilda, trwożliwie patrząc na biskupa. — Siądź z nami i mów szybko.

Unger wciąż musiał myśleć o tym, co się wyrwało Emnildzie, bo zamiast na Sobiesława Sławnikowica patrzył to na księżną, to na Świętosławę. Ta pod jego spojrzeniem znów poczuła się niezręcznie i nie mogąc usiedzieć, wstała.

— W Pradze kiepsko. Książę Władywoj chleje na umór… — zaczął Sobiesław.

Chwyciła dzban z winem.

— Napijesz się? — spytała Sobiesława.

— Owszem, królowo. — Zdziwił się, że ona sama chce mu nalać.

Zamiast tego gwałtownie odstawiła dzban.

— Tak, biskupie — przyznała się za brata. — Bolesław nie odpuści Bezprymowi.

— Posłał po niego, ale nie widzi jego miejsca w eremie — dołączyła się do spowiedzi Emnilda.

— I proszę, spróbuj go zrozumieć…

— I wybaczyć, zanim wróci…

— Jeśli Bezprym złożył śluby Bogu — odpowiedział Unger — to książę nie może stawiać swojej woli ponad Jego wolą.

— A skąd wiesz, że to była wola Boga, a nie chwilowy kaprys natchnionego młodzieńca? — zapytała Świętosława.

— Ślub złożony przed Bogiem jest nierozerwalny.

— Czyżby? Sven poślubił mnie przed ołtarzem, a mimo to odesłał.

— Królowo, nie gniewaj się, ale ty nie jesteś dobrym przykładem. Twoje życie obfituje w szczegóły, których spowiednik wolałby nigdy nie usłyszeć.

— Ach! Raz się otworzyłam, wyspowiadałam i co? Mój spowiednik okazał się zdrajcą. Zresztą, czego się spodziewać po kimś, kto miał współudział w zabójstwie jarla Birgera i spaleniu zalotników! Mój ukochany nie żyje, mąż mnie wygnał i zamordował rysie. Masz rację, Ungerze. Nie jestem dobrym przykładem.

Emnilda krzyknęła i zasłoniła uszy małego Ottona dłońmi. Sobiesław sam sobie nalał. Unger zbladł. A do niej nagle dotarło, że w Poznaniu nie o wszystkim mówiło się głośno.

— Przepraszam — bąknęła. — Myślałam, że wiecie. Na Północy to ulubiony temat skaldów. Nie mówmy o mnie. Sobiesławie, mów o tym pijaku, Władywoju. To nasz daleki krewny, tak?

— Tak, pani. Po tym jak książę praski, Boleslav Rudy, wasz wujeczny brat, wykastrował…

Teraz nie wytrzymała Emnilda. Zerwała się.

— Przepraszam, Sobiesławie. Odprowadzę Ottona do alkowy. Zrobiło się bardzo późno, wybaczcie. — Wzięła małego na ręce i wyszła szybko, by nie słyszał opowieści rodzinnych.

— Wykastrował Jaromira, swego młodszego brata, a Oldrzycha usiłował zamordować w łaźni…

— W łaźni? — spytała cicho.

Do tej pory myślała o sobie „córka Mieszka”. Zapomniała, że płynie w niej krew Przemyślidów. Czyżby kaźń w łaźni była jakąś rodzinną tradycją? W jej głowie skandował skald: Łaskawa pani udzieliła nagany. Płomienie umyły ich dłonie splamione. Uciszyła wspomnienie.

— Tak. Odbiło mu zupełnie i matka z dwojgiem młodszych uciekła z Pragi…

— Czekaj. Skoro wykastrował Jaromira, to znaczy, że chłopak już musiał być mężczyzną — skonstatowała trzeźwo.

— Młodzieńcem.

— Dokąd uciekli?

— Do Rzeszy, pod skrzydła księcia Henryka. — Sobiesław pokręcił głową. — Niestety, nasi władcy zawsze w rozgrywkach między sobą korzystali z pomocy królów Rzeszy. To wielki błąd i mści się na Czechach od pokoleń. Wracając do sprawy… Twój brat, chcąc ukarać Rudego za okrutny postępek z braćmi, uprowadził go do Krakowa, a na tronie praskim osadził Władywoja. Tyle że ten okazał się niewiele lepszy od poprzednika. Tamten był brutalny z natury, a Władywoj okrutny robi się po pijaku. Ale odkąd zasiadł na tronie, nie trzeźwieje. Dostałem wieści z Pragi, że lud się buntuje przeciw niemu. Możni myślą o ściągnięciu do Czech Jaromira i Oldrzycha, a to będzie oznaczało klęskę polityki twego brata.

— Rozumiem, że wraz z Władywojem Bolesław posłał tam swój oddział.

Wiedziała, że Czechy od zawsze były jednym z marzeń jej brata. Gdy byli dziećmi, a słodka Dobrawa opowiadała im o dziadku, nazywał siebie „księciem Pragi” i nie mógł zrozumieć, że nie odziedziczy księstwa nad Wełtawą.

— Tak, pani, ale najwyraźniej nawet oddział Bolesława nie jest w stanie zapanować nad jednym pijakiem okrutnikiem. W dodatku Jaromir i Oldrzych rozpuszczają pogłoski, że starszy brat prześladował ich na rozkaz naszego księcia.

— To bzdura — odezwał się Unger. — Chyba nikt rozsądny nie bierze tego pod uwagę?

— W Czechach zapanował chaos, ojcze biskupie — smutno stwierdził Sobiesław. — Rozsądek gdzieś uleciał od czasu okrutnego mordu na mojej rodzinie.

Nie wierzę, że Bolesław namawiałby do kastracji krewnego — pomyślała. — Jest zapalczywy i gniewny, ale nie okrutny. Lecz niepokoje w Czechach mogą mu być na rękę, jeśli nie zapomniał swego chłopięcego marzenia.

ASTRYDA nie chciała się spotykać z bratem Sigvalda. Robiła, co mogła, by zapomnieć o tym, że kiedykolwiek miała męża zdrajcę o takim imieniu. Cóż z tego, skoro za każdym razem, gdy wpływała lub wypływała Dziwną, mijała Jomsborg? Nieustanne przypomnienie, że on tam kiedyś był.

— Niepamięć przychodzi z czasem — klarowała jej Busla, składając płócienne opatrunki. — Moja babcia w pewnym wieku zapomniała, że w ogóle była mężatką, że urodziła dzieci i miała wnuki. Zakładała sobie kwietny wianek na siwe włosy, a do nas mówiła jak do służby.

— To ma mnie pocieszyć? — fuknęła na nią Astryda.

Wstała i przyjrzała się rannym. Z bitwy w Øresundzie został pod jej opieką tylko Omold, skald. Pozostali ludzie Olava już dawno opuścili

Wolin. Teraz miała tu kilku wioślarzy i sternika z fryzyjskiej kogi, która zawinęła do nich niedawno. Wdali się w bójkę z jomsborczykami pijącymi w portowej tawernie i wyszli na tym paskudnie. Dalwin prosił ją, by zrobiła dla nich co w jej mocy.

— Jeśli się rozejdzie po świecie, że Wolin jest niebezpiecznym portem, statki przestaną tu zawijać. Stracimy na tym wszyscy! Ulecz ich, proszę.

— Uleczę jednych i zaraz będą następni — odpowiedziała mu smutno.

— Jest źle, jak jeszcze nie było — potwierdził Dalwin. — Kiedyś płaciliśmy jomswikingom za ochronę Wolina i kupców, a teraz? W warowni samowola, nie ma z kim rozmawiać, nie ma komu płacić.

— O, nie słyszałeś? Ostatnio odgrażali się, że płacić mamy każdemu z nich z osobna.

— Rozbój — ze zgrozą przyznał Dalwin.

Jej dziadek się starzał; nie był już tym rzutkim namiestnikiem Wolina, co przed laty. Nie mówił tego głośno, ale tkwił w nim cichy żal, że Astryda nie ma dzieci. Syna, który by przejął jego obowiązki i dbał o świetność wielkiego, bogatego portu. Owszem, od śmierci Sigvalda zaroiło się od chciwych i szybkich, takich, którzy starali się o jej rękę. Ale żaden z nich nie pasował nawet Dalwinowi, nie mówiąc o tym, że Astryda na słowo „mąż” reagowała histerycznie. Żaden też nie nadawał się do przedstawienia Bolesławowi. Astryda w głębi duszy cieszyła się, że książęcy brat chwilowo ma dość własnych spraw na głowie i o niej zapomniał. Wiedziała, że gdyby przyszło co do czego, byłby równie bezwzględny jak Mieszko. Powiedziałby: „To jest twój mąż” i nie byłoby miejsca na dyskusje.

Czy myśli już o kolejnym małżeństwie Świętosławy? — zastanawiała się często. — Ma na dworze królową bez królestw. Gdyby znalazł jej wygodnego dla swych interesów męża, pewnie by się nie wahał ani chwili.

A może dręczą go wyrzuty sumienia wobec niej? I może jej odpuści, da wolną rękę?

Trudno jej było przyznać się nawet przed sobą, że jeszcze bardziej niż z braku zainteresowania brata cieszy się z milczenia Świętosławy. Bała się, że siostra, obolała i samotna, będzie dążyła do jak najszybszego spotkania. Astryda nie miała na nie sił. Wciąż jeszcze nie była gotowa do stanięcia z nią twarzą w twarz. Może później, gdy już wszystko się ułoży. Kiedyś. Za jakiś czas. Byle nie teraz.

Kruchy spokój budowany przez nią z takim trudem zburzyło przybycie Thorkela zwanego Wysokim, brata Sigvalda. Przypłynął do Jom i prosił Astrydę o spotkanie.

— Wysłuchaj go chociaż — namawiał Dalwin. — To jego brat.

A ja chcę zapomnieć, że miałam męża — myślała z uporem, ale nie mogła odmówić ani Thorkelowi, ani tym bardziej Dalwinowi.

Zgodnie z przewidywaniem jego przydomek był, jak mawiała Świętosława, z tych „jak widać”. Zdecydowanie wyróżniał się wzrostem.

Ma długi, lekko krzywy nos, jak Sigvald. Błyszczące, ciemne oczy, jak Sigvald. I szczupłe palce, jak on. Na szczęście jest łysy — pomyślała z ulgą. — Gdyby miał jeszcze długie, piękne włosy Sigvalda, nie mogłabym zamienić z nim słowa, bo wydawałoby mi się, że rozmawiam z jarlem Jom.

— Pani — ukłonił się. — Chciałem cię poznać już dawno, byłem w warowni kilka razy, gdy żył Sig, ale brat nigdy nie zgodził się przedstawić mnie swej pięknej żonie.

— Był zazdrosny o wszystkich — odpowiedziała prowokująco. Chciała wiedzieć od razu, czy Thorkel przybył, aby ją obwiniać o śmierć brata.

Kiwnął głową i powiedział:

— Trafniej bym tego nie ujął. Jego trudny charakter był powodem, dla którego nie mogłem zagrzać miejsca w Jom.

Pamiętała, jak przed laty Sigvald wspomniał raz czy dwa, że Thorkel załatwia różne sprawy w Anglii.

— Nie mieliśmy dzieci, to pewnie wiesz. Jeśli więc przybyłeś, by ustalić sprawy spadkowe, bierz wszystkie ziemie, które ci się należą po bracie. Ja nie chcę po nim nic — powiedziała.

— Przypłynąłem po ludzi. Jomswikingowie bez wodza…

— Żelazne wilki bez pana zamieniają się we wściekłe, pijące na umór i gryzące się wzajemnie psy — weszła mu w słowo. — Ale nie wiem, czy te psy są gotowe pójść za bratem Sigvalda. Ci, którym zostały resztki honoru, traktują udział w bitwie w Øresundzie jako kolejną zdradę.

— Wiem. Wielu z nich żałuje, że pogwałcone zostały dawne, żelazne prawa Jom.

Nie był Sigvaldem, już to wiedziała. Być może teraz prowadził z nią jakąś własną grę, ale nie był jej gładkim mężem pod uśmiechem skrywającym ostrze. Ich rozmowie zza ściany przysłuchiwał się Dalwin, tak się umówili. Znała swego dziadka, czuła, co powie, gdy Thorkel wyjdzie.

— Chcesz zostać wodzem Jom? — zapytała.

— Nie. Chcę zabrać to, co zostało z jomswikingów, do Anglii. Potrzeba mi załóg, a im przyda się zajęcie.

— Ja nie jestem władna, by dać ci zgodę. Powinieneś spytać mego brata, księcia Burizleifa.

— Jomswikingowie nie mieszają się w sprawy książąt — odpowiedział Thorkel.

Zaśmiała się szyderczo.

— Sigvald nic innego nie robił! A jednak jesteście do siebie podobni.

— Nie obrażaj mnie, wolińska pani. Uważam, że uwikłanie jomswikingów w sprawy władców Danii i Polanii rozpoczęło całe zło. Chcę to zakończyć.

— Powinieneś spytać mego brata o zgodę na wyprowadzenie załóg z Jom — powtórzyła.

— A co będzie, jeśli tego nie zrobię? Burizleif nie ma floty, by ścigać mnie po morzach.

Miał rację, wiedziała o tym nazbyt dobrze. W dodatku Bolesław był ze swymi wojskami gdzieś w Rzeszy i z pewnością nie miał teraz czasu na zajmowanie się warownią w Jom.

Nie zatrzymam ich siłą — myślała gorączkowo. — Jeśli się sprzeciwię, gotowi będą zaatakować Wolin, którego kiedyś strzegli.

— Powiedz, Thorkelu, czy zamierzasz płynąć do Anglii jako sojusznik króla Svena czy jako jego konkurent?

— Gdybym był przesądny, odpowiedziałbym, że konkurenci i sojusznicy Svena wychodzą na tym jednakowo źle. Mam na myśli Olava Tryggvasona.

Wiem — pomyślała i ukryła swój gniew.

— Sven jest dzisiaj zbyt potężny, bym mógł stanowić dla niego konkurencję. Ale przeciwwagę? W Anglii, gdzie operują tylko jego wodzowie, nie on sam? Czemu nie? To dla ciebie ważne, wolińska pani?

Sven zbudował koalicję przeciw Olavowi, jest odpowiedzialny za jego porażkę, a ty pytasz, czy to ważne? — pomyślała.

— Król Danii wygnał moją siostrę — odpowiedziała zupełnie spokojnie. — Nic dziwnego, że interesują mnie jego wrogowie.

— Wrogów ma wielu — odpowiedział Thorkel. — Ale nie licz na to, że ktokolwiek otwarcie wystąpi przeciw niemu. Jest zbyt silny. Panuje w Danii, kontroluje Szwecję, ujarzmił Norwegię. Kto by pomyślał, co? — zaśmiał się twardo Thorkel. — A pamiętam, jak przed laty Palnatoki posłał mnie i Sigvalda, byśmy pomogli Svenowi odbić Hedeby. Zaczynał od niczego.

— Podziwiasz go — kwaśno skwitowała Astryda.

— Co nie znaczy, że chciałbym mu służyć. — Thorkel przyjrzał jej się uważnie i w tym przekrzywieniu głowy tak był podobny do Sigvalda, że zacisnęła szczęki.

— Mówiłam, że nie jestem władna dać ci zgody na opuszczenie przez jomswikingów warowni. Mój brat, książę Burizleif, z całą pewnością byłby temu przeciwny. Ty zrobisz, jak zechcesz.

Pokiwał głową, patrząc jej w oczy.

— Odpłyniemy za dwa dni — powiedział.

— Przyjęłam do wiadomości.

— I obiecuję, że zostawimy warownię nietkniętą. Jomswikingowie chcieli puścić ją z dymem, ale nie zgodziłem się na to.

Dziękuję — pomyślała, ale na głos powiedziała co innego:

— Nie przyszłoby mi do głowy, Thorkelu, że byłbyś zdolny do tak barbarzyńskiego aktu. Nikt rozsądny nie pali za sobą mostów.

Wstał, skinął jej głową na pożegnanie i skierował się do drzwi. Ale w ostatniej chwili odwrócił się i powiedział:

— Podobno widziałaś, wolińska pani, koniec bitwy i kapitulację „Długiego Węża”.

— Ktoś cię wprowadził w błąd, Thorkelu. „Długi Wąż” nie został poddany. Bronił się do ostatniego żywego na pokładzie.

Gdy Thorkel opuścił dwór, Dalwin przyszedł do niej, usiadł i westchnął głośno.

— Nie, dziadku — zaprzeczyła, nim zaczął mówić. — Nic z tego. Słyszałeś całą rozmowę. Thorkel nie przybył tu z propozycją, że ożeni się ze mną, z powrotem zorganizuje warownię, która znów będzie broniła Wolina, jak dawniej.

— Nie powiedział tego wprost, ale nadawałby się jak nikt inny. — Dalwin pokręcił głową.

— Nieprawda. Thorkel żyje, by zdobywać. Bycie strażnikiem portu znudziłoby go szybciej niż Sigvalda.

— Ale…

— Z tej mąki nie będzie chleba, dziadku. Najważniejsze, że zostawią nam warownię, a my możemy zwerbować załogi, którymi ją obsadzimy, i sami zadbamy o bezpieczeństwo Wolina. Nie wiem tylko, kto ma stanąć na ich czele.

— Jak to kto? — Dalwin ciężko poruszył barkami. — Ty, córuś. Ty.

ŚWIĘTOSŁAWA wyjeżdżała z Poznania z Wolradem, Helgą, Ylvą, Wielkim Ulfem i swymi topornikami. Drużyna, którą dał jej Bolesław, była ostatnią asystą dla Duszana. Trumna z jego ciałem kołysała się na wozie.

Gdy książę wrócił spod Merseburga i wiadomość o śmierci Duszana rozniosła się po kraju, do Poznania przybył stary, siwy jak gołąb Wolrad, dożywający ostatnich dni w Gieczu dawny chorąży ich ojca. Bolesław był zajęty przygotowaniami do kolejnej wyprawy, więc starzec poprosił o posłuchanie Świętosławę. „Pani — powiedział — ciało Duszana winno spocząć przy kościach jego rodzonych”. „Wiesz, kim byli?” — zdziwiła się, bo pochodzenie Duszana i Duszy zawsze okryte było tajemnicą. Wolrad kiwnął głową i oto byli w drodze na wschód.

Wolrad zrównał się konno ze Świętosławą, gdy tylko wyjechali z Poznania. Uśmiechnęła się do starca, który w siodle zdawał się odzyskiwać młodość.

— Marudzić nam po drodze nie uchodzi — powiedział, pocierając czoło — ale przenocować trzeba, nim dowieziemy Duszana na miejsce wiecznego spoczynku. Dałem znać Siemirowi, to nasz dawny druh, co jeszcze przy twoim ojcu wojował, a jego syn Tasław teraz kasztelanem grodu w Grzybowie. Tam się zatrzymamy na nocleg.

— Nie będę się kłócić — odpowiedziała Wolradowi.

— To dziwne, moja pani. Jako dziecko nic innego nie robiłaś. — Chorąży puścił do niej oko.

— Jesteś starszy, więc pewnie wiesz lepiej — powiedziała grzecznie.

— No i czar prysł. — Zaśmiał się skrzekliwie. — Ustępujesz mi z litości, bo widzisz we mnie stojącego nad grobem starca.

— To Duszana wieziemy do grobu, a ty się tam nie wybierasz, skoro wyciągnąłeś mnie w podróż do Bodzi.

Gród w Grzybowie zamajaczył przed nimi późnym popołudniem i równo z tym, jak wyłonił się na trakcie, wyjechał ku nim kasztelan z orszakiem.

— Gościć królową trzech królestw to zaszczyt, jakiego się nie spodziewałem — powitał ją Tasław, a głos uwiązł mu w gardle.

— Rumienisz się tak samo jak w czasach, gdy ty byłeś chłopcem, a ja dziewczyną! — odpowiedziała wesoło. — Pamiętam, jak ojciec tamtej nocy, gdy wszedł do przerębla wraz z moim bratem, przeznaczył cię do jego drużyny. Co wtedy czułeś, Tasławie? Żałowałeś, co? Stary Jastrząb przeznaczył cię na zesłanie przy ledwie opierzonym Orlątku.

— Nie, pani. — Zawstydził się jeszcze bardziej. — To był ważny dzień w moim życiu. Po raz pierwszy usłyszałem, jak książęca córka wymawia me imię…

— Oj, przestań! Znałam każdego z was…

— I czar prysł — powtórzył Wolrad z uśmiechem. — Nie przejmuj się, Tasławie, mnie też już zdążyła niechcący obrazić nasza królowa. I to ci powiem, przyjacielu, że u boku pani czuję się, jakby wciąż żył książę Mieszko!

— Sława mu na wieki. — Kasztelan skinął głową i ruszyli groblą w stronę grodu.

Grzybowo leżało nad rzeczką Rudak, z trzech stron otoczone bagnami.

— Pamiętam, jak z Astrydą łowiłyśmy w Rudaku ryby! — zawołała.

— A ja pamiętam lato, gdy te podmokłe łąki zamieniły się w bulgoczące wrzącymi źródłami bagna. — Wolrad ponuro pokiwał głową.

— Naprawdę? Kiedy to było? Ojciec o tym nie wspominał.

Wolrad i Tasław wymienili się spojrzeniami.

— Twego ojca pana tu wówczas nie było — rzekł stary chorąży i zamilkł, krzywiąc usta.

— Wolradzie, jak zaczynasz, to mów dalej. Ciekawość nie pozwoli mi zasnąć. Ylva? — Odwróciła się do służki. — Słyszałaś o bulgoczących bagnach?

Jasna twarz Ylvy zrobiła się blada i wyszeptała, robiąc znak krzyża:

— Na mokradłach topi się wiedźmy, Harda Pani…

— No, Wolradzie? Opowiadaj! Moja Ylva jest bardzo ciekawa.

— Nie ma o czym gadać. To było tamtego roku, kiedy książę pan się ochrzcił.

— Chcesz powiedzieć, że starzy bogowie się mścili? Pomstowali na niego?

— Bogowie? Skąd mnie, prostemu chorążemu, takie rzeczy wiedzieć. — Wzruszył ramionami. — Ja wiem tylko, że Ludmiła miotała przekleństwa jak wściekła.

— Ludmiła? — Świętosława skądś znała to imię.

— Żona — podpowiedział Tasław i poprawił się: — Kobieta, jedna z siedmiu, z którymi książę pan żył, nim poślubił twą matkę, jaśnie panią Dobrawę.

Przypomniała sobie. W dzieciństwie nieraz podsłuchiwała rozmowy o oddalonych żonach.

— Ta Ludmiła… — spytała — żyje jeszcze?

— Nie, królowo — odpowiedział Tasław. — Ale jej młodsza siostra, Tomiła zwana Tomką, żyje w grodzisku. Tyle tylko, że wiek pomieszał jej

zmysły i ciężko się z nią dogadać. A oto i północna brama Grzybowa!

Grodu strzegła masywna drewniana strażnica nad bramą. Widziała lśniące hełmy wartowników i połyskujące groty oszczepów. Na wietrze łopotał sztandar z orłem Bolesława.

Straż bramna zadęła w rogi, gdy otwierano przed nimi wrota, i wjechali brukowaną drogą wiodącą wprost do obszernego, drewnianego dworzyska. Tasław wyprzedził Wielkiego Ulfa i pomógł jej zsiąść z konia, rumieniąc się przy tym jak młodzian.

— Przygotowaliśmy najlepszą komnatę — wymamrotał speszony. — Tę, w której zwykle nocował książę.

Na podwórcu zaroiło się od wielkich psów myśliwskich. Garnęły się do nich całą sforą, szczekając i nadstawiając wielkie, rude łby do głaskania.

— Podobne do tych, które ma Bolz! — zawołała, poklepując psy, które podeszły najbliżej.

— Te same, pani — z dumą powiedział Tasław. — Słynna grzybowska psiarnia! Może i królowa chciałaby wziąć od nas szczenięta?

— Nie — zaprzeczyła szybko. — Dziękuję. Już nie chcę mieć własnych zwierząt.

Nagle jedna z suk zawyła przeciągle i jej skowyt podchwyciły inne psy. Cała sfora jak na komendę przysiadła i unosząc pyski, zawodziła miarowo. Świętosława spojrzała w tę stronę. Od budynków gospodarczych szła ku nim przygarbiona, a mimo to wciąż wysoka, ubrana na biało stara kobieta. Na siwych, rozpuszczonych włosach miała wianek z ruty i rumianku, w ręku trzymała niewielki, uwalany gliną ceber.

— Tomka. — Kasztelan pokręcił głową. — Zabierzcie ją! — wydał rozkaz straży, przekrzykując wyjące psy.

— Nie — powstrzymała ich Świętosława. — Chcę ją poznać.

Tomka szła powoli, szurając nogami. Zdawało się, że nie patrzy na nich, tylko w ziemię pod swymi stopami. Stanęła i nie unosząc przygiętych pleców, wyciągnęła rękę i pokręciła dłonią w powietrzu. Psy jak na komendę zakręciły się tak, jak wskazała, i przestały skomleć. Starucha z trudem ruszyła dalej. Jej siwa głowa kolebała się na chudej, długiej szyi. Świętosława wpatrywała się w nią urzeczona. Wielki Ulf zjawił się przy jej boku, bezszelestny jak kocur. Kobiecina zatrzymała się o parę kroków przed nimi. Nie prostując pleców, uniosła głowę i spojrzała wprost w oczy Świętosławy.

— Żelazem walczysz… — wymamrotała powoli — żelazo złamiesz…

Zanurzyła dłoń w cebrze i chwyciła całą garść gliny. Uniosła ją na wysokość oczu królowej i zacisnęła pięść. Mokra glina prześlizgnęła się między jej palcami.

— A glina gliną zostanie — powiedziała Tomka i zachichotała nagle. — Nikt nie ceni gliny, a wszyscy kochają się w żelazie! Głupcy i ślepcy, głupcy i ślepcy!

— Nie obrażaj królowej! — warknął Tasław.

— Nie o niej mówię — odcięła się ostro starucha — a o was! — I wyciągając uwalany gliną krzywy palec, wskazywała kolejno wszystkich zbrojnych na podwórcu, po czym odwróciła się i odeszła, szurając. W ciszy, jaka zapanowała, słychać było tylko ziajanie sfory psów.

Spędzili w Grzybowie noc, a o świcie wyjechali wschodnią bramą grodu w stronę Wisły. Poranne mgły wisiały nad otaczającymi Grzybowo mokradłami. Świętosława myślała o ojcu. Co czuł, oddalając kobiety, z którymi dzielił łoże i stół? Gdy umierał, wspomniał imię tylko jednej z nich, Urdis, matki Astrydy. Wiedziała, że każda była sojuszem. Siedem rodów, siedem grodów, siedem żon. Zamienił je wszystkie na jednego Boga

i jedną Dobrawę. Czy wtedy, gdy podejmował decyzję, wiedział, że robi słusznie? Czy się bał?

Wyjechali na wschodni trakt, słońce grzało przyjemnie. I nagle zrozumiała, że niezależnie od tego, co czuł wtedy ojciec, on wykonywał ruch, podejmował decyzję, a jego żony były na nią skazane.

Jeśli rzuciły na jego głowę siedem przekleństw, trudno im się dziwić — pomyślała. — Chwała Panu, że te klątwy ojca nie złamały.

Otrząsnęła się i podjechała do Wolrada.

— Opowiedz mi o grodzie, do którego jedziemy — zagadnęła go. — Ojciec czasem wspominał o Bodzi, ale nigdy nas tam nie zabrał.

— Z ich powodu — skrzeknął stary chorąży i ruchem głowy wskazał na wóz z trumną Duszana. — Nie chciał kłuć rodzicieli widokiem dzieci, które mu oddali.

— Mówiło się, że wykupił Duszana i Duszę za srebro.

— Wykupił, pani, ale nie od biedaków. Zobaczysz, nie na darmo zwą Bodzię Złotym Grodem.

— To prawda, że mieszkają tam sami wygnańcy? Uciekinierzy z ościennych krajów?

— Ano tak. — Wolrad skinął siwą głową. — Rusini, którym Rurykowicze zaleźli za skórę, Dunowie zbiegli przed rządami twego teścia, Haralda przezywanego Sinozębym, i inni, tacy, co im z różnych powodów nie układało się w ojczyznach.

— A rodzina Duszy? — spytała z drżeniem w głosie.

— Pomarli już — odpowiedział Wolrad.

— Wiesz, kim byli?

— Powiedzą ci w Bodzi.

Złoty Gród zbudowano nad Wisłą tak, by pilnował rozległego brodu. Przed jego potężnymi, rzeźbionymi wrotami przywitał ich młody, płowowłosy

człowiek.

— Pani! — pokłonił się. — Jestem Arne, kasztelan Bodzi. Złoty Gród otwiera przed tobą swe bramy.

Gdy tylko zobaczyła wrota, serce zabiło jej szybciej. Wyrzeźbiono na nich łódź z malowanym, złotym dziobem i smukłym masztem. Łódź tak bardzo przypominającą „Wyniosłą Olbrzymkę”, którą płynęła do swego pierwszego męża. Już chciała o to zapytać, ale zagrały powitalne rogi i wjechali do grodu.

Patrzyła zdumiona, bo pierwszy raz w życiu widziała takie domy. Jedne były piętrowe, z misternie rzeźbionymi krużgankami, które wyglądały jak wyrzezane w drewnie koronki. Inne zaś, kryte smołowanymi, drewnianymi dachówkami, co przypominało gadzią łuskę, miały w szczytach dachu umieszczone smocze łby. Były też okrągłe, wielkie domy ze spiczastymi dachami niczym szczyty koczowniczych namiotów.

— A oto nasz dwór! — powiedział Arne i zobaczyła dworzysko, które przypominało odwróconą do góry dnem łódź.

— Widywałam takie w Danii — powiedziała do Arnego.

— Ci, którzy dwór zbudowali przed laty, też pewnie mieli zachowany w sercu jakiś duński dwór — melancholijnie odpowiedział kasztelan i zeskoczył z siodła, oddając konia stajennemu. — Pozwolisz, pani? — Podał jej rękę i pomógł zsiąść. — Zapraszam na ucztę. Gościć Sigridę Storrådę to dla nas największy zaszczyt.

Weszła do przestronnej halli. Jej środkiem, jak w północnych dworach, biegło długie palenisko, a wzdłuż ścian służące za miejsce do siedzenia podwyższenie wyścielone futrami. Na pociemniałych belkach ścian zawieszono barwne, zręcznie tkane wschodnie materie, nad nimi tarcze. Wśród nich i takie, jakich nie widziała w życiu. Małe, okrągłe, z których umba wystawał bolec.

— Pani — szepnęła do niej Ylva — spójrz na to. Całkiem jak u nas w Roskilde.

Zerknęła na biegnące wzdłuż jedynej nieobwieszonej tkaninami ściany rzeźbienie. Rzeczywiście, w pierwszej chwili wydało jej się podobne do tego w dworzysku Svena. Ale gdy podeszła bliżej, dostrzegła, że nie przedstawia goniących się bestii, ale jakąś historię.

— To legenda o Sigurdzie! — pisnęła Ylva. — Spójrz, moja pani! Kowal Regin kuje bohaterowi miecz. Jest i smok, którego zabija Sigurd, i ptaszki, których świergot zrozumie, gdy zje jego serce. Ojej!… — Z oczu Ylvy popłynęły łzy. Otarła je wierzchem dłoni.

— A tu, królowo Sigrido… — Arne z dumą pokazał srebrny krucyfiks wiszący nad wejściem — jeden ze skarbów Wielkich Moraw.

Srebrny Chrystus patrzył na nią z krzyża otwartymi oczami i zdawał się uśmiechać.

Pomyślała, że oto w tym jednym dworze w Bodzi spotkało się wiele stron.

Świat w kropli wody — przebiegło jej przez głowę.

— Mamy prezent dla ciebie, pani, i dla twych dam — powiedział Arne i przywołał służkę.

— Zdobione złotem, srebrne zausznice, które wyrabiał nasz miejscowy złotnik. Niestety, ruszył w podróż i nie dane mu jest wręczyć je osobiście.

Wyjęła z niewielkiej skrzyneczki długie zausznice. Od kabłączka zdobionego paciorkami odlanymi w srebrze szło siedem delikatnych łańcuszków zakończonych listkiem, a w okręgu samego kabłączka stało zwierzę. Boże — pomyślała — to nie zwierzę, to ryś. Wszyscy chcą mnie uszczęśliwić jakimś rysiem, a ja nie pragnę innych niż te, które zabił Sven.

— Dziękuję. Piękna rzecz. — Uśmiechnęła się, by nie sprawiać przykrości Arnemu.

Ylva i Helga założyły swoje zausznice, zdobione kwiatem, nie rysiem.

Zamienię się z Helgą — pomyślała i nastrój jej się poprawił. Usiadła na rzeźbionym tronie, który dla niej przygotowano.

Tak podobny do wysokiego krzesła Erika — przebiegło jej przez głowę. — Tego, na którym siadał nie w Sigtunie, ale w starym dworze w Uppsali.

Spoczęła, położyła dłonie na szerokich oparciach i jej palce odruchowo powędrowały niżej, na rzeźbione słupki.

— Czyje to słupki tronowe? — spytała.

— Konunga Lesira — odrzekł Arne i wzniósł toast: — Zdrowie królowej Sigridy!

Chciała spytać, kim był, ale gdy upiła łyk miodu, siedzący obok niej kasztelan zawołał:

— Ivarze! Zbliż się do nas!

W pierwszej chwili myślała, że idzie ku niej niezdarne, tęgie dziecko. W drugiej dostrzegła, iż człowieczek ten miał długie, rzadkie siwe włosy i że nie był dzieckiem, ale karłem. Pokłonił się przed nią nisko, podniósł z ukłonu i wtedy zdała sobie sprawę, że stoi przed nią starzec.

— Pani — powiedział z szacunkiem. — Panie Wolradzie! Oni musieli pomrzeć, by Ivar miał szczęście poznać królową, na własne oczy zobaczyć.

W oczach karła zalśniły łzy, otarł je wierzchem grubej dłoni i natychmiast uśmiechnął się szeroko. W jego ustach błysnęły złote zęby.

— Królowo — zwrócił się do niej Arne. — Oto najstarszy mieszkaniec Bodzi, Ivar Złotozęby.

Dobrze, że nie Ivar Mały — pomyślała z przekąsem i zaprosiła karła, by usiadł przy niej.

— Powiesz mi, Ivarze, kim była Dusza? — poprosiła po chwili.

Spojrzał na nią bystrymi, przekrwionymi oczami.

— Twoim cieniem, pani.

— To wiem. — Pokręciła głową. — Powiedz o tym, co przed nią i przede mną ukrywano. Kim byli jej rodzice? Dlaczego ją oddali księciu?

— Oddali, bo urodziła się tego dnia co ty, królowo. Oddali, bo byli dłużnikami konunga. Jak my wszyscy — dodał po chwili smutno.

Wiedziała, że jej ojciec udzielał schronienia wysoko urodzonym wygnańcom. Głośno się o tym nie mówiło, ale jako dziewczynka umiała podsłuchiwać to, o czym szeptano na poufnych naradach. Teraz, gdy była dorosłą, wygnaną królową, wiedziała swoje. Jej ojciec zapewne nie robił tego wyłącznie ze szlachetnych pobudek. Znała Mieszka pana aż nadto dobrze. Musiał mieć w tym swój interes.

— Kochałam Duszę — powiedziała. — Chcę poznać jej korzenie. Czy bliscy mojej przyjaciółki żyją?

— Nie, królowo — zaprzeczył. — Z jej rodu tu, w Bodzi, nikt nie przeżył. Dziadowie i rodzice pomarli.

— W Złotym Grodzie — wtrącił się Arne — mieszkają potomkowie zbiegów z Wielkich Moraw. I Chazarowie, co przed dziesiątkami lat uciekali przed wojną domową, która wybuchła nad Chazarskim Morzem, gdy ich kagan, chan chanów, zakazał wielu bogów i sprowadził rabinów, by głosili chwałę Jahwe. Są Rusowie, Waregowie, Czesi, Szwedzi, Duńczycy…

— Ano tak — wszedł mu w słowo Ivar. — Dusza stamtąd. Jej ród wygnano z Lejre.

— Co mówisz?! — krzyknęła. — Arnora, plemienna królowa, którą Sven więzi w Roskilde, pochodzi od wygnańców z Lejre!

— Arnora… — Karzeł pokiwał siwą głową. — Mówili o niej. Stryjeczna prababka Duszy.

Chryste Panie! — Świętosława w jednej chwili przypomniała sobie, jaką uwagą Arnora obdarzała jej Duszkę.

— Czy Dusza wiedziała, kim jest? — spytała pospiesznie, zaciskając palce na kielichu z miodem.

— Nie, pani — przyznał Ivar. — Jako niemowlę została oddana twemu ojcu i tobie. Nie mogła tego wiedzieć. Choć wielki konung zapewne już wtedy planował, że zwiąże twój los z królami Północy. Wiele, wiele razy mówił z żyjącymi wówczas w Złotym Grodzie potomkami jarlów. Wymarły te rody, wymarły, ale wtedy żyli panowie z Birki, Uppsali, Lejre, Aros. Konung uwielbiał z nimi rozmawiać. Byli też potomkowie uciekinierów z jeszcze dalszej Północy, z norweskich wysp, ci, których rodzice za czasów króla Haralda Pięknowłosego musieli opuścić skalistą Norwegię i dość mieli tułaczki, a on przytulił ich w Złotym Grodzie…

Jezu, ojcze! — jęknęła w duszy.

— Przyjmował tylko wysoko urodzonych? — zapytała, zaciskając szczęki.

— No, biednych tu nie ma. — Ivar wzruszył ramionami.

— Biedacy nie uciekają — obcesowo rzekł Arne.

— Ja całe życie ciężko pracowałem — dodał Ivar.

— Ty jesteś mistrzem — wszedł mu w słowo kasztelan. — Wybitnym mistrzem!

Karzeł się zarumienił i potarł policzki wierzchem dłoni.

— Płatnerzem, pani — wyjaśnił drżącym głosem. — Hełmy zdobię, kolczugi, taka tam robota…

— Pokażesz mi jutro? — spytała.

— Z radością, moja pani. To zaszczyt dla Ivara… ale ja wiem, że królowa Sigrida lepszą robotę widywała niż dłubanina starucha z Bodzi…

— Ivar dla twego dziada, Siemomysła, kolczugę zrobił — pochwalił go Arne.

— Ale dla Lesira nie zrobił — z przekąsem odpowiedział stary. — I żałuje.

Chciała spytać, kim był ów Lesir, którego imię słyszy po raz drugi, ale po halli przetoczył się toast powtarzany kolejno przez wszystkich. Brzmiał jak pieśń.

— Z Mory nasz ród! Z Mory nasz ród! Zmory odeszły, został lud!

— Mojmirowice! Halperinowie! Bożydary! Bjornssonowie! Rurykowicze!

Pochyliła się do Wolrada i zapytała:

— Co to znaczy, że „z Mory ich ród”?

— Pamiętasz porośnięte młodniakiem zgliszcza naprzeciw Ostrowa Lednickiego? — odpowiedział pytaniem.

„Gród Mojra. Nigdy go przy księciu nie wspominaj”. Chwila sprzed dwudziestu lat stanęła jej sprzed oczami jak żywa: zapędziła się konno na wzgórze, a Mieszko przywołał ją gniewnie.

— Królowo! — Karzeł dotknął łokcia Świętosławy. — Znam kamieniarza, który wyryje głaz dla twej zaginionej Duszy.

— Za pamięć konunga Lesira! — zawołał ktoś w głębi halli i wzniesiono toast.

— Kim był Lesir? — spytała Arnego.

— Twym pradziadem, królowo — odpowiedział zdumiony, że nie wie.

— Świętosława zna przodka pod naszym imieniem — wytłumaczył ją Wolrad. — Książę Lestek.

Z całych sił zacisnęła palce na rzeźbionych słupkach tronowych.

Cmentarz rozciągał się z boku grodu. Był olbrzymi, otoczony murkiem z polnych kamieni. Domy umarłych wznosiły się ponad miejscami pochówku. Każdy był inny, jak tutejsi mieszkańcy. Jedne miały krużganki misternie rzeźbione w drewnie; wiedziała już, że te należą do potomków

Rurykowiczów. Inne — smolne dachówki i smoki na szczytach. Spadkobiercy Chazarów z rodu Halperinów spoczywali pod okrągłymi domami ze spiczastym dachem. Przed niektórymi z nich wartę pełniły rzeźbione w drewnie wielkie, smukłe psy.

Trumnę dla Duszana przygotował morawski mistrz. Wyglądała niczym długa, pękata skrzynia, obramowana żelaznymi okuciami. Arne przyznał, że Duszan pochodził z rodu uchodźców z Wielkich Moraw. Świętosława zdecydowała, że oboje, Dusza i Duszan, nie będą mieli domów umarłych, ale miejsce ich grobów znaczyć będą wielkie, szare głazy. „Duszanowi — druh” — kazała wyryć na kamieniu Duszana, a dla swej przyjaciółki: „Duszy dziękuje za jej ziemską drogę królowa Sigrida”.

Runy nie znają imienia „Świętosława” — pomyślała smutno, patrząc na ich smukły, drapieżny rysunek. Przeżegnała się, z żalem myśląc, że kości Duszy nie mogły spocząć w ziemi, bo leżały gdzieś na kamienistym dnie cieśniny Øresund.

Ożywię cię, Duszo — przysięgła jej, kładąc bukiet polnych kwiatów przy głazie.

Gdy ruszyli z Bodzi do Poznania, Helga westchnęła:

— Ach, czułam się tam niemal jak w Sigtunie.

— A ja prawie jak w Roskilde — dołączyła się Ylva.

Wracamy do domu — chciała odpowiedzieć, ale zaniechała. Dla jej przyjaciółek Poznań nie był domem.

Kiedy w drodze powrotnej orszak zbliżył się do Ostrowa Lednickiego, kazała wszystkim udać się na spoczynek do palatium na wyspie.

— Helgo, Ylvo, mam dla was coś niezwykłego — powiedziała. — Przejedziecie najdłuższym mostem w znanym nam świecie i poznacie ukryte gniazdo piastowskiej dynastii.

— A ty, pani? — czujnie spytała Helga.

Ja muszę dociec czegoś, co bardzo długo było skryte — pomyślała.

— Dołączę do was później. Mamy z Wolradem coś do załatwienia.

Stary chorąży jej ojca pokręcił siwą głową i westchnął. Podjechała do niego.

— Ojca miałam nie pytać o Mojrę, ale ty mi powiesz. Zbyt wielu napoczętych tajemnic nasłuchałam się w Bodzi.

Ruszyli niespiesznie w stronę rozległego, porośniętego drzewami pagórka.

— Gród Mojra — powiedziała w zamyśleniu, rozglądając się po okolicy. — Stanął tu, zanim ojciec wybudował rezydencję na wyspie? — spytała, widząc doskonałe położenie wzgórza. — Jego mieszkańcy mieli świetny widok na całą okolicę. To był kiedyś gród stróżujący, prawda, Wolradzie?

— Tak było — potwierdził starzec.

— Mojra — powtórzyła i zapytała: — Od Mojmirowiców?

Zerknął na nią spode łba i uśmiechnął się, kiwając głową.

— „Z Mory nasz ród! Z Mory nasz ród! Zmory odeszły, został lud!” — przypomniała na głos zawołanie z uczty w Złotym Grodzie. — Jak rozumiem, najpierw gród zwał się „Mojra”, od Mojmirowiców, wygnańców z Moraw. A potem zmienił swą nazwę na „Mora” i by zapomnieć o zmorach, które straszyły w zgliszczach, mój ojciec przeniósł mieszkańców do Bodzi?

— Mniej więcej — potwierdził Wolrad.

Konie wspięły się po zboczu i szły teraz, stąpając ostrożnie po szczycie dawnego wału grodowego. Miejsce, które niegdyś musiało tętnić życiem, porosły gęste, kłujące krzewy głogu.

— Mojra była piękna w czasach swego rozkwitu — powiedział Wolrad i wskazał na bliższą część wzgórza. — Tu był stary gród, tam dalej dobudowano nowy.

— Powiedz mi o ludziach, którzy ją założyli — upomniała się.

— Dobrze powiedziałaś, to byli uciekinierzy. Gdy Madziarowie zaatakowali sławne Wielkie Morawy, państwo księcia Świętopełka było już słabe i nie miało siły, by się bronić. Mieszkańcy uciekali przed Madziarami, gdzie się dało. Na południe, na wschód. A najmłodszy z braci księcia wybrał drogę na północ. Zwali go Dalmir, a pradziad twego ojca, Siemowit, przyjął zbiega wraz z kobietami, dziećmi, służbą i nielicznym dobytkiem. Dał im to miejsce i pozwolił wyciąć las, by zbudowali gród. Przy okazji zobaczył, jak to robią, i stwierdził, że budowniczowie z Moraw potrafią lepiej stawiać wały obronne niż nasi, przysłał więc swoich cieślów na nauki i tak zdobył wiedzę, która wkrótce przydała się jego synowi.

— Lestkowi zwanemu Lesirem? — upewniła się Świętosława.

— Tak, pani. Ludzie Północy mówili na niego „konung Lesir”.

Zeskoczyła z siodła i przywiązała klacz do drzewa. Wolrad zsiadł ostrożnie. Przytrzymując się gałęzi, schodzili z dawnego wału do wnętrza grodu. Czerwone owoce głogu lśniły na gałązkach jak krople krwi.

— Między panowaniem Siemowita a jego syna Lestka nastał czas wojen. Strasznych wojen. Sasi sforsowali Odrę i jak ognisty smok szli na wschód. Stary Siemowit, wiedząc, iż nie sprosta ich potędze, wezwał cały swój lud zawołaniem: „Zapaść się w las”.

— Stchórzył? Nie bronił kraju? — spytała, wyszarpując suknię z drapieżnych kolców głogu.

Wolrad się zaśmiał i na chwilę zapomniał, że jest królową.

— Był bez szans, dziewczyno! — zganił ją. — Miał wybór: dopuścić do tego, by Sasi wyrżnęli obrońców, a kobiety i dzieci uprowadzili w niewolę, albo skryć się w niedostępnych puszczach, tak jak to przez wieki robili mieszkańcy tej ziemi. Wiesz, ile barbarzyńskich hord przeszło przez nasz kraj ze wschodu? Nie zliczysz. A dawni ludzie mieli na najeźdźców jedną

radę — znikali. Zapadali się na mokradłach, zaszywali w prastarych puszczach, rozpływali we mgle. Koczownicy gubili trop w lesie, ginęli na bagnach i odpuszczali sobie najazdy na kraj, jak sądzili, dziki i pusty. Kiedyś się mówiło, że nasi przodkowie byli jak trawa: wiatr przyginał ich do ziemi, a gdy niebezpieczeństwo znikało, podnosili się. Nie budowali grodów, by móc w każdej chwili zniknąć, ich bogowie nie potrzebowali wyniosłych świątyń, bo czczono ich w lesie, na polanie, na jeziornej wyspie. Nie mieli bogactw, nie cenili ich, bo po cóż posiadać coś, czego w chwili grozy nie można zabrać ze sobą w leśne ostępy?

— Kto nic nie ma, o nic się nie martwi — powiedziała w zadumie, patrząc na sterczące spod brzóz zgliszcza dawnego dworu. Musiał być rozległy jak jej siedziba w Sigtunie. — Ale to nie tamten najazd Sasów, o którym powiedziałeś, zniszczył Mojrę? — spytała.

— Nie, nie. Sasi dotarli do Poznania i zawrócili. Tu nie dojechali. Ale po tamtym ataku Lestek podjął decyzję, że musi wybudować grody tak wielkie, by obroniły jego kraj przed kolejnym uderzeniem z zachodu. Wiedział, jak to zrobić, bo budowniczowie Mojry pokazali mu, jak hakami wzmacniać konstrukcje wielkich wałów…

— Tak wielkie budowy kosztują krocie — przerwała mu. — Skąd mój pradziad wziął na to środki?

— Lestek miał szczęście — Wolrad się roześmiał — i dość rozumu, by z niego skorzystać. Słyszałaś, jak Arne mówił o Chazarach, co uciekli przed swym kaganem?

— Halperinowie, co nie chcieli przyjąć wiary w jedynego Jahwe?

Stary chorąży cmoknął.

— Wiara wiarą, moja pani. Chan chanów przy okazji nowej religii chciał się pozbyć oponentów. Rabini mu tylko w tym pomogli. Halperin był bogaczem znad Chazarskiego Morza. Gdy się zorientował co w trawie

piszczy, załadował swe dobra na statki i udając kupca, by nie podpaść chanowi, ruszył Wołgą na północ, a potem dostał się do Nowogrodu. Tam mu ponoć powiedziano, że na wschodzie są piękne, lesiste i niezamieszkane ziemie nad południowym brzegiem siwego Bałtyku.

— Niezamieszkane, bo podróżnicy nie wiedzieli, że ludność chowa się przed obcymi po lasach. — Zaśmiała się wesoło.

— Pewnie tak właśnie było. — Wolrad skinął głową. — Dość, że Halperin ruszył ze swą flotą na Bałtyk. A tu zatańczyły z nimi jesienne sztormy i statki Chazara osiadły na mieliźnie, o czym księciu Lestkowi raz-dwa donieśli zwiadowcy.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że obrabował rozbitków? — obruszyła się.

— Wręcz przeciwnie. Ruszył, by ich powitać. Na własne oczy chciał zobaczyć statek ze złotym żaglem, o którym mu wspomnieli wywiadowcy. Nie omieszkał przy tym zabrać ze sobą wojska, bo nie miał pewności, czy z okrętów zsiądą kupcy, czy wojownicy. Gdy ze swym hufcem stanął na brzegu, Halperin przekonał się, że wieści, jakie dostał w Nowogrodzie, zgadzały się w tym, że kraj piękny i lesisty, ale były chybione w tym, że niezamieszkany. Chazarowie nie mieli wyboru, ich statki zniszczył sztorm. Dogadali się z Lestkiem…

— Kiedyś słyszałam, jak ojciec śmiał się na uczcie, że Lestek miał legendarny dar przekonywania — przypomniała sobie.

— Ano miał. Rzekł ponoć Halperinowi: „Młody nie jesteś. Chcesz całe życie uciekać, by swoje złoto chronić? Co ci po nim, gdy umrzesz? Nie bój się, podzielimy się”. Chazar się targował, a Lestek na to: „Co na mój brzeg morze wyrzuciło, jest moje. Zobacz na hufiec, na zbrojnych. Mam cię zabić dla skarbu? Toż bogowie świadkami, że nie chcę. My, Słowianie, lud gościnny. Przyjmuję cię, gościu, dam ci dach nad głową, schronienie, twój

chan chanów w życiu cię w moich puszczach nie znajdzie. Ale i ty musisz mi coś dać. Potrzebuję twego bogactwa, by pobudować grody, jakby trzeba się było bronić przed chanem chanów. Rozumiesz, drogi przybyszu, że moja gościnność może dla mego ludu stać się zagrożeniem?”.

— „Drogi przybyszu”… — Zaśmiała się, powtarzając za Wolradem. — Ten Halperin naprawdę był tak bogaty?

— Był. Mimo iż większość tego, co miał na pokładach, oddał Lestkowi, to i tak starczyło mu na życie w dostatku. Ponoć jedną ze swych żon kazał posypać w trumnie srebrnymi monetami. Przypomnij sobie kobiety w Bodzi. Widziałaś, z jakim zbytkiem odziane? A to już czwarte czy piąte pokolenie po Halperinie.

— A nie dziwił się „drogi gość”, że Lestek te grody buduje na zachodniej, nie wschodniej granicy?

— Gdy już na dobre osiadł w Mojrze, książę mu wyjaśnił, że ma więcej wrogów niż chan chanów, i zacząć musi z innej strony. Zresztą sam Halperin długo nie pożył. Najpierw pochowano go w Mojrze, ale potem, gdy sprawy z nią się skomplikowały, przeniesiono grób do Bodzi.

— A co z tym statkiem? — zaciekawiła się. — Piastunka śpiewała nam taką piosenkę: „Pod złotym żaglem Lestek pan na złotym statku żeglował”. Kiedyś myślałam, że to zwykła bajka, ale jak słyszę, złoty żagiel naprawdę zawitał w nasze strony.

— Książę Lestek kazał porąbać zniszczone okręty, ale do tego ze złotym żaglem miał słabość. Nie pozwolił go tknąć. I złoty żagiel zwabił do nas wikingów. Wtedy raz jeszcze Lestek wykazał się zdolnością do prowadzenia rozmów. Zamiast z nimi walczyć, zaprosił ich na ucztę i zasugerował, by założyli osadę handlową w Truso.

— Przecież Truso nie było w granicach jego kraju! — zdziwiła się.

— Na tym polegał geniusz Lestka, pani. Nie wpuścił ich do siebie, ale osiedlił na granicy. Za jednym posunięciem zabezpieczył się przed ewentualnymi najazdami ich pobratymców i ustanowił zaporę przed wojowniczymi Prusami.

— Teraz już wiem, że talenty polityczne Mieszka i Bolesława to spuścizna po Lestku-Lesirze. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego spłonęła Mojra. Kto ją spalił?

Wolrad przejechał żylastą dłonią po suchym zaroście i zapatrzył się w ruiny grodu.

— To już moje czasy, pani. — Zacisnął szczęki. — Póki żył Lestek i jego syn Siemomysł, stosunki z mieszkańcami Mojry układały się świetnie. Dawni uciekinierzy zadomowili się u nas i nie zapomnieli, kto dał im schronienie. Siemomysł pojął za żonę Świętomirę, wnuczkę księcia Dalmira, tego, który uciekł z Moraw. Jej ojcem był pan o imieniu Mojar. Świętomira dała naszemu księciu dwóch synów: Mieszka i Dobroniega. Tylko Czcibor, jak pamiętasz, był z innej matki. Po śmierci Siemomysła zostało więc trzech synów i ktoś, kto bardzo pragnął władzy, lecz póki stary książę żył, potrafił się z tą ambicją maskować.

— Mojar? — domyśliła się. — Dziad matczyny mego ojca?

— Tak, pani. Jątrzył i knuł. Jeździł po kraju i namawiał wodzów, by wiec nie młodemu Mieszkowi przekazał władzę, a komuś starszemu, bardziej odpowiedniemu. Co ciekawe, o podstępnych planach Mojara powiedzieli Mieszkowi jego pobratymcy, wierni mieszkańcy Mojry.

Patrzyła na zarysy ścian dawnego dworu znaczone ciemnym szlakiem spalonych pni. Zgliszcza przykryła zieleń mchów, krzewy głogu i jasne pnie brzóz. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie słyszy ptaków. Nad spalonym grodem panowała cisza.

— Mów — poprosiła Wolrada.

— W zamian za przysięgę wierności Mieszko obiecał mieszkańcom, że włos im z głowy nie spadnie i dostaną nowe miejsce do życia. Musieli opuścić gród szybko, korzystając z tego, że Mojar pojechał do Giecza przekonywać tamtejszą starszyznę, by stanęła na wiecu za nim, a nie za twym ojcem. Gdy Mojar, nie spodziewając się zasadzki, wrócił do domu, zastał gród opustoszały.

Niemal to widziała. Słyszała tę ciszę, jak dziś, taką samą, jak musiał usłyszeć jej przodek, gdy stanął pośrodku wyludnionego grodziska. Puste chaty i dwór. Pojedyncze kury, których nie zapakowano na wozy. Walające się po podwórcu skorupy naczyń stłuczonych w pośpiechu. Gliniane grzechotki zgubione przez dzieci, wiechcie zdeptanej słomy, rozbite jajka, rozlane mleko. Potomkowie uciekinierów, którzy znów musieli uciekać, i on, Mojar, w którym obudziła się żądza władzy. Trudno go nie rozumieć, jego pradziadowie władali Morawami, pewnie zachował pamięć szeptanych mu rodowych historii. Ale wystąpienie przeciw Piastowi, dziedzicowi księstwa i wnukowi dobrodzieja Mojmirowiców, było jak ugryzienie ręki kiedyś wyciągniętej z pomocą.

— Czy mój ojciec spalił go żywcem? — zapytała z drżeniem.

— Nie, pani. Kazał pojmać i tam, na podwórcu przed długim domem, osądził w obecności wiecowej starszyzny. Tym samym dał dowód, że choć młody, to sprawuje władzę tak, jak się tego od księcia wymaga. Stali przy nim obaj rodzeni. I wszyscy trzej bracia Piastowie wydali wyrok: za zdradę śmierć. A starszyzna wyrok potwierdziła, przekonując się przy okazji, że młody pan nie okazuje wiarołomcom słabości. Mieli go powiesić, ale z uwagi na książęce pochodzenie ścięto mu głowę. Potem zaś Mieszko rozkazał spalić Mojrę, by wszyscy zapamiętali, że miejsce zostało skażone zdradą. Płonęła przez kilka dni, słup dymu unosił się nad tą równiną, widoczny z daleka. Z czasem okoliczni ludzie zaczęli mówić, że duch

straconego Mojara straszy w okolicy, i stąd miejsce to zaczęto nazywać nie Mojrą, a Morą, Zmorą. Zresztą twemu ojcu zależało przez wzgląd na pamięć matki, by zła sława nie kojarzyła się z Mojmirowicami. Dawny gród zaczął zarastać chaszczami, a Mieszko wybudował mosty, które wiodły do nowego gniazda na Ostrowie Lednickim.

— Ktoś inny opuściłby to miejsce na zawsze, by zapomnieć o złej przeszłości — powiedziała z namysłem. — Ale mój ojciec wolał mieć na oku ruiny zdradzieckiej Mojry, jakby chciał pamiętać.

— Mówią, że ty trzymasz swego zdrajcę przy sobie i każesz prowadzać na smyczy — powiedział Wolrad i odchrząknął. — Niedaleko padło jabłko od jabłoni.

— Co się stało z mieszkańcami? Osiedlił ich w Bodzi?

— Tak, pani. Przodkowie Mieszka przyjęli Halperinów znad Chazarskiego Morza, przyjęli Mojmirowiców z Wielkich Moraw, wikingów. A on sam otworzył bramy Bodzi dla pomniejszych gałęzi Rurykowiczów, takich, co mieli mniej szczęścia niż kniaź Wladimir w walce o władzę. Zaprosił wygnańców z Lejre i wszelkich innych, których bratobójcze lub domowe wojny wyganiały z ojczyzn.

— Dzięki nim stworzył tak mocne sieci wywiadu na ościennych dworach — zrozumiała wreszcie. — Czy i moje małżeństwo planował długo wcześniej?

— Lubił słuchać opowieści z Północy. — Wolrad się uśmiechnął. — Wiesz już wszystko, pani. Czy możemy skończyć wędrówkę po tych chaszczach? Moje stare kości uradowałby ogień w lednickiej świetlicy i garniec miodu.

— Te chaszcze odsłoniły dzisiaj przede mną swoją historię. Moją historię — powiedziała. — Ilu ludzi ją zna, oprócz ciebie?

— Wymieramy. — Wolrad pokiwał siwą głową. — Ale pamięć przecież pozostanie.

BOLESŁAW obsadził grody wzdłuż zachodnich granic, jeszcze zanim wrócił z Merseburga do Poznania. Spodziewał się wojny z Henrykiem, teraz już królem Henrykiem II.

„Sklawinia nie będzie nigdy równa Germanii, ale może być jej podległa…”. Niedoczekanie twoje, ptasi królu! „Cesarstwu wystarczą trzy filary…”. I jak ława z wyłamaną nogą się wywróci! Złorzeczył mu? Tak. I pogardzał nim.

Gdyby Henryk po nieudanym zamachu na jego życie zachował się jak prawdziwy wojownik, wyszedł ze swym wojskiem za mury Merseburga i starł się ze stojącymi za rzeką Salą jego wojskami, Bolesław zachowałby dla niego szacunek. Ale Henryka nie było na to stać. Postąpił podstępnie, jak tchórz, jak szczur. Nie uszanował królewskiego pokoju, jaki ogłasza się na czas zjazdu. Nasłał na Bolesława zbirów. A na końcu pozamykał miejskie bramy i skrył się za nimi jak w norze. Nie przewidział, że saski książę i schweinfurcki margrabia zaryzykują życie dla Bolesława. A on wściekły na to pogwałcenie wszelkich zasad, do bólu zraniony śmiercią Duszana, poprzysiągł, że nie daruje.

Skończyła się piękna, ottońska idea zjednoczonych królestw cesarstwa równych sobie. Zaczął się czas wilczej wojny. Pożogi i łez.

— To nie jest prawda — powiedział do Sobiesława, gdy ten u progu zimy przywiózł do Poznania wieści z Pragi.

— To jest prawda, choć brzmi paskudnie. Władywoj, książę praski, udał się do Ratyzbony i złożył hołd królowi Rzeszy, Henrykowi. A potem przyjął czeską koronę jako lenno Rzeszy.

Bolesław poczuł, jak wszystko podchodzi mu do gardła. Nie byli sami, przyjął Sobiesława w sali audiencyjnej, wokół był cały dwór. Więc

przełknął to, co naprawdę chciał powiedzieć, i warknął tylko:

— Pijak na tronie jest gorszy niż tyran. Jadę do Krakowa, natychmiast.

— Bolesławie — łagodnie wtrąciła się Emnilda. — A ślub naszej córki?

Zapomniał o tym, a nie powinien. Ten ślub to ważny sojusz na granicy z Henrykiem.

— Dziewczynę do małżeństwa przygotujesz ty.

— Ale…

— Świętosława ci pomoże. Ma w tym doświadczenie. — Uśmiechnął się do swej siostry.

— Wolałabym, żeby nasza mała Regelinda nie poszła w moje ślady — odrzekła Harda.

— Dlaczego? — nie zrozumiał. — Jesteś królową trzech królestw.

— Trzeciego nie przyjmuję, bo dostałam je po trupie tego, z którym chciałam je dzielić! — Uśmiechnęła się do niego przez długość sali. Nie znał nikogo innego, kto równie lekko mówiłby o swoim cierpieniu. — Jestem wdową, rozwódką, wygnaną królową, ale tak, masz rację, doświadczenie mam ogromne. Z radością przygotuję Regelindę do roli władczyni, choć przypuszczam, że wszystko, co najważniejsze, o udanym małżeństwie może jej przekazać Emnilda.

— Ano tak. — Zmieszał się i odchrząknął. — Muszę wyjechać…

— I wrócisz nieprędko? — podpowiedziała Emnilda.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że zabawi poza domem aż tak długo. Nie wymyślił tego biegu zdarzeń, choć byłoby nieprawdą, że go nie pragnął. Wszystko zadziało się tak szybko. Posłańcy, którzy znaleźli go w drodze, przywieźli wieści brzmiące nazbyt dobrze, choć burzyły dotychczasową konstrukcję. Tym prędzej jechał na południe. Nieprzewidziane zwroty zdarzeń to jego specjalność.

Lubił Kraków; tę chwilę, gdy jechał ku niemu i z traktu poznańskiego po pokonaniu borów, przepraw i puszcz nagle wyjeżdżał na wylesioną równinę, na krańcu której już widział łagodne wzgórza krakowskiej ziemi. Mieszkańcy witali go, niemal ocierając się o jego strzemiona. Pamiętali go z czasów, gdy był tu namiestnikiem jeszcze za życia Mieszka.

— Nasz książę, nasz księżyc, nasz pan! — wołali do niego wesoło.

Wawelskie wzgórze owinięte wstęgą Wisły. Niewielki, okrągły kościół, dwukondygnacyjne palatium ze świetnym widokiem na rzekę.

— Wszystko gotowe, choć się najjaśniejszego pana nie spodziewaliśmy! — powitał go zarządca Wawelu, Gnierad zwany Gadzim Okiem. — Biskupa Poppona wołać? Życzy sobie nasz książę mszę powitalną?

— Tak, oczywiście! Życzę sobie, ale niech biskup odprawi ją w mej intencji…

— Czyli bez księcia, zrozumiałem, wykonam! — Gnierad łapał w lot.

— Jak idzie budowa katedry? — spytał Bolesław, kierując się w stronę wykopów, nad którymi już wznosiły się kamienne podwaliny. — I jak mój więzień?

— Katedra zgodnie z planem, a więzień zdrów — odrzekł Gadzie Oko. — Pod kluczem. Spacer raz dziennie w towarzystwie zbrojnych.

— Przyprowadź go do mnie — rozkazał książę i rzuciwszy okiem na plac budowy, ruszył do palatium.

Boleslav Rudy był najstarszym synem jego wuja, brata matki, Dobrawy. A ona i jej siostra, mniszka Mlada, były jedynymi słodkimi i niewinnymi istotami w rodzie Przemyślidów. „Chłopcy w mej rodzinie zawsze są drapieżnikami — mówiła matka, gdy był mały. — Ale dziewczynki są naprawdę grzeczne”. Wydawało jej się wówczas, że on wyrośnie na trochę mniej krwiożerczego drapieżcę, a Świętosława na dobrą i miłą

dziewczynkę. O dziadku starała się im nie mówić, ale i tak wiedzieli, dlaczego ma przydomek „Okrutny”.

Rudy okazał się okrutny i bez przezwiska. Nieustannie bał się, że dwaj młodsi bracia wydrą mu władzę. Jaromira wykastrował, gdy chłopak ledwie osiągnął wiek męski. Najmłodszego, Oldrzycha, chciał udusić w łaźni. Nie udało się i teraz obaj przebywali pod skrzydłami Henryka. Króla Rzeszy, Henryka! — zapiekł go gniew na tego, którym pogardzał.

Stanął przed nim Boleslav Rudy. Wychudzony, z długimi, brudnymi włosami.

— Wyglądasz paskudnie — skrzywił się Bolesław.

— Odbywam pokutę — głucho odrzekł Rudy. — Biskup Poppo nakazał modły, posty i…

— Brud?

— Jestem więźniem. — Boleslav hardo uniósł głowę. — Trudno, bym chadzał w jedwabiach. Pozbawiłeś mnie ich.

— Pokuta powinna być czysta. Nie wprowadzę na tron praski tak brudnego księcia.

Twarz Rudego drgnęła.

— Tron? Tron, z którego mnie zegnałeś? Wszak na nim zasiada twój wybraniec, Władywoj…

— Wróć do mnie, jak się umyjesz i przebierzesz. Wtedy pomówimy o Pradze.

Władywoj zmarł przed tygodniem. Zrobił jedyny dobry uczynek dla Czech, na jaki go było stać. Zachlał się na śmierć. Był złym władcą. Okrutnym, pozbawionym skrupułów i dbającym jedynie o własny tyłek. Nie on zaczął zmierzch świata Przemyślidów, ale był tego zmierzchu kulminacją. Przystankiem w mroku. Bolesław żałował, że osadził go na tronie. Oddać kraj w lenno królowi Rzeszy? W elegancką formę

poddaństwa? Nie uznawał tego, choć rozumiał, że nieszczęsny Władywoj zrobił to z lęku przed prawowitymi dziedzicami, Jaromirem i Oldrzychem, którzy schronili się u Henryka. Myślał jak wystraszone dziecko, jak zaszczuty pies. Chciał pokazać Henrykowi swą podległość, by ten nie wypuścił z budy tych dwóch przemyślidzkich szczeniąt.

Nie po to go osadziłem na czeskim tronie! — żachnął się Bolesław. — Miałem plan, wielki plan, a ten pijak wszystko zaprzepaścił! Czy Rudy sprosta zadaniu? Czy jest gotów wyrzec się swych okrutnych, dzikich zapędów?

Wrócił do niego umyty, przebrany, czysty. Tylko drżenie rąk i bruzdy na twarzy świadczyły, że przeżył swoje.

— Boleslavie Rudy — zaczął — czy jesteś gotów stać się w pełni chrześcijańskim władcą?

— Odbyłem spowiedź i pokutę, bracie — odrzekł Rudy. — Jestem gotów.

Nie wierzę ci — pomyślał Bolesław. — Ale nie mam innego wyjścia.

— Władywoj zmarł — powiedział mu wreszcie. — Chcę, byś wrócił na praski tron.

Rudy poczerwieniał. Całe jego ciało zadrżało.

— Lecz musisz o czymś wiedzieć. Władywoj zrobił rzecz niedopuszczalną z punktu widzenia prawdziwego władcy.

— Coś gorszego niż ja? — spytał z nadzieją Rudy.

— Nie wykastrował brata, bo go nie miał — odrzekł mściwie Bolesław. — Nie prześladował matki i drugiego z braci, jak ty. Tyś dopuścił się grzechów wobec bliskich, on popełnił grzech wobec swego kraju. Oddał się wraz z państwem w ręce króla Rzeszy. Rozumiesz, co mówię? Nie mam na myśli lenna z terenów zdobycznych, zagarniętych Rzeszy, lecz oddanie w lenno własnego kraju.

— Gorze! — ryknął Rudy.

Bogu dzięki, chociaż to pojmuje.

— Nie pomstuj, bo jesteś współwinny — twardo powiedział na głos. — Prześladowałeś braci, oni uciekli do króla Rzeszy. Władywoj bał się, że Henryk w każdej chwili może ich przywrócić do władzy, stąd ten niemądry akt. Przyczyniłeś się do tego zła. Jeśli jesteś na siłach je odwrócić, przywiodę cię na tron praski.

— Jestem! — zakrzyknął Rudy.

— Wiedz, że nie dla ciebie to robię. A teraz spróbuj zrozumieć coś odleglejszego niż własne podwórze. Chcę zjednoczenia Czech i Polanii w jedną silną Sklawinię. Słowiańszczyznę. Nas łączy krew. Nasze ludy język i zwyczaje. Słowiańszczyzna potężna jest moim marzeniem.

Była marzeniem moim i Ottona — pomyślał. — On nie żyje, Henryk zaś chce Słowiańszczyzny rozbitej na małe, jątrzące przeciw sobie księstewka. Takie, którymi można sterować z Rzeszy. Ale Otto III, dając mi w rękę świętą włócznię, wkładając mi na głowę swój diadem, obudził we mnie pragnienie. Tak. Chcę zjednoczyć Słowiańszczyznę pod swoim panowaniem. Pokażę Henrykowi, że cesarstwo może być albo pełne, oparte na czterech równych sobie filarach, albo upadnie.

— Twoja Polania jest potężna — odpowiedział Rudy. — Niepokonana i silna.

— Chcę więcej, umiesz to zrozumieć? Polania i Czechy złączone sojuszem nie do rozdarcia.

— Przysięgam! — krzyknął Rudy. — Przysięgam!

Tego się nie dało załatwić tylko przysięgą Rudego. Bolesław negocjował z możnymi Czech tygodniami i sam musiał stać się gwarantem układu. On, Rudy, najstarszy z Wrszowców i po jednym z każdego możnego rodu Czech

przysięgli na krzyż. „Nigdy więcej nie oddać kraju we władztwo Rzeszy. Tak dopomóż Bóg”.

A jednak Bóg nie pomógł. Ledwie Bolesław wrócił do Krakowa, a doszły go wieści, że Rudy zaprosił Wrszowców na ucztę i wymordował. Tak postąpić mógł albo skończony okrutnik, albo głupek. Własnoręcznie wbił nóż w pierś swego zięcia. Męża córki, która nie zdążyła dać mu wnuków! Czechy huczały od gniewu i odrazy.

Sobiesław wyszeptał ze zgrozą:

— Nienawidzę Wrszowców, bo to psy, które zabiły moich najbliższych. Ale mord na uczcie? To się nie godzi! Pogwałcić prawo gościnności? Jezu Chryste, nie patrz na to, boś za lżejsze grzechy na krzyżu zginął…

— Rudy mnie znieważył — powiedział Bolesław. — Rzygnął na porozumienie stron, na przysięgę, którą razem złożyliśmy. Obryzgał to wszystko krwią. Podeptał wielką Słowiańszczyznę w imię własnej małej zemsty.

— Panie mój — odezwał się Ciechan, jego czeski dobry duch, dowódca południowych zwiadowców. — Teraz moi bracia albo obalą Rudego, albo nim to zrobią, przyzwą na tron Jaromira. Ale wrogów ma tyle samo, co sobie przychylnych. Mówi się, że on już całkiem człowiek Henryka, że jak Władywoj odda kraj Rzeszy.

— Jaromir nie jest jedynym wyjściem dla Czech — odezwał się Sobiesław. — Mogą poprosić o przyjęcie tronu naszego księcia, Bolesława. Jest po matce Przemyślidą i największym słowiańskim władcą.

— Chcieliby — potwierdził Ciechan. — Ale się boją. Silny władca to dla możnych przeszkoda w spełnianiu własnych ambicji.

— Ciechanie, rusz do Pragi. Zaproś mego wujecznego brata, Rudego, na rozmowę, którą w najpilniejszych sprawach musimy odbyć w cztery oczy.

— Ty mówisz, ja robię — odrzekł Ciechan, pokłonił się i zniknął.

Czekając na przybycie Rudego, Bolesław zrobił to, o czym zawsze marzył. Wszedł do smoczej jamy ukrytej w wawelskim wzgórzu.

— Zeżre nas, nie zeżre, zeżre, nie zeżre… — szeptał Zarad, gdy tam włazili.

— Wolę Luciców, Wieletów i mych przeklętych krewnych, Redarów — wyrzekał Jaksa. — Oni przynajmniej nie mają smoków. Święte rumaki, zwykła rzecz. Ale tym razem nasz książę przesadził.

— A ja znam opowieść o Sigurdzie, który pokonał smoka! — pochwalił się Bjornar radośnie. — Smoki zawsze pilnują skarbów. Sigurd dotknął smoczego serca i zaczął rozumieć mowę ptaków. Przydałoby się, co, Burizleif?

— Straciłbym zajęcie — żachnął się Jaksa. — Ja i wszyscy zwiadowcy księcia. Co my tu robimy?

— Spełniamy marzenie — szepnął Bolesław.

— Twoje. Ja nie potrzebuję smoków, by marzyć — odpowiedział Jaksa.

— Nie ma smoka, to nas nie zeżre — sapał z tyłu Zarad. — Jest smok, będą skarby i nas zeżre. To po co nam skarby, jak?… Trupa złotem nie przystroisz.

— Przestań — zganił go Bjornar. — Sigurd pokonał smoka mieczem, który nazywał się Gram. Burizleifie, ty też masz magiczny oręż? — zapytał ufnie.

— Nie — odpowiedział książę i podciągnął się na skalną półkę.

Zrobiło się wąsko. Szedł na czworakach korytarzem przydymionej, wilgotnej skały. Zdawało mu się, że czuje woń ludzkich odchodów albo wymiocin. Bolały go kolana i zdarte kostki palców. Pomyślał: bzdura, dawny przesąd, tu nie mieszkał żaden smok. Po chwili skalny przesmyk się rozszerzył. Mógł wstać. Doszli do groty, na dnie której pluskała czarna, gęsta woda. Pochylił się nad nią i ujrzał własną twarz.

— Smok — powiedział Zarad, który dopiero wstawał z kolan. — Tu musiał mieszkać smok.

W jaskini zamigotało światło pochodni, którą niósł w dłoni. Za nim drugiej, którą przyniósł Jaksa.

Bolesław wciąż patrzył w wodę. Jej powierzchnia się zmarszczyła. Smok miał jego twarz. I dwa ognie pochodni w miejscu oczu.

Wjechał do Pragi na białej klaczy, z włócznią świętego Maurycego w dłoni. Nad Wełtawą witał go lud. Zatrzymał wojsko i poczekał, aż okrzyki umilkną. Wtedy zawołał:

— Jestem wnukiem waszego wielkiego księcia, Boleslava. Tego, co się nikomu nie kłaniał! I ja kłaniam się tylko przed Bogiem! Hołdu z Czech nie złożę! Nie pozwolę, by król Rzeszy nazywał się waszym panem. Mam dość siły, by odpowiedzieć mu wojną, gdyby chciał nazwać was swymi sługami! — Uniósł włócznię wysoko ponad głowę.

Tłum odpowiedział mu:

— Sława! Sława! Sława!

— Bracia Czesi! — zakrzyknął Bolesław, gdy umilkli. — Sława kosztuje. Nikomu nie jest dana raz na zawsze z tytułu urodzenia. Sławę trzeba wywalczyć. Jesteście dzielnym, bitnym ludem, a ja jestem władcą, który nie lubi się kłaniać. Poprowadzę was, jeśli będzie trzeba walczyć o waszą sławę.

— A co z Rudym? Co z okrutnym księciem? — zapytał ktoś z tłumu. — Pohańbił nas!

— Pohańbił! Pohańbił! — zaszemrali ludzie.

— Rudy nigdy nie wróci. Nie trafi tu — przysiągł im Bolesław.

— Obiecywałeś, że po pokucie stałeś się chrześcijańskim księciem! Okłamałeś, zdradziłeś, oszukałeś! — Bolesław oskarżył go dwa tygodnie

wcześniej w Krakowie.

— To byli Wrszowcy — tłumaczył się Rudy. — Źli ludzie, źli…

— Zamilcz — powiedział Bolesław, podchodząc do niego. — Ty jesteś zły. Złamałeś słowo, które razem daliśmy twojemu ludowi. Ręczyłem za ciebie, a ty pohańbiłeś siebie i mnie. Zarad! — zawołał. — Podejdź z pochodnią.

Jej światło wypełniło kamienną celę. Rudy zbladł. W kącikach jego ust zalśniła ślina.

— Nie — jęknął przerażony — nie możesz być smokiem wawelskim… to tylko legenda, stara opowieść… auuu… — zawył straszliwie i zasłonił twarz dłońmi.

— Oślepiony — bezbarwnie powiedział Zarad i się odsunął.

— Nigdy już nie zobaczysz piękna świata, które znieważyłeś swym grzechem — oświadczył Rudemu Bolesław. — Ale daruję ci życie, bo nigdy nie zabijam krewnych. Zamieszkasz tu i będę o ciebie dbał aż do śmierci. A ty będziesz miał dość czasu, by odbyć prawdziwą pokutę.

— Auuu… — wył z bólu Rudy. — Smoook…

— Nie jestem smokiem wawelskim — zaprzeczył Bolesław. — Choć powiem ci w tajemnicy, że on nie jest wyłącznie legendą.

SVEN patrzył, jak jego synowie ćwiczą na placu. Ośmioletni Harald, rudy niczym wiewiórka i jak ona zwinny. Szybki, zręczny, hałaśliwy. Rok młodszy Knut wydawał się w porównaniu z nim powolny, niemal trwożliwy. Okładali się drewnianymi mieczami pod okiem Joruna.

— Na każde jedno uderzenie Knuta Harald ma pięć. — Sven pokręcił głową niezadowolony z młodszego syna.

— Ale za to Harald trafia raz na trzy, a Knut za każdym razem — zwrócił mu uwagę Jorun. — Są inni. Syn króla i syn królowej. — Krzyknął do chłopców: — Haraldzie! Nie uderzaj w głowę!

Sven syknął. Nie znosił tego przydomka. „Syn królowej” mówiono o Knucie i drażniło go to ciągłe przypominanie Hardej. Jej tu nie ma. Nie ma!

Vali grzała mu łoże i przejęła obowiązki gospodyni dworu w Roskilde. Melkorka i Heidi opiekowały się dziewczynkami. Knut i Harald przeszli już na męskie wychowanie i żadna matka nie była im potrzebna.

A jednak czegoś mu brakowało. Nie kobiety, te sprawy zaspokajała Vali. Brakowało mu królowej. Puste krzesło tronowe w wielkiej halli stało obok jego tronu. Nie kazał go usunąć. Pozwalał na nim siadać synom, czasem posadził córki, ale nieraz łapał się na tym, że odwraca głowę, by na nią spojrzeć, i widzi pustkę. Pił więcej.

Z początku próbował. Wystąpił do władcy marchii północnej, saskiego księcia Bernharda Billunga, bo myślał, że dobrze byłoby zabezpieczyć południowe granice Danii. Ale Billung odmówił. Piękną Othelindis przeznaczył komu innemu. Miał jeszcze dwie młodsze, lecz kiedy posłowie Svena naciskali, by dał którąś z nich, sprzeciwił się ostro: „Wolę ofiarować dziewczyny Bogu, niż wydać za barbarzyńcę z Roskilde”. Sven się wściekł, bo jego ludzie donieśli, że Billung jest sprzymierzeńcem Burizleifa. Zrozumiał przesłanie.

Spuścił z tonu i pomyślał, że tradycja dobra rzecz. Jego matka była córką Mściwoja, obodryckiego księcia. Ale najlepszą z obodryckich księżniczek wydał za Olofa. Ta, która została, była ledwie siostrzenicą władcy, nie najlepsza partia, a mimo to jej ojciec kręcił nosem. Bał się Burizleifa. „Nasze ziemie graniczą przez Odrę — tłumaczył się. — A książę Burizleif już sięgnął do rzeki Sali. Nie narażę mu się, wybacz, królu Svenie”.

— Gdyby królowa nie dała ci dzieci — tłumaczył mu ojciec Wulfric — mógłbyś oddalić ją jako bezpłodną, niezdolną do małżeństwa. Ale w tej sytuacji? Nierozsądnie postąpiłeś, królu.

— Królowa spiskowała za moimi plecami! — wściekł się. — To niewystarczający powód, by pozbyć się żony?

— A jaki masz na to dowód, królu?

— Jej spowiedź!

Wulfric pokiwał głową w zadumie i odpowiedział ostrożnie:

— Kościół uznaje tajemnicę spowiedzi za rzecz niemal świętą. Zatem wyjawienie jej przez mnicha Iona mogłoby świadczyć przeciw królowej tylko wówczas, gdyby udowodnić, że ów Ion nie był synem Kościoła. Żeby coś takiego przeprowadzić, musiałbyś mieć za sobą biskupa. Tymczasem wielebny Odinkarr nie jest ci zbyt przychylny. Do saskich biskupów nie pójdziesz, bo to na nic. Książę Bolesław dostał od Ottona III niezależne od Rzeszy arcybiskupstwo. Sprawa jest skomplikowana, mój panie. Rozstaliście się z królową w złym momencie, tak rzecz ujmę. Jej brat zyskał wpływy i znaczenie, jakiego nie miał nigdy wcześniej. Trudno dziś znaleźć sojuszników, którzy wystąpią przeciw niemu. Najlepszy byłby sam Henryk II, król Rzeszy, ale obaj wiemy, że do jego ucha nie sięgniesz. Pozostają ci pertraktacje z samą królową. Gdyby ona się zgodziła, rzecz można by załatwić jakoś polubownie.

Sven parsknął z gniewem.

— Widać, że nie poznałeś mojej żony dość dobrze, Wulfricu! Harda nie zrzeknie się tytułu królowej Danii dobrowolnie!

— Nikt nie jest wieczny. — Mnich pokiwał głową.

Nie. Zarżnął jej rysie, ale jej samej nie mógłby tknąć. Wulfric źle go ocenił! Tron królowej stał pusty.

Wieczorem pili w wielkiej halli, gdy przybył posłaniec. Już jego twarz zdradzała, że nie ma dobrych wieści.

— Królu! W Anglii rozruchy. Zaatakowano naszych osadników, kilka wiosek spłonęło, ludzie wymordowani.

— A niech to! Król Ethelred osobiście gwarantował im bezpieczeństwo! — wściekł się Sven. — To on za tym stoi?

— Nie wiadomo — odrzekł posłaniec. — Ale ataki były dobrze zaplanowane, w jednym czasie najechano na sąsiadujące ze sobą osady, tak że mieszkańcy nie mogli wzajemnie służyć sobie pomocą. Trudno nie myśleć, że stał za tym królewski rozkaz.

— Mści się to, że przez lata od wielkiego danegeldu nie popłynąłem do Anglii osobiście — powiedział Sven. — Że nie postraszyłem Londynu ogniem.

— Królu… — Oczy Joruna zapaliły się szybko. — Kiedy, jeśli nie teraz? Zbierzmy wojska duńskie i wojska naszych wasali, jarlów Erika i Svena! Zbierzmy posiłki od Olofa, króla Szwedów, i ruszmy do zielonej Anglii.

Sven zaczął oddychać szybciej. Machnął dłonią, Vali dolała mu piwa.

— Nie piwo! — zawołał do niej z uśmiechem. — Wino i najlepszy kielich!

— Jest coś jeszcze, królu — dodał posłaniec. — Kilka miesięcy temu w Anglii pojawił się ze znaczną siłą twój dawny dobry znajomy.

— Kto?

— Thorkel Wysoki.

Z dwóch zelandzkich braci Sven zawsze wolał Thorkela od zdradliwego Sigvalda. Czego Thorkel szuka w Anglii? Szybkiego zarobku? Czegoś więcej?

— Poradzimy sobie z Thorkelem — powiedział. — Jeśli trzeba, pokonamy go, by nie przeszkadzał nam w naszym najeździe. A kto wie? Może Thorkel Wysoki będzie chciał dołączyć do nas?

— Znów armia Dwóch Królów? — wyrwało się radośnie komuś z odległego stołu.

Sven wychylił kielich, jaki podała mu Vali, jednym haustem.

— Drugiego wodza pokonaliśmy na wodach Øresundu! — ryknął. — Nie będzie już nigdy armii Dwóch Królów! Zrozumiano?

Po chwili ciszy zaczęli stukać kubkami w ławy. Kiwnął głową.

— Nastał czas, gdy król Sven z olbrzymią armią ruszy na Anglię po największy w jej dziejach danegeld! — krzyknął i z radości rozbił kielich o stół.

Szkło rozprysło się na wiele lśniących okruchów. Co mu tam szkło! Przywiezie go z Londynu całe mnóstwo.

ŚWIĘTOSŁAWA zaraz po ślubie Regelindy i Hermana oświadczyła Emnildzie:

— Jadę na Wolin, chcę się spotkać z siostrą.

— Możesz robić, co zechcesz — smutno odpowiedziała Emnilda.

Już tęskniła za ledwie wydaną za mąż córką. Zatrzymała Świętosławę pytaniem:

— Nie wydaje ci się, że Herman, nasz zięć, jest nieco zbyt surowy?

— A Bolz, twój mąż i mój brat, to baranek pokoju?

Emnilda westchnęła.

— Regelinda jest taka młoda. Czternaście lat… — Oczy Emnildy wciąż nie chciały wyschnąć.

— Ile ty miałaś, gdy wydali cię za Bolza?

— Szesnaście! — oburzyła się bratowa. — Skończone. Martwi mnie i to, że Bolesława nie było na ślubie, że…

— Że został księciem Czech? — kpiąco spytała Świętosława. — Wiesz, że nie może się ruszyć z Pragi, spodziewa się zbrojnego najazdu króla Henryka na Czechy, po tym jak odmówił złożenia hołdu.

— Z tego będzie wojna. — Emnilda tego dnia widziała same ciemne strony. — A Regelindę wysłaliśmy do męża, do marchii miśnieńskiej.

Przecież Henryk może uderzyć na nią, nim ruszy na Czechy. Nasza mała będzie na pierwszej linii…

— Chwała Bogu, że Bolesław tego nie słyszy! — wściekła się Świętosława.

Emnilda spojrzała na nią wilgotnymi oczyma sarny.

— Posłuchaj, mówię ci to, bo stałaś mi się bliska jak siostra. Kochasz go?

— Kocham.

— On ciebie też. Wiesz, że jesteś jednym ze źródeł jego siły? Nie patrz tak, wiem, co mówię. Może zdobywać świat, bo wie, że ma dla kogo. Jest pewien, iż jesteś tutaj, zajmujesz się waszymi dziećmi, doglądasz spraw księstwa.

— Ale jego tu nie ma — wyszeptała Emnilda. — Czyż to nie pułapka? Mówisz, że on chce dla mnie zdobywać świat, a ja tego świata nie potrzebuję. Wystarczy mi on, Bolesław.

Świętosława usiadła przy niej i złapała Emnildę za dłonie.

— Wiesz, w co wierzą wikingowie? W Walhallę po śmierci. Najdzielniejszych w boju, najodważniejszych, najpiękniejszych walkirie wprost z pola bitwy porwą do pałacu Odyna. To wielki zaszczyt dla wojownika trafić do Walhalli. I odwrotnie, jeśli mężczyzna nie ma szczęścia i umrze w łożu, na słomie, to wstyd, nawet jeśli wiódł mężne życie. Pamiętam kobiety w Uppsali, gdy mój Erik wrócił z bitwy na polach Fyrisvellir. Od tamtego czasu miał przydomek Zwycięski. Ale wielu jego wojów poległo. Wiesz, że żadna z ich żon, kochanek, matek nie śmiała uronić łzy? Stały przy pogrzebowych stosach swych mężczyzn i oczy im lśniły. Gadałam z nimi później. Mówiły: „Królowo, im lepszy trafi ci się mąż, tym krócej będziecie razem. Wspaniały mężczyzna musi umrzeć w boju. Bohaterowie nigdy nie zdążą się zestarzeć. Zapamiętujemy naszych

mężów młodymi, silnymi, bitnymi. Nie znamy ich starczych jęków i narzekań”.

— Mnie się trafił najlepszy. — Emnilda otarła nos. — Nawet od pogan można się czegoś nauczyć.

Siedziały tak chwilę w milczeniu, słuchając strzelającego w palenisku ognia.

— Co będzie dalej, Świętosławo?

— Król Henryk nie mógł od razu wdać się w wojnę z Bolzem, bo musiał jechać tłumić niepokoje w Italii. Zaproponował mu, by złożył hołd z Czech i zatrzymał je jako lenno. Bolz go wyśmiał, albo jak wolisz, odmówił hołdu i nie złoży go za nic w świecie, bo przysięgał Czechom, że tego nie zrobi.

— Silna Słowiańszczyzna, tak?

— Tak. Henryk ma w ręku dwóch naszych wujecznych braci, Jaromira i Oldrzycha. Jak tylko okiełzna italskie kłopoty, ruszy z niemieckim wojskiem, spróbuje wygnać Bolza z Pragi i osadzić któregoś z nich, jako swego lennika, na tronie.

— Czy Bolz może wygrać z potęgą Rzeszy?

— Nie wiem — szczerze odpowiedziała Świętosława. — Ale pamiętaj, że od lat ma pod swym panowaniem Morawy. Może posiłkować się tamtejszym wojskiem. W dodatku nie cała Rzesza udzieli poparcia Henrykowi. Margrabiowie wschodnich marchii są sojusznikami Bolza. Herman jego zięciem, Guncelin bratem krwi. To znacznie utrudni Henrykowi wojnę o Czechy. Powiem ci to, czego jestem pewna. Mój brat prędzej porzuci tron praski, niż złamie słowo i ugnie kark przed Henrykiem. Martwi mnie co innego. Brak wieści od Bezpryma. Ta wojna, która się właśnie zaczyna, może poważnie utrudnić mu podróż do domu. W wojennej zawierusze na traktach dzieją się paskudne rzeczy.

Do świetlicy wszedł Mieszko. Obie uśmiechnęły się na jego widok. Trzynastolatek miał śliczną twarz Emnildy, ale posturę Bolesława. Był nad wiek wysoki i postawny.

— Mięśnie ramion masz jak włócznik! — pochwaliła bratanka Świętosława. — Nie wiedziałam, że przy księgach tak się można rozwinąć.

Mieszko zarumienił się jak panna.

— Ojciec pozwolił mi w wolnym czasie ćwiczyć — wybąkał. — Powiedział, że biskup Polanii powinien wyglądać jak wojownik, a nie baba.

Parsknęły śmiechem. Emnilda przytuliła syna i pocałowała w czoło. Świętosława odwróciła głowę. Do oczu nabiegły jej łzy. Olof, Harald, Knut, Astryda, Świętosława. Miała pięcioro dzieci, a nie mogła pocałować żadnego z nich.

— Czego się dzisiaj nauczyłeś, synku? — pytała go pieszczotliwie Emnilda.

— Opowieści o Ablu i Kainie. Kain zabił brata, zazdrosny o miłość ojca.

Świętosława przygryzła wargi. Wiedziała, że opowieścią, z którą przez całe dorastanie zmagał się jej brat, była ta o ofierze z pierworodnego syna.

— Przysłał mnie biskup Unger, bym powiedział, że chciałby w pilnej sprawie porozmawiać z wami, pani matko i pani ciotko.

— Zaproś biskupa, czekamy, skoro sprawa pilna. — Emnilda przytuliła Mieszka.

Chłopak wyszedł, a bratowa zbliżyła twarz do Świętosławy i pocałowała ją w policzek.

— Mam do ciebie prośbę, jeśli mogę liczyć na twą siostrzaną miłość. Zapomnij o tej rozmowie. O tym, że musiałaś mi tłumaczyć najprostsze rzeczy. A ja obiecuję, że nigdy przy Bolzu nie dam mu odczuć, iż wątpię. Nawet jeśli będę się bała aż do głębi trzewi. Nawet gdybym miała udawać, będę odważna.

— Rozmowa? Jaka rozmowa? — udała zdziwienie Świętosława. — Ta o Kainie i Ablu? Zajmująca, zaiste!

Emnilda uśmiechnęła się tak cudnie, że Świętosława nie opanowała się i pocałowała ją w usta. Wszedł Unger.

— Czy przeszkadzam? Zakłócam rodzinną miłość?

— Nie! Miłości nic nie może przeszkodzić! — radośnie odrzekła Emnilda. — Bądź łaskaw, usiądź z nami, ojcze, i mów, co zaszło.

— Pojęcia nie mam. — Unger rozłożył ramiona i siadł na brzegu ławy. — Nie śmiem nacisnąć na braci pustelników w Międzyrzeczu, ale coś się święci. Przybył do mnie człowiek, którego wysłałem do eremu z pielgrzymką. Brat Remigiusz. Miał przy okazji dowiedzieć się, czy eremitom czego nie trzeba, bo sytuacja niezręczna. Książę nasz zabiegał, by ich przysłano z Pereum, a gdy się okazało, że przybyli bez jego syna, jakby nieco o nich zapomniał. Nie chciałem, by świątobliwi pustelnicy odczuli to jako opuszczenie przez księcia, jestem uniesiony ich obecnością w kraju…

Świętosława uwielbiała Ungera. Był dla niej ucieleśnieniem boskiej siły na ziemi. Pokorny, nieugięty i mocny jednocześnie. Ale teraz czuła, że kluczy.

— Co powiedział Remigiusz po powrocie od braci? — przerwała mu, próbując pomóc.

— Że książę Bolesław wezwał brata Benedykta do Pragi. Wezwał… znaczy… zbrojny oddział przyjechał po niego.

— O! — krzyknęły obie.

— Tak. — Unger kiwnął głową. — Dziwne, co? My nic o tym nie wiemy.

— Skoro mój brat ma jakieś zadanie dla eremity Benedykta, a nam się z tego nie zwierza, uszanujmy jego wolę — powiedziała, prostując plecy. — A tego Remigiusza możesz znów wysłać do eremu z kolejną pielgrzymką?

Ciemne, madziarskie oczy Ungera błysnęły.

— Naturalnie, królowo. Potrzebowałem jedynie waszej aprobaty.

— Masz ją — oświadczyła Emnilda.

Gdy biskup wyszedł ze świetlicy, bratowa chwyciła ją za rękę.

— Tajemnica za tajemnicę. Ty zachowasz moją o tchórzostwie wielkiej księżnej, a ja twoją o wyjeździe królowej. Dokąd naprawdę chcesz się udać, Świętosławo? Przecież wiem, że nie w odwiedziny do siostry.

BOLESŁAW zawył jak pies.

— Nieprawda! To niemożliwe! — wył, kopiąc ławy stojące mu na drodze.

Ledwie parę tygodni wcześniej dał fortunę, dziesięć grzywien srebra, mnichowi Benedyktowi z Międzyrzecza, a teraz okazało się, że pieniądze na wykup były spóźnione i niepotrzebne.

Siedział w Pradze. Pilnował przyczółka nad Wełtawą przed atakiem Henryka, który już zbierał wojska, ale tego, co się stało, nie przewidział.

— Nie! — zawył. — To nieprawda!

— Stało się, mój książę — odpowiedział Ciechan. — Benedykt nie zdążył wykupić twego syna z niewoli. Jaromir, niczym dziki pies kąsający gdzie popadnie, skrzywdził Bezpryma. Wypuścił potem, a sam uciekł, byle jak najdalej od twego gniewu. Chłopak jest porażony tym, co się stało, ale nie postradał zmysłów. On najlepiej ci powie, jak było.

Czekał na niego tyle czasu. Tyle wysiłku kosztowało wyrwanie go ze szponów Romualda z Pereum. W najgorszych snach nie mógł wyśnić tego, co się teraz stało.

Bezprym wszedł do sali przyjęć praskiego zamku.

— Wszyscy mają wyjść! — krzyknął Bolesław. — Precz! Chcę zostać sam z mym synem!

Czescy możnowładcy, kasztelan Pragi, Borzywoj, księża, jeden z biskupów umykali szybko. Jego ryk toczył się i odbijał od kamiennego sklepienia sali.

Bezprym był niewiele niższy od niego. Długie, ciemne, niestrzyżone włosy spadały mu na ramiona. Trzy lata temu w Kwedlinburgu, gdy widzieli się po raz ostatni, był chłopcem. Teraz wyglądał jak mężczyzna.

— Jezu! — zawył Bolesław, gdy usłyszał własne myśli.

Dopadł do niego. Chwycił go w ramiona. Przycisnął do siebie ile sił.

— Jezu Chryste — jęknął. — Co oni ci zrobili?!

— Nie wiesz? — Bezprym sztywno uchylił się od jego uścisku.

Wiem — pomyślał. — I nie zgadzam się, by to była prawda.

— Mów — poprosił syna.

— Nie ma o czym. — Bezprym wzruszył ramionami.

Stali na wprost siebie. Jego siedemnastoletni pierworodny i on. Syn, o którego powrót z pustelni w Pereum tak zabiegał. Ciemne oczy Bezpryma, odbicie źrenic Karoldy, jego matki. Czarna Łasica wyzierała z tego dzikiego, wiecznie nieoswojonego chłopca, jego syna.

— Ostrowod, gdy dowiedział się o wojnie, jaką Henryk toczy na przełęczach górskich, podjął decyzję, że idziemy do Poznania przez Czechy. W górach spotkaliśmy oddział bez znaków. Okazało się, że to ludzie Jaromira Przemyślidy. — Mówił bez śladu wzruszenia, jedynie jego głos brzmiał chropawo. — Byli dwa razy liczniejsi. Ostry parę razy próbował wyrwać nas z ich eskorty na popasie, ale to było na nic. Doprowadzili nas do swego pana. Jaromir czekał na leśnej polanie. Wiesz, że nawet tego nie omieszkał użyć? — Kąciki ust Bezpryma zadrżały. — Powiedział: „Młody książę leśnych polan”.

— A to chuj! — warknął Bolesław i zamilkł stropiony, widząc wzrok syna.

— „Twój ojciec — powiedział do mnie potem — wsadził na tron czeski najpierw mego starszego brata, a potem siebie. A wiesz, co zrobił ze mną mój brat, Rudy?”. Nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, a on, gdy to usłyszał, zaśmiał się strasznie. Wtedy zrozumiałem, że będzie źle.

Bolesław zacisnął pięści.

— „Za Rudym oprawcą stał twój tatuś, Bezprymie — powiedział do mnie Jaromir. — Więc to twój ojciec odpowiada za to, co ze mną zrobił mój brat. Znasz Biblię, chłopcze? Oko za oko, wiesz, że tak właśnie musi być”. Wtedy jego ludzie przywiązali mnie do drzewa. — Zamilkł na chwilę, przymknął powieki. A gdy je otworzył, zawył. — Ojcze! Stałem przed nim i czekałem, aż wyłupi mi oczy! A on wziął rzemień z niewyprawionej skóry i związał nim moje jądra! Co miałem robić? Wilczan wyrwał się naprzód i chciał udawać, że jest mną, ale było za późno. Ion mnich rzucił się krzyżem przed Jaromirem i błagał o litość…

— A ty? — spytał Bolesław.

— Wybacz. Nie umiem błagać. — Ciemne oczy jego pierworodnego zalśniły. — Oko za oko, oddałem się jako równowaga twego grzechu.

— Nieee! — wrzasnął Bolesław. — Ja nie miałem nic wspólnego z wykastrowaniem Jaromira! Nic!

Bezprym zmarszczył ciemne, gęste brwi.

— Chcesz powiedzieć, że moja ofiara jest daremna, ojcze?

Bolesław zawył jak pies. Co miał powiedzieć okaleczonemu synowi? Swemu pierworodnemu? Że jego cierpienie było niesprawiedliwe?

— Gotować się do wojny! — zawołał do dowódców swych wojsk.

Pomszczę cię, synu! — pomyślał. — Zagłuszę twój i mój ból.

— Ojcze — powiedział Bezprym, gdy Bolesław skończył wydawać rozkazy. — A teraz spełnij obietnicę. Nie chcę walczyć, chcę odejść do eremu.

Książę spojrzał na syna nieprzytomnie. Zapomniał. Tak, zapomniał, że to właśnie mu przyrzekł. Że obiecał, iż w zamian za opuszczenie pustelni Romualda będzie mógł udać się do eremu w Międzyrzeczu. Potarł twarz, zamrugał niepewnie.

— Słuchaj, teraz nie jest bezpiecznie — powiedział. — Sam wiesz najlepiej. Zostań ze mną w Pradze, a jak skończy się wojna, odprowadzę cię do Międzyrzecza.

Bezprym zaśmiał się gorzko.

— Niebezpiecznie? A cóż więcej mogą mi zrobić? — Wykrzywił twarz i dopiero ten grymas zdradził, iż cały swój ból i upokorzenie skrywa głęboko. — Jako twój następca jestem już bezużyteczny. Chciałem zostać pustelnikiem — rozłożył ramiona szeroko — a teraz nadaję się tylko do pustelni. Pozwól mi do niej odejść.

Bolesław podszedł do niego, położył mu ręce na ramionach i powiedział:

— Odejdź.

ŚWIĘTOSŁAWA w habicie mniszki drżała z zimna. Spojrzała w niebo. Wiatr szybko przeganiał niskie chmury o barwie ołowiu; te, które zwykle zapowiadały deszcz. Gdy odsłaniały słońce, jego ostre, jesienne promienie kłuły ją w oczy. Stała na poszarzałym i rudziejącym już wrzosowisku i patrzyła w stronę Roskildefiordu. Czy przypłyną? Czy Melkorka nie zawiedzie?

— Widzę łódź! — krzyknął Wilkomir. — To oni.

Serce zabiło jej mocniej. Helga, tak jak ona przebrana za mniszkę, chwyciła Świętosławę za rękę.

— Pamiętasz? — spytała, obejmując ją. — Nie możesz podejść do nich bliżej niż na pięćdziesiąt kroków. I pod żadnym pozorem nie wolno ci się do nich odezwać.

— Nie rozpoznają mnie? — upewniała się Świętosława.

Helga po raz kolejny zmierzyła ją uważnie od stóp do głów. Biały kaptur szczelnie okrywał jej głowę, zachodząc aż na czoło i podbródek. Na nim czarny welon, habit i szary płaszcz.

— Ja bym cię nie poznała, Sigrido — stwierdziła Helga. — Nie trzęś się tak.

— Przybili do brzegu — powiedział Wilkomir. — Idę się ukryć. Mają zobaczyć tylko dwie mniszki zbierające zioła.

Wilkomir schował się za sporym głazem. Nieco dalej, w niskim lasku, ukryci byli jej topornicy. Łódź zacumowali po przeciwnej stronie, w niewielkiej zatoczce. Helga podała jej kosz.

— A jeśli ktoś z obstawy zapyta, co tu robią mniszki? W Danii nie ma klasztoru dla kobiet.

— Przestań! Sama to wymyśliłaś, a teraz mnożysz kłopoty! — ofuknęła ją Helga. — Melkorka miała zabrać samych zaufanych ludzi. Zaufanych, czyli takich, co nie zadają głupich pytań. Idą! Zbieraj zioła!

Świętosława przykucnęła. Ponad jej głową z krzykiem krążyła mewa. Na ziemi leżały zaschnięte skorupy i szczypce krabów. Wpatrywała się w ścieżkę wiodącą ze strony przystani, z emocji nie patrząc, co robi. Wkładała do kosza co popadło.

— Zostaw. — Helga złapała ją za dłoń. — Zbierasz kamienie.

Przodem szło dwóch zbrojnych. Nie poznała ich, ale wiedziała, że Sven wprowadził wielu nowych ludzi. Za nimi biegł Harald z łukiem, płomienna czupryna zalśniła jak ogień na tle wrzosowiska. Gonił go Knut, któremu jasne, długie włosy wpadały do oczu; odgarniał je zniecierpliwionym ruchem dłoni. Dalej, kolebiąc się na boki, szła Melkorka z pięcioletnią Astrydą za rękę. I Heidi Kózka z trzyletnią małą Świętosławą. Obraz dzieci zamazał jej się. Wzruszenie było zbyt silne, kolana jej się ugięły i uklękła, podpierając się o kosz. Wytarła szybko oczy. Ta chwila może być zbyt

krótka, nie wolno z niej nic uronić. Nie wiedziała, na które ze swych dzieci patrzeć. Serce biło jej jak szalone. Widziała, jak Heidi stara się nie widzieć dwóch zakonnic, jak Melkorka dyskretnie skinęła jej głową i tą drugą ręką, którą nie trzymała małej, natychmiast wytarła twarz.

— Ja! — krzyknął w oddali Harald. — Ja pierwszy upoluję królika!

Knut nie odpowiedział na zaczepkę brata, gonił w inną część wrzosowiska, widziała już tylko jego plecy.

— Uspokój się — szepnęła bardzo cicho Helga. — Nie becz… za chwilę przejdą obok…

Chłopcy pobiegli w głąb wrzosowiska i straciła ich z oczu. Dwaj zbrojni minęli zakonnice tak obojętnie, jakby były powietrzem. Słyszała już szczebiot dziewczynek.

— …bym wolała żywego króliczka do zabawy niż martwego do jedzenia…

— A ja bym chciała rysia. Knut mówi, że mama miała rysia.

Wykręciło jej trzewia. Mrugała, by łzy nie zasłaniały jej widoku. Mała Świętosława miała na głowie kapturek, ale jasne, wijące się włosy wymykały się spod niego. Przechodziły ścieżką, prowadzone za rączki przez swe opiekunki. Trzydzieści kroków od nich. Bała się, że nie wytrzyma. Doskoczy do swych córek i je porwie. Teraz były najbliżej. Mogła zobaczyć rumieńce na ich pulchnych policzkach.

— O! A co to za osoby? — Astryda wskazała na nie palcem.

Melkorka chciała odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

— Mniszki — wyręczyła ją Heidi. — Zakonnice.

— Ksiądz, tylko że kobieta? Pani? — dopytywała Astryda.

— Uhm — potwierdziła Heidi i wybuchła szlochem.

Mała Świętosława stanęła i wpatrywała się w nie. Gdy Heidi puściła jej rączkę, by wytrzeć oczy, mała po prostu ruszyła w ich stronę. Serce

Świętosławy zabiło gwałtownie. Zamarła w bezruchu; nie była w stanie opuścić głowy.

— Wracaj! — krzyknęła za małą Heidi, ale sama stała jak sparaliżowana.

— Ja też chcę. — Astryda wyrwała się Melkorce, a ta spojrzała jedynie na plecy oddalających się zbrojnych. Byli już jakieś pięćdziesiąt kroków dalej.

Mała Świętosława podbiegła do klęczącej Świętosławy i Helgi; dopiero parę kroków od nich zatrzymała się nieśmiało. Astryda już była za jej plecami. Dziewczynki wpatrywały się w zakonnice. Świętosława wpatrywała się w swoje córki.

— Co robicie? — zapytała młodsza, przekrzywiając głowę.

— Zbieramy zioła — odpowiedziała Helga. — Żeby leczyć ludzi.

— Ty może kogoś uleczysz — Astryda poważnie pokiwała głową — ale ta druga pani to nie.

— Uhm — potwierdziła mała Świętosława i zwróciła się wprost do matki: — Ty nazbierałaś kamieni.

— Kamienie też mogą leczyć — powiedziała szybko Helga.

— Jak? — Świętosława wsadziła sobie palec do buzi.

— Gotuje się je i kładzie na bolącym miejscu, takie ciepłe — odrzekła Helga.

— A ty jesteś niemową? — zapytała Astryda.

Świętosława pokręciła głową.

— Ona złożyła śluby milczenia — oświadczyła Helga.

— Za dużo mówiła, tak?

Żebyś wiedziała, córeczko. Zawsze za dużo mówiłam.

— Masz rację, mała księżniczko — powiedziała szybko Helga. Głos jej zadrżał, gdy dodała: — Ale ona może was pobłogosławić. Zrobić nad wami znak krzyża, aby Bóg zawsze był z wami.

— Ja bym wolała, proszę pani, żeby z nami była mama — odpowiedziała Astryda. — Ale niech będzie choć Bóg, trudno.

Świętosława uniosła rękę i wtedy obie dziewczynki zrobiły trzy kroki do przodu. Nie wytrzymała, dotknęła ich czół.

Maryjo, matko — pomyślała z całych sił — daj tym dzieciom znak, że ich nie porzuciłam.

Zrobiła na czołach dziewczynek znak krzyża. Został szarym śladem ziemi, z której zamiast ziół zbierała kamienie.

— Czas na nas! — zawołała drżącym głosem Melkorka.

Astryda odwróciła się na pięcie i pobiegła do niej. A mała, wpatrując się w nią, uniosła w górę palec i pokazała na jedno i drugie oko.

Zauważyłaś — pomyślała królowa — więc zapamiętasz kobietę o dwojgu różnych oczach.

Dziewczynka wiedziona jakimś ufnym, dziecinnym odruchem zarzuciła Świętosławie ramiona na szyję i pocałowała ją w policzek. A potem równie szybko puściła ją i pobiegła do Heidi.

— Chłopcy! Wracamy! — krzyknęła Melkorka. — Wracamy!

Zbrojni też zawrócili i szli z powrotem w stronę przystani. Heidi, trzymając obie dziewczynki za ręce, pociągnęła je za sobą. Świętosława wystraszyła się, że nie zobaczy synów, jeśli ci pobiegną drugą stroną wrzosowiska. Widziała już tylko plecy odchodzących z Kózką córek. Wstała z ziemi, otrzepała kolana.

— I ja pierwszy upolowałem królika!

— Ale ja złowiłem większego!

Biegli zdyszani, z królikami w ręku. Knut na chwilę stanął i spojrzał z daleka na nią, ale Harald go dogonił, klepnął w plecy i Knut ze śmiechem pognał za bratem w dół, w stronę przystani. Zbrojni minęli je i nim zeszli

do łodzi, odwrócili się jednocześnie i jak na komendę ukłonili się Świętosławie.

A więc wiedzieli — pomyślała, odwzajemniając się im skinieniem głową. — Boże, gdybym naprawdę złożyła kiedyś śluby milczenia, może nie utraciłabym wszystkiego, co w życiu istotne? Dzieci. Jedynego mężczyzny, którego naprawdę kochałam. Rysiów. Duszy.

Otrząsnęła się i wytarła twarz rękawem habitu.

ASTRYDA spodziewała się Świętosławy. Wiedziała, że tym razem nie uniknie spotkania. Gdy siostra ze swymi topornikami przybyła do Wolina po łódź, którą chciała płynąć do Roskilde, Dalwin wytłumaczył jej nieobecność rejsem do Kołobrzegu z towarami dla tamtejszego biskupa Reinberna. Owszem, pływała do niego czasami, ale akurat nie wtedy. Dalwin jednak był niezawodny; wiedział, jak ją chronić przed niewygodnymi pytaniami.

Teraz była gotowa na spotkanie z siostrą; tak jej się przynajmniej zdawało.

Wyszła do niej na przystań, gdy tylko z portu zameldowano o przybyciu łodzi. Nikt nie wiedział, kto naprawdę na niej przypłynął. Mówiono: „dwie szlachetnie urodzone mniszki”. Królowej nie wypada podróżować bez męża, a jej mąż akurat powinien być ostatnim, który mógłby wiedzieć o tej podróży.

Stanęły naprzeciw siebie. Zobaczyła siostrę tak odmienioną pod mniszym habitem, że gdyby nie wiedziała, kim jest, nie poznałaby jej. Twarz Świętosławy okolona szczelną ramą białego kaptura i zamknięta czarnym welonem stała się pozbawiona wieku. Dziecinna i starcza jednocześnie. Wpatrywały się w siebie, a na dwie niecodzienne podróżniczki zaczynał gapić się coraz większy tłum zbierających się przechodniów. Astryda skłoniła się przed nimi i powiedziała głośno:

— Bądźcie naszymi gośćmi, czcigodne siostry! Przyjmijcie zaproszenie do mego domu. Pozwólcie, że pójdę przodem i poprowadzę.

Nie odrywały od siebie wzroku przez całą wieczerzę, rozmawiając zdawkowo o nieistotnych sprawach.

Póki kręciła się służba, Świętosława nie zdjęła welonu i przekonująco odgrywała mniszkę. Gdy nadszedł czas na spoczynek, Astryda zaprowadziła ją do alkowy i zamknęła drzwi.

Siostra przylgnęła do niej całym ciałem. Objęły się i trwały w tym uścisku długo.

— Tak niewiele mi już zostało — powiedziała Świętosława, zaciskając drobne palce na jej ramionach. — Sven zabrał mi wszystko, na czym mi zależało. Dlaczego nie odwiedziłaś mnie w Poznaniu? Czekałam na ciebie.

Westchnęła i zdjęła welon, a potem kaptur. Dopiero gdy uwolniła włosy, które jasną falą rozlały się po jej ramionach, Astryda zobaczyła jej oczy. Były różne. Jęknęła.

— Ach — Świętosława wzruszyła ramionami — to najmniej ważna z rzeczy, jakie się zdarzyły.

— Jak to możliwe?

— A dlaczego ludzie potrafią osiwieć w jedną noc? — odpowiedziała pytaniem.

— Zazdrościłam ci kiedyś, że twoje oczy raz wydają się zielone, raz złote — powiedziała Astryda. — Teraz masz oba naraz.

— Pomóż mi wyswobodzić się z habitu — poprosiła siostra i po chwili siedziały obie w wielkim łożu Astrydy.

— Czemu nie przyjechałaś? — ponowiła pytanie Świętosława.

— Najpierw opiekowałam się rannymi, a potem… Bałam się. Czułam się winna zdrady Sigvalda. Zawiodłam cię.

— Daj spokój. To nie twoja wina. — Palce Świętosławy skubały nitkę haftu przy rękawie koszuli. — Mój syn też nie stanął po stronie Olava. Wszystko potoczyło się źle. Ale czy mogło potoczyć się inaczej? Może Bóg chciał ukarać mnie za grzechy. Wiesz, za jarla Birgera, zalotników, zdradę Svena… Wierzysz w karę za grzechy? — spytała nagle.

— Nie — odpowiedziała Astryda. — Wierzę w przeznaczenie. Nie ciągnij tej nitki, to taki piękny haft, zniszczysz go. Napijesz się jeszcze? Jako czcigodna mniszka ledwie umoczyłaś usta.

Świętosława zachichotała jak dziewczynka i potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy spadły jej na twarz. Astryda nie powstrzymała się od śmiechu, wstała i poszła w głąb alkowy.

— Mam ciężkie, słodkie i gęste wino z Konstantynopola. Złote styryjskie. Białe znad Renu. Bursztynowe znad Dunaju. Czerwone jak bycza krew z Węgier. No i swojski miód.

— O rany — jęknęła siostra. — Ale sobie dogadzasz. W życiu nie piłam takich win. Dawaj wszystkie, chcę spróbować!

— To mi pomóż, jaśnie pani! Służba poszła spać.

— Możemy zawołać. Niech zobaczą, jak się wolińska pani zabawia z zakonną siostrzyczką.

Razem przytargały do łoża skrzynię pełną zalakowanych dzbanów.

— Oho! A jak to się otwiera? — zaciekawiła się Świętosława.

— Rękami — podpowiedziała jej. — Kupcy winni mówią, że pije się od najjaśniejszego do najciemniejszego.

— To chodź, zrobimy na odwrót, dobrze?

Astryda nie wierzyła, by mógł cofnąć się czas, a jednak to się właśnie działo. Świętosława znów była jej młodszą, nieznośną siostrą, namawiającą do psot.

— Konstantynopolskie! Na zdrowie! — Nalała im obu po pełnym kielichu. — O Maryjo Panno, jakie słodkie!

— O Maryjo zdrowa, masz rację!

— Nie przekręcaj imienia Matki Bożej — skarciła ją. — Zawsze mi to robisz, na złość. Jak będziesz taka niegrzeczna, to namówię Ungera i cię ochrzci, zanim się zorientujesz!

— Nie wolno chrzcić po kryjomu! — Astryda pogroziła jej palcem i napiła się znów. Wino rozgrzewało jej ciało. — Podczas chrztu katechumen musi wypowiedzieć formułę.

— O! Poduczyłaś się! Kto cię szkoli?

Zaczerwieniła się jak wariatka i szybko odpowiedziała ze śmiechem:

— Czarciątko, szataniątko, półdiablę! Tak cię zwali, moja ty świątobliwa siostro! Reinbern, biskup kołobrzeski, czasem powie to i owo.

— A ty widziałaś kiedyś arcybiskupa Radzima? — Świętosława łyknęła wina. Policzki jej zapłonęły.

— Nie. To ten brat świętego, co go Prusowie zabili, a Bolesław wykupił za srebro?

— Uhm. Ale brat tylko przyrodni. O rany, przepraszam! My to co innego, nie mam innej siostry niż ty! Wyobraź sobie, że jak Otto był w Gnieźnie i dał Bolesławowi arcybiskupstwo, to przymusił Bolza i Ungera, by arcybiskupem został właśnie ten Radzim. Ci się wściekli, bo nasz brat taki zaszczyt planował dla Ungera. A tu cesarz ich zaskoczył i zrobił Radzima arcybiskupem świętych zwłok.

— Okropna ta twoja religia. — Astryda się skrzywiła i dopiła resztę wina jednym haustem. — Pożeracie ciało swego Boga, kawałkujecie ciała waszych świętych… Jestem zbyt wrażliwa na takie barbarzyństwo! — wstrząsnęła się.

Świętosława zaniosła się śmiechem, a jak się uspokoiła, zrobiła surową minę.

— Bluźnisz, siostro! — upomniała ją. — Chociaż jako niewierząca… No nie wiem, to dla mnie za trudne. Spytam Ungera. Ty, mnie się wino skończyło — poskarżyła się.

— Ten twój Chryst zamieniał wodę w wino na jakimś weselu. — Astryda stuknęła ją pustym kielichem w ramię.

— Ej! Dużo wiesz! Reinbern naprawdę nad tobą pracuje, Astrydo! Jakie tam teraz mamy po kolorze?

— Węgierskie ciemne jak bycza krew. Daj nóż. — Wyciągnęła dzban i przyjrzała się ostrzu, które podała jej siostra. — To wciąż ten sam, który kupiłaś tu na Wolinie przed laty?

— Ten sam. Noszę go na łańcuszku na piersi. Oczywiście oprócz złotego krzyżyka. Ach! Czy ty pamiętasz, jak wtedy potrącił nas taki rudy, wysoki chłopak? Mówiłaś do mnie „ucz się mowy wikingów”, a on na nas wpadł i napyskowałaś na niego?

— Uhm — odpowiedziała Astryda i odrzuciła na bok lak. — Daj kielich, leję!

— A wiesz, kto to był?

— Ten rudy? Nie. Skąd mam wiedzieć? — W tej samej chwili do niej dotarło.

Widziała go, ale nie poznała. Podpłynął do „Długiego Węża”, gdy statek był niemal w agonii. Ostatni wojowie walczyli na kolanach. Dusza ugodzona strzałą w serce upadła pod masztem. Zawiał wiatr i pamięta, pamięta długie, rude włosy, które zatańczyły w powietrzu.

— To był mój drugi mąż. Sven Haraldsson — powiedziała siostra. — Napijmy się!

Astryda się otrząsnęła.

— Pamiętam tylko, że wtedy powtórzyłaś słowo w słowo całą rozmowę na jednym tchu — powiedziała w zadumie. — I miałam przeczucie, że „mowa wikingów” stanie się twoją mową. Napijmy się.

— Widziałam dzieci — wyszeptała Świętosława. — Są…

— Są twoje — powiedziała Astryda, chwytając ją za dłoń.

— Ukradł mi je.

— Ja nie mam dzieci — rozczuliła się nagle Astryda. — Mogłam je mieć, ale…

— Ale co?

— Bałam się, że byłyby takie jak Sigvald. Piłam zioła poronne. Za nic w świecie nie chciałam urodzić jego miotu. — Wzięła głęboki wdech i z oczu popłynęły jej łzy. — Wiesz? Teraz żałuję. Nawet gdyby były podobne do niego, wychowałabym je sama i byłyby moje. Żałuję aż do trzewi mocno…

— Weź mi dolej tej byczej krwi — jęknęła Świętosława. — Pewne rzeczy na trzeźwo są nie do zniesienia. Mój Harald wygląda jak skóra zdarta ze Svena, a mimo to go kocham. Knut przypomina mnie, ale tylko z wyglądu. Jest taki…

— Grzeczny? — podpowiedziała Astryda.

— Uhm. A dziewuszki jasnowłose, niebieskookie… Boże mój, takie słodkie, że chciałoby się całować ich czerwone od wiatru policzki… A jedna i druga poczęte w złości. Astryda powinna mieć na imię Furia, a Świętosława Zdrada. Z kolei Olof, mój pierworodny, był dzieckiem Erika, wielkiego, łysego i brodatego, upartego wikinga, który nigdy mnie nie zawiódł. Wszystko, co obiecał, spełnił. I co? Jego jedyny syn zdradził mnie, kiedy przyszedł czas próby. Ej, wiesz co? Chcę zapłakać nad twymi nienarodzonymi dziećmi. Gdybyś je miała… te dziewczynki o włosach w kolorze żywicy. Mądre i spokojne jak ty. Albo chłopców ślicznookich jak ten twój zdrajca piękniś. Kochałybyśmy ich…

Padły sobie w ramiona, szlochając i rozlewając w łoże resztki byczej krwi.

— Dobra, wytrzyj nos i otwórz następne! — rozkazała Świętosława. — Weźmy się w garść.

— Daj nóż!

— Wiesz? Tym nożem Vali rozcięła moją ślubną suknię podczas pokładzin ze Svenem. Kiecka była tak dopasowana, że…

— Kiedyś też lubiłam dopasowane suknie. — Astryda walczyła z lakiem bursztynowego znad Dunaju. — Teraz niekoniecznie. O! Udało się!

— Lej, bo mi smutno. — Świętosława ziewnęła. — Piekielnie smutno. Astrydo, proszę cię, ochrzcij się, bo życie po śmierci bez ciebie będzie dla mnie nieznośne.

— Już gdzieś to słyszałam — wyrwało się jej.

— Gdzie? — Różnobarwne oczy Świętosławy zalśniły.

— A bo ja wiem? — skłamała. I przyszło jej coś do głowy. — Słuchaj! Sven popłynął na Anglię. Gdyby coś mu się stało…

— Tak! — Siostra zaklaskała, wylewając wino. — O, do dupy…

— Nie płacz, mała, starsza siostra czuwa! — Pochyliła się po dzban i dolała jej. — Gdyby wojna była ci łaskawą panią…

— Ostatnio, jak życzyłam mu śmierci, zamiast niego zginął Olav. Do diabła! Drugi raz boję się myśleć o tym samym.

— No, to może dla odmiany dobrze mu życz? — Astryda popiła wina. — Skoro twoje modły działają na odwrót…

— E, dobre życzenie dla Rudobrodego staje mi w gardle.

— To popij, popij — poradziła jej. — Które ci najbardziej smakuje?

Świętosława pociągnęła łyk i zadumała się.

— Nie wiem — odpowiedziała z namysłem. — Jak piłam konstantynopolskie słodkie, to myślałam, że lepszego nie ma. Bycza krew

była cudna. Jędrna i ostra. Bursztynowe dunajskie jest jak miód, tylko że wino. Wiesz? — Ściszyła głos. — Chyba za każdym razem najlepiej smakuje to, które właśnie piję. — Pokiwała głową i pociągnęła z kielicha długi łyk. — Ale ty masz rację! Gdyby Bóg pozwolił i Sven padł, mogłabym zabrać dzieci… Boże! — poprosiła, unosząc wzrok.

Astryda gwałtownie jej przerwała.

— Miałaś się nie modlić, bo… wiesz… przynosisz pecha!

— Aha — przypomniała sobie Świętosława. — No dobra. Ale… Polejesz mi jeszcze? To coś ci wyznam. Tajemnicę, której nikomu nie zdradziłam…

— Dunajskie drugi raz?

— Uhm.

Trochę się znów wylało do łoża.

— Rudobrody jest potworem — oznajmiła Świętosława, pijąc — ale wiem, że wszystkie jego potworności wynikały z tego, że mnie kochał…

— Sigvald też był potworem — zrewanżowała się jej Astryda. — I też mnie kochał. Co z tego? Kochające bestie?

— Upolowały Olava! — Świętosława zagryzła wargi, aż popłynęła z nich krew.

Nie starła jej. Astryda, chwiejąc się, patrzyła na siostrę. Różnooką, krwawiącą z ust.

— Tam naprawdę były ludzkie bestie — wyszeptała. — Widziałam je. Berserkowie. Wojownicy wpadający w szał. — Jej dłoń zaczęła konwulsyjnie miąć suknię. — Geivar…

— Geivar Malowane Kły? — dopytała Świętosława.

— Tak. Wiesz, jak zginął mój mąż? Sigvald zdrajca? — Ciałem Astrydy wstrząsały dreszcze. Po raz pierwszy mówiła o tym. — Geivar go zagryzł… Przegryzł mu tętnicę…

— Jak pies psu — powiedziała siostra. — Widziałaś śmierć Olava? Powiedz!

— Skoczył w wodę. Rudy król…

— Sven!

— …podpłynął do „Długiego Węża”, gdy wojownicy na nim dogorywali. Olav nie chciał, by wzięli go żywego. Nakrył się tarczą i skoczył w toń.

— Myślałaś kiedyś, że mógł nie utonąć? — nieoczekiwanie spytała Świętosława. — Że wypłynął?

— Nie kpij! To okrutna myśl. Był ranny. Dostał strzały pod obojczyk, w udo i brzuch. Skoczył w kolczudze. Nie mógł przeżyć! Nie mógł!

— Wiem, wiem… — uspokoiła ją siostra. — A ranni? Uratowałaś ich?

— Tylko część. — Wzdrygnęła się.

Poczuła woń krwi, soli, ropy, otwartych, rozpłatanych brzuchów, jelit wylewających się z najciężej rannych. Leczyła ich miesiącami. Opłakiwała każdego, który umierał, a oni złorzeczyli jej, że nie zostawiła ich na „Długim Wężu” w dniu bitwy, że nie pozwoliła im iść wprost do Walhalli.

— Został mi jeszcze jeden — wyznała. — Omold, skald Olava. Uratowałam jego głos, ale on wydaje się z tego niezadowolony.

— Skald? — Świętosława zachłysnęła się resztką wina. — Podaruj mi go, błagam! Błagam…

— Dobra, przestań — żachnęła się. — Jako błagalnica wypadasz paskudnie. Spytamy go rano, czy zechce z tobą pojechać.

— Ja go spytam — wyrwała się siostra. — Umiem pytać, by usłyszeć „tak”! Złote styryjskie?

— Tak — odruchowo odpowiedziała Astryda i dopiero po chwili wybuchła śmiechem. — Umiesz pytać, to prawda.

— Dziewczynki mają jasne włosy, prawie białe… — mamrotała Świętosława, gdy Astryda mozoliła się z odlakowaniem dzbana. — Śliczne są, śliczne… A chłopcy…

— No to chlup! — przerwała jej Astryda, odrzucając lak. — Dawaj kielich, półdiablę! Leję złotem styryjskim…

— Ach! Czy picie styryjskiego dzisiaj to nie zdrada stanu? Nasz brat walczy z Henrykiem… Bawaria i Styria… O Jezu… jakie dobre…

— Najlepsze na koniec! — oznajmiła Astryda, upijając łyk.

— Nie! To jeszcze nie koniec! Jeszcze było jakieś białe…

— Białe! — potwierdziła.

— …jak włosy Olava!

— Głupia. Białe było reńskie — poprawiła ją. — Olav obciął włosy. Zgolił.

— Co? Kłamiesz! — Świętosława się wściekła.

— Nie! Wydaje mi się, że widziałam…

— Daj spokój zmarłym. Złote styryjskie jest cudowne. — Świętosława się chwiała, a jej różnobarwne oczy zdawały się pulsować. — Wesprę Bolesława w podboju. Niech nam zdobędzie ten kraj, gdzie robią takie wino! Przeniesiemy się tam jako namiestniczki winnic…

— Mój dziad, Dalwin, źle się czuje… Mam tu masę kłopotów, Świętosławo.

— Bolesław teraz w Pradze. Wojna…

— Jestem pijana — zdziwiła się Astryda.

— Dopiero teraz? Ja upiłam się dawno, dawno… Nawet nie wiem, czy wytrzeźwiałam od czasu bitwy na wodach Øresundu.

— Zły i złośliwy bóg Loki zamieszał w kotle Øresundu… O czym my mówiłyśmy? — Myśli Astrydy się rozpierzchały.

— O Radzimie, arcybiskupie — przypomniała jej Świętosława. — Wiesz? Nie znoszę go. To tchórz. Jak mogło się stać coś takiego… Zabili Wojciecha… jego brata, a on… przeżył! Świadek, ja nie mogę, tragedii? Przecież normalny mężczyzna… prawdziwy brat to by nie opuścił rodzonego w potrzebie, co? Nie zdradził… Astrydo? Pomyśl, siostro! Mogłabyś mnie zdradzić?

— Mnie… mnie… mnie… nie… — powtórzyła pijana Astryda.

— No widzisz? Nie mogłabyś. Ja też bym cię nie zdradziła… A ten? Widział, nic nie zrobił i taki z niego świadek tragedii… Jak go widzę, to mnie trzepie… Unger też dziada nie znosi…

— Niedobrze mi — przyznała się Astryda.

Świętosława zwlokła się z łoża i ściągnęła ją. Odprowadziła na bok. Pochyliła, opierając na ramieniu, i odciągnęła jej włosy w tył.

— Rzygaj — rozkazała. — No już!

— Nie — zbuntowała się Astryda. — Nie będę. Daj mi wody.

— Wody? Skąd ja ci wezmę wodę? Mamy tu skrzynię pełną dzbanów wina, ale wodę?… Poczekaj. Nie ruszaj się stąd.

Zostawiła ją leżącą na podłodze i wyszła. Astryda miała wrażenie, paskudne wrażenie, że wszystko się kręci. Bała się, że sklepienie alkowy uderzy ją w głowę. Cały świat wirował jej przed oczami. Czuła się jak na pokładzie łodzi, którą zakręcił sztorm. Płynęła z falą, a ta wciągała ją pod siebie, w głąb. To nie byłaby zła śmierć, nie…

— Pij! — Świętosława podciągnęła ją za włosy i przystawiła do ust kubek z wodą. — Pij!

Łyk wody, zamiast orzeźwić, uświadomił jej, jak bardzo jest pijana.

— Dlaczego nazwałaś swą łódź „Słoną Siostrą”? Dlaczego? Dlaczego?

Pytanie odbijało się w jej czaszce. Wiedziała, że nie może już nic mówić. Ani słowa więcej.

— Bo tak — odpowiedziała i zwinęła się w kłębek na podłodze alkowy. Zagryzła język. Poczuła słony smak krwi.

BOLESŁAW z Sobiesławem Sławnikowicem odprowadził margrabiego Henryka ze Schweinfurtu i Brunona, rodzonego brata króla Rzeszy, Henryka II, do bram Pragi.

— Dziękuję, Bolz. — Margrabia go uściskał. — Nigdy nie zapomnę ci tego, co dla mnie zrobiłeś. Ukryłeś mnie u siebie, w Pradze, w najgorszych chwilach wojny.

— Życie za życie. — Bolesław odpowiedział uściskiem. — Ty moje ocaliłeś w Merseburgu.

— Okropne czasy nadeszły, gdy brat prześladuje brata — powiedział książę Bruno, zakładając podróżny kaptur. — Gdyby stało się zadość przeznaczeniu i mój najstarszy brat zostałby duchownym, jak było dla niego planowane, nie doszłoby do tych potworności.

W dzieciństwie, na skutek nacisku cesarza Ottona, najstarszego z braci, Henryka, przeznaczono do kościelnej kariery, a młodszy, Bruno, miał zostać dziedzicem bawarskiego księstwa. Ale Henryk opuścił tę drogę zaraz po śmierci ich ojca, by ubiegać się o schedę po nim, a po zgonie cesarza także po najwyższą władzę w Rzeszy. Teraz, w czasie wojny, Bruno musiał uciekać z kraju, więc Bolesław i jemu udzielił schronienia w Pradze.

— Ruszam na Węgry jak pielgrzym, jak tułacz — powiedział Bruno. — Do mego szwagra, króla Stefana. I obiecuję mówić z nim o tym, o czym rozmawialiśmy. Jeśli mi się powiedzie, gdy Henryk uderzy na Czechy lub Polanię, Węgrzy zachowają neutralność i nie tkną twych południowych granic.

Uścisnęli sobie prawice. Książę Bruno dodał:

— Bądź zdrów, Bolesławie, i przemyśl to, o czym ci mówiłem. Zawracanie synów z przeznaczonej im drogi skutkuje nie tym, czego się

spodziewamy. Masz dwóch wspaniałych synów i trzeciego, który wyrośnie na równego braciom. Nie podejmuj wobec nich pochopnych decyzji.

— Z Bogiem! — pożegnał go Bolesław. Wciąż nie mógł spokojnie myśleć o Bezprymie i wolał o tym teraz nie mówić.

Wraz z Sobiesławem zawrócili konie i ruszyli spod bram w stronę zamku. Ostatnie zeschłe jesienne liście zaszeleściły pod kopytami. Ludzie, których mijali, kłaniali się Bolesławowi, ale spode łba patrzyli na Sławnikowica.

— Nie lubią mnie — mruknął Sobiesław.

— I co z tego? — Bolesław wzruszył ramionami. — Zadaniem księcia jest rządzić, a nie być lubianym. A oni? Pamiętają, że jesteś bratem Wojciecha, biskupa, który dwukrotnie musiał porzucić niewdzięczną i okrutną Pragę. Mają krew twoich bliskich na rękach. Widzą cię przy mnie, więc boją się, że gdy odjadę, zostaniesz mym namiestnikiem i będziesz się mścił.

— Nie będę — powiedział Sobiesław. — Wrszowców wyrżnął Rudy i choć powinienem mu podziękować, czułem wstręt do tego, co zrobił. Mam dosyć zaklętego kręgu rodowej zemsty. Wróżda nie dla mnie. Ciągłe wracanie do tego sprawia, że nie mogę normalnie żyć. Ja, Bolesławie, nawet nie wiem, czy chcę zostać twym namiestnikiem w Pradze.

Bolesław zaklął pod nosem. Przeczuwał to. Sobiesław był mu oddany i lojalny, wydawało się, że jako książę libicki jest najlepszym kandydatem na namiestnika Czech, ale trudno było nie zauważyć, że Sławnikowic w Pradze czuje się źle. Jakby najgorsze wspomnienia dopadły go i trzymały za gardło.

— Nie mogę siedzieć tu wiecznie — żachnął się Bolesław. — Muszę wrócić do Poznania. Przemyśl to, proszę. Nie odmawiaj pochopnie. Sobiesławie, kogo tu posadzę na tronie? Bezpryma? — Poczuł ból w dole

brzucha, jakby to jego zranił Jaromir. — Jak mój pierworodny czułby się tu, w dawnej siedzibie Przemyślidów, którzy go tak brutalnie pozbawili… Ach!

— A może to nie jest takie niedorzeczne? — Sobiesław odwrócił się do niego. — Może dzięki temu Bezprym odzyskałby utracone poczucie godności? Pomyśl. Rządziłby tymi, którzy go skrzywdzili. Czyż to nie byłoby sprawiedliwe?

Bolesław milczał chwilę. Wjechali na podwórzec przed stajnią. Zeskoczył z konia i gdy stajenni zabrali od nich wierzchowce, powiedział do Sobiesława szeptem:

— Pozwoliłem Bezprymowi odejść do eremu. Już pewnie osiadł w Międzyrzeczu i…

W tej samej chwili ze stajni wyszedł Jaksa.

— Kiedy wróciłeś? — krzyknął do niego Bolesław.

— Przed chwilą. Wy żegnaliście przy wschodniej bramie pielgrzymów, ja wjechałem zachodnią.

Wystarczyło spojrzenie na skrzywioną twarz Jaksy, by wiedzieć, że nie ma dobrych wieści. Jasne włosy Redara brudnymi pasmami wpadały mu do oczu. Na czole i przez podbródek biegły ślady zadrapań.

— Walczyłeś z jakąś namiętną panną? — zażartował Sobiesław. — Ale cię urządziła.

— Żałuję, że to nie dziewczyna. Siedziałem w krzakach — ponuro powiedział Jaksa i obrzucił spojrzeniem kręcących się wokół nich ludzi. — Czy mogę prosić księcia Pragi o posłuchanie w miejscu innym niż stajnia?

Bolesław klepnął go w plecy i ruszyli do zamku.

— Lubię twoją służbę, Jaksa — powiedział Bolesław, gdy wchodzili do kamiennego wnętrza. — Ty dobre wiadomości oznajmiasz ze złą miną, a złe z paskudną.

— Co to ma do rzeczy? Mam się uśmiechać jak jakiś głupek? Nie lubię uśmiechniętych mężczyzn. — Jaksa wzruszył ramionami.

— Oczywiście. Mężczyzna musi być ponury. I brudny! — zażartował Bolesław, ale Redar nie miał poczucia humoru. — Jesteś głodny? Spragniony? Jak cię ugościć?

Jaksa od dziecka był chudy, potrafił nie jeść przez kilka dni z rzędu. Teraz wyglądał jak szkielet obciągnięty przybrudzoną skórą. Machnął tylko ręką.

— Najpierw służba. Henryk nie zgodził się wydać ci Jaromira. Owszem, potępił krzywdę, jaką młody Przemyślida wyrządził twemu synowi, wyraził ubolewanie, ale kategorycznie stwierdził, iż nie wyda go w twoje ręce, bo, jak powiedział, „zachodzi obawa, iż książę Bolesław nadużyje prawa do ojcowskiej zemsty”.

— A niech go szlag! — Bolesław walnął pięścią w stół. — „Nadużyje”? Jaromira wykastrował jego brat, Rudy. Jak ja mam „nadużyć” zemsty? Drugi raz mam mu jaja uciąć?

— Warto sprawdzić, czy nic nie zostało — poważnie oświadczył Jaksa.

— Trzymaj mnie, Sobiesławie, bo uszkodzę posłańca!

— Ja nie jestem posłańcem! — ostro żachnął się Jaksa i natychmiast powściągnął emocje. — Wybacz.

— Wybaczam — odruchowo powiedział Bolesław. — Nie twoja wina, tylko Henryka. Ale jemu na rękę jest krzywda Bezpryma. Chryste! Pierworodny, który nie będzie mógł mieć dziedzica!

— Masz jeszcze Mieszka — przypomniał Sobiesław. — Chłopak trzynaście lat już kończy, a że wykształcony? Nie szkodzi. Będziesz miał następcę, który dorówna królowi Niemiec. Tamten też był na księdza wychowywany i widzisz, jaki wojowniczy się zrobił? Zresztą, pozwoliłeś Bezprymowi pójść za głosem serca, do eremu. Zamień się z Bogiem. Daj

mu Bezpryma, skoro i tak pragnie tej drogi, w zamian za Mieszka. Mieszko ślubów jeszcze nie składał.

Bolesław zaczął chodzić wokół komnaty. To go uspokajało, a przynajmniej sprawiało, że krwawa mgła nie przysłaniała mu oczu. Myślał o tym od dnia, gdy Bezprym stanął przed nim i opowiedział, co się zdarzyło. Tak, myślał o tym, ale ojcowska miłość podpowiadała mu, że decyzja Bezpryma jest tylko rodzajem ucieczki, czymś, z czego się wyrasta jak z pryszczy na brodzie. Wcześniej zależało mu na tym, by odzyskać syna, wyciągnąć go ze szponów szalonego mnicha Romualda z Pereum. Czuł, że gdy Bezprym wróci do kraju, zapomni o pustelniach, korzonkach i mrzonkach nieprzystających do jego urodzenia i pozycji. Że z czasem stanie przy nim jako godny następca. Wszak w jego żyłach płynęła krew wojowniczych Madziarów. Krew jego matki, Karoldy, i koczowniczych plemion poskramiaczy koni. I wiedział, że tak by było! Ale okrutny atak Jaromira, porwanie Bezpryma i pozbawienie go męskości, to wszystko pokrzyżowało plany. Ojcowskie serce w Bolesławie krwawiło. Tak, powinien teraz postawić na Mieszka, by jego dziedzic mógł mieć synów. I jednocześnie nie chciał tego zrobić, by ostatecznie nie pogrążyć Bezpryma. By nie odebrać mu resztek godności.

— Kiedy będzie wojna? — spytał od niechcenia, by zmienić tok myśli. — Kiedy Henryk II ruszy?

— Najwcześniej wiosną — beznamiętnie odpowiedział Jaksa. — Pojechał do Pawii koronować się na króla rzymskiego.

Usłyszeli tumult przed zamkiem. Krzyki i stukot końskich kopyt. To musiało być przynajmniej kilkunastu jeźdźców. I dobrze im znany głos Zarada:

— Z drogi, bo pozabijam!

— Chryste, co znowu? — szepnął Sobiesław.

Bolesław poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Zarad powinien być w Poznaniu. Skoro przyjechał tak pospiesznie, to…

— Książę! — Ciemnooki druh wpadł do komnaty, niemal wyważając drzwi. — Zbrodnia w Międzyrzeczu! Pustelnicy zamordowani! Nikt nie ocalał!

Bolesław doskoczył do Zarada i uniósł go w powietrze, jakby ten był dzieckiem, a nie potężnym mężczyzną.

— Nikt?! — wrzasnął.

— Nikt — powtórzył Zarad.

— Bezprym! — zawył Bolesław. — Bezprym był w eremie!

— Do diabła… — Jaksa zbladł. — To niemożliwe. Młody książę?

— Postaw mnie — zażądał Zarad. — Postaw!

Bolesław upuścił go jak worek. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to że nad tym chłopakiem ciąży jakaś klątwa.

Zarad wstał z podłogi, zacisnął szczęki i powiedział:

— Zwłok Bezpryma nie ma wśród trupów w eremie.

ŚWIĘTOSŁAWA wiedziała, co się stało z Bezprymem, od Iona, Ostrowoda i Wilczana. Wrócili z Pragi niemal równo z jej powrotem z Wolina. Unger, Emnilda, Zarad, nikogo więcej nie przypuścili do tajemnicy. Ludziom Ostrego nakazano bezwzględne milczenie.

— Młodemu księciu wyrządzono ogromną krzywdę — powiedziała do nich Emnilda. — Nie ma powodu, byście powiększali ją zbędnym gadaniem. Milczenie jest złotem i obiecuję, iż książę Bolesław sowicie was za nie wynagrodzi.

— A ja surowo ukarzę — obiecała Świętosława — gdybyście nie umieli trzymać języka za zębami. Potrafię być nie tylko surowa, ale i okrutna. Ionie, misja się skończyła, idziesz z powrotem na łańcuch.

— Królowo — wstawił się za nim Ostry. — Ion błagał o litość dla Bezpryma z narażeniem życia. W Italii też nie dalibyśmy rady bez niego.

— Przyjęłam do wiadomości — oświadczyła ku przerażeniu drużyny Ostrego. — Na łańcuch! A wam — zwróciła się do świadków poniżenia Bezpryma — przypominam o przysiędze milczenia.

— Tak jest — wyszeptali ze zgrozą.

— Odejdźcie na zasłużony spoczynek. I pijcie dzisiaj z książęcej piwniczki — złagodziła nieco nastrój Emnilda.

Zamknęli się w świetlicy. Emnilda, Unger, Zarad i Ostry.

— Gdzie jest teraz Bezprym? Został w Pradze z panem ojcem? — spytał biskup.

— Nie, książę pozwolił mu udać się do eremu w Międzyrzeczu — odrzekł Ostry. — Odprowadziliśmy go, oddaliśmy w ręce świątobliwego Benedykta i ruszyliśmy do Poznania.

— Czy brat Barnaba już wrócił z Rzymu? — zapytał Unger. — Spodziewali się go najdalej na świętego Marcina.

— Nic nam o tym nie wiadomo. Było ich pięciu. Świątobliwy Benedykt, Jan, tych dwóch naszych, Izaak i Mateusz. Brody już mają takie jak bracia z Italii, odróżnić nie można, który świętszy od świętego. — Ostry zachichotał, ale kiedy zobaczył surowe spojrzenie Ungera, odechciało mu się śmiać. — No i sługa świętych braci, Krysiek. Przyjęli księcia z radością, Benedykt i Jan znali go z Pereum. A ten Barnaba to ponoć poszedł po Brunona z Kwerfurtu, który miał dowodzić misją. Było nam zlecić, byśmy i Brunona z Italii przywieźli.

Zignorowali przechwałkę. Świętosława była porażona. Nie umiała sobie wyobrazić, co przeżywa Bezprym.

— Ile on ma lat? — spytała Emnildy.

— Siedemnaście — wyszeptała bratowa. Z jej oczu płynęły łzy, które starała się ukradkowo wytrzeć rękawem.

— Boże — jęknęła Świętosława. — Mógłby już się ożenić…

— Przypomnę, że książę Bezprym wybrał drogę życia duchowego — powiedział Unger. — I jak widać, jego postanowienie jest silne, skoro nie został z panem ojcem w Pradze, tylko udał się wprost do eremu. Dlaczego… — Głos Ungera zadrżał i unosił się ze słowa na słowo. — Dlaczego wciąż odmawiacie Bezprymowi prawa do wyboru? Dlaczego wciąż pchacie go ku świeckiemu życiu, skoro wybrał Boga?

— Dlatego, święty ojcze, że jest pierworodnym synem wielkiego księcia Polanii — smutno odpowiedziała Świętosława. — Żadne z nas nie mogło iść za głosem serca, Ungerze, bo naszą pierwszą powinnością było księstwo.

Milczeli długą chwilę, aż słychać było strzelanie płomieni w palenisku i najcichszy z możliwych szloch Emnildy. Wreszcie odezwał się Unger:

— Pomówię z Bezprymem. Pojadę do eremu. Może młody książę potrzebuje duchowego wsparcia. On jest z matki Węgierki, ja z ojca Węgra, mamy ze sobą coś wspólnego.

— To dobry pomysł. Ja nie mam nic z Węgierki, a też przyjęłabym wsparcie od ciebie prędzej niż od kogokolwiek innego — wyrwało się Świętosławie.

— Masz więcej, niż ci się wydaje. — Unger tajemniczo się uśmiechnął. — Pamiętasz legendę o Gudrun, którą mi opowiadałaś? O Gudrun, wilczym włosie owiniętym wokół pierścienia, który miał przestrzec braci przed jej mężem, Atlim? I o nieszczęściach, którym owa przestroga nie zdołała zapobiec?

— Pamiętam — kiwnęła głową. — Jesteś dobrym słuchaczem.

— Ów Atli to równie legendarny Attyla, nasz węgierski przodek. Pomówimy jeszcze kiedyś o tym, królowo. Mamy sobie wiele do powiedzenia. — Unger się uśmiechnął.

Zadrżała. To już brzmiało jak zapowiedź rachunku sumienia.

A jednak Unger nie pojechał do eremu. Nazajutrz zmogła go tak wysoka gorączka, że nie mógł wstać z łoża. Poprosił Zarada, by ten w jego imieniu pojechał do braci i przekazał Bezprymowi, iż może liczyć na jego wsparcie. Emnilda dorzuciła do posłania dwa wozy wiktuałów dla pustelników, a Świętosława, w pośpiechu szukając czegoś, co przyniosłoby ulubionemu bratankowi ulgę, dała mu młodą sowę w klatce.

— Sowa? — zdziwił się Zarad. — Po co mu sowa?

— Powiedz, że to ode mnie. Taki znak, że pamiętam i że nie mogę przekazać, co to znaczy, bo posłaniec nic nie zrozumie. — Uśmiechnęła się chytrze. — Jak kiedyś pozwoli się odwiedzić, to sama mu powiem.

Zarad stał i gapił się na nią głupio.

— No co? — Wzruszyła ramionami. — Nie mogę mieć tajemnicy?

— Ty masz więcej tajemnic, niż pomieści łeb spowiednika.

— Znalazł się święty — ofuknęła go. — Nie gap się, bo wyglądasz tak samo durnie, jak wtedy, gdy miałeś piętnaście lat i pryszcze. — Połaskotała go pod brodą i poczuła, jak zesztywniał. — No, ja wszystko pamiętam! Nawet czasy, gdy się rumieniłeś na widok każdej służki.

Wręczyła mu klatkę z sową i pojechał.

Nie było w tym żadnego sensu. Po prostu wiedziała, że nie może dać Bezprymowi noża, miecza, żadnej dobrej broni, by chłopak nie odczytał podarunku jako zachęty do targnięcia się na własne życie albo zmuszania go na siłę do bycia następcą ojca. Podarowanie mu pięknej broszy, pierścienia czy płaszcza odczytać mógł jako brak wyczucia dla jego pustelniczych potrzeb. Sowę znalazła w lesie podczas powrotu z Wolina.

Zaplątała się w siatkę książęcych łowczych, którzy polowali na młode jastrzębie. Była intrygująco piękna i Świętosława przyjęła ją od łowczych w prezencie. Powinna była ją wypuścić, jak radzili łowczy, ale nie zrobiła tego, bo patrzenie w wielkie oczy sprawiało jej jakąś frapującą, trudną do określenia przyjemność. Pomyślała, że Bezprym też to poczuje.

Na drugi dzień po wyjeździe Zarada złapały się z Emnildą na tym, że obijają się po palatium jak senne.

— Może jesteśmy chore? — powiedziała księżna. — Jak Unger, tylko bez gorączki?

— Nie, moja słodka — zaprzeczyła Świętosława. — Nie możemy sobie znaleźć miejsca, gdyż boli nas to, co spotkało Bezpryma. To okrucieństwo — wzdrygnęła się. — Chłopak akurat stanął u progu lat męskich… Boże!

— A ja się boję, Świętosławo, że to rodzaj srogiego upomnienia. — Emnilda powiedziała to, o czym Świętosława usiłowała nie myśleć. — Bolz chciał odebrać pierworodnego Bogu…

— A Bóg sam wskazał swą wolę — dokończyła za nią i głośno wciągnęła powietrze. — Czy Bolz mówił ci o ofierze Abrahama?

— Bolz nie, ale od dziecka ksiądz mnie uczył.

— Nasz ojciec wziął drugą żonę, Odę. Nazywaliśmy ją Księżna Sopel Lodu. Sucz wyjątkowa, choć dużo się od niej nauczyłam.

— Ty? Niemożliwe. Ty jesteś taka dobra…

Świętosława popatrzyła na Emnildę i pocałowała ją w policzek.

— Nie. To ty jesteś dobra i świat widzisz lepszym, niż na to zasługuje. Oda urodziła ojcu synów i on pierwszego z nich nazwał swoim imieniem.

— My też. — Emnilda uśmiechnęła się samymi oczami.

— Wy to co innego. Mój brat dorastał pod presją macochy i Mieszka, syna Mieszka. Wciąż myślał o tym, że ojciec poświęci go na ofiarę Bogu, jak Abraham Izaaka. I nie winił ojca, lecz Odę. Wiedział, że jeśli tak się

stanie, będzie to za sprawą macochy, która wmówi ojcu jakiś pretekst tylko po to, by zrobić miejsce dla własnego syna.

— Nie miałam pojęcia — westchnęła Emnilda.

— Dlatego Bolesław, choć zapewne bardziej kocha twoje dzieci, za nic w świecie nie będzie chciał pozbawić następstwa tronu swego pierworodnego — wyrzuciła na jednym tchu Świętosława. — Dlatego walczył jak szalony o Bezpryma. By jego syn nie musiał myśleć o Izaaku i Abrahamie.

— Pamiętasz, co nam ostatnio opowiadał mój syn? — przywołała Emnilda. — O Kainie i Ablu.

— Chryste! Brat mordujący brata. To jego opowieść… Oby nigdy się nie spełniła! — zaklęła Świętosława. — Chociaż nie wiem, która z nich gorsza…

— Obie są okrutne — przyznała Emnilda. — Ale jak widzisz, życie potrafi ułożyć się jeszcze tragiczniej. Opowiedz mi lepiej o swoim spotkaniu z dziećmi. Widziałaś je?

— Tak. — Do jej gardła tęsknota rzuciła się jak wilk do ofiary. — Są śliczne.

Kilka dni później, gdy Świętosława wracała zachodnim mostem z przejażdżki, usłyszała za sobą dźwięk kopyt. Odwróciła się. I choć nie powinna była go poznać, poznała. Po chmurnym czole, włosach czarnych jak smoła i oczach jak ciekły ołów.

— Bezprym? — spytała, wstrzymując konia.

— Sowa? — odpowiedział.

Był wzburzony, kipiał jak fiord podczas jesiennego sztormu.

— Gdzie twoje rysie? — zapytał, zrównując się z nią koniem.

— Zamordowane — odpowiedziała, uważnie się w niego wpatrując.

— Jak oni — odrzekł, zaciskając szczęki.

— Kto?

— Pustelnicy.

— Moje rysie zabił mój mąż w akcie bezsilnej zemsty — odpowiedziała mu.

— A pustelników człowiek, któremu bezwzględnie ufa mój ojciec — powiedział i jego koń otarł się zadem o jej klacz. Klacz parsknęła.

— Zdrada? — spytała i dopiero do niej dotarło, co usłyszała przed chwilą.

— Zdrada — odrzekł.

— Dlaczego ty ocalałeś?

— Dzięki twej sowie — powiedział i uleciały z niego gniew i rozpacz.

Wyrzucił z siebie słowo, które było czymś między zaklęciem a świstem, i jego koń skoczył niczym strzała z łuku. Gdy wjechała na podwórzec palatium, już zdążył zeskoczyć z siodła. Był wysoki niemal jak Bolesław. Szeroki w barach. Czarnowłosy i szarooki. Wyglądał jak ból zamknięty na siłę w postaci mężczyzny. Młodzieńca.

Stajenny pomógł jej zsiąść z konia. Zrobiła krok w stronę Bezpryma.

— Nic nie mów — powiedziała, chwytając go za rękę, jakby był jej synem, i pociągnęła za sobą. — Opowiesz wszystko w świetlicy.

Gospodynie na podwórcu musiały go poznać, bo dwie z nich zrobiły znak krzyża i przyklękły.

Zabiję, jak znajdę tego, co rozgadał — pomyślała.

Zebrali się u łoża Ungera, który był tak słaby, że nie mógł wstać. Emnilda przybiegła pospiesznie.

— Co się stało, mój synu? — Madziarskie oczy biskupa ciemnym ogniem zalśniły w mroku komnaty.

— Pustelników wymordowano — oświadczył Bezprym.

Emnilda jęknęła i przeżegnała się.

— Chryste Panie, miej nas w opiece w godzinie próby — wyszeptał biskup.

— Pan Zarad przybył z posłaniem od ciebie — opowiadał Bezprym — wozami od księżnej macochy i sową w klatce. Pomyślałem: „Dlaczego sowa?”. Zarad odjechał. Bracia modlili się w kaplicy o bezpieczny powrót Barnaby z Rzymu, a ja ciągle myślałem o uwięzionej sowie. Nie mogłem się skupić na modłach, więc Benedykt powiedział: „Może królowa przysłała ptaka, byś go uwolnił?”. Zabrałem klatkę i poszedłem głęboko w las. Gdy ją otworzyłem, sowa nie chciała wylecieć. Siedziała wewnątrz więzienia. Rozmawiałem z nią…

Urwał. Nikt go nie ponaglał, nawet Świętosława umiała znaleźć w sobie cierpliwość. Czekali, aż sam podejmie wątek.

— Zapadł zmrok i wtedy usłyszałem kilkunastu jeźdźców — ciągnął po chwili. — Podkradłem się lasem, klatkę z sową, co nie chciała odlecieć, zabrałem ze sobą. Zobaczyłem zaufanego człowieka księcia i przyszło mi do głowy, że mój pan ojciec zmienił zdanie i znów zacznie nalegać, bym wrócił na dwór. Do głowy mi nie przyszło, że może stać się coś złego… — Spuścił głowę, aż czarne włosy zakryły mu twarz. — Bardziej ciekawiła mnie sowa — wyznał. — Tkwiła w bezruchu jak martwa, a przecież widziałem, że porusza się jej pierś. Stałem w zagajniku za eremem, patrzyłem to na nią, to na gości. Zsiedli z koni, weszli do kaplicy, była noc, bracia spali… Nie miałem złych przeczuć, wiedziałem, kim są nocni goście. I potem, gdy usłyszałem krzyki, zrozumiałem, że nic nie wiem. Usłyszałem wściekłą groźbę: „Naprawdę chcemy was zabić”, a Jan odpowiedział na to spokojnie: „Deus vos adiuvet et nos”…

— Niech Bóg was wspiera i nas — przetłumaczył Mieszko, choć nikt nie wiedział, kiedy przekroczył próg świetlicy.

— Napastnik w lewej dłoni trzymał świecę, w prawej miecz — mówił jak w natchnieniu Bezprym. — I pchnął Benedykta w pierś, a on przyjął uderzenie, jakby czekał na nie. Nie bronił się i nie zasłaniał… jego krew zabarwiła ścianę. Bracia szli za nim pod nóż, pod ostrze niczym baranki prowadzone na rzeź. A potem jego ludzie biegali po dziedzińcu i nożami dobijali rannych… Bali się, że ktoś ocaleje… a ja pomyślałem, że jeśli sowa w klatce krzyknie, będzie po mnie. Ale ona patrzyła mi w oczy i milczała. Zabójcy podłożyli ogień, lecz ten nie chciał zająć kaplicy… Byli wściekli, bo nie doliczyli się Barnaby… nie znaleźli go… wiedzieli, że już powinien wrócić… Zbliżał się świt, usłyszeli tętent koni i zapadli się w las. Byłem porażony, przylgnąłem do drzewa, jeden z nich przebiegł tuż obok mnie. Uciekli na południe.

— Kto przybył? — szeptem zapytał pogrążony w gorączce Unger.

— Pan Zarad. Ten sam, co dzień wcześniej przywiózł nam podarunki. Zobaczył trupy, kazał ugasić ogień, krzyczał „Gorze!” i odjechał, wołając „Do Pragi!”.

— Kto zamordował mnichów? — spytała Świętosława.

— Nie mówiłem, że zwiadowca? — Bezprym zmarszczył brwi.

— Mówiłeś, ale który?

— Jasnowłosy Redar, Jaksa. Królowo — podszedł do niej — zawdzięczam twojej sowie życie, choć jeszcze nie wiem, czy za nie dziękuję.

— To nie moja zasługa — skłamała bez mrugnięcia okiem. — Zapytaj sowy, co o tym myśleć.

Unger uniósł się na tyle, na ile pozwalała mu słabość.

— Musimy jak najszybciej zawiadomić księcia — powiedział. — Jaksa trzyma w ręku cały zachodni wywiad, a wojna zmierza do granic szybkimi krokami. Redar nie wie, że Bezprym go widział. Mógł wrócić do Bolesława

i być może przy jego boku planuje jeszcze gorsze zdrady. A braciom z eremu należy wyprawić godny pogrzeb. Zginęli jak męczennicy. Może ich śmierć, jak męka biskupa Wojciecha, przyniesie owoc świętości?

— Biskup Wojciech, nasz święty Adalbert — odezwał się znów młody Mieszko, wychodząc na środek — zginął podczas misji wśród pogan. Wedle tego, czego mnie uczysz, ojcze Ungerze, to jednak coś zupełnie innego. On oddał życie, głosząc Słowo Boże.

— Nie umniejszaj znaczenia ich śmierci — warknął na niego Bezprym, stając na wprost brata. — Nie znałeś ich, nie wiedziałeś, kim byli!

— I nie stałem w lesie, gdy umierali — odgryzł się Mieszko.

— Żałujesz, że nie dałem się zabić wraz z nimi? — ostro zapytał starszy z braci.

Świętosława wstrzymała oddech. Patrzyła na nich. Spojrzenia jej i Emnildy skrzyżowały się przez chwilę. Wydawało się, iż bracia gotowi są skoczyć sobie do oczu, ale obaj cofnęli ręce i równocześnie położyli je na piersi. Dłoń Mieszka była otwarta, Bezpryma zaciśnięta w pięść.

— Źle mnie zrozumiałeś, bracie — pierwszy odezwał się Mieszko. — Jakże mógłbym pragnąć twej śmierci? Cieszę się, że ocalałeś, choć wiem o nieszczęściu, jakie cię spotkało. Łączę się z tobą w bólu.

Bezprym wciągnął powietrze tak głośno, że Świętosława poczuła dreszcz na plecach. Nie widziała w oczach Mieszka współczucia. Widziała błysk pogardliwej litości.

— Ale ja nie chcę się nim z tobą podzielić, bracie — powoli odpowiedział Bezprym.

BOLESŁAW wysłał Jaksę na zachód. Zima była tak ciepła, bezśnieżna i sucha, że jeśli Henryk II wrócił już z Pawii, atak mógł nastąpić lada dzień. W Pradze panowały coraz gorsze nastroje. Czuł, że Jaromir poprzez swych wysłanników szuka sojuszników pod jego bokiem.

— Kiedy możni oddawali ci władzę, liczyli, że obejmiesz tron, zrobisz porządek, wrócisz do Poznania, a oni sobie porządzą — powiedział Sobiesław.

Jechali konno wzdłuż Wełtawy. Psy Bolesława goniły się, przeskakując kępy zeschłych traw.

— Rozczarowałem ich. — Bolesław wzruszył ramionami. — Wiesz, co by było, gdybym wyjechał? Henryk zjawiłby się tu dzień po mnie z Jaromirem i Oldrzychem. Niedoczekanie!

— Dlaczego nie ma wieści od Jaksy?

Psy zawróciły i ujadając, biegły ku nim.

— Pewnie nic się nie dzieje. Wiesz, jaki jest Redar. Potrafi tygodniami zapaść się pod ziemię, a potem wrócić z wiadomościami.

Bolesław obrócił się i patrzył, na kogo szczekają jego psy.

— Ciechan jedzie! — zauważył przybywającego Sobiesław.

— Książę, trudno cię zastać na zamku. — Pogodna zwykle twarz Ciechana wyrażała niepokój.

— Nie przyjechałem tu, by grzać ławę. — Bolesław uśmiechnął się do niego. — Jakie wieści?

— Na traktach niespokojnie. Ludzie donoszą, że w górach zaczęły pojawiać się bandy. Rozbito jedną, która napadła na posłańców od biskupa Ungera.

— Co z nimi? — szybko zapytał Bolesław.

— Posłów nie odnaleziono. Herszt bandy twierdzi, że mu uciekli nocą.

— Do mnie żaden nie dojechał. — Bolesław potarł czoło. — A płacę im tak dobrze, że wiedzą, iż lepszej roboty nie znajdą.

Dopiero teraz dotarło do niego, że ostatnie wiadomości z Poznania przywiózł Zarad, a potem nikogo nie było. On wysłał Emnildzie i dzieciom

podarki na Boże Narodzenie, rozkazy w sprawie pogrzebu eremitów, ale od nich nie było żadnych nowin już dwa miesiące.

— Sobiesławie, wydaj rozkazy. Zwiększ załogi przy traktach, drogi muszą być bezpieczne. I wyślij bezzwłocznie gońców do Poznania. A to co, u licha?

Traktem jechał niewielki oddział zbrojny, ale to na pewno nie byli jego ludzie. Wyskoczyli im naprzeciw.

— Od margrabiego Guncelina do wielkiego księcia Bolesława! — zameldował dowódca, przyglądając im się pilnie.

— Już stoisz przed księciem — poinformował go Sobiesław. — Masz znak od margrabiego?

— Mam — niepewnie odrzekł dowódca oddziału, patrząc to na Sobiesława, to na niego. — Ale pokażę go dopiero księciu.

Bolesław parsknął śmiechem. Był w prostym stroju do konnej jazdy. Z nich dwóch to Sobiesław wyglądał teraz jak książę.

— Prosimy do zamku! — krzyknął i zawrócił.

Nim ich przyjął, przebrał się, by nie peszyć posłów. W haftowanej czerwonej tunice, płaszczu podbitym futrem i książęcym diademie zjawił się w sali przyjęć.

— Jestem Derwan, sługa pana Guncelina. Proszę o wybaczenie, książę — pokłonił się dowódca. — Na trakcie nie poznałem… nie spodziewałem się…

— Nic się nie stało. Nie marnuj czasu, jechałeś, aż się za wami kurzyło.

— Bo sprawa jest pilna. Twój brat Guncelin przesyła ci wiadomość, iż Redarowie i Lucice zawarli sojusz z Henrykiem.

— Do diabła! — zaklął Bolesław i pomyślał, że Jaksa powinien o tym wiedzieć pierwszy.

— Znasz szczegóły? — spytał posła.

— Król Henryk postraszył pogan tobą, książę. Że ściągnąłeś do Polanii misjonarzy, którzy chrzcić ich będą ogniem, wypaleniem puszcz aż do ostatniego chramu i kąciny. Zgodzili się wystawić swe wojska na wojnę z tobą, ale w zamian zażądali…

Eremitów z Międzyrzecza — domyślił się Bolesław, a Derwan po chwili potwierdził.

— Są już gotowi, książę. Jako że zima sucha i słaba, ruszą lada chwila. Prawdopodobnie poganie uderzą od strony Milska.

Uderzyli, ale nim doszło do starcia, nadciągnęły trwające tydzień wczesnowiosenne ulewy, czyniąc walkę nieznośną. Bolesław wycofał ciężkozbrojnych; konie zapadały się w rozmiękłym gruncie. Tak bardzo brakowało mu Jaksy, który znał wszystkie brody, mokradła i przejścia. Czuł, że musiało coś się stać, jakże inaczej wytłumaczyć jego nieobecność? Obawiał się, że przyjacielowi, który był z nim od dzieciństwa, powinęła się noga. Może dopadli go Redarowie? Wiedzieli, że ich krewny służy mu od lat.

— Z wojsk królewskich jest tylko jeden oddział, na tyłach — zameldował mu Derwan. — Henrykowi ludzie boją się wchodzić w las.

— Pod osłoną nocy wypuścimy dwa z naszych oddziałów i zajdziemy ich od tyłu — rozkazał Bolesław. — Poganie nie będą chcieli walczyć sami. Jak zobaczą, że rozbiliśmy ludzi Henryka, rozpierzchną się. Lekkozbrojni ławą pójdą przez las, by wyłapać Redarów i Luciców. Ich dowódców chcę żywych — warknął. — Tylko oni mogą wiedzieć, co się stało z Jaksą.

Zarad poprowadził jeden z oddziałów, Bolesław drugi. Derwan został w lesie, polując na wchodzących w zasadzkę Redarów.

Było piekielnie ciemno i lało. Przewodnik na lekkim, krępym koniu prowadził ich ścieżyną na obrzeżach potężnego boru. Koń Bolesława stąpał

cicho. Przednią straż Henrykowych ludzi zaskoczyli, gdy ci grzali się przy niewielkim, osłoniętym daszkiem ogniu. Książę nie kazał ich zabijać.

— Poprowadzą do oddziału — rozkazał cicho.

Z nożem przystawionym do gardła nie zawiedli. Wprowadzili ich wprost do niewielkiego obozu. Ledwie dwanaście namiotów, Bolesław nie naliczył więcej. Rozpętała się krótka, chaotyczna walka.

— Bierzcie wszystkich żywcem! Może oni powiedzą nam, gdzie Jaksa.

— Już nie trzeba, książę! — krzyknął Derwan, dojeżdżając do Bolesława.

W lewej dłoni trzymał pochodnię, a przed nim, na siodle, leżał związany człowiek. Derwan zrzucił go z konia. Jeniec wpadł w błoto, ale podciągnął się na kolanach. Ze skrępowanymi rękoma i nogami uklęknął.

— Jaksa?… — Bolesław nie wierzył własnym oczom.

— Rozkazałeś, książę, brać żywcem dowódców pogan — powiedział Derwan. — Oto on. Jest twój.

Patrzyli sobie w oczy, aż Bolesław powiedział gorzko:

— Mylisz się, Derwan. On kiedyś był mój. Zakuć go! — rozkazał.

Jaksa splunął mu pod nogi wściekle. Książę się odwrócił. Nie chciał nawet na niego patrzeć.

SVEN przyglądał się, jak jego ludzie zwijają zimowy obóz na wyspie Wight. Ściągali z żerdzi płótna namiotów, pakowali szczelnie, nosili na łodzie. Skórzane śpiwory, skrzynie z bronią, beczułki cennego foczego sadła, żywność. Zasypywali ogniska i doły na nieczystości. Zostawiał tu niewielką załogę, ale miał przeczucie, że wrócą na wyspę kolejnej zimy; lubił stawać w czystym, wysprzątanym obozie.

Krótkie wczesnowiosenne sztormy już przeszły i nastał niezły czas na to, by rozruszać kości po zimie. Ubiegły rok był pracowity. Uderzyli na Wessex i bez większego trudu zdobyli Exeter. Stanął przeciw nim earl

Elfric, dobry znajomy sprzed lat. Równie nieskuteczny dzisiaj, jak za dawnych czasów. Pokonali jego ludzi, nie ponosząc strat, i pociągnęli na osadę Wilton, którą, jak lubił meldować Jorun, „zdobyto, splądrowano, spalono”. Potem równie szybko wzięto pobliskie Salisbury. Na zimę rozpuścił część wojsk. Odesłał swemu pasierbowi, Olofowi Królowi Szwedów, jego ludzi i nieco swoich puścił do Danii. Norwegów wolał trzymać przy sobie; wprawdzie nie miał nic do zarzucenia zięciowi, Erikowi z Lade, ale lepiej się czuł, gdy wiedział, że jego namiestnik nie dysponuje w Norwegii całością swych sił.

Na przystani kołysało się trzydzieści łodzi. Za mało na Londyn, w sam raz na wschodnią Anglię, cel, jaki obmyślił tej zimy.

— „Gniew” czeka na ciebie, królu! — Jorun wyszczerzył zęby w uśmiechu i przeciągnął się, aż mu strzeliły kości.

— Konie już wprowadzone?

— Tak, na każdą łódź po jednym, jak kazałeś.

— To płyńmy! — Sven klepnął go w ramię i wszedł na pokład.

Jak dobrze poczuć go pod stopami — pomyślał, gdy odbili od brzegu i ciemny żagiel „Gniewu” wybrzuszył się od podmuchu zachodniego wiatru.

Po trzech dniach żeglugi dobili do niewielkiej zatoki, gdzie kazał ustawić statki. Konie sprowadzono na ląd i rozbili obóz. Wysłał kilku ludzi, by dyskretnie złapali miejscowych przewodników, i wieczorem zaprosił wodzów na odprawę.

— Mamy dziewięć setek ludzi i trzydzieści łodzi do pilnowania. W obozie musimy zostawić przynajmniej setkę. Ja wezmę konnych i ruszę przodem. Resztę dzielimy na trzy oddziały. Stenkil dowodzi pierwszym, drugim Thorgils, trzecim jarl Hakon z Fionii. Każdemu z was przypada po dużej setce pieszych. Pójdziecie lasami, żeby jak najpóźniej dowiedziano

się o naszej wizycie. Spotkamy się w zagajniku, który od południa otacza miasto.

— Wizycie? — dopytywał się Stenkil. — Powiedz, królu, kogo będziemy odwiedzać?

Sven uniósł róg i zaśmiał się, wznosząc toast:

— Norwich! Drugie po Londynie miasto w Anglii!

— I za to pijemy! — zawołał Jorun. — Za bogate miasto, które otworzy przed nami bramy!

— Rozłoży nogi!

— Sypnie srebrem!

— Winem!

— Pięknymi kobietami!

— Koniec picia! — zarządził Sven. — Zdobędziemy miasto tylko przez zaskoczenie. Ruszamy o świcie.

Nim piechurzy dotarli do zagajnika, w którym wyznaczył im spotkanie, jego ludzie mieli już gotowe drabiny i przygotowany taran do rozbicia bram. Pozwolił pieszym wypocząć; sygnał do ataku dał, kiedy zapadł zmrok. Zauważono ich, gdy byli na odległość strzału z łuku.

— Tarczownicy! Osłaniać niosących drabiny!

Sven i jego jeźdźcy uderzyli z toporami na boczną, niewielką bramę, odciągając siły obrońców od wielkich wrót, w które ludzie Joruna uderzali taranem. Rozdzwoniły się dzwony kościołów. Kochał ten dźwięk! Odgłos trwogi. Liczył ich głosy. Trzy, cztery, sześć! Ostatni włączył się wysoki dźwięk małego dzwonu. Świdrujący ucho i szybki, niemal jak uderzenia mieczem.

— Ogień! — krzyknął do Stenkila i po chwili płonące strzały zaczęły latać nad ich głowami.

Obrońcy i na ten fortel dali się nabrać, rzucili się do gaszenia pożarów. Miarowe uderzenia tarana, trzask pękających wrót i tryumfalny, unoszący się nad zgiełkiem dźwięk rogu Joruna dał Svenowi znak, że jego druh wdziera się głównymi wrotami do miasta.

To wystarczyło, by obrońcy bocznej bramy rzucili się na pomoc tym, którzy walczyli przy głównej. Sven zamachnął się toporem jeszcze raz i jego brama puściła.

Wjechał do miasta z uniesionym mieczem. Pierwsze, co poczuł, to woń spalenizny. Dym unosił się w zaułkach, płomienie z zapalonych od ich strzał dachów przenosiły się z domu na dom. Dzwony wciąż biły, choć było ich coraz mniej. Ludzie krzyczeli, uciekając sprzed jego kopyt. Nie gonił kobiet, szukał zbrojnych.

— Tędy! — krzyknął, rozpoznając kierunek na główną bramę.

Dopadli obrońców od tyłu. To była rzeź. Z jednej strony zostali wzięci przez toporników Joruna, z drugiej przez konnych Svena. Nim skończyli, umilkł ostatni dzwon.

— Norwich się poddaje!

Plądrowanie miasta trwało do południa następnego dnia. Sven kazał wyłapać z ocalałych przed pożogą stajni wszystkie konie i ładować na nie łupy.

— Spieszmy się — poganiał wodzów. — Jak do ealdormana dotrą wieści, może chcieć nam odciąć drogę do statków.

— Jak się nazywa wasz pan? — Jorun spytał jednego z jeńców, mnicha.

— Ulfcetel, panie. Ealdorman Anglii Wschodniej — odpowiedział mnich.

— Jest dzielny?

Mnich westchnął i pokręcił głową. Jorun zaśmiał się gromko.

Kolejne dni pokazały, że mnich miał rację. Ealdorman owszem, uderzył na ich obóz, ale setka pozostawionej tam straży wystarczyła, by odeprzeć jego atak. Gdy Sven z całym wojskiem i łupami wrócił na wybrzeże, już czekali na niego wysłannicy Ulfcetela.

— Nasz pan, wielmożny ealdorman Anglii Wschodniej, chce rozmów pokojowych, królu Svenie.

— A jak wysoko ceni sobie twój pan pokój? — spytał Rudobrody.

— Wyceni go godnie — odpowiedział wysłannik.

— Wobec tego przekaż ealdormanowi, że zapraszam go na ucztę do swego obozu.

Wiedział, że ten będzie negocjował jakieś neutralne miejsce, ale miał ochotę postraszyć go na dobry początek rozmów. Nim Ulfcetel dotarł na spotkanie, przybył do niego ktoś inny.

— Nasze spotkanie, królu Svenie, musi pozostać w całkowitej tajemnicy — powiedział szczupły mężczyzna o siwych, sięgających ramion włosach.

Przy jego boku stali dwaj młodsi, tak podobni, że musieli być jego synami. Byli ubrani jak zwykli podróżni, w szarych, niewyróżniających się płaszczach.

— Kim jesteś, gościu? — zapytał Sven.

— Nazywam się Elfhelm z Yorku, jestem ealdormanem południowej Northumbrii, a to Ufegeat i Wulfheah, moi synowie.

— Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

— Jeżeli nasze rozmowy przebiegną korzystnie, mam nadzieję, że przyjmiesz zaproszenie do mego zamku — odpowiedział Elfhelm.

— A zatem, ealdormanie, cóż chcesz zaproponować na początek?

Elfhelm nie wyglądał na człowieka przebiegłego, ale też Sven nie miał złudzeń, że jest znawcą ludzkich dusz. Tyle razy w życiu się pomylił! Najlepszy dowód, jego własna żona. Jego słodka Sventoslava, zdrajczyni.

— W Northumbrii od lat żyje wielu duńskich osadników — powiedział Elfhelm. — To uczciwi ludzie. Nie wchodzimy sobie w drogę. Szanuję ich, a oni moje rządy.

Boi się, że uderzę na jego kraj i wesprą mnie mieszkający tam ziomkowie — pomyślał Sven.

— Chciałbym, byśmy się dobrze rozumieli — ciągnął ealdorman. — Jestem wierny swemu królowi, ale uważam, że Ethelred popełnił wiele błędów. Nie przed laty, gdy wypłacił tobie i Olavowi Tryggvasonowi wielki danegeld, ale później.

Chce usunąć Ethelreda z tronu — szybko pomyślał Sven. — Chce użyć do tego mnie i moich wojsk.

— Czy ludzi, którzy myślą podobnie jak ty, jest więcej? — spytał ealdormana.

— Owszem, królu Svenie.

— Zatem, Elfhelmie, mamy o czym rozmawiać. Chętnie przyjmę twe zaproszenie do Yorku i zobaczę twój zamek i kraj. Proponuję, byś synów zostawił w mym obozie jako gwarantów tego, że i ja wrócę bezpiecznie. To twoi jedyni synowie?

— Tak — potwierdził Elfhelm. — Prócz nich mam tylko młodziutką córkę, Elfgifu.

— Elfgifu — powtórzył Sven i coś zaświtało mu w głowie. — Nie obawiajcie się! — zwrócił się do nich. — Ja też mam dwóch synów i kocham ich ponad życie!

Przed oczami stanął mu Londyn, spod którego murów odpływał przed laty. Niemal poczuł zapach Tamizy, rzecznego brzegu i woń strachu mieszkańców, którą czuł zza murów.

Obiecałem ci wtedy, Londynie, że wrócę — pomyślał. — I oto wracam, nawet jeśli droga do ciebie, wielkie miasto, prowadzić będzie przez York.

BOLESŁAW dał się zaskoczyć. Po utracie Jaksy wciąż jeszcze nie odbudował sieci wywiadowców na zachodzie i gdy wczesnym latem dostał sygnał, że Henryk II gromadzi wojska w Merseburgu, był pewien, że król Rzeszy uderzy na Polanię. Z Poznania, Giecza i Gniezna pchnął łącznie dwa tysiące pancernych i osiem tysięcy lekkozbrojnych do obrony zachodniej linii; załogi w pogranicznych grodach miał zdwojone od dawna. Był gotów na odrzucenie Henryka od granic. Ale król niemiecki z Jaromirem Przemyślidą u boku spod Merseburga ruszył nie na zachód, ale na południe. Bolesław niemal jednocześnie dostał wiadomości od Guncelina z Miśni, swego zięcia, Hermana ze Strzały, i Henryka, margrabiego Schweinfurtu. Brzmiały tak samo: „Henryk II idzie na Pragę".

Bolesław błyskawicznie pchnął gońca do Krakowa po posiłki, choć wiedział, że nikłe szanse, by zdążył przegrupować siły.

— Nie odsłaniaj Polanii — przestrzegł go Sobiesław podczas narady dowódców. — Nie wiadomo, czy za pierwszą zmyłką Henryka nie pójdzie następna. Ściągniesz wojska do Czech i zostawisz ojczyznę?

— Wielki książę — odezwał się Sławomir, książę morawski, który gościł u Bolesława w związku z wojennym zagrożeniem — nie myślisz o porzuceniu Czech?

— Sławomirze, a widzisz obok mnie innych czeskich wodzów oprócz kasztelana Pragi?

— Nie widzę — przyznał Sławomir. — Ale wodzowie Moraw stoją przy tobie.

— Jeśli potwierdzą się wiadomości, że z Henrykiem idzie Jaromir Przemyślida, co zrobią Czesi, kasztelanie?

Borzywoj powiedział:

— Ty wiesz, książę. Pójdą do Przemyślidy.

— A ty, Borzywoju?

— Ja będę bronił najpierw miasta, potem zamku i mego księcia, Bolesława, w nim. Byłem wśród tych, co ciebie na tron wzywali, i zdania nie zmieniłem. Jaromir będzie złym władcą, najgorszym. On od dziecka prześladowany. Nim Rudy go pozbawił męskości, pozwalał, by możni z niego drwili. Wiecie, że on jako młody chłopak, kiedy był na polowaniu z Wrszowcami, zanim ich Rudy wyciął w pień, a jego wykastrował, został nawet przez nich poniżony? Śmiali się z niego, brata swego księcia, rozebrali do naga, związali i skakali przez niego konno? Nie tylko Wrszowce tam byli, ale i inni. Powiem szczerze: ci, co dzisiaj go na tron wzywają. To jak on ma być dla nich księciem, gdy oni tę zniewagę pamiętają?

Długie, czarne jak smoła wąsy Borzywoja zadrżały, nie ze wzruszenia, ale z gniewu. Wykrzywił usta i dodał:

— Jeżeli Jaromir przyjdzie z Henrykiem, pewnie przed królem uklęknie jak Władywoj. Mnie się to nie widzi. W ten rok, kiedy ty rządzisz w Pradze, wielki książę, porządek nastał na drogach i gościńcach, sądy książęce wróciły i dwa razy Henrykowi odmówiłeś hołdu, i to mnie się widzi. A że się możnym nie podoba, że rozkradać nie mogą, bo ich twardą ręką trzymasz? Mieliśmy przed tobą kolejno Boleslava Okrutnego, Boleslava Rudego, dwakroć srogiego, i Władywoja pijaka. — Pokręcił głową. — To mam teraz czekać na kolejnego z rodu? Jaromira Dziwaka? Ja będę bronił twojej władzy i ciebie, mój książę, bo mnie się podobało, że Czechy i Polania były jedno!

Bolesław uściskał głowę kasztelana i powiedział mu:

— Gdyby obrona stała się beznadziejna, pojedziesz ze mną do Poznania. Zabiorę ciebie i całą twoją rodzinę.

— Nie, książę — żachnął się Borzywoj. — Ja wolę za ciebie tutaj zginąć.

— Nie! — kategorycznie powiedział Bolesław. — Nie chcę, abyś za mnie ginął. Chcę, byś mi służył, to wielka różnica. Żadna sztuka stracić życie na wojnie. Prawdziwy wyczyn to je zachować, nie tracąc honoru. Spytaj Sobiesława, czy mu źle było w mej służbie w Polanii.

Borzywoj mierzył się z tym, co powiedział książę. Targał te swoje długaśne wąsy.

— Sławomirze, wracaj na Morawy. Zbierzcie oddziały i nękajcie Henryka podjazdami. Nie wiem, jakie ma plany wobec Czech, jak długo tu zabawi, ale chcę, by dzięki moim morawskim poddanym zapamiętał tę wyprawę jako szczególnie niemiłą. To samo mówię do was, pozostali wodzowie Moraw. Koniec odprawy, mamy dość obowiązków. Borzywoju, szykuj Pragę do obrony. — Wstał i oni natychmiast też wstali. Ruszył ku drzwiom, ale cofnął się i powiedział: — Za pojmanie żywcem Jaromira Przemyślidy zapłacę tak, że kto tego dokona, do końca życia nie zazna biedy.

Nie spodziewał się, że głos mu zadrży, gdy to wypowie, ale zadrżał.

Wieczorem poszedł z Sobiesławem obejrzeć wały obronne miasta. Jego dwa rude myśliwskie psy biegały między nimi. Wielkie, krwawe słońce zachodziło, odbijając się od Wełtawy.

— Krwawa rzeka — powiedział w zadumie Sobiesław. — Widziała tyle okropieństw i rzezi. Czechy to piękny kraj. Wiem, dla ciebie, Bolesławie, mały, ale dla mnie to ojczyzna. Kiedyśmy tu jechali i po raz pierwszy powiedziałeś, że mam być twoim namiestnikiem Czech, byłem wzruszony. A kiedy wjechałeś na białej klaczy tam, na tamte błonia nad Wełtawą, ze świętą włócznią w dłoni, serce z radości mało mi nie pękło. Mówiłeś „wielka silna Słowiańszczyzna”, jak wtedy w Gnieźnie mówił cesarz Otto. To najpiękniejsze chwile mego życia.

Nagle Sobiesław się zatrzymał, obrócił i położył ręce na ramionach Bolesława.

— Byłeś mi wsparciem w najcięższych chwilach. Kiedy twój wuj prześladował mój ród, Boże Wszechmogący, gdybyś mnie nie zmusił, żebym jechał z tobą przed laty na tę wyprawę połabską, nie żyłbym dzisiaj! Wyrżnęliby mnie z całą rodziną w Libicach. Dwa razy dzięki tobie doświadczyłem nie ludzkiego, ale niemal boskiego szczęścia. Raz, gdyś doprowadził do tego, że mój rodzony brat, Wojciech, został świętym Adalbertem. Drugi raz rok temu, na polach pod Pragą, kiedyś obiecał Czechom, że karku przed Henrykiem nie ugniesz, że my i wy staniemy się jedną potęgą. Czym zasłużyłem sobie na takie szczęście? Na takiego przyjaciela?

— Jesteś jak mój rodzony — odpowiedział Bolesław i poczuł, że w gardle drapie go wzruszenie. — Jak brat, którego nie miałem.

— Miałeś! — Sobiesław się roześmiał, ale w oczach zalśniły mu łzy. — Wygnałeś go razem z Odą.

— Ach! Nie umiesz uszanować chwili. — Bolesław uderzył go w plecy.

— Bracie, chciałbym o coś prosić, ale nie wiem, czy nie nadużyję naszej przyjaźni. Umówmy się, że jeśli ma prośba jest niestosowna, to mi odmówisz, ja się nie obrażę i nigdy więcej nie wrócimy do sprawy.

— Mów.

— Chciałbym prosić o rękę twej siostry, Świętosławy.

Bolesław zaklął w duchu. Dlaczego sam na to nie wpadł? Po kryjomu zastanawiał się, za kogo mógłby wydać Hardą, by zyskać na tym jak najwięcej. Rozwiązanie jej małżeństwa ze Svenem nie powinno być aż tak trudne, by przekraczało możliwości Ungera, zwłaszcza że wiedział, iż Sven rozpytywał o nową żonę na sąsiednich dworach. Miał pecha rudy szwagier. Trafił na samych sojuszników Bolesława. Ale gdyby od nich wyszła ta

oferta, Haraldsson by się zgodził bez zwłoki. Myślał o którymś z synów kniazia Wladimira, ale musiał zarzucić ten pomysł, kiedy się dowiedział, iż jednym z zalotników, których spaliła w łaźni, był nieślubny syn władcy Kijowa. Dlaczego nie pomyślał wcześniej o Sobiesławie? Gdyby byli małżeństwem, osadziłby ich wspólnie na praskim tronie i mógłby być spokojny, że Harda da sobie radę z rozbestwionym czeskim możnowładztwem. Uderzył się w czoło, a potem zdzielił Sobiesława.

— Wybacz — przeprosił go Sławnikowic. — Zapomnijmy o tym.

— Głupiś! — warknął na niego Bolesław. — Głupiś po stokroć! Dlaczego dopiero teraz podsuwasz mi ten pomysł, gdy idą na nas Henryk i jego wojsko? Powinniśmy zrobić to rok temu, zaraz po tym, jak objąłem Pragę. Ach, Sobiesławie! Do dupy z twoją nieśmiałością!

— Myślisz, że taka królowa by się zgodziła pójść za libickiego księcia? — spytał i na policzki wyszedł mu rumieniec.

— Za księcia Libic nie — szczerze odrzekł Bolesław. — Ale za władcę Pragi by wyszła. Czy ty dałbyś sobie z nią radę, tego nie wiem. Ale może i ona z wiekiem by się utemperowała. Życie zna takie przypadki. Obiecaj mi coś.

— Co zechcesz!

— Na drugi raz, jak będziesz miał tak dobre pomysły, mów natychmiast, nie zwlekaj.

— Przysięgam, mój wielki książę. Przysięgam!

— Och, chciałbym, byś już do mnie mówił „szwagrze”! — Objął go za plecy i zawrócili w stronę praskiego zamku. — Na początek… Zacznij od tego, że złowisz jej jakieś piekielnie dzikie zwierzę. Ona nosi żałobę po rysiach w oczach.

— Nie po rysiach, ale po Olavie Tryggvasonie, dobrze wiesz.

— Musisz jej zaimponować — ciągnął swoje Bolesław rozjarzony tą wizją. — Bo ja wiem? Może niedźwiedzie? Albo żbiki? Czy urodzi ci jeszcze dzieci? Nie mam pojęcia, trzydzieści pięć lat to sporo…

— Ja nie muszę mieć z nią dzieci, Bolesławie. Przy niej czułbym, że żyję. To coś więcej. Twój najmłodszy syn, książę Otto, mógłby po nas odziedziczyć Pragę. Czyż to nie lepsze niż mnożenie dziedziców, dla których trzeba rozdrabniać kraj? W końcu twoje marzenie, silna Słowiańszczyzna, musi być jednością. Czy źle zrozumiałem?

Bolesław miał ochotę go udusić. Tak dobrego pomysłu nie słyszał już dawno. Gdy wrócili do zamku, położył się, ale nie mógł zasnąć. Jego siostra z Sobiesławem i małym Ottonem stali mu przed oczyma niemal namacalni. Widział ją, jak chodzi po komnacie, jak śmiechem rozsadza kamienne, ponure ściany zamku. Jak tym bezwzględnym okiem, obojętnie, zielonym czy złotym, świdruje panów czeskich i pokazuje im, gdzie ich miejsce. Wychowana wraz z nim, szkołę życia przeszła jak i on u Mieszka, a potem w nieznanych mu królestwach Północy. Umiała sobie radzić z twardymi jak wyprawiona skóra wikingami, to nie dałaby rady Czechom? Ukochana córka ich matki, Dobrawy, półkrwi Przemyślidka. Jezu! Dlaczego ten durny Sobiesław zdradził się z takim pomysłem dopiero teraz? Jemu ufał jak bratu, ona była jego siostrą. A jeszcze myśl, że wprowadzą małego Ottona na tron praski!…

Wstał z łoża, bo ta wizja go rozsadzała. Zapragnął jej tak bardzo. W pierwszej chwili nie usłyszał walenia w drzwi komnaty. W drugiej wydało mu się, że to Świętosława. Dopiero gdy rozróżnił głos Borzywoja, oprzytomniał. Otworzył drzwi.

— Wielki książę! — Kasztelan miał w dłoni pochodnię. — Bramy miasta szturmuje Jaromir Przemyślida. Za nim idzie saskie wojsko! Nie utrzymam Pragi, jest ich zbyt wielu!

Otrząsnął się z pięknej wizji, bo w jednej chwili zrozumiał, że Sobiesław ze swym pomysłem się spóźnił. Przemówił przez niego trzeźwy wódz i wojownik.

— Borzywoju! Musimy opuścić Pragę. Ci, którzy zechcą pójść za tobą, będą w Polanii bezpieczni.

Wciągnął na grzbiet kolczugę, zabrał broń; szczekające psy pobiegły przodem do stajni. W jej wrotach zderzył się z Sobiesławem.

— Załóż hełm! — upomniał go. — Na moście będzie jatka! Drużyna! — zawołał do już siedzących na koniach. — Odwrót z Pragi! Zrzućcie z siodeł, co zbędne. Na północ! — wskazał im drogę świętą włócznią.

Wyjechali poza obręb zamku i zderzyli się z wrogiem. Wojowie Bolesława przeszli po nim jak wiatr po łanie żyta, ale to był tylko pierwszy oddział Przemyślidy. Gnali dalej, już kopyta zadudniły na moście. Przekraczali Wełtawę. Na tyłach mieli następnych ludzi Jaromira i Sasów. Odwrócił się, nie zwalniając końskiego biegu. Zobaczył Sobiesława wstrzymującego konia. Bolesław jechał dalej, patrząc, jak jego druh zostaje na tyłach, mijany przez kolejnych jeźdźców.

— Nie! — wrzasnął. — Sobiesławie! Masz być moim szwagrem!

Psy Bolesława zaskomlały w biegu. Czeski pościg był coraz bliżej. Wąska gardziel mostu mogła stać się dla ludzi Bolesława śmiertelną pułapką. Dostrzegł czarne, długie wąsy Borzywoja. Jego głowę pochyloną nad grzbietem wierzchowca.

— Odwołaj go! — krzyknął Borzywoj, zrównując swego konia z jego białą klaczą. — Odwołaj Sobiesława! To samobójstwo!

— Naprzód! — ryknął do Borzywoja i jadących za nim. — Naprzód! Naprzód!

— Podarunek weselny! — usłyszał krzyk Sobiesława. — Dla ciebie, bracie! Szwagrze!

Zobaczył, jak próbuje zarzucić pętlę na szyję pędzącego na czele wojsk czeskich i saskich młodzieńca. I w tej samej chwili Sobiesław zastygł w bezruchu. Strzały z łuku, dwie, trzy. Książę libicki runął z konia, a pędzący za nim jeździec dobił go pchnięciem miecza.

Bolesław jęknął i zgiął się, jakby ciosy trafiły w niego. Ten, który pewnie był Jaromirem, zawrócił.

Czekaj, zbóju! — pomyślał Bolesław, siłą zmuszając konia do powrotu. — Dopadnę cię! Zemszczę się za Bezpryma!

Nagle ktoś go wyprzedził i złapał jego klacz za uzdę.

— Książę, mówiłeś, że nie chcesz śmierci, lecz służby! — krzyknął mu prosto w twarz Borzywoj, kasztelan Pragi. — Teraz ci służę!

I przez deszcz strzał na siłę wyprowadził go z mostu. Bolesław odwracał się i krzyczał:

— Sobiesław!

Ale Borzywoj miał zacięte usta, nie odzywał się.

Gdy stanęli na drugim brzegu rzeki, ryknął:

— Żegnaj, wolna Prago! Żegnajcie, wolne, wielkie Czechy! Żegnaj, wielka Słowiańszczyzno!

ASTRYDA dowiedziała się o kłopotach kołobrzeskiego biskupa Reinberna przypadkiem. Stała na przystani, czekając, aż Dalwin załatwi sprawy z kupcami solnymi, i po prostu przysłuchiwała się ich rozmowie.

— Bywało, że i przez cały dzień nie mógł wyjść z kościoła. Siedział tam, drzwi zaryglował, bał się.

— Bał się? — Podeszła bliżej i wtrąciła się: — Czego?

— Nie czego, tylko kogo, wolińska pani. — Kupiec się ukłonił. — Strosza.

Znała Strosza, dwa, może trzy razy rozmawiała z nim. Był dziwnym starcem; mógł mieć siedemdziesiąt, nawet osiemdziesiąt lat, a jego długie

włosy nie posiwiały, stąd przezwisko Krucze Skrzydło. Kiedyś miał w lesie, na torfowiskach pod Kołobrzegiem kącinę, był kapłanem Swarożyca. Odkąd Bolesław ustanowił w solnym grodzie biskupstwo, Strosz musiał się wynieść.

— Nie widziałam Kruczego Skrzydła od lat — powiedziała. — Sądziłam, że umarł, miał swoje lata.

— Nie, pani. — Kupiec się zaśmiał. — Tacy jak on nie umierają tak szybko.

— Jak to mówią, po złego się diabli nie spieszą — dodał drugi.

— Bo ja wiem? Czy ten Strosz jest taki zły? — zamyśliła się. — Dziwak, może trochę surowy, ale pewnie nie okrutny.

Kupcy wymienili się spojrzeniami.

— Solny gród ma swoje sekrety — odpowiedział wyższy z nich.

— Sól jest słona i droga. — Drugi z kupców wyrecytował porzekadło, którym zaczynali każdą transakcję. — I lubi ciszę.

Zastanowiła się. Nie było tajemnicą, że dochody z warzelni soli są krociowe, a jednak nigdy nie słyszało się o tym, by właściciele toczyli między sobą boje o dostęp do solankowych źródeł. Oczywiście, rękę na zysku ze sprzedaży soli trzymał Bolesław, a odkąd ufundował biskupstwo, profity przekazał Reinbernowi, ale nikt nie wątpił, że warzelnicy potrafią wyciągnąć z tego coś na boku.

— Lubi ciszę — powtórzyła za kupcem. — To powiedzcie mi po cichu, jaki sekret ma Strosz, że się go boicie i wy, i biskup?

— Krucze Skrzydło ma moc — niechętnie odpowiedział kupiec.

— Solanka, wolińska pani, płynie ze słonych źródeł — wyjaśnił jego towarzysz. — A Strosz mawia, że nie ma źródeł niewyczerpanych.

— Straszy was i tyle — zlekceważyła to Astryda.

— Owszem, straszy. Ale dwa razy za mego życia i raz za życia mego ojca pokazał, że potrafi zatrzymać wodę w słonych źródłach — poważnie odrzekł kupiec. — Nie znajdziesz takiego odważnego w Kołobrzegu, który chciałby wejść w spór ze Stroszem.

Zrozumiała szybko, że przez te cztery lata, odkąd Reinbern pojawił się w Kołobrzegu i kącina Strosza zniknęła z torfowisk, to sami warzelnicy, pewnie w sekrecie przed biskupem, ukrywali starego kapłana.

— Co się takiego stało, że Krucze Skrzydło nastaje na Reinberna?

— Co się stało, co się stało!… — fuknął kupiec. — Biskup nie raz i nie dwa głosił, że władza starych bogów i ich kapłanów się skończyła. Pokazywał te cuda z wypędzaniem duchów z morza, z kamieniami, to się Krucze Skrzydło zdenerwował.

Miała słabość do Reinberna; biskup w swoim zapale do wprowadzenia wiary przypominał jej Olava. Po rozmowie z kupcami zrozumiała, że nastąpił na ogon bestii większej, niż się spodziewał. Za zgodą Dalwina zabrała oddział zbrojnych i popłynęła do Kołobrzegu.

W porcie panował ruch mniejszy niż zwykle. Leszko zacumował „Słoną Siostrę” tak, by w razie potrzeby mogli jak najszybciej odpłynąć.

— Wolińska pani! — przywitał ją Bogusz z portowej straży i dodał to, co zawsze: — „Słona Siostra” przybiła do macierzy! Witaj u słonych źródeł.

Dlaczego niektórzy mężczyźni przez całe życie powtarzają te same gadki? — pomyślała. — Wydaje im się, że są zabawni?

Nie miała zamiaru tłumaczyć, że jej łódź nazwę zawdzięcza łzom, nie soli, bo w Kołobrzegu nikt by tego nie zrozumiał. Tu wszystko kręciło się wokół soli. Uśmiechnęła się do Bogusza i spytała niewinnie:

— Gdzie biskup Reinbern?

— A gdzie ma być, wolińska pani! — najeżył się Bogusz. — Kościoła pilnuje.

— O, to dziwne, że sam musi pilnować. Od czego książęca straż?

Bogusz dopiero teraz spojrzał na uzbrojoną załogę jej łodzi.

— Nie mogę wpuścić zbrojnych do miasta. Chyba że zostawią broń u mnie. Takie rozkazy księcia Bolesława.

— To moja osobista straż! Poradzono mi, bym bez niej nie przypływała do Kołobrzegu, bo tu ponoć niebezpiecznie.

— Nie, pani — zaczerwienił się. — Ktoś wprowadził cię w błąd.

— Czyżby? — spytała ostro, ale zaraz się roześmiała do niego. — Ach, wkrótce się przekonam! Dasz nam konie? Nie będę szła pieszo.

Gdy zdarzało jej się przyjechać z ładunkiem, wynajmowała wóz w porcie, ale raz czy dwa, gdy nie miała ciężkich pakunków, Bogusz po prostu dał jej konia ze stajni strażnicy, która strzegła i portu, i pobliskich salin. Właściwe miasto znajdowało się nad Parsętą, w głębi lądu.

— Tobie, wolińska pani, dam konia. Ale dla twej straży nie mam wierzchowców.

— Oczywiście, że masz, tylko się ze mną droczysz. Dwanaście koni i mój trzynasty, co to za kłopot!

— Trzynaście koni?! To pół mojego garnizonu.

— Przecież nie chcę ci ich zabrać, tylko pożyczyć. W tę i z powrotem. Nie planujesz chyba na dzisiaj żadnych dalekich wypraw?

Mogła po prostu powiedzieć: „Dawaj, bo jesteś podwładnym mego brata”, ale wolała mieć jego przychylność tak długo, póki jest na jego terenie.

— No, Boguszu, chodźmy, bo czas ucieka. — Wzięła go pod ramię i ruszyła w stronę strażnicy. — Nie ociągaj się. Witasz mnie, mówiąc, iż przypłynęłam do macierzy, a potem konia nie pożyczysz? To macocha dałaby konia, a macierz nie da?

Dał i miała przeczucie, że wie, po co daje. Zauważył, że zwróciła uwagę na zdwojone straże wokół salin. Boją się o źródła — pomyślała. — Kupcy nie przesadzali, w solnym grodzie panuje podwyższona ostrożność.

— Pani — zatrzymał ją, gdy wsiadała na konia — nie wyciągaj pochopnych wniosków z tego, co zobaczysz. Sól jest słona i droga.

— I lubi ciszę — dodała, patrząc na niego z siodła.

Wyjechali przez bramę strażnicy w stronę grodu. Na trakcie i wokół niego toczyło się normalne życie. Woły ciągnęły wyładowane wozy, na podmokłych łąkach wokół Parsęty pasły się owce i bydło. Dzieciaki piszczały, goniąc kaczki, kobiety prały w rzece bieliznę i rozciągały mokre płótna na ramach. Przekupka z kosza sprzedawała placki, słone oczywiście.

Gdyby nie zbrojni pilnujący warzelni i źródeł solnych, nic nie wskazywałoby, że dzieje się cokolwiek niezwykłego.

Wjechali do grodu. Choć nie był to dzień targowy, ścisk i gwar panował tam jeszcze większy niż w grodzie na Wolinie. Na jej konny oddział patrzono ze zdziwieniem, bo straży książęcej było tu mniej niż wokół salin.

Widać, co dla nich ważniejsze — pomyślała kwaśno.

Na placu przy niewielkim, drewnianym kościele stało kilkunastu ludzi, zbitych w zwartą grupkę, a nieco dalej, w cieniu pod drzewem, dwóch strażników z bronią zdawało się przysypiać. Gdy wjechali na plac, zbrojni zerwali się i zerkając na grupkę gapiów, podeszli do Astrydy.

— Wolińska pani — z ulgą poznał ją strażnik i przytrzymał jej konia.

— Co to za ludzie? — zapytała, zsiadając.

— Strosz i jego wyznawcy — odpowiedział obojętnie. — Nic się nie dzieje, już tydzień tak stoją. Niegroźni są.

— Co? Biskup przez tydzień nie opuszcza kościoła?

— No nie, opuszcza, odprowadzamy go na noc do chałupy — niechętnie odpowiedział zbrojny.

— Dlaczego nie przepędzicie Strosza i jego ludzi? — spytała, hamując gniew.

— Przepędzaliśmy, pani, ale oni wracają.

— Chcesz powiedzieć, że ty jako książęcy zbrojny, na żołdzie mego brata, boisz się garstki rybaków i jednego starego kapłana?

— Ja jestem stąd, pani Astrydo, tak jak ty z Wolina — powiedział, patrząc jej w oczy. — Książę daleko. Służymy mu wiernie, ale służymy tutaj, na miejscu. Są pewne sprawy, których nie da się załatwić rozkazem z Poznania.

— To nie jest jeden stary kapłan — dodał drugi strażnik. — To Strosz Krucze Skrzydło, który przysiągł przed ludem całego grodu, że w chwili jego śmierci wyschną wszystkie słone źródła.

— A tu każdy pamięta, że on już nie raz pokazał, co potrafi.

Kiwnęła głową. Nie było z czym dyskutować. Strosz jednym zdaniem uczynił się nietykalnym. Podeszła do grupy ludzi. Ci rozstąpili się przed nią, a Krucze Skrzydło wyszedł z ich cienia.

— Astryda, wolińska pani! — powiedział skrzekliwie.

— Nieźle się trzymasz, Stroszu — odrzekła.

— Sól konserwuje — odpowiedział i dodał, patrząc jej w oczy: — Czyżbyś się ochrzciła, że tak ci do Reinberna spieszno?

— Nie. A ty się do chrztu szykujesz, że tak wysiadujesz przed kościołem? Co to, już nie pilnujesz chramu Swarożyca?

— Gdybyś zajeżdżała do mnie równie często jak do biskupa, wiedziałabyś, że chram mi spalili.

— Nie tobie jednemu. Jeśli masz pretensje, jedź do księcia Bolesława. Na pewno cię wysłucha.

— Nie kpij, wolińska pani — syknął Strosz. — On dzisiaj silny, a jutro? Kto wie! Starzy bogowie nie powiedzieli ostatniego słowa. Redarowie i

Lucice poprzysięgli mu zemstę za nocny las pod Milskiem! Wielki Starzec w Radogoszczy już smaruje jego kukłę smołą… Wiesz, co to znaczy? Wiesz…

On mi grozi — pomyślała i poczuła ukłucie lęku.

— Za Odrą jest inny świat — szeptał, wpatrując się w nią. — Z zachodu idzie wolność. Jak przed laty nasze wojska spaliły ich murowane kościoły, ich katedry i martwego boga na krzyżu, tak spalą znów. Ptasi Król szanuje naszych bogów. Ptasi Król szanuje naszych wodzów. Twój brat z kobiety zrodzony, umrzeć może jak każdy…

Z kobiety, z mężczyzny narodzi się wódz.
Z nasienia i miodu powstanie.
Wojownik i pan. Bohater i król.
Najsławniejsze jego panowanie.

Zaśpiewała to, a Strosz syknął jak wąż i zatkał uszy, by nie słuchać.

— Stara pieśń — warknął.

— Stara, ale jara. — Uśmiechnęła się zwycięsko. — Co się krzywisz, Krucze Skrzydło? Ty jej nie śpiewałeś? Śpiewałeś. W dzień jego narodzin śpiewano to we wszystkich chramach, od Bałtyku po góry. Dlatego tak się go boicie. Dlatego żaden z kapłanów nie chce przeciw niemu wystąpić! Pochowaliście się po lasach i czarcich bagnach, bo czujecie strach.

— Już nie! — Oczy Strosza zapłonęły, ale to nie był ten ogień, jaki w nich widywała przed laty. Jego włosy też już nie były kruczoczarne, a u ich nasady bez trudu zobaczyła siwe odrosty. Mogłaby mu poradzić, by do kory dębu, którą je barwi, dorzucił pęk suchego przywrotnika, ale nie chciała go ośmieszać przed zapatrzonymi w niego ludźmi. W gruncie rzeczy poczuła litość do starca. Odwróciła się w stronę kościoła.

— Bądź zdrów — rzuciła przez ramię, bo wiedziała, że jeśli pozdrowi go pierwsza, nie przeklnie jej.

— I ty — szepnął sucho.

Kazała czterem ludziom zostać na zewnątrz, a z resztą weszła do kościoła.

— Reinbernie! — zawołała w mroku. — To ja, Astryda.

Klęczał przed ołtarzem, modlił się. Musiała poczekać, aż skończy.

— Witaj, moja wolińska pani — powiedział, gdy wreszcie wstał z kolan. Spojrzał na stojących za jej plecami ludzi. — Przywiozłaś mi zbrojną drużynę?

— Przyjechałam po ciebie — odrzekła.

— Nie wzywałem. — Hardo pokręcił głową.

Westchnęła.

— Martwy nie przysłużysz się swemu Bogu.

— Skąd ta pewność?

— Że będziesz martwy? Rozmawiałam ze Stroszem i ludźmi w mieście. Wybacz, że ci to powiem, ale oni się wstydzą. Sól jest dla nich cenniejsza niż biskup. I trudno im się dziwić, z soli żyją, nie z ciebie.

Usiadła na niskiej ławce pod ścianą kościoła. Znała go, potrzebował czasu, by przełknąć tę smutną prawdę.

— Nie mogę porzucić biskupstwa. — Podszedł do niej i przysiadł się obok.

— Ty wybierasz — odrzekła. — Nie będę cię ratować na siłę. Powtórzę tylko, że martwy nie możesz służyć.

— Biskup Wojciech Adalbert więcej zdziałał swą śmiercią niż życiem.

— Ty wybierasz — powtórzyła.

— Jego Prusowie zabili za głoszenie Ewangelii — mówił, jakby sam siebie chciał przekonać — a ja będę pierwszym w dziejach Kościoła

biskupem, którego zarżną dla soli. — Zaśmiał się chrapliwie. — To dopiero sława!

— Uhm — kiwnęła głową. — Zapewne jak się rozniesie, to inni także spróbują. Oczywiście chwała solnego męczennika będzie twoja, ale jak się okaże, iż można was bezkarnie zabijać dla zysku, to pojawią się męczennicy targowi, wełniani, portowi…

— Wołowi, dębowi, smolni — śmiał się biskup. — Przekonałaś mnie. Sława będzie, ale pożytek dla Kościoła odwrotny.

— Leszko! — zawołała swego sternika. — Rozbieraj się. Zamienicie się z ojcem Reinbernem na stroje.

— Nie da rady — zaczął jak zawsze Leszko. — To nie mój ojciec. Ja nie jestem ochrzczony.

— Dlatego ty zostaniesz. Krucze Skrzydło nie ruszy swojaka. — Uśmiechnęła się do niego. — Poza tym zna cię najdłużej, zawsze widział cię przy mnie. Jak chcesz, możemy cię skrępować, aby nie wiedział, że dobrowolnie pomagałeś biskupowi.

— Dobra — zgodził się Leszko.

Nie sądziła, by Strosz się zezłościł. Raczej powinien się cieszyć, zabierała mu problem sprzed nosa.

— Jak cię wypuszczą, przekaż Boguszowi, że mój brat odeśle mu konie. Zabierz „Słoną Siostrę” na Wolin i nie zapomnij na pożegnanie im powiedzieć tych wierszyków o soli.

Leszko stał już w samych gaciach. Podał ubrania biskupowi i czekał, aż ten się rozbierze. Astryda się odwróciła.

— O rany, za każdym razem, kiedy jestem w Kołobrzegu, mam ochotę na coś słodkiego, by zmazać ten słony posmak — ględził Leszko.

Astryda podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

— Masz.

— Żebym ja wcześniej wiedział, że widok moich gaci tak rozochoci panią Astrydę, to ja bym w samych gaciach prowadził „Słoną Siostrę”… Auuu! — Chwycił się za policzek, w który go uderzyła.

— Nie maż się. To było tylko ostrzeżenie! — Pogroziła mu palcem.

— Proszę, młody człowieku — odezwał się Reinbern, podając mu habit.

— Nie wiem, czy wejdę w tę kieckę — znów chwalił się Leszko. — Biskup ode mnie dużo węższy w barach.

— Wejdziesz — uspokoił go Reinbern. — Zamawiamy sobie zawsze luźniejsze, żeby w przyszłości zmieścił się brzuch.

Przyjrzała się biskupowi. Gdy założy hełm Leszka, będzie dobrze.

— Proszę trzymać się blisko mnie i nie odzywać do nikogo — pouczyła Reinberna. — Wyjedziemy przez południową bramę i pewnie nas zatrzymają, pytając o konie. Najlepiej, by biskup przez całą podróż zapomniał, kim jest, i dopiero w Poznaniu wrócił do swej zwykłej postaci. Nie wiadomo, co nas może spotkać w drodze.

— Musi się biskup bardziej wyprostować, tak jak ja — wtrącił się Leszko.

— Związcie go — poleciła ludziom.

— Tutaj! — zaordynował sternik. — Chcę leżeć pod samym ołtarzem. Przepraszam, czy biskup nie ma tu schowanego jakiegoś futra albo płaszcza? Ciągnie od tych kamieni, a nie wiadomo, kiedy Krucze Skrzydło się połapie, że trzeba mnie wypuścić. Coś do jedzenia też by się przydało, jakby moje biskupowanie miało się przeciągać…

Reinbern znalazł mu płaszcz.

— Gotów? — spytała biskupa.

— Z Bogiem — skinął jej głową.

Musiała się odwrócić, bo wzruszenie skoczyło jej do gardła. Już odbyła taką rozmowę. Tylko że wtedy straciła wszystko, a dzisiaj było jej obojętne,

jak skończy się ten dzień.

ŚWIĘTOSŁAWA była wściekła na brata, gdy dostali wiadomość o zatrzymaniu w Magdeburgu biskupa Ungera.

Siedzieli w świetlicy. Ona, Bolesław, Emnilda, dzieci. Mały Otto bawił się drewnianym konikiem. Grała z bratem w hnefatafl, Emnilda złotą nicią wyszywała Bolesławowi koszulę. Zarad czyścił miecz.

— Mówiłam, żebyś go nie wysyłał! Henryk wie, jak cenny jest dla ciebie Unger, i po złości będzie go trzymał! Nie mogłeś wysłać Nadętego?

— Gaudentego — poprawiła ją dyskretnie Emnilda, obcinając złotą nitkę. — Arcybiskupa Radzima Gaudentego. — Zawiązała idealny supełek.

— Ach, jaka z niego rodzina! — żachnęła się Świętosława. — Nawet przyrodni brat go nie lubił, a zresztą Sobiesław nie żyje!

— Przez ciebie — oskarżył ją Bolesław.

— A co ja mam z tym wspólnego? — syknęła, zostawiając planszę do gry i podchodząc do brata, który zamiast odpowiedzieć, tylko machnął ręką. — Sobiesław zginął, broniąc twoich pleców.

— Chcąc ująć żywcem Jaromira — poprawił Zarad.

— Nie kłóćcie się, proszę — odrobinę głośniej powiedziała Emnilda, znów nawlekając nić. — Trzeba znaleźć sposób, jak wydostać Ungera z rąk Henryka.

— Nie mogłem wysłać arcybiskupa Gaudentego, bo on nic nie potrafi załatwić. — Bolesław zdawał się nie słyszeć prośby żony. Głośno mówił do siostry, strącając kolejne piony do gry. — Zrozum, najbliższy Ottonowi papież Sylwester nie żyje. Gaudenty był człowiekiem Ottona i Sylwestra, dzisiaj jego kontakty znaczą tyle co nic. Henryk zrobi wszystko, bym nie dostał korony. Cała nadzieja była w Ungerze, w tym, że przemówi do ucha nowo wybranego papieża Jana XVIII, zanim zrobi to Henryk. Dlatego z Ungerem posłałem brata Barnabę, jedynego ocalonego z eremu…

— No tak — przyznała mu rację. — A ci być może nieźle ustosunkowani w Rzymie eremici zginęli z ręki Jaksy.

Oczy brata zapłonęły w jednej chwili.

— Nie przypominaj mi o tym zdrajcy! — wrzasnął i rzucił na posadzkę planszę z resztą pionów. Mały Otto zostawił konia i zaczął je zbierać.

Rozumiała go jak nikt inny. Wciąż nosiła brzemię zdrady Iona.

— Czy wy musicie na siebie krzyczeć? — spytała Emnilda.

— My nie krzyczymy na siebie — odpowiedzieli jednocześnie. — Tylko do siebie.

— Tak nam się lepiej myśli. — Świętosława uśmiechnęła się do bratowej, ale ściszyła głos. — Co zrobisz z Jaksą? Będziesz go trzymał na smyczy jak ja mego występnego mnicha?

— Nie — burknął Bolesław. — Odeślę do klasztoru.

Biskup kołobrzeski Reinbern, przywieziony niedawno przez Astrydę, do tej pory spokojnie przysłuchiwał się ich rozmowie. Teraz wstał i podszedł do Bolesława, mówiąc:

— Książę, nim zamkniesz Redara w klasztornej celi, radzę ci go przesłuchać. Wieści o tym, że król Henryk przyjął w Kwedlinburgu wodzów redarskich i lucickich, budzą grozę, to oczywiste. Jednak myślę, iż jeśli człowiek taki jak król Rzeszy, bezwzględnie oddany niemieckiemu Kościołowi, decyduje się na czyn tak haniebny, jak spotkanie w świętym czasie Wielkanocy z wodzami pogańskich plemion, to wiadomość ta może znaczyć coś więcej niż zawarcie przelotnego sojuszu na czas jednej bitwy. Nie musisz mu wybaczać, jeśli nie jesteś gotów, ale przesłuchaj Redara, proszę.

Świętosława przyjrzała się Reinbernowi. Nie miał siły Ungera, tego surowego uroku, który sprawiał, iż kolana się przy nim uginały, a serce robiło rachunek sumienia, ale z całą pewnością wyglądał na kogoś bardziej

godnego zaufania niż wiecznie zatrwożony Gaudenty. Niewysoki i szczupły, nosił prostą, szarą, wełnianą suknię, którą zwał „habitem biskupa wygnańca”, a podczas uczt zawsze mówił, że nie soli.

Podeszła do Bolesława i pociągnęła go za ramię, żeby nachylił do niej swe ucho.

— Jeśli ty zdecydujesz się na rozmowę z Jaksą, ja odważę się pomówić z Ionem.

Brat spojrzał na nią zaskoczony.

— Nie wysłuchałaś go do tej pory? — Uniósł brwi. — Mimo iż nawet Bezprym wstawiał się za nim? Dlaczego?

— Z tego samego powodu, dla którego ty nie wysłuchałeś Jaksy. — Uśmiechnęła się smutno.

— Bolesławie, Świętosławo? — Emnilda odłożyła nieskończoną koszulę męża, wstała i podeszła do nich. — Dlaczego szepczecie? — Wpatrywała się w nich z niepokojem. — Chyba jednak czuję się pewniej, gdy wrzeszczycie.

Wyszli z palatium, trzymając się za ręce. Jak brat i siostra z czasów, gdy naprawdę byli mali. Kiedy idących tak przez podwórzec zobaczyła ich jedna z gospodyń, padła na kolana i rozbeczała się niczym owca.

— Wojna, będzie wojna… — szlochała.

Bolesław objął siostrę ramieniem nadspodziewanie czule i szepnął:

— Czują się bezpiecznie, gdy krzyczymy.

— Uhm. — Położyła mu głowę na ramieniu. — Co się dziwisz? Tylko takich nas znają. Kto pierwszy?

— Jaksa — powiedział Bolesław.

Przy wałach mieściły się budynki strażnicze. W jednym z nich było najsroższe więzienie. Z zewnątrz wyglądało jak olbrzymia beczka, bo bale,

z których było zbudowane, obejmowały żelazne okowy. Przed okutymi drzwiami wartę pełniła uzbrojona straż.

— Chcesz sam z nim pomówić? — zapytała szeptem, gdy weszli do wilgotnego przedsionka. — Mogę poczekać przed drzwiami.

— Nie — pokręcił głową. — Chodź ze mną, potrzebuję…

— Będę cię pilnować, obiecuję.

Weszli do celi z pochodnią, rozświetlając ciemną, małą klitkę. Śmierdziało w niej odchodami. Pisk szczura uciekającego przed ogniem wzdrygnął Świętosławą. Bolesław umieścił pochodnię w uchwycie i rozkazał strażnikowi:

— Wyjdź. Zostaniemy z więźniem sami.

Kilka miesięcy niewoli zmieniło Jaksę nie do poznania. Zawsze był szczupły, teraz wydawał się kościotrupem obciągniętym skórą. Niemyte i niestrzyżone jasne włosy spadały mu w brudnych strąkach na twarz. Broda sięgała piersi i zachodziła na policzki białożółtym zarostem. Tylko jego oczy, jasne i uparte, lśniły jak kiedyś, tyle że dzisiaj podkrążone były ciemną barwą. Na kostkach stóp i nadgarstkach miał grube, żelazne obręcze, od nich szły łańcuchy zamocowane do ściany. Uniósł głowę, zamrugał, światło raziło go w oczy.

— Czemuś to zrobił? — spytał Bolesław.

— Co? — hardo odrzekł Jaksa.

Bolesław rzucił się do przodu. Przytrzymała go za rękę i spytała Jaksę:

— Jak mogłeś zdradzić mego brata? Zapomniałeś, kto cię wyrwał z magdeburskiej niewoli przed laty?

Zamiast odpowiedzieć, Jaksa zaśmiał się głucho.

— Czy zapomniałem? — powiedział. — Nie, tego się nie da zapomnieć. Tak, tyś mnie wyrwał z magdeburskiej niewoli, a ja mogłem ci wiernie

służyć, by odpracować to, co mi dałeś. I tak, z dnia na dzień stałem się twoim sługą.

Bolesław syknął. To było niesprawiedliwe.

— Wiesz, jak to jest, gdy porzucą cię swoi? — Jaksa poruszył się w łańcuchach. — Najpierw Sasi przymusili mego ojca, by mnie oddał jako zakładnika. A potem ochrzcili na siłę, jakby gwałcili dziecko. Gdy kapelan w Magdeburgu pytał: „W jakim języku czynisz wyznanie wiary?", za każdym razem myślałem: „W obcym". Gdy mnie wyciągnąłeś z łap Hodona i odesłałeś ojcu, ten obwąchał mnie niczym psa i odrzucił, jak suka oddala szczenię, dotknięte ręką obcego. Przygarnęliście mnie drugi raz i pałętałem się przy tobie jak bezdomny pies.

— Nieprawda! Byłeś dla mnie jak brat.

— Tylko z nazwy. Ocaliłeś ciało Jaksy, nie ducha. Nigdy tego nie dostrzegłeś, prawda? Dla ciebie zawsze byłem sługą. Jednym z wielu sług. Ale… służyłem z zapałem i to jest prawda. Z czasem odnalazłem przyjemność w tropieniu swoich, w sianiu zemsty. Chociaż nigdy nie nazwałbym jej słodką. Pamiętacie, jak wasz ojciec zapomniał się i powiedział: „mój redarski wilk"? Coś we mnie drgnęło. Zawołał kogoś, kim byłem. Ale potem przez wiele lat znów robiłem swoje, a wewnątrz byłem pusty jak wypalone drzewo. I dopiero teraz, kiedy siedziałeś w Pradze i puściłeś mnie na Połabie, bym węszył… Spotkałem chłopca, który wyglądał tak samo jak ja. Chudy, jasnowłosy, nieufny i mały. Wojrad, syn Wojbora.

— Twój bratanek? Syn wodza, który zbezcześcił ciało biskupa Dodilona, gdy Redarowie zdobyli Brennę? — przypomniał sobie Bolesław.

— Tak. Mój brat poległ, a Wojrad był zbyt młody, żeby powierzono mu władzę. Redarowie bywają jak wataha, zdarza im się przepędzić młode dawnego wodza. Nie poszedłem do nich, by zająć miejsce Wojbora.

Poszedłem, by bronić praw Wojrada, chłopca, na widok którego zawrzała moja zimna krew. A oni przyjęli mnie jak swego. Jakby nie było mej służby u ciebie, jakby ojciec mnie nigdy nie wygnał. Jak swego.

Jego ból był niemal namacalny, Świętosława czuła go niczym pulsującą między nim a nimi kulę rozgrzanego powietrza. W tej jednej chwili była gotowa zrozumieć i przebaczyć zdradę. Westchnęła. To nie ona miała przebaczać, lecz Bolesław.

— Siedmiu starców już negocjowało z ludźmi Henryka sojusz. Mnisi międzyrzeccy byli ofiarą złożoną na poczet porozumienia.

— Henryk się na to zgodził?!

— On to wymyślił! — Jaksa zaśmiał się okrutnie.

— Chryste! — jęknął jej brat.

— Z tego, co mi mówiono, Redarowie chcieli usunięcia pustelników, bali się, że ich erem stanie się rozsadnikiem kolejnej krzyżowej misji przeciw nim. A Henryk poczuł, że jeżeli eremitom powierzonym twej opiece stanie się krzywda, to raz na zawsze przetnie twe więzi z Rzymem. Z cesarstwem Ottona, które odeszło wraz ze śmiercią młodego cesarza. Henryk wiedział… ktoś mu doniósł, że Otto podarował ci tron Karola.

— Ja mu o tym powiedziałem. Ja sam — żachnął się Bolesław. — Odpowiedz, kierując się swą wiedzą, a nie nienawiścią. Czy możliwe jest włączenie Słowian Połabia w jedną wielką Słowiańszczyznę?

Jaksa myślał chwilę i odpowiedział:

— Nie. Oni są jak cierń. Jak ja.

Bolesław przez chwilę oddychał głośno; patrzyła w migotliwym świetle pochodni na jego profil. Bił się z myślami. Jaksa sam zaczął mówić:

— Gdyśmy ich zabijali, krzyczała sowa, choć tylko ja ją słyszałem, poza mną nikt. Sowa w mej głowie, pomyślałem. Wierzcie mi, nie byłem wobec nich okrutny, a oni zachowywali się, jakby czekali na śmierć, byli na nią

gotowi. Król Henryk? Henryk jest szalony. Twardy. Jest w nim coś, co wymyka się słowom. Dlatego Redarowie pójdą za nim. I tym razem nie ustąpią.

— Żałujesz, Jaksa? — spytała Świętosława.

Zwiesił głowę na długą chwilę. W końcu uniósł oczy.

— Żałuję całego swego życia od dnia narodzin. Ale nie żałuję siebie. — Przez jego wargi przeszedł skurcz.

Redarski wilk nie chce już gryźć — pomyślała.

Bolesław schylił się i przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Nie żałuj siebie, jeśli nie potrafisz — powiedział po chwili. — Ja zrobię to za ciebie. Do końca swych dni będę w żałobie po druhu.

Wstał i zawołał strażnika. Okute drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem.

— Rozkuć więźnia — rozkazał. — Przenieść do jasnej celi.

Odwrócił się do Jaksy i dodał:

— Nie skażę cię na śmierć. Dam ci szansę odpokutowania win.

Wyszli na zewnątrz. Nagle w uszy Świętosławy wdarły się dziesiątki dźwięków. Ptaki, psy, bawiące się dzieci, pokrzykiwania woźniców.

Dopiero na wolności czuje się smak niewoli — pomyślała i powiedziała na głos:

— Idź do Emnildy. Spowiedzi Iona wysłucham sama.

Nie kazała trzymać mnicha w ciemnym lochu. Wolała wystawiać go na widok publiczny w klatce. To upokarzało po równo jego i ją. Jego, bo nieznośne dzieciaki obrzucały go błotem i zgniłymi jabłkami. Ją, bo miała świadomość, iż temu upodlonemu stworzeniu powierzyła swe najskrytsze tajemnice. Wiele razy wyobrażała sobie, jak rozcina mu gardło nożem. Albo wbija ostrze w serce. Albo że wrzuca go do lochu wypełnionego szczurami.

Chciała zadać mu najcięższe męki, by odebrać swą zemstę. Zemstę za śmierć Olava.

— Kalle, Hauku! — pozdrowiła toporników, którzy dzisiaj pełnili przy nim straż. — Za chwilę zmierzch, kto was zmienia?

— Egil i Ake, Harda Pani.

— Gruby Egil i Pyskaty Ake. Moi ulubieńcy. Zaraz po was, Gładki Hauku i Długi Kalle. Właściwie… dlaczego masz przydomek Długi, skoro jesteś tego samego wzrostu co Hauk?

— Mój ukryty oręż, Harda Pani. To jego sprawka. — Kalle pokiwał głową zadowolony, że pyta.

— Ukryty oręż, powiadasz? A skąd wiedzą o nim twoi druhowie, co? Pokazujecie sobie zabawki przed snem?

— Hmm… — Tym razem się zaczerwienił.

Tak naprawdę nie chciała znać odpowiedzi.

— Otwórz klatkę, Długi Kalle. Wyprowadzam Iona na spacer.

— Pani — zaprotestował Hauk — kazałaś nam przysiąc, że nie pozwolimy ci zrobić mu krzywdy pochopnie…

— Dlatego pójdziecie z nami. A raczej za nami, w wystarczająco dużej odległości. Daj mi smycz. Ionie, rusz tyłek. Idziemy nad Wartę, nadrzeczne trawy mnie uspokajają.

Ion wstał niechętnie i patrzył na nią spode łba. Odruchowo zawinęła jego smycz na nadgarstku, tak jak robiła to ze smyczą rysiów. Przełknęła to wspomnienie. Wrzask i Zgrzyt.

Wyszli za bramę, przeszli przez most i skierowała się na podmokłe, poprzecinane strumieniami łąki. Jak zacząć tę rozmowę?

— Ionie — powiedziała wreszcie, gdy poczuła miękką, wilgotną trawę pod podeszwą buta. — Chcę poznać prawdę.

— Czyją prawdę, pani? — spytał.

— Twoją. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie zdradziłeś.

Nie przyznam się przecież, że nie mogę spać przez niego. Że każdej nocy rozważam, co by było, gdybym nie otworzyła przed nim swego serca. Oskarżam i uniewinniam co rano, co zmierzch.

— Odpowiem ci, pani — cicho i bezbarwnie powiedział Ion. — Choć nie wiem, czy moja odpowiedź cię zadowoli. Nie lubisz słuchać o Svenie.

— Nie decyduj za mnie, co lubię, a czego nie — warknęła. — Co obiecał ci Sven?

— Nic. Nie obiecał mi nic — niemal smutno powiedział Ion i westchnął ciężko.

Dopiero teraz zauważyła, że stracił ząb. Wyglądał bez niego paskudnie.

— Nic? — spytała bezradnie. — Zdradziłeś mnie za nic?

— Nie, źle mnie zrozumiałaś. Byłem winny Svenowi życie. Nie wspominałem o tym, bo i po co? Zanim twój mąż, król Erik, pojmał mnie w Hedeby i przywiózł tobie w prezencie jako wojenny łup, spędziłem w Danii rok. Włóczyłem się po kraju. Spotkałem młodego króla Svena w Roskilde, gdy przypłynął ze zwłokami swego ojca, Haralda. Wyprawiał mu pogrzeb i uroczyste uczty. Wykarmiłem się na nich, nie powiem. Ale podczas jednej, gdy wojowie Svena byli pijani jak wieprze, któryś z nich mnie złapał i krzyknął: „To mnich! Dorzućmy go do królewskiego stosu, niech się Harald ucieszy, że w niebie usługuje mu klecha”. Jak się domyślasz, wzbudziło to wesołość i chęć do zabawy mym kosztem. Na podwórcu płonął wielki ogień, ale króla Haralda złożono w kościelnej krypcie, nie na stosie. Oni chcieli się zabawić, byli pijani, a ja bałem się strasznie. Zlałem się w gacie. Sven wyszedł na podwórze, akurat gdy trzymali mnie za ręce i nogi i usiłowali wrzucić w ogień. Mój habit zaczął się tlić. Sven krzyknął: „Co robicie, głupcy!” i kazał mnie rozwiązać. Jeden z nich, wysoki i tęgi zbój, był tak nachlany, że postawił się królowi. Sven, nie namyślając się, wyjął

długi nóż i go zabił. Krzyknął: „Jeśli ja mówię, że ktoś ma być wolny, to nie sprzeciwiajcie mi się!”. Drżałem ze strachu, że z mego powodu dojdzie do bójki, ale oni podkulili ogony, a przy ogniu leżał tylko jeden trup. Sven dał mi denara i powiedział: „Odejdź, mnichu, w pokoju. Nie pchaj im się przed oczy”.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Ion mówi prawdę. Sven nigdy nie pochwalił się, że ocalił życie mnichowi. Ale te słowa, „Jeśli ja mówię, że ktoś ma być wolny, to nie sprzeciwiajcie mi się”, to był żywy Sven. Zdawało jej się, że widzi jego długie, rude włosy tańczące w blasku ognia. Ślinę w kącikach ust.

— Potem, gdy najechał nas król Erik, spotkałem Svena w Hedeby. Zbierał wojsko. Prosił bogatych kupców, by dali mu łodzie do obrony kraju. Coś tam dostał, ale niewiele. Wsiadał na „Krwawego Lisa”, by płynąć do jomswikingów po pomoc. Kręciłem się w porcie, szukając statku, który zabrałby mnie dalej od zbliżającej się wojny. Sven poznał mnie i powiedział: „Mnichu, teraz ty możesz pomóc mnie. Erik nie zabije duchownego. Daj się porwać do Szwecji, a ja znajdę cię i przyślę do ciebie swoich posłańców. Będziesz im”…

— Donosić? — domyśliła się.

— Tak — odpowiedział.

Szli w milczeniu. Słyszała brzęk żelaznego ogniwa, o które zahaczona była smycz w obroży na jego szyi.

— Po śmierci Erika powiedziałeś: „Już płynie do ciebie król” — przypomniała sobie bez trudu. — Wiedziałeś, że to będzie on.

Kiwnął głową. Jedna po drugiej stawały jej przed oczyma sceny z ich życia. Jak udając pijanego głupca, ocalił Olofa. Jak stał przy niej, gdy paliła zalotników. Jak patrzył na Olava Tryggvasona, gdy ten był krótko jej gościem w Sigtunie. Przez cały ten czas był szpiegiem Svena przy jej boku.

— Wracamy — powiedziała bezbarwnie.

Ogniwo łańcucha Iona zabrzęczało, jakby chciał skoczyć w bok, ku meandrującemu strumieniowi. Wolałaby, żeby to zrobił.

— I co? — spytała po chwili. — Sven przyszedł do ciebie, jak się wyspowiadałam, i rozkazał: „Powiedz, Ionie, co moja żona ma na sumieniu”? A ty po prostu mu powiedziałeś, nie licząc się z tym, że pociągnie to za sobą życie wielu istnień? Że złamie moje życie? Powiedziałeś mu ot tak?

— Tak było, pani — odrzekł.

— Wiesz co, Ionie — powiedziała. — Zapewne byłam dla ciebie szorstka. Zapewne służba u mnie cię nie rozpieszczała. Owszem, zaskoczyłeś mnie opowieścią o Svenie wspaniałomyślnym, który przed laty darował ci życie, ale to wciąż zbyt mało, bym zrozumiała, dlaczego to zrobiłeś. Gdyby nie to, że prosił mnie o darowanie twych win Bezprym, którego kocham jak własnego syna… Gdyby nie świadectwo Ostrego, żeś wymiernie pomógł im w misji… zabiłabym cię gołymi rękami, bo do tej chwili sądziłam, że za twym czynem coś stoi. Jakaś sprawa. Wielka nagroda, jaką obiecał lub dał ci za moje wyznanie Sven. Łatwiej bym zniosła zdradę, gdybyś mnie sprzedał. Za srebro, zaszczyty, kobiety, cokolwiek. Ale ty pod płaszczykiem mnicha ukryłeś zbyt wiele kłamstw. Pod pozorem służby Bogu wydałeś moje najgłębsze sekrety i za jednym zamachem skazałeś wiele osób na pewną śmierć. Przecież mogłeś skłamać Svenowi! Ty, który nie wstydziłeś się mieć kobiety w chałupie pod kościołem, mogłeś do wielu swych oszustw dołożyć to jedno. A jeśli chciałeś mego poniżenia, mogłeś nałgać Svenowi coś złego. Że mam kochanka wśród służby albo wśród swych toporników, cokolwiek, byleby mnie nie zdradzić. Nie mam na ciebie siły, Ionie. Niech Bóg cię osądzi. Ja się uchylam od wydania wyroku.

Czy Judasz zdradziłby Syna Bożego — pomyślała — gdyby Bóg Ojciec nie wystawił Pierworodnego na śmierć?

BOLESŁAW był w swoim żywiole, w żywiole wojny. Stracił białą klacz, na której wjeżdżał i wyjeżdżał z Pragi, miał teraz ogiera zwanego Białym, majestatycznego i silnego.

Wezwał pod broń dziewięć hufców ciężkozbrojnych, każdy liczący po trzystu wojów, i trzy razy tyle tarczowników. Nie ogołocił kraju z obrony, nie był naiwny. Południową granicę osłaniały jego morawskie załogi. Węgrzy zachowali się lojalnie z uwagi na Bezpryma i mediację Brunona, cesarskiego brata, którego gościł w Pradze. Na wojnę wziął dwie trzecie sił, resztę zostawił, by strzegła wschodniej i północnej rubieży. Północnej nie mógł być pewien po doniesieniach Astrydy i Reinberna. Wschodnia nigdy nie była bezpieczna. Oczywiście nie przyznał się Hardej, że po śmierci Sobiesława znów myślał o wydaniu jej za któregoś z ruskich kniaziów. Jakoś łatwiej to było planować z dala od domu, niż powiedzieć jej w Poznaniu, patrząc w dwukolorowe oczy. Dał sobie spokój, mówiąc „nie ma czasu”.

Henryk na punkt zborny swoich wojsk wybrał gród Lietzkau nad Łabą, blisko Magdeburga. Bolesław ustawił trzy linie umocnień i obwarował się pośrodku nich, w Krośnie nad Odrą. Wypuścił zwiadowców na zachód i czekał. Dziewięć hufców podzielił po równo. Trzy na każdą linię obrony. Przy sobie zostawił Bjornara, Zarada wysłał na pierwszą linię, na trzecią Stojgniewa, syna Wolrada, chorążego Mieszka. Sam stanął na drugiej linii.

Poradzę sobie bez ciebie, Jaksa — myślał, zasypiając i budząc się każdego dnia. Od Guncelina dostał Derwana, zresztą miśnieński zwiadowca sam chciał przejść do Bolesława po bitwie w nocnym lesie. Zapłacił za niego srebrem, wiedział najlepiej, ile kosztuje wychowanie i wyszkolenie

dobrego woja. Nie żałował. Stratę Jaksy odchorował żółcią. Derwan niczym żywe srebro krążył między liniami i zwiadowcami.

— Panie! — zameldował, osadzając spienionego konia. — Henryk i jego ludzie przekroczyli Łabę, a na drugim brzegu dołączył do nich książę czeski Jaromir. Mamy chwilę na oddech. Przewodnicy to ludzie margrabiego Guncelina.

— Nie zawiodą?

— Zawiodą! — Derwan się roześmiał. — Ale nie nas, tylko wojska Henryka.

Wodzili ich po łęgowych lasach, wprowadzając na mokradła i bagna. Ciężkozbrojni zapadali się na podmokłych łąkach.

— Ponoć słyszą upiorny śpiew rusałek — szeptał Derwan. — Ten, od którego kamienieją powieki, a członki odmawiają posłuszeństwa. Przewodnicy zniknęli, gdy tylko wprowadzili wojska na trzęsawiska. Rozwiali się jak we mgle.

Bolesław nie cieszył się na wyrost. Wiedział, że w wojnie strachów Henryk ma mocnych sprzymierzeńców. Uwięził mu Ungera, a sam nawet w wojennym obozie otaczał się biskupami. Być może litanie odmawiane na głos pomogą im się uwolnić od uroku bagiennych panien? Poza tym mógł liczyć na nowych przewodników od swych pogańskich sprzymierzeńców.

Po trzech dniach okazało się, że miał rację, bo Derwan przywiózł wieści:

— Dotarli do Sprewy. Umęczeni, wystraszeni, ale stanęli na brzegu rzeki i rozbili obóz.

Dobrze — pomyślał Bolesław. — Trafili na pierwszą linię obrony. Teraz Zarad odegra swoją ulubioną rolę.

Nieco z boku, nad rzeką stał ostatni niewykarczowany zagajnik, tam Zarad miał ukryty hufiec pancernych i kilka setek dobrych łuczników.

Przygotował zasieki ze świeżo ściętych drzew. Wysokie tamy, za którymi miał ukryć strzelców. Nie trwało to długo, gdy Derwan zameldował:

— Książę! Pan Zarad rozbił szpicę Henryka!

— Mów! — Bolesław się ucieszył.

— Wasale biskupa Arnulfa z Halberstadt, czterej panowie: Thiedbern, Bernard, Bennon oraz Izys ze swymi drużynami, chcieli się zasłużyć w oczach króla Henryka. Dowiedzieli się od miejscowych, że w zagajniku jest jakiś twój oddział, i poszli na żywioł, bez zwiadu. Ścięte drzewa wyglądały niewinnie, wjechali między nie, a ludzie Zarada wybili ich z łuków jak kaczki. Pierwszy padł Thiedbern, pozostali za nim. Z ich drużyn nikt nie ocalał i teraz w obozie królewskim żałoba. Ponoć król zapowiedział, że nikomu nie wolno na własną rękę przeprowadzać akcji.

Bolesław zastanawiał się chwilę nad rozkazem dla Zarada. Zostawić go na tyłach armii Henryka? Tyleż kuszące, co niebezpieczne dla druha. Zarad kochał ryzyko, ale miał pod sobą setki ludzi i jako wódz był odpowiedzialny.

Pod wieczór Derwan przywiózł najświeższe nowiny:

— Książę, Henryk ma nowych przewodników. Znalazł bród na Sprewie i jego wojsko idzie ławą w stronę Odry. Od północy ciągną Redarowie i Lucice. Lada dzień połączą siły z Henrykiem.

— Muszę to zobaczyć! — Bolesław pokręcił głową.

Wziął kilkunastu ludzi i wyjechał za wały Krosna. Przeprawili się brodem przez Bóbr i wjechali w lasy. O ile wojska drugiej linii obrony trzymał na prawym brzegu Bobru, o tyle po jego zachodniej stronie miał w lasach ukrytą sieć czatowni. Oddalone od siebie na odległość wzroku, służyły do błyskawicznego przekazywania rozkazów i wiadomości o ruchach nieprzyjaciół. Dojechali do czatowni najbardziej wysuniętej na zachód, nad rzeką Lubszą. Zostawił konia i wspiął się po sznurowej

drabinie na platformę umieszczoną w koronie wielkiego buka. Pełniący wartę szczupły, wysoki zwiadowca omal się nie zakrztusił, gdy zobaczył księcia na szczycie.

— Jak się nazywasz? — spytał Bolesław.

— Przebor — wyszeptał.

— To się posuń, Przeborze, bo spadnę.

Widok z góry był imponujący. Buk górował nad lasem.

— Morze drzew — powiedział do siebie Bolesław, wpatrując się w korony falujące od wiatru.

Lubsza w tym miejscu była wąską wstęgą. Wyglądała jak strumień, nie rzeka. Na jej drugim brzegu, jak okiem sięgnąć, rozciągał się obóz.

— Białe płachty — nieśmiało odezwał się Przebor — to obóz Henryka. Królewski namiot tam, między drzewami, po złotej płachcie można go poznać. Poganie rozłożyli się na południu, słabo widać ich leże, bo kryją szałasy i namioty między krzewami, nie lubią otwartych przestrzeni. Zaraz będą wychodzić…

— Skąd wiesz?

— Zechciej spojrzeć na tamtą sosnę, książę — wskazał mu Przebor. — Dają znak z czatowni.

Rzeczywiście, potężna gałąź drzewa poruszała się w górę i w dół.

— To znak, że ruszają do boju? — zaciekawił się.

— Nie, panie. — Na policzkach chłopaka pojawił się rumieniec. — Wychodzą na rozmowy. Kiedy będą szli do boju, z drzew wysuną się na chwilę piki.

Najpierw Bolesław usłyszał ich pieśń. Woda niosła głos, który zrazu brzmiał cicho, ale gdy wyłonili się z zarośli, spotężniał.

— To pieśń bojowa, książę — powiedział Przebor.

— Już ją nie raz słyszałem — kiwnął głową.

Na biało ubrana kobieta z wielkim okrągłym sitem szła przed wojskiem, po jej bokach dwie inne z dzbanami co kilkanaście kroków lały wodę na sito. Potem kapłan o długich, niemal czarnych włosach wysoko nad głową wznosił posąg Swarożyca.

Strosz Krucze Skrzydło — przypomniał sobie opowieść Astrydy Bolesław.

Dalej biegła chmara chłopców, tak jak kobieta ubranych na biało. Z kościanych piszczałek wydobywali wysoki, upiorny głos. Za nimi ławą na białych koniach jechali kapłani. Naliczył ich siedmiu. Dopiero potem szło wojsko z pieśnią bojową, jak wiatr nad łąką, zmuszający do ugięcia karku trawę.

— Spójrz, mój książę, król ku nim jedzie.

Poznał go po purpurowym płaszczu. W asyście swych książąt Henryk II, chrześcijański król Rzeszy, ten, który walczy o świętą koronę cesarską, na smolistym koniu wyjechał naprzeciw kapłanom Swarożyca. Przed nim jechali chorążowie ze sztandarem królewskim i, a jakże, wielkim krzyżem.

Stało się — pomyślał Bolesław. — Krzyż i Swarożyc zjednoczyli się, by ramię w ramię walczyć ze mną. Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie dałbym wiary.

— Czy potrafisz, Przeborze, wskazać mi księcia Czech, Jaromira? — spytał.

— Namioty czeskie na obrzeżach obozu Henryka — pokazał zwiadowca. — Ci trzej mężczyźni, o tam, poruszają się zawsze razem. Tylko oni uczestniczą w naradach pod złotym namiotem, więc któryś z nich musi być księciem.

Wojsko Redarów stanęło w miejscu. Chłopcy przestali grać na piszczałkach. Siedmiu kapłanów podjechało do króla i jego świty.

Rozmawiali o czymś dość gwałtownie i długo, po czym Henryk i jego ludzie zawrócili konie i ruszyli do złotego namiotu.

Czyżby się poróżnili? — z nadzieją pomyślał Bolesław.

Widział ich siły. Przeliczał te krocie wojsk. Nawet bez udziału pogańskiej kohorty miał już wielki problem, jak się z nimi zmierzyć. Na jego dziewięć ciężkozbrojnych hufców Henryk miał dwadzieścia. Redarowie i Lucice to lekkozbrojna piechota, ale zacięta w walce, okrutna i dzika. Nadzieja, że teraz odstąpią od Henryka, pierzchła, bo zobaczył, że kapłani i Strosz z posągiem Swarożyca ruszyli za królem.

— O rany… — jęknął Przebor. — W to bym nigdy nie uwierzył…

Król zsiadł z konia, zsiedli kapłani i wszyscy razem weszli do złotego namiotu. Strosz Krucze Skrzydło z posągiem Swarożyca i chorąży z krzyżem stanęli po obu stronach wejścia do królewskiej siedziby wojennej.

— Czas na mnie, Przeborze. — Bolesław klepnął chłopaka w ramię. — Boisz się? — zapytał i spojrzał mu w oczy.

— Nie, mój książę. Teraz się nie boję.

Bolesław wrócił do obwarowanego Krosna i wysłał gońców do Poznania z rozkazem dla Emnildy i dzieci: „Natychmiast wyjedźcie na Ostrów Lednicki”. Tam, na wyspie połączonej z lądem dwoma mostami, które w każdej chwili można spalić, będą bezpieczni. Drugi rozkaz był do poznańskiego kasztelana: „Bądź gotów do obrony miasta”. Trzeci do Stojgniewa, który dowodził ostatnią z linii obrony, na prawym brzegu Obry: „Jest źle. Zwołaj pospolite ruszenie bez chwili zwłoki”.

Henryk wraz ze swymi dzikimi sojusznikami doszedł do rzeki Bóbr. Bolesław niemal widział ich z wałów Krosna. Był pewien, że ich zapasy powoli się kończą i że w okolicy jedynie konie znajdą pastwiska, a ludzie niczym się nie nakarmią. Od tego zaczynał każdą wojnę, że kazał chłopom wszelkie zapasy przenosić do grodów, a co zostało na polach, podpalić.

Głodny nieprzyjaciel robi się mniej bitny; niejedno wojsko wypowiedziało posłuszeństwo wodzowi z tak błahego powodu, jak pusty brzuch.

— Budują mosty, książę — meldował Derwan. — Zbijają wielkie tratwy. Są zawzięci, by przeprawić się jak najszybciej przez Bóbr.

— Brodu nie znaleźli?

— Ano nie.

Bród był; płytki i rozległy. Ciepłe i suche lato obniżyło poziom wody i to, czego się bał, to że lada dzień odnajdą przejście przez Bóbr.

Bjornar obudził go nad ranem. Bolesław spał głęboko. Wyrwał się z ciemnego snu, gdy tylko poczuł dłoń na ramieniu.

— Książę… znaleźli bród.

Wyskoczył z łoża, naciągnął skórzany kaftan na koszulę.

— Jesteś pewien?! — wrzasnął do Bjornara.

— Pierwszy legion już się przeprawia.

— Gdzie mój hełm? — W półmroku nie mógł nic znaleźć.

Wybiegł z izby bez niego, prosto na wały. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale pierwsze, co zobaczył, to piechurów Henryka przechodzących przez bród.

— Konia! Białego! — krzyknął, zbiegając na podwórzec. — Uderzymy na nich!

Łucznicy Henryka osłaniali wojska przechodzące przez rzekę. Obóz po drugiej stronie Bobru był niemal zwinięty. Bolesław nie miał złudzeń, że zatrzyma impet wojsk Rzeszy, lecz miał plan. Ryzykowny, ale gdy szły na niego połączone siły Henryka i pogan, nie miał wyjścia.

Już siedział na grzbiecie Białego, już wyjeżdżał z nagim mieczem przed hufiec. Bjornar obok niego ze świętą włócznią.

— Włócznia z relikwią Krzyża przeciw Swarożycowi! — krzyknął i uniósł się w strzemionach, zwracając do swoich. — Kto ma do stracenia wszystko, walcząc, nie traci nic! Na nieprzyjaciół naszych!

— Sława! — odpowiedzieli gromko i ruszyli za swym księciem.

Zacisnął palce na rękojeści miecza, kolana na bokach Białego.

— Sława! — zgrzytnął zębami.

Pierwsi piechurzy wychodzili na ląd. Ledwie na nim stanęli, padli od oszczepów, ciosów miecza i cięć. Bolesław przejechał po nich, jakby kroił ser. Prowadził wypad brodem, strącając wojów Henryka do wody. Nurt zaczerwienił się od krwi. Przed Bjornarem niosącym świętą włócznię jechało dwóch tarczowników, osłaniając go od strzał. Bjornar włócznię trzymał wysoko nad głową. Na drugim brzegu zapanował rozgardiasz. Łucznicy za osłoną z tarcz wyrzucali w ich stronę strzałę za strzałą, ale Henryk wstrzymał przeprawę kolejnych oddziałów.

Chce mnie wciągnąć na swoją stronę rzeki — pomyślał Bolesław, widząc, że jest już w jej połowie. — Sam bym to zrobił na jego miejscu.

Jego drużynnicy kończyli wyrzynać ciężkozbrojnych piechurów, którzy weszli na bród.

— Osłona! — krzyknął Bolesław i od razu przed nim i Bjornarem stanął mur z tarcz.

— Nie masz hełmu — syknął do niego Bjornar.

Dopiero teraz Bolesław zwrócił na to uwagę. W tej samej chwili kapłani Redarów zaczęli bojową pieśń. Na jej drapieżne brzmienie odpowiedzieli skupieni wokół Henryka biskupi, intonując psalm. Podjęło go saskie wojsko.

Kto wstąpi na górę Pana,
kto stanie w Jego świętym miejscu?
Człowiek o rękach nieskalanych i o czystym sercu,
który nie skłonił swej duszy ku marnościom

i nie przysięgał fałszywie…

W Bolesławie się zagotowało. Łgarze — pomyślał i zaśpiewał gromko:

Dobry jest Bóg dla sprawiedliwego,
dla tych, których serca są prawe.

A potem wziął z ręki Bjornara włócznię, wzniósł ją wysoko i wrzasnął:

— Wasz sojusz w niczym wam nie pomoże! Ta włócznia ma w sobie drzewo Krzyża! Biskupi! Nie wstyd wam? Henryku! Czy tak postępuje chrześcijański król? Oszczepnicy — syknął cicho, a ci w lot zrozumieli, czego od nich chce.

Wyrzucili dwanaście włóczni, równo jak jeden mąż, a te wbiły się w zachodni brzeg rzeki niczym symboliczne zasieki.

— Odwrót! — zawołał Bolesław i Biały błyskawicznie zawrócił.

Poleciały za nimi strzały, ale byli szybcy. Stracili jedynie trzech ludzi.

Jedynie? — pomyślał gorzko, wyjeżdżając z brodu. — A jeśli tych trzech zabraknie mi pod Poznaniem?

Biały zręcznie kluczył między ciałami Henrykowych piechurów. Bolesław spojrzał w dół. Niektórzy z nich jeszcze nie skonali. Drżeli w przedśmiertnych drgawkach, charczeli, zachłystując się krwią z przebitych płuc. Nie poczuł do nich nic. Żadnej litości.

— Szybki odwrót za trzecią linię! Za Obrę! — Rozkaz przeniósł się po hufcach i ruszyli przed siebie.

Mieli sporą przewagę; przeprawa tak wielkich wojsk, nawet brodem, zająć musiała Henrykowi dzień lub dwa. Bolesław czuł, że król Rzeszy będzie chciał zatrzymać się na noc w stojącym na trasie międzyrzeckim klasztorze, żeby odpokutować swe winy, wymodlić przebaczenie za śmierć mnichów.

Jak się czuje ktoś, kto wydał rozkaz mordu eremitów? — pomyślał. — Czy jego biskupi wiedzą o tym, jaką cenę zapłacił za sojusz z Redarami?

— Masz pewność, że Bezprym posłuchał rozkazu i razem z księżną Emnildą pojechał na Ostrów? — spytał na krótkim popasie Bjornar.

— Żadnej — uczciwie przyznał Bolesław. — Przypuszczam, że jest w Międzyrzeczu, że sam chciał odprowadzić do klasztoru Iona i Jaksę. Dlatego przekażę ci dowództwo, pojedziesz z wojskami na przeprawę przez Obrę. Przejdziecie rzekę i połączycie siły ze Stojgniewem. A ja z drużyną zboczę do Międzyrzecza i zabiorę syna. Jeśli kogokolwiek posłucha, to mnie. Nie dopuszczę do jego spotkania z Henrykiem. Nie ufam królowi, który sprzymierzył się z poganami.

— Henryk powinien był odesłać ci Jaromira w łańcuchach po tym, co się stało — potwierdził Bjornar.

— Nie miał w tym interesu. — Bolesław splunął. — Jaromir jest posłusznym wasalem. Boże, gdy słuchałem opowieści o tym, jak wobec ludu Pragi klęknął przed Henrykiem i z jego rąk przyjął władzę…

— A teraz mamy wielkie nieprzyjacielskie wojska w kraju. — Bjornar pokręcił głową.

Bolesław z całych sił klepnął rudego w plecy.

— Wielkie i bardzo głodne — zaśmiał się. — Jedź do Stojgniewa. Wiecie, co macie robić?

— Tak jest! — Druh kiwnął głową.

A jednak się mylił. Bezpryma nie było w Międzyrzeczu. Dawna pustelnia po śmierci mnichów zamieniła się w klasztor. Opat Barnaba, który jako jedyny ocalał z rzezi, gdy na swoje szczęście nie zdążył wrócić z Rzymu, teraz gnił w jakimś magdeburskim lochu wraz z biskupem Ungerem. W jego zastępstwie obowiązki opata pełnił ojciec Remigiusz.

— Młodego księcia nie było — oznajmił. — Iona i Jaksę przywieźli ludzie kasztelana.

— Ojcze Remigiuszu. Trwa wojna. Za dwa, może trzy dni stanie tu pewnie król Henryk ze swymi biskupami. Jeśli chcecie, odeślę was z eskortą do Poznania.

— Nie, książę. — Mnich pokręcił głową. — Nasz Pan, wisząc na krzyżu, przebaczył swym prześladowcom. I my nie boimy się spojrzeć im w oczy. Zostaniemy.

— Chcę cię o coś prosić, ojcze — powiedział Bolesław. — Nie pozwól, by król rozmawiał z tobą sam na sam. O tym, co się zdarzyło, i o tym, że Jaksa wyznał nam prawdę, mów przy jego biskupach. Jeśli się nie boisz, oczywiście.

— Zostaniesz z nami na noc, książę? — spytał mnich. Wychodzili z kościoła na zewnątrz.

— Nie. Wojna wzywa.

Opat Remigiusz skinął głową i dodał, prowadząc księcia w stronę zagajnika:

— Od zmierzchu do świtu słyszymy pohukiwanie sowy, jednej i tej samej. — Wskazał ręką na potężny jesion. — Siedzi gdzieś tam. Odzywa się jak dźwięk kołatki, wskazujący godziny liturgiczne. Jest pilna i dokładna…

Bolesław się spieszył, zniecierpliwiony zerknął z góry na mnicha.

— …tak jak świętej pamięci brat Benedykt. Męczennicy czuwają nad nami, książę, jakże więc mam się bać? Nie mieszam się do spraw tego świata, ale ci nie odmówię. Rozumiem, że także przy biskupach mam wspomnieć o potrzebie uwolnienia biskupa Ungera i naszego brata Barnaby?

— Tak. I o bracie Brunonie z Kwerfurtu, jeśli łaska. Henryk i biskup Tagino mieli mu udzielić zgody na misję w Polanii, ta misja im bardzo nie w smak, ale muszą wiedzieć, że będziemy się o Brunona upominać. Nie mogą go w nieskończoność trzymać w Rzeszy. Tagino jest ponoć przy Henryku, więc gościć tu będziesz elitę Rzeszy — dorzucił ironicznie.

Srebrzyste źrenice Remigiusza spojrzały na Bolesława.

— Zaszczytem jest dla mnie gościć mego księcia — odpowiedział. — Elitę Rzeszy przyjmę, bo jest chrześcijańską rzeczą dawanie gościny, ale znacznie lepiej bym się czuł, gdybyś im dał, mój książę, łupnia na granicy.

— Czasami sytuacja wymaga, by wpuścić intruza do domu — odrzekł na pożegnanie Bolesław. — Tylko po to, by zatrzasnąć za jego plecami drzwi.

Za Obrą wojska Henryka nie napotkały żadnego oporu. Wyludnione wsie, puste obory i chlewy. Kurniki bez kur i jaj. Spichrze bez zboża. Zasypane studnie. Bezpańskie psy oszczekiwały ich przemarsz. Plony były zebrane, jeszcze nim doszło do wojny.

— Zatrułbym i jabłka w sadach, gdybym potrafił — powiedział Bolesław, gdy Derwan składał meldunek.

— Zarad ze swymi trzema hufcami przeprawił się przez Odrę o dzień marszu za nimi. Teraz nocami nękają tabory i tyły Henryka.

Bolesław zabrał ciężkozbrojnych Stojgniewa, połączył ze swoimi i sześć hufców rozstawił w dwóch liniach ostatecznej obrony, o milę i o dwie mile od Poznania. Stojgniewowi powierzył dowództwo nad pospolitym ruszeniem, Bjornarowi nad pieszymi tarczownikami. Jeden i drugi nie dawali spokoju flankom Henryka. Głodna i zmęczona armia panów Rzeszy posuwała się coraz wolniej. Redarowie i Lucice wściekli, bo gdziekolwiek się ruszyli, nie mieli co łupić. Jedni i drudzy z bezsilnej złości podpalali puste osiedla i wioski.

— Chłopi wypalanie traw mają tej jesieni z głowy — zażartował Bolesław, choć nie śmieszyło go to wcale.

Mimo głodu i wycieńczenia szarpana podjazdami, nadgryzana na każdym postoju armia najeźdźców szła naprzód. Wezwał wodzów.

— Dzisiejszej nocy trzeba wciągnąć ich w zasadzki. Stojgniewie, czy wioski gotowe?

— Gotowe, książę. Opróżnione z mieszkańców, w chałupach siedzą pochowani zbrojni, palą ognie, by z daleka było widać, że dym z kominów leci. Chłopi z pospolitego ruszenia krążą po podwórzach, krowy przepędzają w te i wewte, byleby głośno ryczały i zwabiły głodnych ludzi Henryka. Nawet kilkadziesiąt kóz wyciągnęli na wabia.

— Ile mamy tych wiosek?

— Siedem, książę. Jeśli do każdej zajedzie oddział, to uda nam się główne siły uszczuplić o kilkuset ludzi. Pospolite ruszenie, gdy broni własnych osad, robi się bitne, że i na Kijów z nim pójść można — pochwalił Stojgniew.

— To potem — roześmiał się Bolesław. — Ja będę stał na pierwszej linii ostatecznej obrony. Sprawcie się szybko. Zależy mi na wysoko urodzonych i ciężko rannych jeńcach. To może być najlepszy przyczynek do końca wojny. Pogan nie bierzcie, zabijajcie na miejscu. Wyjątkiem niech będą kapłani. Z Bogiem!

Gdy przyjechał do swoich, przywitał go Ostry.

— Mamy gości, książę.

— Kogo?

— Topornicy Hardej…

— Doskonale!

— I…

— Mów szybciej, spieszy mi się.

— I twoja siostra, panie, ale nie sama. Z księciem Bezprymem.

— Chryste! Dość mam kłopotów — jęknął. — Prowadź do nich.

Świętosława, jak mógł się spodziewać, nie czuła się zakłopotana. Zaśmiała się na jego widok i klepiąc swą czarną klacz po szyi, podjechała bliżej. Biały zarżał, jakby się ucieszył.

— Wyglądasz jak zbój! — powitała go siostra. — Nie goliłeś się, masz brodę jak wiking. Włosów też dawno nie myłeś. Ubranie chociaż zmieniasz? — Pociągnęła nosem i pocałowała go w policzek. — Nie, nie zmieniasz.

— To nie jest dobre miejsce dla królowej i młodego księcia.

— Bzdura! A gdzie twój syn ma się uczyć prowadzenia wojny, jak nie przy boku ojca?

Wolał o tym nie myśleć. Nie miał pojęcia, co dalej będzie z Bezprymem. Świętosława wyczuła jego rozterki, bo przyciągnęła go do siebie. Pochylił się w siodle i szepnęła mu do ucha:

— Jaromir skrępował mu jądra rzemieniem, ale nie pozbawił przyrodzenia. Jeśli go będziesz unikał, to tak, jakbyś sam mu kutasa odciął. Rozumiesz?

Zatkało go i uznał, że może Harda ma rację.

— Dobra, Bezprym zostaje, ale ty wracasz do Poznania.

— Musiałbyś mnie za rękę odprowadzić. Nigdzie się stąd nie ruszę.

— Czy Emnilda przynajmniej posłuchała moich poleceń? Wyjechała na Ostrów Lednicki?

— Oczywiście — obłudnie odpowiedziała siostra. — Razem ze Sławą, małym Ottonem i Mieszkiem bezpiecznie siedzi w palatium na wyspie. Gniazdo dynastii Piastów przygarnęło swoje dzieciątka. Chociaż, na szczęście, Mieszko się burzył. — Zmrużyła oczy wesoło. — Powinieneś i

jemu pozwolić być tu z tobą. Chłopak ma piętnaście lat i woda mu w żyłach nie płynie. Lepiej by się dogadał z Bezprymem, gdybyś dał im szansę…

— Przestań! — krzyknął na siostrę. — Wojna to nie czas na wychowywanie dzieci.

— Czyżby? — ofuknęła go. — A ciebie Mieszko trzymał pod pierzyną? Myślisz, że byłbyś tak dobrym wojownikiem, gdyby cię ojciec ze sobą nie włóczył od obozu do obozu? A może taki już z ciebie wielki książę, co sądzi, że sam się stworzył?

— Jezu, Harda! Czy możesz się zamknąć? Nie mam czasu na kłótnie z tobą.

— A kiedy mamy rozmawiać? — wzruszyła ramionami. — Rok siedziałeś w Pradze. Wyobraź sobie, że czas wtedy nie stanął!

Chciał palnąć, że już rozumie, dlaczego Sven ją oddalił, ale ugryzł się w język. Lepiej nie poruszać niektórych tematów, zwłaszcza że siostra do dziś nie wie, że to on stał za nieszczęsnym małżeństwem Olava i Tyry.

Do Świętosławy podjechał ktoś, kogo nie znał. Wojownik o jasnych włosach i bliźnie biegnącej od czoła przez policzek do gardła. Rozmawiali chwilę w języku Północy. Nic nie zrozumiał. Siostra przedstawiła mu gościa.

— To Omold, skald Olava ocalony przez Astrydę z bitwy. Jeszcze nie zna naszego języka, ale się uczy. Wytargowałam go od wolińskiej pani.

— Skald? Po diabła mi skald?

— Nie po diabła, braciszku, dla sławy! Jak chcesz, by cię zapamiętano, skoro nie będzie pieśni o bitwie pod Poznaniem?

— A jak on ułoży pieśń, skoro nie zna naszej mowy? — odgryzł się.

— Ułoży w swojej, a ja przetłumaczę.

Miał już dosyć siostry i całego zamieszania, jakie spowodowała swą obecnością. Przynajmniej o jej bezpieczeństwo nie musiał się martwić, bo

gdy tylko się oddaliła, otoczył ją Wielki Ulf z topornikami. Podjechał do niego Wilkomir.

— Jak ty z nią wytrzymałeś tyle lat? — spytał dawnego drużynnika Bolesław.

— Miałem dłuższą przerwę, gdy porwał ją Sven. — Wilkomir wzruszył ramionami. — Kiedy spodziewasz się przedniej straży Henryka?

— Jutro. Musimy wyczekać, aż Zarad, Stojgniew i Bjornar zacisną swoje kleszcze. Uderzymy w straż przednią, rozbijemy, puścimy kilku do ucieczki, by zanieśli nowiny królowi, i odskoczymy na pozycje, czekając na główny oddział królewski.

— A co, jeśli Henryk puści przodem Luciców?

— Nie zrobi tego. Spowalniali mu marsz tyle razy, że Derwan mówi, iż już nawet nie chce gadać z ich kapłanami. Wizyta w Międzyrzeczu też zrobiła swoje. Ponoć płakał na grobach braci rzewnymi łzami, a biskupi nadęli się na sojusz z poganami.

— Płakał — drwiąco powtórzył Wilkomir. — Rychło w czas. Ot, mentalność królewska. Zabić i pożałować.

Bolesław się nie odezwał. Pomyślał o sobie. O tym, że z oślepienia Rudego nie zdążył się wyspowiadać.

W straży przedniej szła setka ciężkozbrojnych, ale gdy hufiec Bolesława na nich ruszył, jedna trzecia, nie czekając, odwróciła się i poczęła zawracać.

— Łucznicy! — rozkazał Bolesław. — Zatrzymajcie ich!

— Są bardzo zmęczeni — powiedział Bezprym stojący przy nim na wzniesieniu.

— Pojedynczą bitwę wygra siła i męstwo. Czasem taktyka i spryt — odpowiedział synowi. — Ale o losach wojny często przesądzają choroby, zmęczenie i głód, tak jak teraz. Wiedziałem, że ruszy na mnie z wielką siłą, ale nie spodziewałem się aż takiej.

— Książęta wschodniej Rzeszy nadal są tobie przychylni, choć jeszcze w orszaku Ottona słyszałem, jak ci z głębi kraju nazywali cię „nadętym pychą, ponad stan wyniesionym księciem”.

Bolesław nie mógł skupić się na rozmowie z synem. Obserwował przebieg zaczynającej się potyczki. Syknął, bo miał wrażenie, że Ostrowoda zraniono włócznią. Bezprym zamilkł od razu i obaj wpatrywali się w zbrojnych. Książę odetchnął, gdy Ostry wyprostował się w siodle. Na wzniesienie nie wiedzieć kiedy wjechała Świętosława z Omoldem.

— Skald musi mieć lepszy widok na bitwę — oznajmiła. — Ach, Bolesławie! Taka jestem szczęśliwa! Ojciec nie mógłby wymarzyć sobie piękniejszej chwili. Spójrz na ten dąb. Ile razy ścigaliśmy się do niego, a ojciec na nas patrzył?

Odruchowo zerknął na majestatyczne, samotne drzewo z dala od traktu. Na jego gałęzi siedział wielki orzeł i patrzył na zgiełk bitwy.

I wtedy do niego dotarło, że nikt, a zwłaszcza Harda, nie dopuszcza do siebie myśli o przegranej. On też, choć wiedział, że nie wygrał, lecz wymęczył Henryka i że sporo będzie musiał odpuścić w rokowaniach.

Gdy słońce zachodziło, posłowie króla z białą płachtą na włóczni spotkali się z jego ludźmi pośrodku traktu. Poległych ludzi Henryka zabrano na wozy. Kruki krążyły nad trupami. Orzeł zerwał się do lotu w stronę Poznania.

ŚWIĘTOSŁAWA była szczęśliwa. Siedziała na grzbiecie Thorhalli. Każdą swą klacz nazywała tym samym imieniem na pamiątkę tamtej, która zawiozła ją do przystani, gdzie przybił „Kanugård” z Olavem na pokładzie. To była już piąta Thorhalla, tym razem krucza. Patrzyła na obóz wojsk Rzeszy, budowany naprędce na wzgórzu przy zachodnim trakcie pod Poznaniem, i wspominała słowa ojca. „Czy myślę o niebezpieczeństwie? Byłbym głupcem, gdybym nie był na nie gotów w każdej chwili” — mówił

do nich w noc przed sobótką na błoniach nad Wartą. Rozłożył ramiona szeroko, jastrząb polował w przestworzach ponad nimi. A Mieszko śmiał się i krzyczał: „Ale nie boję się go! Lęk odbiera człowiekowi wolność, paraliżuje mocniej niż kalectwo!”.

Tak, ojcze — miałeś rację. — I dzięki tobie nie boję się niebezpieczeństw. Wojska Henryka o dwie mile przed Poznaniem, ale to oni są głodni, zmęczeni, słabi i ranni. Twój syn zaryzykował wszystko, bo wszystko mógł stracić. Co wygramy, negocjując pokój? Nie wiem, ale Bolz nie spocznie, póki nie zmiażdży Henryka. To jego Teofano, ojcze. Tyś, odkąd pamiętam, rywalizował z cesarzową; Bolz ma Henryka. Otto, złoty cesarz, obudził w mym bracie króla, dając mu świętą włócznię, swój diadem i tron Karola Wielkiego. Tron Ostry porąbał, by nie trafił w ręce Jaromira, ale pal licho stare krzesło! Ważne, że mój brat czuł się godzien tego, kto na nim sadzał tyłek, bo takim go widział Otto. Walcząc z Henrykiem, Bolesław walczy o Wielką Polanię. O kraj, który pod swymi skrzydłami zjednoczy słowiańską siłę i nie ugnie się przed cesarstwem. Czyż nie tego chciałeś, Mieszko? Gdyby Otto żył, Bolz już miałby na skroniach koronę i cesarstwo być może byłoby wypełnieniem pięknego marzenia o kraju równych królestw bez granic. Italia, Galia, Germania i Sklawinia stałyby niczym gmach o czterech kolumnach. Ale wizjonerzy i mistycy umierają młodo, jak Olav, i Otto nie oparł się sile śmierci, a dobry Bóg postawił na drodze Bolesława Henryka, zwanego przez nas Ptasim Królem. Henryka, którego Bolz nienawidzi i którym pogardza. To daje mu siłę, tak jak tobie siłę dawała walka z wielką Teofano. Tylko że ty raz ją zdradzałeś, raz przy niej stawałeś, a Bolz nigdy nie stanie przy Henryku, zawsze będzie przeciw. Ich losy splotły się ze sobą na wieki; już ja podyktuję Omoldowi o tym pieśń taką, że na naszych grobach dawno wyrośnie trawa bądź las, a ją będzie się wciąż powtarzało. Chciałeś, bym

była królową Szwecji. Powiedziałam „dobrze, ojcze”, nie wiedząc, że pierwszy tron pociągnie za sobą drugi, a ten obali trzeci. Koronę Norwegii dostałam po trupie tego, z którym chciałam ją nosić. Nie, nie rozczulam się, bo wiem, że ty w zaświatach nie uroniłeś łzy po moim cierpieniu. Raczej spełniłeś tryumfalny toast za królową trzech królestw. Nie urodziliśmy się wolni, ale czasami wolno nam czuć radość z urodzenia. I dzisiaj, gdy słońce krwawą łuną zachodzi nad poranionym i głodnym, śpiewającym żałobne pieśni obozem króla Henryka pod Poznaniem, czuję dumę, że jestem Piastówną, córką Mieszka i siostrą Bolesława. Świętosławą. Sigridą Storrådą. Królową trzech północnych tronów. Bogu, tobie i Dobrawie niech będą dzięki, a także mym mężom i kochankowi. Amen.

Dwa dni później w Poznaniu rogi oznajmiły przybycie gości. Siedziała przy Bolesławie w sali audiencyjnej palatium, pod wiszącym na ścianie złotym krzyżem i mieczem świętego Piotra, gdy przybyli do nich wysłannicy Henryka. On zdążył umyć włosy i ogolić się; w purpurowej tunice na szerokiej piersi i białym płaszczu spiętym złotą broszą z orłem wyglądał cudownie. Ona też założyła krwistą czerwień i śnieżną biel, żeby byli jak brat i siostra, a Helga upięła jej włosy w korony warkoczy.

Nie ma przy nas ani Duszana, ani Duszy — pomyślała nagle, dziecinnie.

— Arcybiskup Magdeburga, Tagino, biskup Arnulf, margrabia Udo i kanonicy, Tomasz i Ederam — przedstawiono przybyszów.

— Czy moi goście są głodni? — zapytał ten lis, jej brat Bolesław, wiedząc, że nie jedli od dawna. — Będzie mi miło, jeśli wspólnie spożyjemy skromną wieczerzę.

— Przybyliśmy na rozmowy, nie na ucztę — Tagino przełknął ślinę — ale skoro książę nalega…

Bolz klasnął i do sali audiencyjnej wniesiono kozły, na nich ustawiono stoły i zarzucono je złotogłowiem. Wszystko trwało mniej niż chwilę.

Goście usiedli, a służba wniosła półmiski. Na wielkich tacach pieczone w całości prosięta wypychane jabłkami lub kaszą. Combry sarnie obłożone wianuszkami letnich gruszek. Zające pieczone z marchewkami i boczkiem. Liny i szczupaki w tłustej śmietanie. Siekane mięso z dzików z jałowcem i borówkami. Gorące i wonne bochny chleba. Garnuszki świeżego masła. Miód lany z dzbanów. Wina od Astrydy. Zapachy pieczeni kusząco rozniosły się po sali, a Tagino już wyciągał drżącą rękę po prosię, gdy Bolesław uroczystym głosem zażądał:

— Pomódlmy się przed wieczerzą! Czy moi goście już nie potrzebują się modlić?

Omal nie zachichotała.

— Nie mam biskupa poznańskiego Ungera — zbolały ton Bolesława zabrzmiał szczerze — ale jest przy mnie biskup kołobrzeski Reinbern, z duszpasterską wizytą. Szlachetny Reinbernie, jako gospodarz proszę cię o modlitwę.

Ten, wiedząc, w czym rzecz, modlił się w sam raz długo. Na tyle długo, by wszyscy usłyszeli burczenie w brzuchach gości.

— Amen — zakończył.

A Bolesław ich zachęcił:

— Jedzcie i pijcie z mego stołu wszyscy!

— Złote styryjskie! — Uśmiechnęła się do ślicznej służki. — Do pełna.

Ani ona, ani Bolesław nie nakładali sobie jedzenia. Odsyłali półmiski gościom. Ci już dłużej nie panowali nad głodem.

— Dla mnie chleb i woda — zagrzmiał jej brat, odgarniając włosy z czoła.

Tagino zastygł w pół kęsa. Przełknął i spytał:

— Wielki książę pości?

— W intencji odzyskania biskupa Ungera — odrzekł Bolesław. — Ty, arcybiskupie, masz szczęście obcowania z nim, oczywiście gdy tylko nie towarzyszysz swemu królowi na wojnie. Ja zaś nie mogę ucztować, wiedząc, że mój umiłowany pasterz może siedzieć w Magdeburgu o chlebie i wodzie. Łączę więc się z nim w poście.

— Zaprzeczam! — powiedział Tagino. — Ungerowi w Magdeburgu nie dzieje się krzywda.

— Czyżby? — spytała Świętosława. — To dlaczego trzymacie go tam siłą? Dlaczego nie wraca do swej diecezji?

— Są jeszcze pewne sprawy natury kanonicznej do wyjaśnienia, księżno — odpowiedział.

— Królowo — poprawiła go wyrozumiale.

— Być nie może. — Arcybiskup pokręcił głową niezadowolony, że wciągnęli go w rozmowę, nim zaspokoił głód. — Twój mąż, pani, nie jest królem. Owszem, mówiono nam o sprawie z Ottońskim diademem, ale to nie była koronacja, na Boga!

— Bolesław nie jest moim mężem — odpowiedziała pomiędzy łykami wina.

Tagino zdębiał.

— A co? — udała zaskoczoną. — Gdy u was kobieta i mężczyzna chcą zamieszkać pod jednym dachem, muszą być mężem i żoną?

— Pani… — wyszeptał ze zgrozą arcybiskup Magdeburga; spojrzał na Bolesława i jego policzki pokryły się rumieńcem. — Myślałem, że przyjmujesz nas w towarzystwie swej żony, księżnej Emnildy, ale widzę, że chciałeś pohańbić poselstwo obecnością kon… kon… konkubiny.

— Nie chciałem — odrzekł Bolesław. — Oto moja siostra, Świętosława. Królowa Szwecji, Danii i Norwegii.

Uśmiechnęła się do nich promiennie i uniosła kielich.

— Zdrowie gości! — zawołała.

Kanonik magdeburski Ederam zakrył usta, by nie parsknąć śmiechem.

— Aha — szepnął Tagino. — Bardzo jestem zaszczycony, królowo. Wybacz… nie wiedziałem…

Bolesław szturchnął ją pod stołem, jakby myślał, że zaraz wszystkim oznajmi, iż mąż ją wygnał, bo spiskowała z kochankiem na jego życie i królestwo. Obdarzyła go spojrzeniem, które miało mówić, że jest w błędzie.

Czekali, aż ich goście zaspokoją głód, a trwało to rozkosznie długo. Wreszcie arcybiskup Tagino mógł zacząć mówić.

— Król Rzeszy i Italii, Henryk II, wspaniałomyślnie proponuje ci, książę, pokój.

— Miło słyszeć — bez uśmiechu odpowiedział jej brat.

— Oraz ustanowienie nowej granicy na miejscu, do którego potęgą swej armii doszedł…

Parsknęła śmiechem, a Bolesław śmiał się gromko i długo.

— Czechy nie wrócą pod twe rządy i pragnieniem króla jest uznanie, iż z jego łaski włada nimi książę Jaromir — podjął nieśmiało Tagino, gdy śmiech Bolesława umilkł.

— Na to zgoda. Na zmianę granic nie — odrzekł zimno jej brat i krzyknął: — Oddacie mi Ungera! Wypuścicie mego biskupa misyjnego Brunona! Wyniesiecie się, skąd przyszliście! A jak nie, jutro moje syte i wypoczęte hufce wypuszczę na was jak myśliwskie psy!

— Będziemy walczyć! — odpowiedział arcybiskup.

— Walczcie! — krzyknął Bolesław.

Zapanowała cisza.

— Król takich warunków nie przyjmie — cicho odrzekł Tagino. — Wycofaj się, książę, ze swych roszczeń za Łabą. Przestań buntować książęta wschodniej Rzeszy. Odpuść…

— Odpuść nam nasze winy, Panie — słodko powiedziała Świętosława.

— Racja, siostro. Winy odpuszcza Bóg — twardo powiedział Bolesław. — On policzy się z wami za sojusz z poganami. Za mord na mnichach eremitach. Za podeptanie przykazań Bożych. Ja wam nie odpuszczam.

Targował się z nimi, aż miło. Odpuścił tylko Łużyce i Milsko. Przysięgli uwolnić Brunona, obiecali Ungera, choć w bólach. I mieli się wynieść przed świtem.

Gdy niezadowolony Tagino i jego towarzysze wstawali od stołu, podeszła do kanonika Ederama.

— Panie — powiedziała do niego — patrzyłam na ciebie przez całą ucztę. Nie wierzę w to, co mówią.

— Co królowa ma na myśli? — zmarszczył brwi.

— Że ktoś taki jak ty mógł przyklasnąć sojuszowi króla z poganami przeciw memu bratu.

Ederam nie odpowiedział. Popatrzył jej w oczy, wystarczyło.

— Zostało tyle jedzenia z uczty — zmartwił się jej brat. — Czy chcecie zabrać coś dla swego pana? — spytał niemal czule i pstryknął do służki.

Ta niemal natychmiast pojawiła się z koszem i zebrała ze stołu.

Zostali sami. Siostra i brat.

— Co myślisz? — spytała, dolewając sobie wina.

— Stanie mu w gardle ten pokój, jak im resztki z książęcego stołu. — Jej brat się przeciągnął. — Będę się bił z nim o Milsko i Łużyce tak długo, aż je odzyskam. Jeśli Guncelin umrze, nie zawaham się zagarnąć i Miśni. Wtedy będę syty. Ale ukoję głód dopiero po jego śmierci. Pożywię się jego trupem.

— Przestań! — Uderzyła go w ramię. — Napij się. Uratowałeś dziś kraj.

SVEN nie zabawił w Anglii długo. Tamten rok miejscowi nazwali „rokiem upiornego głodu”. Spichrze były niemal puste, a on miał wielką armię do

wykarmienia. „Ludzie nie najedzą się srebrem, a to jedyne, czego mamy pod dostatkiem!” — rzucił Jorun, gdy wyprawa po żywność do kolejnej wioski wróciła z workiem zgniłych jabłek i jedną kurą.

Po tym jak złupił bogate Norwich i wziął danegeld od ealdormana Anglii Wschodniej, Ulfcetela, udał się do Yorku na zaproszenie namiestnika południowej Northumbrii, Elfhelma, i jego dwóch synów, Ufegeata i Wulfheaha. Gospodarz nalegał na to, by wizyta Svena miała charakter poufny, bo, jak stwierdził, „oczy króla Ethelreda są wszędzie”. Wyjechał po Svena i jego ludzi z oddziałem, który nie wyglądał na świtę ealdormana.

— Chcę ci dać świadectwo swej życzliwości, królu Svenie — mówił. — Pokazać kraj, udowodnić, że tu w Northumbrii twoi rodacy żyją z nami zgodnie. Duńscy osadnicy są gospodarni i zaradni. Pracowici. Już kiedyś…

— Już kiedyś był duński namiestnik Yorku. Szwagier mego ojca, mąż jego siostry Gunhildy, Erik Krwawy Topór — wszedł Elfhelmowi w słowo.

— To może nie najlepszy przykład — speszył się namiestnik i zaczął się tłumaczyć. — Erik został wygnany z racji swego porywczego charakteru…

— Daj spokój, Elfhelmie! — zaśmiał się Sven. — Wszyscy wiemy, że jego przydomek nie wziął się z zamiłowania do wyrębu lasów. — Ku czemu zmierzasz? Jaką masz dla mnie propozycję?

Ealdorman źle się czuł popędzany przez niego, najwyraźniej wolał pod tę propozycję przygotować grunt, ale Sven nie chciał dać się ugłaskać.

— Z chęcią zawarłbym z tobą układ — wyznał wreszcie. — Mam sporo żyznych ziem i kilka miejsc, gdzie można by ustawić grody strażnicze pilnujące mych wybrzeży. Brakuje mi tylko dobrych ludzi i świetnych wodzów. Kogoś, komu z pełnym zaufaniem mógłbym powierzyć obronę…

— Przed wikingami? — Sven się uśmiechnął.

Anglicy próbowali tego od lat. Wynająć najeźdźców do obrony przed najeźdźcami. To było dobre dla młodszych synów, którzy w ojcowiźnie

nigdy nie mieli szans na własne ziemie, ale nawet oni szybko się nudzili rolą wiernych obrońców nie swoich krain. Zawsze też prędzej czy później dochodziło do sporów z miejscową ludnością.

Dlatego obwozi mnie po okolicy — zaśmiał się w duchu. — Pokazuje spokojne osady, żeby przekonać mnie, iż tym razem to może się udać.

— Dlaczego mówisz o tym ze mną? Gdybyś był rozsądny, ealdormanie, zwróciłbyś się do któregoś z mniejszych wodzów, takich, którym zaimponuje twoja propozycja. Ale ja? Dla mnie nie ma w niej nic pociągającego. Jestem królem Danii, zdobyłem Norwegię. Mój pasierb włada Szwecją! Jakżeby dla mnie miało być kuszące zostanie stróżem Yorku?

Elfhelm wziął oddech i powiedział:

— Masz córki, królu Svenie. A ja mam synów. Czy to już nie brzmi dla ciebie ciekawie? Proponuję sojusz między naszymi rodami. Małżeństwa mych dwóch synów z twoimi dwiema córkami.

— Ciągle ty zyskujesz więcej. — Sven uśmiechnął się do niego, bo już znał ukryte cele tego pomysłu. — Osadzając tu swe córki jako żony synów ealdormana, dawałbym ci gwarancję pokoju. W dodatku twój król na wieść o takim mariażu mógłby wystąpić przeciw tobie, a wtedy wezwałbyś mnie na pomoc, czyż nie? Skoro wiesz tyle o moich dzieciach, wiesz także, że jestem dobrym ojcem i nie zostawiłbym ich w potrzebie.

Elfhelm zamilkł. Sven uspokoił go po chwili.

— To nie jest zła propozycja, ealdormanie. Ale to oferta na daleką przyszłość. Astryda ma siedem lat, Sventoslava pięć, a u nas nie ma zwyczaju wydawania za mąż małych dzieci. Przy okazji… W jakim wieku jest twoja córka? Elfgifu? Dobrze zapamiętałem jej imię?

— Ma dziesięć lat, ale już ją obiecałem — szybko zastrzegł Elfhelm.

— Komuś lepszemu niż król duński? — Uśmiechnął się, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Elfhelm zmrużył oczy i dopiero do niego dotarło.

— Jest w wieku twoich synów, królu Svenie.

— Młodszego, Knuta. Wybacz, ale Haralda już obiecałem komuś ważniejszemu niż namiestnik Northumbrii. — Sven klepnął go w plecy.

Na pożegnanie Elfhelm dał mu trzy wozy z żywnością, ale to wciąż była kropla w morzu głodu, jaki tamtej jesieni cierpiała jego armia. Na wyspie Wight nie mieli zapasów i Sven po naradzie z wodzami zarządził odwrót do Danii. „Lepiej przywieźć srebro do kraju, niż trzymać je w skrzyniach i paść z głodu na obczyźnie” — powtarzano w czasie powrotnego rejsu.

Myślał o propozycji ealdormana. Wiedział, że Elfhelm, wiążąc się z nim, narażał się królowi Anglii i robił to świadomie. Miał zapewne nadzieję, że Sven w wyprawie ślubnej córek da mu wojsko, które obroni wybrzeże przed innymi watahami najeźdźców i weźmie udział w prawdopodobnej wojnie z królem Ethelredem. Wojnie, w której chwała zwycięzcy przypadłaby ealdormanowi, i kto wie, może Elfhelm sięgnąłby po tron Anglii.

— Niegłupie — skwitował Jorun, gdy Sven streścił mu swe przemyślenia. — Nasze dziewczynki miałyby króla za teścia. Kto wie, może któryś z ich mężów sięgnąłby po ojcowską koronę. Niegłupie, ale tak sobie myślę, jak prosty sternik: gdy z prawej burty skały, a z lewej uderza sztorm, to trzeba brać trzeci kurs.

— Otóż to, Jorunie. Otóż to! I ja wiem, którędy prowadzi ten trzeci kurs.

Na przystani w Roskilde powitał ich radosny zgiełk. Jarl Stenkil z Hobro wpływał jako pierwszy i dął w róg tak głośno, że czekający nie mieli wątpliwości, iż przypływają zwycięzcy.

— Zdobyto, splądrowano, spalono! — wrzeszczał Jorun, zeskakując na pomost.

— Królu! — powitał go Uddorm z Viborga, któremu powierzył sprawowanie rządów w Danii pod swą nieobecność. — Królu! Błagam cię, dość mam sławy szczura lądowego. Następna wyprawa niech będzie moja.

Sven wypatrzył na szczycie pomostu jasnowłosą Vali, a przy niej swe córki. W ciżbie ludzi, żon witających mężów, dzieciaków szukających schodzących z pokładów ojców, nie mógł dostrzec swych synów.

Poklepał po ramieniu Uddorma i uszczypnął go w policzek.

— Udo! Jesteś tłustszy, niż gdy wypływałem — zaśmiał się. — Zobacz, jaki twój król jest chudy. Sól i żyły! Jesteś pewien, że chciałbyś się zamienić?

— Pod koniec rejsu żuliśmy rzemienie! — Między nich wszedł Jorun, taszcząc pod pachami dwie potężne skrzynki.

— Co tam masz? — zapytał Uddorm.

— Srebro! — Jorun wyszczerzył zęby. — Chude, głodne srebro!

Uczta powitalna była taka jak trzeba. Głośna, gorąca, przecinana śmiechem i wierszami. Vali bez przerwy podsuwała mu co tłustsze kawałki.

— Ależ mój pan wyposzczony — kręciła głową.

— Tak, moja droga Vali. Przez pierwsze trzy dni będę tylko jadł i pił. Dopiero potem będę cię chędożył. Wybacz, ale nie kobiet w Anglii brakowało, tylko jedzenia! Gdzie moi synowie? — Otarł tłuszcz z brody.

— Polują na króliki — wzruszyła ramionami. — Nie spodziewaliśmy się was tak szybko.

— Na króliki? — zdziwił się. — To i w Danii był głód pod naszą nieobecność?

— Nie — zaśmiała się Vali. — Uddorm umie z ziemi coś wycisnąć. Twoi synowie nie mogą usiedzieć na miejscu, a strzelanie z łuku do chochoła na

placu albo do tarczy już im się dawno znudziło. Chcesz pomówić z córkami?

— Dawaj! Niech je Melkorka przyprowadzi.

Weszły do halli nieco skrępowane hałasem, tłumem i śmiechami. Jemu śmiech uwiązł w gardle na ich widok. Obie jasnowłose, wyglądały jak ich matka, tylko oczy miały jego, niebieskie. Wpatrywały się w niego tymi oczami, stojąc o dwa kroki od tronu i nie zamierzając podejść. Uparciuchy, wiadomo po kim.

— Nie znam tych dziewczynek — powiedział całkiem poważnie. — Chyba mi je podstawiono. Moje córki pocałowałyby ojca natychmiast.

Astryda cmoknęła go w policzek sztywno. Sventoslava wyciągnęła oskarżycielsko palec.

— Boję się twojej brody — powiedziała. — Nie chcę cię całować, bo mnie ukłujesz.

Zaśmiał się i złapał sztywne widły brody w garść.

— A teraz, jaśnie panienko? Pozwolisz?

— Pozwolę. — Skinęła główką i pocałowała go.

Złapał ją i posadził sobie na kolanach. To ośmieliło Astrydę. Wdrapała się obok siostry.

Melkorka patrzyła na nie z niepewnością, ale po chwili, gdy się rozgadały, odetchnęła.

— Co nam przywiozłeś?

— Jakie masz podarunki?

— Ja bym chciała dostać swoje własne zwierzątko, bo Knut ma węża, a Harald psa.

— A ja wezmę ten pierścionek od taty. Jest bardzo ładny, ale na mnie za duży.

— A ja wezmę ten naszyjnik i tamten.

— A ja bym chciała mieć takie rysie, jak mama miała.

— Kiedy ona wróci?

Zamarł.

— Nie wróci — odpowiedział cicho.

Gdy był na wyprawie, na wojnie, nie musiał o tym myśleć. Choć to nieprawda, myślał. Ale przynajmniej nie musiał odpowiadać na pytania dzieci. Otrząsnął się. Wolał zabijać, niż brać jeńców, ale życie nie jest takie proste.

— Nie mówmy o niej — powiedział na koniec i dodał: — Vali, nalej mi!

Zima minęła spokojnie i szybko, wiosną miał gościa.

— Thorkel Wysoki! Tyle lat! Poznałbym cię po tym krzywym nosie na końcu świata. Wciąż pływasz na „Zelandzkim Sokole”?

Dawny jomswiking postarzał się, ale tak, jak starzeją się morscy wojownicy, których skórę konserwuje wiatr i sól. Wysoki ponad miarę, szeroki w plecach, szczupły i żylasty. Ciemne oczy w ogorzałej twarzy lśniły ukrytą wesołością.

— „Zelandzkiego Sokoła” wziął mój brat, Sigvald, gdyśmy się rozdzielali przed laty. Moja łódź to „Nidhog”.

— Kąsający Lęk. — Sven kiwnął głową i zaprosił Thorkela do siebie. — Siadaj, nie pogryziesz mnie?

Thorkel wyszczerzył zęby, aby pokazać, że ma czym, i zaśmiał się.

— Jestem zaszczycony miejscem obok największego króla Północy. Choć przywiozłem ci z Anglii niezbyt pomyślne wieści.

— Co jest? Król Ethelred nagle stał się władcą silnym i potężnym? Buduje flotę, by zmierzyć się ze mną na morzu?

— Blisko, jesteś blisko. Flotę na zlecenie króla buduje niejaki Eadric Streona, nowy ealdorman Mercii. Plany mają wielkie, drzewa idą pod topór. Gada się, że Streona dostał srebro na sto łodzi.

Sven gwizdnął i spytał:

— Czy któraś z nich już zwodowana?

— Nie — spokojnie odrzekł Thorkel. — Mówię, że na tę flotę dopiero ścinają las.

— Ale srebro wydane? Ot, gospodarny ten król! Jak słyszę takie wieści, to zaraz mam ochotę podnieść żagiel na „Gniewie” i płynąć do Anglii. Do mojej wiecznie pełnej szkatuły.

— Ze Streoną należy się jednak liczyć, ma wpływ na króla, jak wcześniej żaden z ealdormanów. To przebiegły lis i mistrz dworskiej intrygi. Po tym jak odpłynąłeś, poleciały głowy.

— Czyje? — zaciekawił się Sven. — Wszak ealdorman Anglii Wschodniej, Ulfcetel, negocjował ze mną danegeld na polecenie króla. Tak przynajmniej mówił, a ja srebra nie pytam, z czyjego skarbca przyszło.

— Owszem, Ulfcetel działał z polecenia króla. Ale namiestnik Yorku nie. Król stracił Elfhelma…

O, to moje słodkie córki nie mają już teścia — pomyślał Sven.

— …a jego dwóch synów oślepił — dokończył Thorkel.

No i po wielkich planach. Ślepi zięciowie do niczego mi się nie przydadzą. Skąd król się dowiedział o ich spotkaniu? I co znacznie ciekawsze, skąd o tym wiedział Thorkel?

— Co ty na takie wieści, królu? — dopytał jomswiking, bo Sven milczał.

— Nic. — Sven wzruszył ramionami. — Pomówmy o czym innym. Jakie ty masz plany? Mówią, że wyciągnąłeś resztę żelaznych chłopców z Jom.

ŚWIĘTOSŁAWA słuchała opowieści biskupa Brunona z Kwerfurtu, lecz prócz tego, co mówił, pociągał ją sposób, w jaki to robił. Był w jej wieku, może trochę młodszy. Miał ciemne, wijące się włosy, ciemną, równo przystrzyżoną brodę i oczy jak dwa żarzące się węgle. Nawet jego skóra zdawała się nieco ciemniejsza, śniada. Był szczupły, nadzwyczaj zręczny w

ruchach, co nadawało mu urok egzotycznego zwierzęcia. Wychowany w bogatej i świetnie ustosunkowanej rodzinie saskich grafów z Kwerfurtu, z wyjątkową łatwością poruszał się w gąszczu miejsc i nazwisk najważniejszych ludzi Italii i Rzeszy. Król Henryk, wykonując ustalenia zawartego w Poznaniu pokoju, wypuścił Brunona z Magdeburga, wszak ten był już wyświęcony przez arcybiskupa Tagino, nim zaczęła się wojna.

Od początku znalazł wspólny język z Bolesławem, bo Brunon, jak i jej brat, podziwiał nieżyjącego cesarza Ottona. Poza tym to właśnie Brunon, na osobistą prośbę cesarza, opiekował się Bezprymem w eremie Romualda. Wiadomość o tym, co spotkało młodego księcia, przyjął z bólem.

— Bóg ma wobec nas własne plany — powiedział. — Ci z nas, którzy potrafią rozpoznać ścieżkę, którą wskazuje Pan, cierpią mniej niż ci, którzy przez życie idą po omacku.

— A ty, biskupie? — zapytała go. — Jak rozpoznałeś swoją drogę?

— Wskazała mi ją śmierć mego mistrza, świętego Adalberta Wojciecha — odpowiedział. — Poznaliśmy się na dworze Ottona, nim ruszył do Polanii, a stamtąd na misje. Wtedy, gdy rozmawialiśmy o głoszeniu Słowa Bożego poganom, nie rozumiałem go. Byłem w kapelanii Ottona, a dwór cesarza ma ten rodzaj uroku, który trudno przezwyciężyć. W złotej klatce nawet pręty wydają się piękne — westchnął Brunon. — A on opowiadał, że ruszy w nieznane, w krainę niezgłębionych borów, puszcz i jezior. Niemal widziałem to błoto, przez które miał się przedzierać, te chaszcze, mokradła… I wierzcie mi, kiedy po rozmowie z Adalbertem wróciłem do swej komnaty, z ulgą naciągnąłem na siebie wonne, czyste prześcieradło. Ale od chwili, gdy przybył do nas Radzim Gaudenty i zdał relację z męczeńskiej śmierci biskupa, nie mogłem przestać o tym myśleć. A później spotkanie z Romualdem w Pereum i siła oddziaływania wielkiego, świątobliwego starca rzuciła mnie na kolana. Zrozumiałem, że właśnie w

tej ewangelicznej prostocie i wyrzeczeniu się wszelkich uciech tego świata tkwi wyjątkowa moc…

— Mój Ion nie poznał się na niej. — Świętosława wzruszyła ramionami. — Uciekł od Romualda i Piotra Orseolo, bo mawiał, że od korzonków mu nie staje. A teraz odbywa pokutę w międzyrzeckim klasztorze. Od korzonków uciekł, do korzonków wrócił, taki los!

— Sam go wybrał? — spytał Brunon.

— Uhm — kiwnęła głową.

— Tyle tylko — mówił dalej ich nowy biskup misyjny — że po pewnym czasie odkryłem, iż moja droga biegnie pomiędzy ścieżkami Romualda a Wojciecha. Eremici wyrzekają się spraw tego świata, by całe swe istnienie ofiarować kontemplacji Boga. Dlatego zamykają się na uboczu, by oddzielić swe życie od spraw światowych, ale i oderwać je od ludzi. Tylko oni i Bóg. Misjonarz zaś oddaje swe życie służbie bożej, wiedząc, iż może je oddać w sensie dosłownym. Misja to posłannictwo do tych, którzy nie znają Boga, więc jest jednocześnie otwarciem się na kontakt ze światem.

— A chrzczenie pogan na siłę? — spytała. — Zmuszanie ich mieczem przystawionym do gardła, by zostawili starych bogów i przyjęli Chrystusa?

— No cóż… — Brunon rozłożył ręce. — Są tacy, którzy by powiedzieli, że każda droga prowadząca do Pana jest dobra.

Myślała o Olavie. Widziała jego białe włosy, jasne, uparte oczy. Jego zamiar ochrzczenia całego kraju, choćby wbrew wszystkim.

— A ty? — nacisnęła na Brunona. — Co ty o tym myślisz?

— Nie męcz biskupa — wtrącił się Bolesław.

— Ależ biskup Brunon sam mówił, że chce być męczony jak Wojciech — postawiła się.

— Tak, a ty jesteś gorsza od Prusów!

— Nie. Jestem tylko ciekawa. Biskupie?

Ciemne oczy Brunona zamknęły się na chwilę, jakby zasnął.

— Biskupie? — spytała cicho.

Otworzył powieki. Po policzkach zaczęły płynąć mu łzy.

— Dziękuję ci, pani — wyszeptał. — Sprowadziłaś mnie na ziemię, od której tak często się odrywam, gdy myślę o swej misji. Masz rację, Świętosławo. Chcąc iść drogą Wojciecha, będę męczony.

— Wybacz. — Zrozumiała powód jego łez. — Nie chciałam… Sądziłam, że zdajesz sobie sprawę, iż Wojciech nie umarł szybko i lekko. Wybacz.

— Nie, nie. Masz rację i ja przecież o tym wiem, pisałem jego żywot. Tylko zwykle nie myślę o bólu, ale o szczęściu, jakie nastąpi, gdy spotkam się z naszym Panem. Uświadomiłaś mi, że muszę myśleć i o bólu, by w chwili próby zachować się godnie. Męczennik musi oddać swe życie z radością. Nie może, za przeproszeniem, wierzgać i wyć, bo to tak, jakby dawać podarunek jedną ręką, a drugą go wyrywać.

— Dostałeś papieską zgodę na misje na Połabiu — przeszedł do konkretów Bolz. — Ale tam wojna, jak za czasów Wojciecha. Zginiesz nie dlatego, że będziesz głosił Ewangelię, ale dlatego, że staniesz na ziemi wściekłych Wieletów.

— Mam zgodę na misje nie tylko na wschodzie cesarstwa. Mogę udać się i do Prusów, jak mój mistrz.

— Są i inne ziemie. Kraj pochodzenia matki Bezpryma, ojczyzna Czarnych Węgrów. Od lat mają kontakty z wiarą i od lat nikt nie potrafił uwieść ich dusz. I ziemie Pieczyngów na pograniczu z Rusią. Gdybyś poskromił tych szaleńców, miałbyś jeszcze inną zasługę wobec Kościoła.

— Rozumiem — Brunon skinął głową — że duszpasterze wschodniego cesarstwa zapuszczali tam swe macki, tak?

— Jeśli nawet, to nie odnieśli z tego żadnych korzyści. Pieczyngowie jak czcili końskie głowy, tak czczą. Poza tym, mógłbyś się spotkać z kniaziem

kijowskim, Wladimirem.

Nie przerywała bratu, wiedziała, jaki ma plan. Pragnął przy okazji misji Brunona ugrać coś dla siebie. Słowiańszczyzna w głowie Bolesława rozrastała się nieustannie; utrata Czech i chwilowy spokój na Zachodzie sprawiły, że jej brat już myślał o Wschodzie. Wszystkie poselstwa z Rusi głosiły chwałę tamtejszego księcia, więc Bolesław wyciągnął z Bodzi Daniłę, oddanego sobie Rusina z rodu dawnych uciekinierów z Kijowa, który udał się na Wschód i szybko pozyskał całą sieć wywiadowców w księstwie kijowskim. Bolesława interesowały głównie kłopoty Wladimira z następstwem tronu. Wizyta Brunona na dworze kniazia dałaby mu możliwość wyważenia sądu. Najwyraźniej Brunon nie miał nic przeciw temu, by stać się człowiekiem jej brata.

Brunon robi wszystko tak jak Wojciech, jego mistrz — pomyślała i odczekała, aż skończą.

— Masz ochotę przejść się ze mną po grodzie? — spytała Brunona po spotkaniu z Bolesławem.

— Nie odmówię, pani — powiedział biskup, choć wyglądał na zmęczonego.

Wyszli z palatium, w tyle zostawiając katedrę, skierowali się ku zachodniej bramie Poznania. Poprowadziła go na most, skąd roztaczał się majestatyczny widok na Wartę.

— Mój brat potrafi wyssać człowieka jak strzyga, tyle że one żerują tylko w nocy, a książę Bolesław dzień i noc. — Zobaczyła zaskoczone oczy Brunona i uspokoiła go: — To był żart! A teraz chcę pomówić z tobą o poważnej sprawie. Moj pierworodny syn, Olof Król Szwedów, wciąż jest nieochrzczony. Gdy ojciec wydawał mnie za mąż za Erika, dał mi na pokład „Wyniosłej Olbrzymki” kapłana, ale biedak nie przeżył podróży. Jedyny chrześcijanin na dworze mego męża okazał się intrygantem i… musiał

oddać życie. A mnich, którego mąż mi przywiózł jako łup wojenny, Ion, dawny kompan twego Romualda, nie miał święceń, a potem, jak już wspomniałam, wydało się, iż był zdrajcą. Owszem, Erik wybudował mi w Sigtunie kaplicę, ale Ion twierdził, że na niepoświęconej ziemi jest warta tyle, co szopa na łodzie…

— Dlaczego nie wysłałaś synowi któregoś z poznańskich kapłanów? — Brunon przyjrzał jej się uważnie.

— Stoi między nami pewna zadra — wyjaśniła niechętnie. — Zdrada.

— Kto kogo zdradził?

— A co? To spowiedź? — zdenerwowała się.

— A nawet jeśli?

— Mam złe doświadczenia. Gdy postanowiłam się wreszcie wyspowiadać, Ion złamał tajemnicę i sprzedał wyznania memu mężowi. Sam rozumiesz. — Owinęła się płaszczem szczelniej.

— Nie — pokręcił głową Bruno. — Nie rozumiem. Najpierw mówisz, że Ion nie miał święceń, potem, że się u niego spowiadałaś. Wybacz, królowo, to brzmi dziwacznie.

— No wiem. Wybaczam ci. — Wzruszyła ramionami zła na siebie, że zabrnęła w tę rozmowę.

Bruno nieoczekiwanie chwycił ją za łokieć tak mocno, że syknęła.

— Rozmawiamy o misjach wśród pogan. O poszerzaniu horyzontów, wielkich planach! A ja zaczynam rozumieć, że pierwszą misję powinienem przeprowadzić tutaj, w Poznaniu. Z tobą. Może i z twoją siostrą, o której wspomniał mi biskup Reinbern.

— Nie dam ci satysfakcji śmierci męczeńskiej — odwarknęła.

— Chyba źle mnie zrozumiałaś, pani — odpowiedział zimno, zatapiając w niej spojrzenie ciemnych oczu. — Ja nie szukam bezsensownej śmierci dla sławy. Szukam sensu śmierci jako przejścia do życia wiecznego.

Puścił jej łokieć i spytał zupełnie spokojnie:

— Kiedy ostatni raz spowiadałaś się tak naprawdę?

Zamyśliła się.

— Dwadzieścia lat temu, tam, w pałacowej kaplicy — odpowiedziała po chwili. — W noc przed wyjazdem z domu do pierwszego męża.

Patrzył na nią. Widziała ciemny i migotliwy rysunek jego źrenic.

— Zawrzyjmy umowę, Świętosławo. Mam prawo wyświęcania kolejnych biskupów misyjnych. Ja przygotuję kapłana, który popłynie do Sigtuny, a ty nauczysz go języka i dasz mu kogoś ze swych ludzi.

— Dobrze — odetchnęła z ulgą.

— Nie skończyłem. — Brunon się roześmiał, odrzucając włosy. Dopiero teraz zauważyła dołek w jego brodzie. Głęboki jak cięcie nożem. — Zrobię to pod warunkiem, że zrobisz rachunek sumienia i przygotujesz się do spowiedzi.

Skrzywiła się. Chciała to zrobić, naprawdę. Myślała, że poprosi Ungera, ale gdy już prawie była gotowa, ten wyjechał do Magdeburga i przepadł jak kamień w wodę. Jednak, skoro król Henryk po pokoju poznańskim wypuścił Brunona, może wypuści Ungera? Tak, wolała poczekać na ulubionego biskupa.

— Nie chcę cię urazić, Brunonie z Kwerfurtu… — odezwała się, ale ten jej przerwał.

— To nie podlega negocjacjom.

Patrzyli sobie w oczy przez chwilę jak mierzące się przed atakiem wilki.

— No dobra — westchnęła. — Zaufam ci. Ale nie dzisiaj, najwcześniej jutro.

— Naturalnie. — Brunon skinął głową. — Musisz się przygotować, zrobić rachunek sumienia z dwudziestu lat, wzbudzić w sobie żal za grzechy…

— Nie zapominam o nim w żadnej chwili mego życia — odpowiedziała. — Od sześciu lat noszę cierniową koronę.

Brunon nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie i pocałował. Prosto w usta.

Późnym popołudniem poprosił ją do siebie Bolesław. Na stole stał dzban wina, a jej brat krążył po komnacie jak żbik.

— Mam nowy pomysł.

— Nie wątpię. Nie wzywałbyś mnie, żeby opowiadać o starym. — Usiadła i nalała sobie.

— Nie wzywałem, prosiłem. Co jesteś taka skwaszona? Brunon odmówił ci misjonarzy do Sigtuny? Mnie nie odmawia, sam go poproszę.

— Nie trzeba. Wszystko już załatwione. — Wzdrygnęła się na wspomnienie dziwnego pocałunku. — Co to za wino? — spytała, bo miała wrażenie, że ukąsiło ją w język.

— Węgierskie. Słuchaj, zbuduję katedrę dla Brunona.

— Nie będę z tobą rozmawiać, jeżeli będziesz tak krążył. Boli mnie głowa, a nie lubię mówić do twoich pleców. Siadaj.

Nieprawda. Nie głowa ją bolała, ale piersi, po raz pierwszy od tylu lat zgniecione w męskim uścisku. Bolesław usiadł, ale po jego minie widziała, że nie wytrzyma tak długo.

— Biskupstwo Północy — powiedział i zalśniły mu źrenice. — Na północno-wschodnich rubieżach Polanii. W Kałdusie. Co ty na to?

— Kałdus? Gdzie to jest?

— Na prawym brzegu Wisły, niedaleko granicy z Prusami. Będzie miał blisko do miejsca śmierci swego mistrza. Ośrodek misyjny, a nie jakiś erem. Wybuduję katedrę wielką jak w Poznaniu i Gnieźnie.

— Poczekaj, Bolz. Czy ja cię dobrze rozumiem? Chcesz uwięzić Brunona w Kałdusie?

— Źle! — Uderzył pięścią w stół.

Mogła być pewna, że trafiła.

— On chce być męczennikiem, jak Wojciech. Nie umiesz tego zrozumieć? Nie da się zamknąć w najpotężniejszej choćby katedrze. Będzie chciał iść do Prusów.

— Do diabła! — krzyknął brat. — Pójdzie do Czarnych Węgrów, Pieczyngów i na Ruś. Ale do Prusów tylko pod zbrojną strażą mej drużyny. Nie pozwolę mu zginąć. — Zielone źrenice Bolesława pulsowały wściekle. — Brunon z Kwerfurtu jest dla mnie cenniejszy żywy niż martwy. To wykształcony, świetnie ustosunkowany człowiek, który na własnej skórze doświadczył obłudnej polityki króla Henryka. Jego głos w Rzymie będzie znaczył więcej niż sto innych głosów! Zbuduję mu katedrę, klasztor, opactwo, co zechce, ale nie dopuszczę do jego bezsensownej śmierci.

Napiła się ostrego węgierskiego wina, które znów uszczypnęło ją w język. Może tylko dlatego powstrzymała się od powiedzenia, że Brunona nie da się zatrzymać.

— To najsłabiej zorganizowana część kraju — powiedziała po chwili. — Sieć grodów rzadka, a niebezpieczeństwo najazdu duże. Czy dobrym pomysłem jest budowanie tam wielkich katedr?

Poklepał ją po ręce jak dziecko i odrzekł:

— Najlepszym, jaki przyszedł mi do głowy.

BOLESŁAW wpatrywał się w grę świateł na wyłożonej szklanymi płytkami ścianie pałacowej kaplicy. Migotały głębokim, bursztynowym blaskiem. Z zadumy wyrwał go głos Bezpryma.

— Wzywałeś mnie. Oto jestem.

Odwrócił się ku wejściu. W oczach wciąż miał lśnienie płytek, przez co sylwetka syna jawiła mu się ciemną plamą.

Jest niczym mroczna otchłań w jasności — przebiegło Bolesławowi przez głowę i wzdrygnął się na to porównanie.

— Zamknij drzwi — poprosił Bezpryma — i podejdź do mnie.

Zrobił to i stanął przed nim, wysoki, barczysty, ciemnooki.

— Stoimy na grobach przodków — powiedział Bolesław. — Pod tą posadzką spoczywają twój dziadek i babka.

— Każdy kiedyś umrze — bezbarwnie odpowiedział Bezprym. — A niektórym przydarza się śmierć za życia.

Gdyby był chłopcem, przytuliłbym go albo wziął za rękę — pomyślał Bolesław. — Ale teraz już na to za późno.

— Synu — powiedział głośno i usłyszał, że jego głos brzmi chropawo. — To nie może trwać dłużej. Muszę rozstrzygnąć.

— Co? — Bezprym wyzywająco uniósł podbródek.

— Następstwo — odpowiedział Bolesław. — Jesteś mym pierworodnym, ale nie zostaniesz moim dziedzicem.

Źrenice Bezpryma zwęziły się. Wypuścił powietrze i syknął:

— Bo Jaromir Przemyślida, chcąc ukarać ciebie, pozbawił mnie szans na potomków? Dlaczego tego nie wypowiesz, ojcze, co? Nie chce ci przejść przez gardło, że ty taki jurny buhaj, a syn już nie jest mężczyzną? Mylisz się! — krzyknął, aż z ust poleciały krople śliny. — Mierzysz męskość liczbą dzieci czy długością…

— Przestań! — warknął Bolesław, łapiąc go za nadgarstek.

Bezprym wyszarpnął dłoń.

— Jestem wściekły, ojcze! Wiem, że nie ty wykastrowałeś mego kata, ale ja zapłaciłem za twe czeskie ambicje! Ja! Ty zbierasz laury, ja płacę każdego dnia. Myślisz, że nie widzę spojrzeń na dworze? Politowania w oczach służby? Dziwisz się, że nie chcę tu przyjeżdżać, że wolę klasztor w Międzyrzeczu? Tam nikt nie patrzy na mnie jak na kalekę!

Pozwolił mu się wykrzyczeć. Patrzył w pulsujące gniewem ciemne źrenice syna i czuł każdy odcień jego wściekłości i bólu. Gdy Bezprym zamilkł, odezwał się spokojnie:

— Nigdy nie pomyślałem o tobie jak o kimś gorszym. Wiem tylko, że nie możesz mieć dzieci, a władca musi posiadać dziedziców. To brutalna prawda, ale innej nie ma. Nie odwrócimy tego, co się stało, choć gdybym mógł, cofnąłbym czas i odstąpił zdobywania Pragi.

— Nie wierzę. — Bezprym wykrzywił usta w grymasie.

— To uwierz! Co mogę powiedzieć? Że prędzej czy później pomszczę twą krzywdę? Przecież wiesz, że to zrobię. Ale nie o tym chcę mówić. Mam dla ciebie propozycję.

— Już ją złożyłeś. — W głosie Bezpryma zabrzmiała drwina. — Odsunąłeś mnie od władzy.

— I tak jej nie chciałeś. Wolałeś pustelnię.

— Wolałem, a ty tej woli nie chciałeś uszanować.

Bolesław z trudem panował nad nerwami. Bezprym niczego mu nie ułatwiał.

— Synu, nie będę się powtarzał, że czasu nie można cofnąć. Stało się. Mieszko zostanie mym następcą jako książę Polanii, ale chcę dać ci własną dzielnicę. I zadanie. Posłuchaj, nie przerywaj mi — poprosił, bo widział, że Bezprym otwiera usta. — Północno-wschodnie rubieże kraju, przy granicy z Prusami. Dzika i nieujarzmiona kraina. Dziewicza. Chcę dać ci tę trudną do okiełznania dzielnicę, bo wierzę, że sobie z nią poradzisz. I mam wielkie plany. Biskupstwo z siedzibą w Kałdusie.

— Kałdus? — Bezprym się skrzywił.

— Tak, Kałdus. Wzgórze, na którym jest gród, przypomina Veszprém, miejsce, gdzie spoczęła Karolda, twa matka. Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, przetarłem oczy, bo myślałem, że śnię o krainie Madziarów.

Chcę, by w Kałdusie stanęła katedra tak potężna jak w Gnieźnie i Poznaniu. Dla Brunona. A ty, synu, stałbyś się mym namiestnikiem i zbrojnym ramieniem Brunona w chrystianizacji Prusów i Jaćwingów. Pomyśl tylko, to jest wyzwanie. Nie będziesz mężem i ojcem, ale możesz stać się mnichem i wojownikiem w jednej postaci. Twoja dusza, jak dusza twej matki, ma dziki i niespokojny nerw koczownika. — Złapał syna za ramiona, a ten mu się nie wyrwał. — Tam pustkowie, chcesz eremu, założysz erem. Ale ja oczekuję, że staniesz się wojującym misjonarzem. Pokonasz Prusów, pomożesz Brunonowi w misji! Walcz! Bo kto walczy, wygrywa. Mówię ci to tutaj, stojąc na grobach moich i twoich przodków! Przed ołtarzem, przed świętym krzyżem!…

Bezprym wyszarpnął się z jego uścisku, zagryzł wargi do krwi i cofnął o krok.

— Nie rozkazuj, ojcze! — powiedział, tłumiąc gniew. — Daj mi podjąć decyzję!

Mierzyli się wzrokiem przez chwilę. Źrenice jego syna były jak kipiel, jak rozgrzany, płynny ołów. Bezprym odwrócił się i wybiegł z kaplicy.

ASTRYDA dostała od Bolesława Bjornara, który cieszył się sławą jednego z najbardziej zaufanych ludzi księcia. Wśród budzącego podziw orszaku, wraz z Bjornarem, na Wolin przybył jej bratanek, młody książę Mieszko. Wszystko po to, by negocjować z potężnymi wolińskimi kupcami. Dalwin od pół roku nie wstawał już z łoża. Jego dni były policzone.

— Nim zamknę oczy — mówił — mogę jeszcze braciom kupcom przekazać swą wolę. Czy jej usłuchają? Nie mam pojęcia, choć liczę, że długie lata mego namiestnictwa były dla nich dobre…

Szła z Bjornarem i Mieszkiem wzdłuż nabrzeża wolińskiego portu. Widziała, jak bratankowi lśnią oczy.

— Od wiosny do jesieni port jest pełen statków — tłumaczyła mu jak przed laty Dalwin Świętosławie. — Znajdziesz tu, młody książę, okręty kupców arabskich, ruskich i flandryjskich. I łodzie z najdalszej północy, z krainy polarnej zorzy. Zimują na Wolinie nieliczni, ci, dla których był przystankiem w naprawdę dalekim rejsie ze wschodu na zachód albo z północy na południe. Niektórzy z zamorskich kupców mają tu na stałe swe domy, inni korzystają z miejsc w domach żeglarzy albo najmują gospody. Są takie, w których wynajmiesz alkowę z łożem okrytym złotogłowiem i strażą przed drzwiami.

— A kościół, wolińska pani? Gdzie jest kościół? — Mieszko rozglądał się niespokojnie.

Chłopak od najmłodszych lat był kształcony na duchownego. Czytał i pisał po grecku i łacinie. Nikt nie przewidział okrutnego biegu zdarzeń i tego, że zamiast biskupem Polanii zostanie następcą tronu. Teraz, gdy Bolesław podjął decyzję i ją ogłosił, Mieszko, jako przyszły władca, został natychmiast wdrożony przez ojca do pełnienia obowiązków. Spojrzała na niego. Siedemnastoletni Bolesław wyglądał niemal tak samo. Wysoki, smukły, o lśniących włosach barwy bursztynu. Łączyło ich zewnętrzne podobieństwo, a jednak różnili się między sobą bardzo. Jak gładkie, letnie morze i jesienny, gwałtowny sztorm. Bolesław od dziecka był nieposkromiony. Tylko żelazna wola ich ojca utrzymywała go w ryzach, ale nie trzeba było nadmiernej uwagi, by dostrzec, iż wciąż kipiał. Młody Mieszko wydawał się spokojny, ułożony, jakby jego duszą nie targały większe niepokoje. Nawet ich spojrzenia były różne. Mieszko patrzył na świat niebieskimi, pogodnymi oczami Emnildy. W oczach Bolesława wciąż pulsowały wielobarwne wiry.

— Zatem gdzie na Wolinie jest kościół? — powtórzył łagodnie, ale z uporem.

Minęli port kupiecki, szli dalej ku wąskim pomostom przeznaczonym dla rybackich łodzi. O tej porze nie było tu ruchu, poranny połów już dawno sprzedano; żony rybaków rozplątywały sieci, dzieciaki czyściły kosze na ryby. Trzy, cztery mewy krążyły nad nimi w nadziei na łatwy łup, jakąś wysupłaną z sieci martwą rybę.

— To nie takie proste, bratanku — odpowiedziała po dłuższej chwili Astryda. — Musisz zrozumieć naturę tego miejsca, które jest przystanią dla ludzi wielu nacji, wielu różnych bogów i wyznań. Każdy z nich po męczącej i niebezpiecznej podróży pragnie spokoju i musi czuć się tu dobrze. Zależy nam, by swoje interesy prowadzili na Wolinie, a nie w Hedeby czy Truso. Dlatego przed wielu laty zaprzysiężono umowę, w myśl której można u nas modlić się do każdego z bogów, nie wykazując jego wyższości nad innymi.

— Rozumiem. Zatem gdzie jest kościół? — powtórzył młody książę.

Jedna z kobiet rzuciła coś do wody i mewy z wrzaskiem puściły się ku zdobyczy. Mieszko odwrócił się gwałtownie, patrząc na drapieżny i krzykliwy pojedynek.

— Kapłani Chrysta byli jedynymi, którzy nie zgodzili się na ten pakt religijnej równości — odpowiedziała Astryda. — Wyznawcy Allacha spotykają się w domu najstarszego z arabskich kupców, Żydzi w chałupie na obrzeżach. Za warsztatem jednego z handlarzy bronią jest niewielka szopa, gdzie czczą Odyna i Freyę. A słowiański chram od lat znajduje się nad Dziwną. Mój dziad, Dalwin, zgodził się dać działkę kapłanom Chrystusa nieopodal chramu; jest tam piękna, piaszczysta łacha, w sam raz na nieduży kościółek. Lecz oni potrzebowali wyłączności, a ta jest wrogiem takiego grodu portowego jak Wolin.

Nie powiedziała więcej. Nie dodała, że kapłani Chrysta byli od razu gotowi do religijnej wojny, chcieli usuwać chramy, kąciny i wyczyścić

Wolin ze śladów innych bogów.

— Wygnaliście ich? — spytał Mieszko, patrząc, jak jedna z mew wygrała walkę i uciekała ku nadbrzeżnym zaroślom z rybą w dziobie.

— Nie, młody książę. Odeszli sami.

— Trzeba ich ponownie zaprosić — powiedział bratanek, zwracając ku niej głowę. — Mój ojciec, jako patron chrześcijańskich misji, nie może sobie pozwolić na to, by Wolin, choćby był nie wiem jak bogatym portem, pozostał nieochrzczony.

— Mieszku, pomyśl — przerwała mu, z trudem panując nad irytacją. — Czy twój ojciec nie kupuje od arabskich kupców jedwabiu? Nie pija wina, które mu przywożą z zamorskich krain? Nie korzysta z wieści, które Żydzi, Normanowie i Arabowie zwożą mu z całego świata? W pewnych sprawach potrzebna jest delikatność.

Mieszko patrzył na nią i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w spojrzeniu bratanka jest ledwie skrywana wyższość; jakby dorosły mówił do małego dziecka.

— Ja to rozumiem, Astrydo, ale także i ty powinnaś zrozumieć racje mego ojca. Gdy staje do wojny z królem Henrykiem i chce pokazać całemu chrześcijańskiemu światu, że to król Rzeszy łączy się przeciw niemu z poganami, nie może sobie pozwolić, by i jemu wytknięto podobne związki.

Zacisnęła usta.

— Czy młody książę musi być obecny podczas negocjacji z kupcami? — spytała na uboczu Bjornara, gdy Mieszko się oddalił.

— Tak — kiwnął głową. — Ale to ja mam ostatecznie podjąć decyzję.

— Jestem przekonana, że jeśli Mieszko wypowie się w tym tonie, szala głosów przechyli się na korzyść Racibora.

Kupcy wolińscy sami wybierali swego wodza i naczelnika. Gdyby przed laty Mieszko jako namiestnika narzucił im kogoś, na kogo by się nie

zgadzali, ten nie utrzymałby się w Wolinie. Stawiając na Dalwina, Mieszko poślubił Urdis, jego córkę i przyszłą matkę Astrydy. Potem, gdy przyjął chrzest i oddalił żony, jakie miał przed Dobrawą, żadna z nich, ani z ich dzieci, na tym nie ucierpiała, więc sojusz gwarantowany pozycją Dalwina trwał, a po śmierci Mieszka przeszedł na Bolesława. Teraz jednak było na odwrót. Nieuchronnie nadchodził kres życia Dalwina i wraz z nim Bolesław mógł stracić Wolin. Jomsborg opuszczony przez żelaznych chłopców, którzy pociągnęli za Thorkelem Wysokim, już nie był zbrojnym, morskim ramieniem Polanii. Owszem, Astryda osadziła tam wojów pod wodzą Sambora, ale ich zadaniem było tylko strzeżenie wolińskiego portu przed najazdem z morza i lądu.

— Opowiedz nam o ludziach, którzy walczą o władzę nad bogactwem Wolina — poprosił bratanek, gdy wrócili z przechadzki po nabrzeżu i spotkali się w świetlicy jej dworu.

Busla podała smażone jesiotry, świeżą śmietanę i słone cebule, które rosły na nadmorskich łąkach.

— Jest ich dwóch — zaczęła. — Tomir, przyjaciel i kontynuator dzieła mego dziada Dalwina, a naprzeciw niego Racibor, który owszem, szanuje dorobek odchodzącego namiestnika, ale z całą pewnością zupełnie inaczej myśli. Dorobił się na handlu bronią. Angielskie ostrza, duńskie topory, stal frankijska i fryzyjska. Skupia wokół siebie najsilniejszych rzemieślników Wolina, kowali, i najbogatszych, złotników. Racibor był wśród tych, którzy głośno pomstowali na upadek warowni jomswikingów, wiadomo, byli jego klientami i dostawcami jednocześnie. Sprzedawali mu broń zdobytą na wrogach i kupowali lepszą. Przywozili z wypraw najnowsze wzory ostrzy, a Racibor zlecał swym kowalom zrobienie takich samych. Mówi się, że miał też pracownię podróbek, gdzie kuto stal na wzór pewnego angielskiego kowala i sygnowano jego imieniem, ale może to tylko złośliwe plotki.

Racibor nie pogodził się z tym, że tamte czasy minęły. Chciałby, żeby w Jom wciąż stacjonowali żelaźni chłopcy, dzięki którym jego interes by kwitł.

— Ten, kto czerpie zyski z handlu bronią, zawsze wesprze wojnę — powiedział młody Mieszko. — A kim jest Tomir?

— Wyrósł w rodzinie rybaków. Jego dziad zaczynał, jak wielu tutaj, od jednej łajby pełnej podartych sieci, ale już ojciec Tomira miał pod sobą kilkanaście łodzi do połowu śledzia, dorsza i większej ryby. A Tomir zarobione na połowach srebro przeznaczył na budowę tkalni. Zaczynał od żagli, a potem skupił w swym ręku handel płótnem, wełną, suknem i skórami. Pracują dla niego powroźnicy, tkaczki, hafciarki i cała rzesza rzemieślników.

— Jednym słowem, twardy handlarz bronią naprzeciw miękkiego handlarza rybami i suknem?

— Zapewniam cię, bratanku, że aby dojść do takiego bogactwa, jakie zyskał Tomir, nie można było być miękkim człowiekiem. Ale rację masz w jednym, z Tomirem można rozmawiać, z Raciborem trudno.

— Astrydo — przerwała im Busla. — Powinnaś iść do Dalwina. To już ten czas.

— Wybaczcie. — Skłoniła się gościom, wzięła od Busli wełnianą chustę i wyszła.

Dalwin, mimo choroby, nie zgodził się z nią zamieszkać w wolińskim dworze, tym, który podarował jej po ślubie z Sigvaldem. Wolał swoją chatę z widokiem na port. Idąc do niego, usłyszała odległy, trzykrotny dźwięk rogu odbity od tafli wody.

— Ciekawe, kto przybył do Jom — zagadnęła Busla. — Nie wiesz, czy Sambor spodziewał się gości?

— Nie moja sprawa — odpowiedziała, okrywając się chustą. Wiatr od Dziwny szedł wilgotny i chłodny. — Co z nim?

— Zobaczysz sama — westchnęła Busla. — Jak mawiała moja ciotka, „żyje czy już nie żyje, wszystko mu jedno”.

— Ale nie mnie — odpowiedziała i pchnęła drzwi do chaty.

Dalwin pół leżał, pół siedział na rozłożystym, bogato rzeźbionym i wyścielanym futrami reniferów krześle. Głowę odchylił do tyłu, siwe włosy rozsypały mu się po ramionach, przymknięte powieki drżały lekko.

— Śpisz? — zapytała, przyklękając przy nim i chwytając jego wychudzoną, chłodną dłoń.

Nie odpowiedział, ale poruszył się, dając dowód, że żyje.

— Mówiłam — głośno potwierdziła Busla, przestawiając garnki. — Wszystko mu jedno!

— Zamilcz, proszę — odpowiedziała Astryda. — A jak nie potrafisz milczeć, to wyjdź.

— Ale jemu nie przeszkadza, czy ja gadam, czy się tłukę. Każdy musi umrzeć, a przecież lepiej, jak słyszy, że umiera w domu, no nie?

— Jednak wyjdź — poprosiła ją Astryda.

— Jak tam chcesz. — Busla wzruszyła ramionami. — Tyś tu pani.

Nie wiadomo jak długo — gorzko pomyślała Astryda. — Ale przynajmniej mogę wydać rozkazy na czas spokojnej śmierci Dalwina.

Gdy zamknęły się drzwi za Buslą, Dalwin drgnął. Podłożyła mu niewielką poduszkę pod głowę. Pogłaskała siwą brodę i włosy. Z trudem uniósł powieki. Jego oczy były jak zmącona woda, rozmyte i niewyraźne. Poruszał nimi, jakby patrzył na szybko przesuwające się obrazy. Wargi poruszały się, jakby chciał mówić. Nie — zrozumiała po chwili — on mówi, tyle że tutaj jego słów nie słychać. On mówi do swych bliskich zmarłych, którzy przyszli po niego.

Zamknęła oczy i wsłuchała się w ciszę. Z początku słyszała trzask polan w palenisku, dalekie nawoływania żeglarzy z portu, jakieś niemowlę płaczące w pobliskim domu. Męski śmiech. A później wszystkie te głosy oddaliły się i jakby spod nich wyłonił się szept Dalwina:

— Urdis, córciu, nareszcie cię widzę. Wciąż wypłakujesz oczy za Czciborem? Toś nie spotkała go tam, gdzie jesteś? Ano tak, dobrze gadasz, on ochrzczony i poszedł gdzie indziej. Nie, ja nie. Za niedługo będę z tobą i wszystko sobie opowiemy. Muszę się jeszcze pożegnać, czekaj na mnie, czekaj…

Palce Dalwina zacisnęły się nagle na jej dłoni i usłyszała jego chrapliwy szept:

— Astrydo…

— Ach — jęknęła, rozumiejąc, iż wrócił tu, do niej i to z nią musi się pożegnać.

Przez chwilę chciała udawać, że śpi, by nacieszyć się jego żywą obecnością dłużej, ale on oddychał tak ciężko, że nie miała serca go męczyć.

— Tak, dziadku? Jestem tu. Czuwam.

— Chcę… umrzeć…

— Rozumiem.

— Życzę sobie, byś mnie puściła z dymem na łodzi…

— Tak zrobię. Czarny róg zaśpiewa dla ciebie, gdy będziesz płynął do Nawii.

Kiwnął głową i twarz zaczęła mu się wygładzać.

— Dziadku, mogę o coś spytać?

Skrzywił się. Poczuła, że przerwała mu umieranie, ale skoro już się stało…

— Powiedz mi o mej matce i Czciborze, proszę…

— Dawne dzieje… Czcibor bardzo kochał Urdis, ale ona była żoną Mieszka, znaczyła dla niego sojusz z Wolinem, no wiesz… i dopiero gdy Dobrawa i tak dalej… to wtedy…

Astryda słyszała to po raz pierwszy. Nagle poczuła lęk.

— Kto jest moim ojcem? — spytała gwałtownie. — Czcibor? Czy…

— Mieszko, Mieszko… — uspokoił ją Dalwin.

— To dlaczego matka szuka Czcibora w Nawii?

Zachodzące mgłą oczy Dalwina poruszyły się, jakby coś zobaczył.

— Krzywda… — wyszeptał. — Krzywda Czcibora boli ją nawet po śmierci… wiesz, dziecko… ludzie niekochani przez nikogo cierpią tak strasznie… Ona… on… ją wziął, gdy Mieszko oddał… ale Urdis nie…

— Ach tak — zrozumiała w lot.

Wciąż obracamy się w zaklętym kręgu sióstr i braci — pomyślała. — Dziedziczymy po sobie nawet miłość.

— Dalwinie — powiedziała, choć wzruszenie dławiło jej głos. — Było mi z tobą tak dobrze…

— Spotkamy się… — Uśmiechnął się zupełnie bladymi wargami i po raz ostatni wciągnął powietrze.

Jak to jest? — pomyślała, płacząc. — Geira umierała, bojąc się mroku, który wciągał ją jak bagno. Mieszko odchodził w światłość życia wiecznego danego mu przez chrzest. A śmierć Dalwina była lekka jak podmuch wiatru w żagiel.

Po śmierci ojca Astryda niemal czuła gotowość, by przyjąć chrzest, widziała różnicę między jasnością, jaka go ogarnęła, i ciemnością, która wessała Geirę. Ale teraz znów dopadły ją wątpliwości.

Nie wezwała ani Busli, ani szarych sług. Sama chciała oddać Dalwinowi ostatnią posługę. Ubrała go, ułożyła jego piękne siwe włosy i brodę. Wpięła

w nią srebrne paciorki, które tak lubił. Na palce wsunęła pierścienie. A potem czuwała przy jego ciele, aż Leszko przygotował łódź.

— Wezwij Sambora z czarnym rogiem z Jom — powiedziała mu. — Chciałabym, aby jutro Dalwin odpłynął.

— Jak każesz, pani.

Z domu do przystani ciało na marach nieśli dawni towarzysze żeglugi. Ci, którzy z Dalwinem pływali, ci, których gościł pod swym dachem, ci, z którymi handlował, negocjował i pił. Wąskie zaułki Wolina pełne były ludzi. Kto żyw, chciał odprowadzić starego namiestnika. Na przystani czekał młody książę Mieszko, Bjornar i cała drużyna jej brata. Sambor, dowódca warowni, przypłynął na „Wilku z Jom” i gdy złożono ciało Dalwina do jego ostatniej łodzi, zadął w czarny róg.

— Wolin żegna namiestnika!

Niski dźwięk rogu przetoczył się po wodach Dziwny jak grzmot. Stała na szczycie pomostu, przy burcie Dalwinowej łodzi. Patrzyła, jak spoczywał na jej dnie. Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się. Pochylał się ku niej Thorkel Wysoki, brat jej nieżyjącego męża.

— Czy uczynisz mi ten zaszczyt i pozwolisz wypuścić strzałę?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co ją prosi. W drugiej przypomniała sobie dźwięk rogu witającego gości na bramie Jom, który słyszała w dniu śmierci Dalwina.

— Gdyby żył Sigvald, jako twój mąż miałby to prawo — powiedział łagodnie Thorkel.

— On nie żyje, a ty nie jesteś moim mężem — odpowiedziała. — Ale tak, możesz podpalić łódź.

Odcumował ją zręcznie i pchnął w nurt Dziwny. Sambor znów zadął w róg. Thorkel zanurzył grot strzały w ogniu i wypuścił płonący pocisk. Zajęło się futro, którym okryte było ciało Dalwina. Płomień spokojnie

przenosił się po pokładzie, aż liznąwszy żagiel, dostał podmuch i rozpalił go.

— Po co przybyłeś, Thorkelu? — spytała, ocierając łzy.

— Z wielu powodów — odpowiedział wymijająco. — Jednym z nich jest wiadomość dla twej siostry, Sigridy Storrådy. Liczę, że przekażesz ją, pani.

— Mów.

— Król Sven planuje jednego z ich synów uczynić angielskim panem poprzez mariaż z córką ealdormana Northumbrii. To może być dla niego przyczółek do wielkiej inwazji.

— Rozumiem. — Kiwnęła głową. — Czy możemy o tym pomówić później? Wciąż żegnam się ze swym dziadem.

— Pragnąłbym spotkać się z tobą sam na sam, Astrydo — powiedział wprost do jej ucha, aż poczuła dreszcz gorącego oddechu Thorkela. — Ale już załatwiłem swoje sprawy na Wolinie i w Jom i jeszcze dzisiaj muszę odpłynąć. Jeśli więc zależy ci na spotkaniu ze mną równie mocno…

— Nie przerwę żałoby tylko dlatego, że się spieszysz — odpowiedziała twardo. — Żegnaj, Thorkelu.

— Do zobaczenia, Astrydo — powiedział bez uśmiechu i odszedł.

Nie odwróciła się za nim. Natychmiast pojawił się przy niej Mieszko i spytał gniewnie, patrząc na szerokie plecy odchodzącego Thorkela:

— Spiskujesz z tym człowiekiem, wolińska pani? Pozwoliłaś mu podpalić łódź? Kim on jest dla ciebie?

— A co cię to obchodzi, bratanku! — warknęła na niego zła, że znów przerywają jej patrzenie na płonącą łódź.

Bjornar dopchał się do nich.

— Astrydo, musisz wiedzieć, że pod twą nieobecność Racibor, handlarz bronią, przejął kontrolę nad Wolinem. W noc śmierci Dalwina kupcy głosowali, w ostatniej chwili dołączył do nich Sambor z Jom, który

przyprowadził ze sobą Thorkela. Ich obecność sprawiła, że zagłosowano na Racibora.

— A więc stało się — westchnęła. — I nie mam już na to wpływu.

A raczej mogłam mieć, ale właśnie odmówiłam. Zrozumiała propozycję Thorkela, choć nie miała zamiaru powtarzać jej Bjornarowi.

— Udało ci się jakoś dogadać z Raciborem? — spytała. — Przyjmie zwierzchność Bolesława?

— Twierdzi, że będzie nad tym myślał, choć sądzę, że myśli o czymś zupełnie przeciwnym — odrzekł Bjornar. — Muszę natychmiast wyruszyć do Poznania. Powinnaś do nas dołączyć, bo nie wiem, czy będziesz tutaj bezpieczna.

— Nie będę — odpowiedziała. — Ale nie boję się. Przekażę ci wiadomość dla mojej siostry.

BOLESŁAW od miesięcy czuł się jak prządka i tkaczka jednocześnie i przysiągł, że jeśli mu się uda, nigdy więcej nie spruje bezmyślnie żadnego kawałka płótna.

— No, może poza zerwaniem koszuli z Emnildy — mruknął do siebie. — Daniła! Witaj, druhu! — zawołał na głos i poprosił Rusina.

Świętosława weszła równo z nim.

— Emnilda dołączy do nas? — zapytała brata.

— Nie, moja księżna wyjechała z dziećmi do Gniezna — odpowiedział niecierpliwie.

Już żałował, że ją tam wysłał, bo ledwie ruszyła, zaczął obsesyjnie za nią tęsknić.

— Do Gniezna? Do Nadętego? Chyba też powinnam odwiedzić arcybiskupa i go przycisnąć. Co za pożytek z niego, skoro nie może uwolnić naszego Ungera? Siedzi w Gnieźnie, pilnuje relikwii Wojciechowych i napycha skarbiec datkami od pielgrzymów…

— Siostro, mamy gościa — upomniał ją. — Daniła, jak misja biskupa Brunona do kniazia Wladimira?

Świętosława na wieść, że Emnildy nie ma w Poznaniu, natychmiast zajęła jej tron w sali audiencyjnej. Co prawda miała i swój, po stronie Bolesława, ale rzadko na nim siadywała, bo twierdziła: „Wyglądam na nim jak druga żona, nałożnica albo konkubina, i to własnego brata. Gorszące”. Teraz roześmiała się gromko.

— Hamuj się, bracie, przynajmniej przy pośle. To nie misja biskupa do kniazia, lecz oficjalnie wyprawa chrystianizacyjna na Pieczyngów.

— Daniła nasz człowiek. — Bolesław zlekceważył jej obiekcje.

— Wasz, wielki kniaziu, wasz. Biskup Brunon zdobył posłuch u kniazia Wladimira i ten dał mu ochronę do ziem Pieczyngów. A tam wielebny Bruno zadzierzgnął pokój między Pieczyngami i Rusią, a na zakładnika przywiedziono syna Wladimira, Światopołka.

— To ten, z którym Wladimir chciał mnie swatać — zaśmiała się Świętosława. — Jego najstarszy, dobrze liczę?

— Dobrze, królowo — przytaknął Daniła. — Gada się, że skoro dał na zakładnika najstarszego, to może chcieć go odsunąć od władzy na rzecz Jarosława, który jest ojcu bezwzględnie oddany.

— A ten Światopołk… — Bolesław poruszył palcami. — Jaki jest?

— Krnąbrny, żądny władzy i wciąż domaga się od ojca dzielnicy. Nie dziwne, że kniaź jego oddał na zakładnika.

Kolejna nić, kolejny wątek — pomyślał Bolesław.

— Co ty tak ruszasz palcami? — od razu zauważyła Świętosława.

— Tkam. — Parsknął śmiechem i podziękował Danile za wieści. — Idź, napij się z mymi ludźmi. Już się przyjaciela Rusina doczekać nie mogli.

Gdy wyszli, zwrócił się do siostry.

— Astryda przesłała wieści z Wolina? Ruszyli?

— Uhm. — Świętosława nie mogła oderwać wzroku od jego palców. — Ruszyli, ruszyli. Chcesz Sławę wydać za Światopołka? — spytała wprost. — Dlaczego nie za Jarosława?

— Krnąbrny syn może stać się posłusznym zięciem. A dobry syn bywa zięciem złym.

Zaśmiała mu się w twarz.

— Wiesz, dużo zależy od teścia. Spójrz na Hermana. Dla twojej Regelindy jest dobrym mężem, ale dla ciebie niezbyt posłusznym zięciem, co? Ponoć się skarży, że ciężko mu z tobą, wyjątkowo wymagającym teściem. Wciąż naciskasz na niego, by porzucił lojalność wobec króla Rzeszy…

— Lojalność Hermana jeszcze nie jest przesądzona! — Uniósł dłonie i poruszył palcami. — Wciąż ją tkam, siostro.

— Dla siebie czy dla króla? — parsknęła ironicznie.

Herman, margrabia wschodniej Miśni, syn nieżyjącego przyjaciela Bolesława, Ekkeharda, zjawił się w Poznaniu miesiąc później z misją co najmniej niewygodną.

— Żałuję, żeś nie przywiózł ze sobą naszej słodkiej córki, Regelindy — przywitał go Bolesław, siedząc na tronie w sali audiencyjnej, pod wiszącym na ścianie mieczem świętego Piotra. Za jego plecami stał syn Mieszko. Po swej serdecznej, lewej stronie miał księżną Emnildę. Po prawej swoją siostrę. Zaprosił także Reinberna, kanoników poznańskich i swych zaufanych doradców. Wzdłuż obu długich ścian sali stał szpaler jednakowo odzianych w srebrzone hełmy, kolczugi i czerwone płaszcze wojów.

— Ja także żałuję, książę, że nie jest nam dane spotykać się w lepszych okolicznościach. — Herman ukłonił się sztywno.

Jest podobny do Ekkeharda — przyglądał mu się Bolesław. — A jednak nim nie jest. Jego ojciec był wielkim wojownikiem, a Herman okazuje się

wyłącznie małym graczem. Gdyby przywiózł ze sobą moją córkę, odebrałbym mu ją. Nie mają dzieci, strata żadna, a tak śliczną dziewczynę i tak dobrą partię mógłbym wydać jeszcze za mąż. Wiedział, z czym przybywa zięć, i teraz tylko bawił się jego lękiem niczym kocur myszą.

— Jakież dobre wieści przywozisz mi od swego umiłowanego pana i władcy, króla Henryka? — zapytał.

Herman się skrzywił, jakby Bolesław dał mu do wypicia nalewkę z piołunu.

— Nigdy nie powiedziałem, że Henryk II jest moim umiłowanym panem — odparł sztywno. — Byłbym rad, gdybyś zrozumiał, książę, iż moja lojalność wobec króla wynika z pragnienia pokoju i wieloletniej tradycji. Marchie należą do cesarstwa…

— Taki młody, a taki przywiązany do tradycji — zakpiła Świętosława i spytała z udaną troską: — Czy nasza Regelinda aby się z nim nie nudzi?

— Wierzę, iż tak nie jest — sztywno odpowiedział Herman. — Moja pani żona spodziewa się dziecka.

— Nareszcie! — Emnilda klasnęła w dłonie.

— Chwała Bogu — przytaknęła jej Świętosława, jakby Hermana tu nie było. — Bo już myślałam, że coś z nim nie tak.

— Kiedy planowane narodziny? — zapytał Bolesław.

Herman się zaczerwienił.

— Nie znam się na tych sprawach.

— A jednak miałam rację! — zawołała Świętosława.

— Jak to się nie znasz? — zdziwił się Bolesław. — Będziesz ojcem mego wnuka i nie wiesz, co i jak?

— Nie omieszkam wysłać gońca, gdy mój syn się narodzi… — Herman chciał zakończyć niezręczny temat. — Tymczasem może wrócę do sprawy…

— Dobrych wieści od króla Henryka. — Emnilda uśmiechnęła się przecudnie.

— Do wieści, księżno — poprawił ją ostrożnie Herman. — Niestety nie są dobre.

— Na niektórych dworach wciąż pokutuje obyczaj obcinania głowy posłańcowi — szepnęła bardzo głośno Świętosława do siedzącej po drugiej stronie Emnildy. — Nie wszystkie barbarzyńskie zwyczaje były złe, nieprawdaż?

— To okrutne — powiedział Bolesław i zamilkł na chwilę. — To okrutne ze strony króla Henryka, że akurat ciebie, mego zięcia, obarczył zaszczytem dostarczenia mi złej wiadomości. Jak sądzisz, margrabio Hermanie, dlaczego król wybrał ciebie?

— Bo liczył, że nie zjesz męża swej córki? — Słowa Świętosławy wywołały tłumiony chichot.

— Bo się mylił? — spytała Emnilda. — Sądził, iż zdoła was tą misją poróżnić, zepsuć krew w rodzinie…

— Zięć nie rodzina, tak twierdził mój ojciec. — Bolesław uśmiechnął się do żony i zwrócił surową twarz do Hermana. — A może nikt inny nie chciał przyjąć tej misji, co, margrabio?

— Tego nie wiem — odpowiedział pobladły Herman. — Nie dyskutowałem ze swym królem.

Ma osobowość wasala — z zimnym żalem pomyślał Bolesław. — Dlaczego czasami jabłko tak daleko potoczy się od jabłoni? Jego ojciec był z innego kruszcu.

— Zaszły ważne przyczyny — mówił Herman tak sztywno, jakby recytował lekcję — dla których król Henryk musi zrewidować wcześniejsze układy.

— Jakie to przyczyny? — zapytał Bolesław, choć je znał, a co więcej, nici jego intryg stały za każdą z nich.

— Wiele, wiele przyczyn.

— Wymień je!

— Posłowie czescy księcia Jaromira poskarżyli się królowi, że skłaniałeś ich obietnicami i pieniędzmi do wypowiedzenia sojuszu Henrykowi…

Gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś, chłopcze, że nie rozmawiam z Jaromirem od czasu, gdy skrzywdził Bezpryma. Ale prawda, w jego otoczeniu mam swych ludzi. Mój wierny druh, dawny kasztelan Pragi, Borzywoj, nawiązał z nimi kontakty, a Ciechan, wódz czeskich zwiadowców, je osłaniał. Dość już mają rządów Przemyślidy. Są tacy, którzy znów oddaliby mi tron, bo zasiałem w ich sercach wielką Słowiańszczyznę, a ona z ziarna urosła jak kwiat. Ale to nie oni skarżą Henrykowi, lecz Jaromir, to jemu zależy na wojnie ze mną. Wojnie, na którą jest za słaby, lecz pod czarnym skrzydłem Ptasiego Króla chętnie by się do niej przyłączył.

— …Lucice zaś prosili Henryka, by osłonił ich przed twymi drapieżnymi oddziałami…

Znalazły się gołąbki — zaśmiał się w duchu Bolesław. — Męczy ich, że mam Strosza Krucze Skrzydło w klatce? Że złowiłem brzydkiego ptaszka, nie zabiłem, a trzymam?

— …a także po łaskę króla zwrócili się kupcy z potężnego Wolina, mówiąc, iż pragniesz obalić słusznie przez nich wybranego wodza, pana Racibora, by na jego miejsce wprowadzić podległego sobie pana Tomira…

Żadni z nich panowie, chłopcze — pomyślał Bolesław, który dzięki Astrydzie nakręcił ten niepokój wolinian. — Jeden to handlarz bronią, drugi kupiec rybny i sukienny. Henryk zaiste musi być targany wielką nienawiścią do mnie, że tak łatwo dał się wziąć na rozrzucone przeze mnie

plewy. To dobry znak. Walka ze zbyt zaciętym przeciwnikiem jest łatwiejsza. Zwłaszcza gdy po jego stronie tylu mych dawnych przyjaciół.

— …i zważywszy na wszystkie te wypadki i prośby uciśnionych… — Herman wziął wdech, by powiedzieć najważniejsze, ale w słowo weszła mu Świętosława.

— Chryste, jak ja się wzruszyłam…

— Król Henryk II jest zmuszony wypowiedzieć ci pokój zawarty dwa lata temu w Poznaniu.

— No, teraz to się wściekłam. Tatuś wysłuchał zasmarkanych donosicieli i pokój, który nie on negocjował, a szlachetny arcybiskup Tagino, będzie wypowiadał?! — wrzasnęła Świętosława. — I to dziwnym zbiegiem okoliczności akurat w chwili, gdy zgodnie z tamtymi ustaleniami powinien nam oddać biskupa Ungera! Hermanie, mam nadzieję, że sam nie wierzysz w tę lekcję, której cię nauczyli? Bo jeśli wierzysz, to znak, żeśmy Regelindę wydali za półgłówka.

— Nie jestem tu od wiary czy niewiary, królowo Szwecji…

— Danii i Norwegii — szybko dopowiedział młody Mieszko.

— …tylko od przekazania słów króla Rzeszy, Henryka.

Puścili Hermana do domu tego samego wieczoru. Emnilda zapraszała, by mimo złych wieści pozostał ich gościem w czasie wieczerzy, ale na szczęście miał tyle taktu, że odmówił. Bolesław zasiadł do stołu ze swymi bliskimi i przyjaciółmi. Wstał, wstali i oni. Uniósł pełen kielich i zawołał:

— Król Henryk wypowiedział nam pokój poznański! I dobrze. Bo jak wiecie, nie pogodziłem się ze stratą Milska i Łużyc. Żałuję biskupa Ungera, ale śmiem sądzić, iż to jedyne postanowienie, którego od początku nie zamierzał spełnić. Arcychrześcijański Henryk czuje mściwą satysfakcję, wiedząc, iż pozbawił mnie przyjaciela, zaufanego doradcy, a me ukochane miasto pasterza. Nie wierzę w zdradę Ungera, którą starają się nam

wmówić ludzie Henryka. Owszem, jego dwór pełen jest zdrajców, ale nie poznał się na kruszcu, z którego wykuty jest Unger. Pijmy i radujmy się, przyjaciele! Mam rozwiązane ręce. Król wypowiedział pokój, zatem nie ja zaczynam wojnę. Nawet jeśli mam zamiar pojutrze na nią wyruszyć.

— Bolz, nie… — jęknęła Emnilda i spojrzała na niego wilgotnymi oczyma sarny. — Ledwie wróciłam z Gniezna… Daj choć noc więcej…

— Napijmy się za mą panią! — krzyknął i upił łyk. — I napijmy się za zaskoczenie, jakie sprawimy Henrykowi!

— Jak to zaskoczenie, mój kochany? — spytała Emnilda, gdy usiadł przy niej. — Skoro król zerwał pokój, spodziewa się wojny.

Wziął jej białą dłoń i pocałował delikatne palce. Wsunął między nie język. Zębami chwycił za pierścień.

— Emnildo — szepnął. — Kocham cię od dwudziestu lat. A z każdym rokiem bardziej.

Odpowiedziała uśmiechem i rumieńcem. Patrzył tylko w jej oczy, szepcząc:

— Henryk rozumie wojnę jak pan Rzeszy. Będzie teraz zbierał wojska i przekonywał grafów, by opuścili wygodne domy, żony, dzieci i liczenie zysków na rzecz spotkania się ze mną w bagnistych nizinach nad Odrą. A ja nie będę czekał, aż oni się zbiorą, tylko wyruszę, jak sobie życzysz, nie jutro, lecz pojutrze. I dopadnę ich nie nad Odrą, ale dalej. Nad Łabą. Będę łakomym wilkiem, który wgryzie się nie w tylną nogę tłustej Rzeszy, ale w jej brzuch. Co ty na to?

— Chodź ze mną — powiedziała i pociągnęła go za dłoń.

Kochali się na wielkim łożu zarzuconym błamami miękkich wilczych futer. Przy cieple z paleniska, które odciskało na ich nagich plecach znak. Tropił na jej brzuchu ślady każdego z ich dzieci. Bruzdę Bogumiły, siną linię Regelindy, bliznę Mieszka, rozstęp Sławy i załom Ottona. Była

soczysta jak dojrzałe jabłko. Pełna, gdy brał ją w ręce pod pośladki i pił z niej sok. On przy niej stawał się wojownikiem, taktykiem i doborowym strzelcem. Używał oręża świadomie, nie strzelał jak dzieciak, na oślep. Zaciskał w palcach piersi, które karmiły jego synów i córki. Zdobywał ją niczym ziemię upragnioną; oblegał jak zbrojny wałem gród. Czekał na jej kapitulację, na jęk otwieranych przed najeźdźcą wrót. Nieoczekiwanie wykonała odwrót. I zamiast on ją, ona zdobyła jego. Krzyczał i wył. A Emnilda, wspaniałomyślna księżna, w nagrodę podarowała mu koronę ze swych ud. Oplotła go nimi i pozwoliła, by zasnął w chwale. A nad ranem obudziła w nim najeźdźcę. I skapitulowała bez żadnych warunków. Posiadł ją znów. Sam otworzył bramy i wjechał w nie galopem.

Prowadził pięć ciężkozbrojnych hufców, za nimi trzykroć tyle lekkozbrojnych. Szli szybko, przekraczali rzeki dobrze wskazanymi brodami. Jak strzała wbili się w Rzeszę i w mniej niż dwa tygodnie od posłania Henryka stanęli pod Magdeburgiem. Prowiantu dla wojska nie brali gwałtem, bo ludność rodzima chętniej dawała po dobroci. Nie palili, nie rabowali, szli, jak nóż kroi chleb. Słyszał słodki dźwięk bijących na trwogę magdeburskich dzwonów. Nie mógł zdobywać miasta, czuł bolesny zew Ungera uwięzionego gdzieś w jego trzewiach i myślał:

Ty mnie zrozumiesz, druhu biskupie. Zrozumiesz mnie jak nikt.

Rozłożyli się z obozem wokół wysokich murów Magdeburga, czekając na odpowiedź. Po trzech dniach wyjechał ku nim arcybiskup Tagino z oddziałem. Objechał ich pozycje i jego ludzie, widząc tysiąc pięciuset ciężkozbrojnych i tyleż koni, widząc trzy razy tyle piechoty i Bolesława na Białym jadącego im naprzeciw, cofnęli się.

— Tagino! — krzyknął książę. — Tagino! Wróć! Chcę pomówić!

Arcybiskup wstrzymał konia i w otoczeniu zbrojnej straży poczekał na niego.

— Arcybiskupie Magdeburga, szlachetny Tagino — powiedział głośno. — Nie uciekaj przede mną. To twój król wypowiedział pokój, który razem ułożyliśmy w Poznaniu. Nie chcę nowej wojny. Oddaj mi Ungera!

— Nie mogę! — krzyknął Tagino. — Król…

— Jakże to? — zawołał. — Może być twoim panem król łamiący pokój? Paktujący z poganami?

Tagino się wstrząsnął.

— Ungerowi nie dzieje się krzywda. Przysięgam! — krzyknął. — Do Magdeburga! — rozkazał swym ludziom. — Naprzód!

Sam odwrócił się konno i zrobił w powietrzu znak krzyża, jakby błogosławił Bolesława. Potem zawrócił i pognał w stronę bram swego miasta.

Bolesław pojechał do swoich.

— Zwijać obóz! — rozkazał.

Ruszyli zająć Łużyce, które nie stawiały im wielkiego oporu; szli od grodu do grodu, aż dotarli pod wały Budziszyna.

— Obrońcy! — zawołał Bolesław. — Oto jestem! Spójrzcie na mnie!

Pogalopował na Białym w jedną i drugą stronę przed bramą. Wiedział, że załoga zbrojna należy do Hermana, jego zięcia, ale jego samego tu nie ma.

— Poddajcie gród, otwórzcie mi bramy! Nie chcę odbierać wam życia i majątku! Uznajcie mnie za swego pana!

— Daj nam czas! — odkrzyknął kasztelan po długiej chwili.

Bolesław kazał więc rozbić obóz. Wiedział, że posłali umyślnych do Hermana, do Strzały. I do swego króla, Henryka. Jego wojska odpoczywały, otaczając pierścieniem gród, a obrońcy czekali na odpowiedź. Gdy nie przyszła po dwóch tygodniach, znów wsiadł na Białego i ustawił hufce. Objechał wały, krzycząc:

— Poddajcie gród! Poddajcie gród!

Odpowiedziała mu cisza. Resztę dopowiedział Derwan wieczorem.

— Twój zięć, Herman, zjawił się na dworze króla Rzeszy i błagał go o ratunek. Krzyczał: „Panie, sam żeś wywołał tę wojnę! Pomóż im. Budziszyn w pierścieniu księcia Bolza!”. A Henryk ponoć rwał brodę i klękał pod swym drapieżnym, przebitym setką gwoździ czarnym krzyżem.

— Przed czym? — Bolesław poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Od sojuszu z poganami spodziewał się po Henryku wszystkiego, ale profanacja krzyża?

— Nie słyszałeś, książę, o upodobaniach swego wroga? — Derwan uśmiechnął się krzywo. — Ma krucyfiks z czarnego dębu, z równie ciemną figurą Zbawiciela zawieszoną między ramionami krzyża. Tym się różni od innych, że wyobrażenie Chrystusa jest podziurawione, jakby ktoś wbijał i wyjmował z niego gwoździe…

— Może korniki zżarły drewno? — Bolesław się otrząsnął.

— Może — bez przekonania odpowiedział Derwan i kontynuował meldunek: — Twój zięć wypominał Henrykowi, że ten zerwał pokój i sprowadził na niego nieszczęście. Żebrał o pomoc.

— I?…

— I Henryk nie ruszył, książę. Odmówili mu poparcia biskupi. Twój brat krwi, Guncelin, kazał zanieść królowi posłanie: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”. Budziszyn zdany na twą łaskę.

— Okażę ją! — krzyknął Bolesław.

I pozwolił mieszkańcom wyjść z grodu razem z dobytkiem. A potem przekroczył bramy na grzbiecie Białego, ucztował i sprawdzał wały, czy mocne. Pił miód z swymi druhami, Zaradem, Stojgniewem, Derwanem, Bjornarem i Czechem Borzywojem. Ten miał wiecznie mokre od trunku długie, czarne wąsy. Żałował, że tak bardzo kocha Emnildę, że nie ma ochoty na budziszyńską brankę. Ale nie mógł okazać słabości. Wziął

dziewczynę i spędził z nią noc, myśląc „taki obyczaj”. Miała młode, jędrne ciało, śliczną twarz i miękkie, jasne włosy.

Mogłaby być moją córką — pomyślał. — Trudno!

Obsadził Budziszyn swoją załogą i pognał do Poznania. Do swego księstwa i księżnej. Wyjeżdżając, odwrócił się w siodle i krzyknął:

— Przegrałeś, Ptasi Królu! Tym razem przegrałeś bez negocjacji, pokoju i sojuszu!

ŚWIĘTOSŁAWA opuściła Poznań z niewielkim dworskim orszakiem, ale za to pod osłoną toporników Hardej, którymi dowodził Wielki Ulf. Wilkomir został przy Bolesławie, ale jego syn, Wilczan, był z nią. Tak jak Omold skald i Helga, której też już doskwierało zbyt długie siedzenie w jednym miejscu. Na kolejny potajemny wypad do Roskilde nie było warunków. Sven wysyłał do Anglii załogi, ale pod dowództwem swych jarlów, sam siedział w Danii. Tęskniła za dziećmi. Świadomość, że Sven któregoś z synów chce wżenić w angielskie rodziny, dokuczała jej nieznośną myślą, że może go już nigdy nie zobaczyć.

Jechała do Gniezna, rozmówić się z arcybiskupem Gaudentym, a potem do Kałdusu, spotkać z Bezprymem. Najstarszy syn Bolesława objął północno-wschodnią dzielnicę wyznaczoną mu przez ojca, ale opuszczając Poznań, nie pożegnał się z nikim. Wyjechał nocą, niczym duch, więc sama postanowiła sprawdzić, co naprawdę się z nim dzieje. Moje dzieci daleko — myślała — może choć jemu mogę pomóc?

— Zobacz, Wilczanie! — Wysforowała się na czoło orszaku, gdy położony na wzgórzu gnieźnieński gród już wyraźnie zamajaczył u końca traktu. — Tędy Bolesław i ja jeździliśmy z ojcem! Mieliśmy tyle lat, co ty!

— Raczej nie. — Dołączyła do nich Helga. — Mój syn skończył dwudziesty drugi rok życia! Ach, Sigrido, kiedy to się stało? Dlaczego tak szybko?

Rzeczywiście, wciąż traktowała Wilczana jak chłopca, a on od dawna był mężczyzną. A przecież Olof rok starszy od niego. Ciążył jej brak wieści z Sigtuny. Owszem, dzięki Astrydzie i zawijającym do Wolina kupcom słyszała, że ma już czworo dzieci. Dwoje z obodrycką żoną, królową, i dwoje ze swą umiłowaną nałożnicą. Wiedziała, że nieustannie walczy z opozycją, że jego władza nie trzyma się tak mocno, jak za czasów Erika.

Konie wspięły się po łagodnym stoku na wzgórze i stanęli pod zachodnią bramą Gniezna.

— Wielki to zaszczyt! — powitał ich kasztelan Gosław, uważnie przyglądając się jej topornikom.

— Nie zabawimy długo — oświadczyła. — Gdzie arcybiskup? To z nim chcę się spotkać.

Nawet jeśli on ze mną niekoniecznie — tę myśl zostawiła dla siebie.

— Chory. Zaległ w swym dworze.

— Mam nadzieję, że nie odmówi spotkania siostrze swego księcia i pana. — Uśmiechnęła się do Gosława i kazała prowadzić na miejsce.

Rozlokowano ich w książęcym palatium, skromniejszym niż poznańskie, ale wygodnym; jadąc do niego, minęli katedrę i dom arcybiskupa. Świętosława szybko przebrała się po podróży i zawołała Wielkiego Ulfa.

— Weźmiesz Wilczana i pójdziecie przodem. Zawiadomcie Gaudentego, że idę do niego w gości i chcę pomówić.

Ledwie wyszli, jak w otoczeniu sześciu toporników ruszyła za nimi. Nie chciała dawać arcybiskupowi zbyt wiele czasu do namysłu. Stanęła pod katedrą i obejrzała ją. Była równie imponująca jak ta w Poznaniu. Olbrzymie kamienne ściany wznosiły się ku niebu. Wciąż obejmowały je pomosty i rusztowania, budowa trwała nieustannie, choć dzisiaj nie było tu robotników i plac wokół katedry wyglądał na opuszczony.

— Jutro będą tłumy — wyjaśnił Gosław. — Dzisiaj poniedziałek, jedyny dzień bez pielgrzymów.

— Rozumiem — skinęła głową i zobaczyła, że Wielki Ulf i Wilczan wyszli z domu arcybiskupa, prowadząc go między sobą.

— Twoi ludzie mają siłę uzdrawiania chorych — mruknął Gosław.

Radzim Gaudenty nie miał urody Sobiesława. Tamten był księciem i wodzem, ten zaś szczupłym, łysym i wiecznie przygarbionym mężczyzną, choć przecież nie była to sprawa wieku. Świętosława nie poznała biskupa Wojciecha. W czasach gdy przebywał w Polanii, ona mieszkała w Roskilde. Ale każdy, kogo pytała o niego, wspominał, że Wojciech i Sobiesław byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

Jakie to dziwne — pomyślała, patrząc na zbliżających się. — Najdzielniejsi odeszli. Z całego rodu został tylko on, brat przyrodni. Cała jego kariera zakwitła na śmierci Wojciecha. Jestem pełna uprzedzeń? Ulegam plotkom, które mówią, że Radzim Gaudenty uciekł z miejsca kaźni brata? Otrząsnęła się.

Stosunki między arcybiskupem a Bolesławem od początku ułożyły się niezręcznie. Cesarz Otto III, przyjeżdżając do Gniezna, chciał z niego wywieźć ciało świętego Wojciecha i w Rzymie ustanowić centrum jego kultu. Gdy Bolesław oparł się woli cesarza i powiedział, że ciała nie odda, bo potrzebuje wzmocnienia Wojciechowego kultu tu, w Polanii, cesarskie plany musiały ulec zmianie. Relikwie zostały w Gnieźnie, więc tutaj cesarz powołał do życia nową polską prowincję kościelną z arcybiskupstwem gnieźnieńskim i podległymi mu biskupstwami w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu. Tyle że nie mając co zrobić z Gaudentym, zostawił go w Gnieźnie i na otarcie łez uczynił arcybiskupem polańskiego Kościoła. A wiadomo było, że ten wielki zaszczyt Bolesław pragnął zachować dla swego Ungera. Unger ustąpił dla dobra księstwa, a jego biskupstwo

poznańskie uczyniono niezależnym od Gniezna. Z tego powodu wzięły się kłopoty Ungera. Trzymają go w Magdeburgu, zmuszając do tego, by uznał zwierzchność tamtejszego arcybiskupstwa nad poznańskim.

— Arcybiskupie Gaudenty! — powitała go.

— Księżno Świętosławo — odpowiedział, mrużąc oczy przed słońcem.

— Królowo — poprawiła go.

— Królewskie tytuły władców północnych krain są umowne, pani. Żaden z nich nie dostał korony od papieża, więc zakres ich władzy w niczym nie odbiega od władzy zwykłych książąt.

— Ja nie przywiązuję takiej wagi do tytułów, jak ty, arcybiskupie. Ale jeśli wolisz, możesz tytułować mnie księżną Szwecji, Danii i Norwegii.

Miał ciemne oczy, nieufnie patrzące spod obrzmiałych powiek. Obwisłe policzki kogoś, kto wiecznie krzywi usta, a nigdy się nie uśmiecha. Starała się przemóc swe uprzedzenie do niego, ale po prostu nie mogła. Obrzucił krytycznym okiem jej orszak.

— Zapraszam do katedry, dom Boży to dobre miejsce na rozmowy. Tyle tylko że nie wolno tam wchodzić z bronią.

— Wilczanie, Ulfie, zostawcie broń towarzyszom i wejdźcie ze mną do środka.

Potężne drzwi skrzypnęły, gdy je otwierano. Wewnątrz panował półmrok. Niewielkie, wysoko posadowione okna wpuszczały mało światła. Robotników nie było, ale wzdłuż ścian ciągnęły się rozstawione rusztowania, prace nad wykończeniem wnętrza świątyni były ledwie zaczęte.

Pośrodku katedry stało piękne martyrium biskupa męczennika. Podeszli do niego. W czerwonawym jak zetlała krew piaskowcu tkwiły srebrzone drzwiczki. Gaudenty przejechał po nich drżącą białą dłonią. Jego szczupły palec na chwilę zatrzymał się na dziurce od klucza.

— Przyjechałaś, pani, by spytać, dlaczego nic nie robię w sprawie biskupa Ungera — westchnął. — A to nie jest prawda. Oskarżać kogoś łatwo, złe słowo wychodzi z ust szybko…

— Zatem powiedz, co zrobiłeś. I dlaczego Ungera wciąż nie ma z nami?

— Wysyłam posłów do papieża, do arcybiskupa Tagino… Wszystko bez odpowiedzi, wyraźnej odpowiedzi, a każdy wskazuje, iż winny przetrzymywania Ungera w Magdeburgu jest nasz książę Bolesław. Jego agresywna, zaborcza polityka wobec króla Rzeszy…

Parsknęła śmiechem, który echo odbiło od kamiennych ścian i sklepień.

— Jesteś arcybiskupem w Polanii, Radzimie Gaudenty! Powinieneś działać na rzecz kraju, który powierzono twej opiece!

Skulił się. Obie jego dłonie przylgnęły do drzwiczek strzegących dostępu do trumny z relikwiami jego brata. Nie odrywając rąk, odwrócił się ku niej i wyszeptał:

— Twój brat mnie oszukał. Myślisz, że chciałem zostać tutaj, w Gnieźnie? Wcale nie. Wolałem strzec świętych kości i szerzyć kult Wojciecha w Rzymie, jak zaplanował dla mnie cesarz. Ale oczywiście książę Bolesław miał inne zdanie. Nie podarował Ottonowi kości mego brata i tym samym przywiązał mnie do Gniezna niczym psa do budy, nie dając żadnej władzy. Przyjąłbym to jako brzemię własnej drogi i do końca swych dni modlił się u stóp swego brata, ale… ty nawet nie przypuszczasz, co oni mi zrobili…

Jego szept brzmiał niemal strasznie, a oczy, które na nią patrzyły, były jedną wielką rozpaczą.

— Co takiego? — spytała cicho.

— Klucz… — szepnął, a jego palce czule gładziły pustą dziurkę od klucza. — Kazali mi strzec kości mego brata, ale Unger zabrał klucz do drzwi, za którymi je zamknęli.

Zamarła. Musiała przyznać, że sama by tego lepiej nie wymyśliła. Poczuła instynktowny podziw dla Ungera.

— Jeśli więc sądzisz, pani, że nie pragnę powrotu Ungera, to teraz wiesz, iż jesteś w błędzie. Mnie jak nikomu innemu zależy na tym, by wrócił. I oddał to, co do niego nie należy.

Właściwie dalsza jej rozmowa z Gaudentym nie miała sensu. Owładnięty był tylko jedną myślą. Ruszyła ku wyjściu, ale w przedsionku katedry odwróciła się i zagroziła mu:

— Radzimie! Twoi krewni zginęli w libickiej rzezi. Sobiesław poległ, osłaniając odwrót mego brata. Wojciech oddał życie w misji, którą Bolesław mu powierzył. Jeśli chcesz być godzien pamięci ich wszystkich, zrób coś. Skoro podobało się Bogu ciebie jednego ocalić z rodu Sławnikowiców, to spraw, by nie okazało się, że przeżyłeś na marne. Nie doceniasz tego, że żyjesz?! Jesteś zawzięty. Nie tworzysz nic nowego, tylko oddajesz się rozpamiętywaniu nie swojej śmierci. Otwórz oczy, arcybiskupie Radzimie Gaudenty! Jest tak wiele do zrobienia.

Ulf i Wilczan stali u drzwi. Widząc, że nadchodzą, Wilczan chwycił za klamkę i chciał je otworzyć, ale zamarł, bo w tej samej chwili Gaudenty zachichotał i rozczapierzywszy palce, poruszył nimi.

— Widzi źdźbło w oku bliźniego swego, a belki we własnym nie dostrzega, Harda Pani… Tak lepiej, co? Tak wygodniej? — Przekrzywił głowę na chudej szyi.

Wstrzymała oddech. Wydał jej się niemal bliźniakiem staruchy spod Sigtuny, tej, co rzucała dla niej kości, a potem stała u stosu Erika.

— Jeden w drugiego powtarzają zło przyczajone w przedczasie… — szeptał, poruszając długimi palcami w powietrzu, jakby tkał niewidzialną przędzę. — Stare zło, co wyzuwa z dziedzictwa… Hi, hi, hi… Łamią zasady, Piastowie, ho, ho, jakby stali ponad prawem… Mieszko chciał

wydziedziczyć pierworodnego, ale nie zdołał, za to jego syn, jego niesyty władzy syn, odrzucił pierwsze szczenię… Biada! Biada!… Prawo złamane, zwyczaj złamany, a krzywda usuniętego prawowitego dziedzica zawiśnie nad krajem i grzech powtarzać będą kolejni, kolejni, kolejni…

— Milcz, starcze! — przerwała mu, otrząsając się z upiornego wrażenia. — Komu służysz? Bogu czy szatanowi? Swemu księciu czy własnej pysze?

— Sze, sze… sze… — powtórzył, jakby się śmiał, i strzelił ku niej palcami.

Odwróciła się do stojącej u wyjścia misie ze święconą wodą i szybko zanurzyła w niej dłonie. Ulf pchnął potężne drzwi i do wnętrza wpadło światło. Świętosława przeżegnała się i wyszła z katedry. Wilczan zastąpił drogę arcybiskupowi i zamknął za nią wrota.

Była późna jesień, wciąż dobry czas na podróże. Drogi suche, czas deszczów jeszcze nie nadszedł.

Postanowiła w drodze do Kałdusu zajechać do Bodzi, by pomodlić się przy symbolicznym grobie Duszy.

U wrót Złotego Grodu powitał ją Arne, płowowłosy kasztelan. Przy jego boku stała kobieta.

— Moja żona, Irbis — przedstawił damę. — Książę pozwolił nam się pobrać.

— Irbis, skąd pochodzisz? — spytała zaciekawiona Świętosława.

— Dziadowie przybyli z Halperinem z Chazarii. Wielki książę Lesir był ich dobrodziejem, królowo — odrzekła w pokłonie.

Świętosława przyjrzała się dziewczynie. Miała piękne, wyraziste kości policzkowe, ciemne oczy i włosy, na których nosiła luźny zawój z połyskliwego jedwabiu. Na jej nadgarstkach pyszniły się bransolety ze srebra inkrustowanego cennymi kamieniami, a na piersiach wisiały sznury barwnych szklanych paciorków, z których co drugi zdobiony był złotem.

— Miło cię poznać, Irbis, żono Arnego — powiedziała, myśląc, że skarb Halperina musiał być ogromny, skoro wystarczył i na wielkie budowy pradziada Lestka, i na takie klejnoty dla jego potomkiń.

Podczas wieczerzy mogła się przyjrzeć też innym znamienitym mieszkankom Bodzi. Poznała Irenę-Irinę noszącą słynne bizantyjskie srebrne paciorki przeplatane wielkimi szlachetnymi kamieniami.

— Irino! — Zaśmiała się, gdy już wychyliły po kielichu dobrego konstantynopolskiego wina. — Zrób to dla mnie i przejdź się jeszcze raz wzdłuż stołu!

— Ależ moja pani! — Irina się zapłoniła. — Zrobię, co każesz, ale powiedz, jaki powód?

— Ach, Irino! Tyś zwyczajna, więc nie słyszysz, ale kiedy idziesz, twe naszyjniki pobrzękują tak słodko.

Potem odwiedziła pracownię Ivara Złotozębego i stary karzeł pokazał jej swe skarby.

— Jestem płatnerzem, moja pani — mówił, otwierając skrzynie — ale najbardziej na świecie kocham piękną broń. Skupuję ją — szepnął poufale.

— Jak mój mąż — odrzekła z uśmiechem. — Ten drugi.

— Królowa jest zbyt łaskawa dla starego Ivara. — Pokręcił głową. — Twój mąż kupował broń, by nią walczyć.

— A ty?

Na pomarszczone policzki wystąpił rumieniec.

— Mnie wystarcza, że na nią patrzę. Racz i ty zerknąć, pani Północy! Oto czekan z żeleźcem zdobionym srebrem, ukochana broń Wielkiego Stepu! Im większy wojownik, tym piękniejsze kazał sobie kuć ostrza!

— A ja myślałam, Ivarze, że tylko słabi wojownicy nadrabiają urodą broni.

— Nie, pani! Nie na stepie! Wschód lubuje się w urodzie oręża. Jeśli odbierać życie, to najpiękniejszym ostrzem. O, proszę, królowo! Ten czekan, z otworem w środku żeleźca, odkupiłem od samego Halperina. To słynna broń Chazarów. Widziałem krzyżowe topory twojej gwardii przybocznej, podobne w typie, choć czekany mniejsze, poręczniejsze… — Pokazując broń, Ivar mlaskał jak dziecko jedzące soczystą śliwkę.

Oj, dałby ci Sven za to cmokanie — przemknęło przez głowę Świętosławie.

Karzeł otworzył kolejną okutą skrzynię.

— Mam i szerokie ostrza z Normandii, a jeśli to mą panią ciekawi, pokażę miecz z czasów wielkiego cesarza Franków, Karola.

— O rany, Ivarze! Aleś ty skarbów tu naskładał!

Pokraśniał na pochwałę i sięgnął do wnętrza.

— Proszę, buławki zdobione srebrem! Z Rusi, bardzo je lubię. Królowa wie, że jedno uderzenie buławką wybija dziurę w głowie? Oczywiście, gdy wojownik tęgi i wie, jak broni użyć.

— A to, mój drogi? — spytała karła o wielki kamień z otworem w środku.

— To mojej żony. — Machnął ręką.

— Żarna? Czyżby żony kowala nie było stać na służkę?

Ivar się zarumienił i zamrugał.

— Jaruna nie zboże nimi miele, lecz losy. Jest wróżką — odpowiedział niechętnie.

Świętosława już chciała wołać tę Jarunę, ale ugryzła się w język. Koniec z zaglądaniem w przyszłość. Nie po to zgięła kolano i wyspowiadała się

przed Brunonem z Kwerfurtu, by po raz kolejny miała sprawdzać, czy może być sprytniejsza od Boga.

Pomodliła się przy głazach Duszana i Duszy, poprosiła, by pokazano jej pośmiertny dom Halperina, i ruszyła w drogę.

Przez Wisłę przeprawili się na szerokich, wygodnych barkach i jechali jej drugim brzegiem do Kałdusu.

— Wydaje się — powiedział Wielki Ulf, rozglądając się wokół — że młody książę Bezprym dobrze sobie radzi. Na traktach spokój, o rozbojach nic nie słychać. Za to drwale mają co robić — wskazał ręką na szerokie połacie świeżo wyciętego lasu.

— Chciałabym, żeby tak było. — Poklepała Thorhallę po szyi.

Kałdus leżał na wysoczyźnie w zakolu Wisły, zajmując zapierające dech w piersiach strome wzgórze, a właściwie jego jęzor wyżłobiony u dołu przez wodę. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż miejsce to, z jednej strony bronione przez Wisłę, a z dwóch boków przez strome stoki wzgórza, jest aż nierzeczywiste w swej urodzie. Wyrastało nad rzeką jak jakieś zjawisko. Na jedynej dostępnej z lądu stronie trwały prace nad budową wału. Jego ukończona część wyglądała imponująco.

— Królowa Sigrida Storråda! — zawołał Bezprym, jadąc ku nim konno.

Wciąż wygląda jak koczownik — pomyślała, patrząc na bratanka. Długie włosy splótł przy twarzy w dwa warkocze, by nie wchodziły mu do oczu, a resztę luźno puścił na plecy. Miał na sobie prosty skórzany kaftan i wysokie madziarskie buty do konnej jazdy. Szeroki pas, nóż i żadnych oznak bogactwa. Jedynie piastowski pierścień na palcu wskazywał, że jest księciem.

— Książę Bezprym! — krzyknęła do niego. — Co powiesz na odwiedziny?

— Twoje? Jakoś zniosę. — Uśmiechnął się. — Zapraszam do dworu. Po drodze pokażę fundamenty katedry, jeśli chcesz zobaczyć, co tu robię.

Jechali bok w bok. Wskazał na sterty szarych kamieni.

— Surowca mamy pod dostatkiem, chcę zwieźć go z pól jak najwięcej przed zimą. Fundamenty zaczęliśmy murować wiosną, tak więc przy odrobinie wysiłku można sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać.

— Wielka jak w Poznaniu i Gnieźnie — oceniła rozmiar.

Mur na razie nie sięgał wyżej niż do końskiego brzucha. Rozejrzała się wokół.

— Tyle że tamte budowano w zamkniętej wałami przestrzeni grodu, a ty tutaj budujesz na pustkowiu. Nie boisz się, że nocą podejdą Prusowie i zniszczą to, co zbudowano za dnia?

— Nie boję się. — Bezprym się roześmiał. — Wejść można tylko z tej strony i jak widzisz, wznoszę wały. Stały tu jakieś przed laty, ale buduję od nowa. Póki co, po zmroku straż zbrojna pilnuje budowy. Pan ojciec rzucił mnie na zupełne odludzie i pewnie jest ciekaw, czy się załamię. Nie dam mu tej satysfakcji.

— Mylisz się co do Bolesława — odpowiedziała.

— Zaprzeczysz, że to odludzie? — spytał zaczepnie.

— Chciałeś być pustelnikiem. Wziął to pod uwagę.

Chłopi, których mijali, kłaniali się nie jej, lecz swemu panu. Cała wieś była jednym wielkim placem budowy. Dwór Bezpryma był nowy, pachniał świeżym drewnem. Po zmroku siedzieli w świetlicy przy ogniu i prostej kolacji.

— Każdego dnia spodziewam się powrotu biskupa Brunona — powiedział, patrząc w ogień. — Wysłałem już po niego oddział na granicę z Rusią. Przekazywał, że na rocznicę śmierci międzyrzeckich braci chciałby już być w Kałdusie.

— Wie, że budujesz katedrę? Spodziewa się tego?

Bezprym kiwnął głową. W jego ciemnych oczach odbijał się ogień.

Co się dzieje w tej głowie? — zastanawiała się, patrząc na bratanka.

— Dlaczego nie odwiedzasz Poznania? — spytała.

— A po co? Tutaj pan ojciec widzi moje miejsce. Ponoć na Mazowszu ma osadzić Ottona, gdy nasz brat osiągnie wiek męski. Niech Mieszko pilnuje swojego Poznania. — Wzruszył ramionami i wyciągnął z pochwy nóż. Zaczął go czyścić. Ciemne włosy pasmami spadały mu na oczy, zasłaniając twarz. Cień Bezpryma, który zatańczył na ścianie, był wielki.

— Masz żal do ojca, Mieszka czy do Boga? — zapytała wprost.

— Żaden z nich mi tego nie zrobił — odpowiedział hardo. — A Jaromir był tylko narzędziem w rękach Pana. Widocznie ciąży nad mą głową jakaś klątwa, która zaczęła się w dniu, kiedy ojciec wyciągnął mnie od Romualda.

Gdzieś we wsi rozszczekały się psy.

— Klątwa, klątwa! — fuknęła, myśląc o Gaudentym. — Cóż za pomysł?! Gdyby ojciec o ciebie nie walczył, teraz siedziałbyś w Pereum, jadł korzonki i myślał, że Piastowie porzucili swego pierworodnego. Może twoja dusza potrzebuje zemsty, by zaznać ukojenia? Jeśli tak, dam ci mych toporników i jedź do Pragi. Złap Jaromira i…

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich człowiek w kapturze, który uniósł rękę i pobłogosławił ich.

— W imię Ojca i Syna! Otóż u stóp przyszłej katedry w Kałdusie pewna dobra, chrześcijańska królowa namawia młodego księcia do krwawej wróżdy!

— Brunon! — zawołała.

— Biskup Brunon!

Zsunął kaptur z głowy i zobaczyła, jak się śmieje. Miał długą, tygodniami niestrzyżoną brodę i włosy ciężkimi lokami spadające na ramiona. W ciemnej, ogorzałej twarzy lśniły mu zęby, jak u wilka.

Wilka? Powinien być barankiem — skarciła się.

Uściskał serdecznie Bezpryma i stanęli naprzeciw siebie.

— Nie pocałujesz biskupa? — zapytał.

— Tak jak ostatnio? — odpowiedziała i pokręciła głową. Nawet się nie zarumienił. — Dobrze, że wróciłeś cały i zdrów. Ochrzciłeś wszystkich Pieczyngów?

— Tylko tych, którym zdołałem wyjaśnić, że modły do końskiej głowy są równie skuteczne jak leczenie umarłego pokrzywą. Znajdzie się miejsce przy ogniu dla strudzonych pielgrzymów?

Za Brunonem weszło do dworu kilku mnichów i teraz zdejmowali podróżne płaszcze i kaptury, bezszelestnie rozchodząc się po świetlicy.

Omold wyrecytował:

Błogosławieni gościnę dający! Gość wszedł do izby, gdzie ma zasiąść?
Spieszno jest temu, kto koło ognia ratunku szukać musi.
Ogień potrzebny pielgrzymowi, co przyszedł i kolana ma zimne.

— O czym jest wiersz twego skalda? — zapytał Brunon.

— To Pieśń Najwyższego — odpowiedziała. — Pogańska, bo Najwyższy to Odyn. Ale nie lękaj się, biskupie, jej wymowa jest na wskroś chrześcijańska. O miejscu dla gościa przy ogniu.

— Pamiętasz naszą umowę?

— Ja dotrzymałam swej części — kiwnęła głową. — Sam mnie spowiadałeś, Brunonie. Czas na spełnienie twojej obietnicy.

Spojrzał na nią tak, że zrobiło jej się niezręcznie.

Czy na pewno właściwie odczytuję intencje Brunona? — zapytała sama siebie.

— Pieczyngom zostawiłem Tankmara i Rodberta — powiedział — by szerzyli wśród nich wiarę. Dla ciebie wyświęcę na biskupa misyjnego Teodulfa, który popłynie do Sigtuny i ochrzci twego syna i jego poddanych. Teo — odwrócił się do swych towarzyszy — podejdź do nas.

Trudno było ocenić, ile ma lat, bo wszyscy oni byli zarośnięci, długowłosi, długobrodzi i pokryci pyłem drogi. Ale z ogorzałej twarzy patrzyły na nią dzielne i jasne oczy.

— Czy nauczysz Teodulfa języka Północy, królowo?

— Mam lepszy pomysł. Wilczanie! — Odwróciła się, szukając go wzrokiem.

Chłopak zostawił miecz, który czyścił, i podszedł do nich.

— Popłyniesz z Teodulfem do Sigtuny. Spotkasz się z moim synem, a swym dawnym przyjacielem, Olofem. I pomożesz Teodulfowi w zadaniu. Co ty na to?

— Jak Harda Pani rozkaże. — Wilczan skinął głową. — Ja kocham każdą podróż.

— Wilczan urodził się w Sigtunie, potem był przy mnie w Roskilde i w Poznaniu — przedstawiła jego drogę biskupowi.

— I przybył z misją wydobycia mnie z eremu w Pereum — dorzucił Bezprym. — Jest nadzwyczaj odważny, mogę to potwierdzić.

Wilczan próbował go ochronić przed kaźnią, jaką zgotował mu Jaromir. Świętosława nie zapomniała tego nigdy.

— Będę zaszczycony. — Teodulf skinął głową. — Choć i tak chciałbym nauczyć się języka, by mówić z nimi nie tylko twoimi, ale i własnymi słowami.

— Dam wam część mych toporników, Bolesław też obiecał zbrojnych…

Co przekażę synowi? I czyimi ustami? Wilczana czy Teodulfa?

Słuchała relacji Brunona z misji wśród Pieczyngów i zastanawiała się nad sobą i swym synem. Nad trzynastoma latami, kiedy się nie widzieli. I tak mieliśmy dużo szczęścia — pomyślała. — Dziesięć pierwszych lat życia spędziliśmy razem. Z Haraldem, Knutem, Astrydą i małą Świętosławą nie miałam aż tyle czasu.

— Królowo?

Z zamyślenia wyrwał ją głos Brunona.

— Tak? Wybacz, rozproszyłam myśli.

— Mówiłem, że chciałbym osobiście przekazać księciu Bolesławowi wyniki mej misji. Czy twój brat jest w Poznaniu, czy też wyruszył na wojnę z Henrykiem?

— Po zeszłorocznym zajęciu Budziszyna trwa pozorny spokój — odpowiedziała. — Henryk nie podejmuje działań. Zdaje się, że ma swoje kłopoty w Italii i Rzeszy. Jak wiesz najlepiej, wciąż nie może dostać cesarskiego diademu i spędza mu to sen z powiek. Chyba liże rany, jakie Bolz zadał mu w ubiegłym roku. Wśród panów wschodniej Rzeszy niewielu się pali do wojny z mym bratem.

— Zatem może wspólnie pojedziemy do Poznania? Chcesz posłuchać opowieści o Rusi?

Skinęła głową nieuważnie. W tej chwili, gdy misja Teo była tak bliska, wszystkie jej myśli skradł Olof.

— Spotkaliśmy tam niezwykłych pielgrzymów, którzy pieszo peregrynują do Bizancjum, a stamtąd do Ziemi Świętej. Ci ludzie pokonują tak wielkie przestrzenie z myślą o ujrzeniu Grobu Pańskiego, że już sama ich wędrówka jest niczym droga duszy do Pana…

A jeśli Olof odrzuci jej wezwanie do chrztu? Albo uzna, że to zły moment, że mógłby tym aktem utracić, a nie pozyskać poddanych? Ale kto

wie, czy będzie lepsza chwila, by Szwecję otworzyć na świat i Boga…

— …są i tacy, którzy inaczej służą Panu i całe swe majątki poświęcają na wykupienie niewolników chrześcijańskich z rąk kupców. Wśród nich przodują Arabowie, którzy nazywają Wołgę Nahr-as-Saqaliba, Słowiańską Rzeką. Ludzie, o których wam opowiadam, wykupują całe statki niewolników i potem w imię Boże puszczają ich wolno. Zaś na Dnieprze zdarzają się pielgrzymi śmiałkowie, pokonujący tę szaloną rzekę i jej słynne porohy po to, by dotrzeć przez wspomniane Bizancjum do najświętszych miejsc chrześcijaństwa. Wśród nich są i nawróceni wikingowie. Jeden ze spotkanych przez nas natchnął mnie niezwykłym świadectwem wiary. Otóż na naszych oczach zaczęła tonąć barka pełna ludzi, a byli to zwykli prostaczkowie płynący z drugiego brzegu Dniepru do Kijowa na wielki jarmark. Barka obciążona ponad miarę przechyliła się i najpierw zjechały z niej wozy, potem do wody zaczęły wpadać wystraszone konie, aż wreszcie ludzie wśród krzyków i lamentów. Kobiecina jakaś zawołała: „Boże, zmiłuj się!”, a stojący przy nas świątobliwy pielgrzym, jak się okazało, dawny niewolnik, bo miał piętno wypalone na łopatce, zrzucił koszulę i wskoczył w rwący nurt Dniepru. Wypłynął przy samej barce i najpierw uratował tę starowinę, a potem, wykazując się niemal nadludzką siłą, sprawił, że barka znów stanęła na wodzie. Gdy wrócił na brzeg i ludzie zaczęli przed nim klękać i dziękować, powiedział tylko: „Bóg ich ocalił, a ja byłem Jego narzędziem” i oddalił się, nie chcąc przyjąć od uratowanych dowodów wdzięczności…

— Jestem zmęczona podróżą — przerwała Brunonowi opowieść. — Wybaczcie, oddalę się.

— Pomówmy na osobności, królowo. — Biskup wstał.

— Jak chcesz — powiedziała i pożegnała zebranych.

Wyszli przed dwór. Owiał ich chłód jesiennej nocy.

— Dlaczego to opowiadasz? — spytała.

— Dobrze wiesz — odpowiedział i zbliżył się do niej.

Milczeli chwilę, choć czując jego bliskość za plecami, była niespokojna. Wpatrywała się w wielki, okrągły księżyc wiszący nad Kałdusem.

— Wszyscy jesteśmy narzędziami Boga — powiedział Brunon.

Poczuła jego oddech.

— Co zrobisz, gdy wrócisz od mego brata?

— To, do czego jestem przeznaczony.

— Bolesław pragnie twego życia, nie śmierci.

— Twój brat jest najlepszym z władców, jakich poznałem — odpowiedział, a każde ze słów czuła we włosach. Bała się odwrócić. — Czasami, gdy myślę o archaniołach, wodzach wojsk niebieskich pokonujących szatana, wyobrażam sobie, że archanioł Michał ma twarz i posturę Bolesława. — Szeptał coraz goręcej. — Niemal widzę go, jak z grzbietu swego białego rumaka uderza włócznią w księcia piekieł. Straszny i piękny Bolesław. Ale nawet on nie jest w stanie powstrzymać Bożego planu.

— Chwilami przypominasz mi kogoś, kogo kochałam.

— Przyciągasz mistyków.

— Albo szaleńców.

Teraz usłyszała jego oddech. Osaczał ją.

— Jeśli zbliżysz się do mnie jeszcze o krok, które z nas będzie się z tego spowiadać? — zapytała.

— To, które zgrzeszy — odpowiedział, dotknął jej włosów i odszedł.

SVEN siedział na wysłanej wilczym futrem ławie na nabrzeżu i patrzył, jak jego synowie uczą się walczyć na łodzi. „Krwawy Lis” stał na kotwicy spory kawał od brzegu fiordu; w sam raz tyle, by jego pokład chwiał się na

boki i chłopcy mogli zrozumieć, czym różni się walka na morzu od tej, gdy pod stopami mają twardy ląd.

— Druga młodość „Krwawego Lisa” — powiedział wesoło Jorun, dosiadając się do swego króla. — Jak to jest patrzeć na dorastających synów? Zazdrościsz im? Nic o tym nie wiem, mnie Hildigun rodzi tylko córki.

— Wciąż widzę ich pomyłki i wściekam się podwójnie — szczerze odpowiedział Sven. — Spójrz na nich. Harald jest tak niecierpliwy i uparty, że wciąż popełnia te same błędy. Widzisz? Za szybko się rusza i nie może złapać równowagi. Jeszcze chwila i wypadnie za burtę!

— Nie wściekaj się, królu — uspokajał Jorun. — Chłopak się uczy. Dobrze, że jest szybki.

— A Knut znowu jest zbyt powolny! Ach!

— Pamiętasz siebie? Gdy patrzę na „Krwawego Lisa”, wszystko mi się przypomina. I stary król też. Walczyłeś z ojcem, by dał ci władzę. A teraz masz nie jednego, ale dwóch synów. No, ale masz czym dzielić! W twoim władaniu są dwa królestwa.

— O jedno za mało. — Sven uśmiechnął się, patrząc na lśniące wody fiordu. — Dwaj synowie i król ojciec to trzy ziemie, mój przyjacielu. Ja nie zamierzam jeszcze odchodzić do Walhalli.

— Ciekawe, jak to z nami będzie — westchnął Jorun. — Czy piękne walkirie zabiorą nas do pałacu Odyna, jak się zorientują, że jesteśmy ochrzczeni?

Sven zaczął się śmiać tak głośno i szczerze, że jego synowie przestali walczyć i unieśli głowy, myśląc, że śmieje się z nich. Harald potrząsnął rudą czupryną, obraził się. A Knut wykorzystał to, że brat się odsłonił, i zadał mu cios w pierś.

— Naprawdę obchodzą cię takie rzeczy? — zapytał Sven, gdy już przestał trząść nim śmiech.

— A ciebie nie?

— Mam gdzieś, co będzie po śmierci — odpowiedział twardo. — Byleby poematy o mnie powtarzano latami.

I niech ona, zdrajczyni Sventoslava, usłyszy pieśń o królu Svenie i zapłacze nad sobą, żałując, że nie było jej przy mnie.

Mewy nad ich głowami zaskrzeczały wściekle. Jedna z nich opuściła się niczym śnieżna strzała i wyrwała spod powierzchni wody rybę. Pozostałe krążyły wokół niej, licząc, że łup wypadnie jej z dzioba.

— Rozmawiałeś z posłańcami Thorkela? — spytał Jorun. — Jak radzi sobie twój gończy pies w Anglii?

— Doskonale. — Sven pokiwał głową. — Zgarnął nasze załogi z wyspy Wight, przyłączył do nich oddziały Heminga i Eglafa i zaatakowali Sandwich.

— Zuchy. — Jorun mlasnął i wydobył skądś dzban miodu. — Król pije?

— Nie, król sprawuje kontrolę nad synami. — Uniósł miecz i czubkiem wskazał na Knuta i Haralda zmagających się na pokładzie. — Ale Jorun niech pije.

— I słucha! — Druh sobie nalał.

— Po tym ataku Thorkel nazwał armię Drapieżną Ławicą i ruszyli na Canterbury. Ludność wschodniego Kentu zrobiła składkę i uciułane trzy tysiące funtów srebra przynieśli Thorkelowi z prośbą, by raczył zostawić ich w spokoju.

— Ci Anglicy są tacy grzeczni. — Jorun pociągnął miodu. — Ale trzy tysiące to mało.

— Tak też stwierdził Thorkel i przeniósł się na wyspę Wight, skąd zaczął urządzać wypady na Hampshire i Berkshire. Król Ethelred powołał pod

broń cały naród.

— To nowość. Zwykle cały naród błagał króla, by wziął go w obronę. — Jorun parsknął śmiechem.

— I okazało się, że ta nowość też się nie sprawdza. Thorkel nakazał Drapieżnej Ławicy serię najazdów na Kent i Essex.

— Po obu stronach Tamizy — zauważył Jorun. — Dobry pomysł.

— Uhm — kiwnął głową Sven i syknął zniecierpliwiony. — No zobacz! Znów to samo! Harald miota się jak wściekły, a Knut wyczekuje, aż brat się odsłoni, i dopiero wtedy atakuje.

— Sprawujesz doskonałą ojcowską kontrolę. — Jorun dolał sobie miodu i poprosił: — Mów o Thorkelu. To cię mniej złości, a mnie bardziej ciekawi. Chłopcy nie uciekną. Wiedzą, że tatuś patrzy.

— Tatuś? — Sven zmarszczył brwi i sapnął. — Thorkel zapuścił się kilka razy pod Londyn, próbując wziąć miasto z zaskoczenia, lecz mu się nie udało. Ale i tak osiągnął sukces, bo sparaliżował miasto i przejął statki kupieckie zmierzające do niego Tamizą.

— To trzeba zapamiętać! — Jorun beknął. — A co z tą wielką flotą, na którą król wydał tyle srebra? Pamiętasz, Thorkel mówił o tym, gdy był u nas poprzednio.

— Ach, flota! — zaśmiał się Sven. — Niemal żal mi króla Ethelreda. Wyobraź sobie, że burza zniszczyła większość jednostek, zanim zdążyli pierwszy raz na nich wypłynąć.

— Pechowiec. — Jorun przeciągnął się, aż strzeliły mu kości. — Mam na myśli Ethelreda, bo Thorkel Wysoki wydaje się niepospolitym szczęściarzem. Dostał od ciebie wojsko i zadanie. Ma przygotować grunt do twojej wielkiej wyprawy. Ale… nie przyszło ci do głowy, że od nadmiaru sukcesów Thorkel może zapomnieć, kto go posłał i komu służy?

Sven nie odpowiedział. Patrzył na mewy wyrywające sobie zdobycz i gładził długie, sterczące warkoczyki swej brody.

ŚWIĘTOSŁAWA stała przy otwartym oknie swej komnaty i patrzyła na dziedziniec. Usłyszała róg grający na powitanie sygnałem zarezerwowanym wyłącznie dla członków dynastii. Wystarczył rzut oka na ciemną, muskularną sylwetkę jeźdźca, by wiedziała, kto przybył i z czym. Jej serce zabiło przyspieszonym rytmem, na trwogę, a pod powiekami zapiekły łzy.

Nie wolno ci płakać! — skarciła się w duchu. — On tego chciał!

Bezprym zatrzymał konia przed stajnią, zeskoczył z siodła lekko i zwinnie niczym wielki kot. Widziała, jak kłania mu się służba, widziała te spojrzenia, ciekawskie i przestraszone zarazem. Dwie młode, śliczne praczki niosące kosz suchej bielizny wodziły za nim wzrokiem w zachwycie. A on szedł przez pałacowy dziedziniec; jego ciemne, długie włosy lśniły odrzucone na plecy. Ubrany w czarny strój z grubej wełny wyglądał jak mnich wojownik. Nie, nie nosił habitu. Spodnie, prosty kaftan, czarny płaszcz podbity wilczym futrem, wysokie buty z ciemnej skóry i pas. Jakaś służka, która najwyraźniej nie wiedziała, kim jest, stanęła jak zamurowana, nie mogąc oderwać od niego wzroku, aż jabłka z przepełnionego kosza, który niosła, potoczyły się jedno za drugim na ziemię: pach, pach, pach. W jego sylwetce, sprężystych ruchach i mrocznej urodzie było coś godnego i drapieżnego jednocześnie. Szedł, nie patrząc na boki, jakby nikogo nie widział. Świętosława zobaczyła, że do zapatrzonej w Bezpryma służki podszedł Dobrut, jej ulubiony stajenny. Szepnął dziewczynie coś na ucho, a ona wzdrygnęła się gwałtownie, jak ktoś wybudzony z pięknego snu. Dobrut zaśmiał się i pokiwał głową.

Czujesz się od niego lepszy — pomyślała z odrazą Świętosława. — Ty, stajenny, jesteś wreszcie kimś więcej niż piastowski książę, tak? Bo możesz w nieskończoność płodzić małe, wrzeszczące, brudne dzieci, a on nigdy ich

nie będzie miał. Musiałeś natychmiast powiedzieć to tej dziewczynie? Nawet nie wiesz, że gdy weźmiesz ją dzisiaj na słomie w stajni, ona zamknie oczy i pozwalając, byś ją napełniał swym nasieniem, będzie widziała tylko Bezpryma. Czarnego księcia, mnicha wojownika.

Bezprym dochodził już niemal do wejścia, gdy przed palatium pojawił się Mieszko.

Jasność i mrok — skojarzenie przebiegło przez jej głowę. — Co zrobią przyrodni bracia na swój widok?

Z góry nie słyszała słów. Widziała tylko powitalny gest rozłożonych rąk Mieszka. Bezprym nie zatrzymał się nawet. Minął brata i wszedł do wnętrza palatium.

Świętosława zbiegła do sali audiencyjnej i spotkała się z bratankiem przed wejściem do niej.

Otworzył usta, by to powiedzieć, ale położyła mu palec na wargach. Patrzyli sobie w oczy przez chwilę, po której szepnęła:

— Spełnił swoje marzenie.

Bezprym skinął głową i wszedł za nią do sali audiencyjnej, do czekającego na nich Bolesława.

— Brunon szedł po śmierć, pragnął jej i dopiął swego — bez zbędnych wstępów oznajmił obecnym Bezprym. — Kategorycznie odmówił zbrojnej eskorty, bo nie chciał nieść mieczem Słowa Bożego. Jako biskup osiągnął cel życia — dopowiedział — zanosząc wyznanie wiary tam, gdzie go nie było.

Świętosława nie zapłakała, poczuła jedynie chłód i pustkę w sercu. A jednak, gdy Bezprym relacjonował szczegóły śmierci biskupa, zacisnęła palce na podłokietniku, powtarzając w głowie pytanie: Brunonie, bałeś się?

— …Jaćwingowie zabili też jego towarzyszy. Ocalał tylko Wibert, nie wiem, czy go pamiętasz, królowo? Ale jemu wyłupiono oczy, by nie mógł

wskazać miejsca, gdzie pochowali ciało.

Świętosława patrzyła to na Bezpryma, to na Bolesława. Jej brat z całych sił starał się nad sobą panować i nie wybuchnąć. Dla nikogo nie było tajemnicą, iż wiązał z Brunonem wielkie plany i wspierał z całych sił jego misje, ale nie chciał, żeby biskup osobiście wyruszał między wojowniczych Prusów. Chciał żywego Brunona, nie drugiego męczennika Wojciecha.

Bolesław wstał z tronu i podszedł do ściany. Zdjął z niej miecz świętego Piotra i uniósł go na chwilę.

Pewnie takim cię widział Brunon — pomyślała i wzruszenie nią targnęło — kiedy mówił, że przypominasz mu archanioła Michała.

Bolesław pocałował miecz i odwiesił. Odwracając się ku nim, wyrecytował głośno:

— „Co za ugoda Chrystusa z Belialem? Jakie porównanie światła z ciemnością? W jaki sposób mogą się zgodzić diabeł Swarożyc oraz wódz świętych, wasz i nasz Maurycy?”.

Poznała słowa. To list, jaki Brunon napisał do króla Henryka II. Porywający, odważny list, w którym napiętnował jego sojusz z poganami skierowany przeciw Bolesławowi.

— „Jakim czołem schodzą się święta włócznia i chorągwie diabelskie tych, którzy poją się krwią ludzką? Czy nie uważasz tego za grzech, gdy chrześcijanina — zgroza mówić to — zabija się na ofiarę pod chorągwią demonów?”.

W oczach brata zalśniły łzy. Machnął ręką, jakby chciał je przegonić, zszedł z podwyższenia i stanął przy Bezprymie. W tej samej chwili do sali audiencyjnej wszedł Mieszko.

— I zabito Brunona pod chorągwią demonów! — powiedział dźwięcznym, jasnym głosem.

Bezprym drgnął, ale nie odwrócił się w stronę idącego ku nim Mieszka.

— A ty, mój bracie — ciągnął młodszy książę — po raz drugi stajesz się świadkiem kaźni świętych męczenników. Czyż to nie dziwne? — zadał prowokujące pytanie, stając obok ojca i Bezpryma.

Jasność i mrok — powtórzyła w myślach skojarzenie Świętosława.

Mieszko, o wijących się włosach w barwie bursztynu, ubrany w haftowaną złotą nicią niebieską tunikę, i Bezprym, w czarnym prostym stroju, którego jedyną ozdobą był niewielki, srebrny krzyż zawieszony na szyi. Pierworodny, pozbawiony władzy należnej mu tytułem urodzenia, i drugi syn, przeznaczony na duchownego, a nagłym biegiem zdarzeń cofnięty z tej drogi. Bracia zwrócili się twarzami ku sobie. Ojciec stał między nimi, po prawicy mając Bezpryma. Wpatrywał się w synów równie pilnie jak Świętosława, jak wszyscy.

Tu, w tej samej sali, szesnaście lat temu rozegrała się walka o władzę po śmierci Mieszka między Bolesławem a Odą i jej synami — pomyślała Świętosława.

— Czyżbyś nie potrafił spełnić rozkazu naszego ojca — ciągnął Mieszko — który nie życzył sobie śmierci Brunona z Kwerfurtu? Przecież zalecenia księcia pana były wyraźne. Miałeś stać się zbrojnym ramieniem biskupa, chronić go, a nie puszczać na pewną śmierć wśród dzikich…

Widziała drgnienie na twarzy Bolesława i widziała, jak brat powstrzymał się przed reakcją, jakby czekał, co zrobi Bezprym. Ten zacisnął prawicę w pięść i uniósł ją szybkim, zwinnym ruchem. Wstrzymała oddech. Nie! Bezprym nie uderzył Mieszka. Położył zaciśniętą pięść na piersi. Na palcu miał piastowski pierścień.

— Nasz ojciec nie stoi ponad Bogiem — powiedział zduszonym głosem. — Nawet jeśli tobie, młodszy bracie, tak się zdaje. Książęce życzenie i rozkaz to za mało, by powstrzymać wolę Pana naszego. Brunon szedł drogą

swego mistrza, Wojciecha, prowadzony przez głos wybierającego kaźń Zbawiciela. Ale być może ty, Mieszku, nie umiesz pojąć drogi poświęcenia.

Mieszko otwierał usta, by odpowiedzieć, ale zamiast tego położył otwartą dłoń na piersi i skłonił głowę przed Bezprymem. Bolesław, stojący między nimi, zwrócił się do starszego.

— Synu, Wiberta oślepiono, by nie znalazł grobu mego przyjaciela, ale ty znajdziesz go dla mnie? Wydobędziesz od Jaćwingów jego ciało, srebrem czy przemocą, wszystko mi jedno. Jeśli trzeba będzie, zapłać tyle, ile waży, skarbiec jest twój. Zrobisz to dla mnie, synu?

— Zrobię, ojcze — odrzekł, patrząc nie na Bolesława, ale w oczy stojącego obok Mieszka.

Bolesław chwycił w dłonie głowę Bezpryma i ucałował go w czoło, a potem z całych sił przycisnął do siebie. Bezprym stał sztywno, ale po chwili wyciągnął ramiona i odpowiedział na uścisk ojca.

Po wyjeździe Bezpryma zrobiło się pusto. Bolesław chodził gniewny. Niepokoił go konflikt na zachodzie, między Guncelinem a Hermanem. Guncelin, brat nieżyjącego Ekkeharda, i Herman, jego syn, ukuci byli z dwóch różnych kruszców. Z tym pierwszym przed wielu laty Bolz zawarł braterstwo krwi.

— Czas pokazuje, że większą wartość ma krew zmieszana z Guncelinem niż więzy krwi, jakie zawarliśmy z Hermanem, dając mu Regelindę za żonę — fuknął gniewnie, gdy siedzieli wieczorem w świetlicy. — Krew, krew! Jak sądzicie, między Mieszkiem a Bezprymem ułoży się? — zmienił temat, jakby coś mu się przypomniało.

Emnilda westchnęła i powiedziała:

— Chciałabym tego.

Twe pragnienie, bratowo, to za mało — przebiegło przez głowę Świętosławie.

— Możesz zbrojnie odbić córkę Hermanowi — podpowiedziała, głośno wracając do zapalnego tematu — ale wtedy dajesz Henrykowi powód do otwartej wojny, bo będzie mógł powołać się na obowiązek wobec wasala.

— Nie podpowiadaj mu takich rzeczy — szepnęła Emnilda.

— Gdybym chciał otwartej wojny, znalazłbym sto pretekstów — wyciszył żonę Bolesław. — Teraz chcę spokoju, by zająć się małżeństwem naszej słodkiej Sławy i kniazia Światopołka.

Sława zaszlochała. Wiedziała już, że co pan ojciec postanowi, to będzie, ale wciąż jeszcze próbowała walczyć z jego wizją.

— Ojcze… ja nie chcę do Kijowa… — łkała, rozmazując łzy po policzkach. — Nie chcę…

— Ale ja chcę — szczerze odpowiedział Bolesław.

Emnilda syknęła i pokręciła głową karcąco. Podeszła do córki i przytuliła ją.

— Kijów jest piękny. — Pogłaskała dziewczynę po jasnych włosach. — Spodoba ci się.

Bolesław już zamierzał zacząć kolejną z opowieści o Kijowie, od których Sława dostawała spazmów, gdy przerwał im dźwięk rogu zapowiadający gości. Do świetlicy wszedł Derwan.

— Książę! — Padł na jedno kolano przed Bolesławem.

Złe wieści — pomyślała Świętosława.

— Król Henryk pochwycił Guncelina, postawił mu zarzut spiskowania z tobą i obrazy majestatu królewskiego.

— Gdzie go trzyma? — Bolesław szybko przeszedł nad zaskoczeniem do działania.

— W Halberstadt, w kamiennym lochu. Pieczę nad ważnym więźniem dostał biskup Arnulf.

— Niedobrze — skonstatował Bolesław.

— To nie wszystko, książę. Król odebrał Guncelinowi godność margrabiego i przekazał ją Hermanowi.

— Miśnia w rękach mego zięcia? — wściekł się Bolesław. — Lis!

— Rozważ odebranie córki Hermanowi, żeby nie mieć związanych rąk. Jak dziewczyna będzie z nami, uderzysz na marchię miśnieńską i odbijesz ją niewiernemu zięciowi — zasugerowała Świętosława.

Bratanica, słysząc o tym, co może czekać jej zamężną siostrę, znów uderzyła w płacz. Emnilda zabrała ją i wyszły ze świetlicy.

— Jeśli to zrobię, zabiją Guncelina — powiedział Bolesław i zerwał się z miejsca. — Będą go trzymać, by osłabić siłę moich uderzeń.

Z głębi palatium dobiegał histeryczny płacz Sławy.

— Podzielmy się, siostro. Ja się zastanowię, co zrobić z marchią, a ty ucisz moją córkę. Zrób coś, żeby przestała wyć i zaczęła zdawać sobie sprawę z wagi jej małżeństwa. Światopołk nie potrzebuje przymuszanej do ślubu dziewicy, tylko mocnej i zdecydowanej żony, by mieć siłę zawalczyć z ojcem o Kijów.

— To sam się z nim ożeń! — warknęła Świętosława i wyszła.

Znalazła je w alkowie Emnildy. Twarz bratanicy była czerwona, zapuchnięta od płaczu. Jej śliczne, jasne włosy potargane, a suknia pomięta.

— Jest gorzej, niż mi się zdawało — szepnęła jej do ucha Emnilda.

Świętosława usiadła na łożu obok dziewczyny.

— Czego się boisz, Sławeńko? — spytała łagodnie.

Dziewczyna milczała.

— Masz czternaście lat, zanim dojdzie do ślubu, będziesz miała piętnaście. Miałam tyle samo, gdy ojciec wsadził mnie na pokład „Wyniosłej Olbrzymki” i wysłał do Szwecji. Mój mąż był w wieku ojca, twój jest znacznie od niego młodszy. Mój był upartym wikingiem, który

składał ofiary z ludzi, a na końcu sam siebie kazał zabić dla Odyna. Twój Światopołk ochrzczony… To dobra partia, Sławeńko.

Lepszą byłby Jarosław — pomyślała, ale nie mówiła tego głośno. Jak i tego, że jej Światopołk ma sporo bitnych braci, a na Rusi walki między rodzonymi to niemal część tradycji.

— Boję się — wyszeptała po chwili dziewczyna — że nigdy więcej was nie zobaczę.

— Patrz, kochana — odezwała się Emnilda, gładząc córkę po dłoni. — Świętosława wróciła do nas. Różnie układają się losy.

— Właśnie słyszę! — wybuchła Sława. — Regelindę już planujecie odebrać Hermanowi. Czy ktoś z was spytał ją o zdanie? A może ona jest szczęśliwa, przyszło wam to do głowy? Nie. Jesteśmy dla was jak klacze, którymi można rozporządzać do woli. Wydawać, zamieniać, sprzedawać, mnożyć!

— Jak możesz! — zaprzeczyła i pobladła Emnilda.

— Ona ma rację — twardo przytaknęła Świętosława. — Tak właśnie jest, Sławo. Jak klacze. Od dziecka nie należymy do siebie, lecz do naszych ojców. To cena książęcego rodu. I masz słuszność, jedne z nas są sprzedane lepiej, inne gorzej. Niektóre utworzą własne stada, gdzie każde kolejne źrebię będzie pomnożonym życiem swej matki. Odwiedzałaś swą siostrę Bogumiłę w klasztorze? Nie. A ja z nią rozmawiałam. Pytała, co u ciebie. Odnoszę wrażenie, że chętnie by się z tobą zamieniła i wyjechała do Kijowa. Pomyśl o tym, możemy pomówić z twym ojcem.

— Nie — szybko szepnęła Sława. — Nie chcę być mniszką.

— No to jedno mamy z głowy. — Poklepała ją po dłoni. — Teraz drugie, czego mnie nauczyła moja macocha, księżna Oda. Musisz mieć dużo sprytu, wytrwałości i siły, by przeżyć swojego męża. Wdowa i matka książęcych dzieci to dobra pozycja dla kobiety.

— Znam lepszą. — Emnilda uśmiechnęła się, całując córkę.

— Och, ty się nie liczysz — żachnęła się Świętosława. — Wy z Bolzem jesteście jakimś wyjątkiem. Ale oczywiście twojej córce może się tak samo poszczęścić. Okaże się, że Światopołk jest przystojnym, walecznym mężczyzną, w którym się zakocha z wzajemnością.

— Chciałabym — szepnęła Sława. — Ale ja naprawdę boję się obcych…

— Dlatego pojedzie z tobą cały dwór. Ojciec da ci nawet biskupa Reinberna…

Sława przestała łkać, zaczęła słuchać, roztapiając się w objęciach Emnildy.

Świętosława mogła już zostawić je same. Poszła do swej komnaty na piętrze. Zamknęła się i wyjęła skrawek pergaminu. Palcem wodziła od słowa do słowa. Nie, nie umiała czytać, ale nauczyła się tego listu, który przywiózł jej od Teodulfa Bezprym, na pamięć.

„Olof Król Szwedów pozdrawia swą matkę, królową Sigridę. Dziękuje jej za biskupa i pamięć, bo sam zachowuje ją w najserdeczniejszym wspomnieniu. Amen”.

OLOF Król Szwedów w białej, chrzcielnej szacie, podarunku od biskupa Teodulfa, konno objeżdżał Sigtunę, by pokazać swym ludziom, że się ochrzcił i czuje z tego powodu dumę. Rozrzucał drobne, srebrne monety; Teodulf powiedział mu, że jest to zwyczaj chrześcijańskich królów. Przed sobą, w siodle, trzymał synka, Anuda Jakuba. Trzylatek był drobny jak na swój wiek i tulił się do ojca, zawstydzony tłumem obcych. Dziesięcioletnia Ingegerda siedziała w siodle pewnie, plecy miała proste, głowę uniesioną wysoko i wyglądała jak urodzona królewna. „To po mnie” — miała w zwyczaju mówić jego pani żona, obodrycka księżniczka Astryda. „Nie, królowo — myślał, choć nie mówił tego na głos. — Ingegerda wygląda jak

moja matka”. Nie uświadamiał sobie tego wcześniej, ale przybycie Wilczana i Teodulfa otworzyło w nim tamę wspomnień

— Niech żyje król Olof! — krzyczał tłum.

— Niech żyje Anud Jakub i Ingegerda! — dodał ktoś jeszcze.

Jadąca przy jego boku żona, Astryda, fuknęła gniewnie, ale opanowała się szybko i pozdrowiła poddanych. Mimo to nikt nie wymienił jej imienia. Obodrycka pani miała wyjątkową łatwość w zrażaniu do siebie ludzi. Pyszniła się bogactwem swej ślubnej wyprawy, otaczała zbytkiem i wprowadziła na prosty dwór w Sigtunie zwyczaje, które tylko jej się podobały.

Olof szukał w tłumie wzrokiem Edli. Nie miał siły jej odprawić. Nałożnica, kochanka i przyjaciółka dawała mu to wszystko, czego nie znalazł u żony. Czułość bez granic, wyrozumiałość, pewność, że jest przez kogoś kochany bez żadnych wymagań i oczekiwań. Astryda tak bardzo chciała być królową, że nie zauważyła, iż on potrzebuje kobiety, nie pani. A Edla, pokorna i cicha, namiętna i kochająca, nie zapominała być kobietą. Wybudował dla niej dom na obrzeżach Sigtuny. Otoczył służbą i dyskretną opieką. Odwiedzał, kiedy tylko mógł. Pani żona wiedziała o Edli. Z początku się wściekała, potem zażądała usunięcia z Sigtuny ich wspólnej córki, nieco starszej od Ingegerdy. Zgodził się na to. Gdy żona urodziła mu syna, jej drapieżność nieco przycichła. Czuła przewagę. Miała z królem dwoje dzieci, a kochanka jedno. Olof wiedział, że to tylko cisza przed sztormem, który wybuchnie, gdy pani żona się dowie, że Edla znów jest brzemienna.

Może powinienem przenieść ją w bezpieczniejsze miejsce? Z dala od królowej? — pomyślał i zrobiło mu się smutno na samą myśl, że ukochana kobieta będzie daleko. Nie dojrzał jej w tłumie, pewnie nie chciała ryzykować spotkania z Astrydą.

— Już koniec? — zapytał Anud Jakub.

— Tak, synku. Objechaliśmy całą Sigtunę, by poddani mogli się cieszyć razem z nami z królewskiego chrztu. Teraz wracamy do domu.

Przed dworem dojrzał Wilczana. Przyjaciel jego lat dziecinnych stał z boku, przy tarczy, do której strzelali z łuku chłopcy, synowie jego panów.

Jak my kiedyś — westchnął Olof. Przez chwilę nie był pewien, które życie woli. Czy to teraz, kiedy jest dorosłym władcą, czy tamto, gdy był chłopcem.

— Chcę siku — szepnął jego syn i Olof nie miał złudzeń. Czasu nie da się cofnąć.

Chwycił małego pod ramiona i zdjął z siodła, podając służbie. Usłyszał, jak jego żona mówi do kogoś:

— Muszę zmienić suknię przed wieczerzą.

Odetchnął w duchu. To znaczy, że i ona nie widziała Edli w tłumie i że niczego od niego nie chce.

— Przejdziemy się, królu Olofie? — zapytał Wilczan.

— Z radością! Choć najchętniej przebrałbym się w strój kogoś ze służby i uciekł z tobą nawet na jeden dzień od tego wszystkiego. — Zrobił ruch głową, pokazując na dziedziniec pełen koni i ludzi.

Wziął od sługi płaszcz, by okryć nim śnieżną biel chrzcielnej szaty. Nosił ją dzień w dzień od tygodnia, jutro założy po raz ostatni.

— Co dalej, Wilczanie? Mówiłeś, że nie chcesz zostać ze mną w Sigtunie.

— Ale biskup Teodulf zostanie. Wracam, bo królowa może mnie potrzebować. W Polanii wiele się dzieje.

— W Danii również. Czy królowa wie, że król Sven zbiera siły na Anglię?

— Wie. — Wilczan skinął głową.

— Ma wielu przyjaciół — domyślił się Olof, ale Wilczan nic więcej nie chciał powiedzieć.

— Pamiętam, jak kiedyś mawiała — podjął Olof, by pokonać milczenie Wilczana — że wielkość władcy mierzy się ilością wrogów.

— Dzisiaj zwykła mawiać, że powinny być w równowadze. Czy chciałbyś coś przekazać królowej?

Olof wziął głęboki wdech i powiedział:

— Nie. Ale mam wiele do przekazania mojej matce.

A potem otworzył przed Wilczanem serce i popłynęła z niego spowiedź. Znów był na wodach Øresundu, na pokładzie „Złotej Tarczy". Znów wydawał rozkazy.

— Życie przeżywamy tylko jeden raz i czasu nie można cofnąć — powiedział wreszcie Wilczan, gdy Olof zamilkł. — Ale czy mam przekazać swej pani, że pierworodny syn więcej jej nie zdradzi?

— Tak, Wilczanie. Zrozumiałem naukę Teodulfa. Nie mogę zadośćuczynić temu, co się zdarzyło. Nie przywrócę Olava Tryggvasona do życia, ale odczuwam żal za grzechy i proszę matkę o wybaczenie tego, co się wtedy stało. Sądzisz, że mi go udzieli?

— Już to zrobiła, Olofie, wysyłając mnie do ciebie z przesłaniem.

BOLESŁAW nie znosił podróży z orszakiem. Dziesiątki taborowych wozów i rzesze służby spowalniały podróż. Z drużyną dojechałby z Poznania do Przemyśla w dziesięć dni. Owszem, teraz też jechał z drużyną, ale i z dworem Sławy, którą odwoził do przyszłego męża, Światopełka Wladimirowicza, syna wielkiego kniazia kijowskiego. Wlekli się już trzeci tydzień.

— Nuda, co? — Świętosława podjechała do niego konno.

Zabrał ze sobą siostrę, bo umiała uspokoić jego płaczliwą córkę.

— Ale kraj piękny — odpowiedział krótko.

— Najeździłeś się tędy na Morawy. — Siostra kiwnęła głową.

Odkąd Wilczan wrócił z Sigtuny i zdał im relację z pobytu na dworze Olofa, Świętosława się wypogodziła.

Olof, który ją zdradził pod Øresundem, jest dla mnie jak Bezprym. Cierń w sercu — pomyślał Bolesław, patrząc na profil siostry. Świętosława nie miała w sobie nic z matrony. Wiek jej służył. Włosy wciąż lśniły jak najczystszy jantar, drobny wzrost i szczupła sylwetka sprawiały, że wciąż wydawała mu się dziewczynką. — A może tak myślę, bo sam przy niej jestem chłopcem? Bolesławem, synem księcia pana? Nasz ojciec też był pewien, że będzie wieczny. Pamiętam tę zimową noc, gdy rozebrał się do naga i prowadził mnie do przeręb la. — Na samo wspomnienie Bolesława przenicował chłód. — Mieszko miał wtedy tyle lat, co ja dzisiaj. Czterdzieści pięć. Kiedy ten czas minął?

— Unoś wysoko podbródek, to nie zdąży ci obwisnąć — usłyszał za plecami głos Świętosławy.

Odwrócił się i parsknął śmiechem. Siostra, która chwilę temu jechała z nim bok w bok, teraz była już przy Sławie i udzielała jej światłych porad.

— Kiedy dojedziemy? — Zrównała się z nim. — Chcę zobaczyć piękny Przemyśl.

— A ja chcę zobaczyć słynniejszy i piękniejszy Kijów — odparował Bolesław.

— Kniaź Wladimir chybaby padł trupem, gdybyś wymyślił, że odwieziesz mu synową pod samą siedzibę.

— Szkoda — westchnął.

— Wiem, wiem. Gdybyś nie musiał pilnować zachodniej granicy, znalazłbyś pretekst. — Zaśmiała się nosowo. — Twój Daniła mówi, że w okolicznych puszczach roi się od rysiów. Gdybyś mnie kochał, złowiłbyś mi młode rysie.

— Ty się zdecyduj, siostro! — fuknął na nią. — Tęsknisz za dziećmi czy za rysiami? Czasami nie nadążam.

— Wyobraźni ci brakuje, braciszku. Flaczejesz. Emnilda sprawdza, czy nie zachodzisz próchnem?

Ostatnio coraz rzadziej — pomyślał smutno i wyznał:

— Emnilda źle się czuje.

— Wiem — odpowiedziała cicho. — Mówiła mi.

— I co myślisz?

— Wyjdzie z tego. — Siostra wzruszyła ramionami.

— Kiepsko kłamiesz.

— Dlatego jestem tutaj, a nie w Roskilde.

Zaczęli się śmiać oboje, bo to, co powiedziała, było tragiczne i głupie.

— Ona jest moim życiem — powiedział, gdy w końcu opuścił ich napad śmiechu.

— A ty jej. Jesteście szczęściarzami, Bolesławie. To nie przydarza się władcom. Tyle lat wielkiej, gorącej miłości…

— Przestań — syknął. — Miłością nie można się przejeść.

— Mówisz do kogoś, kto omal nie umarł z jej braku — odpowiedziała bezbarwnie. — Ze mną los obszedł się zupełnie inaczej.

Nie powiedział jej. I patrząc na to, jak sposępniało jej jasne oblicze, wiedział, że nigdy tego nie zrobi.

— Posłałam po naszą siostrę — odezwała się po chwili. — Astryda zna się na ziołach i potrafi leczyć. Niektórzy twierdzą, że umie pomóc nawet wtedy, gdy sytuacja wydaje się beznadziejna. Emnildzie będzie zręczniej poddać się zabiegom Astrydy, gdy ciebie nie ma.

— Dziękuję — odpowiedział.

Uczepił się tej myśli. Astryda, ich wierna siostra. Dziwaczka, która po śmierci Dalwina i odłączeniu się Wolina od sojuszu nie opuściła portowej

wyspy. Prosił ją, by przyjęła należne jej miejsce na poznańskim dworze. Odmówiła. „Potrzebuję wiatru od morza, inaczej zdechnę” — powiedziała, a on potrafił zrozumieć, co ma na myśli. Ale tak, Astryda miała swe ukryte dary. Daj Boże, niech je wykorzysta dla mojej Emnildy. Widział, jak ukochana kobieta zapada się w sobie i kurczy. Ukrywa słabość. Barwi policzki i usta, by nikt nie poznał, że jest chorobliwie blada. On widział. Kochał ją, jakby tego nie było. Kochał ją nawet w niemocy, bo dusza się w niej nie zmieniła, a przecież owszem, posiadł przed laty ciało, ale pokochał duszę.

— Co myślisz o ruchach Henryka? — zmieniła temat Świętosława.

Król Rzeszy wysłał do niego wiosną ubiegłego roku księcia Bernharda Billunga, tego samego, który uratował go z zamachu w Merseburgu niemal dziesięć lat temu. Bernhard w prostych, żołnierskich słowach wyjawił cel swojej wizyty: „Król chce mymi ustami prosić cię, byś wycofał się z działań na Połabiu. Robię, czego sobie zażyczył, i mówię od siebie: nie ustępuj. Masz tam więcej ukrytych sprzymierzeńców niż wrogów. Lud i zarządcy grodów sprzyjają tobie. Tyle mego posłania. Nie po to ocaliłem cię przed jego zbirami, byś teraz miał dawać mu satysfakcję”.

— Co myślę? — powtórzył pytanie siostry. — Ptasi Król wszedł na bagna, tak najkrócej ująłbym sprawę. Rodzima ludność jest równie nieprzychylna wobec drapieżnych działań nieposkromionych Wieletów, jak wobec Sasów. Wolą moje panowanie. I choć wiem, że Henryk prędzej czy później zdobędzie tytuł cesarza, nie zmieni to nic w jego sytuacji nad Łabą. Owszem, może ściągnąć wojska z całej Rzeszy, ba, kiedyś i cesarstwa, i zetrzeć mnie na proch, bo takiej przewadze nie sprostam. Ale nie jest w stanie przekonać tamtejszej ludności, że są częścią jego władztwa. Pycha i buta to źli doradcy, siostro. Wojna trwa już prawie dziesiąty rok i on, wielki

król Rzeszy, nic nie może zrobić. Jestem gotów zawrzeć wiele pozorowanych rozejmów i pokojów, ale nie ustąpię.

— Wiem, bracie. Ty jesteś po stronie idei Ottona.

— Żałuję, że nie mogłaś poznać cesarza. W nim było światło, bo chciał budować na zgodzie, a nie na wojnie.

— Jeśli mistrz wojny, a takim jesteś, dał się uwieść idei pokoju, to masz rację. Żałuję, że nie poznałam Ottona.

Dwa dni później stanęli w Przemyślu nad Sanem. Graniczny gród przyjął swego księcia z honorami.

— Chwała i zaszczyt dla nas gościć księcia i jego dwór! — powitał ich Rosław, kasztelan Przemyśla.

— Rusini już przybyli? — zapytał.

— Czekają od tygodnia. — Rosław mrugnął. — Książę Światopołk z dworem. Kazałem im się rozbić obozem nad Sanem. Pogoda dobra i sucho. A palatium czeka na mego księcia i księżniczkę. Wyprawię dziś wieczór ucztę! Chcę, by książę się przekonał, jak wygląda nasza gościnność.

Była niezmierzona. Rosław lał podczas uczty miód tak cudny, mocny, wonny i uderzający do głów, że upił się, nim zdążył pomyśleć, że pije. Jedli niedźwiedzie łapy duszone z ziołami, bobry zapieczone w śmietanie, jelenie i sarnie udźce z rusztu, gulasze z dzików i jagód. Potem był korowód innych potraw, ale Bolesław ich nie zapamiętał. Kolacja przechodziła w śniadanie.

— Bracie — Świętosława trąciła go w ramię — błagam, powiedz Rosławowi, że jest najlepszym kasztelanem, bo inaczej nie przestanie nas tuczyć i poić.

Kazał sobie wylać na głowę ceber zimnej wody, otrząsnął się i otrzeźwiał. Krzyknął:

— Dosyć!

Rosław zastygł w geście rozkazującym służbie wniesienie kolejnych mis z jadłem. Bolesław zobaczył Sławę. Skuloną pod płaszczem, drżącą.

— Starczy uczt — powiedział spokojnie i podszedł do córki. — Jesteś gotowa?

Zaprzeczyła. Poczuł, jak boli go głowa.

— Świętosławo? — Szukał pomocy siostry, ale zniknęła. Albo rozmył mu się obraz przed oczami.

W końcu zobaczył wszystkich. Biskupa Reinberna, Daniłę, swoich wojów, Sławę i jej służki, siostrę, Wielkiego Ulfa z siwą brodą i pokrytym bliznami pyskiem.

— Rosławie, przekaż Rusinom, że jutro w południe oddam im córkę.

Spotkali się zgodnie ze zwyczajem, na środku rzeki.

Sława ubrana w złote jedwabie, z głową zakrytą białym, cienko tkanym płótnem, siedziała na grzbiecie siwej klaczy, w której grzywę wpleciono jesienne kwiaty i perły. Nic nie widziała, spowita welonem, więc jej konia prowadzili dwaj drużynnicy Bolesława. On jechał przed nią, przy jego boku siostra. Naprzeciw nich wyjechał Światopołk; wysoki, kędzierzawy, o oczach płonących jak żagwie. Ubrał się po rusku, bogato. Kaftan i płaszcz zdobiły mu wszywane w materię szlachetne kamienie i złote płytki. Na głowie miał książęcy kołpak.

— Piękniś — szepnęła Świętosława na widok młodego księcia.

— Żałujesz, że się sama za niego nie wydałaś, kiedy Wladimir proponował? — spytał złośliwie.

— Nie. Wolę wojowników. Wiesz, kolczuga, kaftan, hełm, smród foczego sadła i niemytych włosów. Ale ten tutaj to prawdziwy książę. Przynajmniej z wyglądu. Sławeńko — lekko zwróciła głowę do tyłu — twój kochaś jest śliczny.

— Kto idzie? — zawołał Bolesław, bo orszak zięcia był blisko.

— Młodzieniec po pannę! — odkrzyknął młody książę.

— Jak go zwą?

— Światopołk, syn kniazia Wladimira, pana Rusi od Nowogrodu po Kijów.

— Z kim przybywa po pannę?

— Z orszakiem swych sióstr i dziewic. Z drużyną wojów!

Bolesław dopiero teraz spojrzał za plecy Światopołka. I poraziło go. Nie złoto i bogactwo, które kipiało z orszaku zięcia. Ale modre oczy wyglądające zza jego pleców. Wśród panien, które przybyły, było dziewczę ubrane w zieleń. Zieleń mchów, paproci zakwitających tylko raz w roku. Jaga, która oddała mu się w sobótkową noc? Nie. Tamta dziewczyna sprzed lat była piękna swą bezwstydną nagością. Ta, którą widział, raziła go dziewiczą urodą.

— Kto oddaje dziewczynę? — zawołał kniaź.

— Bolesław, książę wielkiej Polanii.

— Zaszczyt to dla mnie, który chcę ją przyjąć!

Drużynnicy odprowadzili klacz Sławy do Światopołka. On zrównał się z nią bok w bok i odsłonił jej welon.

— Piękna jak marzenie! — krzyknął, odrzucając cienką płachtę na plecy Sławy. — Biorę ją za żonę!

To mówiąc, założył na jej nadgarstki szerokie, kute w srebrze bransolety. Sława nie zapłakała.

Może jej się spodobał? — pomyślał z ulgą. — Jak tu spytać, kim jest dziewczyna w zielonym jak mech płaszczu? Poczuł, że czerwieni się niczym chłopiec.

— Ja, ojciec, oddaję ci ją w dobrej wierze! — krzyknął, ściskając Białego kolanami. — Ale jeśli krzywda stanie się mej słodkiej córce, odbiorę ci ją i wymierzę karę.

— Przyjmuję! — zawołał Światopołk. — Niech jej orszak podąży za nami.

Biskup Reinbern zrobił znak krzyża na drogę. Dwórki, służki i panny dane Sławie zaszlochały i wjechały konno w nurt Sanu. Za nimi drużyna zbrojna, która miała jej strzec w dzień i w noc. Sława się odwróciła. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie szlochała.

— Sławeńko! — krzyknęła do niej Świętosława. — Pamiętaj, czego cię uczyłam!

— Tego o podbródku? — zapytał.

— Dureń z ciebie, choć książę — fuknęła i zawołała głośno: — Stwórz stado!

Sława zamachała im dłonią w złotej rękawiczce. Na jej nadgarstku zalśniła srebrna bransoleta.

Dziewczyna w zielonym płaszczu odwróciła się i spojrzała na Bolesława modrymi oczyma.

— Jezu — jęknęła Świętosława — a co to? Kto to? Elfica?

— Pojęcia nie mam — odrzekł. — Ale jedzie przed Sławą.

KNUT zgodnie z przyjętym przez ojca zwyczajem siedział na mniejszym tronie po jego lewicy. Po prawicy było miejsce starszego, Haralda. Ich siostry, Astryda i Sventoslava, siedziały odpowiednio, młodsza przy nim, a starsza przy bracie. Tron królowej, dawne miejsce matki, zniknął ledwie przed rokiem. Bronili tego pustego krzesła wraz z bratem, ale w końcu ulegli.

— Tak wygląda nasza rodzina. Ja, moi dwaj synowie i dwie córki. Koniec — zaordynował Sven i nie było dyskusji.

— Wolę to — zwierzył mu się wówczas starszy brat — niż gdyby chciał brać nową żonę. Dla mnie pamięć o matce jest święta.

— Dla mnie też — zapewnił go Knut, choć z roku na rok musiał się coraz bardziej starać, by obraz, który nosił w sercu, się nie zatarł.

Czasami kłócili się o nią z Haraldem.

— Miała zielone oczy.

— Nie, złote!

— Złote miała włosy!

— Nie, rude!

— Sam jesteś rudy, ale to po ojcu!

— Miała rysie.

Wspomnienie dwóch drapieżników na smyczy godziło ich. Czasami Knut bał się, że to jedyne, co na pewno wie o swej matce. Ojciec dbał, by nie mieli czasu o niej myśleć. Cała Dania żyła jednym: przygotowaniem do wielkiej wyprawy na Anglię.

Teraz też; siedzieli w wielkiej halli dworu w Roskilde i chciwie wsłuchiwali się w opowieść Ragna z Wysp, który dopiero co przybył z Canterbury.

— Drapieżna Ławica Thorkela Wysokiego po prostu dusi Anglię, mój królu. Cały ubiegły rok rabowali i palili. Thorkel korzysta nie tylko z obozu na wyspie Wight, ale założył też kilka innych baz na lądzie, gdzie trzyma stada zdobycznych koni.

— Dzięki temu jest tak szybki, może atakować z lądu i wody — powiedział Sven i Knut odniósł wrażenie, że ojciec jest zadowolony ze swego wodza. Nawijał długie, rude włosy na palec, a nie robił tego nigdy, kiedy się złościł.

— Jesienią zeszłego roku przystąpiliśmy do oblężenia Canterbury — ciągnął Ragn. — Trwało to i trwało, po trzecim tygodniu byłem pewien, że tracimy czas. Ale ten lis, Thorkel, jakimś cudem znalazł dojście do jednego

z księży przebywających za murami klasztoru. Przekupił go i tamten zdradził, otwierając nam bramy.

Zgromadzeni zaśmiali się gromko i pochwalili spryt Thorkela. Knut poczuł niepokój. Spojrzał na ojca. Sven puścił pasmo włosów i oparł dłonie na kolanach.

— Mów dalej — zachęcił Ragna i uciszył słuchaczy.

— Plądrowanie miasta trwało nieco, bo i było co łupić. — Ragn się uśmiechnął. — Ale Thorkel nie szukał bogactw, tylko kazał wynajdywać jeńców. Najpierw jego ludzie przyprowadzili mu mniszkę Leofrun. Przeoryszę klasztoru świętej Mildredy, jeśli dobrze zapamiętałem. Thorkel pochwalił łup, ale rozkazał szukać dalej. Potem przyprowadzono mu biskupa Godwina z Rochester, który miał pecha być z wizytą w Canterbury. I Elfreda, królewskiego szeryfa. Thorkel wybadał tych dwóch i sam udał się na poszukiwania, z których wrócił ze swym, jak powiedział, skarbem. Arcybiskupem Canterbury.

— Dziwak! Ja bym szukał pięknych angielskich dam, a jeszcze lepiej panien! — krzyknął Uddorm.

— Posłuchaj dalej, Uddormie, a dowiesz się, dlaczego Thorkel wolał arcybiskupa od kobiet! — zawołał ojciec.

Pewnie chciał wziąć za niego okup — pomyślał Knut i nie pomylił się.

— Trzymaliśmy jeńców całą zimę, a posłowie od króla Ethelreda jeździli w tę i z powrotem. W grę wchodziły coraz wyższe kwoty, ale Thorkel podbijał stawkę w nieskończoność.

— Ile wziął? — Ojciec nie wytrzymał i przerwał Ragnowi.

— Czterdzieści osiem tysięcy funtów srebra!

Po halli przeszedł szmer podziwu, który przerodził się w gromkie okrzyki.

Knut widział, jak ojcu zadrgały szczęki. Jak jego palce zacisnęły się na oparciach tronu. Tyle razy w tej halli recytowano wiersz o armii Dwóch Królów, o Svenie i Olavie, którzy wzięli największy danegeld, jaki Anglia zapłaciła najeźdźcom. Tyle że było to trzy razy mniej niż kwota, którą wymienił Ragn z Wysp. Znał swego porywczego ojca; wiedział, że Sven tego nie daruje, nawet jeśli Thorkel odda mu część srebra. Nie o bogactwo chodziło, lecz o sławę.

Ragn z Wysp uniósł ramię, by uciszyć skandujących.

— Czekajcie, bo to nie koniec. Nim dotarli do naszego obozu posłańcy z wieścią, ile król zapłaci za poniechanie najazdów i wykup jeńców, doszło do dziwnych zdarzeń. Drapieżna Ławica się pokłóciła. Ludziom obmierzło czekanie. W końcu Canterbury zdobyliśmy jesienią, a dopiero po Wielkanocy Ethelred i Thorkel kończyli dobijanie targu. Pewnej nocy doszło do pijackich zamieszek. Zniecierpliwieni brakiem okupu ludzie zaczęli wygrażać więźniom. Thorkel próbował łagodzić spory, tłumaczył, że lada dzień nadejdzie oferta od króla. I wtedy sam arcybiskup zakrzyknął z klatki, w której go trzymali, że nie jest koniem, by go kupować. To było jak iskra, która spada na zbyt przesuszone drewno… Doszło do zamieszek, a pijani, wściekli wojownicy pozarzynali jeńców. Arcybiskup stracił życie jako pierwszy.

W halli zapanowała cisza. Knut czuł, jak bije mu serce. Patrzył w twarze wodzów i wojowników, z którymi jego ojciec zdobył władzę i wygrywał wojny, i próbował zrozumieć, co stoi za ich milczeniem. Czy współczucie wobec pomordowanych? Czy żal za straconym olbrzymim okupem? Czy może złość na tak barbarzyńskie rozstrzygnięcie sprawy?

— Zapanował chaos. Thorkel jakoś uspokoił ludzi. Zabronił bezczeszczenia zwłok i sam osobiście udał się do króla Ethelreda.

Jest odważny albo szalony — pomyślał o Thorkelu Knut i słuchał dalej.

— Nie bał się po tym, co zaszło? — spytał jego ojciec.

— Tego nie wiem, królu, nie pytałem go, co czuł. Znam efekt tego spotkania i jest zdumiewający. Król Ethelred mimo śmierci jeńców wypłacił okup.

Przez wielką hallę dworu w Roskilde przeszedł sztorm. Salwy śmiechów, okrzyki, nieposkromiona radość, a nade wszystko podziw.

— Thor-kel! Thor-kel! — skandowali ludzie jego ojca, a Knut patrzył, jak Sven czerwienieje.

— Wstrzymajcie się — wrzasnął Ragn z Wysp — aż powiem do końca, zanim pochwalicie Thorkela! Tak, wziął srebro, mimo iż jeńcy nie żyli. Oddał ich ciała królowi, a następnie rozpuścił Drapieżną Ławicę, wypłacając ludziom sowity żołd… Słuchajcie, co mówię! Bo potem wraz z czterema dziesiątkami swych łodzi przeszedł na służbę Ethelreda.

Knut widział, jak Sven wypuszcza powietrze.

— Zdrada! — krzyknął jarl Thorgils z Jelling, a Ulf, jego syn, jak cień przy ojcu dołączył się do okrzyku.

— Zdrada!

— Rozpuszczając Ławicę, Thorkel obwieścił, że teraz każdy, kto stanie przeciw Anglikom, będzie miał do czynienia z nim. I że nie zawaha się zabić w obronie króla dawnych towarzyszy.

— Zdrada! — przetoczyło się po halli. Najgłośniej krzyczeli Thorgils i Ulf: — Pomścić zdradę!

Sven podniósł się z tronu i w halli ucichło. Knut i Harald wstali szybko, by być jak tarcza za plecami ojca.

— Wodzowie! — zawołał król Sven. — Szykujcie swych synów, braci, kuzynów i ojców. Koniec Drapieżnych Ławic! Flota, którą zbierzemy i która w przyszłym roku wypłynie do Anglii, zwać się będzie Gniewem Svena.

— Gniew Svena! Gniew Svena! Gniew Svena!

— Na jej czele stanę ja, a przy mnie mój syn!

Harald, poczerwieniały z emocji, zrobił krok w przód. Ojciec odwrócił się i powiedział:

— Nie, Haraldzie. Ty zostaniesz w Roskilde. Na czas mej nieobecności przekażę ci władzę w Danii jako starszemu z mych synów. Przy moim boku na Anglię popłynie Knut!

Knut poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Spojrzał na ojca. Tak! Sven wyciągnął ku niemu ramię. Zrobił krok w przód i chwycił lewicę króla, a ten uniósł ich splecione ramiona. Knut był szczęśliwy, obrót spraw stał się nieoczekiwany. Zerknął na Haralda. Starszy brat, wciąż czerwony, patrzył na niego gniewnie, jakby wybór ojca był jego winą. Sven wyciągnął prawicę do pierworodnego i złapawszy za nią, wzniósł tak samo. I stali tak we trzech, trzymając się za ręce. W końcu ojciec opuścił ich ramiona i przyciągnął obu do siebie.

— Tak zdecydowałem — oznajmił. — Żadnych kłótni.

— Tak jest, ojcze — odpowiedzieli równo i usiedli.

Po halli już krążyły dzbany z miodem. Wojowie skandowali na zmianę ich imiona. Całe Roskilde gotowe było do wojny. Złowił krzywe spojrzenie Ulfa, syna jarla Thorgilsa. Skald zaczął recytować Pieśń Najwyższego.

Milkliwy i myślący
ma być syn królewski,
w boju mężny,
w rozkazach nieugięty…

Milkliwy i myślący — to o mnie. Chryste! Czy ja podołam? Harald chyba nadaje się bardziej do takiej wyprawy. Myśli Knuta biegły

gorączkowo pod pozornie tylko spokojnym obliczem. Skald, zrobiwszy przerwę na łyk miodu, ciągnął:

Szczęśliwy ten,
co sam sobie zdobędzie
dobre imię i chwałę…

Wśród ogólnego śmiechu, tumultu, pisków i radości ojciec pochylił się ku niemu. Rude włosy lśniły w blasku ognia. Długie warkocze brody sterczały niemal drapieżnie. W niebieskich oczach Svena nie było cienia radości, jaka panowała w halli.

— Nie zawiedź mnie, synu — warknął do niego.

ŚWIĘTOSŁAWA z wyprawy do Przemyśla wróciła szczęśliwa. Daniła w drodze powrotnej złowił dla niej młodego rysia.

— Dlaczego nie dwa? — ofuknęła go w pierwszej chwili, a w drugiej ucałowała i obdarowała sowicie. — Daniła, Daniła! To rysica.

Zwierzę jechało w klatce, karmiła je sama na każdym postoju i zastanawiała się, jak się oswaja samice.

— Pojęcia nie mam — zwierzyła się bratu. — Z Olofem byłam dziesięć lat, z Haraldem sześć, z Knutem pięć, ale dziewczynki odebrano mi tak szybko.

— Poradzisz sobie — rzucił nieuważnie Bolesław. Myślami był gdzie indziej.

W Poznaniu zastali Astrydę.

— Jak z Emnildą? — zapytała szeptem, witając się z siostrą.

— Zrobiłam, co umiałam. Nie jest najgorzej — odpowiedziała Astryda.

Świętosława, trzymając ręce na ramionach siostry, przyjrzała jej się uważnie.

— A z tobą co?

Ciemne włosy Astrydy przetykały siwe pasma. Jej twarz zdawała się napięta, zmęczona i niezdrowa.

— Ze mną? — skrzywiła się. — Nic wielkiego. Dopada mnie starość, siostro.

— Nie mów tak, bo i ja będę się musiała zestarzeć! — żachnęła się i pocałowała ją w policzek. — Nie wracaj na Wolin, zostań, proszę.

— Nie jest tak źle. — Astryda zaśmiała się sucho. — Jeszcze nie wymagam opieki.

— Bolesław cię potrzebuje — skłamała na poczekaniu. — Nie wyjeżdżaj.

Została, choć raczej nie dała się zwieść opowieścią o Bolesławie. Astryda miała wyjątkową łatwość znikania i zjawiania się wtedy, gdy ktoś jej potrzebował. Całymi dniami potrafiła być prawie niewidoczna.

Krótko po sobótce, tego samego dnia, gdy okazało się, że kapłan Swarożyca, Strosz Krucze Skrzydło, uciekł z klatki, w której trzymał go Bolesław, Świętosława wracała z przechadzki po błoniach nad Wartą i przy jednym z rybackich pomostów dostrzegła ciemnoniebieski płaszcz Astrydy.

— Siostro! — zawołała i zlękła się, bo Astryda nie odpowiedziała.

Podeszła do niej.

— Astrydo, co tu robisz?

Siostra odwróciła się do niej. Oczy miała jakby nieprzytomne. Dłonie jej drżały. Świętosława chwyciła ją w ramiona i przytrzymała.

— Szukam żywego — wydukała po chwili — między utopionymi kośćmi umarłych.

Astryda, którą trzymała w ramionach, była krucha i sztywna, nieobecna i niemal obca. W tej samej chwili wysokie trawy rozchyliły się i wychynął z nich płowy pysk jej rysicy.

— Dusza — szepnęła Świętosława — waruj!

Siostra zmiękła w jej ramionach, otrząsnęła się i odsunęła.

— Świętosława i ryś — zaśmiała się i poprawiła: — Rysica. Byłyście na spacerze? Uczysz ją polowania?

— To drapieżnica, polowanie ma we krwi.

— Jak ją nazwałaś?

— Dusza. — Świętosława uważnie patrzyła w twarz siostry. — Ty naprawdę nie pamiętasz, co mówiłaś przed chwilą?

Przez ciemne oczy Astrydy przebiegł lęk.

— Nie. Powtórz mi.

— Szukałaś żywego między utopionymi kośćmi zmarłych.

Astrydą wstrząsnęło. Usiadła na trawie, owijając się płaszczem.

Zimno jej? — pomyślała Świętosława. — Jest pełnia lata.

— Usiądź przy mnie — poprosiła siostra.

Dusza pobiegła na łąki. Astryda suchymi palcami gładziła łodygi traw.

— To zdarza się rzadko, a jednak się zdarza. Pierwszy raz wtedy, gdy pan ojciec wyjawił mi swój plan i kazał wyjść za Sigvalda. Błagałam go, by zaniechał, ale Mieszko pan się uparł. Pamiętasz, jak było. Mówił, że zagrażać krajowi może Sven, jeśli tylko połączy swe siły z Obodrytami albo Wieletami. Powiedział, że jeśli wszystkie zrobimy co trzeba, to choć Sven przejmie po ojcu Danię wielką, to skończy w małej jak rybacka wioska.

— Mylił się — odpowiedziała bezbarwnie.

— W pierwszej chwili zaczęłam się trząść jak dziecko. Potem popłynęły mi łzy po policzkach, choć nie płakałam. Zdrętwiały mi palce rąk, jakbym wsadziła je w lód. I tak właśnie mu powiedziałam: „Mylisz się, ojcze”, a po chwili mi przeszło.

— Zawsze wiedziałam, że jesteś kimś więcej, Astrydo. Masz dar wieszczenia. To ty miałaś rację, nie Mieszko. Zdarzyło ci się to później?

— Kilka razy — wymijająco odrzekła siostra.

— A teraz? Czyich kości szukałaś?

— Nie wiem, siostro. Miałam wrażenie, że chodzi o kogoś świętego.

— Zimno ci? — zatroszczyła się Świętosława i przytuliła siostrę. — Moja niezwykła, kochana siostra. — Pocałowała ją w ramię.

— Dlaczego teraz mi to mówisz? — zduszonym głosem spytała Astryda. — Dlaczego dopiero teraz?

Świętosława spojrzała na nią. Broda jej drżała, jakby chciała się popłakać.

— Daj spokój — zaśmiała się i klepnęła ją lekko. — Jesteś dużą dziewczynką. Wracamy. Dusza, na smycz!

Z wałów Poznania słychać było dźwięk rogu.

— No chodź, nie ociągaj się. To z zachodniej bramy. Pewnie ważne wieści. Chodź.

Wolałaby tych wieści nigdy nie usłyszeć.

— Biskup Unger nie żyje — powiedział Derwan.

Spojrzały na siebie z Astrydą. Kości świętego, które zobaczyła w rzece?

Bolesław powstał z tronu; Derwan musiał wytrzymać atak jego gniewu. Brat ryknął:

— Zamordowali go?

— Tajemnicza sprawa, książę — odpowiedział zwiadowca. — Bo jeśli nawet, to razem z arcybiskupem Tagino.

— Co?!

— Twój biskup Unger i gospodarz miejsca, w którym go trzymano, arcybiskup Magdeburga, Tagino, zmarli tego samego dnia. Magdeburg huczy od plotek.

Świętosława była porażona. Astryda złapała ją za palce i zaczęła się śmiać histerycznie.

— I pomyśleć, że właśnie miałam zamiar się ochrzcić! Powiedziałam sobie: „Gdy Unger wróci, przyjdę do niego po chrzest!”.

— Ty już lepiej zostań poganką, siostro — jęknęła Świętosława.

— Jak to się mogło stać? — Bolesław krążył po sali audiencyjnej, aż Dusza zaczęła warczeć.

— Nikt nie wie. Ponoć rankiem jednego i drugiego znaleziono martwych.

— Jedli razem wieczerzę? — spytała Emnilda.

— Nawet jeśli, to tylko się o tym gada, a nic nie wiadomo na pewno.

— Tagino ci sprzyjał, bracie — powiedziała Świętosława, okręcając smycz Duszy wokół nadgarstka. Młoda rysica z trudem uczyła się manier. — Waruj. Książę będzie chodził, dopóki czegoś nie wymyśli. W najgorszym razie usunięto i dość przyjaznego tobie arcybiskupa, i twego osobistego, Ungera. W najlepszym ktoś chciał zabić Ungera i niechcący poczęstował trucizną ich obu.

— Albo — rzucił Bolesław głośno z drugiej strony sali — ofiarą miał być sam Tagino, a Unger stał się przypadkowym świadkiem lub poszkodowanym. Nie jest tajemnicą, że Tagino nie popierał sojuszu Henryka z poganami i choć nie wyrażał tego tak dobitnie, jak nasz Brunon męczennik w swym liście, to jednak nie przytakiwał swemu panu.

— Jest jeszcze jedna plotka — wtrącił Derwan. — Ponoć naciskano, aby Unger poświadczył swą pieczęcią zależność biskupstwa poznańskiego od Magdeburga.

— Gaudenty o tym mówił w Gnieźnie — przypomniało się Świętosławie i nagle dotarło do niej, że tylko Unger miał klucz do martyrium i relikwii świętego Wojciecha. — A jeśli to on? — zadała na głos pytanie. — Jeśli to

Gaudenty stoi za śmiercią znienawidzonego Ungera? Chciał mu odebrać klucz…

— Królowo! — upomniała ją Emnilda. — Mówisz o arcybiskupie Polanii!

— Nie mówię, tylko myślę głośno.

Pojadę do Gniezna — podjęła decyzję od razu.

— Jadę na zachód — oświadczył jej brat. — Jeśli za śmiercią obu hierarchów stoi Henryk, to szybko dojdzie do kolejnej odsłony wojny.

Wyjeżdżali tego samego dnia, ona i Bolesław. On zachodnim mostem na grzbiecie Białego, z Mieszkiem przy boku, trzema hufcami ciężkiej jazdy i dwa razy liczniejszą piechotą. Ona wschodnim mostem na czarnej Thorhalli, z topornikami Hardej, Wielkim Ulfem, Wilczanem i Duszą na smyczy. Jego żegnała Emnilda w ślicznej sukni o barwie syconego miodu, z dwunastoletnim, złotowłosym Ottonem przy boku. Ją odprowadziła aż do bramy Astryda, spowita swym ciemnoniebieskim płaszczem.

— Do zobaczenia, Astrydo! — krzyknęła do niej Harda.

— Żegnaj, Słona Siostro. — Astryda pomachała, a jej włosy zatańczyły na wietrze. Odgarnęła je z twarzy szczupłą, pokrytą starczymi plamami dłonią. — Świętosławo! Wsadziłam ci coś do torby przy siodle!

— Żywego węża? Truciznę? — zażartowała, mijając siostrę.

Zamarła. Oczy Astrydy były śmiertelnie poważne.

— Otwórz to, gdy mnie już nie będzie — powiedziała wolińska pani.

A więc nie zobaczymy się już żywe — pomyślała Świętosława i od razu poczuła, jakby ktoś zacisnął jej palce na otwartym sercu. — Ani martwe.

Pędzili. Gosław, kasztelan gnieźnieński, powiadomiony o ich przyjeździe przez pchniętego przodem posłańca, stał w bramie z pochodnią w ręce, by ją powitać, choć była północ. Nów. Noc ciemna bezbrzeżnie.

— Królowa… — Ziewnął. — Z dziką zwierzyną na smyczy i wikingami.

— Takie czasy, mój Gosławie, że przybywam nocą. Gdzie Gaudenty?

— Nie sprawdzałem. — Kasztelan szeroko otworzył oczy.

— Czy wyjeżdżał gdzieś w ostatnim czasie? Czy spotykał się z kimś obcym?

— Pani… tu każdego dnia, poza poniedziałkiem, przybywają tłumy. Wielu ludzi odwiedza arcybiskupa…

— Teraz ja przybyłam go odwiedzić — syknęła. — Budź go natychmiast, jeżeli śpi. Powiedz, że przyjechała Harda Pani.

Nie zsiadali z koni. Gosław szybko ustalił, że mimo nocnej pory Gaudenty czuwa przy martyrium.

— Otwórz wrota katedry, kasztelanie! — zażądała. — Na oścież!

Słudzy Gosława wykonali rozkaz. Wilczan i Wielki Ulf wzięli od nich pochodnie. Świętosława przełożyła smycz z Duszą z prawej do lewej dłoni i przeżegnała się.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Boże Wszechmocny, jeśli się mylę, ześlij na mnie swój grom. Topornicy! Wjeżdżamy!

I konno przekroczyła próg katedry.

— Ach! — krzyknął Gaudenty.

— A jednak! — zawołała Świętosława. — Nie myliłam się!

Arcybiskup klęczał przed otwartym martyrium. Na posadzce kościoła zadźwięczały końskie kopyta. Topornicy otoczyli arcybiskupa szczelnie, tak by nie mógł uciec. Wilczan zeskoczył z siodła, wziął od niej smycz z Duszą.

Boże — przebiegło jej przez myśl — tak jak kiedyś, gdy Wrzask i Zgrzyt były przy mnie.

Podał jej rękę, zsiadła z konia i zabrała od niego rysicę.

— Otwarte wrota do relikwii twego brata, a Unger, który miał klucz, nie żyje. Jak to wyjaśnisz, Radzimie Gaudenty? — powiedziała, podchodząc do

niego.

— Nie twoja rzecz, grzesznico — syknął do niej.

— Takiś pewien, że nie moja? — Zbliżyła się, a Dusza bezszelestnie podeszła do stóp Gaudentego. — Oskarżę cię o zabójstwo biskupa Ungera.

— Nie ja go zabiłem. — Arcybiskup się zaśmiał, a blask pochodni uczynił jego twarz przeraźliwą.

— Ale masz jego krew na rękach.

— Nie…

— Tak! Dusza, skacz!

Rysica odbiła się od posadzki i jednym susem powaliła Gaudentego na plecy. Świętosława rzuciła się za nią i zerwała z jego piersi srebrny łańcuszek wraz z kluczem. Gruby Egil podał jej ramię i pomógł się podnieść. Pyskaty Ake przytrzymał Gaudentego na posadzce, gdy podeszła do martyrium i sprawdziła, czy to ten klucz. Tak. Obrócił się w zamku z chrzęstem. Już miała zamknąć drzwiczki, gdy odezwał się Długi Kalle:

— Harda Pani, proszę. Zobaczymy relikwie. Tyleś nam opowiadała o świętych, a ja takich cudów w życiu nie widziałem.

— I ja błagam — dodał Gładki Hauk. — Obiecywałaś niebo, daj, proszę, przedsmak.

Poczuła dreszcz.

— Nie błagaj, tylko pomóż — powiedziała do Hauka.

Razem wysunęli z martyrium srebrną trumnę. Klucz pasował i do niej. Przekręciła go. Hauk uniósł wieko.

— Chryste! — jęknął Wielki Ulf i padł z hukiem na kolana.

We wnętrzu srebrnej trumny leżało ciało bez głowy. Ta, zachowana tak, jakby Wojciech zmarł wczoraj, spoczywała na jego łonie, a kciuk lewej dłoni trzymał ją, wbity w pusty oczodół.

Ake pozwolił arcybiskupowi usiąść na posadzce, ale trzymał go za wykręcone do tyłu ramiona.

— Piętnaście lat od śmierci — szepnął Gaudenty — a mój brat jak żywy…

— Tylko bez oczu — trzeźwo zauważył Wilczan.

— Oczy mu wyłupili Prusowie zaraz po tym, jak skonał… Jak się przyjrzysz, to na lewym policzku zobaczysz znamię… miał je od dzieciństwa… strzelaliśmy z procy i Sobiesław trafił go kamieniem. Nigdy się nie poskarżył, a jak matka zapytała skąd, to powiedział, że potknął się i uderzył…

— Dlatego on był świętym, a ty… — Nie dokończyła, zbyt brutalne słowo zatańczyło jej na czubku języka.

Patrzyła w zachwycie. Nie, nie na mężczyznę, choć ciało było nagie. Na ten cud, bo naprawdę wyglądało jak żywe. W ciemnych włosach Wojciecha zbutwiał jakiś listek.

— Topornicy — powiedziała cicho — jeśli któryś z was wątpił, niech dotknie świętych członków.

Wstało ledwie dwóch z dwunastu. Pozostali chciwie chłonęli sam widok. Świętych obcowanie.

— Hauk, zamykaj wieko. Starczy.

Ze zgrzytem wsunęli trumnę do martyrium. Sama zamknęła drzwiczki. Przekręciła klucz i zawiesiła go sobie na szyi.

— Nie! — wrzasnął Gaudenty, wyrwał się Pyskatemu Ake i wstał. — Nie możesz!

— A ty mogłeś zabić dla klucza? — odpowiedziała.

Schował ręce za plecy.

— Ja nie… — skłamał.

— Ty tylko wydałeś rozkazy… — powiedziała za niego.

— Oddaj klucz, pani. Nie należy do ciebie!

— Do ciebie też nie — powiedziała twardo.

— Przeklinam cię! — krzyknął.

Ake i Hauk złapali go pod pachy natychmiast. Dusza zawarczała, a jej pomruk odbił się od kamiennej posadzki.

— Za to, żeś zabrała mi dostęp do brata, dzikie bestie, jak ta tutaj, założą w tej świątyni legowiska! A na kraj spadnie klątwa, straszna klątwa…

— Nie strasz mnie — przerwała mu. — To, coś uczynił, było małostkowe i wredne. Jeśli Pan jest sprawiedliwy, w co nigdy nie wątpiłam, twoja klątwa ma tyleż mocy, ile zeszłoroczny śnieg. Klucz zabieram, Radzimie Nadęty, abyś zrozumiał, że Bóg odbiera nam to, czego pragniemy bardziej niż Jego. Na koń, topornicy Hardej. Dusza, zostaw go. Nie jest wart twych ślicznych kłów. Jazda!

SVEN płynął na „Gniewie” ku wschodniej Anglii i gniew nim kierował. Ruszył na sprzymierzeńca, który zdradził. Thorkela, co złupił Anglię i zamiast ją oddać swemu królowi, przeszedł na jej żołd. Wiedział, że namiestnik Yorku nie żyje, ale pamiętał o wielu możnych w Northumbrii, którzy myślą podobnie jak on, i po kilku dniach postoju w Sandwich ruszył na północ. Dotarł do ujścia rzeki Humber, wpłynął w nurt Trentu i dotarł do bogatego miasta Gainsborough. Nie musiał go oblegać; wystarczyło, że pod jego murami pokazał, jakie prowadzi wojsko. Bramy się otworzyły i wyszedł do nich nowy namiestnik Northumbrii.

— Jestem Uhtred! — krzyknął. — Królu Svenie, witaj u bram mego miasta. Poddajemy się twej władzy, bo uznajemy ustalenia nieżyjącego ealdormana Elfhelma! Witaj w Gainsborough!

Wyprawiono dla nich ucztę na głównym placu miasta. Knut siedział u boku namiestnika, tak samo zdziwiony jak Jorun i reszta wodzów. Na ustawione naprędce stoły słudzy wnosili coraz to lepsze specjały.

— Co wiesz, Uhtredzie, o moich ustaleniach z nieżyjącym ealdormanem? — zapytał, pijąc krwiście czerwone wino.

— Wszystko, królu Svenie — uśmiechnął się. — Także i to, że planowaliście połączyć swe rody. Po Elfhelmie została córka, Elfgifu. Małżeństwo z nią przypieczętowałoby sojusz północnej Anglii z tobą.

— Ja nie jestem do wzięcia — zaśmiał się Sven. — Elfgifu miała być żoną dla mego syna, Knuta. Co ty na to, chłopcze?

— Nie znam jej — prosto odpowiedział Knut.

— To poznasz! — Wzniósł kielich i zatrzymał w ostatniej chwili. Odwrócił się do ealdormana i powiedział: — Wasze zapewnienia o chęci współpracy przeciw królowi Ethelredowi mnie cieszą, ale jestem zbyt starym lisem, by wierzyć na słowo.

— Co zatem przekona cię, królu?

— Zakładnicy — powiedział i napił się wina.

Uhtred zbladł.

— Zdajesz sobie sprawę, że od wydarzeń z arcybiskupem Canterbury słowo „zakładnik” nabrało złowrogiego brzmienia? Mord na ludziach tak wysokiej pozycji, i to mimo okupu…

— To wasz problem, ealdormanie, nie mój. Ja to nie prostak Thorkel. Jestem królem Danii i Norwegii, walczę krwawo, ale czysto. Dacie mi po jednym synu z każdego rodu, a ja gwarantuję im bezpieczeństwo w zamian za waszą wierność. Do tego zaopatrzenie dla armii. Moi ludzie nie będą wtedy palić wam wsi i rabować owiec. Założę tu obóz, w którym władzę obejmie mój syn, Knut.

Widział, jak jego chłopak zaciska szczęki. Pewnie, każdy młokos marzy o tym, by się bić. Każdemu się wydaje, że wojna to machanie mieczem i lanie krwi.

Przysunął się do Knuta, pochylił do jego ucha i szepnął:

— Jesteś moim synem i czy ci się to podoba, czy nie, zrobisz, co każę.

— Chcesz mnie ożenić z jakąś tutejszą panną? — skrzywił się syn.

— Nie pamiętam, byś się oburzał, gdy rozmawialiśmy o wydawaniu za mąż twoich sióstr.

— To co innego — syknął Knut.

— Czyżby? Nie widzę różnicy. Ty, tak jak i one, jesteście mymi dziećmi.

— Tobie ojciec nie narzucał żony. Sam wybrałeś matkę.

— Stary Harald już nie żył. — Sven zaśmiał mu się do ucha. — Masz pecha, chłopcze! Ja mam się dobrze. Co, boczysz się, że będziesz pilnował obozu? To trudniejsze, niż myślisz. Stworzysz tu fortecę, Knucie. Twoim zadaniem będzie pilnowanie naszych łodzi, strzeżenie jeńców i dbanie o to, by ludzie pod twoją komendą nie buntowali się. Myślałeś, że mieczem wygrywa się bitwy? Dobrze! Racja. Ale wojny to co innego. Wiesz, dlaczego odpłynąłem z Anglii przed ośmioma laty? Wziąłem piękny danegeld, dogadałem się z namiestnikiem Yorku, wszystko szło świetnie, aż do gardeł rzucił nam się głód. Gdyby nie to, kto wie? Może dzisiaj na miejscu króla Ethelreda siedziałby król Sven?

— Mam zabezpieczyć twoje tyły, tak?

— Tak. Czego się dzisiaj nauczyłeś?

— Że wojny wygrywa się układami — odpowiedział Knut.

— Prawie dobrze. — Poklepał syna po policzku. — Ale zanim przystąpi się do układów, trzeba pokazać siłę.

Napił się wina do dna. Odstawił kielich i wstał.

— Synu… — zwrócił się do Knuta. — Moi wodzowie! Jorunie, któryś jest moim najbliższym druhem! Thorgilsie z Jelling, Ragnie z Wysp, Uddormie z Viborga, Gjotgarze ze Skanii… Moi przyjaciele z północnej Anglii! Oto mój syn, Knut. Ma osiemnaście lat, ale każdy z was, który go widział, gdy zrzuca ubranie i pływa, wie, że jest mężczyzną!

Przerwał mu pełen uznania śmiech. Knut, choć go to peszyło niezmiernie, nie nosił w spodniach nożyka, lecz miecz. Teraz też zaczerwienił się aż po jasne włosy. Sven objął go ramieniem.

— Knuta ustanawiam wodzem obozu w Gainsborough. I gdyby w mej drodze przez piękną Anglię upomniały się o mnie walkirie, pamiętajcie, że król Sven wskazał następcę!

Zahuczeli radośnie i wypili.

— A teraz, moi wodzowie i nowi angielscy przyjaciele, czas pokazać całej Anglii naszą siłę!

Dał jej dowód w Mercii, która uległa bez walki. Potem ruszył na Oksford i jego mieszkańcy poddali się z całym dobytkiem. Od jednych i drugich wziął zaopatrzenie dla wojska i zakładników, których odesłał do Knuta. Następny na jego drodze był Winchester, który nie czekał, przysłał gońców z wiadomością, że miasto otwiera przed nim bramy i już wyznaczyło synów, którzy będą gwarantami układów.

— Został nam tylko Londyn! — Jorun się przeciągnął, kiedy obudzili się po uczcie w Winchesterze.

— Tylko Londyn! — parsknął syn jarla Thorgilsa z Jelling, młody Ulf.

— Dzieci się z ciebie śmieją? — zapytał Sven, przecierając oczy.

— Nie śmieję się, królu — zaczepnie odpowiedział Ulf. — Tylko wątpię, czy zdobędziemy Londyn. Tam przecież czeka na nas Thorkel Wysoki, obrońca króla Anglii.

— Jeśli wątpisz, to uciekaj za plecy ojczulka — warknął Sven.

Jarl z Jelling zjawił się natychmiast, żeby bronić syna.

— Ulf ma rację — ośmielił się sprzeciwić. — Do tej pory walczyliśmy z Anglikami albo raczej odbieraliśmy od nich klucze do miast. Dopiero starcie z Thorkelem pokaże, ile znaczy Gniew Svena.

— Chcesz być pierwszym, który go doświadczy? — Jorun stanął przy królu. — Jeśli nie, to naostrz miecz, weź tarczę i milcz.

A jednak okazało się, że gówniarz Ulf miał rację. Londyn stawił im opór. Thorkel ustawił swe łodzie na Tamizie i walczył za Ethelreda, króla, który go kupił. Odskoczyli, by nie tracić sił, i Sven, panując nad gniewem, kazał zostawić łodzie i wyjść na ląd.

— Na zachód! — wskazał kierunek i ruszył przodem.

— Zrób to na zimno, mój królu. — Jorun czuwał przy jego boku. — Londyn to nie pępek świata.

— Mylisz się. To jest pępek Anglii. Ale sam nie znaczy nic, jeśli podda się nam cały kraj.

Wiedział, co robi. Pojedynczy mieszkańcy Londynu, których złapali na brzegach Tamizy, mówili, że król nic tylko się modli i wzywa do publicznej pokuty. „Nasz pan obwieścił, że wasz najazd to kara boska za nasze grzechy. Nakazał nam ścisły post, nieustanne modły i składanie datków na obronę” — mówili mu. Z ich relacji domyślił się, że poza Thorkelem Wysokim Londynu broni tylko przyboczna straż króla.

— Ethelred nie wierzy w zwycięstwo — powiedział Sven po chwili do Joruna. — Odesłał swą żonę, królową Emmę, wraz z dziećmi do Normandii, na dwór jej brata.

— Szkoda — pogodnie westchnął Jorun. — Taka królowa i dzieci to byliby zakładnicy, co?

Gdy dotarli do Wallingfordu, miasto zrobiło to, co Oksford. Otworzyło bramy. Następne było Bath i Devon.

Ealdorman Ethelmer zgromadził wokół siebie wszystkich możnych i wyjechał im na spotkanie konno.

— Południowa i zachodnia Anglia uznają cię za swego władcę, królu Svenie, tak jak uczyniła to północna i wschodnia część kraju.

Wypowiadamy posłuszeństwo Ethelredowi.

Niemal zakręciło mu się w głowie od tryumfu, który przyszedł tak łatwo. Wtedy zza pleców usłyszał jadowity szept jarla Jelling:

— Londyn.

— Słyszeliście, co mówi mój jarl, panowie angielscy? — Odwrócił się i spojrzał w wężowe oczy Thorgilsa. Mierzyli się wzrokiem. Sven z powrotem zwrócił się ku ealdormanowi. — Bo mówi słusznie. Dam Londynowi szansę. Może zrobić to, co wy zrobiliście. Otworzyć bramy i zaprosić mnie jako swego władcę.

BOLESŁAW z Emnildą i Mieszkiem przy boku jechał do Merseburga. Po tym wszystkim, co zaszło ostatnio, przyjął zaproszenie Henryka II do zawarcia pokoju.

— Nie na długo — obiecał Świętosławie przed wyjazdem. — Tylko na czas wyprawy odwetowej, która uwolni mą córkę.

Zamieszki w Kijowie, na czele których stanął jego zięć, Światopołk, wybuchły po tym, jak stary kniaź Wladimir usiłował pogwałcić zasady starszeństwa i wymusić na synach, by uznali, że władza zwierzchnia nad księstwem przejdzie nie na nich, a na najmłodszych, tych, których miał z cesarzówną Anną. Dzielnica turowsko-pińska, którą dostał od ojca Światopołk, nie była spełnieniem marzeń Bolesława o Rusi. Dowiedziawszy się o sytuacji w Kijowie, przesłał zięciowi jasny rozkaz: „walcz o swoje”. Światopołk postawił się ojcu, a ten zamknął w lochu i jego, i biskupa Reinberna, i słodką Sławę. Dziewczynę, co się bała obcych. To był wystarczający powód, żeby ruszyć na Kijów. Książęca córka w lochu? Na samą myśl Bolesław czuł gniew, którego nie mógł ostudzić.

Wiedział, że Henryk usilnie zabiega o pokój, bo sam musi ruszyć z wojskiem do Italii, by koronować się na cesarza. Nie mogąc dopaść Bolesława w polu, próbował przeciw niemu spiskować, ale najwyraźniej źle

dobierał sojuszników. Henryk ze Schweinfurtu, choć poddany króla Rzeszy, wciąż pozostawał lojalny wobec Bolesława. Ostatnio na jego stronę przeszedł młodszy brat jego zięcia, Hermana, noszący imię Ekkehard po ich sławnym ojcu.

— Oby to małżeństwo było udane. — Emnilda uśmiechnęła się do męża, jadąc z nim bok w bok. — Oby naszego Mieszka nie spotkał los Sławy. Dom lotaryński to naprawdę wyjątkowy mariaż. Nasza przyszła synowa to siostrzenica słodkiego cesarza Ottona III!

I córka Ezzona, głównego oponenta przeciw rządom Henryka II — pomyślał Bolesław z radością, ale oszczędził przypominania tego żonie. Radowało go, że Emnilda czuje się lepiej i dobrze znosi trudy wyprawy.

Tak, mariaż Mieszka i Rychezy był dziełem lat dyskretnych kontaktów za plecami Henryka. Ezzon był spokrewniony z Karolingami, Liudolfingami, a małżeństwo z Matyldą, siostrą Ottona, wyniosło jego ród na sam szczyt Rzeszy. Walczył z Henrykiem o władzę i przegrał, ale ambicji nie stracił. Dla Ezzona związek z Bolesławem był naturalnym połączeniem się dwóch drapieżników, które nie mogąc upolować ofiary osobno, chcą ją przynajmniej wspólnie osaczyć. Henryk nigdy by się na to małżeństwo nie zgodził, gdyby miał inne wyjście, ale nie miał. Pragnąc wreszcie sięgnąć po cesarską koronę, musiał czymś udobruchać Ezzona. Lotaryński książę odzyskał od niego dobra rodowe swej żony, które w czasie wojen Henryk zabrał i zagarnął, i dostał od Henryka kolejne nadania ziemskie, tak że jego władztwo rozciągało się od Renu i Mozeli aż po Turyngię na wschodzie. Wydał też zgodę na ślub Rychezy i Mieszka, o ile Bolesław zawrze z nim pokój. To była dobra cena, a podbijało ją wymiernie to, że choć Ezzon i Matylda mieli siedem córek, aż sześć z nich przeznaczyli do kariery duchownej, na małżeński rynek wprowadzając tylko jedną, ich przyszłą synową, Rychezę.

— Rzeka Sala przed nami! — krzyknął z czoła orszaku Zarad, a Bolesławowi stanął przed oczyma cały zjazd w Merseburgu sprzed jedenastu lat.

— Tu wbiliśmy włócznie, młody książę. — Zarad podjechał do Mieszka i pokazał mu sam środek nurtu.

Na przeprawie czekali słudzy Henryka, aby pomóc im przejść przez rzekę. Derwan szepnął do księcia:

— My ten bród znamy jak każdy inny, ale niech będzie.

Gdy tylko przeprawili się na drugi brzeg, spod murów Merseburga ruszył orszak.

— Zakładnicy — mruknął Bolesław zadowolony.

Postawił Henrykowi warunki, pośród których głównym byli zakładnicy ubezpieczający własnym życiem wjazd książęcej rodziny do miasta. Zarad już przygotowywał teren na obóz. Księżna Emnilda chciała odpocząć, nim pojedzie dalej. Jej złoty namiot zalśnił na brzegu Sali.

Wjeżdżał do Merseburga kolejny raz, ale pierwszy od czasu zamachu na swe życie. Na grzbiecie Białego, z Mieszkiem, który niósł przed nim włócznię świętego Maurycego. Z Emnildą strojną w złotogłowie i błękity przy boku. I nie z dwunastką wojów, jak wtedy, lecz z pełną setką. Rzucił okiem na boczną bramę, którą wtedy rozrąbali ludzie margrabiego, by mógł wyjechać z miasta. Była zamurowana.

— Tam zginął Duszan — pokazał ją żonie.

— To się nie powtórzy — odpowiedziała cicho.

— Nie, moja pani. Są inne czasy.

Nad bramą zagrały trąby.

— Książę Polanii Bolizlaus ze szlachetną księżną Emnildą i następcą tronu, księciem Mieszkiem.

Straż Henryka prowadziła ich wprost do zamkowego podwórca. Dwaj grafowie trzymali konia Emnildy i chcieli usłużyć jego żonie, gdy zsiadała, ale ich wyręczył. Nie powierzyłby losu swej pani tym ludziom nawet w sprawie tak błahej, jak zejście z siodła.

Henryk II siedział na królewskim tronie w sali audiencyjnej. Wydawał się jeszcze drobniejszy niż przed jedenastoma laty. Na skroniach miał koronę Sasów. Ciemne włosy przyprószyła siwizna.

Czy ja też się aż tak zestarzałem? — pomyślał Bolesław.

Stanęli na wprost siebie. Mieszko złożył królowi hołd, przyklękając na jedno kolano. Bolesław i Emnilda ukłonili się. Henryk, nie wstając, odpowiedział ukłonem.

— Książę! Tyle lat czekałem — powiedział cicho. W jego głosie próżno było szukać tryumfu. — Tak wiele złych spraw stanęło między nami.

— Chcesz, królu, byśmy wymienili wszystkie, zaczynając od mego wyjazdu z Hoftagu przed laty?

— Mam nadzieję, iż to, co złe, omówili nasi wysłannicy, a nam, władcom, pozostanie już tylko mówić o tym, co dobre. Idą nowe czasy. Za chwilę połączymy węzłem małżeńskim twego syna i księżniczkę Rychezę. Jest się czym radować.

— Przywiozłem ci dary, królu. — Bolesław skinął na Stojgniewa i Zarada. — To dary szczodre.

Zarad i Stojgniew ustawili u stóp tronu Henryka dwie skrzynki klejnotów.

— Dziękuję.

— Ale mam i dar duchowy, jak mniemam, cenniejszy niż szlachetne kamienie, srebro i złoto.

Skinął na Bjornara, a ten podszedł do monarszego tronu i wręczył Henrykowi niewielką skrzyneczkę.

— To relikwiarz, królu — powiedział Bolesław. — A w nim kości palców szlachetnego męczennika, biskupa Brunona z Kwerfurtu.

W tych palcach trzymał pióro, gdy pisał do ciebie list wzywający chrześcijańskiego króla do zaprzestania sojuszu z szatanem — pomyślał Bolesław, gdy Henryk otwierał relikwiarz.

— Wielki to dar — odpowiedział król i zamknął wieko szybko. — Należycie go pojmuję.

Wieczorem, po wszystkim siedzieli naprzeciw siebie podczas wielkiej uczty. Bolesław słyszał gwar rozmów, śmiechów, śpiew królewskiej scholi. Widział blask świec, czuł ciężką woń wina i potraw. Ale wszystko to było jak wiatr szeleszczący liśćmi drzew podczas konnej jazdy. Przez długość stołu wpatrywali się w siebie z Henrykiem.

Wrócili do punktu wyjścia. Przed jedenastoma laty Bolesław po prostu zbrojnie zajął Milsko i Łużyce. Teraz, po latach walk Henryk II oddał mu je w lenno. Wtedy Bolesław chciał wykupić od niego Miśnię, teraz nie mógł tego zrobić, bo władał nią jego zięć, Herman. Na tamtym zjeździe obiecali sobie zaprzestanie walk. Dzisiaj Henryk przyrzekł wesprzeć go zbrojnym hufcem w wyprawie na Ruś. Bolesław obiecał, że da mu tyle samo w pochodzie na Rzym. Śmierci Ungera nikt nie mógł cofnąć. Ale dostał w jego miejsce Ederama, dawnego kanonika z Magdeburga, tego samego, którego gościł podczas obrad pokojowych w Poznaniu.

Obok Mieszka siedziała piękna siostrzenica Ottona, Rycheza. Złotowłosa jak jej nieżyjący wuj.

Czy Henryk, tak jak ja, robi rachunek zysków i strat, patrząc na mnie przez długość stołu? Czy wierzy w to, że dochowamy warunków, z których żaden z nas nie jest zadowolony? Jesteśmy jak dwaj łowczy, którzy chcieli dobrać się do serca jelenia, a teraz patrzymy na pokot i widzimy, że leży przed nami już wypatroszone zwierzę.

Ciemne oczy Henryka zwęziły się, gdy uniósł kielich.

— Za pokój zawarty w Merseburgu! — zawołał i wypił, wpatrując się w niego.

Bolesław zastygł z kielichem w dłoni. Patrzył, jak jego syn i synowa piją toast, jak spełniają go panowie Rzeszy, biskupi, arcybiskupi, możni.

— Bolesławie — szepnęła Emnilda. — Wszyscy patrzą.

— Za wspólną wyprawę na Kijów jeszcze tej jesieni! — zawołał i wypił.

SVEN przesiadł się z „Gniewu” na pokład „Krwawego Lisa”, gdy na czele swej floty wpływał nurtem Tamizy do Londynu.

— Robisz się sentymentalny, królu — mruknął Jorun, zerkając w górę.

Dostali wiatr, aż jęknął takielunek, żagiel „Lisa” wydął się tryumfalnie.

— A ty nie? — odgryzł się Sven. — Widziałem, że wyczyściłeś swój stary miecz, ten, którym nie zdobyliśmy Londynu przed dwudziestu laty, ale którym wyrąbaliśmy sobie drogę do zamczyska w Bamburghu!

Jorun wzruszył ramionami i stuknął pochwę miecza.

— Dobrze mieć przy sobie sprawdzonych przyjaciół.

Sven nieoczekiwanie przyciągnął go do siebie z całych sił.

— Masz rację, druhu.

Flota Thorkela Wysokiego, która jeszcze niedawno stawiła im czoło na Tamizie, odpłynęła z portu w Greenwich na wyspę Wight, zabierając ze sobą króla Ethelreda. Władca był pokonany.

— Uważam, że Thorkel jest najbezczelniejszym człowiekiem, jakiego poznałem — powiedział Jorun, uwalniając się z objęć Svena.

— Nie! — Sven splunął do Tamizy. — Thorkel jest jedynym prawdziwym jomswikingiem. Oni właśnie tacy mieli być. Pozbawieni skrupułów wobec panów tego świata.

W dniu, w którym Svenowi poddała się południowa i zachodnia Anglia, Thorkel obudził Drapieżną Ławicę, a jego załogi zaczęły palić i grabić tych,

których niedawno bronili. Chaos, jaki zapanował w okolicach Londynu, zmusił króla Ethelreda do wypłacenia Thorkelowi okupu. Wtedy dopiero jomswiking znów zaopiekował się angielskim władcą i wywiózł go na wyspę Wight.

— Dopływamy! — zawołał Sven i Jorun zadął w róg.

Dźwięk podchwycili ludzie na każdej z jego łodzi i wkrótce basowe granie rogów wypełniło londyński port. Sven stanął na dziobie, Jorun za jego plecami. Rude włosy, ciężkie od wiszącej nad rzeką mgły, nie uniosły się na wietrze. Wciągnął powietrze. Tak. To ta sama woń, którą pamiętał sprzed lat. Z Londynu, który witał nowego władcę, biła woń ludzkiego strachu.

Czekali na niego ci, którzy pierwsi zaproponowali mu swe służby: możni Mercii z ealdormanem Leofwin'em i Anglii Wschodniej z Ulfcetelem na przodzie. Między nimi stał arcybiskup Yorku, szlachetny Wulfsdan, a obok niego nowy arcybiskup Canterbury, Lyfing. Brakowało biskupa Londynu, Elfwiga, o którego męstwie podczas obrony miasta krążyły legendy.

— Niech żyje król Sven! — krzyknął drżącym głosem ktoś z tłumu czekającego na nabrzeżu.

Londyńczycy zbili się w ciasną, wrogą grupkę.

— Niech żyje!

— Król Anglii, Sven! — krzyknął ealdorman Ethelmer.

Jorun nabrał powietrza w płuca i wrzasnął:

— Król Danii, Norwegii i Anglii, Sven I Haraldsson!

Nie muszą mnie kochać; wystarczy, że będą mi poddani — pomyślał Sven, patrząc na przerażonych mieszkańców, i zeskoczył z burty „Krwawego Lisa" na ląd.

Pierwsze tygodnie w Londynie upłynęły mu jak we śnie. Ucztowali, przyjmowali hołdy i opijali zwycięstwo.

— Obiecałem Londynowi, że wrócę, i dotrzymałem słowa! — grzmiał Sven.

Czerwone wino smakowało jak krew i choć pił i pił, nie mogło ukoić jego pragnienia.

— Co teraz, królu? — Jorun okrakiem przysiadł na ławie obok jego tronu.

— Jak to co? — Sven nie zrozumiał przyjaciela.

— Spełniłeś kolejne ze swych marzeń. — Stuknął się z nim kielichem. — Musisz znaleźć sobie nowe.

Sven zaśmiał się gardłowo i poklepał Joruna po plecach.

— Ach, druhu! Z królowaniem jest jak z żoną. Zdobyć nietrudno, ale sztuka utrzymać!

Wstawał wcześnie, żeby dzień był dłuższy. Z początku, pouczony przez arcybiskupa, iż zwyczajem angielskich królów było wysłuchiwanie skarg poddanych, robił to, ale po trzecim dniu nieustających lamentów miał dosyć.

— Gdybym tak rządził Danią jak Ethelred Anglią, tobym oszalał — poskarżył się Jorunowi.

Zabrał się do porządkowania spraw kraju. Zaczął od podatków na wojsko i umocnienia zaniedbanych garnizonów.

— Tu wszystko jest stare — jęknął. — Czego Rzymianie nie zbudowali, to Anglicy nie wymyślili. Dawne twierdze porastają wrzosowiska.

— Nikt jak my, najeźdźcy, nie zna obronnych słabości tego kraju. Przy okazji, królu — dodał Jorun — trzeba odbudować most.

— Psiamać! — zaklął Sven i roześmiał się po chwili. — O ten most rozbijaliśmy się tyle razy, a teraz, gdy spalony i zburzony, musimy sami go naprawiać. A niech to! Ale teraz to nasz Londyn, a most jest kluczem do jego obrony.

— Wskażę ci kolejną sprawę, królu Svenie — włączył się Thorgils z Jelling, choć nikt go o to nie prosił. — Angielski Kościół jest równie bogaty, co Korona, o ile już nie bogatszy.

Nie znoszę go — pomyślał Sven — ale ma rację. Trzeba opodatkować kler.

Zrobił to od razu. I zaczęły się pochody biskupów lamentujących, jakby odbierał im ostatnią kozę.

— Miej wzgląd na świętego Edmunda! — grzmiał arcybiskup Lyfing.

— Dlaczego? — obruszył się Sven. — To chyba święci mają mieć w opiece królów?

Arcybiskup się zapowietrzył.

— Król Edmund Męczennik zginął z rąk twych rodaków ponad sto lat temu! Nie możesz opodatkować jego opactwa! To… niegodne chrześcijańskiego króla!

— A to, co robił wasz chrześcijański król Ethelred, było godne? — Sven wzruszył ramionami. — Kazał prostym ludziom pościć, modlić się i żałować za grzechy, których nie popełnili. Ja przynajmniej jasno stawiam warunki: każdy ma płacić na obronę kraju. Nie rozumiem, dlaczego opactwa mają być zwolnione z podatków. Wszak barbarzyńskich najeźdźców przyciągają jako pierwsze.

Arcybiskup zaciął usta.

— Wiele wiesz o barbarzyńskich okupantach.

— Nie zmuszaj mnie, arcybiskupie, żebym się zmienił w diabła, którego we mnie widzisz. — Sven uśmiechnął się tak zimno, że jego gość natychmiast zebrał się do wyjścia. Gdy był przy drzwiach, Sven dodał: — Moi ludzie przyjadą do opactwa po należne podatki za tydzień. Uprzedź mnichów.

— Ja? — Arcybiskup stanął jak zamurowany. — Dlaczego ja?

— Bo tyś ich wodzem. Dobrze rozumiem hierarchię? Czy wolałbyś, abym ją zmienił?

Brakowało mu wiatru od morza, tej chwili, kiedy uderzał go w twarz i podmuch unosił jego rude włosy. Zawsze wtedy czuł się jak ptak rozkładający skrzydła do lotu. Tutaj, w Londynie, wydawał się sobie wiecznie zmokniętym krukiem.

Święta Bożego Narodzenia były deszczowe i dobrze, że minęły szybko. Mury londyńskiego zamku chroniły przed wodą, lecz nie przed wilgocią. W komnatach wciąż wisiał gryzący w oczy dym, który zaczął go dusić.

— Twój syn, królu, pyta przez posłańca, czy ma już rozpuścić zakładników do domów — odezwał się Jorun. Siedzieli sami w kamiennej komnacie Svena.

— Nie. — Król odchrząknął, bo w gardło drapał go dym. — Tu nie ma czym oddychać.

— Prawda. — Jorun skinął głową. — Ciężkie jest życie króla.

Sven machnął ręką na jego zaczepkę.

— Co jeszcze mówi mój syn?

— Jego żona, Elfgifu, spodziewa się dziecka. Za parę tygodni ma urodzić.

— Ha! Mówiłem, że mój Knut ma w spodniach co trzeba!

— I wie, jak tego użyć. — Jorun zarechotał.

— Nie chwal, nie chwal. Zobaczymy, czy wdał się we mnie, jeśli pierwsze, co wyjdzie z tej roboty, będzie chłopcem.

— To chyba już nie od niego zależy? — Jorun poskrobał się za uchem.

Jego Hildigun rodziła tylko córki.

— Chłopak czy dziewczyna, to będzie dziecko, które jeszcze mocniej zwiąże nas z możnymi Northumbrii. Panów z południa i zachodu mam tu, w Londynie, pod ręką i widzę, że nie można ich spuszczać z oka.

Zwłaszcza biskupi wciąż traktują mnie jak uzurpatora. Ach, pies z nimi! — Zachłysnął się śliną. — Dlatego zakładnicy są nam ciągle potrzebni. Ubezpieczają lojalność możnych. Niech Knut trzyma ich z honorami, ale krótko, tak mu przekaż…

Musiał przerwać w pół zdania, bo zabrakło mu tchu, a kiedy próbował wziąć głęboki oddech, dopadł go kaszel. Zanosił się, aż poczerwieniał z wysiłku.

— A niech to, królu! — powiedział Jorun. — Nie słyszałem twego kaszlu, odkąd…

— O rany… — wykrztusił, gdy kaszel wreszcie ustał. — Myślałem, że wypluję płuca.

— Melkorka miałaby na to odwar z lipy, a twoja śliczna Vali grzane wino — powiedział Jorun.

— Tęsknisz za Danią? — spytał go Sven, odchrząkując.

Jorun nie odpowiedział.

— Zawołaj tę… jak jej tam?…

— Mary?

— Tak. Niech zagrzeje nam wino.

Wszedł w butach i kaftanie do łoża i naciągnął na siebie jedwabną, królewską pościel. Wciąż było mu zimno.

— Rzuć mi płaszcz, Jorunie — poprosił.

Cicha, płowowłosa Mary podała im w kubkach grzane wino. Jorun rozparł się wygodnie obok łoża. Sven pragnął wina, ale po drugim łyku zrozumiał, że nie może go przełknąć. Komnata królewska zaczęła rozmywać mu się przed oczami. Na chwilę poczuł ciepło, z boku, przy sobie. Z trudem odwrócił głowę.

— To majak — szepnął.

— Co? — zapytał Jorun.

— Widzisz ją? Hardą Panią przy mnie…

Jorun nie odpowiedział, a Sven, wiedząc, że to nie może być prawda, poddawał się jej drobnym dłoniom, ulegał pieszczotom żony, której nie widział od ponad dziesięciu lat. Siedziała przy nim i mówiła: „Nie martw się, zaopiekuję się naszymi dziećmi”. Poczuł ciepło między nogami. Kielich się przechylił i rozlał wino.

— Królu? Co z tobą? — Jorun pochylił się nad nim, ale jego głos brzmiał jak przez mgłę.

I wtedy na łoże wskoczyły dwa rysie. Wrzask i Zgrzyt szły ku niemu kocim, zwinnym chodem.

Nie — prosił je — nie… Wrzask pochylił się i zlizał rozlane wino.

Kto zgasił świece? — pomyślał niecierpliwie. Z mroku wyłonił się jego ojciec, Harald. Na nagiej starczej piersi miał opatrunek przesiąknięty krwią. Sven wiedział, że płynie z rany, która się nie zagoi nigdy. Z rany, którą sam mu zadał.

— Wraży synu — zacharczał Harald. — No chodź! Wszyscy jesteście tak samo wściekli! Szczeniaki, które szczekają, nim przyjdą na świat! Już w łonach ciężarnych suk! Czego się boisz? Chodź! Ojciec czeka na ciebie!

Roześmiał się, pokazując malowane kły. Z jego oczu płynęła ropa i krew.

— Nie! — wrzasnął Sven. — Nie!

— Królu… — Jorun pochylił się nad nim. — Co z tobą?

— Nie wiem. Widzę umarłych. — Sven się otrząsnął. Otarł pot z czoła.

— Daj spokój, Svenie. — Druh poklepał go po ramieniu. — To jakiś majak. Chwilę temu mówiłeś, że widzisz Hardą, a ona żyje.

Sventoslava — uchwycił się tej myśli.

— Jest tu? — wyszeptał do Joruna, bo nie widział jej. Łoże spowijał mrok gęsty niczym szara mgła.

— Nie — usłyszał z tego mroku głos Joruna. — Tylko ja tu jestem.

— Ale cię nie widzę — przyznał Sven i zrozumiał. — Widzę tylko mroczną mgłę.

— Przyjacielu — odezwał się po chwili Jorun. — Chyba umierasz.

Przez mgłę przedarł się szczęk wyjmowanego z pochwy żelaza. Jestem na bitwie i walczę o życie — pomyślał Sven. Jorun wepchnął mu w dłoń miecz i zacisnął palce na jego rękojeści.

— Svenie, czy mam kogoś zawołać? — spytał Jorun.

— Moją żonę — zażądał.

— To niemożliwe. Królowa Sigrida jest w Polanii. Wygnałeś ją. — Głos Joruna zabrzmiał smutno. — Svenie… Jesteś królem, kto ma po tobie objąć tron?

Dotarło do niego, że Jorun naprawdę sądzi, iż on umiera. Chciał się zaśmiać. Jakie to głupie, co? Zamiast śmiechu z jego piersi wydarł się kaszel. Czuł, jak pękają mu płuca. Odynie! Chryście! Przecież nie umrę na kaszel! Z całych sił chwycił się łoża. Na piersiach siedział mu ryś, a on, wielki Sven, próbował zrzucić z siebie drapieżnika. Czuł, że łoże, którego się trzymał jak nieprzyjaciela za kaftan, łomoce. Wciąż miał siłę, by nim zatrząść!

— Otworzę okna… Ty się dusisz, druhu — usłyszał z mroku.

Po chwili poczuł w nozdrzach zimne, wilgotne powietrze znad Tamizy. Zapach ludzkiego lęku.

— No, chodź do mnie, synu! — warknął z ciemności Harald. — Powiem ci, jak się czuje ojciec dźgnięty mieczem przez syna!

Za plecami Haralda stanęła armia pokonanych. Zobaczył dziesiątki twarzy ludzi, których zabił. Nie pamiętał ich aż do tej chwili, gdy stanęli przed nim, przebici mieczem, z odrąbanymi ramionami, tonący po pchnięciu włócznią, rozpaczliwie chwytający się zesztywniałymi palcami oblodzonych burt.

Olavie! — zawołał do tej armii umarłych, która go osaczała. — Stań naprzeciw mnie, drugi wodzu, drugi królu. Chodź, zawalczymy o płacony srebrem danegeld!

Zamiast Olava pojawił się czarny jeździec i wysypał pod jego stopy odcięte głowy. Ottar, wygnaniec z Lejre, i jego synowie. Gdzieś w pomroce usłyszał szczęk łańcuchów Arnory, ale plemiennej królowej nie było po tej stronie mroku. Za to przedarł się do niego głos:

— Kto ma zostać królem po tobie? Kogo wyznaczasz?

— Syna królowej… — wyszeptał. — Knuta…

Zimne palce ojca zabrały go. Płuca przestały stawiać opór. Szedł pewnie, gniótł okutymi butami miękkość chmur. Widział z góry, jak wojsko w Londynie odpala pochodnię od pochodni i grzmi:

— Niech żyje król Danii i Anglii, Knut!

Widział nad sobą białe skrzydła walkirii lecących na inne pola bitew, wołających do niego: „Nie możemy cię wziąć, boś nie umarł w walce. Idź, idź, nie zabłądzisz. Najwyższy czeka”.

Szedł. Rude włosy znów uniosły mu się na wietrze. Sztywne warkocze brody sterczały prosto, na północ. Obok niego kroczył Harald, jego ojciec, i śmiał się malowanymi kłami w mrok.

CZĘŚĆ III

Czwarte królestwo

1014–1018

Ciepła, lepka mgła unosi się nad powierzchnią morza w ostatniej chwili przed świtem. Księżyc roztopił się jak bryła lodu wrzucona do wody, słońce jeszcze nie wzeszło. Spokojna toń kołysze łodzią, jakby chciała przedłużyć nocną senność. Żagiel, ciężki od wilgoci, zwisa bezwładnie, czekając na podmuch, który go zbudzi. I słońce wstaje bez zapowiedzi, bez bicia dzwonów, dęcia w rogi. Wypływa z wody, rozcinając ją w jednej chwili ostrym, złotym promieniem. Mewy z wrzaskiem unoszą się znad nagiej skały. Pod powierzchnią wody truchleją ryby. Takielunek wzdycha. Żagiel dostał wiatr.

KNUT stał na dziobie „Syna Królowej” i patrzył, jak Hrani zręcznie manewruje statkiem, wchodząc w szeroko rozlane, choć płytkie ujście cieśniny. Podszedł do niego brat Harald, o rudych włosach związanych w grube warkocze.

— Wyglądasz jak nasza siostra! — Knut zaśmiał się na jego widok.

— Nie znoszę, gdy wiatr wpycha mi włosy do oczu. — Harald wzruszył ramionami i przyjrzał mu się uważnie. — Kiedy nazwałeś łódź „Synem Królowej”? — zapytał, a nieufność znów zadrgała w jego głosie. Knut zacisnął dłonie na burcie.

Ostatnie tygodnie były ciężkie dla nich obu. Po śmierci ojca wypadki w Anglii potoczyły się jak lawina. Król Ethelred wykazał tyle inicjatywy, ile nigdy przez całe lata swych rządów. Z Thorkelem i jego Drapieżną Ławicą wrócił z wygnania w Normandii, a wielcy panowie z Południa i Zachodu, ci, którzy przysięgali wierność Svenowi, w jednej chwili odsunęli się od Knuta i wrócili na łono dawnego władcy. Armia ojca ogłosiła go królem, ale Knut, stacjonujący w Gainsborough, był odcięty od jej głównych sił. Zabrał całą flotę i wypłynął na morze; a gdy tylko zawinęli do Sandwich, przekonał się, że nie ma już sprzymierzeńców.

Nim opuścił pokład łodzi, usłyszał powtarzany na każdym placu edykt Ethelreda i Wulfsdana, arcybiskupa Yorku: „Na banicję skazuje się każdego duńskiego króla”. Był wściekły i zrobił to, co zrobił. Nie lubił tego wspominać, bo ilekroć wracał do tamtej chwili, jego oczy przysłaniała krwawa mgła. Prawda, wcześniej myślał o sobie, że jest honorowy, prawy i dzielny, ale w Sandwich stało się z nim coś, czego się nie spodziewał. „Na banicję skazuje się każdego duńskiego króla” — wrzeszczeli heroldowie Ethelreda, a zakładnicy, których miał na pokładzie łodzi, ci, o których się troszczył i traktował z szacunkiem przez wiele miesięcy, patrzyli na niego kpiąco i hardo. Tak, zrobił to. Wydał rozkaz i nie odwrócił głowy, gdy go wykonywano. A potem wyrzucił swych zakładników na puste nabrzeże Sandwich. Zostawił ich tam, na bolesną pamiątkę zdrady ich ojców. Nie miał wyjścia, musiał wracać do Danii.

Jego żona, Elfgifu, nie mogła z nim płynąć. Była w zaawansowanej ciąży. Ukryli ją krewni, a on zgarnął tę część wojsk, którą miał przy sobie, i odpłynął do Roskilde, do domu.

— Pytałem o coś — przypomniał Harald, wyrywając go ze wspomnień. — Kiedy nazwałeś łódź „Synem Królowej”?

— W Gainsborough — odpowiedział i podszedł do brata. — Wiesz, wściekałem się na ojca, że zostawił mnie w Northumbrii z zakładnikami i tą całą resztą, a sam ruszył na podbój Anglii. I któregoś wieczoru Hrani przypomniał mi opowieść, której ojciec nie lubił.

— Tę o twoich narodzinach? — Harald wyraźnie odetchnął z ulgą. — Ciesz się, że o niej wtedy zapomniano, bo inaczej chłopaki przezywałyby cię maminsynkiem. — Zaśmiał się, ale szybko spoważniał, bo chciał się upewnić. — Więc nazwałeś łódź na złość ojcu, mimo że on, jak twierdzicie, uczynił cię swoim następcą?

Oczy brata wciąż były nieufne. Ich spotkanie po ledwie roku nieobecności Knuta w Danii też przebiegało ciężko, jakby między nimi wisiała zimna mgła. Knut wysłał przodem Hraniego z wiadomością, iż wraca do Roskilde. W porcie czekały na niego konie i orszak powitalny od brata, ale nie on sam. Gdy Knut dojechał do dworu, Harald nie wyszedł na podwórzec. Czekał na niego, siedząc na królewskim tronie ojca w wielkiej halli. Za plecami Knuta weszli wodzowie, którzy przypłynęli z nim z Anglii. Thorgils z Jelling, Ragn z Wysp, Uddorm z Viborga, Gjotgar ze Skanii.

— A gdzie Jorun? — spytał na powitanie Harald.

— Przypłynie z kośćmi ojca, gdy będą gotowe.

— Pamiętałeś, że nienawidził gnicia… — Brat się uśmiechnął.

— Pamiętałem. Nie uściskasz mnie?

Harald wstał i zapytał:

— Przybywasz jako brat szukający pomocy?

— I jako król — dopowiedział Knut to, co stało od tej pory między nimi niczym kość w gardle.

— Król — powtórzył Harald. — Ale jak przekazał mi Hrani, właśnie utraciłeś królestwo. Anglię.

— Ale nie Danię, bracie.

— Wypływając, ojciec mnie uczynił namiestnikiem Danii — z naciskiem powiedział Harald.

— Ale w Anglii uczynił mnie swoim następcą.

— Jesteśmy świadkami — razem krzyknęli wodzowie. — Byliśmy przy tym.

— I zgodnie z wolą ojca jego armia okrzyknęła mnie królem — dodał Knut.

Twarz Haralda poczerwieniała.

— Poczekaj — uspokoił go Knut. — Nie chcę ci niczego odbierać.

— Nie jestem dzieckiem, bym pozwolił sobie coś zabrać! — krzyknął wtedy Harald i w jego głosie zabrzmiała pogarda. — To ty straciłeś królestwo!

Knut to przełknął.

— Pomóż mi odzyskać Anglię, bracie — powiedział.

— A jeśli się nie uda, to co wtedy? — Harald przekrzywił głowę.

Jaki on podobny do ojca — pomyślał Knut.

— Wtedy podzielimy się władzą w Danii.

— Jestem starszy — rzucił na szalę Harald.

— Ale to mnie ojciec wyznaczył — postawił swoje Knut.

Naprzeciw siebie stanęły dwie wrogie grupy. Za plecami Haralda był jarl Hakon z Fionii, Gunar z Limfiordu i Odinkarr, nowy, młody biskup Ribe. Za Knutem wodzowie, którzy przypłynęli z nim z Anglii. Ragn z Wysp, Uddorm z Viborga, Jorun. Thorgils z Jelling stał z boku, wyczekując.

— Imię nowego króla, zgodnie ze zwyczajem, podaje zgromadzenie w Viborgu — krzyknął Uddorm, który stamtąd pochodził. — Na porośniętej czerwonym mchem skale powinni się zebrać możni i zagłosować.

Głosy w halli zakrzyknęły:

— Viborg! Viborg!

Wystąpił Odinkarr, bratanek nieżyjącego biskupa Ribe o tym samym imieniu, co poprzednik. Rozłożył ramiona i powiedział:

— Wybór nowego króla to jedno, a koronacja drugie. Wasz ojciec, król Sven, szedł do władzy po trupie swego rodziciela Haralda. Nie wahał się uderzyć w Kościół i podcinać korzenie wiary. Ale młody książę Harald jest inny. To chrześcijański władca, który będzie chciał uświęcić swą władzę świętym namaszczeniem.

Odinkarr już wybrał — pomyślał wtedy ze zgrozą Knut i zareagował szybko:

— Nie dziel nas, ojcze biskupie. Nie stawiaj mnie po stronie ojca, przeciw bratu.

— Viborg! — krzyknął Jorun.

Ich siostry, Astryda i Świętosława, chwyciły się za ręce i z rosnącym przerażeniem patrzyły na zbliżającą się rozgrywkę między braćmi.

I wtedy w najdalszym kącie halli usłyszeli brzęk łańcuchów. Arnora, plemienna królowa, sucha niczym próchno, podpierając się na ramionach Vali i Melkorki, wyszła z cienia.

— Spór o władzę. Odwieczne przekleństwo królów! — powiedziała donośnym, skrzekliwym głosem. — Ale wy, młodzi dziedzice Roskilde, macie kogoś, kto może wam pomóc go rozsądzić. Macie matkę.

Spojrzeli na siebie, obaj zaskoczeni.

— W obliczu śmierci króla Svena królowa Sigrida Storråda powinna wrócić do Danii — powiedział Ragn z Wysp, a wodzowie go poparli. Także ci, którzy stali za Haraldem.

Także Odinkarr, który powiedział:

— Prawda to. Król nie żyje, ale żyje królowa, i to ona jest teraz gwarantką pokoju w kraju.

Dlatego rozumiał nieufność brata, gdy ten pytał o to, kiedy nazwał łódź. Pewnie się bał, że dopiero teraz, na ich wspólny rejs, by przechylić uczucia matki na swoją stronę. Ale to nieprawda.

Z pokładu spojrzał na morskie łąki otaczające brzegi Dziwny. Wiatr je przyginał, a one wciąż powstawały. Niebieskie, sine, zielonkawe, srebrne.

— Oto przed nami słynna wyspa Wolin! — krzyknął Hauk i zręcznie manewrował „Synem Królowej”, kiedy wpływali do portu.

— Co myślisz? — zapytał Harald, podchodząc do niego. — Jaka ona jest? Jak nas przyjmie?

— Nie wiem, bracie. — Objął go. — Ale cokolwiek się zdarzyło, jest naszą matką i królową Danii.

ŚWIĘTOSŁAWA i Bolesław wyszli z alkowy Emnildy niemal na palcach. Zasnęła po ziołach.

— Ach, gdyby Astryda była z nami, wymyśliłaby coś lepszego niż napar na sen — westchnął Bolesław, gdy zamknęli za sobą drzwi. — Jest upartą staruchą. Zaszyła się nie wiadomo gdzie.

— Ona może już nie żyć, Bolz — powiedziała Świętosława, biorąc od służki smycz z Duszą. — I nie mów na nią starucha, bo jest niewiele starsza od nas.

To nie miało znaczenia; z Astrydą stało się coś dziwnego, jakby starość usiadła jej na piersi nagle i chuchnęła w twarz. Ich siostra w ciągu roku przed tym, jak zniknęła z Poznania, postarzała się tak bardzo, że zwykły człowiek potrzebowałby na to lat.

— Nie wiem, co bardziej uderzyło w Emnildę. — Świętosława zadumała się, ruszając w stronę schodów. — Czy to, że Udalryk, a potem Henryk więzili Mieszka, czy że nie udało ci się uwolnić Sławy.

— Przestań! — wrzasnął Bolesław, zapominając, że przed chwilą wychodzili od Emnildy na palcach. — Miałaś mnie wspierać, a nie… Ach! Pójdę znów na Kijów, tym razem z większymi siłami.

— Powiedz mi, Bolz, tobie chodzi o córkę czy o kijowski tron? — zapytała, przytrzymując go za rękaw.

Jego oczy lśniły jak u żbika.

— O wszystko — powiedział. — Mnie zawsze chodzi o wszystko.

Zaśmiała się i spoważniała w jednej chwili. Stali u szczytu schodów.

— Uważaj, bracie. O mało nie straciłeś syna. Bezpryma już spotkał okrutny los z rąk Jaromira, a mimo to nie zawahałeś się posłać Mieszka do Udalryka.

Mogła już o tym mówić spokojnie, bo Mieszko był w kraju, ale jeszcze przed kilkoma tygodniami sprawa wyglądała paskudnie. Odkąd Henryk II zmienił swe zdanie co do braci Przemyślidów i wsparł Udalryka w walce o tron praski, Bolesław tkał sieć intryg. Najpierw nie dał Henrykowi obiecanego w Merseburgu hufca zbrojnych na italską wyprawę po cesarski diadem. Tak, Henryk wreszcie wymusił na papieżu cesarską koronację, ale jej brat od dawna uznawał tylko jednego cesarza, nieżyjącego Ottona III, i nie miał zamiaru wspierać koronacyjnej wyprawy Henryka. Odważył się na ten jawnie nieprzyjazny gest, mimo iż wcześniej Henryk lojalnie przysłał mu wojów na zakończoną niepowodzeniem wyprawę kijowską. Zaraz potem posłał do nowego księcia Pragi, Udalryka, swego następcę, Mieszka, z propozycją sojuszu przeciw cesarzowi. Udalryk niby się zgodził, ale gdy Mieszko wyjeżdżał z Pragi, puścił za nim pogoń i go pojmał. Bolesław oszalał z wściekłości i bólu. Wył jak wilk. Bał się, że Udalryk zrobi Mieszkowi to, co Jaromir Bezprymowi. Myśl, że obaj jego synowie straciliby szanse na posiadanie dziedziców, go rozpaliła. Posłał do cesarza poselstwo tyleż proszące, co bezczelne. Żądał, by Henryk chociaż raz zachował się jak chrześcijański władca i rozkazał swemu wasalowi w Pradze oddanie mu syna. Cesarz spełnił prośbę oszalałego z bólu Bolesława, ale jego ludzie odprowadzili Mieszka nie do Poznania, a do Magdeburga. Wojna wisiała na włosku. Emnilda, chora po złych wieściach z Kijowa, nie była w stanie ani jeść, ani płakać, a myśl o tym, że jej pierworodny z rąk okrutnego księcia Pragi dostał się w ręce cesarza, nie uspokajała księżnej. Bolz na czele dwóch hufców stanął na granicy i wtedy Henryk oddał mu Mieszka, całego i zdrowego. Ale od tragedii dzielił ich

tylko krok, a Emnilda od tamtej pory z dnia na dzień słabła. Gdy Mieszko wrócił, nie była już w stanie podnieść się z łoża. Trzymała głowę syna i szeptała słowa dziękczynnej modlitwy.

— Uważaj, uważaj — przedrzeźniał ją Bolesław, gdy schodzili po schodach. — Gdybym ciągle uważał, nie byłbym władcą tak wielkiego księstwa! To ty mówiłaś, że sprawowania władzy nie uczy się, trzymając synów pod pierzyną.

Gdy byli na dole, Dusza warknęła i pociągnęła za smycz.

— Co to? — zapytała Świętosława. — Słyszysz to, co ja?

Rogi na bramie zachodniej zagrały jak na powitanie rodziny.

— Bezprym? — spytał Bolesław. — Może Mieszko z żoną?

— Na Bezpryma graliby na wschodniej bramie. Raczej margrabia Herman ze słodką Regelindą, co? — Wbiła mu kuksańca w bok.

— Doskonale! Posiekam zięcia i zjemy go na kolację.

Wyszli przed palatium. Ostre, wiosenne słońce odbiło się na kolczugach i hełmach wjeżdżających gości. Dusza uniosła łeb i węszyła.

— Kto to? — spytał Bolesław, przysłaniając oczy dłonią.

Dwaj mężczyźni zdjęli hełmy i zeskoczyli z siodeł. Świętosławie wypadła z ręki smycz z Duszą.

Boże, jesteś wielki! — przebiegło jej przez głowę, a zaraz po tym rozkazała sobie: — Tylko się nie porycz!

Poznała ich jak suka własne szczenięta, choć byli dorośli i niepodobni do dzieci, które zostawiła w Roskilde. Poznała ich od razu. Haralda po rudych włosach, Knuta po jasnych. Rozglądała się, szukała córek za nimi, ale był tylko zbrojny, męski orszak.

— To moi synowie, Bolz — odpowiedziała bratu i zrobiła krok w przód, wyciągając do nich ręce. — Harald i Knut.

Szli ku niej niepewnie, jakby nie wiedząc, czy przyjechali do królowej, czy do matki. Wreszcie stanęli przed sobą twarzą w twarz. Wpatrywała się w nich przez chwilę, a potem z całych sił przygarnęła obu wielkich synów Svena do piersi.

— Królowo Sigrido! — odezwał się zza ich pleców Ragn z Wysp. — Wyjeżdżając z Roskilde, powiedziałaś, że wrócisz…

— Powiedziałam, że jeśli Sven skrzywdzi któreś z moich dzieci, przyjadę i wydrapię mu oczy — poprawiła Ragna i na chwilę stanęło jej serce. Dlaczego nie ma tu córek? — A on mi odrzekł: „Po moim trupie”. Tak było.

— Stało się, królowo Sigrido. Sven Haraldsson, król Danii, Norwegii i Anglii, nie żyje.

Pierwsze, co zrobiła, gdy wypłynęli na pełne morze, to jedna po drugiej wyjęła z włosów szpile przytrzymujące korony warkoczy i pozwoliła, by wiatr rozgarnął jej włosy. Stała na dziobnicy, trzymała się burty i zamknąwszy oczy, czekała, aż potarga ją słony wiatr. Nie mówiła nic. Pragnęła, by mówili oni, jej synowie. A ona słuchała ich osobno, razem, kolejno. Płynęli na pokładzie „Syna Królowej” do Roskilde i mieli dla siebie całą drogę.

To nie odda nam lat spędzonych osobno — myślała — ale to i tak więcej, niż się spodziewałam.

Uczyła się ich. Obaj mieli uparte, niebieskie oczy Svena. Harald przez rude, długie włosy przypominał swego ojca tak bardzo, że chwilami czuła się z tym niezręcznie.

Gdybym patrzyła na niego każdego dnia, gdy dorastał, nie bolałoby aż tak — myślała. — Wpada w gniew i czerwienieje jak Sven. Czy to jego wina? Nie. On jest po prostu jego dzieckiem. A Knut? Ma moje włosy, ale

jest inny niż ja. Spokojny. Zrównoważony. Skryty. Obaj są moi aż do trzewi. I obaj są synami swego ojca.

— Matko — powiedział Harald, gdy skończył opowieść. — Potrzebuję cię. Dania też. Nie chcę walczyć z bratem, ale jeśli zgromadzenie w Viborgu zechce odrzeć mnie ze wszystkiego, nie poddam się. — W jego głosie drgał gniew.

Knut patrzył na nich z rufy „Syna Królowej”; był chmurny. Kiedy podeszła do niego, nie poprosił o wsparcie. Po prostu patrzył w morze.

Nim wpłynęli do Roskilde, poprosiła Ylvę, by z powrotem zaplotła jej włosy i pomogła zmienić suknię.

— Co to takiego, królowo? — Ylva wyjęła spomiędzy ubrań w kufrze maleńką, płaską skrzyneczkę w okuciu z kła morsa.

— Dar, którego nie chcę otworzyć — odpowiedziała. — Schowaj na dno kufra. Może Astryda jeszcze żyje.

Spojrzała na swych ludzi. Na tych, którzy byli z nią na wygnaniu, a teraz wracali do domu. Ylva kipiała radością. Wilczan, jak zwykle, był ciekaw wszystkiego, co nadchodzi. Wielki Ulf z długą, siwą brodą mówił, że jego służba zakończy się śmiercią i że ma nadzieję nie zgnić na słomie. Topornicy Hardej wracali tylko w połowie. Dziesięciu podarowała Bezprymowi i wysłała do Kałdusu. Dobrze się czuli przy księciu mnichu i podniecały ich wyprawy na Prusów pod jego dowództwem.

— Nie mogliśmy darować ojcu, że zabił twoje rysie — powiedział Harald, podchodząc do niej i głaszcząc po łbie Duszę.

— Dlaczego to zrobił? — zapytał Knut, stając po jej drugiej stronie.

Nie powiedział im, że go zdradziłam. Poczuła wdzięczność do Svena, choć nie sądziła, by to było kiedykolwiek możliwe.

— Kiedyś wam opowiem, synkowie. To zbyt długa historia, a teraz przed nami inne zadanie. Jak wyglądają dziewczynki?

— Jak ty — odpowiedział Knut. — Za chwilę je spotkasz.

Gdy łódź zaczęła zbliżać się do nabrzeża, gdy zobaczyła wielobarwny tłum na przystani, poczuła, że wzruszenie łapie ją za gardło. Nerwowo zaciskała spocone palce na smyczy.

— To one — szepnęła.

Stały z przodu. Dwie jasnowłose dziewczyny. Jedna w niebieskiej sukni, druga w rdzawej. Łzy rozmazały jej obraz. Wytarła je szybko. Poznała siwiuteńką, przygiętą do ziemi Melkorkę. I Heidi Kózkę, i Vali, wciąż piękną. Rozpoznawała ich wszystkich po kolei. Uddorma z Viborga, Hakona z Fionii, Thorgilsa z Jelling, Stenkila z Hobro, Gjotgara ze Skanii, Gunara z Limfiordu i innych. Na widok Joruna zadrżała. Dla niej zawsze był druhem Svena. Jego cieniem.

— A to kto? — zapytała, wskazując na ciemnowłosą, wysoką kobietę z niemowlęciem przy piersi.

— Matko, bracie — odezwał się Knut. — Za chwilę poznacie Elfgifu z Northampton, moją żonę. I dziecko, przy którego narodzinach mnie nie było. Córka czy syn? — Roześmiał się nerwowo.

Burta uderzyła o pomost.

Synowie wyskoczyli na nabrzeże i pomogli jej wysiąść po trapie. Córki podeszły ku niej, położyła im ręce na ramionach. Wpatrywały się w siebie.

— Widziałam cię — wyszeptała młodsza, dotykając jej piersi palcem. — Musiałaś mi się śnić, bo pamiętam kobietę o dwóch różnych oczach.

— To nie był sen, dziecko! — odezwała się zza jej pleców Melkorka. — Pamiętasz mniszkę na wrzosowisku?

— Tę, która zbierała kamienie! — Teraz i Astryda przypomniała sobie tamto spotkanie.

— Mamo — powiedziały obie.

— Córki! — Uściskała je.

— Pani… — Elfgifu podeszła do niej, tuląc niemowlę. — Knut opowiadał mi o tobie. Widzę, że znów masz rysia.

— To nie ryś, lecz rysica — odpowiedziała z uśmiechem Świętosława. — Witaj, Elfgifu z dzieckiem!

— To nie dziecko, lecz syn — dumnie odrzekła żona Knuta i podała niemowlę mężowi.

Świętosława dostrzegła cień, jaki przebiegł przez twarz Haralda, i dumę Knuta. Uniósł dziecko i krzyknął:

— Mój syn! Daję mu na imię Sven!

Zebrani wokół pomostów podchwycili i skandowali:

— Sven! Sven! Sven!

Ukradkiem dotknęła dłoni Haralda. Zesztywniał, ale oddał uścisk.

Wieczorem siedzieli w wielkiej halli dworu w Roskilde. Ona pośrodku, obaj synowie po bokach, dalej córki. Elfgifu oddała niemowlę mamce i nie opuszczała Knuta na krok.

Jest tu nowa — pomyślała Świętosława — nikogo nie zna, czuje się niepewnie.

Wodzowie zajęli najlepsze miejsca. Z boku usiadła umęczona Melkorka, Heidi przycupnęła przy niej. Vali puściła między stoły rząd służek z dzbanami miodu i wina.

Harald wstał z rogiem w dłoni, jak gospodarz. Boże, pamiętam ten róg! — pomyślała.

— Królowo Sigrido Storrådo! Matko! Witaj w domu!

Skuli zaczął:

Sigrid Dumna, Sigrid Nieugięta,

do której świetlistej siedziby
ze skalistych grani bagnistym szlakiem…

Przerwała mu ze śmiechem:

— Starczy, Skuli, starczy! Tu się zatrzymaj. Moje dzieci słuchają.

— Harda Pani! Harda Pani!

— Słyszysz? Nikt tu o tobie nie zapomniał przez te lata!

— I ja o was pamiętałam — powiedziała, czując, że głos jej drży. — Wszystko, co teraz powiemy, będzie brzmiało łzawo. Czcimy pamięć króla Svena i radujemy się z mego powrotu. I z tego, że Knut wraz z wodzami wrócił z Anglii cało. I z tego, że poznaliśmy jego żonę, Elfgifu, i małego Svena. To piękne, że tak nazwaliście dziecko, które narodziło się po śmierci mego męża. — Nie używała tego słowa tak dawno, a przeszło jej przez gardło gładko. — Wychylmy za zmarłego puchar pamięci, a potem pijmy za żywych!

Przechylając róg, który podał jej Harald, przymknęła oczy.

Wieczny odpoczynek, Svenie, albo jak wolisz, szykuj się do Ragnarök w Walhalli! — pomyślała i oddała róg Knutowi. Niemal usłyszała jego głośny śmiech. To ułuda, wiedziała, uczty w tej halli, gwar, twarze wodzów. Svena tu nie ma. Jest gdzieś tam, w miejscu, które wybrał lub które Bóg mu przeznaczył. Nigdy nie miała pewności, czy w Niego naprawdę wierzył.

Gdy goście nasycili pierwszy głód, dała znak, że chce mówić.

— Synowie przypłynęli po mnie, by Dania w chwili żałoby po śmierci swego króla miała pocieszenie w królowej. Jak wiecie, nie jest naszym zamiarem sprawienie mi nowego męża, by rządził krajem, ale rozstrzygnięcie tego, co czynić dalej.

— Ale dlaczegóż by nie? — ryknął podochocony Uddorm z Viborga. — Królowa jawi nam się całkiem, całkiem!

— A co? Twoja Thordis nie żyje, że tak się sposobisz? — odpowiedziała mu, aż w halli zagrzmiało śmiechem. — Poza tym, drogi Uddo, królowa, która przeżyła dwóch mężów, przeskoczy i trzeciego, więc jeśli ci rozkosze życia miłe, trzymaj się ode mnie z daleka!

— Wreszcie nasza pani wróciła! — ucieszył się Ragn.

Uddorm nie dał za wygraną i ryknął:

— Jutro wszyscy płyniemy na zgromadzenie do Viborga. Któż lepiej ugości królową niż gospodarz tamtejszego dworu? Oddaję ci swoją alkowę, pani!

— Jeśli wyprosisz z niej właściciela, skorzystam. Chcę jednak coś powiedzieć, nim staniecie w Viborgu, by podjąć decyzję. Nie pozwólcie się jutro ponieść złym emocjom. — Chwyciła Haralda i Knuta za ręce i je uniosła. — Obaj są mymi synami! I obydwu spłodził ten sam król: Sven! Wróciłam do was jako królowa, ale i jako matka. Weselmy się dzisiaj, czas wyboru nadejdzie jutro.

Wypili toast i dwa kolejne, gdy odezwał się milczący wcześniej Knut.

— Matko! Pamiętasz, jak mnie urodziłaś?

— Nie zapomniałam dnia narodzin żadnego z mych dzieci.

— Nazwano mnie Synem Królowej.

Nie umknęło jej spojrzenie, jakim Harald obdarzył brata.

— Tak było! — skrzekliwie krzyknęła Melkorka. — Pani urodziła cię, stojąc!

— A wy piłyście wino! — odgryzła się Świętosława.

— Tak było. — Bezzębne dziąsła Melkorki ukazały się w uśmiechu i uniosła kielich.

— Zaś ty, Haraldzie — podjęła szybko Świętosława — byłeś żarłokiem.

— I pierwszym królewskim synem przy mojej piersi — przypomniała Heidi Kózka.

Harald się zaczerwienił i wznosząc kielich, krzyknął:

— Pierwszym!

— Ssałeś jak dzieciak kowala — zażegnała wiszący na włosku spór Kózka. — Tamten mały miał w ustach obcęgi, a ty, jaśnie panie, gdy nie jadłeś, to się darłeś!

Służki pod dowództwem Vali krążyły z dzbanami. Uczta trwała w najlepsze. Znalazła chwilę i wstała ze swego miejsca. Z Duszą przy boku przeszła przez całą hallę. Patrzyła na rzeźbienie biegnące wokół ścian. Przed laty tak je lubiła. Chwytające się bestie.

Złapała Wilczana za ramię i szepnęła do niego:

— Przynieś młot z kuźni.

Uniósł brwi, ale natychmiast poszedł wykonać jej rozkaz.

Rozmawiała z każdym wodzem, ale żadnemu nie dała się zatrzymać na dłużej. Wreszcie dotarła do tego mrocznego miejsca przy wejściu, do którego nie sięgał blask palenisk. Usiadła na ławie obok Arnory.

— Witaj, Cierniowa Królowo — zasyczała z ciemności starucha.

— Witaj, Arnoro. Zdradź sekret. Czas o tobie zapomniał czy Bóg?

Zachichotała jak dziewczynka.

— Bogów, których ja czczę, nie znasz nawet z opowiadań, Harda Pani.

— Opowiesz mi o nich? — spytała, przeciągając się leniwie.

— Chcesz się z tego spowiadać? — kpiąco zapytała stara. — A przy okazji, co tam u Iona?

— Je korzonki i pije wodę w pustelni.

— Nie wierzę.

— Błogosławieni, który nie zobaczą, a uwierzą — odpowiedziała jej Świętosława.

— Nie nadaję się do takich błogosławieństw. — Arnora poruszyła się, aż zabrzęczały łańcuchy. — Ale niegłupio, że przybyłaś, Harda Pani. To

dobrzy chłopcy i twój Sven ich nie zmarnował.

— Wiem, Arnoro. Chciałabym, abyś się na coś wreszcie zgodziła, uparciuchu.

— Na co? — zdziwiła się.

Świętosława skinęła na Wilczana czekającego z młotem przy wejściu.

— Na rozkucie tych łańcuchów.

Ani drgnęła i Świętosława wzięła to za milczącą zgodę. Gdy było po wszystkim, przyklęknęła przy starej i zdjęła z kostek jej nóg obręcze kajdan.

— Nawet gdy byłaś zakuta, nie przestałaś być wolna, Arnoro. Każdego dnia, odkąd cię poznałam, czerpałam siłę z twej siły.

Stara nie odpowiedziała. Poruszyła nogami. Tupnęła raz, drugi, trzeci.

— Dwadzieścia lat tkwiłam w żelastwie. Nie wiem, czy pamiętam, jak się tańczy, moja Harda Pani.

— Tańcz, jak zechcesz, Arnoro! Twoje nogi należą do ciebie. Możesz wszystko, a jak ci się spodoba, możesz nawet się potknąć.

Świętosława zakręciła się wokół niej i tanecznym krokiem szła na podwyższenie. Po drodze chwycił ją za ramię Jorun. Zmierzyła się z nim wzrokiem i to było tak, jakby cofnął się czas i spotkała się ze Svenem.

— Harda — szepnął wprost w jej ucho. — Przywiozłem jego kości.

Otrzeźwiała w jednej chwili.

— Wiesz, że nienawidził gnicia. Wygotowałem jego ciało, by wyprawić szkielet. Kości króla wróciły do domu.

Oczy Joruna płonęły dzikim, niebieskim blaskiem. W lot pojęła, co mówi.

— Chciał, byśmy je spalili? — zapytała.

— Nie, Harda. Nic o tym nie rzekł.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Zesztywniał. Chwyciła dzban z miodem od przechodzącej służki. Napiła się wprost ze dzbana i podała Jorunowi. Wychylił.

— Przynieś je — powiedziała. — Chcę ich dotknąć.

Siedziała na swoim tronie, gdy Jorun wszedł do halli ze skrzynką. Podszedł do niej i otworzył wieko.

— Vali! — krzyknęła. — Przyjdź do mnie!

Jasnowłosa gospodyni podbiegła, patrząc na nią niepewnie.

— Vali, kochałaś króla? — spytała.

— Tak, pani — odrzekła.

— To stań przy mnie. Dotkniemy jego kości razem.

Jorun podsunął skrzynię. Vali załkała. Świętosława wyciągnęła dłoń i złapała nagi piszczel Svena.

KNUT nie spał tej nocy, choć wielkie obozowisko wokół bliźniaczych jezior pod Viborgiem tętniło życiem. Elfgifu uparła się, że przybędzie wraz z nim, choć matka zachęcała jego żonę, by wraz z małym Svenem została w Roskilde.

— Moja obecność ci pomoże. Wodzowie zobaczą w tobie dojrzałego mężczyznę, który już ma rodzinę i syna — powiedziała mu Elfgifu na ucho i zgodził się.

Teraz Sven i jego żona spali, a on przewracał się z boku na bok. Co będzie, jeśli jutro głosy wodzów przechylą się na stronę Haralda? Odinkarr wyraźnie gra na niego. Zrobi ze mnie przeciwnika wiary, bo ojciec wskazał na mnie.

Nad ranem zapadł w krótki sen, z którego wybudził go Hrani.

— Panie, już czas.

Obmył twarz i ubrał się szybko. Elfgifu ze Svenem na ręku czekała na niego.

— Nie będziesz mogła wejść na pole wiecowe — przestrzegł ją.

— Wiem — skinęła głową — ale twoja matka się tam wybiera, więc nie widzę powodu, by miało zabraknąć twej żony.

— Matka będzie przemawiać po mszy, którą Odinkarr odprawi przed zgromadzeniem.

— Nie zamierzam z nią konkurować. Widziałam w Roskilde, jaką siłę mają jej słowa. Chcę tylko, by wszyscy widzieli twojego syna.

Między dwoma jeziorami pod Viborgiem wznosił się skalisty pagórek. Mech, który go porastał, miał barwę zetlałej krwi. Odinkarr kazał ustawić ołtarz poniżej wzniesienia, nad samą wodą, i tam odprawił mszę.

W kościele w Viborgu nie zmieściliby się wszyscy, którzy przybyli na zgromadzenie — pomyślał Knut. — Odinkarr nie mógłby mieć pretensji do nieobecnych. A tak, ma ich jak na dłoni. Widzi każdego, kto się modli, i wie o każdym, który nie przybył.

Wraz z Elfgifu stał obok matki i brata. Poplecznicy Haralda stawili się jak jeden mąż. Wodzowie z wyprawy angielskiej niemal wszyscy. Brakowało wśród nich Joruna, ale Knut widział jego jasną czuprynę w pobliżu i wiedział, że gdy nadejdzie czas rady na czerwonym mchu, Jorun nie zawiedzie.

Biskup Odinkarr miał nieco ponad trzydzieści lat, kwadratową, szeroką twarz i wypukłą pierś. Nie przypominał słabowitych mnichów, z których tak lubili naśmiewać się jego towarzysze. Mówił głosem mocnym jak dzwon.

Jego stryj i poprzedni biskup Ribe żył z moim ojcem w stanie ciągłej wojny — pomyślał Knut. — Kiedy Harald zdołał pozyskać sobie sympatię młodego Odinkarra? Co się działo w Danii przez ten rok, gdy byliśmy z ojcem w Anglii?

Biskup zakończył mszę.

— Udajmy się teraz na wzgórze — powiedział — i niech Bóg czuwa nad naszym wyborem.

Świętosława wystąpiła naprzód i zapytała:

— Czy ojciec duńskiego Kościoła pozwoli przemówić matce przyszłego króla?

Nie śmiał odmówić.

Odwróciła się ku zebranym i powiedziała:

— Gdy staniecie na pagórku, jedni będą mówić w imieniu Haralda, inni w imieniu Knuta. Jako ich matka pragnę przemówić w imieniu obu mych synów.

— Dwóch królów? — rzucił prowokacyjnie jarl Thorgils z Jelling.

— Thorgilsie — odrzekła surowo — nie prowokuj mnie. Dania nie ma jeszcze króla, ale ma królową, i nie wypada, byś przerywał swej pani.

Uniosła głowę i zawołała do wszystkich:

— Skoroście po mnie posłali, by usłyszeć, co mam do powiedzenia, to powiem.

Elfgifu przylgnęła do jego ramienia. Poczuł, że drży. Wciągnął powietrze.

— Uznaję, że wodzowie i wojsko, które po śmierci króla Svena okrzyknęło nowym królem Knuta, uczyniło zgodnie z wolą Svena.

Odetchnął szczęśliwy. Zerknął na brata. Harald zaczerwienił się błyskawicznie i zacisnął dłonie w pięści.

Matka mówiła dalej.

— Mój mąż w swej ostatniej woli, wskazując jako następcę Knuta, miał zapewne na myśli w pierwszej kolejności Anglię, bo tam byli razem, tam zdobyli królestwo. Nie wiemy dzisiaj, czy pragnął również, by Knut został jego następcą w Danii, bo nie zdołał tego powiedzieć co do słowa. Ale

nawet jeśli tak było, to ja, jako królowa, byłabym pierwszą, która zaprotestuje.

Zebrani zaszemrali.

Co teraz? — pomyślał w panice. Elfgifu przy jego boku zesztywniała. Dostrzegł gwałtowny ruch rudej głowy Haralda.

— Tak — powiedziała mocno Świętosława. — Harald był naszym pierworodnym i nie dał nikomu powodu, byśmy o tym musieli zapomnieć. Zgodnie ze zwyczajem władza w ojcowiźnie powinna należeć do niego.

Głosy za ich plecami się nasiliły.

— No i masz pomoc matki, Synu Królowej — syknęła do jego ucha Elfgifu.

— Król Sven wybrał los swych synów w dniu, w którym na wyprawę angielską wziął nie Haralda, lecz Knuta — mówiła królowa, a oczy jej płonęły. — Pierworodny powinien objąć tron Danii, a drugi syn zdobyć sobie królestwo. Królestwo, które zwie się Anglią!

Knut miał wrażenie, jakby znów pod jego nogami zachybotał pokład łodzi. Poczuł łaskotanie w brzuchu.

Część wodzów krzyknęła z zadowoleniem, część zaszemrała przeciw temu. Świętosława uniosła podbródek jeszcze wyżej i powiedziała dobitnie:

— Tak, wiem! Król Ethelred wrócił z Normandii i ogłosił banicję dla duńskich królów! I co z tego?! Przecież Sven z wami przy boku wygrał z Ethelredem! Stańcie przy jego synu, jak staliście przy ojcu! Wspomogę was flotą mego pierworodnego, Olofa Króla Szwedów. I oddziałem mego brata, księcia Burizleifa. To wkład królowej Sigridy w tę wyprawę. Duńscy wodzowie najeżdżają Anglię od ponad stu lat. Palą, grabią, łupią i biorą sowity danegeld. Ale mój mąż był kimś więcej niż dzikim barbarzyńcą. Był królem Anglii. Zbierzmy armię i w przyszłym roku uderzmy na Ethelreda z taką siłą, by już się nie podniósł. Posiądźmy znowu nasze nowe królestwo!

Elfgifu uścisnęła go, szepcząc:

— Szelma! Ależ to rozegrała! Płyniemy do Anglii! Do mego domu! Kochany, będziesz angielskim królem.

— Jeszcze nie — uspokoił żonę, choć sam był szczęśliwy. — Jeszcze musi się na to zgodzić zgromadzenie. I… — dopiero teraz do niego dotarło — najpierw muszę ją drugi raz zdobyć.

Odwrócił się. Twarz Haralda promieniała.

Biskup Odinkarr skinął jego matce głową i powiedział:

— Królowo, dobrze, że wróciłaś do Danii. Wodzowie! Czas udać się na czerwone wzgórze.

Gdy zajęli miejsca w kręgu, wybór był tylko formalnością. Harald został obwołany królem i przegłosowano, że wiosną armia duńska wraz z sojusznikami ruszy odzyskać angielskie królestwo dla Knuta.

ŚWIĘTOSŁAWA w sukni złotozielonej jak jej oczy stała obok syna Haralda przed ołtarzem kościoła w Viborgu. Biskup Odinkarr głosem mocnym niczym grzmot sprawował liturgię koronacyjną.

W dzień wyboru Haralda przyszedł do niej i powiedział wprost:

— Pani, twój mąż, Sven, był królem, ale nie życzył sobie obrzędu chrześcijańskiego namaszczenia władcy. Tym samym zostałaś go pozbawiona i ty. Chcesz to zmienić? Lud duński wielbi cię i uznaje za swą królową, lecz wydajesz mi się kimś, kto pragnie więcej. Teraz, kiedy wróciłaś z wygnania, kiedy twój głos zaważył na decyzji możnych, jest najlepszy moment, by odprawić obrzęd zaniechany przez twego męża.

— Pragnę tego — powiedziała Odinkarrowi.

I stało się. Ona i Harald stoją teraz przed ołtarzem.

To Knut zwany jest Synem Królowej, ale moja prawdziwa koronacja jest przy boku Haralda. Boże, jesteś nieprzewidywalny w swych dziełach —

pomyślała i w tej samej chwili piorun rozdarł niebiosa. Zawtórował mu daleki pomruk burzy.

— Sigrido Storrådo — zawołał gromko Odinkarr. — Królowo wdowo i matko nowego króla. Nasza chrześcijańska pani. Wolą Boga jest naznaczyć cię olejem świętym przeznaczonym tylko dla Jego wybrańców! Sigrido, oto dopełnia się obrzęd!

— Świętosławo — poprawiła go grzecznie.

Ściągnął grube linie brwi.

— Sss… Szz… Sii… — spróbował.

— Świętosławo — podpowiedziała powoli.

Gruchnął kolejny piorun.

— Śśś… — Na czole Odinkarra sperlił się pot.

— Matko — szepnął Harald polubownie — on tego nie wymówi.

— Chcę być koronowana pod imieniem, które dostałam na chrzcie — uparła się.

— Ciesz się, biskupie, że nie przyszła z rysicą na smyczy — usłyszała z głębi kościoła głos Joruna.

Rozpętała się furia burzy. Grzmoty goniły się wokół świątyni.

— Santaslaue — podszepnął kleryk Odinkarrowi.

— Santa? — zdziwił się biskup, patrząc w jej dwubarwne oczy.

— Sventoslava — powiedział stojący za jej plecami Knut.

Odinkarr odetchnął i powiedział:

— Sventoslavo, namaszczam cię świętym olejem. Oto stajesz się wybranką Boga, z Jego woli królową Danii…

Zanurzył palec w naczyniu i przejechał nim po jej czole, jakby rył tam ognisty szlak.

— Amen — odpowiedziała. — Przyjmując sakrament, odrzucam siebie i staję się sługą sług. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

— Amen — zaśpiewali klerycy i burza umilkła.

Potem namaścił Haralda. Na jasną twarz jej syna wystąpiły rumieńce, gdy Odinkarr zakrzyknął:

— Oto król Danii!

Ach, Svenie — pomyślała — szkoda, że go nie widzisz. Nasz pierworodny to piękny, rudy król.

Wyszli z kościoła w ceremonialnym orszaku wiedzionym przez Odinkarra. Królowa i król. Ona i jej syn. Za nimi Knut z Elfgifu i małym Svenem, potem wodzowie i możni.

Powietrze pachniało burzą, która odeszła. W słońcu skrzyły się grube krople wody, jak najszlachetniejsze klejnoty. Oddychała głęboko, ciesząc się tą chwilą.

Uddorm, który w Viborgu miał swą rodową siedzibę, wyprawił ucztę koronacyjną.

— Niech żyje królowa! — krzyczał u wrót dworu, aż czerwieniły się jego pulchne policzki. — Niech żyje król!

Jego służki roznosiły mięsiwo i miód. Spełnili z Haraldem toast ze srebrnych kielichów, a dopiero potem z okutego rogu Svena. Wtedy odezwał się Jorun.

— Na koronację Hardej przybył sam Thor! — Jego niebieskie oczy niemal lśniły. — Gdy Sven koronował się w Winchesterze, też lało jak wszyscy diabli.

— Jorunie! — zawołała do niego lekko. — Deszcz umilkł.

— Wiem — warknął i napił się. — Tak tylko wspominam.

Odinkarr pił z umiarem, ale śmiał się tubalnie. Harald był szczęśliwy. Elfgifu radosna; najwyraźniej powrót do ojczyzny uśmiechał jej się bardziej niż pozostanie w Roskilde. Knut wydał jej się skupiony, jakby nad czymś myślał.

Wodzowie skandowali:

— Sigrida Storråda! Harda Pani wróciła! I nastał król Harald!

Skuli sposobił się do poematu, kiedy Knut wstał od stołu i przemówił:

— Matko, nie boję się walczyć o Anglię, ale przyznaję, że jestem niedoświadczony w tym, co robił ojciec. W układach, sojuszach i polityce…

— Powiem ci, młody książę, jakie zdanie miał król Sven — wyrwał się Jorun. — Mówił: „Z królowaniem jest jak z żoną. Zdobyć to jedno, ale cała sztuka utrzymać”.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na nią i po ułamku chwili ryknęli śmiechem. Ona też. Tylko Elfgifu zmarszczyła brwi.

— Matko — podjął Knut, gdy ludzie się uspokoili. — Popłyń ze mną do Anglii. Ja będę walczył, a ty pomóż mi w układach i sojuszach. Naucz mnie tej sztuki.

Nie spodziewała się tego. Nagle poczuła się jak koń śmignięty batem. Zrozumiała, co to znaczy dostać wyzwanie. Zobaczyła wężowe oczy jarla Thorgilsa z Jelling, który się żachnął. I Elfgifu, która szarpała Knuta za rękaw, próbując odwieść go od tej prośby.

Nie bój się, dziewczyno — pomyślała. — Nie odbiorę ci męża, tylko wesprę swego syna.

— Haraldzie? — spytała. — Co ty na to?

— Cóż powiedzieć? — Starszy się zaśmiał; korona na jego rudych włosach lśniła. — Syn Królowej nie waha się użyć swej pozycji. Zgadzam się, choć ja też chętnie skorzystałbym z twej pomocy przy rozsądzaniu sporów między Uddormem z Viborga a Ragnem z Wysp. Pojęcia nie masz, matko, jacy na starość zrobili się małostkowi.

— Rozwiążę twój problem, mój panie! — wrzasnął Uddorm. — Właśnie zdecydowałem, że płynę do Anglii z królową i Knutem!

— A ja stworzę ci nowy, Sigrido! — ryknął Ragn. — Dam łodzie, ludzi i swoją osobę pod twoje rozkazy! Będę się kłócił z grubasem na twoich oczach! Ha, ha!

— Moja rysica jest biegła w rozsądzaniu sporów na szczeblu jarlów. — Świętosława się uśmiechnęła. — Wystarczy spuścić ją ze smyczy.

— Chętnie popieszczę tę kotkę — jęknął Uddorm i napił się.

Spojrzała na swych synów. Obaj byli zadowoleni.

— Dobrze, synu — odrzekła, kierując twarz do młodszego. — Twój brat dostał piękne, ojcowskie królestwo. Ja przywykłam do zmian tronów. Skoro mnie potrzebujesz, popłynę z tobą. Nie lubuję się w błyskotkach, ale powiadają, że angielskie srebro ma niezwykły urok. Popłynę z tobą, by to sprawdzić. By z tobą i wodzami dotknąć tego skarbu, dla którego walczył twój ojciec, ty sam i Olav Tryggvason, któregoście pokonali w Bitwie Trzech Królów.

Serce zabiło jej kompulsywnym, nierównym rytmem.

Postawiłeś przede mną wyzwanie, Knucie — pomyślała. — A ja postaram się je wypełnić.

Uczta się rozbuchała. Miód i wino krążyły między biesiadnikami.

Złowiła wzrokiem Wilczana i przyzwała go do siebie.

— Popłyniesz do Uppsali?

— Nie boisz się, że moje poselstwa do Olofa przynoszą pecha? — spytał i uśmiechnął się tak krzywo jak jego ojciec.

— Nie, Wilczanie. — Pocałowała go w czoło. — To, które przywiozłeś ostatnio, było najpiękniejsze i wiążące. Wierzę, że mój pierworodny nie zawiedzie mnie i przyśle łodzie.

— Dobrze, pani. Wypłynę o świcie.

— Nie chcesz wypocząć po naszej podróży z Wolina?

— Nie, pani. — Spojrzał na nią tym razem tak pięknie jak Helga. — Uwielbiam ci służyć.

KNUT był w porcie, doglądał budowy łodzi, gdy zobaczył na horyzoncie żagiel z pyskiem wilka z Jom. Poprosił, by zawołano Joruna i jego matkę.

— To „Nidhog”, łódź samego Thorkela — powiedział Jorun, gdy zbliżyła się do przystani.

— Brat Sigvalda — w zamyśleniu powtórzyła matka.

— Zdrajca — dodał Knut.

— Dlaczego płynie do nas?

— Może umarł król Ethelred?

— Marzenie — zaśmiała się matka. — Choć kto wie? Z tego, co mówicie, król jest schorowany i stary. Synu? A może pod tym żaglem płynie do ciebie angielska korona?

Poczuł ucisk w piersi. „Drugi syn musi sam sobie zdobyć królestwo” — powiedziała na uczcie i od tej pory myślał tylko o tym. Zdobyć, nie dostać. Korona nie przypłynie do niego na tej łodzi.

Ludzie Thorkela zacumowali, a on sam wyskoczył z „Nidhoga” na pomost. Żylasty, barczysty mężczyzna o łysej czaszce i przenikliwym spojrzeniu skojarzył się Knutowi ze starym wężem.

Jak mam powitać zdrajcę? — myślał gorączkowo.

— Matko — powiedział — to jest właśnie Thorkel Wysoki, jomswiking, który kiedyś był w służbie mego ojca, a twego męża, potem zaś przeszedł do króla Ethelreda.

— A teraz przypłynął, by znów zmienić stronę? — zapytała matka.

— Sprawdza, kto da więcej? — dodał Jorun, strzykając śliną w bok.

— Skoro już zostałem przedstawiony, pozwólcie, że zapytam o te łodzie, które szkutnicy kończą na nabrzeżu — odezwał się Thorkel. — Czy młody król Knut szykuje flotę, by odzyskać Anglię?

— Tak.

Thorkel wpatrywał się w Knuta uważnie. Był dwa razy od niego starszy. Wyższy, potężniejszy w barach. Knut wiedział, że patrzy na mężczyznę, przed którego Drapieżną Ławicą Anglia już raz się ugięła. I że to ten sam człowiek, który zdradził jego ojca. Nie był głupi; wiedział, że gdyby spotkali się w walce, nie miałby z nim żadnych szans.

— Zatem, co powiesz, młody królu — odezwał się wreszcie Thorkel — na to, bym wsparł twą flotę swoją Ławicą?

Muszę pilnować każdego słowa — myślał Knut i powiedział:

— Zapytam, jaki jest powód, bym uwierzył komuś, kto zdradził?

— Odpowiem ci pytaniem: po co ryzykowałbym przybycie do ciebie, do Roskilde, gdybym nie miał poważnych zamiarów?

— Ludzie zdradzają z różnych powodów — odezwała się jego matka. — Z miłości, ze strachu, dla bogactwa, władzy, sławy… Powiedz nam, Thorkelu, dlaczego zrobiłeś to ty?

— Nie ze strachu i nie dla miłości — odpowiedział.

— A zatem każdy sojusz z tobą będzie jak dzień na targu. Nieustanne podbijanie ceny.

— Nie, pani. Możemy się dogadać już dzisiaj. Cena jest wysoka, ale moja znajomość królestwa Anglii i wartość mojej floty zasługują na nią.

— Ile oczekujesz?

— Nie interesuje mnie danegeld — powiedział Thorkel. — Chcę z nadania króla władać częścią królestwa.

— Trafne. Bogactwo i władza — odezwał się Jorun.

— Stały dochód i pamięć mego imienia u ludzi — poprawił go Thorkel.

— Dzielicie skórę na wciąż żywym niedźwiedziu — zaśmiała się jego matka.

— Nie, królowo — odpowiedział Thorkel. — Ten niedźwiedź padnie z całą pewnością, gdy tylko dobierzemy mu się do skóry.

ŚWIĘTOSŁAWA patrzyła na schodzących z łodzi wojów Bolesława. Ciężkozbrojna jazda, niepokonana w starciu na lądzie, wojowie, przed którymi pierzchały wojska cesarza Henryka, byli zmaltretowani podróżą. Tylko dowodzący nimi Wilkomir wyglądał tak jak zawsze.

— Po twoim skrzywionym pysku nie znać, czy się cieszysz, czy złościsz, czyś chory albo zdrów — powitała przyjaciela na przystani w Roskilde. — A oni? Pili całą drogę? Wydaje się, że ich głowy wypełnia wieczny łomot.

Wyskakiwali na pomost, rozprostowując zesztywniałe nogi. Dzwoniły kółka kolczug, okucia pochew i pasów. Ich twarze, zrazu sine, zielonkawe i zapuchnięte, powoli nabierały zwykłych barw.

— To jeźdźcy. Nienawykli do morza, pani — odpowiedział Wilkomir. — Poczują ląd pod stopami i zaraz nabiorą ochoty do życia.

— Mój brat powinien już dawno zbudować własną flotę — mruknęła.

— Książę ma wiele spraw na głowie — wymijająco odpowiedział Wilkomir. — A najważniejsze wojny toczy na lądzie.

Łagodny, ciepły wiatr szybko suszył ich mokre płaszcze. Orle pióra wetknięte w szczyty hełmów poruszyły się w jego podmuchu. Wojowie prostowali muskularne plecy i ustawiali dwuszereg na nabrzeżu. Chorążowie rozwinęli proporce i orzeł Bolesława załopotał na duńskim brzegu. Serce zabiło w jej piersi mocniej.

— Wasz widok cieszy mnie bardziej niż skrzynia pełna kosztowności! — krzyknęła do trzech setek zbrojnych. — W czas wojny każdy z was jawi mi się jak klejnot miecza oprawiony w stal ostrą!

— O nie! — usłyszała za plecami jęknięcie skalda. — Tak się cieszyłem, że Harda Pani wróciła, a teraz widzę, że królowa robotę mi odbierze.

— Skuli! Zamiast marudzić, przywitaj gości wierszem — upomniała go.

Skuli zakrzyknął:

Wąż szczęku mieczy potrafi znaleźć strumyk krwi!
Robak zasiekanych porusza się ścieżkami myśli do ciepłej rzeki rzezi…

— Królowo, znamy komendy wojskowe w każdym języku, ale nie rozumiemy, co on do nas mówi — powiedział chorąży, kręcąc głową.

— Że walka będzie krwawa — przetłumaczył krótko Wilkomir.

— To chyba jasne. — Chorąży kiwnął głową. — A jaka ma być? Wesoła?

— Jak ci na imię? — zaciekawiła się Świętosława i podeszła ku niemu.

— Kalmir.

— Kalmirze, skaldowie znają dwie setki określeń na walkę, a na sto sposobów opisują sam miecz. Tak samo wiele mogą powiedzieć o statku, tarczy i męstwie. To wojowie wygrywają bitwy, ale pamięć o waszych zwycięstwach zapewnia talent skaldów. Radzę dobrze żyć ze Skulim, a usłyszysz kilka strof o Kalmirze niezwyciężonym.

Zobaczyła, że obaj jej synowie przyszli powitać wojów.

— Moja matka wie, co mówi — powiedział Knut. — Jej imię zdobi wiele pieśni.

— Choć nie każda z nich nadaje się do recytowania przy dzieciach. — Wilkomir odchrząknął.

— Tak czy inaczej, jesteście najpiękniejszym prezentem, jaki dostałam od brata. — Uśmiechnęła się do wojów promiennie.

— Przyjmijcie naszą gościnę — dodał Harald. — Dzisiaj Roskilde świętuje przybycie polańskich gości.

Beczki miodu i piwa, pieczone prosięta, wędzone węgorze, kręgi tłustego twarogu, polewki rybne, wszystko to zastęp służek pod wodzą jasnowłosej Vali stawiał na ławach przed wojami Bolesława. Skuli recytował poemat za

poematem, usiłując wyrobić w Kalmirze miłość do poezji. Im więcej chorąży pił, tym bardziej mu się podobały strofy skalda.

— Mam dla ciebie dary od księcia Bolesława i księżnej Emnildy — powiedział Wilkomir siedzący po jej prawicy.

— Najpiękniejszym darem są oni — odrzekła, patrząc, jak jedzą. — Wciąż się zastanawiam, dlaczego mój brat dał mi ich tak ochoczo. Myślałam, że będzie się targował, jak przed bitwą w Øresundzie.

— Trafiłaś, pani.

Odwróciła głowę i spojrzała na Wilkomira uważnie.

— Mój brat ma wyrzuty sumienia? — spytała.

Brew Wilkomira się uniosła, ale nie skrzywił twarzy, jak zwykł to czynić.

— Nie jestem spowiednikiem księcia — odpowiedział.

Coś w niej drgnęło. Niejasna myśl, przeczucie.

— Czyżby mój brat miał na sumieniu jakiś grzech związany z moją osobą? Winę, którą chce odkupić, dając mi ciężkozbrojny hufiec?

Patrzyli sobie z Wilkomirem w oczy.

— Nie pytaj mnie o sprawy, w których nie brałem udziału — powiedział po dłuższej chwili.

Zamilkła. Gdy po zjeździe gnieźnieńskim Bolesław podarował cesarzowi Ottonowi III setkę pancernych, o hojnym darze gadano na wszystkich dworach. Jej wysłał cały hufiec, choć jeszcze nie zakończył wojen z Henrykiem i wciąż przygotowywał batalię o Kijów.

— Chcesz zobaczyć, pani, co jeszcze przysyła ci brat? — spytał Wilkomir.

Zamyślona skinęła głową. Ludzie Wilkomira przynieśli skrzynie. Ten skinął, by podnieśli wieko jednej z nich, i wyjęli podarunek. W pierwszej chwili pomyślała, że widzi srebrną, krótką suknię. Dopiero w drugiej zrozumiała, że to kolczuga.

— Ponoć gdy byłaś w Bodzi, zachwyciły cię wyroby Ivara Złotozębego — powiedział Wilkomir. — Stary płatnerz od lat nie przyjmuje zleceń, ale na wieść, że to dla Hardej Pani, nie śmiał odmówić. Zatem, być może, królowo, będziesz nosić ostatnie dzieło Ivara. Życzeniem twego brata jest, by ta kolczuga osłoniła cię przed każdym pchnięciem.

Wstała i podeszła, by obejrzeć suknię z kolczych kółek. Była delikatna i zwarta. W przeciwieństwie do męskich kolczug rozcięta z tyłu i ozdobiona gęstą siecią srebrnych pętelek, przeznaczonych do zasznurowania na plecach.

— Złotozęby zaklinał się, że dobrze zapamiętał kształty królowej, i twierdził, że będzie dopasowana jak rękawiczka do dłoni — mówił wesoło Wilkomir, a ona wiedziała, że jej stary druh nawet gdy się cieszy, nie okazuje tego.

Nie umiesz ukryć przede mną tajemnicy — pomyślała smutno.

— Piękna rzecz! — powiedziała głośno. — Ale ja nie jestem wojowniczką, by nosić zbroję. Płynę jako doradca syna.

— Płyniesz na wojnę, matko! — odezwali się jednocześnie Harald i Knut.

— Ale nie będę udawać walkirii! Zresztą… nie jestem dziewicą. — Uśmiechnęła się do synów i wróciła na miejsce. Siadając, szepnęła do Wilkomira: — Żadna kolczuga nie uchroni mnie przed raną w serce. Na pewne gesty już za późno.

— Wierzysz w Boga Wszechmocnego, pani, czy w Norny przędące nici żywota? — syknął jej na ucho Wilkomir. — Bo jeśli w Boga, to przyjmij do wiadomości, że to On kieruje naszym życiem. A jeśli w Prządki, to sama wiesz, jak potrafią splątać losy.

Przechyliła kielich, by poczuć smak mocnego miodu. Dlaczego nie zapytała Bolesława wprost? Spędziła na jego dworze tyle czasu. Tyle

wieczorów w poznańskiej świetlicy, tyle długich rozmów odbyli, a ona nigdy nie zapytała go, jaki był jego udział w klęsce w Øresundzie. Nie w samej bitwie, ale w tym biegu zdarzeń, który sprawił, że do niej doszło.

Jej rysica zawarczała przez sen. Świętosława się otrząsnęła.

To nie mój brat zamieszał w kotle Øresundu — przywołała się do porządku. — Nawet jeśli nie jest w tej sprawie czysty, nie ja go będę sądzić i nie ja rozgrzeszać z win.

— Radujmy się! — Klasnęła w dłonie. — Uczta trwa!

— Otwórzcie drugą skrzynię — rozkazał Wilkomir i zwrócił się do niej: — Jak wiesz, pani, znakiem angielskiej dynastii jest smok z Wessexu. Księżna Emnilda martwiła się przez długie wieczory tym, że jej umiłowana bratowa rusza na wojnę do kraju, gdzie rządzą smoki. I wtedy przybył do Poznania książę Bezprym, a gdy usłyszał o przygotowaniach do wyprawy, powiedział: „Żal mi tych smoków. Jeszcze nie wiedzą, że Harda po nie leci”. I tak powstał proporzec dla ciebie, pani.

Słudzy na jego znak wyjęli ze skrzyni barwną materię. Wyszyty misternym ściegiem orzeł rozpierał powietrze srebrnymi skrzydłami, w pazurach trzymając smoka.

— Orzeł i smok! — krzyknęli wodzowie.

— Orzeł i smoook, którego dumny żywot końca dobiega, bo… — zawołał podpity Skuli, próbując wdrapać się na ławę.

Kalmir chwycił go potężną dłonią za kark i ściągnął z powrotem. Wcisnął mu do ręki róg.

— Pij, poeto, pij.

— To nie orzeł! — wrzasnął pulchny Uddorm z Viborga. — To orlica! Istne podobieństwo do naszej pani! Te ostre pazurki! — Mlasnął. — Skrzydła orle jak płaszcz królowej… no, widzę to! A dziób jak…

— Zamknij dziób! — ryknął na niego Ragn z Wysp. — Bo cię rysica królowej odprowadzi do łoża.

— Mamo — córki przysunęły się do niej — jak dobrze, że wróciłaś do domu.

KNUT płynął do Anglii na czele floty większej niż legendarna armia Dwóch Królów i Gniew Svena. Jego przyrodni brat, Olof Król Szwedów, na wezwanie matki przysłał mu dwadzieścia długich bojowych łodzi z załogami i oddał pod jego rozkazy. Drapieżna Ławica Thorkela miała siłę pięćdziesięciu łodzi zaprawionych w bojach o Anglię. Wierny norweski wasal jego ojca, jarl Erik z Lade, przybył na wezwanie z czterdziestoma załogami. A brat jego matki, potężny książę Burizleif, dał mu tylko dwie łodzie, ale na nich skarb: trzystu słynnych ciężkozbrojnych wojów pod wodzą pana Wilkomira, ojca Wilczana. I wreszcie Dania wystawiła siedemdziesiąt łodzi, które miały pomóc mu zdobyć jego królestwo.

U progu jesieni przypłynęli do Sandwich, tak jak zrobili to przed dwoma laty z ojcem. Do Sandwich, z którego potem, po jego śmierci, musiał uciekać. I gdzie zostawił znak tego, że potrafi być okrutnym wodzem. Okaleczonych jeńców. Wolałby, żeby to się nie stało, ale tak, powodowany wściekłością na zdradę angielskich możnych, ukarał wtedy ich synów. Kazał obciąć im dłonie, nosy i uszy. Nie odwrócił głowy, gdy wykonywano egzekucję na zakładnikach.

— Knut Okrutny! — zawrzało w porcie, gdy jego statek wpłynął tam jako pierwszy. — Knut Okrutny powrócił!

Skrzywił się i poczuł, że matka dotyka jego ramienia.

— Lepiej, byś miał niezasłużoną sławę okrutnika niż zasłużoną głupca — powiedziała.

— Niestety, matko, oni mają rację. Postąpiłem z tymi ludźmi bestialsko.

— Teraz jest wojna, Knucie, a to oznacza, że będzie płynęła krew.

Poprzednio jego ojciec ruszył z Sandwich na północ, do Northumbrii, gdzie miał sojuszników. Teraz Knut, idąc za radą swych wodzów, postanowił zrobić inaczej, rozproszyć siły i zaatakować z kilku stron jednocześnie. „Wprowadzimy zamęt, gdy nie będą wiedzieli, gdzie jest główna armia. Niech myślą, że wróg jest wszędzie” — podpowiedzieli wodzowie. „Sprawdź, ile jest wart jomswiking” — zasugerowała matka. Wypuścił zatem Thorkela na siły obrońców zbierających się wokół Sandwich. Jarla Erika pchnął, by popłynął podbijać Kent, a sam zostawił łodzie i na czele swych wojsk podążył do serca Anglii, Wessexu. Mieli niewiele koni; z Danii przypłynęła ledwie setka wierzchowców, resztę należało jak najprędzej zdobyć. Szli szybkim marszem na zachód, pochód spowalniał tylko zaprzężony w woły wóz, na którym jechała Elfgifu z małym Svenem i jego piastunkami.

— Twoja pani dobrze znosi trudy podróży — powiedział któregoś dnia Hrani, chcąc go pewnie pocieszyć, gdy przedłużało się oczekiwanie, aż wóz będzie gotów do drogi.

— Powinieneś odesłać ją i dziecko do krewnych — oświadczyła matka, podjeżdżając do nich obu. — Chyba nie chcesz, by okazało się, że jomswiking i jarl Erik będą skuteczniejsi w boju tylko dlatego, że nie muszą niańczyć.

Przerwał Świętosławie ostro:

— Wierzysz we mnie, matko?

— W ciebie wierzę — powiedziała, patrząc na niego tymi niepokojącymi, różnobarwnymi oczami.

— Dobrze — westchnął i skapitulował. — Hrani? Weźmiesz oddział i pojedziesz z moją żoną i synem do Northampton.

— Jak każesz, królu — odrzekł sternik. — Ale ja tego nie powiem pani Elfgifu. Za nic w świecie nie chcę się wystawić na jej złość.

Sam pomówił z żoną. Przyjął jej wściekłość, poczekał, aż zamieni się w pretensje, potem żal, a na końcu smutek. Ten ostatni bolał go bardziej niż obelgi, których mu nie poskąpiła.

— Twoja matka, tak? — szlochała. — To ona kazała ci mnie odesłać?

— Nie, Elfgifu. To troska o ciebie i Svena nakazuje schować was w bezpiecznym gniazdku. — Ucałował mokre policzki żony i odgarnął ciemne włosy z jej czoła. — Zobaczymy się wkrótce.

Ruszyli dużo szybciej. Szli przez ziemie pokryte na zmianę zieleniącymi się pastwiskami i nierównymi spłachetkami pól. Chłopi, widząc zbliżających się zbrojnych, uciekali w las. Każda większa wieś otoczona była palisadą strzeżoną przez kilkunastu wyrostków, którzy na widok ich wojsk dęli w rogi lub walili w dzwony, zwołując z pól i łąk ludność. Mijali też spalone wsie, straszące sterczącymi w niebo zwęglonymi słupami chałup. Wokół nich zwykle leżały nierówne kopczyki porosłych chudą trawą mogił. Czasem sterczał z nich naprędce sklecony krzyż, a zawsze nad dawnymi pogorzeliskami krążyły stada wron.

Jego matka za każdym razem żegnała się na ten widok.

Gdzie obrońcy? — myślał. — Gdzie ci, którzy powinni tych ludzi strzec?

„Kryją się w twierdzach i zamkach — meldowali zwiadowcy jadący przodem. — W pośpiechu zbierają siły”.

Jarl Erik w Kencie rozbijał oddział za oddziałem. Thorkel Wysoki rozgromił wojska wokół Sandwich i dołączył do Knuta, gdy ten wkraczał do Wessexu. W samą porę, bo naprzeciw nim wystąpiły dwie różne armie. Jedna pod sztandarami ze złotym krzyżem, druga pod pysznym, zbrojnym w pazury smokiem.

— To smok dynastii Wessexu i wojska następcy Ethelreda, jego najstarszego syna, Edmunda — powiedział Thorkel, gdy połączyli swe siły. — A ci pod znakiem krzyża należą do ealdormana Mercii, Eadrica Streony.

— Pamiętam, jak ostrzegałeś przed nim mego ojca. — Knut zmarszczył jasne brwi.

— Bo to człowiek, który ma największy wpływ na króla Ethelreda — potwierdził Thorkel. — Jest mistrzem intrygi i choć nie pochodzi z wpływowego rodu, wspiął się na szczyty dzięki talentowi do knucia, skłócania i podporządkowywania sobie ludzi. Szacuję, że połowa królestwa powiązana jest dzisiaj w ten czy inny sposób ze Streoną. I co najważniejsze, Edmund, królewski syn, go nienawidzi. Z tego powodu, choć w interesie królestwa byłoby połączenie sił Edmunda i Streony, ci dwaj nie potrafią ze sobą współpracować i dlatego mamy naprzeciw siebie dwa, a nie jedno wojsko.

— To znaczy, że Streona czuje się równy królowi — powiedziała jego matka.

— Tak, pani — potwierdził Thorkel. — I ma ku temu powody, skoro stary król słucha go chętniej niż własnego syna.

— A ten Edmund? — zapytała Świętosława. — Jakim jest człowiekiem?

— Jeszcze nie tak zepsutym jak jego ojciec. — Thorkel się zaśmiał. — Wiele kłopotów króla wzięło się z jego wcześniejszego zamiłowania do uczt, wina i kobiet. Królowa Emma jest jego trzecią żoną.

— I nie jest matką Edmunda, jak rozumiem? — W głosie Świętosławy usłyszał coś, co go zastanowiło.

— Tak, pani — odpowiedział Thorkel. — Uważam, że wojska Edmunda będą jedynymi, z którymi przyjdzie nam walczyć, bo dla niego to walka o następstwo tronu.

— O wszystko — powiedział Knut. — Czy uważasz, że powinniśmy wysłać do Streony zaproszenie do rozmów?

— Walczmy z Edmundem, młody królu, a lis Streona sam do nas przyjdzie.

Thorkel miał rację. Dzień w dzień toczyli walki z wojskami Edmunda. Ciężkie potyczki, w których żadna ze stron nie zyskiwała przewagi. Edmund miał silną konnicę; Knut niezwyciężoną, ciężką piechotę. Ścierali się i odskakiwali od siebie. Próbowali zasadzek, wypadów nocnych na przemian z natarciami o świcie. Nieprzyjaciel był czujny, nie pozwalał się zaskoczyć. Na polu bitwy wojska Wessexu uginały się przed duńskim murem tarcz i rozpierzchały, ale następnego dnia wracały uparcie. Choć nie uszło uwagi Knuta, że po trzecim dniu starć wracają mniej liczne.

Streona nie wsparł Edmunda. Zwinął obóz, wycofał się, zapadł w głębokie lasy i po tygodniu do Knuta przybyli jego posłańcy z prośbą o spotkanie. Tego samego dnia wojska następcy tronu pod sztandarem smoka z Wessexu zniknęły.

Spotkali się na rozległym wrzosowisku przed obozem wojsk duńskich. Eadric Streona zbliżał się ku nim w otoczeniu swego orszaku.

— Na Boga, toż to stajenny przebrany w jedwabie — szepnęła Świętosława, gdy sam Streona jechał im naprzeciw.

— Przestrzegam przed zdolnościami tego stajennego. — Thorkel parsknął.

Rzeczywiście, ealdorman Mercii nie miał w sobie nic z przyrodzonej godności angielskich panów. Był otyłym człowiekiem o oczach chowających się w fałdach powiek.

Ale to on trzyma w ręku możnych — myślał Knut, patrząc na zbliżającego się Streonę. — A ja muszę ich od niego przejąć. Poczuł suchość w ustach i nagle zapragnął nie rozmów, lecz walki. Odwrócił się za siebie. Zobaczył proporce swych wojsk. Zwinne węże, rącze konie, skaczące ryby, wilki z Jom i orły brata matki, Burizleifa. Przybyłem na

czele największej armii najeźdźców, jaką znał ten kraj — przypomniał sobie. — Jestem ich wodzem i nie mogę się bać.

— Każ mówić mu po duńsku — szepnął Thorkel. — On zna nasz język.

Streona już do nich podjeżdżał i przyglądał mu się co najmniej łapczywie. Przywitał go po angielsku. Knut nie odpowiedział nawet skinieniem głowy. Milczał, wciąż zbierając siły. To nieco stropiło Eadrica i zagadnął po duńsku:

— Witam syna króla Svena.

— Powitaj i wdowę po nim! — rzucił Thorkel. — Przed tobą królowa Sigrida Storråda!

Streona uśmiechnął się lepko do jego matki, mówiąc:

— Słyszałem opowieści o bogini wikingów, Frei, której zaprzęg ciągną białe koty, ale oto widzę piękną królową i rysia! Czy młody pan zawsze podróżuje z matką?

— Nie jesteśmy w podróży — lekko odpowiedziała Świętosława. — Wróciliśmy po angielski tron.

— I macie mocnego sprzymierzeńca, jak widzę. Thorkel Wysoki, który kiedyś stał przy królu Ethelredzie, postanowił zmienić strony, no, no! — Streona się zaśmiał i poruszył w siodle. — Będziemy rozmawiać, nie zsiadając z koni?

— To ty prosiłeś o rozmowę — odezwał się po raz pierwszy Knut. — Daję ci chwilę, byś przekonał mnie, że warto z tobą mówić. Jeśli nie, to wydam rozkaz swym wojskom.

— O cudna młodości! Nic tylko rwie się do walki. A przecież tyle spraw można uzgodnić bez wyjmowania miecza.

— Co proponujesz? — spytał krótko Knut.

— Sojusz. — Streona rozciągnął blade wargi w uśmiechu. — Słodki sojusz.

— Dlaczego miałoby nas interesować wiązanie się z tobą, panie? — zaczepnie spytała jego matka. — Wojsko mego syna poradzi sobie z rozłożeniem Anglii na łopatki i bez ciebie.

— Nie wątpię, nie wątpię — odrzekł szybko. — Ale po cóż drogą Anglię niszczyć, jeśli chce się nią później władać? Skoro, jak powiedziałaś, pani, wróciliście po tron, dlaczegóż chcecie go najpierw podpalać?

Nic nie proponuje, nic nie daje — pomyślał Knut. — Może tylko gra na czas? Może wystawia nas na strzały swych sprzymierzeńców?

Z niepokojem zerknął na matkę, która odmówiła włożenia kolczugi.

Jak zadać pytanie, co dla nas ma? Po co prosił o spotkanie?

Streona musiał poczuć się pewniej, bo puściwszy wodze, poklepał się po wydatnym brzuchu.

— Nie wiem, czy mych drogich gości doszły słuchy, że moją żoną jest Edith, córka króla Ethelreda — powiedział i przesunął dłonią po łysinie.

— Nie jesteśmy tu gośćmi — twardo żachnął się Knut.

— Wróciliśmy po zdobyte przez Svena królestwo — dodała jego matka i natychmiast zmieniła ton. — To żona przysłała cię, byś zdradził swego króla, a jej ojca?

Streona nawet się nie zarumienił. Strzepnął palcami, jakby chciał strącić z nich włos.

— Moja żona zna słabości króla — powiedział krótko.

A ty chciałbyś go zastąpić, co? — przemknęło przez głowę Knuta.

— Ludzie zdradzają z różnych powodów — odezwała się Świętosława, mówiąc to samo, co parę miesięcy wcześniej do Thorkela.

— Ja nie zdradzam. — Streona uniósł podbródek. — Ja wracam na stronę…

— Zmieniasz strony — twardo przeciął Knut.

— Tak samo jak on — bez cienia uśmiechu odpowiedział Streona i wskazał pulchnym palcem na Thorkela. — Jomswiking, który bronił, zdradzał, ogałacał skarb Anglii. Najeżdżał Londyn, bronił Londynu, ha, ha, ha! Skoro on stoi przy was, dlaczego wzdrygacie się przyjąć mą pomoc? Ach tak, rozumiem, lepszy duński zdrajca niż angielski. Och, jakże mi przykro, ale rozważcie, przyjaciele, że to ja trzymam w ręku klucze do krain, zamków i miast. Kogo posłuchają możni? Thorkela czy Eadrica? Wreszcie, zapewne nie uszło waszej uwagi, że wojska Edmunda zniknęły o świcie. Czyż trudno domyślić się, iż to ja, Eadric Streona, przekonałem możnych Wessexu, by odstąpili od walki, bo będę negocjował?

Prowadził swój monolog, a Knut dostrzegł, jak jego matka poluźnia smycz swej rysicy, pozwalając Duszy, by ruszyła w kierunku Streony. Och, matko! To wystarczało w Polanii, w Danii, ale tu, na angielskiej ziemi, to za mało, by zdobyć tron.

Rysica obwąchiwała strzemiona Streony, warcząc, gdy jego matka uśmiechnęła się promiennie i powiedziała:

— Eadricu, jak dobrze, że przybyłeś ofiarować nam swe służby w ten piękny, słoneczny dzień!

Wieczorem, kiedy Streona wreszcie odjechał, a Knut z matką i wodzami siedzieli w namiocie, odezwał się Jorun:

— Wolałbym trzydniową bitwę morską w ulewnym deszczu niż kolejne spotkanie ze Streoną. Muszę to z siebie spłukać miodem! Dobrze, że Sven tego nie dożył. Sojusz z tym człowiekiem jest obrzydliwy.

— Ale dzięki temu sojuszowi nie zabraknie ci miodu przez całą zimę. — Thorkel się zaśmiał i też popił.

— Przecież ci mówię, jomswikingu, że wolałbym zdobyć ten miód, niż go wynegocjować! — warknął Jorun.

— Zwłaszcza że nie mamy pewności, czy Streona nas nie zdradzi — powiedział zmęczony Knut.

— Jorunie — odezwała się jego matka. — Przygotuj się na długie picie, bo Stajenny będzie przy boku mego syna, gdy ruszymy na północ. Takiego kogoś jak on nie można spuszczać z oka.

— Nie! — szybko zaprzeczył Knut. — Nie chcę go widzieć przy sobie.

— Synu, posłuchaj — powiedziała matka. — Dzisiaj Streona obiecał twej armii poparcie ludności Wessexu. Dał zakładników i zagwarantował żywność dla całego wojska na zimę. To oznacza, że jeśli dotrzyma słowa, nie będziesz musiał rabować i palić tych biednych wsi.

Na samo wspomnienie chudych, brudnych dzieciaków w popłochu zaganiających owce za palisady wiosek zrobiło mu się niedobrze.

— Skoro ustaliliście z Thorkelem, że teraz czas na zdobycie północy kraju, Streona musi być przy twoim boku, bo inaczej, gdy tylko ruszysz do Northumbrii, zdradzi — dokończyła Świętosława.

— Królowa ma rację, Knucie — powiedział Thorkel.

Nie mówi o mnie „król”. Mówi „młody król” albo „Knut” — pomyślał.

— On mi się kojarzy z tłustym, wielkim pająkiem — jęknął Knut.

— Trafnie — powiedziała matka. — Jest pająkiem, który oplątał siecią całą Anglię. Trzymaj go przy sobie. Poznaj siłę jego układów z możnymi, poznaj jego sieć.

— Sieć Streony. — Jorunowi się odbiło.

Świętosława wstała i pocałowała go w czoło, jak chłopca. Patrzyli na niego wodzowie, ale przez chwilę chciał być „synem królowej”, doświadczyć tej kojącej czułości, jaką dało jej dotknięcie.

— Gdy przejmiesz sieć, pozbędziesz się pająka — powiedziała i czar prysł.

Jarl Erik z Lade po wykonaniu zadania w Kencie dołączył do Knuta i wspólnie ruszyli do Northumbrii szybkim, forsownym marszem. Jesień minęła, ani się spostrzegli, angielska zima była zaś łagodna i nie utrudniała działań wojennych. Nieliczne oddziały, jakie spotykali po drodze, rozbijali bez trudu. Od pojmanych jeńców dowiedział się, że w Yorku schronił się earl Uhtred. Ten, który przed trzema laty, jeszcze jako ealdorman, bez walki poddał Svenowi Gainsborough, wyprawił na ich cześć wielką ucztę, a potem zdradził Knuta, atakując po śmierci ojca jego obóz.

Earl czuł się pewnie, bo wyjechał naprzeciw nim ze strażą przyboczną i nielicznym orszakiem, zatrzymując się pod murami Yorku. Na znak przyjaźni brama miasta została otwarta.

— Królu Knucie! — zawołał. — Chcę poddać ci miasto, na znak że Northumbria ulegnie twej woli.

Eadric Streona jadący obok jego matki już zamierzał się odezwać, ale Świętosława powstrzymała go stanowczym gestem.

— Uhtredzie! — odkrzyknął Knut, wpatrując się w łuczników na murach miasta. — Northumbria już mi uległa! Chyba że w Yorku chowasz wojska potężniejsze niż to, które stoi za mymi plecami. — To mówiąc, wskazał na norweski oddział jarla Erika z Lade, który był przy nim. Na twardych, okrytych kolczugami Norwegów, którzy na znak swego wodza uderzyli mieczami w tarcze. I na wojów Burizleifa pod sztandarem z orłem. Kolejne oddziały dołączały do nich i musiały być widoczne dla obrońców miasta.

Nie, Uhtred nie może kryć w nim więcej niż pięciuset zbrojnych — myślał gorączkowo Knut. — Widzi, że mam podwójną przewagę sił. Na co liczy?

W tej samej chwili zrozumiał, że wraz z wodzami i matką znajdują się w zasięgu strzał obrońców. Zobaczył, że Streona dyskretnie wycofuje się za plecy wodzów. Poczuł się jak smarkacz wciągnięty w pułapkę.

Uhtred już podjeżdżał do niego, otoczony dwunastką straży.

Nie boi się mnie — pomyślał. — Zdradził, gdy byłem w Gainsborough, na wieść o śmierci mego ojca i dzisiaj się mnie nie boi.

Odwrócił się szybko i szepnął do jomswikinga, wzrokiem pokazując łuczników na murach:

— Thorkelu, jesteś naszą tarczą.

Dał znak Erikowi. Wojowie jarla z Lade natychmiast otoczyli oddział Uhtreda. Earl to dostrzegł.

— Nie zabija się posłańców przynoszących dobre nowiny, młody królu. — Zaśmiał się bez śladu zdenerwowania. — Przecież nie zrobisz mi krzywdy, gdy przybywam do ciebie z wiadomością, że się poddaję. Spójrz, bramy miasta są otwarte. Dam ci też zakładników i przysięgnę wierność.

Streona, który jeszcze przed chwilą był schowany za plecami innych, nagle podjechał do niego.

— Nie znoszę ludzi, którzy łamią słowo — odpowiedział Knut, przenosząc wzrok ze Streony na Uhtreda. — Myślałem, że zrozumiesz przesłanie.

— Jakie przesłanie? — Uhtred wreszcie się zaniepokoił.

— Odpływając z Sandwich, zostawiłem wam okaleczonych zakładników, earlu. Na znak tego, że surowo karzę niewierność.

— Ależ panie…

— Pojmać ich! — rozkazał Erikowi.

— Nie jestem panem, Uhtredzie — twardo odpowiedział Knut. — Jestem królem. Trzy lata temu wy, Anglicy, przekazaliście królewską

władzę memu ojcu, Svenowi. A on przed śmiercią wyznaczył mnie na swego następcę, co potwierdziła armia. Mówisz do króla Knuta!

— Tak… tak… — jęknął Uhtred trzymany przez ludzi jarla Erika.

— Stracić go za zdradę, której dopuścił się wobec mnie jako króla — rozkazał Knut.

— Nie możesz stracić earla Northumbrii! — zawył Uhtred, próbując się wyrwać.

— Giniecie z nim czy chcecie przystać do króla? — zawołał Knut do otoczonej przez ludzi Erika straży przybocznej Uhtreda.

Ci, widząc, że są bez szans, jeden po drugim oddawali broń. Uhtreda zrzucono z konia. W tej samej chwili jarl Erik odwrócił się gwałtownie i krzyknął, pokazując na mury:

— Łucznik!

Thorkel Wysoki zasłonił Knuta tarczą; ten w ostatniej chwili zobaczył, jak Wielki Ulf rzuca się, by ochronić Świętosławę przed lecącą wprost ku niej strzałą. W mgnieniu oka matka znalazła się w objęciach swego strażnika. Knut odsunął tarczę Thorkela i krzyknął do leżącego na ziemi Uhtreda i patrzących na jego poniżenie obrońców:

— Nie jesteś już earlem Northumbrii. Jako prawowity król pozbawiam cię władzy. Dla zdrajców jest tylko jedna kara. Śmierć.

Przyboczni Erika przytoczyli pieniek. Przez otwarte bramy z miasta zaczęła wylegać ludność.

Gapie, jak kruki, są pierwsze tam, gdzie ma pojawić się ścierwo — pomyślał ponuro.

Obrońcy Yorku przecisnęli się przez gęstniejącą ciżbę i stanęli przed Knutem. Streona, uspokojony przebiegiem spraw, już znowu był przy nim.

— Na twe rozkazy, królu — zameldował niewysoki, chudy jak szczapa dowódca. — Wczoraj przegłosowano, że miasto ma się poddać, więc je

poddaję. — Mówiąc to, zerkał na klęczącego przy pniaku Uhtreda.

— Przyprowadź łucznika, który strzelił do mej matki — zażądał Knut.

— Nie wiem, który to, panie — odrzekł dowódca niepewnie.

— Jak cię zwą?

— Guthlac.

— Duńczyk?

— Mój dziad urodził się w Jutlandii.

— Zatem przyprowadź mi łucznika, Guthlacu, bo jeśli nie, będę musiał ukarać ciebie, jako dowódcę garnizonu Yorku.

Tłum gapiów zaszemrał. Ludzie Erika odepchnęli ciżbę. Guthlac odwrócił się i krzyknął:

— Dawać go!

Dwaj zbrojni przyprowadzili wyrostka o pryszczatej, chmurnej twarzy. Nie miał więcej niż szesnaście lat. W tej samej chwili matka z Wielkim Ulfem podjechała do niego. Jej klacz parsknęła.

Niech tylko nie prosi mnie teraz o litość dla tego szczeniaka. — Knut zacisnął szczęki i nie patrząc na nią, spytał głośno:

— Dlaczego chciałeś zabić królową Sigridę?

Chłopak spuścił głowę i nie odpowiedział. Erikowi ludzie z trudem odpychali tarczami cisnącą się ku nim ciżbę. Knut zeskoczył z konia. Chwycił wyrostka za podbródek i uniósł jego głowę.

— Mów! — syknął. — Kto ci kazał celować w królową?

— Earl — odszczeknął chłopak. — Powiedział, że ta wiedźma jest groźniejsza niż ty.

Oczy młodziana były gniewne. Wiedział, że zginie, i to mu dodawało odwagi. Knut nie miał wyboru.

— Wielki Ulfie — powiedział, odwracając się ku matce i jej strażnikowi. — Skończ z nim.

Twarz Świętosławy była blada, ale nie poprosiła o łaskę dla chłopaka. Ulf zsiadł z konia, wyjął długi nóż z pochwy na plecach i bez żadnych ceregieli wbił w pierś wyrostka. Jego pryszczata, niełądna twarz wykrzywiła się i zastygł z otwartymi ustami.

Ulf przebił mu serce — pomyślał Knut.

— Stracić Uhtreda — rozkazał.

Postawny topornik uniósł ostrze. Przez tłum przeszedł szmer i Knut, wsiadając z powrotem na konia, zobaczył, jak ludzie pchają się i cisną, by widzieć egzekucję. Gdy głowa zdrajcy toczyła się po ziemi, patrzył na zwaliste plecy Streony. Na jego spoconą łysinę.

Knut Okrutny — pomyślał o sobie ponuro i krzyknął:

— Nowym earlem zostaje człowiek, którego darzę największym zaufaniem. Erik z Lade!

ŚWIĘTOSŁAWA wbiła wzrok w twarz jarla Erika, by nie patrzeć na zwłoki młodzieńca tężejące nieopodal. Jarl z Lade usłyszał, co przed chwilą powiedział Knut, lecz zdawał się tego nie rozumieć. Zmarszczył wąskie, ciemne brwi, zdjął hełm i odgarnął włosy z czoła. Przeniosła spojrzenie na Streonę. Tłuścioch nie krył zaskoczenia. Przełykał ślinę nerwowo, jakby miał się udusić. Thorkel Wysoki zachował kamienną twarz.

Poprzedniego wieczoru, po naradzie, zostali sami w namiocie wodzów. Ona i syn. Wysłuchali zwiadowców i mieli już pewność, że Uhtred jest w Yorku. Nie zastanawiając się długo, podsunęła ten pomysł Knutowi.

— Jeśli zdobędziesz Northumbrię, musisz zostawić w niej namiestnika, który cię nie zdradzi. Tylko jarla Erika możesz być pewien, więc postaw na niego. Zabijając Uhtreda, pokażesz oblicze Knuta Okrutnego. Streona zobaczy, że jesteś bezwzględny dla zdrajców. Thorkel, któremu obiecałeś władzę, zrozumie, że jeszcze na nią nie zasłużył. Poza tym, bądźmy szczerzy. Bez Thorkela nie zdobędziesz Londynu, jomswiking musi być

przy tobie. A mianując nowego earla, zachowasz się jak król. To będzie Knut Prawy.

— A kiedy będzie Knut Prawdziwy? — żachnął się.

Popatrzyła wtedy smutno dwojgiem różnych oczu.

— Teraz jest. — Chwyciła go za ramię i przycisnęła do siebie. — Teraz, gdy sprawia mu ból myślenie o okrucieństwie, które musi zadać, idąc po władzę. Jesteś dobrym człowiekiem, synu. Ale dobrzy ludzie tracą, a nie zdobywają korony.

— Matko — szepnął do niej i w jego oczach zobaczyła łzy. — Czy korona warta jest takich poświęceń? Krwi, zdrad, kłamstw…

Mój mały, słodki syn — pomyślała, patrząc na niego. — Może zamiast wysyłać po nowe królestwo, powinnam była skierować cię do klasztoru? — Otrząsnęła się.

— Przeznaczeniem królewskich synów jest władza — powiedziała, głaszcząc go po ramieniu. — Gdy zdobędziesz koronę, zrozumiesz to. I wtedy będzie cię stać na dobro.

Tamtego wieczoru nie wiedziała, że nazajutrz jarl Erik wybawi ją pod murami Yorku od zdradzieckiej strzały. Postawiła na niego, bo choć każdego dnia od piętnastu lat pamiętała, iż to okręty Erika z Lade zadały największy cios Olavowi w cieśninie Øresund, to wiedziała również, iż tylko on w tej bitwie walczył w czystej sprawie. On stawał do boju z Olavem o norweski tron, który wcześniej dzierżył jego ojciec, jarl Hakon. Pozostali grali nieczysto. Sven walczył, by pokonać znienawidzonego „drugiego wodza” i ukochanego swej żony. Olof, by przypodobać się Svenowi i dogryźć matce. Sigvald, by odbić na Tryggvasonie własne niepowodzenia i starą klęskę z zatoki Hjørung. I dlatego, choć nie zapomniała Erikowi, nie umiała czuć do niego żalu. Jako wódz i wojownik

był równie skuteczny co Thorkel Wysoki, tyle że, w odróżnieniu od jomswikinga, Erik był przewidywalny. Wierny i prawy.

Spod Yorku ruszyli szybko na południe, do obozu przy ujściu rzeki Frome, gdzie stacjonowała ich flota, by przymierzyć się do walki o Londyn z Edmundem. Knut nie spuszczał gniewnego wzroku ze Streony.

— Nie możesz traktować go jak psa, nawet jeśli dla ciebie jest kundlem — powiedziała, zrównując się z nim konno.

— Ledwie go toleruję — warknął.

— I on to czuje. Szkoliłeś kiedyś psa? — zapytała syna.

— Nie.

— To proste. Gdy zrobi to, czego sobie życzysz, nagradzaj. Gdy zrobi źle, ukarz. Ludzie tacy jak Streona są przeczuleni na własnym punkcie. Musisz okazać mu szacunek, inaczej zwątpi, czy dobrze uczynił, stając przy twoim boku. — Poklepała swą klacz po szyi i zapytała: — Co, zaczynasz żałować, że zabrałeś mnie ze sobą?

— Nie — zaśmiał się. — Ale zaczynam rozumieć, dlaczego ojciec nie potrafił utrzymać cię przy swym boku.

Chciała coś powiedzieć, ale tylko wzięła wdech i zamilkła. Knut zaś odezwał się po chwili surowym głosem:

— Matko, dziękuję ci za każdą radę, której mi udzielasz, ale pozwól, że i ja dam ci swoją.

— Radę czy rozkaz? — zapytała, słysząc barwę jego głosu.

— Nie wypada, by syn rozkazywał matce, ale wiedz, że nie chcę cię więcej widzieć przy sobie…

Zamarła, słysząc te słowa.

— …bez kolczugi — dokończył i odetchnęła z ulgą.

Połączyli się z siłami, które pilnowały łodzi, i zatrzymali w Southampton, zajmując duży, kamienny dwór.

— Matko, chcę, aby Elfgifu i mały Sven dołączyli do nas. Moja żona i syn nie powinni dłużej przebywać w obozie, jeśli ja jestem tutaj.

— Chcesz znać moje zdanie, synu? — zapytała, głaszcząc Duszę po wielkim łbie. Rysica zamruczała przymilnie i położyła po sobie spiczaste, zdobne pędzlami włosów uszy.

— Przecież wiesz.

Spojrzała na niego uważnie, bez cienia czułości.

— Nie spodoba ci się to, co powiem, ale nie powinieneś był ich zabierać ze sobą. Wygodniej byłoby, gdyby zostali w Roskilde pod opieką twego brata i przypłynęli, gdy już będzie po wszystkim.

Knut przygryzł wargi, wzdychając ciężko.

— Wiem, masz rację. Ale Elfgifu nalegała. Nie polubiła Danii, chciała jak najszybciej wrócić do swoich.

— To źle, synu. Kobieta, która chce być królową, musi uznać, że kraj męża jest jej domem.

— Moim będzie Anglia, chyba nie zwątpiłaś w to, matko?

— Nie. — Uśmiechnęła się i pocałowała go, a potem odeszła z Duszą na smyczy.

KNUT przyznawał Świętosławie rację, ale i tak postawił na swoim. Wiosną, gdy tylko drogi zrobiły się przejezdne, ściągnął Elfgifu i Svena do Southampton. Powitanie z żoną było namiętne i krótkie. Najpierw pół wieczoru zajęła mu narada z wodzami, a potem, gdy wreszcie uwolnił się od nich, poczuł się piekielnie zmęczony. Elfgifu podała mu małego Svena do pocałowania i odesłała dziecko z piastunką.

— Jak idą nasze sprawy? — zapytała, rozplatając włosy.

— Nasze? — Zdumiał się przez chwilę. — Ciężko. Możni angielscy to dla mnie jakby… Nie znałem takich ludzi jak Streona. — Usiadł na brzegu łoża, czując, że barki i ramiona ma spięte do granicy bólu.

Elfgifu przysiadła obok i położyła rękę na jego kolanie.

— Tęskniłam za tobą — szepnęła.

— I ja za tobą — odpowiedział, poruszając zesztywniałymi barkami.

— Zrób to dla mnie — znów szepnęła i pocałowała go w kark.

— Co? — Chciał wyciągnąć po nią ręce, ale uchyliła się zręcznie.

— Pokonaj ich — poprosiła. — Pokonaj i zdobądź tron — zażądała. — Dla mnie i dla naszego syna. Król Anglii Sven I Knutsson.

— Svenem Pierwszym był mój ojciec — przypomniał jej.

— Powinniśmy wziąć prawdziwy ślub — powiedziała.

— Daliśmy sobie słowo wobec świadków, czegóż chcesz więcej? — zdziwił się.

— Jesteśmy w Anglii, Knucie. Powinniśmy pójść do kościoła i ślubować przed arcybiskupem.

— Chyba przed Bogiem. — Zdziwił się i westchnął. — Będzie na to czas. Na razie biskupi są w pierwszym szeregu mych wrogów. Jestem zmęczony. Streona i jego knucia…

Elfgifu zwinnie uklęknęła za nim. Zaczęła masować mu ramiona. Zamknął oczy i wypuścił powietrze.

— Najważniejsze — szepnęła mu wprost do ucha — byśmy się nie rozstawali.

— Jest wojna — odpowiedział cicho.

— Twoja matka wszędzie ci towarzyszy.

Elfgifu przylgnęła do jego pleców i poczuł miękkość jej piersi. Wodziła dłońmi po jego brzuchu, całowała szyję i kark. W jednej chwili opadło z niego zmęczenie, a z niej suknia. Złączyli się w uścisku jak dwa stęsknione siebie zwierzęta. Wyznawał miłość jej gładkim udom, sutkom, które ssał ich syn, pępkowi, który kusił go wypukłością. Elfgifu zarzucała ramiona na jego plecy i oddawała mu się — była jak obietnica królestwa, które chciał

zdobyć. Zasnęli w swych objęciach, sam nie wiedział kiedy, a obudził go Jorun tłukący się do drzwi.

— Posłaniec, królu!

— Coś pilnego? — jęknął, rozcierając powieki.

Zamiast odpowiedzi usłyszał tubalny śmiech Joruna za drzwiami i podniesione głosy na podwórcu. Pocałował rozespaną twarz Elfgifu i naciągnął na siebie ubranie. Po chwili był już w izbie, gdzie czekała jego matka, Eadric Streona,Thorkel i reszta wodzów. Nieprzytomnie odgarnął włosy z czoła i popatrzył po zgromadzonych.

Świętosława dała znak posłańcowi, by mówił, a ten wystąpił naprzód i oznajmił:

— Król Ethelred skonał!

W pierwszej chwili Knut pomyślał, że to sen. Oprzytomniał w drugiej i dotarło do niego, że matka i zebrani znają nowinę już od dłuższej chwili. Jako pierwszy wystąpił ku niemu Streona. Na jego czole perlił się pot.

— Królu Knucie! Musimy jak najszybciej zdobyć Londyn.

Król nie żyje — powtórzył w myślach Knut. — Nie żyje. Lepszego biegu zdarzeń nie mogłem sobie wymarzyć.

— W Londynie zamknął się Edmund ze swoim wojskiem pod smoczym sztandarem. Po śmierci ojca będzie walczył o miasto jak lew — rzucił Thorkel.

Edmund, najstarszy syn Ethelreda. Odważny i bitny. Dla niego śmierć ojca oznacza angielską koronę. Knut spojrzał na matkę; jej oczy mówiły, że powinien się odezwać, a nie dać mówić innym.

— Skoro będzie walczył jak lew, my osaczymy go jak wilki — oświadczył pewnie.

— Wiem, jak to zrobić — bez cienia uśmiechu odpowiedział jomswiking. — Ale musimy ruszyć stąd bez zwłoki i z jak najmniejszym

taborem.

Elfgifu się zezłości. Ona i mały Sven — pomyślał — piastunki, służki. Nie mogę dopuścić, by wodzowie patrzyli krzywo na moją żonę, oskarżając ją po cichu o spowalnianie marszu.

— Królowo — zwrócił się do matki. — Tym razem poproszę, byś została w Southampton i wsparła Elfgifu. — Zawahał się i dodał: — Dołączysz do nas, gdy będzie po wszystkim.

Zrozumiała. Zmierzyli się wzrokiem i tym razem on ją ucałował w czoło. Mam nadzieję, że mi wybaczysz — pomyślał, wychodząc z izby.

W południe pierwsze łodzie ruszyły. Wiedział, że muszą być szybcy, bo zaskoczenie jest ich najlepszym sprzymierzeńcem. Pomysł Thorkela był szalony, ale mógł się udać.

— Kluczem do zdobycia Londynu jest ufortyfikowany most na Tamizie, to o niego rozbijały się wszystkie armie. W czasie walk po śmierci Svena most został zrujnowany, niemal zburzony, ale go odbudowano. Garnizon strzegący mostu jest najsilniejszym punktem obrony. Ale jeśli przekopiemy kanał z zachodu, okrążymy miasto i zaatakujemy z dwóch stron.

— Czy ktoś już tego próbował? — zapytał Thorkela.

— Nie. — Jomswiking potarł łysą czaszkę.

Thorkel znał Tamizę, jakby się na niej wychował. Jego „Nidhog” płynął jako pierwszy, za nim dopiero sunął smukły kadłub „Syna Królowej” i kolejne łodzie. Wpłynęli w szerokie ujście rzeki wraz z przypływem, więc wystarczyły lekkie pchnięcia wioseł, by statki gładko sunęły w górę rzeki. Hrani, jego druh i najlepszy żeglarz, wybawiony z misji towarzyszenia Elfgifu, wprawnie trzymał ster. Knut patrzył na bagniste brzegi. Na chmary wodnych gęsi unoszących się z ostrzegawczym gęganiem znad rzadkich trzcin. Na smukłe i dostojne łabędzie. Ich długie, wygięte szyje przynosiły wspomnienie pocałunków składanych na szyi Elfgifu. Po prawej stronie

dostrzegł wzgórze, na szczycie którego wypiętrzały się ruiny spalonej warowni. Dał znać Hraniemu, by przyzwał Thorkela. „Nidhog” zwolnił. Jomswiking stanął na rufie, a Knut na dziobnicy „Syna Królowej”.

— Co to za twierdza?

— Zwą ją Beamfleot — odkrzyknął Thorkel.

— Kto ją spalił?

— Ja!

— Dla mego ojca czy przeciw niemu?

— Po jego śmierci. — Thorkel przysłonił dłonią oczy i patrzył na ruiny.

— Pytam, dla kogo wtedy walczyłeś. — Knut nie ustąpił.

— Dla Ethelreda — bez cienia wstydu odkrzyknął jomswiking. — Spójrz, panie! Zatoka poniżej twierdzy to miejsce, w którym może zacumować spore wojsko. Da się tu upchnąć więcej niż setkę okrętów.

— Dlaczego Edmund nie zaczaił się tutaj na nas?

Thorkel rozłożył ramiona.

— Zapytam go o to, gdy się spotkamy. A dzisiaj mogę jedynie powiedzieć, że pewnie nowy król nie ma aż tylu łodzi, by zatrzymać nas przy ruinach Beamfleot.

Knut kiwnął głową i pozwolił jomswikingowi odejść. Zgliszcza starej warowni wyglądały na opuszczone.

Jorun stanął przy jego ramieniu.

— Czy mój ojciec, płynąc do Londynu, patrzył na tę twierdzę? — spytał.

— Każdy na nią patrzył, królu. Gapiłem się na jej ostrokół, gdy wracałem do Roskilde z kośćmi Svena, i wiesz co? Odlałem się do Tamizy właśnie tu, wpatrując się w tę zatokę. Jomswiking ma rację. To najlepsze miejsce, by bronić miasta, ale trzeba mieć nielichą flotę. Królewski syn jej nie ma.

— Gdy zdobędę Londyn, wybuduję tu nowy fort, który będzie dla mnie strzegł miasta — powiedział Knut.

Jorun strzyknął śliną i zaśmiał się chrapliwie.

— Podobasz mi się, królu! Jeszcze nie zdobyłeś, a już wiesz, co trzeba zrobić, gdy usadzisz swój tyłek na tronie. Twój stary nie lubił Londynu.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś — zdziwił się Knut.

— A co to ma za znaczenie? — Jorun wzruszył ramionami. — Lubił, nie lubił. Zdobył go i basta. W Anglii jest dużo piękniejszych miast, ale kto nie ma Londynu, nie ma tego zielonego królestwa.

Rozstali się z Thorkelem przed Londynem. Jomswiking poprowadził swoich ludzi do kopania przesmyku, a Jorun został wodzem armii atakującej miasto. Zatrzymał ich słynny most i leżąca na przeciwnym brzegu rzeki twierdza Southwark.

— To coś nowego — warknął wściekle Jorun. — Nie było jej, kiedyśmy ze Svenem zdobywali miasto.

Walczyli na Tamizie przez tydzień i nic. Miasto nie chciało i nie musiało się poddawać. Flota Knuta nie była w stanie wykorzystać swej siły ani nawet się rozwinąć, bo most zagradzał drogę, a jego obrońcy skutecznie sobie z nimi radzili, lejąc z góry na pokłady łodzi rozgrzany olej i strzelając zapalonymi strzałami w żagle. Nie chcąc trzymać bez celu dziesiątek łodzi na Tamizie, kazał na brzegu pobudować obozy, do których odsyłano rannych, a ci, co nie walczyli, czekali na swą zmianę.

— Szpiedzy donoszą, że za zaciekłą obroną Londynu stoi biskup Elfwig — przyniósł wiadomość Hrani.

— Elfwig — powtórzył Jorun, mrużąc oczy. — Przypominam sobie, że ten klecha opuścił Londyn, gdy król Sven objął rządy. Nie ślubował twemu ojcu.

— I najwyraźniej nie zamierza ulec jego synowi — potwierdził Hrani.

Klął i żałował, że zgodził się na pomysł jomswikinga. Plan Thorkela zaangażował wielkie siły w kopanie kanału, ale nie przyniósł żadnych korzyści.

— A jeśli zrobił to celowo i teraz zamierza zdradzić?

— Uspokój się, królu. — Jorun splunął do wody. — Możemy wziąć Londyn głodem. Nasze łodzie blokują dostęp zaopatrzenia do miasta, a nam niczego nie brakuje.

Po raz kolejny uświadomił sobie, że jest tylko dwudziestolatkiem, nieopierzonym pisklakiem, który rzucił się z dziobem na zbyt wielką zdobycz. I zrobił to, co poradził mu Jorun. Uspokoił się.

Nie na długo.

O ile myśl o wzięciu miasta głodem była niezła, o tyle atak wroga na ich tyły zaskoczył wszystkich.

— Anglicy uderzyli nad ranem na najdalej wysunięte obozy na brzegu Tamizy — zameldował goniec, wskakując na pokład „Syna Królowej”. — Nasi walczą, a nieprzyjaciel próbuje zepchnąć ich do rzeki.

— Udało im się podpalić kilka łodzi. Najbardziej ucierpiały statki Szwedów! — przyniósł po chwili wieści drugi.

— Wojsko, które naciera, jest zdeterminowane i karne! — doniósł trzeci zwiadowca i równo z nim przybył Eadric Streona. Po pomoście przeszedł na pokład Knuta, uważając, by się nie poślizgnąć.

— To Edmund. Widziano go na czele — oznajmił złą wiadomość i widać było, że się boi.

— Jakim cudem wydostał się z miasta?! — krzyknął Knut i powtórzyli to za nim jego wodzowie, zwracając gniew w kierunku Streony.

Tłusty Pająk, Kundel, Stajenny — za plecami przezywano go dziesiątką obraźliwych przydomków. Nie ufał mu nikt. W tej jednej chwili Knut był wściekły na matkę, że kazała mu tego obrzydliwego człowieka znosić.

Trzeba było ukręcić mu łeb na wrzosowisku, gdy przybył zaoferować swą służbę.

— Nie mam z tym nic wspólnego — bronił się Streona i wyciągnął ostateczny argument tchórza. — Na starciu z Edmundem więcej mam do stracenia niż wy.

— Edmund mógł opuścić miasto, zanim przybyliśmy — trzeźwo zauważył Thorkel. — Wiedział, że Londyn i bez niego będzie się opierał wystarczająco długo, by zdążył zebrać siły z Wessexu. Przejdźmy się, młody królu, by ochłodzić myśli.

— Z Wessexu?! — wrzasnął Knut. — Przecież on wynegocjował dla nas sojusz z Wessexem! Obiecał, że tamtejsi możni nie staną przeciw nam!

Jomswiking odciągnął go na rufę, wystarczająco daleko od Streony.

— To, że grubas nas do tej pory nie zdradził, nie znaczy, iż nie spróbuje. On czeka, na czyją szalę przechyli się zwycięstwo, a mówiłem ci już, że jeśli ktoś naprawdę będzie walczył o Anglię, to Edmund. Widzę inne zagrożenie. Jego wojska chcą odciągnąć nas od miasta. Kiedy zupełnie stracimy z oczu Londyn, będzie nam ciężko tu wrócić.

— Doradzasz zostawienie części sił? To nas osłabi. — Knut znów zaczynał być nieufny.

— Radzę pozostawienie tu kilkunastu załóg, które nie spuszczą miasta z oka, a mieszkańcom dadzą poczucie, że nie mogą czuć się bezpieczni. I zostawienie niepotrzebnych łodzi w zatoce u stóp opuszczonej twierdzy w Beamfleot.

— Zgoda. Ruszamy stawić czoło Edmundowi.

Była pełnia lata, gdy starli się pod Brentford. Syn Ethelreda udowodnił siłę swej konnicy, która rozpruła szeregi jego piechoty. Knut z rozpaczą widział przy bokach Edmunda panów Wessexu. Tych, co za pośrednictwem Streony obiecali mu służyć. Walczył, by wyładować swą wściekłość na możnych,

którzy nieustannie zmieniają strony. Zostawił na polu bitwy tylu ludzi, że w noc po niej płakał jak dziecko, ukryty przed wodzami w namiocie. Myślał o ojcach, którzy w Roskilde z taką ochotą dawali mu na tę wyprawę swych synów. I o rudowłosym Haraldzie, swym bracie, spokojnie i bezpiecznie władającym Danią. I słyszał matkę mówiącą: „Teraz jest wojna, Knucie, a to oznacza, że będzie płynęła krew”. Rankiem obmył twarz lodowatą wodą, wyszedł do wodzów i wydał rozkaz:

— Ruszamy palić i grabić. Siać postrach i niszczyć. I przede wszystkim kraść konie.

Pokiwali głowami, przyjmując polecenie, a gdy rozchodzili się do swoich oddziałów, z głębi obozu nadbiegł Hrani. Wodzowie się zatrzymali.

— Królu! — wołał sternik. — Królu! Eadric Streona zniknął. Jego namiot stoi pusty.

Jorun splunął, Thorkel zmrużył oczy i przekrzywił głowę. Na twarzach druhów jego ojca, Uddorma i Ragna, odbiło się coś, co przetłumaczyłby tak: „Twój ojciec miał mniejszego pecha, chłopcze”. Knut to przełknął. Zrozumiał, że obmierzły zdrajca właśnie wytypował zwycięzcę. I w tej jednej chwili obudził się w nim Knut Okrutny.

— Nie daruję — powiedział i ruszył do namiotu się zbroić.

Po kilku dniach wyśledzili Edmunda i Eadrica Streonę wraz z kilkuset ciężkozbrojnymi w Essexie.

— Ile już mamy koni? — zapytał Knut Thorkela.

— Tabun. — Jomswiking się uśmiechnął. — Jedną setkę, która przypłynęła z Danii, drugą, którą przysłał z Northumbrii jarl Erik, i prawie dwieście zdobycznych. Część z nich to wiejskie szkapy nawykłe do roli, a nie do szarży, ale wystawimy dwa szeregi konnych.

— Pamiętam, jak ty opanowałeś Anglię, Thorkelu. Byłeś nieustępliwy. W noc po bitwie pod Brentford podjąłem decyzję. Nie cofnę się i zmuszę ten

kraj, by klęknął.

Thorkel Wysoki patrzył na niego nie jak na chłopca, ale jak na towarzysza broni. Powiedział:

— Ake. Gruby Bue. Kalle. Vagn. Gunnar Smukły. Karl Wesoły. Hakon Chuda Gęba. Minęły lata, a ja nie zapomniałem imion i twarzy druhów, którzy polegli. A najbardziej spośród nich pamiętam tych, którzy byli przy mnie podczas pierwszych bitew. Wiem, że walczyłeś przy boku Svena. I teraz, odkąd wylądowaliśmy w Sandwich, też ciągle dobywasz miecza. Jesteś dobrym wojownikiem, królu Knucie.

— Już nie „młody królu”?

— Nie. Zestarzałeś się tamtej jednej nocy.

Wojska angielskie pod chorągwiami ze smokiem Wessexu i wodzą królewskiego syna, Edmunda, stanęły naprzeciw wojsk Knuta nieopodal Ashingdon. W jesiennym słońcu i wściekłym fiolecie wrzosowisk. Gdy chwilę wcześniej wyjeżdżali z lasu, kierując się ku polu bitwy, na jego skraju dojrzał kilka zbierających zioła mniszek. Przeżegnał się, a one, choć przerażone widokiem jego wojska, odpowiedziały mu znakiem krzyża. Wziął je za dobry znak. Przed oczami stanęła mu Świętosława, która w przebraniu mniszki zbliżyła się do nich pod Roskilde. Pamiętał tamten dzień. Była jesień, jak teraz. Pierwszy raz zobaczył wtedy zakonnicę i wydała mu się czymś równie pięknym, co dziwnym. Czy żałował, że przez tyle lat nie wiedział, iż patrzył na matkę? Teraz już nie, bo była przy Synu Królowej.

Edmund wydał mu się niedużym mężczyzną, gdy wyjechał przed szereg swych wojsk i krzyknął:

— Za Anglię!

Knut wyjął z pochwy miecz, uniósł nad głowę, odwrócił się konno do swych ludzi i zawołał:

— Za nowe królestwo!

A potem, nie oglądając się za siebie, ruszył. Z tyłu doszedł go tętent koni. Dwie setki, połowę swych cennych wierzchowców, dał słynnym ciężkozbrojnym wuja Burizleifa. „To wojowie nawykli do walki w siodle — powiedział mu brat matki, gdy spotkali się w Poznaniu. — Niestraszny im saski pancerz, ciężka konnica, walka włócznią i mieczem. Połowa z nich ma ruskie buławki. Wiesz, kawał żelaza na drzewcu, wyjmują je zza pasa, gdy stracą oręż w walce wręcz. Konie się gryzą, a moi chłopcy buławą mogą rozbić czaszkę. Pamiętaj, potrafią konno iść w szyku takim jak wasz mur tarcz i niczym taran spychać wroga, gdzie zechcesz. Tylko musisz im pokazać, czego chcesz”.

Nie wytrzymał i zerknął. Jechali za jego plecami równym szeregiem, bok w bok. Pióra w ich szyszakach nie uginały się na wietrze. Darły niebo jak ostrza noży. Potężny Kalmir trzymał drzewce proporca z orłem Piastów. Usłyszał rozkaz Wilkomira:

— Tarcze!

I już przerzucili je z pleców na lewe ramię, równo jak jeden mąż. Wilkomir nie pochylał się w siodle. Rozpędzał konia w galop wyprostowany i czujny jak sokół śledzący zdobycz.

— Oszczepy! — krzyknął i Knut zobaczył lśnienie grotów.

Do linii jadących na nich wojsk Edmunda mieli jeszcze ze sto kroków. Wtedy Wilkomir krzyknął:

— Ostry!

I przed szereg wyjechał wojownik z białymi piórami na hełmie. Wyprzedził Knuta, krzycząc:

— Wybacz, królu!

Pochylił się w siodle, jego wierzchowiec przeszedł w cwał, wyciągając szyję. Ostry się przechylił, wziął zamach, wymierzył i rzucił oszczepem.

Drzewce przeszyło powietrze z takim pędem, jakby to była strzała wypuszczona z łuku.

Co on robi? — pomyślał Knut, nie zwalniając końskiego biegu.

I zrozumiał w jednej chwili. Grot oszczepu wyrzuconego przez Ostrego przebił w samym środku chorągiew ze smokiem niesioną przez chorążego Edmunda. Usłyszeli ryk nieprzyjaciół, wściekłych, że przed starciem zabito ich symbol.

— Smok nie żyje! — wrzasnął Ostry i zaraz po tym świsnął na kościanym gwizdku zawieszonym na piersi.

Na jego wysoki, upiorny dźwięk konie nieprzyjaciół stanęły dęba.

W tej samej chwili wojowie Burizleifa krzyknęli:

— Z Bogiem w bój!

I rzucili oszczepami w nadciągający szereg. Co drugi koń padł, pociągając za sobą jeźdźca. Ale konnica Edmunda była trzykroć liczniejsza, następcy w mgnieniu oka przeskoczyli nad padającymi na ziemię.

I zderzyli się. Knut szukał wzrokiem Edmunda, ale naprzeciw niego wyrósł potężny wojownik w lśniącej kolczudze i zamachnął się na niego mieczem. Wyuczonym gestem zasłonił się tarczą. Usłyszał zgrzyt stali o żelazne umbo. Odparował cios. Kwik koni, szczęk żelaza, wściekłe okrzyki nacierających na siebie. Knut ciął zrazu na oślep. Po prostu uderzał na tych, którzy stawali naprzeciw. Widział rozdęte końskie chrapy, wyszczerzone wściekle zęby kwiczących wierzchowców. Nie zastanawiał się, działał odruchowo. Osłaniał się tarczą i ciął. Wtedy za plecami usłyszał ryk swoich bestii.

Piechota ruszyła — przemknęło mu przez myśl.

Armia zaprawionych w boju wikingów, tych, którzy wolą walkę na morzu niż na lądzie, zachowała się tak, jak jej rozkazał. Wściekle. Ale ich siłą było to, że nie walczyli na oślep. Przeciwnie. Byli równie

zdyscyplinowani jak na łodzi. Powiedział im przed bitwą: „Dzisiaj wygramy królestwo. Wyobraźcie sobie, że wojsko Edmunda to statek wroga. A my zarzucimy na jego burty haki i dokonamy przejęcia tej łodzi”.

Miał mniej konnicy, wiedział o tym, ale wystarczyło na odparcie pierwszego ataku. Potem jego piechurzy cięli toporami konie wrogów, by dostać jeźdźców. To było jak zarzucanie haków. Mieli przewagę liczebną, więc wdarli się między szeregi Anglików, jakby wskakiwali na drugi pokład. Nie brali jeńców i sami nie prosili o litość. Wciąż szukał wzrokiem Edmunda, ale nie mógł go znaleźć. Dostał cios w obojczyk, którego nie zdążył odparować, lecz zdołał osłabić jego siłę, odbijając tarczą. Koń był rozpędzony, Knut wyładował wściekłość na kolejnym jeźdźcu. I następnym. Potem dostał zdradziecki sztych w dół tarczy. Omal nie stracił zębów pod jej uderzeniem. Poczuł krew w ustach. Jechał dalej, bo jego koń, owładnięty tym samym szałem co jeździec, nie mógł się zatrzymać. Widział Ostrego, albo tylko pęk białych piór na szczycie jego hełmu, jak rozcina mieczem dorodnego wojownika od obojczyka w dół. Dostrzegł wykrzywioną twarz któregoś z ludzi Burizleifa, nie mógł przypomnieć sobie imienia tego człowieka, a potem zobaczył, że z jego brzucha wypływa siny kłąb jelit. Wierzchowiec gnał. Zakuty w stal, drobny mężczyzna naprzeciw niego wydał z siebie krzyk, a potem skierował ostrze włóczni wprost w oko Knuta. Tarcza odbiła cios, ale pod jego siłą wykrzywił się w siodle.

Jezu! — pomyślał. — Jezu, co za rzeź!

Nagle się ocknął i zorientował, że pogalopował między angielskie szeregi i nie widzi swoich. Próbował wstrzymać koński pęd. Wierzchowiec, owładnięty takim samym szałem jak jeździec, z trudem reagował na ściągnięcie wodzy. I wtedy usłyszał świdrujący uszy wrzask. Poznałby ten głos w głębi piekieł, bo należał do obrzydliwego pająka, Eadrica Streony:

— Król Edmund nie żyje! Edmund nie żyje! Poddajmy się!

Słyszał go, ale nie widział. Wrogowie zamarli, zawrócili i cofnęli się szybko, zostawiając pole pełne poległych.

— Łucznicy! — krzyknął, odwracając się. — Gońcie ich strzałami!

Zawrócił szybko, pochylając się nad końskim grzbietem, by sam nie stał się celem.

Mignęła mu twarz Ulfcetela, ealdormana Essexu, który ongiś stał przy jego ojcu. Leżał na ziemi z otwartymi oczami i gardłem, z którego wciąż płynęła krew.

Jeszcze żyje — przeszło mu przez myśl — choć już przekroczył bramy śmierci.

Strzały przecinały powietrze ponad jego głową. Osłonił się tarczą. Dogonił wycofujących się ludzi Wilkomira. Gdy dojechał do swych szeregów, szukał wzrokiem towarzyszy. Thorkela szybko odnalazł po wzroście. Hrani, najlepszy sternik, już przygalopował do jego boku. Jorun ocierał z twarzy krew i jechał ku niemu wolno. Stary Ragn z Wysp jak dobrze wyprawiony rzemień i ciemnowłosy Gjotgar ze Skanii też byli wśród żywych. Wilkomir dał mu znać, że żyje, unosząc w górę prawicę. Kalmir wzniósł proporzec z orłem, zwołując swych towarzyszy:

— Pod skrzydła!

— Ilu straciliśmy? — zawołał do wodzów.

— Jeszcze nie wiem, królu — odpowiedział Thorkel. Z jego czoła płynęła krew.

— Krwawisz! — powiedzieli do siebie jednocześnie i dopiero teraz Knut poczuł ból pod obojczykiem. Ściągnął hełm, przetarł spoconą twarz.

— Ależ zadziałał mój fortel! — Za plecami usłyszał głos nadjeżdżającego Streony. — Ludzie Edmunda uwierzyli, że zginął! —

Pająk, Stajenny, Kundel śmiał się radośnie, jakby to był najprzedniejszy żart.

Knut ściągał wodze swego konia, chcąc odwrócić się do niego. W tej samej chwili Thorkel szepnął:

— Jeszcze nie masz w ręku sieci. Hamuj, królu.

Knut usłyszał. Nie zawrócił odwracającego się konia i nie stanął twarzą w twarz ze Streoną.

— Edmund żyje? — spytał, wciągając powietrze.

— Żyje! — Stajenny się roześmiał. — Wie, że przegrał, nie ma szans i chce pertraktować z tobą.

— Doskonały fortel, Eadricu Streono — wycedził Knut. — Jestem szczęśliwy, że mnie nie zdradziłeś, a tylko taktycznie przeszedłeś na stronę Edmunda. Prawdziwy z ciebie przyjaciel, earlu Mercii.

— Do usług, królu. — Streona się uśmiechnął.

Jego kolczuga nie miała na sobie ani kropli krwi. Tylko czoło było zroszone potem.

ŚWIĘTOSŁAWA z ulgą opuściła kamienny dwór w Southampton. Przy małym Svenie odkryła, że nie ma cierpliwości do dzieci. Nie rozczulały jej ani umazana jagodami buzia, ani „słodziutkie potknięcia”, jak mówiła Elfgifu, a do pasji doprowadzało, że ciągnął Duszę za krótki, sterczący ogon. Jej rysica była bardziej wyrozumiała i reagowała warknięciem, dopiero gdy Sven zanadto jej dokuczył. Gdy słyszała, jak Elfgifu zachęca małego: „pobaw się z kotkiem babci”, sama miała ochotę kąsać i gryźć. Potrzebowała wielu dni, by do niej dotarło, że to nie mały Sven ją irytuje, ale jego matka. I miejsce, jakie przy niej wyznaczył jej Knut. Elfgifu była ostatnią osobą, którą trzeba by się było opiekować. Ta dziewczyna doskonale wiedziała, czego chce. Wymagająca wobec służby, władcza i nade wszystko skupiona na dziecku. „Mój synek będzie królem Anglii —

ćwierkała. — Tatuś niedługo wróci i przywiezie ci koronę”. Słysząc takie bzdury, Świętosława brała Duszę na smycz i wychodziła na spacer po otaczających dwór wrzosowiskach. Dołączał do niej zwykle Wilczan i Wielki Ulf.

— Ulfie — pytała, gdy oddalali się od domostwa — czy ja jestem już stara?

— Nie, pani — odpowiadał zwykle. — Zawsze będziesz młodsza ode mnie!

— Ale ponoć kobiety na starość robią się złośliwe — drążyła z niepokojem.

— Nie wszystkie — odpowiedział pewnego razu Wilczan i już niemal się wyciszyła, gdy dodał: — Bo niektóre są złośliwe od dziecka i te na starość pokornieją.

— Skąd wiesz? — zapytała rozzłoszczona.

— Ojciec mi mówił.

Wzruszyła wtedy ramionami i pomyślała, że jeśli ten drań Wilkomir się nie myli, to znak, że ona jeszcze się nie zestarzała. Do pokory wciąż jej było daleko.

Każdego dnia w Southampton oczekiwała wieści od Knuta i każdą, która przychodziła, analizowała po wielekroć. Gdy syn przez gońca poprosił ją, by dołączyła do niego i wodzów, była gotowa do drogi w ciągu jednej chwili.

— A my? — podejrzliwie spytała posłańca Elfgifu. — Dlaczego król wzywa tylko swą matkę?

— Bo jest królową — krótko odpowiedział Wielki Ulf i na jego pokrytej bliznami twarzy też odmalowała się ulga, że opuści Southampton.

Teraz jechała do obozu wojsk duńskich nad rzeką Severn z Wielkim Ulfem i Wilczanem przy boku, w otoczeniu swoich toporników. Wiedziała o

zwycięstwie syna na wrzosowisku pod Ashingdon. Posłaniec przekazał jej, że „zginął na tych polach kwiat angielskiego rycerstwa”, a Edmund postanowił przystąpić do rozmów. Nie miał wyjścia. Jej syn był nie do pokonania w boju, a mimo to wciąż nie miał w ręku Anglii. Ta rozgrywka okazywała się trudniejsza, niż którekolwiek z nich sądziło, ale nie było odwrotu. Nie chciała wpisać się w złowieszczą klątwę Gaudentego, w jego przekleństwo o odsuniętych od władzy pierwszych synach, i pchnęła Knuta do walki. „Pierworodny powinien objąć tron Danii, a drugi syn zdobyć sobie królestwo. Królestwo, które zwie się Anglią” — tak, właśnie to krzyknęła w Viborgu, a potem Knut poprosił ją o pomoc. Nie może walczyć dla niego, ale musi być mu podporą.

— Knucie! — powitała syna, wjeżdżając w obręb obozowiska nad rzeką Severn.

— Matko! — krzyknął, podjeżdżając do niej. — Jak miewa się mój syn?

— Mały Sven umie już wymówić twe imię — odpowiedziała. — A Elfgifu znów jest w ciąży. Jesteś dobrym strzelcem, Knucie, skoro potrafiłeś wstrzelić się w tę jedną noc, którą spędziliście wspólnie. — Ściągnęła końskie wodze.

Zarumienił się.

Mój chłopiec — pomyślała szybko. — Oszczędzę ci opowieści o fochach Elfgifu.

— Jesteś dobrze ubrana, matko — pochwalił ją syn.

— Stosuję się do rad króla — odpowiedziała zdawkowo.

Kolczuga, którą przesłał jej brat, dzieło Ivara Złotozębego, leżała na niej jak ulał. Ylva natrudziła się wprawdzie ze sznurowaniem na plecach, ale teraz Świętosława czuła się bezpiecznie. Pod spód założyła prostą, wełnianą suknię. Stalowe kółka dzwoniły przy każdym ruchu metalicznym chrzęstem, ale osłaniały ją przed zdradziecką strzałą. Na ramiona zarzuciła

płaszcz spięty broszą, a miękkie wilcze futro przerzuciła przez plecy. Przyjęła też od Wilczana wysokie skórzane buty z wszytymi w cholewę żelaznymi płytkami. I pokornie doceniła wysiłek wojów, którzy na co dzień nosili na sobie to żelastwo.

— Kiedy rozmowy z Edmundem? — spytała. — I po czyjej stronie dzisiaj jest Stajenny?

— Za dwa dni — odpowiedział Knut. — Streona występuje jako nasz stronnik.

Spojrzała w niebo i uśmiechnęła się.

— Będzie nów. To dobry znak, synku. Umiesz być cierpliwy?

— Czy zawziętość może zastąpić cierpliwość? — odpowiedział.

— Może! — krzyknęła, spuszczając ze smyczy rysicę.

„Ja pierwszy upolowałem zająca!” — zawołał Harald w jej pamięci. „Ale ja złapałem większego!” — odkrzyknął Knut. Wrzosowisko było jak teraz, wściekle fioletowe. Ona już nie musiała udawać mniszki.

— Harda! — radośnie krzyknął Jorun, biegnąc ku niej, i natychmiast poprawił się, rumieniąc. — Harda Pani, królowa wróciła!

— Sven padłby trupem, gdyby cię zobaczył, a jego kości zadygotałyby w piekielnym tańcu! — wrzasnął na jej widok Ragn z Wysp. — Dupa blada, nasza pani w zbroi. Ja nie mogę, ale królowa ma cycki… biust… Jezu, wybacz, to z przodu… — Stary wódz zarumienił się jak sztubak, ale nie oderwał od niej wzroku.

— Będzie uczta? — Z namiotu wyłonił się Uddorm z Viborga. — Szczucie rysiem i złośliwości?

— Jak ty żeś tyle dzieci spłodził, Uddormie, skoro dziewczynki od chłopca nie odróżniasz — skarciła go Świętosława, czuła na punkcie płci swej drapieżnicy.

— Chętnie pokażę królowej, jak płodzę! — rozpromienił się.

— Dawaj! — krzyknęła na zachętę. — Cały obóz jest ciekaw!

Uddorm chrząknął i się wycofał, a on przywitała pozostałych wodzów.

— Jak walczyli ludzie Edmunda? — spytała Wilkomira, gdy pomagał jej zsiąść z konia.

— Dzielnie — odpowiedział zdawkowo. — Lepiej niż wojska cesarza Henryka.

— A mój syn?

— Już nie jest chłopcem — odrzekł Wilkomir. — Uczy się być wodzem.

— Ale?…

— Co: ale? — skrzywił się.

— Ty mi powiedz, przecież widzę, że masz coś na końcu języka.

— Thorkel Wysoki — szepnął Wilkomir. — To on jest prawdziwym dowódcą tej armii.

— Góruje nad Knutem doświadczeniem — powiedziała, zamyślając się. — Wojowie kochają takich jak on. Czy daje odczuć memu synowi, że jest od niego lepszy?

Wilkomir pokręcił głową.

— Podburza wojsko przeciw Knutowi? Kwestionuje jego rozkazy?

Zaprzeczył.

— Dziękuję, Wilkomirze — powiedziała i poszła do przygotowanego dla siebie namiotu.

Obozy Knuta i Edmunda rozciągały się jak okiem sięgnąć po przeciwległych brzegach rzeki, ale wyraźnie było widać, iż obóz Duńczyków jest większy. Żadnego chaosu; wodzowie jej syna zadbali, by wyglądał jak obóz królewski. Proporce z pyskami dzików, skaczącymi jeleniami, wężami wijącymi się wokół własnych ogonów, polańskimi orłami i wilkami z Jom były wystrzępione, poblakłe od wiatru, wody i soli.

Nad namiotami wojsk Edmunda łopotały na wietrze proporce z dumnym smokiem dynastii z Wessexu. W większości nowe i czyste.

— Wilczanie! — zawołała. — Rozwiń chorągiew, którą dostałam od księżnej Emnildy.

— Robi się, królowo! — krzyknął i w jednej chwili na niebie rozpostarł skrzydła orzeł trzymający w szponach smoka.

Spotkali się na wyspie pośrodku rzeki.

Świętosława z Thorkelem i jarlem Erikiem stali za plecami Knuta. Eadric Streona przy nich. Dalej starzy i młodzi wodzowie jej syna. Edmund był niewysokim, barczystym mężczyzną o ciemnych, gładkich włosach i jasnych oczach. Zaskoczył ich, wychodząc na spotkanie z niemowlęciem na ręku.

— Mój syn i imiennik, Edmund — przedstawił dziecko i oddał piastunce. — Drugi już w drodze! Moja żona, Edith, jest zdrowa i płodna — dodał.

Chce wzbudzić nasze współczucie? — pomyślała. — Nie, raczej pragnie pokazać, że ma następców i jeśli polegnie w walce, krew jego dynastii nie zginie. — Przyjrzała się Edmundowi uważnie i stwierdziła: Bliżej mu do wojownika niż gnuśnego króla, za jakiego uchodził jego ojciec.

Przedstawiono towarzyszących mu ludzi:

— Lyfing, arcybiskup Canterbury, następca zamordowanego Aelfheaha.

— Arcybiskupa męczennika — poprawił Edmund, patrząc w oczy Thorkelowi.

Jomswiking nie drgnął, jakby nie miał z tym nic wspólnego, a przecież mord na arcybiskupie zakładniku odbył się w jego obozie i zapoczątkował galopadę zdrad i przekleństw.

Czy mówiąc „męczennik”, Edmund wyciąga rękę do Thorkela? Daje mu znak, że przestępstwo zakończone uświęceniem ofiary jest szansą na rozgrzeszenie jomswikinga?

— Leofwine, ealdorman Mercii!

— Był wśród witających Svena w Londynie — szepnął jej na jedno ucho Jorun.

— I padł ofiarą intryg Stajennego, z których Edmund pomógł mu się wydostać — powiedział do drugiego ucha Thorkel.

— Jego syn, Northman!

Młody, pewny siebie człowiek wyszedł przed ojca i po prezentacji zapomniał wrócić na swoje miejsce. Nie uszło jej uwagi, że raz po raz zerka na Streonę.

Albo nie ufa mu jak my, albo jest częścią jego pajęczyny — pomyślała.

— Oraz drugi z synów, Leofric.

Ten skłonił się zza pleców brata i pozostał na miejscu.

— I szlachetny Godwine, syn wielkiego rodu z Sussexu.

— Najbogatszego — poprawił szeptem Thorkel.

Młody, przystojny, krótko ostrzyżony mężczyzna skinął im głową z powagą.

Podczas prezentacji służba obu stron szybko ustawiła namiot i ławy. Wcześniej, gdy przed spotkaniem Edmund zaproponował, że jego ludzie przygotują na wyspie miejsce godne dwóch władców, Knut nie zgodził się na to. Nie pozwolił, by Edmund wystąpił w roli gospodarza.

— Oto spotykają się naprzeciw siebie dwaj królowie — zaczął Eadric Streona, z trudem powstrzymując zacieranie rąk. — Król Edmund, po śmierci króla Ethelreda prawowity następca tronu. I król Knut, następca króla Svena, którego w czasie ucieczki Ethelreda z Anglii możni i hierarchowie zaprosili na tron. Obecny tu arcybiskup Lyfing był przy tym…

Bo ty, Pająku, byłeś wtedy przy starym królu. Liczyłeś, że wyjdziesz na tym lepiej, i pomyliłeś się — pomyślała. — Nie ma takiego króla, którego byś nie wyniósł i nie zdradził.

Jorun, opowiadając jej o ostatniej zdradzie Streony, tej na polu bitwy, powiedział wulgarnie i trafnie: nie ma takiej dupy, której by nie polizał, i twarzy, w którą by nie splunął. Ale to właśnie on prowadził teraz jedną z najważniejszych batalii jej syna. Batalii o przejęcie kraju. Możni byli podzieleni jak Anglia. Każdy sojusz, układ, przysięga wierności mogły się w okamgnieniu zmienić. Powołanie się na „prawa krwi" Edmunda przeciw „prawom siły" Knuta było tylko zwykłym przepychaniem argumentów. Dzisiaj, gdyby jej syn użył wszystkich swych wojsk, mógłby zepchnąć Edmunda, ale co dalej? Bez jednoznacznej deklaracji wszystkich stron nie utrzyma władzy, bo w każdej chwili jakiś Streona albo Leofwine, albo każdy inny z ealdormanów, którym nie spodobają się rządy Knuta, wyciągnie „dziedzica krwi" i wojna zacznie się od początku. Dlatego przygotowując się do spotkania z Edmundem, ustalili, że satysfakcjonuje ich podział kraju.

— Skoro zgadzamy się, że prawa króla Edmunda, jako następcy Ethelreda, i króla Knuta, jako dziedzica Svena, się równoważą — podjął ostrożnie arcybiskup Lyfing — jedyną szansą na pokój jest podział królestwa między obu władców.

Patrzyła na Edmunda. Zachował kamienną twarz, więc pewnie sam rozmawiał o tym wcześniej z Lyfingiem. Podział był naturalnym wyjściem. Tak właśnie zrobił król Alfred przed z górą stu laty, gdy inwazje kolejnych duńskich armii rozbijały królestwo. Chcąc ocalić kraj przed całkowitym rozbiorem, wyparciem mieszkańców przez osadników duńskich i nawet zanikiem angielskiej mowy, utworzył Danelagh w północno-wschodniej Anglii, oddając go we władanie najeźdźców po to, by w Wessexie, znacznie większym niż obecnie, zachować angielski matecznik. Z czasem władcy duńscy wymarli i choć osadnicy zostali, jakoś trzymało się to kupy, nie licząc zwykłych swarów między krainami, których możni dążyli do

uniezależnienia się od władcy. Król Alfred uratował królestwo, dzieląc je, a teraz oni chcą, by podzielił je Edmund. Czy zgadzając się na ich ofertę, będzie myślał o sobie jako o sukcesorze Alfreda, którego potomni już nazwali „Wielkim”?

— Zostanę przy północnej i środkowej Anglii, ale nie opuszczę Londynu — powiedział jej syn.

— Nie zdobyłeś go — spokojnie odpowiedział Edmund.

— Ale zdobędę, jeśli chcesz, by spłonął. Ogień wygrywa wiele bitew. Tylko czy bogaci londyńscy kupcy wybaczą ci, jeśli przez twój upór stracą majątki?

— Nie… — szepnął Streona — nie wybaczą…

Oblicze Edmunda drgnęło na dźwięk jego głosu.

Jak to jest — po raz kolejny pomyślała Świętosława z podziwem — że człowiek, którego nienawidzą wszyscy, prowadzi najważniejszą z rozgrywek.

— Wessex stoi za mną — powiedział Edmund i zamilkł na chwilę, a potem wziął wdech i dokończył: — Przyjmuję podział. Jak powiedziałeś, zachowaj władzę w Northumbrii i Mercii, a południe i zachód będą moje. I Londyn.

— Bez Londynu — odpowiedział Knut.

Żaden z nich nie używa tytułu królewskiego wobec drugiego. Obserwowała tę grę z uwagą. Knut nie dawał się ponosić emocjom.

— A może zawalczmy o Londyn? — przekornie zapytał Edmund. — Ale nie ogniem, który zniszczy dorobek życia mieszkańców, lecz mieczem. Starcie dwóch wodzów? Dwóch… królów.

A więc Pająk mówił prawdę! Sugerował, że Edmund zaproponuje pojedynek rozstrzygający wojnę.

— Nie wystawię żadnego ze swych wodzów, by walczył za mnie — spokojnie odpowiedział Knut. — A sam nie splamię się krwią króla, nawet przelaną w pojedynku. Nie po to jestem tu z wojskiem, przed którym uklęknęła Anglia, by dawać się sprowokować do takiej nieostrożnej zabawy.

Gdyby się nie brzydziła, ucałowałaby Streonę w obwisły policzek. Ta wiadomość, że Edmund zaproponuje pojedynek, była kluczowa dla powodzenia rozmów. Przyniósł ją poprzedniego wieczoru, sobie tylko znanym sposobem wydobywając fortel z otoczenia Edmunda. Jej młody, waleczny syn dałby się na to nabrać, a tak mieli dość czasu, by Thorkel, Jorun, Ragn i wszyscy pozostali wodzowie przekonali go, że to nie kwestia honoru, lecz gry.

Northman, syn Leofwine’a, choć jego ojciec wskutek zaproponowanego podziału kraju właśnie stracił swe dawne prawa do Mercii, nie wyglądał na zaskoczonego. Miała już pewność, że musi być człowiekiem Streony. Kto jeszcze?

— Krew króla — powtórzył Edmund i oczy mu zalśniły. — A więc uznajesz moje prawa.

— Rozumiem je. Ty pierwszy użyłeś tytułu wobec mnie. — Knut uśmiechnął się i powtórzył: — Pojedynek dwóch królów.

— Jeśli przystajemy na to, że król Knut obejmuje władzę w Northumbrii i Mercii, a król Edmund w Wessexie i na południu, pozostaje nam kwestia Londynu. — Inicjatywę przejął arcybiskup. — Proponuję podzielić i Londyn. Uczynić miastem otwartym dla obu królów.

— Nie, szlachetny Lyfingu. — Streona wypełnił swoje zadanie. — Nie tylko Londyn nam został, ale i danegeld. Skoro król Edmund chce zachować władzę, mieszkańcy jego części królestwa muszą zapłacić daninę.

Obrady przerwano, ale gdy Edmund wrócił do namiotu, zgodził się na otwarcie Londynu i na to, by część armii Knuta przezimowała w mieście, nad którym miał zachować zwierzchność. I zgodził się na danegeld.

— Pozostaje nam poprzysiąc na krzyż wszystko, cośmy dzisiaj ustalili — ciężko oświadczył arcybiskup Canterbury.

Zimny, wilgotny wiatr od rzeki poruszył barwną materią namiotu. Spojrzała w górę. Szło na deszcz.

Knut i Edmund stanęli naprzeciw siebie, chwycili się za dłonie. Za Edmundem stanął Leofwine z jego synem, niemowlęciem na ręku. Świętosława zajęła miejsce za Knutem.

— Oto dwaj królowie — Edmund, syn Ethelreda, i Knut, syn Svena — jak dwaj przysięgli bracia zawierają pokój wieczysty i dają słowo, że żaden z nich go nie złamie.

— Masz moje słowo — powiedział Knut.

— A ty moje — odrzekł Edmund.

Uścisnęli się sztywno.

Świętosława okiem złotym i okiem zielonym patrzyła na nich obu. I na Thorkela. I na Streonę. I na niemowlę, syna Edmunda.

KNUT powierzył Thorkelowi zadanie ściągnięcia swej żony, Elfgifu, do jej rodzinnego gniazda w Northampton, a sam ruszył z jarlem Erikiem do Yorku, by spotkać się z arcybiskupem Wulfsdanem i umocnić swą władzę w Northumbrii. Jego matka dostała silne oddziały starych wodzów i podjęła się towarzyszenia Eadricowi Streonie, który po zawarciu układów na wyspie koniecznie chciał pojechać do Worchester, jak sam powiedział: w najpilniejszych sprawach dla Mercii.

Po ogłoszeniu pokoju Knut nie obwieścił jeszcze, jakimi ziemiami nagrodzi swych wodzów, ale póki co nie cofnął Streonie praw w Mercii, które ten uzyskał od nieżyjącego Ethelreda. I nie cofnął Erikowi tytułu earla

Northumbrii, choć miał świadomość, iż Thorkel Wysoki czeka na obiecane ziemie. Gdy się rozjeżdżali, zaprosił wszystkich na Boże Narodzenie do Yorku. „To będzie czas podziału nagród” — obwieścił i każde z nich ruszyło w swoją stronę.

— Hrani… — Jadąc, zrównał się z przyjacielem. — Zastanawiam się, czy nie ściągnąć z Danii moich sióstr.

— Też bym tak zrobił, królu! — Jasne oczy sternika zalśniły.

— Pani matka mówi, że potrzebujemy teraz wielu naszych pięknych dziewcząt.

— Królowa jest najmądrzejsza. — Hrani wyszczerzył zęby. — Ja potrzebuję! Ja pierwszy!

— Przestań! — Knut parsknął śmiechem. — Pani matka ma co innego na myśli niż ty. Uważa, że powinniśmy jak najszybciej połączyć siostry i córki naszych wodzów z tutejszymi możnymi.

— O nie! — jęknął Hrani. — Więc one przybędą nie dla nas? Ale ja tęsknię za naszymi dziewczynami! Nie mogę się przekonać do tutejszych…

— Znając moją matkę, będziesz musiał. Znajdzie ci córkę jakiegoś Leofwine’a albo siostrę Godwine’a i co jej zrobisz? Królowa umie rozmawiać z ludźmi, by usłyszeć „tak”.

— Wobec tego mam nadzieję, że Streona nie ma córki. — Hrani się zachmurzył.

— Nie wiem, czy ma, czy nie ma, ale jego żona jest córką króla Ethelreda, więc wżeniłbyś się w królewską rodzinę! — Knut się zaśmiał i dodał, nie wiedząc, czy mówi to do sternika, czy do siebie: — Elfgifu niedługo urodzi drugie dziecko. Nie widziałem jej od wiosny.

— Dlaczego wysłałeś po nią akurat Thorkela? — zapytał Hrani. — Ufasz mu aż tak bardzo?

— Nie. — Knut westchnął. — Ale pani matka podszepnęła mi ten pomysł, mówiąc, że takie zadanie upewni Thorkela w przekonaniu, iż jest dla mnie najbardziej zaufanym człowiekiem. W końcu powierzyłem mu życie żony i syna.

Nie podobał mu się ten pomysł, ale przyznawał matce rację. W końcu po to prosił ją, by popłynęła z nim do Anglii. Dyplomacja. Sztuka takiego mówienia „nie", aby odsunięty usłyszał „tak". Uczył się tej gry, ale wciąż nie był pewien, czy chce w nią grać. O czym myślał, gdy ponad rok temu na pokładzie „Syna Królowej" wypływał z Roskilde? Tamten Knut był chłopcem marzącym, że przypłynie, zawalczy i zdobędzie królestwo. Dostał gorzką lekcję zdrad, sojuszy, układów. Gdzieś między nieudanym oblężeniem Londynu, krwawymi polami bitwy pod Brentford a sojuszem z Edmundem nad rzeką Severn zdał sobie sprawę, że od drogi, którą obrał, nie ma odwrotu. Że nie może tak po prostu powiedzieć: „Pomyliłem się, wracam do domu". Domu? Jakiego domu? W Roskilde włada jego brat, rudy Harald. Koronowany król Danii.

Ja, zwycięzca spod Ashingdon, wódz największej armii, jaka kiedykolwiek nawiedziła Anglię, miałbym wrócić z podkulonym ogonem do Roskilde i prosić Haralda o władzę nad Fionią czy Skanią? — Poczuł zimny pot na karku, gdy o tym pomyślał. — Te ziemie są już zajęte. Gjotgar, namiestnik Skanii, walczy przy mym boku. Fionią włada z ramienia Haralda jarl Hakon. Miałbym wydzierać im ojcowizny? Nigdy. Każdy z tych ludzi, którzy wsiedli na łodzie i ruszyli za mną, wierzył, że zdobędę królestwo Anglii. Zdobyłem pół. Wystarczy, by obdzielić ziemią i srebrem każdego. Nie zawiodłem ich — przekonywał sam siebie, a jednocześnie wciąż czuł lęk na myśl o tym, że otaczają go ludzie, którzy mogą zdradzić, jeśli tylko nie zaspokoi ich potrzeb.

— Uważam, że Thorkela nasyci dopiero władza. Będziesz się musiał podzielić, przyjacielu — potwierdził jego obawy Hrani.

— Do Bożego Narodzenia jeszcze miesiąc — pocieszył się Knut. — Coś wymyślę.

W Yorku panował spokój. Arcybiskup Wulfsdan przebywał w pobliskim klasztorze, czekali więc na niego, odpoczywając po trudach półtorarocznej wojny. Knut miał świadomość, iż Wulfsdan jest mu nieprzychylny i choć musiał przystać na podział królestwa, to nie zaakceptował tego, że jego diecezja weszła w skład części duńskiej. Nim się rozstali z matką, ta postawiła mu zadanie: „Zjednaj sobie upartego arcybiskupa". Łatwo powiedzieć.

Skuli, skald jego ojca, a potem jarla Erika, przygotowywał wiersze o „królu Anglii, Knucie".

Wrzosowiska spłynęły krwią
angielskiego rycerstwa,
gdy król Knut mieczem wykuwał zwycięstwo…

Knut siedział na wysokim krześle, z nogami na ławie, i leniwie czyścił miecz, którym walczył pod Ashingdon.

— Słyszałeś, królu — skald przerwał mozolenie się ze strofą i nalał sobie miodu — jaki przydomek zdobył król Edmund po wojnie przeciw „straszliwym, krew puszczającym Duńczykom"?

— Starzejesz się, Skuli — oznajmił mu jarl Erik, sięgając po kubek. — „Krew puszczających Duńczyków" użyłeś już w innym wierszu!

— Nie starzeję się, jarlu, tylko przywołuję własne słowa — kwaśno poprawił go skald. — Dobre rzeczy należy powtarzać — dodał z dumą. — Mówią o nim Edmund Żelaznoboki.

— Co? — Knut nie zrozumiał.

— Żelaznoboki. Że niby taki z niego bohater, co bronił przed nami Anglię. I pomyśleć, że tylko naszej nieustępliwości zawdzięczać będzie sławę.

— Żelaznoboki? Trochę w tym przesady, ale prawdą jest, że tylko on miał odwagę walczyć. Jedyny wśród tego gniazda spiskowców. — Knut w głębi duszy był wdzięczny matce, że wzięła na siebie Streonę. Już nie mógł na niego patrzeć.

— Królu, arcybiskup Yorku, Wulfsdan, idzie. — Hrani stał, wyglądając na oświetlony pochodniami dziedziniec.

— O tej porze? — zdziwił się Knut. — Jest niemal noc.

— Powiem więcej, arcybiskup biegnie! — Hrani cmoknął z podziwem.

— Nie cmokaj! — zganił go Knut. — Nienawidzę cmokania.

Zdjął nogi z ławy i odłożył czyszczony wcześniej miecz. Wulfsdan wbiegł do komnaty. Po płaszczu ściekał mu deszcz, a jego twarz była wzburzona. Knut wstał.

— Arcybiskupie — powitał go. — Co się stało?

— Król Edmund nie żyje — oświadczył Wulfsdan. — Zamordowano go w zamku w Winchesterze.

Knut w pierwszej chwili nie uwierzył, w drugiej spytał:

— Kto to zrobił?

Wulfsdan patrzył na Knuta uważnie i odpowiedział:

— Mówią, że ty.

ŚWIĘTOSŁAWA na wiadomość o śmierci Edmunda pchnęła jednego gońca do syna, a drugiego do Elfgifu i Thorkela. Jomswikinga poprosiła o niezwłoczne przybycie do Londynu, a synową o pozostanie wraz z dzieckiem w Northampton.

Najwyżej się wścieknie — pomyślała — ale Knut może teraz nie mieć głowy, by zabronić Elfgifu ruszania się z bezpiecznego miejsca.

Eadricowi Streonie kazała przekazać, iż gdy tylko wróci do Worcesteru, ma dołączyć do nich. Sama wraz z Ragnem, Uddormem, Jorunem i oddziałem zbrojnych ruszyła nad Tamizę. Edmund zmarł w Winchesterze, ale kluczem do królestwa był Londyn.

— Wilczanie — poprosiła — zabierz Duszę, nasze skrzynie i rzeczy. Jedź za nami. Nie mamy czasu. Ruszam bez zwłoki.

— Jak sobie życzysz, pani. — Wilczan się uśmiechnął, zagradzając jej drogę.

Chciała go wyminąć. Pokręcił głową.

— Możesz ruszyć bez zwłoki, królowo, ale bez kolczugi nie mogę cię wypuścić.

— Wolę, gdy słuchasz moich rozkazów, niż kiedy mi je wydajesz! — syknęła na niego i poszła się ubrać.

Ylva starannie zasznurowała kolczą suknię na jej plecach.

— Zrobi się gorąco — rzucił Jorun, pomagając jej wsiąść na konia.

— Już się zrobiło — odpowiedziała, poprawiając się w siodle. — Mam nadzieję, że nie przybędziemy za późno.

Jechali bok w bok, ulewny deszcz nie ułatwiał podróży.

— Jorunie?

— Tak, Harda? — Gdy byli sami, nie bawił się w tytuły.

— To żelastwo mnie gniecie — poskarżyła się, mówiąc o kolczudze.

— W piersi? — spytał wprost.

— Głupek z ciebie. Ciąży mi na ramionach, jakbym dźwigała na nich dodatkowy ciężar.

— Ciesz się, że nie masz tarczy, dwóch pasów, miecza…

— A, daj spokój. Nic tylko byś się chwalił.

— Zawsze możesz się zgarbić. Nikomu nie powiem.

— Przestań! — fuknęła. — Królowa nie może się garbić.

— Myślisz, że maczał w tym paluchy Streona? Wyjechał przed tygodniem, kto go tam wie, czy zamiast do Nottingham nie pojechał chyłkiem do Winchesteru?

— Jest za sprytny, by zrobić coś takiego własnymi rękami — odpowiedziała i popędziła konia.

Miała świadomość, że ktokolwiek to zrobił, winą zostanie obarczony jej syn. Zawarł pokój z Edmundem, a potem się go pozbył. Tak to można przedstawić. Prawda, Knut najwięcej zyskiwał na tej śmierci i jednocześnie był ostatnim człowiekiem, który mógłby zrobić coś równie niegodziwego. Wiedziała, że teraz przed nimi rozgrywka o wszystko. I nie zamierzała jej przegrać.

Z oddziałem Thorkela spotkali się przed wjazdem na most londyński.

— Ty to zrobiłeś? — zapytała wprost.

— Nie — odpowiedział.

Skinęła głową.

— Czy wiesz, gdzie są synowie Edmunda? Niemowlę, które było z nami nad rzeką Severn, i ten drugi, o którym mówiono, że narodził się tuż po zawarciu pokoju?

— Nie, pani. Ale wiem, gdzie jest królowa Emma — powiedział Thorkel, mrużąc oczy.

— Więc wykonałeś zadanie?

Skinął głową.

— Zatem prowadź mnie do niej. Mówiłeś, że zna nieco duński?

— Tak, nauczyła się w Normandii, skąd pochodzi. Dogadasz się z nią, pani.

— Nie mamy innego wyjścia.

Gdy wiosną wojska Knuta ruszały z Southampton na Londyn, a syn kazał jej zostać z Elfgifu, w tajemnicy przed nim poprosiła Thorkela o

dopilnowanie, by królowa wdowa nie opuściła Londynu. Nie zaufałaby w tej sprawie Streonie, a Thorkel po czasie spędzonym u boku króla Ethelreda miał nie tylko świetne rozeznanie dworu, ale i znajomości wśród ludzi. Wiedziała, że jeśli ktokolwiek mógł mieć wpływ na to, co zrobi Emma, to tylko Thorkel.

Był wieczór, wjeżdżali do miasta w pośpiechu kamiennym warownym mostem nad Tamizą.

Przebiegło jej przez głowę, że o ten most rozbiła się przed laty armia Dwóch Królów. I że tym mostem zapewne wszedł do Londynu Sven. Jej syn walczył o niego i go nie zdobył.

A teraz, w jesienno-zimową noc ona wjeżdża nim do miasta w tak dziwnych okolicznościach.

Przejechali bramę, kopyta koni grzęzły w błocie, z zaułków unosiła się ciężka woń nieczystości.

Dusza oszaleje od takich zapachów — pomyślała, zamiast odczuć radość, że oto jest w Londynie.

Skręciła za Thorkelem w prawo.

— Chętnie za dnia pokażę ci miasto, pani — powiedział jomswiking.

— Na razie chcę zobaczyć królową.

— Jest tam — wskazał ręką słabo oświetloną bryłę zamku.

Spodziewała się czegoś znaczniejszego. Owszem, otoczony kamiennym murem zamek był większy niż poznańskie palatium, ale sprawiał ponure i ciężkie wrażenie. Na zawołanie Thorkela otwarto bramę i straż poprowadziła ich przez podwórzec ku stajniom.

— Ostatnio stąd wyjeżdżałem z kośćmi Svena — ponuro stwierdził Jorun, pomagając jej zsiąść z konia.

— Mówisz to, żeby mnie pocieszyć czy zmartwić? — spytała.

— Tak po prostu. — Wzruszył ramionami i zamilkł.

— Thorkel Wysoki o tak późnej porze? — przywitał ich niezbyt gościnnie jakiś nieduży mężczyzna w obszernym zielonym kapturze. Po jego bokach szli słudzy z pochodniami.

— Był tu ostatnio Streona? — zapytał Thorkel.

— Mnie o tym nic nie wiadomo — odrzekł tamten, ciekawie zerkając na Świętosławę i jej ludzi.

— Królowo — zwrócił się do niej Thorkel. — Pozwól, że ci przedstawię Ethelwearda, obecnego zarządcę zamku.

Skinęła mu głową, starając się zapamiętać dość nijaką twarz. Ethelweard gapił się na nią bezczelnie.

— Radziłbym się ukłonić — zagroził mu Thorkel. — Królowa słynie ze świetnej pamięci i zapewne byś nie chciał, aby twe niegościnne zachowanie utkwiło naszej pani w głowie. Stoisz przed Sigridą Storrådą, królową Szwecji, Danii, Norwegii, matką Knuta, króla Anglii.

— Witaj, królowo wikingów — powiedział Ethelweard po angielsku, ale zrozumiała go.

— Od dzisiaj twoja królowo — odrzekła po duńsku.

Pokłonił się teraz nisko, ale gdy się uniósł, jego wzrok znów był butny.

— Elfwig, biskup Londynu, jest w mieście? — spytał zarządcę Thorkel.

— Nie wiem, panie, ale zapewne nie byłby szczęśliwy, wiedząc, iż ty w nim przebywasz. Bronił Londynu ile sił.

Thorkel puścił uwagę mimo uszu.

— Czy wasz przyjazd ma związek ze śmiercią króla Edmunda? — zapytał Ethelweard, przekrzywiając głowę.

— Nie twoja to sprawa — odpowiedział Thorkel i zwrócił do niej. — Królowo, pozwól, że poprowadzę.

— Czy mam kazać przygotować komnaty? — zawołał za nimi zarządca.

— Najlepsze — rozkazał jomswiking.

— Nie było tego typa za czasów Svena — powiedział Jorun, gdy się oddalili.

— Bo przebywał wraz ze swym ojcem przy królu Ethelredzie, gdy ten schronił się przed wami u szwagra w Normandii — wyjaśnił Thorkel, prowadząc ich na wąskie kamienne schody. — To, że był zaufanym dawnego króla, nie znaczy, iż można zdać się na niego dzisiaj.

— Trzeba się rozejrzeć za biskupem Elfwigiem — dodał Jorun. — Stary klecha nas nie lubi.

Boże — pomyślała Świętosława — tu nikt nikomu nie wierzy.

Znała życie dworu. Jego intrygi, zagrożenia, plotki. Ojciec mówił, że nawet gdy szedł do łoża z Odą czy Dobrawą, wiedział, iż niczego nie może być pewien. Ona sama doświadczyła matactw i zdrady Birgera, potem Svena i Iona, lecz mimo wszystko to, co działo się w Anglii, budziło w niej niechęć. Ale tkwiła w tym; Knut zabrał ją ze sobą po to, by pomogła mu tę stęchłą wodę przepłynąć. Co jej syn powie o tym, co teraz chce zrobić?

— To tutaj — powiedział Thorkel i stanęli pod okutymi drzwiami.

Usłyszała smutny dźwięk harfy.

— Jesteśmy w wieży. — Jorun się rozejrzał.

— Zachodniej — potwierdził jomswiking i zwrócił się do strażnika: — Otwórz.

Po chwili Świętosława stała przed ciemnowłosą kobietą o wielkich, niebieskich oczach.

— Królowo Emmo, masz gościa — miękko powiedział Thorkel. — Oto matka króla Knuta, Sigrida Storråda, pani Danii, Szwecji i Norwegii.

Emma zamrugała niepewnie. Odłożyła harfę delikatnie, jak noworodka.

— Gdzie twoi synowie, królowo? — zapytała Świętosława. — Słyszałam, że to mali chłopcy.

— Starszy ma dwanaście lat, a młodszy trzy — odpowiedziała Emma i odsuwając włosy z czoła, uśmiechnęła się przebiegle. — Nie dostaniecie ich. Są już bezpieczni u mego brata w Normandii.

Jesteś szybka — pomyślała Świętosława. — Ale niepotrzebnie się bałaś, nie skrzywdziłabym dzieci, nawet gdyby stały Knutowi na drodze do tronu.

— Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać, Emmo — odezwała się Świętosława. — Bo mam dla ciebie coś na wagę życia. Thorkelu, zostaw nas same.

— Oczywiście.

Odwróciła się do niego i szepnęła:

— Skoro synów Ethelreda nie ma już w Anglii, znajdź synów Edmunda. I niech im włos z głowy nie spadnie.

Ciemne oczy jomswikinga zalśniły w mroku komnaty.

A potem podeszła do Emmy i ujęła ją pod ramię.

— Grasz na harfie i potrafisz wydobyć z niej rzewne tony.

— Jestem wdową. Nie opuszcza mnie smutek.

— Nigdy nie spotkałam królowej, która potrafi grać. — Świętosława się uśmiechnęła. — Większość po prostu najmuje muzyków lub opłaca skaldów.

— A ja nie znałam władczyni, która nosi kolczugę — odpowiedziała Emma. — Te, które znałam, najmują wojska.

— Zatem zaciekawiłyśmy się sobą, Emmo. Pomówmy. Ile masz lat, pani?

— Prawie trzydzieści, a ty? — podjęła grę Emma.

— Niemal pięćdziesiąt i mogę być twoją matką! — Świętosława się zaśmiała. — Chciałabyś?

KNUT przybył do Winchesteru w towarzystwie arcybiskupa Yorku, Wulfsdana. Potrzebował jego osoby, by autorytet duchownego przekonał

wszystkich, iż gdy popełniono zbrodnię na Edmundzie, on był w Yorku.

Idąc kamiennym krużgankiem zamku z Wulfsdanem i w otoczeniu swych wodzów, czuł na sobie oskarżycielski wzrok wszystkich mieszkańców. Zwołał ich do sali audiencyjnej i stanął przed nimi.

— Jak zginął król? — krzyknął.

Naprzeciw wyszedł Godwine, młody możny z Sussexu, zaufany Edmunda, który towarzyszył królowi podczas zawierania pokoju na wyspie.

— Uduszono go w jego komnacie — odpowiedział cicho.

— Gdzie jego ciało?

— W kaplicy.

W tej samej chwili usłyszeli dźwięk rogów na dziedzińcu.

— Przybył arcybiskup Canterbury — oznajmił sługa i Knut powiedział:

— Poczekajmy na szlachetnego Lyfinga.

Robi się gorąco nad tą śmiercią, skoro ściągają do Winchesteru hierarchowie — pomyślał Knut, żałując, że nie ma przy nim ani Thorkela, ani matki. Jarla Erika też zostawił w Yorku, nie chcąc na czas zamieszania stracić kontroli nad Northumbrią. Gdzie jest Eadric Streona?

— Król Knut na miejscu śmierci króla Edmunda. — Lyfing pokiwał głową, wchodząc i widząc zgromadzenie.

— Właśnie przybyłem z Yorku wraz z arcybiskupem Wulfsdanem. Próbujemy się dowiedzieć, co zaszło, bo znamy tylko plotki.

— Ja też — odrzekł Lyfing, patrząc mu surowo w oczy.

Nie mogę się zacząć tłumaczyć — myślał gorączkowo Knut. — Nawet jeśli obrót sprawy jest mi na rękę, nie mam z tym nic wspólnego.

— Zatem, Godwinie, opowiedz nam, co zaszło — zwrócił się ponownie do młodego możnego Knut.

— Jak powiedziałem, króla znaleziono uduszonego w komnacie. Sługa wszedł rankiem i po prostu go zobaczył.

— Jak to możliwe, że król zginął, a nikt nie wie, jak to się stało? — wściekł się Knut.

— Skąd pewność, że go uduszono? — zapytał Lyfing.

— Twarz pana — niepewnie powiedział Godwine. — I szal, którym miał obwiązaną szyję.

— Kto odwiedzał go ostatni? Z kim się spotkał? Boże, czyście nie zadali sobie pytań? Królowie nigdy nie umierają przypadkiem! — gorączkowo mówił Knut.

— Ostatnią osobą, która była u naszego pana… — zaczął Godwine i zamilkł.

— Kto?!

— Ktoś zbyt mu bliski, by móc wymówić imię…

— Kto?! Mów!

— Jego brat przyrodni, Eadwig Etheling — odpowiedział Godwine i spojrzał na Knuta.

Eadwig? — Knut szybko przeszukiwał pamięć. — Dwaj najmłodsi synowie Ethelreda, ci, których miał z Emmą z Normandii, to dzieci. A rodzeni bracia Edmunda nie żyją, dlatego on był pierwszy w dziedziczeniu tronu. Ale przecież jego ojciec miał trzy żony, więc zostają synowie tej drugiej. Eadwig Etheling. Jezu, ten byłby następny do korony — dotarło do niego.

— To, co mówisz, Godwinie, wskazuje winnego — powiedział surowo arcybiskup Canterbury. — Wiesz, jaką wagę mają twe słowa?

W komnacie zrobiło się piekielnie cicho. Usłyszeli wycie psa gdzieś na dziedzińcu. Samotny głos, któremu nie odpowiedział żaden inny. Na przystojnej i prawej twarzy Godwine’a odbijało się przerażenie, gdy odrzekł:

— Wszyscy wiemy, dlatego nikt nie chciał ich wypowiedzieć głośno. Eadwig Etheling, kolejny w starszeństwie…

— To nie wszystko… — Do przodu wystąpił ktoś, kogo twarz Knut pamiętał z negocjacji na wyspie.

— Mów, Leofwinie — zachęcił go arcybiskup.

Leofwine, dawny ealdorman Mercii, którego Streona usunął w cień i przejął jego zaszczyty — przypomniał sobie Knut.

— Gdy młodszy brat zamordowanego króla wyszedł z jego komnaty, powiedział, że król kazał mu zabrać jego synów, Edwarda i Edmunda…

— A wyście wydali ich, nie pytając swego pana?! — ryknął Knut.

— Wybacz, królu — powiedział Leofwine. — Nie mieliśmy powodów, by mu nie ufać. Uwielbiał bratanków i często zabierał starszego z nich na spacery…

— Porwał następców Edmunda — grobowym głosem oświadczył arcybiskup Yorku.

— Lyfingu, arcybiskupie Canterbury! — zawołał Knut. — Godwinie, Leofwinie! Wyście byli ze mną podczas zawierania pokoju na wyspie na rzece Severn. Byliście świadkami mej przysięgi na krzyż. „Dwaj królowie — powiedziałeś o nas, arcybiskupie. — Dwaj przysięgli bracia”. I teraz drugi król nie żyje, a ja mam uświęcony obowiązek pomszczenia go i ukarania winnych. Godwinie! Natychmiast wyślij zbrojnych, którzy odnajdą Eadwiga Ethelinga i oddadzą w me ręce. I nakaż im odszukanie dzieci, synów zamordowanego króla. Włos nie ma prawa spaść im z głowy.

— Amen — powiedział arcybiskup Canterbury.

— Gdzie wdowa? — zapytał spokojnie Knut. — Gdzie żona Edmunda, matka jego synów?

Godwine i Leofwine wymienili niespokojne spojrzenia.

— Wyjechała po śmierci króla — odrzekł Godwine. — Bała się. Pani nie ma bliskiej rodziny. Nie wiem, czy ci mówiono, królu, ale Ethelred zamordował jej ojca za podpuszczeniem…

— Streony — dopowiedział Leofwine.

— Nie szuka synów? — zdziwił się Knut.

— Sądzi, iż chłopcy nie żyją — grobowo zakończył Godwine.

— Oby się myliła — zrobił w powietrzu znak krzyża arcybiskup.

— O rany! — powiedział do niego Hrani, gdy zostali sami. — Ależ z ciebie wyszedł król. Jakbyś się wśród tych żmij narodził. Wrodzony talent! Streona by tego lepiej nie rozegrał.

Knut stał i patrzył przez wąskie, wykute w kamieniu okno na czarną, bezksiężycową noc. Nagle zatęsknił za Roskilde. Za swym bratem, Haraldem, rudym jak wiewiórka i jak ona zręcznym. Za siostrami, jasnowłosymi dziewczynami, które umiały się dźwięcznie śmiać, głośno kłócić i przytulały się do niego szczerze i ufnie. Za ojcem, królem Svenem, i matką, którą odzyskał niedawno. W tej samej chwili, kiedy oblicza rodziców zjawiły się przed nim, usłyszał głos ojca: „Tylko mnie nie zawiedź, synu” i zobaczył, że na jego sztywnej brodzie wisi kropla śliny.

ŚWIĘTOSŁAWA spotkała się z królową Emmą w pałacowej kaplicy. Modliła się o dar jasnej, czystej myśli. O łaskę dobrej rady. W pierwszej chwili nie zauważyła Emmy, dopiero gdy ta zapaliła świecę i wsunęła ją w łapę wysokiego, srebrzonego świecznika, Świętosława drgnęła i odwróciła się.

— Emmo?

— Wybacz, Sigrido, nie spodziewałam się, że cię tutaj spotkam.

— Widzisz we mnie barbarzyńską królową wikingów? — zapytała Świętosława, nie podnosząc się z klęcznika.

Emma spuściła głowę.

— W czyjej intencji palisz świecę? — zagadnęła Świętosława, choć czuła, że dopytywanie o takie sprawy to wścibstwo.

— Dzisiaj dzień świętego Dagoberta — odrzekła Emma. — W Normandii, gdzie się urodziłam, mieliśmy jego sanktuarium.

— Mój ojciec przyjął to imię na bierzmowaniu.

Emma zrobiła krok ku niej.

— To dziwne, królowo — powiedziała cicho. — Choć dzieli nas wszystko, łączą nas święci.

Świętosława posunęła się na klęczniku, robiąc miejsce Emmie. Ta, po krótkim wahaniu, przyklęknęła obok.

— Przyszłam na świat w dniu bierzmowania mego ojca — odezwała się do Emmy po chwili. — W dniu, gdy on sam, wielki książę Mieszko, oddał się pod opiekę świętego Dagoberta. Moje siostry wmawiają mi, że byłam piekielnym dzieckiem, ale jak słyszysz, nie zapomniałam imienia świętego, który sprowadził mnie na ten świat. Nasz pierwszy biskup, Jordan, był Irlandczykiem, nowicjat odbywał w Slane i darzył wielką czcią świętego Dagoberta. Mówił, że ten sprzyja Piastom, mej rodzimej dynastii.

— W Slane? — Emma się poruszyła. — Znasz jego rodowe imię z czasów przedzakonnych?

— Nie — zaprzeczyła Świętosława i zaśmiała się gorzko. — Był synem irlandzkiego władcy walczącego z wikingami, przybył do cesarza w nadziei na wsparcie Irlandczyków w wojnie z barbarzyńskim najeźdźcą. Wsparcia nie dostał, ale spotkał mego ojca i misją jego życia stało się przeobrażenie Mieszka w chrześcijańskiego władcę. Jordan nigdy nie wrócił do ojczyzny, ale wiem, że wymienił listy ze swym bratem. Jak mu było na imię? — Świętosława przeszukiwała pamięć. — Czekaj, Cennétig mac Lorcáin, tak nazywał się ojciec Jordana, zaś brat, który objął władzę, to…

— Brian Boru! — wykrzyknęła Emma i natychmiast zakryła usta dłonią.

Za późno. W kamiennej kaplicy echo powtarzało za nią: Boru… Boru…

— Wybacz, pani — Emma patrzyła na Świętosławę jak na ducha — ale to zbieg okoliczności co najmniej dziwny…

— Człowiek myśli, że sam podejmuje decyzje co do swej drogi, a tymczasem ścieżki jego losu wyznacza Pan — odpowiedziała Świętosława. — Co cię dziwi, pani?

— Brian Boru, Brian Śmiały — wyszeptała Emma. — Wszyscyśmy modlili się za powodzenie jego batalii, bo wybacz, pani, tak bardzo przypominała naszą. Irlandzki król, choć sędziwy, całe życie walczył z wikingami, którzy osiedli w Dublinie i kawałek po kawałku chcieli odebrać mu królestwo…

Słuchając, Świętosława patrzyła na profil Emmy. Prosty, zgrabny nos, okrągły podbródek i wysokie czoło. Płomień zapalonej przez nią świecy pełgał po ścianie, odbijał się od srebrzonego świecznika dziesiątkiem blasków, które wydawały się tańczyć ponad głową królowej wdowy.

Jest odważna — pomyślała. — Nie boi się opowiadać o najeździe wikingów.

— Twój mąż, królowo — ciągnęła Emma — rudy wiking ze spiczastą brodą… wybacz mi, proszę, ale to był człowiek, którym straszono nasze dzieci…

— Masz rację — Świętosława się skrzywiła — ta broda była paskudna. Najgorzej, jak umoczył ją w winie albo tłuszczu z pieczeni! Ale reszta? Bo ja wiem? Sven kiedyś był urodziwy, tyle że nie widziałam go przez długich dwanaście lat.

Emma spojrzała na nią z zaskoczeniem, Świętosława wzruszyła ramionami.

— Oddalił mnie po urodzeniu dzieci. Kłóciliśmy się ciągle. Ale, przepraszam, nie mówmy o mnie i Svenie, mów o irlandzkim królu, to zajmujące.

— Krótko po tym, jak zmarł twój mąż, a syn uciekł do Danii…

— Nie uciekł — poprawiła ją Świętosława. — Popłynął po posiłki.

— Naturalnie. — Emma wciągnęła powietrze. — Wróciliśmy wraz z dziećmi z wygnania w Normandii. Znów Wielkanoc spędziliśmy w Londynie. — W głosie Emmy zabrzmiała tęsknota za czasami, które nie wrócą. — I po świętach przyszła wieść, że w Irlandii Brian Śmiały stanął do otwartej wojny z najeźdźcami. Podpalił ich święte drzewo boga Thora…

— Drzewo Thora? — przerwała jej Świętosława. — To jakaś bzdura. To Odyn wisiał na drzewie. Ten Thor to taki bardziej rębajło. Po co mu drzewo? Zapytam przy okazji swego skalda… ach, nie zapytam! Zostawiłam go swemu bratu, w Polanii. No mów, znów ci przerwałam.

— Wojska Irlandczyków stanęły naprzeciw armii najeźdźców w Wielki Piątek. W bitwie walczył syn Briana i jego wnuk…

— Ten Brian musiał być stary, skoro nasz Jordan, jego brat, zmarł ze czterdzieści lat temu. Może się kąpał w tym słynnym świętym źródle, o którym biskup mi opowiadał, jak byłam mała, co? Niesamowite, jak niektórzy mężczyźni się trzymają… Wygrali?

— Tak, pani. Wygrali z wikingami. — W głosie Emmy pojawiła się mściwa satysfakcja. — Ale stary król poległ…

— I chwała Bogu! — Świętosława się przeżegnała. — Nie żebym mu źle życzyła, ale skoro taki był z niego wojownik, to źle, by umarł w łożu. Bohaterowie powinni umierać na polu bitwy, wtedy chwała zostanie z nimi na wieki. A twój? Jak umarł twój?

— Ethelred nie był wojownikiem — wymijająco odpowiedziała Emma.

— Ale radowała go wieść, że Brian Boru pokonał wikingów, co? Poczuł uniesienie, że można z nimi wygrać. I co? Zwołał wojska? Stanął do boju?

Emma odwróciła głowę i powiedziała cicho:

— Nie. Posłuchał złych rad Eadrica Streony i pokłócił się ze swym synem Edmundem, który nawoływał do walki. Zapłacił Thorkelowi Wysokiemu, by nas bronił.

Świętosława rozłożyła dłonie i lekko uderzyła nimi o podłokietnik klęcznika.

— No właśnie, droga Emmo. Stary Brian Boru założył kolczugę, hełm, wsiadł na konia, choć pewnie miał wykręcone wiekiem stawy albo… wiesz, tę sekretną chorobę mężczyzn, i ruszył na czele wojsk z synem i wnukiem. A twój Ethelred… dobrze, nie mówmy o tym. Jesteś nadzwyczaj rozsądną kobietą i pewnie boli cię, że twe imię zostało przypisane do bezradnego króla. Czasami wdowieństwo jest wielką szansą.

— Opłakuję męża — dumnie powiedziała Emma.

— I słusznie, w końcu tego się oczekuje od wdowy. Na początek, rzecz jasna. A powiedz, bo mnie ciekawi, jak wyglądał twój mąż? Bo jak wyglądał mój, już ustaliłyśmy. — Świętosława przekrzywiła głowę. — Widziałam tylko króla Edmunda. Przystojny, w miarę, choć nie tak wysoki jak mój Knut. Ethelred był podobny do syna?

— Nie, pani — głos Emmy był cichy.

— No to sobie nie użyłaś, tak między nami kobietami mówiąc — ze współczuciem powiedziała Świętosława i poklepała Emmę po dłoni. — Na mnie czas. Wymodliłam dar dobrej rady i usłyszałam od ciebie wspaniałą opowieść. Każę napisać list do mego brata Bolesława. Chcę, by poznał rodzinną historię naszego drogiego biskupa Jordana. Pochwalony niech będzie święty Dagobert, Emmo. To niezwykłe, że tyle nas łączy, prawda? Jeden święty patron, Dagobert, dla twojej i mojej rodziny. Dwie królowe,

jak słusznie powiedziałaś, z dwóch różnych światów, które tyle się nauczyły od jednego irlandzkiego rodu. Choć ciebie fascynował Brian Boru, król wojownik, a mnie jego brat, biskup Jordan. Tak przy okazji: Jordan pokazywał mi księgę, którą przywiózł z Irlandii. Arcydzieło. A arcybiskup Lyfing mówił, że i w Londynie są piękne manuskrypty, tyle że tutejszy biskup, Elfwig, mnie nie lubi.

— Chciałabyś je obejrzeć, pani?

— Gdybyś potrafiła to jakoś załatwić z Elfwigiem. — Świętosława uśmiechnęła się, wstając z klęcznika.

Zanim wyszła, na krótką chwilę położyła Emmie dłoń na ramieniu i powiedziała w myślach, jak niegdyś Ion: Mam nadzieję, że już płynie twój król.

BOLESŁAW patrzył, jak jego syn Mieszko świetnie trzyma się w siodle. Miał dwadzieścia siedem lat i był jednym z najlepszych wodzów jego wojsk. Wspólnie objeżdżali wały Poznania, by sprawdzić, czy wylew Warty nie zagraża konstrukcji.

Ja w jego wieku już byłem jedynym księciem — pomyślał i skrzywił się. — Czy mój syn liczy dni do mej śmierci? Nie, niemożliwe. Wie, jak dużo dostał. Mimo że nie jest pierworodnym, będzie następcą. Dla niego odsunąłem Bezpryma od władzy. Nagle, jak skowyt bólu, odezwał się w nim żal za pierworodnym. Za jego Czarnym Węgrem, jak go nazywał skrycie. Bezprym objął Kałdus, budując północno-wschodnią flankę kraju i goniąc dzikich. On, Bolesław, kazał sobie haftować białego orła na proporcach. Bezprym, jeśli pojawiał się w Poznaniu, to z czarnym orłem na chorągwi. Chce być inny — myślał. — Jak ja biały, to on czarny. Nosi w sobie noc. Wychodzi z niego dzikość, jak z jego matki szedł mrok. Otrząsnął się. Kochał Emnildę, ale czasami, gdy wspomniał Karoldę,

kochankę nieposkromioną jak madziarska wojowniczka, czuł wrzenie w lędźwiach.

A Mieszko? Mieszko był jak on.

Wojna, jaką wspólnie stoczyli zeszłego roku z cesarzem Henrykiem, umocniła ich. Ojciec i syn jak stary i młody wilk zawalczyli w stadzie. Cesarz wściekły, że Bolesław go wykpił i nie dał hufca zbrojnych na wyprawę italską, zebrał potężne siły nad Łabą i pchnął na Krosno. Na to samo Krosno, spod którego Bolz uciekał przed laty. Tym razem na linii Odry drogę zastąpił cesarzowi Mieszko. Obaj wiedzieli, że po tym jak Henryk wydobył Mieszka z łap księcia Pragi, będzie próbował wymusić na nim wdzięczność. Tak było. Przysłał posłów, ale jego syn, szczwany lis kształcony w łacinie i grece, tak odpowiedział cesarzowi, że nim zatrzęsło. „Wielki cesarzu, są rzeczy pierwsze i drugie. Owszem, przysięgałem ci, ale czymże jest ta przysięga, gdy ty zbrojnie nastajesz na mą ojczyznę? Gdy wyciągasz dłoń na mego rodzica, pierwszym obowiązkiem syna jest bronić ojca. Nie przedłożę ciebie nad niego”.

Znali liczebność wojsk, które na nich szły. Tym razem cesarz rzucił na szalę wszystko. Odnowił sojusz z Lucicami i prócz sił niemieckich przywołał Bawarów i Czechów.

Gdy rozjuszony odmową Mieszka Henryk rzucał siły na przeprawę odrzańską, na południu hufce pod wodzą Zarada walczyły z wojskami bawarskimi i czeskimi pod wodzą Udalryka.

Bolesław zaś przyjął z północy uderzenie Luciców i Sasów pod dowództwem księcia Bernarda. Jechał na nich nie na grzbiecie Białego, ale na Czerwonym, wielkim ogierze, który był w stanie unieść ciężar księcia i zbroi. I rozjechał ich w jednej wielkiej bitwie, po której Bernard zawrócił w głąb swych ziem, opuszczając Henryka i łamiąc przysięgę, że połączy się z wojskami cesarza. Uciekał, bo się bał.

Po tryumfie Bolesław błyskawicznie skierował całe siły na południe i wsparł Zarada walczącego z Czechami. Wspólnie zmusili ich do odwrotu. Na wieść o tym cesarz wstrzymał przeprawę przez Odrę i nakazał swym ludziom zawracać. Gdy tylko pierwsze niemieckie hufce znów stanęły po właściwej stronie Odry, Henryk na ich czele odjechał. Patrząc na jego plecy, Bolesław pomyślał, że gdyby on tak prowadził wojny, to walczyliby za niego tylko niewolnicy. Żaden wojownik nie chce narażać się dla króla, który opuszcza swe wojska. On nie odpuścił, lecz krzyknął do swoich: „Gonimy!”. Przeszli Odrę i wydali siłom cesarskim bitwę. Cały jeden hufiec ciężkozbrojny padł pod ich mieczami. Pole po walce wyglądało strasznie. Stosy zmaltretowanych ciał. Henryk przysłał do niego biskupa miśnieńskiego z prośbą o zgodę na pochowanie poległych. Bolz się zgodził, cóż mu po trupach, nawet jeśli to zwłoki margrabiów? Ale gdy słudzy biskupa wynosili z bitewnego pola sztywniejące ciała, zawołał Mieszka i powiedział: „Goń tych, którzy przeżyli!”. A jego syn otarł krew z czoła, zaśmiał się i pognał na zachód, aż nad Łabę.

No, dość tych wspomnień — upomniał się, choć przywoływanie obrazów chwały było tak kuszące, i kończąc objeżdżanie wałów, krzyknął do syna:

— Mieszko! Wracamy.

Na moście zobaczyli oddział poselski.

— Rusini! — zawołał jego syn.

Serce Bolesława zabiło mocniej. Sprawy w Kijowie nie wyglądały dobrze. Ponad rok temu, gdy zmarł wielki kniaź Wladimir, uwolniono wreszcie z lochów Sławę i Światopołka. Niestety, Reinbern nie przeżył więzienia. Światopołk, ledwie wyszedł na wolność, usunął z wyścigu po tron kijowski dwóch braci, Borysa i Gleba, i przystąpił do starcia z najgroźniejszym przeciwnikiem, bratem Jarosławem.

Nie zsiadając z konia, Bolesław przyjął posłów na podwórcu palatium. Gość pokłonił mu się, wręczając srebrnego denara. Dwuzub, lewe ostrze z krzyżem. Znak jego zięcia.

— Co w Kijowie? — krzyknął Bolesław.

— Pogorzały cerkwie, wielki książę… Wojna, zła wojna między rodzonymi braćmi.

— Ach! Mów szybciej, wiem, że wojna. Kto wygrywa?

— Kniaź Jarosław, wielki książę… wygnał z Kijowa kniazia Światopołka i pogonił na zachód… Pińsk zajął… i… i…

Twarz posłańca była niemal szara z przestrachu. Bał się Bolesława.

— Mów, człowieku — krzyknął Mieszko ze śmiechem. — To nieprawda, że mój ojciec zabija posłańców.

— Porwał księżnę Sławę, panie. — Rusin padł na kolana, osłaniając głowę ramionami.

— Kto, do diabła?! — wrzasnął Bolesław.

— Jarosław. Porwał ją Światopołkowi, uprowadził…

— Chryste Panie! A mój zięć?

— Umknął z wojskiem do Brześcia i tam obwarował gród. Czeka twej pomocy…

Bolesław zsiadł z konia. Żuł tę wiadomość, nie mogąc jej strawić. Po raz kolejny jego zięć okazał się słabym wodzem. Jak mógł dopuścić do porwania Sławy?

— Nie mówmy matce — szepnął mu na ucho Mieszko.

— Za późno — powiedział Zarad i wskazał na wejście do palatium.

Odwrócili się. Stała w nim Emnilda pobladła jak mleko. Służki trzymały ją pod ramiona.

— Żono! — Bolesław rzucił się do niej.

— Matko… — Mieszko skoczył szybciej od niego.

Emnilda rzadko już wstawała z łoża. Była krucha, szczupła. Złapali ją równocześnie. Zamrugała, szepcząc:

— Ona jedna naprawdę nie chciała iść za mąż… Ona się bała obcych… Moja najmłodsza córka…

Bolesław zaniósł żonę jak dziecko, na rękach, wprost do jej alkowy. Położył delikatnie. Twarz Emnildy pokrywała się kroplami potu jak rosy. Usta jej bielały. Oddech brała płytki i szybki.

— Wezwij biskupa Emerama — powiedział do syna i nie odrywał rąk od zimnych palców żony.

— Emnildo, jestem przy tobie — szeptał, kładąc się ostrożnie obok niej.

Uśmiechnęła się słabo. Od dawna chorowała. Póki Astryda była w Poznaniu, potrafiła nie tylko uśmierzać ból, ale i sprawiać, że Emnilda odzyskiwała siły choćby na krótkie chwile. Lecz Astryda przepadła, zniknęła i nikt nie potrafił jej odnaleźć. A Emnilda z miesiąca na miesiąc gasła. Tak, wiedział, czego to zapowiedź, ale to nie znaczy, że się z tym godził.

— Tylko Wszechmogący zna tajemnice życia i jego kresu — powiedział Emeram, wchodząc. — Jeśli wierzysz w Boga, książę, poddaj się Jego woli.

— Ja tak, ale ona nie! — Zagarnął ją w ramiona.

— Nie zatrzymasz jej na siłę — perswadował biskup.

— Tak może mówić tylko mężczyzna, który nie kochał kobiety — odwarknął mu Bolesław.

— Ciii… — poprosił Mieszko. — Nie krzycz nad matką… Puść ją, bo zadusisz… Może chce nam jeszcze coś powiedzieć?

Bolesław bał się, że gdy przestanie trzymać ją mocno, ona ucieknie. Uleci. Ale wyswobodził ją ze swych objęć i spojrzał w jej twarz. Miała zamknięte powieki, przez rozchylone usta wciąż przechodził oddech.

— Emnildo… żyjesz i będziesz żyć — obiecał, głaszcząc jej policzek.

— Dobra księżna już wstępuje w życie wieczne. — Emeram zrobił nad nią znak krzyża. — Już orszak aniołów wyszedł jej na spotkanie.

Bolesław nie zauważył chwili, w której przestała oddychać. Po prostu nie zauważył. Każdy kolejny wdech był płytszy, a ona jednego z nich nie wypuściła z siebie. Nie oddała. Całował jej wargi, nie pozwalając im zsinieć ani zziębnąć. Całował jej policzki i czoło, i włosy. I dłonie. Aż wreszcie kazał wszystkim wyjść i rozpłakał się, bo zrozumiał, że to jednak koniec. Że on, potężny książę, który odbiera życie wrogom, nie ma mocy przywracania życia. Czuwał przy niej do rana, a potem umył się, przebrał i zszedł do sali audiencyjnej.

Czekali na niego posłowie cesarza Henryka. Zasiadł na tronie pod mieczem świętego Piotra w towarzystwie syna. Tron Emnildy kazał przysłonić czernią.

Żałoba księcia speszyła posłów.

— Nasz pan, najjaśniejszy cesarz Henryk, zaprasza ciebie, wielki książę, do Merseburga, by mówić o pokoju. Zamiarem cesarza jest znalezienie po ostatniej straszliwej wojnie warunków do możliwego porozumienia.

— Nie przyjadę do Merseburga — oświadczył bez wstępów.

— Oczywiście, pojmujemy ten szczególny stan. Cesarz zrozumie i będzie gotów poczekać, aż skończą się uroczystości pogrzebowe księżnej…

— Nie przyjadę — przerwał posłowi Bolesław — i moja żałoba nie ma nic do tego. To nie ja przegrałem wojnę, a cesarz. Chce pokoju? Zapraszam do Poznania.

— A ja chętnie powitam cesarza na przeprawie przez Odrę — twardo zakończył Mieszko.

ŚWIĘTOSŁAWA owinęła się mocniej płaszczem, ale deszcz zacinał pod takim kątem, że jego przenikliwe niczym igły krople wbijały się jej pod kaptur.

— Jesteśmy na miejscu, pani — powiedział Godwine, młody możny, którego Knut wysłał do Londynu przodem z pewną subtelną misją. — Przed nami Northampton.

— Ponuro tu — oceniła Świętosława.

— Królowa nie może się mylić — odpowiedział uprzejmie. — Lecz gdybyśmy przybyli na miejsce w rozkwicie wiosny, być może wyraziłaby się o nim łaskawiej.

Parsknęła śmiechem.

— Masz skalda w rodzinie? — spytała.

— Nie, pani.

— A zatem pochodzisz z jednego z tych słynnych angielskich rodów rycerskich, które od pokoleń przebywały na królewskim dworze — oceniła. — Czy poza uprzejmością, mój Godwinie, w twych żyłach płynie jeszcze trochę krwi?

— Nie rozumiem, co moja pani ma na myśli — zaniepokoił się i wypogodził od razu — ale z góry się zgadzam z królową.

Przed nimi zamajaczył kamienny dwór, choć poza tym, że jest spory, trudno było coś o nim powiedzieć. Rozmywał się w strugach deszczu. Niemrawy strażnik pilnował zepsutej, wiązanej sznurem bramy, która kolebała się na urwanym zawiasie.

— Godwinie — Świętosława zatrzymała konia na chwilę — znam dyskretne zadanie, jakie powierzył ci mój syn.

— Domyślam się, pani — poważnie odpowiedział młodzieniec. — Odnalezienie żony króla Edmunda to rzecz delikatna i powinna się odbyć z poszanowaniem jej praw.

Zwłaszcza że Thorkel Wysoki odznaczył się bezwzględną stanowczością i kompletnym brakiem taktu, odbierając jej dzieci — pomyślała i poczuła się winna. — Kazałam mu je znaleźć i przywieźć do Londynu, wykonał

rozkaz i włos z głowy chłopców nie spadł. Ale Edith, ich matka, zdołała uciec.

— To jedno, Godwinie — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. — I wiem, że mój syn zrobił słusznie, wyznaczając akurat ciebie do przeprowadzenia zadań delikatnych. Zdajesz się mieć do nich talent. Ale — zawahała się przez krótką chwilę — w tej drugiej sprawie… pozwól, że sama podejmę decyzję.

Nawet jeśli Godwine był zaskoczony, nie okazał tego.

— Pani, obiecałem królowi, że sprowadzę jego żonę do Londynu — powiedział.

— Mój syn jeszcze nie wie, ile spraw czeka na niego — odrzekła wymijająco. — Jego decyzja o sprowadzeniu najbliższych jest pochopna. Elfgifu, mały Sven i ten chłopczyk, którego urodziła ledwie miesiąc temu, powinni spędzać czas z dala od kłębowiska żmij, jakim jest dwór londyński.

— Zgadzam się z tobą, królowo, ale…

— Robimy to dla ich dobra, Godwinie — weszła mu w słowo i ruszyła ku bramie.

— Robimy? — jęknął Godwine. — Przecież protestowałem…

— Będę o tym pamiętała — rzuciła przez ramię.

Choć otoczenie dworu przedstawiało widok godny pożałowania, strasząc zepsutą bramą, walącą się stajnią, błotem podwórza i paradującymi w nim prosiakami, wnętrze domostwa było czyste, pachnące i ciepłe. Elfgifu przywitała ich, siedząc w wielkim krześle przy ogniu i karmiąc niemowlę.

— Królowa i pan Godwine! — powiedziała, unosząc głowę. — To znaczy, że mój król po mnie przysłał. Wybaczcie, że nie wstanę, by was powitać, ale mam dziedzica tronu, królewicza Haralda, przy piersi.

— Nadałaś mu imię, nie czekając na Knuta? — zdziwiła się Świętosława.

— No cóż — wyniośle odpowiedziała Elfgifu — mój mąż i pan zajęty sprawami królestwa, miałam do synka mówić „chłopczyku”? Jak sądzisz, pani? Knut będzie zadowolony? To imię jego dziada i brata, słynne w waszej dynastii. Królewskie.

— Zapewne — wymijająco odpowiedziała Świętosława i oddawszy mokry płaszcz służącej, usiadła.

Elfgifu wydała polecenia w sprawie wieczerzy i spytała.

— Kiedy ruszamy?

Godwine uśmiechnął się współczująco i rzekł:

— Pogoda nieznośna. Najgorsza na podróż z małymi dziećmi.

— Daj spokój, panie — oschle odpowiedziała Elfgifu. — Gorsze rzeczy przeszłam w życiu niż zimowy deszcz.

Mały zasnął i wypuścił sutek matki z ust. Godwine odwrócił się dyskretnie. Elfgifu przeciwnie, nie schowała piersi, jakby nie czuła się skrępowana swą usprawiedliwioną macierzyństwem nagością.

— Chcesz potrzymać wnuka, Świętosławo? — spytała i nie czekając na jej odpowiedź, wyciągnęła ku niej ramiona z synkiem.

Świętosława nie miała wyjścia, wstała i wzięła od niej dziecko. Spojrzała na czerwoną twarzyczkę. On nawet jest podobny do małego Haralda — pomyślała i w tej samej chwili chłopiec, nie otwierając oczu, zaczął płakać. Poruszyła ramionami, chcąc go ukołysać, ale rozdarł się od tego jeszcze bardziej.

— Nie lubi kołysania — powiedziała Elfgifu.

Wciąż nie schowała piersi.

— Weź go. — Świętosława wepchnęła jej płaczące dziecko z powrotem w ramiona. — Nakarm albo ucisz.

Uspokoił się natychmiast. Elfgifu skwitowała to tryumfalnym uśmiechem.

— Nie lubi kołysania — powtórzyła — ale bardzo lubi mamusię. Prawda, malutki? Mój królewicz, mój słodki królewicz.

— Pani — przejął inicjatywę Godwine — szukamy śladów po szlachetnej Edith, żonie zamordowanego króla Edmunda.

— U mnie? — zdziwiła się Elfgifu. — Nie mam z nią nic wspólnego.

— Masz — twardo oświadczyła Świętosława. — Pierwszy mąż Edith był twoim krewnym. Jak on się nazywał?

— Sigeferth — podpowiedział Godwine.

Elfgifu syknęła jak rozzłoszczona kotka.

— Macie czelność przypominać Sigefertha? Co wy o mnie wiecie? — Na jej policzki wystąpiły ciemne rumieńce, jak plamy po uderzeniach. Dziecko w jej ramionach spało, mimo że odezwała się głośno.

— Wiadomo, pani, że Sigeferth opiekował się tobą po śmierci szlachetnego Elfhelma, twego ojca — spokojnie odpowiedział Godwine. — I że gdy Sigeferth zmarł, młody król Edmund poślubił wdowę po nim, Edith. Stąd rozumiemy, iż teraz, gdy nieszczęsna pani Edith owdowiała po raz drugi, po Edmundzie, możesz wiedzieć, gdzie przebywa. Bez obaw, Elfgifu — zastrzegł Godwine. — Naszym zamiarem nie jest skrzywdzenie Edith, przeciwnie, chcemy zadbać o jej bezpieczeństwo.

Gdy młody możny skończył mówić, Elfgifu się zaśmiała. Najpierw krótko, a potem, odchyliwszy głowę do tyłu, zaniosła się niemal histerycznym śmiechem. Nie zasłaniała ust, jej błyszczące, białe zęby lśniły jak u drapieżnej kotki. Świętosława i Godwine wymienili się spojrzeniami.

Do komnaty weszła służka z małym Svenem na ręku. Elfgifu umilkła, pogładziła główkę Haralda i bez słowa wyciągnęła rękę do starszego syna. Ten nieśmiało zerknął na gości, a potem szybko wtulił się w matkę. Pocałowała jego jasne włosy i posadziła przy swym boku, na szerokim krześle. Potem wyprostowała się i wysoko uniosła podbródek.

Królowa matka i jej dwóch synów — przebiegło przez głowę Świętosławy. — Elfgifu chce, byśmy taką ją widzieli.

— Skoro wasza wiedza na temat Sigefertha i Edith jest tak płytka — powiedziała wyniośle — pozwólcie, że was oświecę.

Zawsze była dumna — pomyślała Świętosława, przywołując chwilę, gdy powitała synową na przystani w Roskilde. — Ale kiedy stała się tak pyszna?

— Mój ojciec, Elfhelm, ealdorman południowej Northumbrii, był jedną z pierwszych ofiar złożonych na drodze Knuta do angielskiego tronu. Zginął, bo był wizjonerem. Bo prędzej niż inni zrozumiał, że przyszłością Anglii są rządy Duńczyków. To mój ojciec — powiedziała z naciskiem — przyszedł do króla Svena na długo przed tym, nim mój szlachetny teść zdobył Londyn i tytuł króla Anglii. I to mój ojciec zaproponował mu pomoc, gdy dla wszystkich innych Sven był wyłącznie dzikim wikingiem, najeźdźcą i barbarzyńcą. Dowodem szczerości jego intencji doprowadzenia Svena do tronu było spowinowacenie naszych rodów przez moje małżeństwo z Knutem. — Położyła dłoń na głowie starszego synka i zwróciła się do niego, zmiękczając głos: — Twoim tatusiem, kochanie. — Gdy uniosła głowę, znów mówiła twardo. — Ale Elfhelm zapłacił życiem za swą wizję Anglii silnej i dumnej. Gdy Sven odpłynął do Danii, do naszego dobrego, spokojnego domu przyjechał z wizytą Eadric Streona. Zapamiętaj, co dalej powiem, pani — zwróciła się do Świętosławy — bo to ty zmusiłaś mego męża do sojuszu z tym potworem.

Gdyby nie była matką mych wnuków, napuściłabym na nią rysicę — pomyślała Świętosława.

Elfgifu kontynuowała:

— Mój ojciec podjął go wieczerzą, podczas której i ja, niedorosła dziewczyna, siedziałam przy stole. Jadłam i piłam ze Streoną, ojcem,

Ufegeatem i Wulfheahem, mymi kochanymi braćmi, ogień strzelał jak dzisiaj, jasno i wesoło, a ja nie miałam pojęcia, że to ostatni wieczór mego dzieciństwa.

Mały Sven spojrzał na matkę jasnymi oczami i przytulił się do jej ramienia. Objęła go i kontynuowała:

— Nazajutrz Eadric Streona zaprosił mego ojca wraz z nami do Londynu. „Król Ethelred chciałby osobiście pomówić z ealdormanem południowej Northumbrii i poznać jego wspaniałą rodzinę” — tak powiedział. Ojciec był niespokojny. Czuł, że to zaproszenie kryje w sobie złowieszczą zapowiedź. Nie mógł odmówić, Streona był głosem króla. W tajemnicy wcisnął mi garść suszonych jagód i kazał je zjeść. Wykonałam polecenie rodzica i niemal natychmiast dostałam wysokiej gorączki. Nie mogłam towarzyszyć ojcu i braciom w podróży.

Mały Harald poruszył się w jej ramionach. Natychmiast podała mu pierś i pocałowała w czoło.

— Ciało ojca, okrutnie okaleczone, odesłano do domu po dwóch tygodniach. Razem z nim przybyli moi bracia, Ufegeat i Wulfheah. Zwłoki Elfhelma wleczono na wozie, a mych braci w klatce. Na oczach mieli opaski pokryte zakrzepłą krwią, ropą i brudem. Na rozkaz Streony zostali oślepieni.

Serce Świętosławy zabiło szybciej. Harald to niemowlę, ale mały Sven z pewnością co nieco rozumie. Czy powinna przy dziecku mówić takie rzeczy?

— Tamta sprawa wstrząsnęła krajem — ostrożnie powiedział Godwine. — Śmierć twego ojca miała być przestrogą dla innych możnych, którzy chcieli sprzyjać Duńczykom. Król Ethelred podejrzewał, że cała Northumbria skłania się ku nim.

— Oczywiście — lekceważąco skwitowała jego wypowiedź Elfgifu, skupiając się na swojej historii. — Odesłano mnie do krewnego ojca, Sigefertha. Pytacie, czy znałam jego żonę, Edith? Znałam jako okrutną i surową gospodynię, która mnie, młodziutkiej, skrzywdzonej przez los dziewczynce nie szczędziła wyniosłości, kuksańców i wypomnień, że przez moją obecność w ich domu narażamy się królowi. Każdego dnia słyszałam, że za czyn mego ojca zapłacimy wszyscy. A Sigeferth? Straszył, że jeśli Duńczycy nie odbiorą mnie szybko, sam się do mnie dobierze. Błogosławiłam dzień, gdy Sven na czele wielkiej armii powrócił, zabrał mnie z rąk mych piekielnych opiekunów i oddał Knutowi. Tak, synu — zwróciła się do starszego — mówię o twym dziadku, Svenie, i twym tatusiu, Knucie. Królu Knucie. — Poklepała go po policzku. — Gdy usłyszałam, że podczas naszego pobytu w Roskilde Streona doprowadził do uwięzienia Sigefertha i Edith, ucieszyłam się. Należało się im. Sigefertha stracono, ale ona miała więcej szczęścia. Edmund zagarnął ziemię mego uśmierconego wuja i na znak protestu przeciw polityce Streony, bo chyba nie macie wątpliwości, że to on wtedy rządził, a nie ten niezguła Ethelred, wyciągnął Edith z więzienia i pojął za żonę. Piękna Edith, tak żarliwie zapewniająca o miłości do mego wuja, Sigefertha, nie miała oporów, by natychmiast iść do łoża z następcą tronu, Edmundem.

— Skąd wiesz? — kwaśno spytała Świętosława. — Skąd wiesz, że nie miała oporów? Że poszła z własnej woli?

— Bo dała sobie zrobić dwójkę dzieci w tak krótkim czasie! — syknęła Elfgifu. — Jedno za drugim!

— Ty też — bezwzględnie i zimno powiedziała Świętosława.

Elfgifu zatkało. Godwine’a także.

— Jak śmiesz?! — krzyknęła na Świętosławę. — Jak śmiesz porównywać mnie do tej dziwki, Edith?!

— Nie miałam takiego zamiaru — spokojnie odpowiedziała królowa. — Po prostu stwierdziłam fakty.

— Nie wolno ci porównywać mnie i Knuta z Edith i Edmundem! — Elfgifu nie mogła się uspokoić. — Słyszycie? Babka obraziła waszą mamusię!

— Hamuj się, Elfgifu — krótko odpowiedziała Świętosława.

— Mówisz do królowej, pani — upomniał ją Godwine.

— Przepraszam — warknęła. — Uniosłam się, bo bardzo kocham twego syna, Knuta, i zabolało mnie to porównanie.

— Zatem nie wiesz, gdzie mamy szukać Edith? — zapytał Godwine.

— Nie, ale po co wam ona? Już nic nie znaczy. Edmund nie żyje, dzieci jej odebraliście, a krewni Edith nie upomną się o nią.

— Powinna się połączyć z synami — powiedział Godwine.

— Niby dlaczego? — Elfgifu wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niemal czule do śpiącego w jej ramionach Haralda.

Ona jest okaleczona. — Świętosława to zrozumiała, patrząc, jak tkliwie zajmuje się własnymi synami i jednocześnie potrafi być okrutna dla innej matki. — To, przez co przeszła, ją wynaturzyło.

— Tak, moi mali. — Elfgifu pogłaskała chłopców jednocześnie. — Mamusia nazwała was na cześć duńskich przodków, choć mogła dać wam imiona własnego ojca albo braci. Ale wasza mamusia dobrze rozumie potrzeby dynastii. Synowie duńskiego króla Anglii muszą nosić imiona duńskie.

Uniosła głowę i spojrzała Świętosławie prosto w oczy, mówiąc:

— Wszystko straciłam przez Knuta i dlatego on i dzieci są teraz dla mnie wszystkim. Do Londynu ruszamy jutro?

— Godwine i ja — odpowiedziała Świętosława. — Ty z synami zostajesz. Przyślemy po was, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Przez ładną twarz Elfgifu przeszedł skurcz. Zacisnęła usta, by go opanować. Świętosława spodziewała się kolejnego wybuchu, ale nie, Elfgifu zamilkła.

— Zostawimy ci kilku ludzi, którzy pomogą odbudować bramę — powiedział Godwine. — Król Knut życzy sobie, abyś była, pani, bezpieczna.

— Chce mnie zamknąć w twierdzy? — zapytała.

— Northampton w niczym nie przypomina twierdzy. To piękna, wiejska posiadłość, nieco zrujnowana przez ostatnie wypadki — wymijająco oznajmił Godwine. — Trzeba jej przywrócić świetność.

— Oczywiście — odpowiedziała Elfgifu i uśmiechnęła się. — Przywrócić świetność, tak by była godna obecności królewskich synów i jego żony, przyszłej królowej Elfgifu.

KNUT przyjechał do Londynu. Nie zdobywał go z nurtu Tamizy, jak pół roku wcześniej. Po prostu wjechał warownym mostem, na którego końcu czekała na niego matka i Thorkel.

— Królu Knucie! — powitała go Świętosława.

Zobaczył, że matka nie ma na sobie kolczugi, i już chciał ją skarcić za brak roztropności, gdy dostrzegł, że Wielki Ulf stojący za jej plecami trzyma w potężnej dłoni proporzec. Piastowski orzeł ze smokiem w pazurach.

— Królowo matko! — zawołał. — Wodzu Thorkelu!

Wiedział, że to jomswiking pojmał przyrodniego brata Edmunda, Eadwiga Ethelinga, a potem synów zamordowanego króla. Thorkel wyrastał na człowieka, który wykona każdy rozkaz. Powinien się cieszyć, a mimo to czuł lęk.

Przejechał bramę, zsiadł z konia i pieszo, jak pielgrzym, razem z całą świtą udał się na zamek. Rozglądał się po bokach i myślał: Boże, za to

miasto zginęło tylu moich druhów?

Rozmiękła w zimowej porze gliniasta droga. Kramy kupieckie jedne na drugich ciasno opinające niewysokie wzniesienie, jak grzyby porastające pień drzewa. Smród nieczystości bijący z przyległych zaułków. Londyn znacznie godniej wyglądał zza murów niż od strony ich wnętrza. Winchester był po wielekroć piękniejszy, a jednak tutaj, dzięki Tamizie, wpływały handlowe statki. To tu biło kupieckie serce Anglii. Udawał, że nie jest rozczarowany. Gdy przekraczał bramę zamku, zagrały na jego cześć rogi. W końcu poczuł bruk pod stopami. Stara rzymska rezydencja czasy świetności miała dawno za sobą. Proste, ale piękne w proporcjach mury kruszyły się tu i ówdzie, a współcześni budowniczowie nie zawracali sobie głowy dopasowywaniem do nich kamiennych tafli. Łatali gliną, na wiklinowej plecionce, co sprawiało wrażenie, jakby pleśń wdzierała się między stare kamienie.

— Czy Elfwig, biskup Londynu, jest obecny? — zwrócił się do matki.

— Nie — zaprzeczyła, nie zwalniając kroku. — Zaszył się gdzieś. Zjawia się czasami, by sprawować mszę w tutejszej katedrze i podburzać przeciw twym rządom. Wie, że straż Thorkela nie pojmie go podczas nabożeństwa, a gdy je kończy, znika. Rozpływa się w tłumie, pewnie w przebraniu.

Knut westchnął. Wojna z biskupem nie była mu do niczego potrzebna.

— Gdzie więzień? — zapytał Thorkela, gdy stanęli na dziedzińcu.

W głębi podwórca ustawił się dwuszereg dostojników i gości. Na ich widok poczuł się, jakby połknął kamień.

— W lochu zachodniej wieży, mój królu — odpowiedział jomswiking.

— Wyprowadzić go! — krzyknął Knut i odgarnął włosy lepiące mu się do czoła. — Sprawiedliwość nie lubi czekać. Matko, gdzie synowie Edmunda?

— Pod opieką piastunek — odpowiedziała Świętosława. — Starszy, ten, który towarzyszył Edmundowi, gdy zaprzysięgliście pokój, już nauczył się chodzić. Młodszy to niemowlę.

Knut założył nieznośny kosmyk za ucho i walcząc ze sobą, powiedział:

— Wiem, że to małe dzieci, ale powinny nam teraz towarzyszyć. Będę sądził zabójcę ich ojca. Matko, każ przywołać piastunki z dziećmi.

— Jak uważasz — odpowiedziała królowa i choć czuł, że to się jej nie podoba, natychmiast wydała polecenie służbie.

— Jestem przy tobie, panie — szepnął Eadric Streona, wybiegając z podcienia. Poły jego płaszcza były nieskazitelne, choć na dziedzińcu nie brakowało błota.

— Rychło w czas! — syknął Knut.

— Pracowałem nad czymś, co cię zachwyci, mój królu. Dowód mej lojalności poznasz dzisiaj podczas spotkania możnych.

Zniecierpliwiony natarczywością Pająka Knut skinął mu głową i wyszedł na środek podwórca. Spojrzał na zgromadzonych. Panowie Anglii i wodzowie czekali na jego decyzję. Po chwili na dziedzińcu zjawiły się dwie starsze damy, jedna z niemowlęciem, druga ze starszym synem Edmunda na ręku. Skinął im głową i poprosił, by zajęły miejsce tuż obok niego. Przyprowadzono więźnia.

Eadwig Etheling był jego rówieśnikiem. Szczupły, o chorowitej, ospowatej twarzy i w brudnym ubraniu. Budził litość, nie grozę.

— Eadwigu Ethelingu! — zawołał Knut, gdy skrępowanego więźnia postawiono przed nim. — Jesteś oskarżony o zamordowanie króla Edmunda, swego przyrodniego brata. Tylko ty zyskiwałeś na jego śmierci. Chciałeś zagarnąć jego tron! Co masz na swoją obronę?

Eadwig zabełkotał niezdarnie.

— Czy stryj zabrał was z zamku ojca na przejażdżkę? — łagodnie spytał Knut starszego syna Edmunda.

Dziecko kiwnęło głową i ukryło buzię w ramieniu piastunki.

— Chciałeś ich też zabić?

Eadwig znów wydał z siebie pogardliwy dźwięk zamiast odpowiedzi.

— Nie widzę okoliczności łagodzących — krzyknął do zgromadzonych Knut. — Widzę nieszczęśnika, który targnął się na brata. Za taki czyn zgodnie z prawem czeka go śmierć. Dość już czasu minęło. Kara ma zostać wymierzona natychmiast.

— Wyspowiadaj się — powiedział Lyfing, arcybiskup Canterbury, stojący przy Knucie.

Eadwig żachnął się gniewnie, a Knut skinął na kata. Nikt nie zaprotestował, gdy ten z lśniącym ostrzem topora zbliżył się do skazańca. Przygięto kark Eadwiga i młodzian padł na kolana, kładąc głowę na pieńku. Przez chwilę na dziedzińcu zapanowała całkowita cisza. Zadzwoniła Knutowi w uszach i uległ złudzeniu, że słyszy słodki dźwięk harfy. Głuchy odgłos topora wytrącił go z ułudy i głowa skazańca potoczyła się po dziedzińcu. Arcybiskup Lyfing zawołał, czyniąc znak krzyża w powietrzu:

— W imię Ojca i Syna…

Starszy syn Edmunda krzyknął ze strachu, a niemowlę zakwiliło. Knut pochylił się nad dziećmi.

— Nic wam nie grozi. Ja, przysięgły brat waszego ojca, biorę was pod swoją ochronę.

Matka podeszła i dotknęła jego ramienia.

— Dzieci nie są tutaj bezpieczne — powiedziała. — Odeślijmy je z Anglii jak najdalej, do dobrych domów.

— Dokąd? — zdziwił się.

— Jednego do twego przyrodniego brata, Olofa Króla Szwedów, drugiego do mego brata, Bolesława w Polanii. Tam zajmą się nimi i otoczą chłopców opieką stosowną do ich pozycji.

Popatrzyła na niego swymi różnobarwnymi oczami, aż poczuł dreszcz. Orzeł ze smokiem Wessexu w pazurach sztywno rozkładał skrzydła na proporcu. Głowa ptaka Piastów zwrócona była na wschód.

— Masz rację, matko. To nie jest miejsce dla królewskich dzieci — odpowiedział i skinął na Wilkomira. — Wodzu, choćbym chciał, nie mogę trzymać was przy sobie w nieskończoność. Obiecałem księciu Burizleifowi, że odeślę jego cennych pancernych, gdy stoczą dla mnie batalię o tron.

— Jesteś pewien, królu, że już nie będziemy ci potrzebni? — spytał Wilkomir, krzywiąc się, co nie było oznaką niechęci, jak zdążył się przekonać Knut, lecz jego zwykłym wyrazem twarzy.

— Dobrzy wojowie zawsze są potrzebni, ale myślę, że najważniejszą batalię stoczyliście dla mnie na polach Ashingdon, rozgramiając ciężką konnicę Edmunda. Walka, która mnie czeka, to gra nerwów i przejmowanie układów. — Knut położył rękę na ramieniu Wilkomira. — Zawieziesz swemu księciu dary od mnie i powierzę ci podróż obu królewskich synów. Niech opuszczą Londyn natychmiast, bo męczy mnie myśl, że ktoś czyha na ich życie.

Słudzy kończyli sprzątać dziedziniec po egzekucji. Głowę Eadwiga wrzucili do wiklinowego kosza, a okaleczone ciało załadowali na zaprzężony w muła wózek.

— Nie jestem niańką — skrzywił się wódz.

— Wilkomirze, mówisz do króla — upomniała go matka.

— Zaopiekuję się dziećmi w drodze. — Wilkomir skinął głową. — Ale muszą z nimi pojechać piastunki. Nie będę im zmieniał pieluch.

— Idź już, mój drogi stary przyjacielu — powiedziała ze smutnym uśmiechem Świętosława. — Odwiedzę cię, nim wypłyniecie, i przekażę dary dla brata.

Knut ruszył z dziedzińca do sali audiencyjnej londyńskiego zamku. Matka, z rysicą na smyczy, szła przy jego boku. Gdy inni oddalili się od nich, chwycił ją za dłoń i spytał:

— Ty to zrobiłaś?

— Nie — odpowiedziała.

Ruszyli dalej. Matka, która przebywała tu od dwóch tygodni, wydawała się znać zamek, jakby się w nim urodziła. Omijała dziury w kamiennej posadzce z wprawą bywalczyni.

— Dach przecieka — powiedziała, gdy skręcali w lewo.

— Ruina — wzruszył ramionami.

— Uhm. Ten Londyn… to nic takiego — przyznała.

Złapał ją za palce i Dusza, jej rysica, nagle stanęła, odwróciła łeb i zmierzyła go złotym spojrzeniem drapieżnicy.

— Kto wyrwał język Eadwigowi? — spytał.

— Nie wiem — odpowiedziała i ponagliła Duszę. — Idź, kotku! Panowie Anglii czekają. Stajenny tak się natrudził, by spędzić ich tu wszystkich. — Spojrzała na niego. — Podejrzanych jest wielu, a najbardziej ten, który naprawdę zabił Edmunda.

W sali zebrali się angielscy możni. Z Wessexu, Essexu, Mercii, Northumbrii. Strojny niczym książę Eadric Streona stał przed nimi i wyczekiwał wejścia króla. Gdy tylko go dostrzegł, zawołał:

— Król całej Anglii Knut! Niech żyje!

Arcybiskup Canterbury, Lyfing, stając przy Knucie, powiedział:

— Król Knut wypełnił obowiązek wobec króla Edmunda. Stał się mścicielem przysięgłego brata. Nie ustał, póki nie znalazł winnego.

— I na dowód szacunku, jaki żywimy wobec tej prawości — powiedział Streona, a oczy ukryte w fałdach powiek mu zalśniły — mamy dla króla Knuta naszą wspólną odpowiedź. Otóż uradziliśmy ze wszystkimi możnymi królestwa Anglii, że w sytuacji, która zaszła, w obliczu śmierci Edmunda, najlepszym rozwiązaniem będzie unieważnienie praw jego spadkobierców do południowych i zachodnich krain Wessexu i uznanie, iż jedynym władcą królestwa Anglii jest Knut. Niech żyje król!

Knut był tak zaskoczony przebiegiem sprawy, że zmarszczył brwi. Ale za Streoną stali inni i to oni krzyczeli:

— Król Knut! Niech żyje król!

Boże — pomyślał — kłębowisko żmij właśnie ogłosiło mnie jedynym królem.

— Może decyzja o odesłaniu chłopców do twego i mego brata była przedwczesna — zapytał szeptem matki, gdy oboje szli zasiąść na podwyższeniu — skoro właśnie ich wydziedziczyli?

— Ostrożności nigdy za wiele — zaprzeczyła i oboje usiedli.

— Gdzie Godwine? — zapytał.

— Szuka Edith, choć sprawa wydaje się beznadziejna — szepnęła.

— Miał sprowadzić do Londynu moją żonę i synów — przypomniał zniecierpliwiony Knut. Był zmęczony, przygnębiło go śmiertelne widowisko.

— Jesteś pewien, że miejsce, gdzie nieznany sprawca wyrywa twemu więźniowi język, to dom dla twych dzieci? — odpowiedziała mu z przekąsem matka.

Znowu w duchu przyznał jej rację.

Zaczął się korowód panów, z których każdy chciał stanąć przed królem i powiedzieć swe imię. W przerwie między jednym a drugim Knut szepnął:

— Streona znów udowodnił, że wszystko w tym kraju zależy od niego.

— Jest sposób, by to zmienić — odszepnęła Świętosława. — I chcę ci go przedstawić zaraz, gdy skończy się to przedstawienie.

ŚWIĘTOSŁAWA poprowadziła syna do zachodniej wieży.

— Knucie, poznaj królową Emmę, wdowę po Ethelredzie. Emmo, dobrze, byś się dowiedziała jako pierwsza. Właśnie unieważniono prawa synów Edmunda do dziedziczenia tronu. Mój syn jest jedynym prawowitym władcą całego królestwa.

Emma nie była wystraszona, choć w ciemnozielonej sukni nie wyglądała dobrze. Na jej twarzy kładły się cienie. Odłożyła harfę i ukłoniła się Knutowi sztywno.

Jak królowa uzurpatorowi — przebiegło przez myśl Świętosławie.

Jej syn był zaskoczony; nie wyjawiła mu, dokąd idą.

— Mogę cię zapewnić, pani, że tobie i twym dzieciom nic z mojej strony nie grozi — powiedział do Emmy.

— Wolę nie polegać na twych zapewnieniach — odpowiedziała dumnie. — Po tym, co dzisiaj zrobiłeś Eadwigowi… Jak można sądzić kogoś, kto nie może się bronić? Doceniam mistrzowskie posunięcie. Za jednym zamachem pokazałeś ludziom, jaki z ciebie sprawiedliwy mściciel, i pozbyłeś się kolejnego pretendenta do tronu. Ach! — żachnęła się. — Odesłałam synów do Normandii. Wolę, by byli na łasce mego brata niż na łasce takiego zwycięzcy jak ty.

— Niepotrzebnie się unosisz — chłodno odpowiedział jej Knut. — To nie ja wskazałem Eadwiga jako winnego, lecz dworzanie Edmunda. Pomów z arcybiskupami, byli przy tym.

Emma zmarszczyła brwi i cofnęła się w stronę okna. Świętosława stanęła między nimi.

— Dobrze, że się polubiliście. — Uśmiechnęła się, gładząc rysicę po łbie. — Jak słyszę, Emmo, podziwiasz mego syna za męstwo, opanowanie i

niezwykłą w Anglii szybkość działania.

Emma otworzyła usta, ale Świętosława nie dała jej dojść do słowa.

— A tobie, Knucie, zapewne podoba się królowa wdowa, córka księcia Normandii, Ryszarda, równie nieustraszona jak jej ojciec, a do tego mądra.

— Do czego zmierzasz, matko? — spytał Knut, pocierając czoło.

— Do szczęśliwego rozwiązania. — Podeszła do syna i ujęła go za rękę.

Kiedy dłoń mu tak stwardniała? — przebiegło jej przez głowę. Chwyciła i Emmę, mówiąc:

— Powinniście się pobrać.

I połączyła ich dłonie, ustępując krok w tył.

Bardziej zaskoczony był Knut niż Emma. Puścił dłoń królowej, mówiąc do nich obu:

— Ja już mam żonę. Elfgifu właśnie urodziła mi drugiego syna.

Ale nie wściekł się i nie uniósł głosu.

— Nie przeczę, że masz z Elfgifu synów, ale nie zawarliście małżeństwa przed Bogiem. Daliście sobie słowo i tyle — odpowiedziała Świętosława. — Więc zgodnie z prawem Elfgifu nie jest twoją żoną.

— Nie mam zamiaru dzielić łoża i życia z barbarzyńcą — wyniośle odrzekła Emma.

— Moja piękna, czyżby twój ojciec był niewiniątkiem? — Świętosława się zaśmiała. — Nie używaj nieprzyjemnych słów, gdy mówisz do swego króla. Nawet jeśli nie zgadzasz się z faktami, to nie możesz im zaprzeczyć, Emmo. Armia mojego syna obsadziła całe królestwo. Edmund nie żyje, a jego synowie nie mają już praw do tronu. Król jest jeden i właśnie stoi przed tobą, pani. No dobrze, to pierwsze spotkanie już za nami, macie o czym myśleć, moi drodzy. Nie będę wam przeszkadzać, wyjdę. — Odwróciła się i pociągnęła rysicę.

— Ja nie zostaję — zimno powiedział Knut i ruszył za nią.

No, Duszo — pomyślała — teraz nam się dostanie.

Słyszała kroki syna za sobą; milczał, choć wolałaby, żeby się trochę powściekał, nim dojdą do jej komnaty. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, nie unikała starcia. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z synem. Był blady z wściekłości. Niepokorny kosmyk jasnych włosów wysunął mu się zza ucha i opadł na czoło.

— Jak mogłaś mi to zrobić? — syknął. — Powinnaś najpierw pomówić ze mną.

— Nie, bo wówczas Emma utrwaliłaby w sobie przekonanie, że jesteś taki sam jak Streona, jak oni wszyscy. A tak, ja wyszłam na intrygantkę, a ty na prawego króla.

— Nie ma mowy, matko. Nie ożenię się z Emmą, nie złamię słowa danego Elfgifu! — Jego twarz drżała z gniewu.

— No widzisz? Jesteś prawy.

— Nie igraj ze mną! — wrzasnął.

Po raz pierwszy krzyknął na mnie — pomyślała, ale nie miała do niego żalu, przeciwnie, raczej poczuła szacunek do syna.

— Zacznij myśleć — odpowiedziała spokojnie. — Streona podał ci dzisiaj jak na tacy wszystkich angielskich możnych. Przysięgli w obecności arcybiskupów twoje prawa do korony całej Anglii. Teraz musisz zamienić się w ich oczach z uzurpatora, który siłą zdobył władzę, w prawowitego następcę ich własnych królów. Małżeństwo z wdową po ostatnim z nich jest w tym ciągu zdarzeń posunięciem kończącym bitwę. Rozumiesz?

Oddychał ciężko, wciąż był wściekły.

Rozumie — pomyślała — ale jeszcze się ze mną nie zgadza.

Odwróciła się i podeszła do stołu.

— Wolisz wino, jak twój ojciec? — zapytała.

— Miód — warknął.

Nalała do dwóch kielichów i podała jeden synowi.

— Kochasz Elfgifu? — spytała miękko.

— Tak — odrzekł, choć nie usłyszała w tym żarliwości.

— To teraz opowiem ci, jak twój ojciec mnie poślubił — odparła.

— Wiem jak. Przypłynął do Sigtuny po śmierci twego pierwszego męża…

— I pojął za żonę królową wdowę, dzięki czemu pokój zapanował w obu skłóconych wcześniej królestwach. Pięknie! Jakby skald to wymyślił, co? — Zaśmiała się twardo i upiła łyk. — A o tym, że zamiast za barbarzyńcę Svena chciałam wyjść za króla Norwegii, Olava Tryggvasona, ktoś ci mówił? Że odmówiłam mężczyźnie, którego kochałam jak własną duszę? Że Sven przybył po mnie z flotą gotową do inwazji? Miałam wybór: wojna i śmierć syna albo pokój i łoże Svena. Nikt o tym po latach nie pamięta, bo plan twego ojca się powiódł: połączył sojuszem dwa królestwa. Masz dowód. Łodzie mego syna, Olofa, pomogły ci zdobyć Anglię.

Knut patrzył na nią, jakby pierwszy raz ją widział.

— Dlaczego ojciec cię wygnał? — zapytał.

— Bo odkrył, że wciąż kocham Olava — odpowiedziała cicho.

— Nie miałem o tym pojęcia. — Jej syn potarł czoło.

Usiadła, odstawiając kielich. Dusza natychmiast położyła wielki łeb na jej kolanach.

— Nie mam zamiaru grać na twych uczuciach — powiedziała — ani brać cię na litość. Po prostu wiem, że jeśli poślubisz Emmę, będziesz traktował ją jak królową i spłodzisz z nią dzieci, które odziedziczą po tobie koronę, to możni i prosty lud naprawdę uznają cię za króla. I nie będzie mógł tego zmienić nawet Eadric Streona. Dzięki Godwine’owi, Thorkelowi

i arcybiskupowi Lyfingowi znamy już połowę jego sieci. Dni Pająka zaczną być od tej chwili liczone.

BOLESŁAW wiedział już, kim była dziewczyna w sukniach o barwie paproci i mchów. Dowiedział się, że to Predsława, jedna z cór kniazia Wladimira i sióstr Jarosława. Pierwsza w orszaku, który przybył ze Światopołkiem po Sławę, gdy pod Przemyślem spotkali się pośrodku Sanu. Prawie dziesięć lat! Jego córka niewiele zaznała przez ten czas dobrego. Czuł, że pewnie przeklina go za małżeństwo ze Światopołkiem, które ściągnęło na nią więzienie, porwanie, ciągłe ucieczki. Dziesięć lat, a on wciąż pamiętał oczy, usta i smukłą sylwetkę tamtej dziewczyny. Siostry wroga.

— Chcesz odbić Sławę czy zdobyć Predsławę? — spytał go pewnego wieczoru Zarad, gdy był wystarczająco pijany, by zadać to pytanie swemu księciu wprost.

Bolesław roześmiał się wtedy, a Zarad, padając na ławę, wymamrotał:

— Mój książę zawsze walczy o wszystko.

Prawda. Przez Daniłę opłacił zagon zwiadowców i szpiegów, którzy mieli wytropić jego córkę, a Rusin po powrocie znad wschodnich granic powiedział:

— Jarosław trzyma księżniczkę Sławę przy sobie i strzeże pilnie jak skarbu. Dostęp do niej mają tylko służki, które sam dla niej wybrał, dzień i noc warują przy jej komnacie zbrojni.

— Psiakrew! Traktuje moją córkę jak zakładniczkę — zaklął Bolesław i pomyślał: Dobrze, że Emnilda tego nie dożyła.

— Kniaziu, można dotrzeć do takich, co chcą ci służyć i bez zapłaty. Do tych, którzy mają dość srebra i dość Jarosława.

— Co mówisz?

— To mówię, wielki kniaziu, że Jarosław niewoli młodszych braci do wojny ze Światopołkiem. I to jeszcze, że nie każdy z nich widzi w Jarosławie władcę. Taki Briaczesław, na przykład. Powiadają o nim „najpiękniejszy z synów Wladimira”…

— Z której żony? — przerwał Danile.

Rusin się zaśmiał.

— Mówią, że z tej samej co Jarosław, z kniahini Rognedy. Ale uroda Briaczesława ciemna, jak z Ewodii Greczynki, matki naszego Światopołka.

— To może syn nałożnicy, co? Stary Wladimir miał ich całe setki.

— Gdyby on był nałożnicy, to by w złotem haftowanych kaftanach nie chadzał, wielki książę, a Jarosław nie trzymałby go blisko, przy sobie.

— Chce przejść na moją stronę? — zmierzał do konkretów Bolesław. — Wydobędzie Sławę z niewoli brata? Obiecaj mu ode mnie, co zechce. Wszystko spełnię, jak dziewczyna znów będzie w domu.

Niezmordowany Daniła ruszył na Ruś, ale nie tylko z tajemną misją do Briaczesława, ale i z oficjalnym poselstwem do kniazia Jarosława. Bolesław, w którego głowie obraz córki wciąż mieszał się ze wspomnieniem Predsławy, znalazł sposób, by mieć je obie, i kazał Danile mówić: „Wielki książę Bolesław po stracie umiłowanej żony Emnildy zwraca się do księcia Jarosława o rękę jego siostry, Predsławy. Zamierza wziąć ją za żonę i uczynić pierwszą panią Polanii. Książę prosi, by w orszaku ślubnym narzeczonej Predsławy przybyła do Polanii jego rodzona córka, Sława, zamierza bowiem odebrać ją Światopołkowi, gdyż nie jest godzien książęcej córki mąż, co nie umie jej chronić”.

Ale Jarosław zamiast Sławy i Predsławy odesłał Daniłę z niczym.

— Widziałeś ją? — spytał książę.

— Nie, kniaziu. Jarosław, chytry lis, nie przyjął mnie w Kijowie, tylko wyjechał przed bramę ze swą świtą i słuchał, co mam do powiedzenia, nie

zsiadając z konia. Mówił, że polować jedzie, czasu na przyjmowanie posłów nie ma. To źle wróży naszym sprawom. Do Briaczesława też nie zdołałem przemówić, bo młodego księcia nie było w orszaku.

W Bolesławie się zagotowało.

— Obraził mego posła, obraził i mnie! Skąd ta buta?

Chodził wściekły, rozstawiał służbę po kątach, a tydzień po Danile do Poznania dotarł wycieńczony, ale świetnie odziany ruski jeździec.

— Ktoś ty? — spytał Bolesław, przyjmując go w sali audiencyjnej.

— Igor, sługa kniazia Briaczesława — odpowiedział młodzieniec. — Uciekłem przez Bug.

— Masz moją córkę?

— Nie, panie. Mam wieści. Kniaź Jarosław zawarł potajemny sojusz z cesarzem Henrykiem. Wymienili posłów, dary i znaki. Chcą uderzyć na ciebie jednocześnie ze wschodu i zachodu, książę.

W sali audiencyjnej zapanowało milczenie. W tej ciszy śmiech Bolesława zabrzmiał jak grom.

— Wstań z kolan, sługo Briaczesława! — krzyknął Bolesław. — Dzisiaj świętujemy przyjście na świat mego pierwszego wnuka, syna Mieszka. Wiesz, jak dajemy mu na imię? Karol. Kazimierz Karol, na pamiątkę cesarza Karola Wielkiego. Cesarz Otto III podarował mi jego tron, a mój pierworodny, książę Bezprym, był z nim, gdy otworzyli grób Karola.

Igor patrzył na niego z napięciem, jakby sądził, że postradał zmysły. To bawiło Bolesława niepomiernie.

— Gościu, mój gościu — mówił dalej książę. — Umyj się, przebierz, boś zdrożony, a potem przyjmij me zaproszenie na ucztę z okazji narodzin wnuka.

— Ależ wielki książę… — szepnął Igor. — Pędziłem do ciebie, byś wiedział, co knują, byś zdążył przygotować obronę…

Bolesław wstał z tronu i zszedł z podwyższenia. Objął Igora ramieniem i poklepując po plecach, oddał w ręce swych dworzan.

— Igorze! — zawołał, gdy ci wyprowadzali posłańca. — Świętujmy narodziny mego wnuka. Uczta!

A potem został sam z Zaradem, Daniłą, Stojgniewem i swym Mieszkiem.

— Wojsko ma być gotowe. Ruszamy nazajutrz po uczcie. Mieszko, pojedziesz tam, gdzie zawsze, na linię Odry. Weź dwa hufce i obsadź nimi granice. A ja ruszę na wschód. Chcą wziąć mnie w kleszcze? Niedoczekanie. Rozewrę je, nim oni zdążą zacisnąć!

Ostatnie lata dowiodły siły jego wojsk; będąc w stanie ciągłej wojny, nabyli niezwykłej wprawy w boju. Do perfekcji doszlifowali szybkość, przemierzając rozległy kraj niemal błyskawicznie. Wreszcie, walcząc z tak różnymi przeciwnikami — Sasami, Bawarami, Czechami, Wieletami, Lucicami, Rusinami — wyszkolili dziesiątki młodych, silnych i doświadczonych wojów.

Zwiadowcy, zmieniający kilka razy na dzień konie, pędzili przodem, dostarczając meldunki. A Bolesław z trzema pancernymi hufcami w dwa tygodnie stanął nad Bugiem.

— W Brześciu siedzi zamknięty twój zięć, Światopołk. Obóz kniazia Jarosława o dzień dalej od Brześcia. Szykują się do oblężenia i rozstawiają czujki, by wiedzieć, czy nadjeżdżasz — zebrał wieści Daniła.

— Brodu pilnują? — dopytał Bolesław.

— Dziwne, ale nie pilnują — odpowiedział Daniła.

— Nie dziwne — odezwał się Igor, którego trzymali przy sobie. — Jarosław umie zastawiać sidła. Chcą cię, książę, wciągnąć w zasadzkę.

— Niech próbują. — Bolesław wzruszył ramionami.

— Mogą podpalić Brześć, byś przybył zięciowi na ratunek — ostrzegł Igor.

Bolesław prychnął gniewnie.

— W Brześciu nie ma Sławy. Nic mnie nie obchodzi, czy spłonie. Szykować się do przeprawy! — wydał rozkaz.

— Tak z marszu? — zdziwił się Igor, budząc tym nie pierwsze podejrzenia u księcia.

Daniła i jego ludzie znali bród. Trzy hufce pancernych sprawnie przeprawiły się przez Bug. Bolesław wiedział, że jego siłą jest szybkość. Gdy bronił się na zachodzie przed cesarzem, wciągał jego wojska w zasadzki. Mokradła, bagna, podstawieni przewodnicy, którzy wiedli ciężkozbrojnych na manowce. Skoro Jarosław i Henryk działali w zmowie, zadaniem kijowskiego księcia było jak najdłuższe związanie sił Bolesława na wschodzie. I właśnie dlatego zamiast dać się zwieść, zamierzał uderzyć błyskawicznie. Jego zwiadowcy meldowali o szpiegach Jarosława, którzy co koń wyskoczy jechali do księcia, by przestrzec, że polańskie hufce już po drugiej stronie rzeki. Nie dali im wiele czasu, bo ledwie książę kijowski odebrał meldunki, a rogi bojowe szpicy Bolesława już grały.

Spotkali się pod Brześciem. Bolesław widział drabiny i platformy przygotowane przez Rusinów do oblężenia grodu. Porzucali je teraz w popłochu, formując szereg zbrojny. Szacował ich siły. Nie więcej niż pięć setek konnych. On zaś przywiódł ze sobą dziewięciuset.

— Gdzie kniaź? — spytał Igora, okręcając się konno.

Młody Rusin wpatrywał się w szeregi.

— Nie widzę go — powiedział wreszcie. — Chorągiew z tryzubem jest na tamtym pagórku, ale księcia przy niej nie widzę.

— Ruszamy! — rozkazał Bolesław. — Zarad, prowadź natarcie.

Od strony nieprzyjacielskich szeregów oderwało się trzech jeźdźców z białą płachtą.

— Zarad! W bój! — powtórzył rozkaz książę.

— Chcą rozmawiać! — krzyknął Igor, wskazując na jadących ku nim posłów.

— Ale ja nie chcę — twardo powiedział książę.

Czytając w myślach swego pana, Daniła szybko wyjął miecz z pochwy Igora, a dwaj jego ludzie ściągnęli młodziana z konia. Krzyczał, że nie jest szpiegiem, ale nikt go nie słuchał.

— Nie zabijaj, zwiąż tylko i wrzuć między tabory — rozkazał Bolesław.

— Z Bogiem w bój! — krzyknęli pancerni pierwszego hufca i kępki wyrwanej darni poleciały spod kopyt ich koni.

Zarad wiódł frontalny atak na szeregi wroga. Bolesław odczekał, aż usłyszy szczęk zwierających się ze sobą zbrojnych, i gdy stal zagrała, natychmiast przegrupował dwa hufce, które mu zostały. Daniła dostał rozkaz okrążenia Brześcia i ataku na tyły wroga, a on sam powiódł pancernych na drugie skrzydło.

Chcieli kleszczy? — myślał mściwie, gdy jego koń rozpędzał się w galop. — Oto one!

I uderzył w bok rozpaczliwie broniących się Rusinów.

Widział pióra na szyszaku Zarada. Druh, niczym grot włóczni, wbił się w trzewia kijowskich szeregów i dobijał rannych. Bolesław zwarł się z przysadzistym jeźdźcem.

Straż przyboczna Jarosława — pomyślał, patrząc na hełm zdobiony tryzubem.

— Ktoś ty? — krzyknął do niego, unosząc miecz.

— Awija — odwarknął tamten, mierząc się na księcia.

Bolesław sparował cios i od razu ruszył do kontrataku.

— Gdzie twój kniaź, Awija? — zawołał, wyprowadzając pchnięcie.

— Nie twoja rzecz! — wrzasnął tamten i zamarł na chwilę, a potem z ust chlusnęła mu krew.

No i zabiłem, nim dostałem odpowiedź — skarcił sam siebie Bolesław.

Odwrócił się, szukając następnych, ale w żelaznym pierścieniu, jaki błyskawicznie zacisnęły jego trzy hufce, walczyły tylko niedobitki. Usłyszał dźwięk obcego rogu. Osłonił się tarczą i uniósł w strzemionach. Niewielki oddział na pagórku daleko za polem walki wzywał Rusinów do odwrotu.

Tam może być Jarosław — pomyślał.

— Kogo kniaź wzywa? — zawołał wesoło Daniła, podjeżdżając ku niemu. — Trupy z pola mają powstać?

Rzeczywiście. Ostatnia garstka walczących Rusinów właśnie padała pod mieczami przybocznych Zarada. W tej samej chwili zobaczyli, że z oddziału na pagórku oddala się samotny jeździec i nisko pochylony w siodle gna ku nim. Bolesław przysłonił oczy dłonią, by lepiej wiedzieć.

— Daniła! — krzyknął, nim zdążył pomyśleć. — Bierz ludzi i skocz osłonić i przejąć zbiega.

Jeździec gnał niczym dziki wojownik, a goniły go strzały z łuku. Serce Bolesława zabiło szybciej. Uciekinier mógł być przebraną w męski strój kobietą? Nie miał hełmu, tylko barwną czapkę na głowie. Z daleka wydawał się drobny. Nie. W pewnej chwili, chcąc umknąć przed sunącym ku niemu grotem, pochylił się w siodle tak nisko, że wszystkie nadzieje księcia zgasły. Nie znał kobiety, poza swą pierwszą, madziarską żoną Karoldą, która potrafiłaby coś takiego zrobić. I na pewno nie umiała tego jego Sława.

Ludzie Daniły otoczyli zbiega ścisłym kordonem, a przyboczni Jarosława zjechali z pagórka i uciekli na wschód. Tuman kurzu uniósł się za nimi.

— No i po bitwie — powiedział Zarad, podjeżdżając do księcia i zdejmując rękawice.

— Tabory zostawili — dodał Stojgniew.

— Jakie straty? — spytał Bolesław.

— Trochę rannych koni, ale moi łapią te, z których spadli Rusini — odrzekł Zarad.

Daniła i ocalony zbieg już do nich podjeżdżali. Młody mężczyzna był ranny. Któraś ze strzał drasnęła go w skroń. Ciemne oczy, wystające kości policzkowe, smukły, ale muskularnie zbudowany. I uderzająco urodziwy.

To nie czapka. — Przyjrzał mu się uważnie. — To książęcy kołpak.

— Wielki książę! — powiedział Daniła, gdy stanęli przed nim. — Poznaj Briaczesława, książęcego brata.

KNUT stał przy ogniu w obszernej jadalni dworzyska w Northampton i czekał, aż Elfgifu przestanie krzyczeć.

— Jesteś taki sam jak twój ojciec! — wrzeszczała histerycznie. — Barbarzyńca!

Obie mówią o mnie to samo — pomyślał gorzko. — Ta, którą muszę porzucić, i ta, którą muszę poślubić.

— Podepczesz wszystko! Zhańbisz się złamaniem słowa, byleby tylko osiągnąć cel.

— Mój ojciec nie złamał żadnej przysięgi — powiedział, patrząc w ogień.

— Łżesz! Wygnał twą matkę tak jak ty mnie! Może zaprzeczysz, co? — Uniosła podbródek, krzycząc wyzywająco.

Widzisz, ale nie rozumiesz — pomyślał i wcale nie było mu lżej z tym, że nie wytłumaczy jej prawdziwych podobieństw między czynem Svena a własnym.

— W waszych żyłach płynie brudna, dzika krew najeźdźców! — rozpędzała się w obelgach po raz kolejny tego dnia. — Wikingów, co przypływają o świcie, niszczą, palą, grabią…

— Większa część mej krwi jest słowiańska — odpowiedział cicho. — Dziedziczę ją nie tylko po matce i jej rodzie, ale i po obodryckiej babce ze strony ojca.

— Mieszaniec! — syknęła. — Pies, którego nie da się ułożyć!

— Elfgifu, zamilknij, nim powiesz coś, co trudno będzie cofnąć.

— Bo co? Zabijesz mnie i moich chłopców? Synków, którym odebrałeś nadzieje na angielski tron.

Nie pozwolił, by dzieci towarzyszyły tej rozmowie. Nakazał piastunkom wyprowadzić Svena i Haralda, a swym ludziom ich pilnować.

— Nie mów głupstw — powiedział. — Nie mógłbym zrobić czegoś takiego, dobrze wiesz.

— A skąd mam wiedzieć? — Elfgifu wstała i ruszyła ku niemu wolnym krokiem. — Tyś jest Knut Okrutny. Ten, co odcina uszy i nosy jeńcom.

— Przestań, proszę. To nie ma nic do rzeczy — żachnął się.

Podparła się pod boki i stanęła naprzeciw niego.

— Zabiorę chłopców, ucieknę i nas nie znajdziesz. Nigdy więcej ich nie zobaczysz.

— Nie strasz mnie — uniósł głos. — Wiesz, że nie pozwolę, byś to zrobiła.

— Ach tak! — przekrzywiła głowę i jej oczy zalśniły dziko. — Więc postąpisz jak twój rudy ojciec! To ty odbierzesz mi dzieci! Wyrwiesz maleństwa z ramion matki, a potem odeślesz w siną dal jak synów króla Edmunda Żelaznobokiego.

Po raz pierwszy mówi o nim „król” — z pobłażliwością.

— Mam dla ciebie zupełnie inną propozycję. Usiądź, uspokój się i posłuchaj.

Zrobiła to, choć w każdej chwili spodziewał się kolejnego wybuchu.

— Nasi synowie nie odziedziczą po mnie tronu Anglii — powiedział bez ogródek. — Ale gdy osiągną lata męskie, zasiądą w mym imieniu na norweskim tronie. A ty, jako matka, będziesz im towarzyszyć.

— Nie tego chcę — powiedziała przytomnie. — Chcę angielskiego tronu.

— Nie mogę ci go dać, Elfgifu. Ani naszym synom. Korona angielska będzie należała wyłącznie do dzieci, które spłodzę z Emmą.

Sądził, że gdy to powie, Elfgifu wybuchnie. Nic podobnego. Była opanowana i rzeczowa.

— A jeśli Emma nie da ci dzieci? — spytała. — Królowa nie jest najmłodsza.

— Umowa małżeńska odsuwa od dziedziczenia tronu twoje i moje dzieci. Do końca życia będę jej przestrzegał.

— Rozumiem. — Elfgifu skinęła głową. — A co mam robić i gdzie się podziać do czasu, aż nasi chłopcy będą zdolni do sprawowania władzy?

— Dostaniesz zamek i posiadłość w Northumbrii. Jarl Erik, jako jej namiestnik, będzie się opiekował tobą i dziećmi.

— A co on na to, że nasi synowie odbiorą władzę w Norwegii jego synom?

Odpowiadał jej i nie mógł wyjść z podziwu, że po histerycznych atakach Elfgifu jest tak zasadnicza i spokojna. Omówili każdy szczegół przyszłości jej i chłopców. Wypogodziła się. Jej twarz nie nabrała wprawdzie rumieńców, ale bladość przestała straszyć; rysy Elfgifu znów nabrały powabu i łagodności.

Chciał już zbierać się do powrotu. Zawołał służbę, by przywiodła chłopców.

— Pożegnam się z nimi — powiedział do niej — i ruszę jeszcze przed zmrokiem.

— Nie zjesz ze mną wieczerzy? — zmartwiła się, jakby znów była jego żoną. — Kazałam przygotować zupę rybną, tak ją lubisz.

Nie odpowiedział, bo piastunki wprowadziły dzieci.

— Svenie, Haraldzie — powiedziała Elfgifu pieszczotliwie. — Tatuś i mamusia mają wam coś do powiedzenia. Mary, Ursulo, zostawcie nas samych. Poradzę sobie z dziećmi.

Knut wziął Svena na ręce. Popatrzył w niebieskie oczy. Chłopiec wtulił główkę w jego ramię. Słodka woń małego dziecka ścisnęła Knuta za gardło nagłym wzruszeniem. Elfgifu z Haraldem w ramionach podeszła do nich.

— Tatuś wyjedzie niebawem i długo się z nim nie zobaczymy — mówiła niskim, zmysłowym głosem. — Zamieszkamy w pięknym zamku nad morzem i jeśli tatuś będzie miał czas, może kiedyś nas odwiedzi. Obiecajcie, że zawsze będziecie go kochać, nawet jeśli będzie daleko.

Harald nie mówił jeszcze, a Sven zamiast powiedzieć pocałował go w usta. Knut miał wrażenie, że serce chce mu pęknąć. Wziął Haralda z ramion Elfgifu i przycisnął wraz ze Svenem do siebie. Trwał tak z nimi w objęciach sam nie wiedział jak długo, aż poczuł, że do jego pleców przylgnęła Elfgifu i oplotła go ramionami. Jej dłoń zaczęła gładzić go po brzuchu, wsunęła się pod pas i zacisnęła na jego biodrze. Westchnął i odsunął się.

— Czas na mnie — powiedział cicho.

— Nie zostaniesz na noc? — zamruczała.

— Nie, Elfgifu. Dziękuję ci za przyjęcie i wyrozumiałość, ale muszę już wracać. Zostawię ci ludzi, którzy będą na twe rozkazy i pomogą w podróży na północ.

Pochylił się, by postawić Svena na ziemi, i w tej samej chwili Elfgifu zaszła go od tyłu i chwyciła za biodra, przyciskając do jego pośladków swój brzuch.

— Zostań, zabawimy się jak kiedyś — powiedziała zmysłowo.

Miał ręce zajęte trzymaniem młodszego syna. Dłoń Elfgifu z jego biodra przesunęła się w bok i niby przypadkiem dotknęła rękojeści noża. Nie chciał przestraszyć Haralda. Unosił się powoli. Elfgifu wyszarpnęła z pochwy jego nóż.

— Nie zrób nic, czego nie można cofnąć — powiedział do niej spokojnie, nie odwracając się.

Poczuł własne ostrze przystawione do boku.

— Posłuchaj mnie — powiedział, wciąż nie unosząc głosu.

Harald w jego ramionach zakwilił.

— Mamo, co ty robisz? — zapytał Sven, a Knut zobaczył, jak oczy dziecka się rozszerzają.

— Mamusia bawi się z tatusiem. — Elfgifu zaśmiała się i puściła nóż.

Zabrzęczał na kamiennej posadzce. Knut odwrócił się błyskawicznie, nogą przytrzymując ostrze. Spojrzał w jej twarz. Elfgifu nie wyglądała na wzburzoną. Śmiała się, jakby to, co się stało przed chwilą, naprawdę było żartem. Pocałował Haralda w oba pulchne, rumiane policzki. Zmierzwił rudy meszek na jego głowie i podał chłopca matce.

— Żegnaj, Elfgifu. Do zobaczenia, moi synowie — powiedział.

Schylił się po nóż, włożył go do pochwy i nie odwracając się za siebie, wyszedł.

BOLESŁAW musiał nadłożyć nieco drogi, by wracając spod Brześcia, zajechać do Bodzi, jednak liczył, że straci nie więcej niż tydzień, więc uznał, że warto. Puścił przodem gońców, by do Złotego Grodu przybył Bezprym, i spotkał się z pierworodnym niemal u bram.

— Proporzec z czarnym orłem — zawołał jadący w szpicy Myślibor. — Książę mnich czeka na swego ojca przed rzeźbionymi wrotami.

Czas był łaskawy dla Bezpryma. Jego pierworodny miał trzydzieści lat, smagłą cerę, krucze włosy bez śladu siwizny. Szczupły i muskularny.

Korzonki mu służą — pomyślał Bolesław — albo nieustanne wyprawy na dzikich Prusów.

Przed laty, gdy Jaromir Przemyślida pojmał jego syna i zacisnął mu na jądrach rzemienie, by na zawsze pozbawić go zdolności płodzenia, Bolesław sądził, że z czasem pierworodny zgnuśnieje i zamieni się w dziwoląga. Ni to kobietę, ni to mężczyznę. Ale czas mijał, a Bezprym wyglądał równie męsko jak każdy z jego pancernych.

Może to nieprawda? Może rzemień Przemyślidy nie miał mocy? — zastanawiał się książę, lecz nie wiedział, jak poruszyć tę bolesną sprawę z synem. Zwłaszcza że po tamtych wypadkach zmienił kolej dziedziczenia i następcą tronu ustanowił Mieszka, Bezpryma osadzając na północno-wschodnich rubieżach państwa, pozbawiając praw do władzy zwierzchniej. Ale pytanie tkwiło w nim jak cierń, który wrósł pod naskórek.

Harda powiedziała mu o klątwie Gaudentego. Przyjął to. Pamiętał zamieszanie wokół śmierci ojca, niepewność, czy intencją dokumentu, który spisał pod dyktando Ody, nie było wydziedziczenie jego, pierworodnego syna. Słowa odchodzącego Mieszka były mętne. Niepewne. Mroczne jak widmo śmierci. W tamtą noc, gdy ojciec oddał ducha Bogu, Bolesław nie zastanawiał się, co rodzic miał na myśli, ale szedł prostą drogą do tronu. Do jedności, bo jej brak mógł rozbić dzieło życia Piasta. Czy przejął je zgodnie z jego wolą, czy wbrew niej? Tak, zadawał sobie to pytanie w te noce, gdy kładł się do łoża bez kielicha wina czy miodu przed snem. Trzeźwy jak niemowlę i niczym starzec kalkulujący każdą z możliwości. I odpowiadał sobie jasno: uratowałem Polanię. Klątwa Gaudentego jest prawdą? Harda ją wyśmiała, ale jego siostra umiała śmiać się ze wszystkiego. Obśmiewała własne cierpienie, tak samo jak swoje tryumfy. Zazdrościł jej skrycie. Była silniejsza od niego. Ta drapieżnica już jako dziecko zdawała się być odziana w niewidzialny pancerz.

Przyjmowała tylko to, co było dla niej dobre. Odrzucała wszystko, co nie szło po jej myśli. Dwanaście lat wygnania zniosła, jakby wiedziała, że zakłada żałobną suknię, którą zrzuci, gdy nastanie ten dzień. I teraz jego siostra, złotowłosa szelma z rysicą na smyczy, dla swego syna zdobywa angielski tron. Każda inna na jej miejscu by się poddała. Umarłaby po śmierci kochanka, po klęsce spisku, jaki zawiązała, by dać miłemu siebie i tron. Każda inna, ale nie ona. Świętosława święte miała tylko imię, a całą siebie wykuła z najszlachetniejszej stali. Była jak damasceńskie ostrze, przekuwane setki razy, hartowane w ogniu i wodzie, by dać moc nie do pokonania i rysunek, który zachwyca oczy. Pani trzech tronów, która niczym jej Dusza, drapieżnica, gotuje się do ostatecznego skoku na czwarty. Tyle razy wściekał się w myślach. On ciągle jest tylko księciem. Ta szelma królową trzech koron, która za chwilę zdobędzie czwartą. Wściekał się, zazdrościł i ją podziwiał. Kochał, bo byli krwią z krwi, kością z kości. Parą myśliwskich psów, co wyszły z jednych lędźwi i jednego łona, podobnych sobie drapieżców, którzy ruszyli w życie niczym na polowanie o wszystko. Skrycie żałował, że nie ma jej teraz przy jego boku. Że nie gonią łeb w łeb.

— Synu! — powitał Bezpryma przed rzeźbionymi wrotami grodu w Bodzi.

— Ojcze. — Czarny Węgier, książę mnich, skłonił głowę. — Gratuluję. Rozniosłeś wojska Jarosława ostrzami mieczy i kopytami koni.

Chciałbym go przygarnąć do piersi i uściskać — pomyślał Bolesław, tylko nie wiedział, jak to zrobić. Bezprym podjechał do niego, ale trzymał konia na dystans.

— A ty ponoć zarżnąłeś wodza Prusów? — odpowiedział, gdy się zbliżył.

Bezprym nie zmniejszył odległości. Ich wierzchowce szły bok w bok, a oni strzemię w strzemię.

— Darł się wniebogłosy. Wzywał boga piorunów i ognia, gdy obdzierałem go ze skóry, ale wierz mi, ojcze, ten, którego wołał, nie przybył mu na pomoc. Nagie ciało obsiadły muchy.

— Nie ma innych przed Bogiem w Trójcy jedynym prawdziwym — powiedział Bolesław i wstrząsnęło nim.

Przed bramą Bodzi Bolesław zatrzymał konia.

— Synu, rzadko tu bywam, ale na pagórku przy grodzie jest cmentarz.

— Wiem. — Bezprym skinął głową. — Duszan i Dusza tu leżą. Mogę ci towarzyszyć?

Skręcili bez słowa.

Mieszko, jego ojciec, kazał cmentarz ogrodzić murem z polnych kamieni. Zostawili konie i przeszli obok kwitnącego na biało krzaku głogu. Mijali domy umarłych wybudowane dla każdego ze znamienitych nieboszczyków, którzy tu, w Bodzi, doszli do kresu dni.

— Leży tu więcej książąt niż gdziekolwiek indziej — odezwał się Bezprym. — Wygnańcy, tułacze, ci, którym odebrano władzę…

— Albo uciekli, bo nie chcieli całować ręki pana, gdyż sami byli mu równi — dorzucił Bolesław.

Skręcili w prawo, do stojących obok siebie bliźniaczych głazów.

— Kim oni byli? — zapytał go syn.

— Duszan pochodził z rodu uciekinierów z Wielkich Moraw. Jakaś boczna gałąź dawnych i świetnych Mojmirowiców.

— Jego rodzice nie protestowali, gdy dziad Mieszko przeznaczył ich syna na twego sługę? — zdziwił się Bezprym.

— Nie sądzę. Byli wdzięczni memu ojcu za spokojne miejsce do życia. Ich księstwo przestało istnieć, a przodkowie uciekali na północ, przez góry. Wiesz, oddali mu syna, bo urodził się tego samego dnia co ja. Sądzili, że

chłopca spotka równie świetny los, a tymczasem on zginął, zasłaniając mnie swym ciałem w Merseburgu.

— Wiedział, kim jest?

— Nie. I ja też dowiedziałem się dopiero po jego śmierci. — Bolesław pokiwał głową.

— Myślałeś kiedyś o tym, że dlatego tak łatwo podbiłeś Morawy?

— Z powodu Duszana? Nie. Moja babka była morawską księżniczką. Tamtejsi mówili o mnie „swój”.

— A Dusza?

— Duszka była Dunką. Mój ojciec planował los Świętosławy na długo przed tym, nim się narodziła. Pochodziła z jakiejś zacnej gałęzi rodu pokonanego przez króla Haralda, ojca Svena. Mówili o nich „wygnańcy z Lejre”. Tam, w najstarszej części cmentarza, są groby jej bliskich. Dziwne, co? Jej rodzice uciekli do Polanii przed gniewem Haralda, a zginęła od strzały ludzi Svena, jego syna.

— Przed przeznaczeniem nie ma ucieczki, ojcze — powiedział jego syn i Bolesław poczuł każdą wymówioną przez niego głoskę w trzewiach.

Przeżegnał się przed głazem znaczącym miejsce spoczynku Duszana. Odmówił modlitwę za zmarłych. Bezprym skrzyżował ramiona, kładąc dłonie na piersiach. Skończył modły znakiem krzyża.

— Synu! — Bolesław odwrócił się ku niemu i wyciągnął rękę, chcąc go dotknąć.

Bezprym zrobił krok w tył.

— Dlaczego swoim dzieciom nie kupiłeś Dusz? — spytał, patrząc mu w oczy nieustępliwym, ciemnym spojrzeniem.

— To był pogański zwyczaj — odpowiedział w zamyśleniu. — Barbarzyński, jak widzisz. — Pokazał głową na głazy grobowe Duszana i

Duszy. — Ale gdybym przewidział, co cię spotka, nie zawahałbym się za złoto wykupić…

Czarne brwi Bezpryma połączyły się na chwilę w jedną linię. Syn potrząsnął głową jak rumak po nałożeniu wędzidła.

— Dobrze, żeś tego nie zrobił — odpowiedział twardo.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Bolesław westchnął i poszedł za nim. Wsiadając na konia, czuł mocną woń kwiatów głogu.

Arne, kasztelan Bodzi, czekał na nich przed rzeźbionymi wrotami. Powitał i powiódł do dworu.

— Uczta gotowa, a Omold, skald Hardej Pani, nie może się doczekać, aż pozwolisz mu wyrecytować pieśni — zawołał.

— Jeśli nauczył się rymować po naszemu, jestem ciekaw.

Dwór w Bodzi był inny niż każda z jego siedzib. Zbudowali go przybysze tęskniący za swymi domami. Ludzie, którzy od lat, od czasów ich ojca znajdowali schronienie na piastowskim dworze. Wikingowie i Rusini. Potomkowie upadłych Wielkich Moraw. Zbiegowie z Czech. Bodzia, Złoty Gród. Schronienie elit z ościennych krajów.

Słupy wspierające ganek dworu wyrzeźbiono w spiralne sploty, jakby zwinne cielska węży goniły się nawzajem. Sam dwór nie był murowany jak jego palatia w Poznaniu, Ostrowie, Gnieźnie, lecz drewniany, zbudowany z wielkich pni piastowskich dębów. Przypominał potężną łódź, wywróconą dnem do góry.

Nie pływają — pomyślał — zatrzymali się w bezpiecznej przystani.

Oddał konia stajennemu i zrzucił ciążący mu w upale płaszcz. Drogę zastąpił mu dawno niewidziany druh.

— Wilkomir? Ty tutaj? — zdziwił się Bolesław.

— Mówili w Anglii, że mój książę wyprawia się na Kijów, więc zgarnąłem hufiec i gnałem co sił, ale się spóźniliśmy. — Wilkomir się

roześmiał i padli sobie w ramiona.

— Czekaj! — Bolesław uderzył się w czoło — skoro Harda cię odsyła, to znaczy, że…

— Tak, książę. Twoja siostra wydaje teraz rozkazy na londyńskim zamku, a jej rysica sika do Tamizy. Knut zdobył Anglię.

Serce zaczęło mu bić mocniej.

— A to szelma! I ona o mnie mówiła: „Bolz chce wszystkiego”? — zaśmiał się. — Jej pierworodny jest królem Szwecji. Harald królem Danii, a najmłodszy, Knut, zdobył nowe królestwo!

— Tak, książę. Masz trzech siostrzeńców na trzech różnych tronach, ale tylko twoja siostra jest królową czterech. To nie wszystko. — Druh się skrzywił. — Wysłała mnie z pewną delikatną misją.

— Mów.

Wilkomir skinął na stojące w podcieniu stajni kobiety, a te wyszły ku nim, niosąc na rękach dzieci. Dwóch chłopców. Bolesław przyjrzał im się uważnie. Byli nieduzi, młodszy to ledwie niemowlę. Bladzi, wystraszeni, zmordowani podróżą. Zmarszczył brwi.

— Oto Edward i Edmund, synowie nieżyjącego króla Edmunda Żelaznobokiego. Jeden ma zostać w Polanii, drugi popłynąć do Sigtuny.

— Trudno! W Bodzi mieszkają Rusini, Szwedzi, Duńczycy, Czesi, niech będą i mali Anglicy. Z kolejną podróżą trzeba się wstrzymać, aż trochę odpoczną. No, chłopcy! Mój wnuk, Kazimierz, będzie miał się z kim bawić!

Wilkomir odprawił piastunki z chłopcami i wzrokiem pokazał Bolesławowi, że chce, by weszli do stajni. Książę ruszył za nim. W mrocznym wnętrzu czuć było nawozem i zdeptaną słomą. Wilkomir poprowadził go do najdalszego kąta i pochylił się, by otworzyć swój podróżny kufer. Klucz do niego nosił pod ubraniem, na szyi. Bolesław

usłyszał metaliczny zgrzyt i Wilkomir wstał. W tej samej chwili jakiś ogier zarżał wściekle i zadudnił kopytami w ścianę.

— To kazała przekazać razem z chłopcami. Powiedziała, że zrozumiesz, książę.

Zajrzał do skrzyni i zadrżał.

— Nie! — odpowiedział bez zastanowienia. — Nie zgadzam się.

— Ty tu rządzisz. — Wilkomir mu się pokłonił i natychmiast zamknął skrzynię na klucz.

— Chodź — Bolesław pociągnął go za łokieć — napijmy się za twój powrót i tron Anglii. I nie wracaj do tej sprawy. Dobrze mieć cię przy sobie, druhu. Rano ruszamy nad Odrę, by spotkać się z Henrykiem. Gdzie hufiec?

— Odprowadziłem do Poznania.

— Odpoczęli?

— Przestali rzygać, jak tylko poczuli pod stopami stały ląd, mój książę. Kalmir umoczył dla ciebie chorągiew z piastowskim orłem w Tamizie, a Ostry go zrugał, bo mówi, że to rzeka krwi. Są gotowi, by zmierzyć się z cesarskimi wojskami, bo Anglicy pod Ashingdon walczyli jak lwy.

Weszli razem do izby. „Halli”, jak mówiono w Bodzi.

— Konung Burizleif! — krzyknęli zebrani. — Konung Burizleif!

Pan mieczy, książę bitwy, możny władca walki.
Przeskoczył srebrną wstęgę Bugu i ostrze swego miecza
zanurzył w trzewiach wroga.
Wypruł je, sinym tropem jelit
płakał kniaź, gdy w kurzu bitewnym uchodził
na wschód, ku słońcu wstającemu po bitwie.

— Omold? Pokaż się, skaldzie. Nauka nie poszła w las — pochwalił poetę Bolesław. — Kto cię nauczył słów „ostrze”, „zanurzył” i

„przeskoczył”?

— Ona, konung Burizleif — powiedział skald, chwytając za rękę niemłodą kobietę w lśniącej sukni. — Na imię jej Wszechmiła i chciałbym prosić, byś zezwolił mi ją poślubić.

Wszechmiła? — pomyślał Bolesław. — Tak też zwano jedną z żon mego ojca z czasów przed chrztem. Ale nauczyła Omolda języka. Wymawia nasze słowa tak zręcznie, jakby się tu urodził. Ach, kobiety! Ile one potrafią z nas wydusić.

— Będę świadkiem na waszym ślubie — zawołał. — I zabieram was oboje do Poznania. Potrzebny mi skald. Briaczesławie! — Odwrócił się do ruskiego księcia. — Poznaj swych towarzyszy. Arne, do Bodzi zawitał nowy mieszkaniec, syn kniazia Wladimira, brat rodzony Światopołka, uciekinier spod Brześcia.

Bolesław położył ramię na plecach Briaczesława i prowadząc go ku stołom, zapytał:

— Dajesz głowę za tego Igora?

— Głowę nie, ale słowo dam — odpowiedział Rusin.

— Myślałem, że to szpieg — zdziwił się Bolesław. — Ciągle mnie przestrzegał.

Briaczesław się uśmiechnął.

— Jeśli tak, to i mnie posądzisz o szpiegostwo. Chcę ci pomóc, wielki książę, w pokonaniu mego brata Jarosława i też będę cię przestrzegał.

Znów zatęsknił za Hardą. Ona nie lubiła ostrożności. A może czas ją zmienił?

Potem pili miód, który podał Arne.

Briaczesław mówił:

— Kniaź Jarosław przyjął posłów króla Henryka w pełnym majestacie. Uzgodnili atak z dwóch stron i miodem, co leżakował dziesięć lat, opili

tryumf nad tobą, panie. Jarosław nie darzy cię nienawiścią, raczej się ciebie boi, kniaziu. Lęka się sławy, co za tobą idzie.

— Sławy? — Bolesław się wściekł. — Moją Sławę, córkę najmłodszą, ponoć w klatce trzyma!

— Nieprawda — zaprzeczył Briaczesław. — Twa córa jeździ wozem wyłożonym złotogłowiem. Gdy kniaź Jarosław stacjonuje w grodach, ona ma najpierwsze i najlepsze komnaty. Dba o panią niczym o ptaszka złotego. Krzywda jej żadna nie może spotkać.

— Gówno wiesz, Rusinie! — wrzasnął Bolesław. — Nie złotogłowie, nie komnaty najlepsze świadczą o losie mej córki.

Ona cierpi, bo się boi obcych — pomyślał i umierająca Emnilda stanęła mu przed oczami.

— To ci przesyła, wielki książę — powiedział Briaczesław.

W ręce Bolesława trafił skrawek jedwabiu. Rozwinął go z namaszczeniem.

Na lśniącej tkaninie wyszyty jasną nicią był piastowski orzeł przebity przez tryzub.

— Nie dano jej nici — szepnął Briaczesław. — Wyszyła to swymi włosami.

— Gorze! — ryknął Bolesław.

KNUT stał przed ołtarzem katedry w Canterbury ubrany w biało-złotą ceremonialną szatę, a arcybiskup Lyfing namaszczał go świętym olejem. Chór diakonów ze świecami w dłoniach śpiewał psalm. Czuł się lekki i czysty, odkąd Ethelnoth, którego uczynił swym osobistym spowiednikiem, przyjął jego wyznanie i w imieniu Pana rozgrzeszył z popełnionych win. Odpłynęły od niego upiorne obrazy zakładników porzuconych w Sandwich. Ludzi bez nosów, z odciętymi uszami i dłońmi. Eadwiga z wyrwanym językiem. Towarzyszy broni w posoce krwi na polach Ashingdon. Tonących

w Tamizie, gdy próbował zdobyć Londyn. Ostatnia odeszła od niego Elfgifu, córka Elfhelma, z małym Haraldem na ręku, rudym jak jego brat, ze Svenem jasnowłosym przy boku. Elfgifu, jego wyrzut sumienia; dziewczyna, która tak pragnęła, by uczynił ją królową Anglii, a on musiał ją oddalić, by stać się jej królem. Jeszcze czuł się rozdarty, jakaś część jego jaźni kochała Elfgifu i czuła żal, że zamienił ją na Emmę, klucz do serc poddanych. Klucz do królestwa. Który z dwóch Knutów odsyłał Elfgifu? Knut Okrutny? Jaką ma pewność, że Emmę pojmie za żonę jako Knut Prawy? „Gdy zdobędziesz koronę, zrozumiesz to. I wtedy będzie cię stać na dobro” — usłyszał głos matki.

— Amen. — Diakoni wyśpiewali koniec psalmu.

Elfgifu pod jego powiekami wciąż się odwracała, by na niego spojrzeć; wiedział, że wystarczy, iż zamknie oczy, a także ta wizja rozwieje się jak dym, ale nie mrugnął. Patrzył na kamienny ołtarz katedry, bo na nim, na purpurowej poduszce leżała korona angielska, po którą właśnie sięgał arcybiskup Lyfing.

— W obliczu Boga i ludzi koronuję cię, Knucie, synu Svena, na króla Anglii. Oto stałeś się pomazańcem bożym!

Mówiąc to, Lyfing włożył mu na skronie koronę angielskich królów, a jego osłonił płaszczem Edgara.

— Oto dawny, dobry król Edgar bierze ciebie, królu Knucie, w swe symboliczne objęcia. Bądź nam tak świątobliwym i roztropnym władcą, jakim on zachował się w naszej dobrej pamięci.

— Dopomóż Bóg! — zakrzyknęli zgromadzeni.

— Oto wybraniec Boga i ludu. Król Danii, Norwegii i Anglii Knut, pierwszy tego imienia na naszym tronie! — zakrzyknął Lyfing i Knut zwrócił się twarzą ku zebranym.

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje! — krzyczeli zgodnie, a on patrzył na nich. Na jarla Erika z Lade, Thorkela Wysokiego, Joruna o wściekle niebieskich oczach, który nigdy nie opuścił jego ojca, Ragna z Wysp, pulchnego Uddorma z Viborga. I młodych wodzów: wesołego Hraniego, Eilifa i Ulfa, synów Thorgilsa z Jelling, Urka, Halfdana, Toreda. Na swych angielskich panów. Godwine'a, Leofwine'a, Leofrica, braci Ethelwearda i Ethelnotha. Na wielkiego arcybiskupa Yorku, Wulfsdana. Northmana, Brithrica i stojącego na przodzie Eadrica Streonę. Patrzył na nich wszystkich i czuł ciężar spoczywającej na jego skroniach korony.

— Życzeniem naszego króla Knuta jest poślubienie królowej wdowy Emmy z Normandii! — obwieścił arcybiskup i choć to nie było dla nikogo niespodzianką, po twarzach niektórych przebiegł skurcz. Zapamiętał ich dobrze. A potem przyprowadzono Emmę w wyszywanej złotymi płytkami sukni i przed obliczem Boga pojął ją za żonę, ślubując jej wierność, a dzieciom, które urodzi, prawa do następstwa tronu.

Kleryk o głosie jak dzwon stał na progu katedry w Canterbury i słowo w słowo powtarzał każde z wypowiedzianych zdań zgromadzonemu wokół ludowi. Żeglarzom, wojakom, kupcom sukiennym, szewcom, piekarzom, stajennym, praczkom, żebrakom. Jego poddanym.

ŚWIĘTOSŁAWA cieszyła się obecnością córek podczas uczty koronacyjnej. Dziewczęta rozglądały się ciekawie i rozmawiały z młodymi wodzami jej syna.

Żeby się tylko nie zakochały przedwcześnie — pomyślała z troską.

Patrzyła na Emmę i Knuta. Synowa w katedrze wyglądała olśniewająco; teraz też starała się nie dać odczuć, że suknia jej ciąży, choć te złote płytki musiały sprawić, że ważyła niemało. Dzisiaj Emma uśmiechem maskowała zmęczenie trwającymi tygodnie negocjacjami małżeńskimi. Nie oddała się

tanio. Walczyła jak lwica, choć gdyby Knut się uparł, mógłby wziąć ją gwałtem. Ale nie chciał.

Sven lubił udawać chrześcijańskiego króla — myślała Świętosława. — To był dla niego rodzaj gry. Knut zaś chce być wielkim władcą, a Emma może mu w tym pomóc. Jest od niego starsza, bardziej doświadczona i nie tak zepsuta jak angielski dwór. Poza tym walczy już po jego stronie, skoro jej ostatnim warunkiem było, że koronę odziedziczy ich wspólny syn. Nie wymagała od niego, by zerwał z Elfgifu, ale by tamci synowie nie mieli praw do tronu.

W to, że spłodzi z Emmą dziedzica, nie wątpiła. Chciała napawać się końcem tej batalii, ale wiedziała, że na pełną radość jeszcze za wcześnie, bo przecież wciąż widziała oblicze Eadrica Streony.

Skuli przybliżył się do niej i szepnął, choć to rzadkie dla skalda, by czegoś nie wykrzyczał głośno:

— Mam już koniec poematu, królowo. Życzysz sobie posłuchać?

Nim zdążyła powiedzieć „nie”, wyszeptał:

— A teraz, gdy ciężkie walki ostatnio zostały stoczone, możemy…

— Nie możemy, Skuli — przerwała mu. — Powiem ci, gdy będziesz mógł dokończyć.

— Harda Pani nie rozumie duszy skalda — obraził się. — Koronacja Knuta nadzwyczaj cię, pani, zmieniła. Oto królowa Szwecji, Danii i Norwegii, matka angielskiego króla. To jak poczwórna królowa! A gdybym tak arcybiskupowi Canterbury powiedział wiersz o zalotnikach w łaźni?

— Grozisz królowej? — zwrócił się do skalda Jorun.

— Nie. Ale ułożyłem poemat i chcę być wysłuchany.

— Zamknij się! — krótko skwitował Ragn z Wysp. — Król Knut będzie przemawiał.

Świętosława spojrzała na syna. Jego złote włosy przytrzymywała wysadzana szlachetnymi kamieniami opaska. Jasna, przystrzyżona broda lśniła jak jedwab. Knut w biało-złotej szacie wyglądał olśniewająco. Nagle przed jej oczami stanęli obaj synowie, tamtego dnia, na wrzosowisku. Rudy jak wiewiórka Harald krzyczał: „Ja pierwszy upolowałem zająca”, a Knut mu odpowiedział: „Ale ja złowiłem większego”.

Złowiłeś, synku — pomyślała czule. — Oto mam dwóch namaszczonych synów.

Ceremonialny płaszcz Edgara zostawił w katedrze. To, że użyto go podczas koronacji, zawdzięczali Emmie. Przypomniała Lyfingowi, że płaszcz miał na ramionach Ethelred, gdy wstępował na tron. Wszak dobry król Edgar był jego ojcem.

— Nadszedł czas, by docenić tych, którzy byli przy mnie na dobre i złe. Moich najwierniejszych towarzyszy. Nie zamierzam zmieniać królestwa na siłę. Chcę wzmocnić w nim to, co szlachetne i dobre, a zreformować to, co w ostatnich latach zawiodło. Lecz dzisiaj nie czas na pracę, dzisiaj świętujemy moją koronację i zaślubiny z najszlachetniejszą Emmą, moją panią. — Pocałował czubki jej palców.

Może jednak im się uda? — pomyślała Świętosława.

— Królestwo Anglii naturalnie dzieli się na Northumbrię, Mercię, Essex i Wessex. Chcę, by w skutecznym sprawowaniu władzy wsparli mnie przyjaciele. Earlem Northumbrii mianuję Erika Hakonssona z Lade, który przez lata był uczciwym i lojalnym namiestnikiem Norwegii…

Świętosława patrzyła na Erika. Nigdy nie zapomniała, że to on zadał ostateczny cios wspaniałemu statkowi Olava w Øresundzie. I to on, jako namiestnik Svena, objął po śmierci Olava władzę. Jakaś część jej nienawidziła go do bólu, ale ta druga pamiętała, że gdy wszyscy zdradzali, Erik z Lade nie zdradził.

— Piękną Mercią rządzić będzie nieoceniony Eadric Streona — mówił Knut. — A earlem Essexu zostaje Thorkel Wysoki.

Thorkel, brat Sigvalda — pomyślała. — Kto by przypuszczał? Zdradził Svena, ale nie Knuta, i to jemu mój syn zawdzięcza zwycięstwo. Żadne z nas nie znało Anglii tak jak jomswiking. Kim jest w głębi duszy? I czy władza i tytuł, którego tak pragnął, go zmienią?

— Ja zaś zachowuję władzę nad trójką mych earlów, a oni z zarządu krainami odpowiadają bezpośrednio przede mną. Wessexem władał będę osobiście!

— Doskonały podział! — Jako pierwszy odezwał się Streona.

Knut spełnił toast z trójką swych earlów, z panią żoną i gośćmi. Ktoś poprosił Emmę, by zagrała na harfie. Nie odmówiła. Potrąciła struny palcami i Świętosława usłyszała tę samą żałobną melodię, którą Emma grała, siedząc zamknięta w zachodniej wieży, gdy spotkały się po raz pierwszy.

— Wspominasz czasami swój ślub, matko? — zapytała cicho Astryda.

Świętosława nie odpowiedziała, uśmiechnęła się do niej lekko.

— Ja byłem na obu ślubach królowej — pochwalił się Wielki Ulf tubalnym szeptem. — Ale nie wiem, czy mogę opowiadać.

Emma płynnie zmieniła melodię; nie przerywając gry, zaczęła wydobywać z harfy tony lekkie i pogodne. Świętosława odetchnęła.

Pożegnała zmarłego męża — pomyślała z ulgą — i wita nowego.

Przy jej uchu znów pojawił się Skuli.

— A teraz, gdy ciężkie walki ostatnio zostały stoczone, możemy…

— Jeszcze nie. Zapewniam cię, że walki, które zostały stoczone, nie były ostatnie — ucięła radość skalda.

KNUT czekał na Emmę w swojej alkowie. Przyprowadzono ją ceremonialnie, w orszaku dwórek. Arcybiskup Canterbury pobłogosławił

ich łoże. Skuli recytował o pięknej pani i młodym królu. Jego siostry, rumieniąc się, zdjęły z ramion Emmy ciężki, ozdobny płaszcz. Hrani pokazywał mu, że będzie dobrze, wodzowie się tłoczyli. Jorun szepnął do Uddorma:

— Pamiętam pokładziny, na których suknię panny młodej rozcinano nożem.

Emma usłyszała to i zadrżała. Położył jej dłoń na ramieniu, mówiąc:

— Nie słuchaj ich, moja pani. Gadają głupoty.

— No pewnie, że głupoty. Pamięć ci siada — skarciła Joruna jego matka. — Młoda nie była panną, tylko wdową!

Starzy wodzowie zagrzmieli śmiechem, Emma spojrzała na niego pytająco. Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, o czym mówią. I na pewno nie ma to nic wspólnego z nami.

— Trochę ma — przeciągle rzucił Uddorm. — Rok później się narodziłeś, królu, bo to był ślub twej matki.

— Nie on, tylko Harald, i skończcie już! Zamierzacie tu siedzieć? Zapewniam was, że oboje wiedzą, co robić. Dusza, idziemy! Skald też, wynocha!

Gdy wreszcie zostali sami, Knut pomyślał, że od tej nocy tak wiele zależy. Nie chciał zrazić do siebie Emmy. Chwilę krążył po komnacie, zbierał odwagę, albo myśli, aż w końcu żona zatrzymała go, stając za jego plecami i obejmując w pasie. Przylgnęła do niego, głaszcząc go po brzuchu.

— Nie podobam ci się? — zapytała. — Uciekasz przede mną?

— Przeciwnie — odpowiedział i chwycił jej dłonie, by pocałować.

— To dlaczego całujesz mnie w palce?

— Chcę ci okazać szacunek.

Czuł na plecach jej ciało, przyspieszony oddech.

— Szacunek — powtórzyła. — Jak matronie?

— Nie! Jak królowej, żonie…

— Elfgifu też okazywałeś w łożu szacunek?

— Jesteś zazdrosna?

— Tak.

— O co?

— O jej młodość. I o to, jak walczyłeś o nią i waszych synów…

Co mam jej odpowiedzieć? — pomyślał. I nagle do niego dotarło. Przez kilkanaście lat była żoną Ethelreda, a on był starym, schorowanym, zgorzkniałym mężczyzną. Ona boi się mojej młodości — zrozumiał.

Odwrócił się, wziął na ręce zaskoczoną Emmę lekko jak dziecko i zaniósł do łoża. Rozebrał się szybko i pomógł jej zrzucić koszulę. Dotknął pełnych piersi. Dotknął brzucha i łona, które urodziło dwoje nie jego dzieci. Odkrył tam ich ślady jak tropy zwierzyny zostawione na śniegu. I wtargnął w nią, chcąc zostawić swój ślad, swoje nasienie. Jęknęła i zakryła usta dłonią, jakby się wystraszyła własnego głosu. Ale jej ciało już było mu poddane. Emma, nawet jeśli tego nie chciała, odruchowo poruszyła biodrami.

To dopiero druga kobieta w moim życiu — przebiegło mu przez głowę. — Nic o nich nie wiem — zrozumiał nagle i przez ułamek chwili poczuł się jak dziecko.

Chłopiec w nim dotknął ustami czubka jej piersi. Polizał go nieśmiało. Emma otworzyła się i przyjęła go w siebie zachłannie. Oplotła nogami jak siecią. Przytrzymała. Nie była chłodną, wyniosłą damą, jak się tego spodziewał. Z chwili na chwilę zmieniała się w rozgrzaną, wilgotną kobietę. Nienasyconą jak on.

Rankiem, gdy się obudził, zobaczył Emmę siedzącą obok niego. Okryła się płaszczem i wpatrywała w jego nagość. Instynktownie się okrył.

— Muszę ci coś powiedzieć, Knucie.

— Uhm? — mruknął, przewracając się na bok.

Z fałd pościeli uderzył go w nozdrza zapach, trop ich nocnej namiętności.

— Eadric Streona nie jest z tobą szczery — powiedziała, odgarniając włosy.

— W to nie wątpię. — Przeciągnął się.

— Zapewne nie przyznał ci się do tego, że to on zorganizował ucieczkę moich synów do Normandii. Odwiedził mnie dzień po śmierci Edmunda, wiedział już o niej i zaproponował wywiezienie książąt.

Knut zerwał się i potarł czoło.

— Ethelweard, zarządca zamku, jest człowiekiem Streony. Ukrył jego wizytę przed Thorkelem i królową Sigridą.

A jego brat, Ethelnoth, jest moim spowiednikiem — pomyślał Knut gorączkowo.

— Dlaczego mówisz to w tej chwili? — spytał.

— Bo dopiero teraz czuję się twoją żoną.

Pocałował ją i wyskoczył z łoża. Ubierał się szybko.

— Wciąż nie wiemy, kto kazał wyrwać język Eadwigowi — rzucił, wciągając spodnie.

— Wielu ludziom zależało na śmierci Edmunda, a Eadwig był najtrafniej wybranym kozłem ofiarnym — odpowiedziała i wyszła z łoża.

Poprawiła mu kaftan. Zsunął z jej ramion płaszcz i przyjrzał się nagiej. Pocałował obie piersi Emmy i wybiegł.

BOLESŁAW nie zabawił w Bodzi długo. Rozbił jednego wroga, czekał na niego drugi. Nazajutrz po uczcie w Złotym Grodzie szybkim marszem ruszył nad Odrę. Tym razem Henryk ruszał na wojnę z obozu pod Magdeburgiem.

— Są z nim Lucice i Udalryk, książę Pragi — zameldowali zwiadowcy.

— Udalryk… znowu Udalryk… — Bolesław pokręcił głową i zwrócił się do syna: — Mieszko, pojedziesz z tysiącem pancernych i uderzysz na Czechy, by pokazać Udalrykowi, że za każdym razem, gdy będzie wspierał w wojnie przeciw nam cesarza, oberwie. Ty, Zaradzie, idź na Morawy i poprowadź Morawian na Bawarów. To osłabi ich zapał wojenny.

— Tak jest! — podjęli rozkazy i po chwili w obozie uniósł się pył za hufcami, które wyszły pod jego komendą.

Bolesław zaś przyjął główne uderzenie Henryka pod Głogowem. Mógł wciągać wojska cesarskie w zasadzki na mokradłach wokół Odry albo na Wzgórzach Dalkowskich, ale nie chciał. Pragnął starcia wprost. Wojska stanęły naprzeciw siebie na obszernej równinie.

— Sucho i twardo — zameldował mu o świcie Wilkomir. — Letnie upały wysuszyły ziemię.

— To dobrze. — Poklepał druha po plecach. — Koniom lżej.

Siedział teraz na grzbiecie Czerwonego; ogier parskał raźno i wstrząsał łbem. Bolesław patrzył, jak hufce Henryka ustawiają się w szyku. Widział cesarską chorągiew, ale nie był naiwny, wiedział, że cesarz nie stanie do walki.

— Aż żal — powiedział do Bjornara. — Chciałoby się skończyć tę wojnę na pojedynku, co?

Druh się roześmiał.

— Mój książę marzyciel.

— Ile życia, tyle marzeń. — Bolesław westchnął i przeciągnął się. — Jak sądzisz? Już skończyli? Gotowi? Nie chcę, by potem w Magdeburgu gadali, że uderzyłem na nieprzygotowane wojska.

— A od kiedy to mój książę przejmuje się tym, co o nim gadają?

— Masz rację. — Bolesław wzruszył ramionami. — Nie będziemy tu stać i prażyć się w lipcowym słońcu.

Uniósł się w strzemionach i zawołał, wyciągając miecz:

— Z Bogiem w bój!

— Z Bogiem w bój! — odpowiedziało mu tysiąc głosów. — Za księciem po zwycięstwo!

Za jego plecami potężny Kalmir rozwinął chorągiew z piastowskim orłem, a przed szereg wyjechał Myślibor z włócznią świętego Maurycego. Pochylił jej starodawne ostrze. Książę ucałował żelazo kryjące relikwię Krzyża Świętego.

— Lecimy! — zawołał Bolesław, słysząc, jak jedwab łopocze na wietrze, i ruszył, rozpędzając Czerwonego.

Zobaczył chorążych cesarza wyjeżdżających z drugą świętą włócznią.

Bóg rozsądzi — pomyślał i nie bał się.

Wilkomirowi pozwolił prowadzić pierwsze starcie. Jego stary druh wiódł pancernych równym szeregiem. Łeb w łeb, tarcza w tarczę. Konie nabierały tempa. Kochał dźwięk ich ciężkich kopyt. Kochał świst kościanych piszczałek, którymi płoszyli wierzchowce wrogów. Kiedyś kochał wojnę i Emnildę. Dzisiaj została mu tylko wojna.

— Tarcze! — krzyknął Wilkomir i pierwszy szereg ruchem równym jak jeden mąż przełożył tarcze z pleców na ramię.

Wilkomir mierzył odległość. Sto kroków. Sześćdziesiąt.

— Oszczepy! — krzyknął i poleciał las ostrzy.

Trafione konie nieprzyjaciół zakwiczały dziko i padły, ciągnąc za sobą jeźdźców. W każdej bitwie ćwiczyli trudną sztukę wymijania wierzgających, przewróconych koni. Zręcznie wbili się w przerzedzony pierwszy szereg. Bolesław uniósł miecz i przysunął tarczę do brody.

Dobrze, że nie ma tu Hermana — przemknęło mu przez myśl, gdy zwierał się z krępym i silnym Sasem. — Nie chciałbym mej córki owdowić, choć jej mąż to kiep.

Odparował cios tarczą i natychmiast ciął mieczem z góry, przez bark. Sas runął z siodła pod kopyta własnego konia.

Bolesław się okręcił. Wyłowił wysokiego, ciemnookiego mężczyznę, którego widział kiedyś przy Henryku.

— Grafie! — zawołał. — Walcz!

Ten pochylił się w siodle i ruszył na niego. Bolesław trzymał miecz blisko siebie, czekając, aż graf wyciągnie ramię i się odsłoni. W tej samej chwili usłyszał tuż za sobą końskie rżenie. Ktoś jest za blisko mnie — przemknęło mu przez głowę. — Za plecami.

Skierował Czerwonego w bok, nie chcąc tracić czasu na oglądanie się, i zajechał grafa z prawej. Skrzyżowali ostrza. Bolesław widział, że przeciwnik patrzy za niego.

Kto tam jest? Dostanę sztych w plecy?

Nie miał chwili do stracenia. Zacisnął uda na bokach Czerwonego i mocnym wyrzutem ramienia sięgnął grafa. Ostrze trafiło go w podbródek, ale Sas nie zachwiał się w siodle. Szybko odparował cios, Bolesław zasłonił się tarczą i odwrócił wraz z koniem. Stanął twarzą w twarz z jasnookim młodzieńcem, który celował w jego głowę wąskim, lśniącym ostrzem topora.

Psiakrew — przemknęła mu jasna i prosta myśl — ma przewagę odległości. Sięgnie mnie.

W tej samej chwili koń grafa natarł na niego od tyłu.

Jestem w kleszczach — uświadomił sobie. — Zginę z mieczem w dłoni.

Czerwony wierzgnął, odsadzając na chwilę grafa z jego pleców. Jasnooki prowadził uderzenie wprost na jego twarz. I w jednej chwili, która wydała się Bolesławowi wiecznością, młodzian się wyprostował i zamarł w bezruchu. Jego dłoń na stylisku się rozwarła, a ostrze topora runęło na

ziemię przed Czerwonym. Za plecami jasnookiego stał Wilkomir i wciąż trzymał drzewce oszczepu wbite w plecy młodzieńca.

— Ocaliłeś mi życie! — wrzasnął do niego Bolesław i w tym samym czasie zdziwił się, dlaczego Wilkomir jest pieszy.

— Za plecami! — krzyknął do niego druh, puszczając trupa i wyszarpując z pochwy miecz.

Bolesław się odwrócił. Raniony wcześniej graf znów nacierał, strasząc płynącą mu z zębów i brody krwią. Skrzyżowali ostrza, odepchnął go i wyprowadził sztych w szyję. Tamten jęknął krótko i padł. Książę poczuł, że oczy zalewa mu pot. I w tej samej chwili usłyszał krzyk Wilkomira. Zawrócił Czerwonego. Szukał druha. Jest!

Klęczał, przytrzymując ramię niemal odcięte toporem od tułowia. Wył jak wilk.

Bolesław jednym spojrzeniem ogarnął pustoszejące pobojowisko i zeskoczył z konia. Potknął się o zwłoki jasnookiego młodzieńca z oszczepem Wilkomira w plecach.

— Bracie! — krzyknął, dopadając do niego. — Bracie! Ocaliłeś mi życie, by umrzeć?

— Wojowie giną za króla — wycharczał Wilkomir.

Bolesław podał mu leżący przy kolanach miecz.

— Chwyć go! — rozkazał. — Ja przytrzymam twoje ramię.

Z twarzy Wilkomira odpłynęła niemal cała krew. Zacisnął palce lewej dłoni na rękojeści miecza. Bolesław z całych sił przyciskał jego prawe ramię do tułowia. Posoka wypływała z rany pulsującym rytmem. Patrzyli sobie w oczy.

— Przyszła po mnie śmierć — wyszeptał Wilkomir i jego wzrok się zmącił. — Na grzbiecie Thorhalli jedzie…

— Nie! — wrzasnął Bolesław, nie godząc się z jego odejściem. — Wracaj, już! Słuchaj rozkazów!

Potrząsnął martwym ciałem Wilkomira. Puścił go. Prawica odpadła od tułowia. Dłonie Bolesława były pełne krwi. Uniósł je i sam zawył za Wilkomirem jak wilk.

— Zwycięstwo! — krzyczał Bjornar. — Zwycięstwo! Niedobitki uciekają z pola! Ledwie garstka! — Głos uwiązł mu w gardle, gdy zobaczył klęczących.

Wyprawili mu pogrzeb w Głogowie. Na cześć poległego towarzysza broni i ku pamięci wszystkich, którzy tego dnia zostali na polu bitwy, zagrały rogi. Po tym pierwszym, piorunującym starciu wojska Henryka się wycofały. Bolesław umocnił Wrocław i Głogów, ale cesarz już nie chciał otwartej potyczki. Wkrótce zwiadowcy przynieśli wiadomość: hufce Henryka idą nie na Polanię, ale na południe.

— To może być znak, że Mieszko już spustoszył Czechy. — przypuszczał Bolesław. — I Udalryk ciągnie na południe, by pomóc swoim. Albo Zarad dobrał się do skóry jego bawarskim sojusznikom i śmigają im na ratunek.

Połączonym siłom cesarsko-wieleckim stanęła na drodze Niemcza, a jej obrońcy, widząc nacierających na wały pogan, nad każdą z wielkich bram wywiesili ogromny, zbity z prostych desek krzyż.

Oto odwrócony porządek świata — pomyślał Bolesław, gdy do jego obozu pod Głogowem przybyli posłańcy. — Cesarz, który powinien być pierwszym stróżem chrześcijaństwa na ziemi, atakuje z pogańskim wojskiem Niemczę broniącą się pod znakiem krzyża.

Oblegali ją niemal trzy tygodnie bez skutku. Niemcza została niezwyciężona i niezdobyta. Mieszko z Czech przyjechał tryumfalnie, z tłumem jeńców. Cesarz i jego wojska zawróciły w popłochu, gubiąc tabory,

porzucając maruderów i rannych. Bolesław nie odpuścił. Dał rozkaz pościgu za uciekającymi wrogami. Bjornar, wściekły po śmierci Wilkomira, poprowadził wypad aż do rzeki Muldy. Wracając, i on zagarnął ponad tysiąc jeńców.

— Koszty wojny zwrócą się trochę ze sprzedaży, a trochę z wykupów — oznajmił księciu, przeliczając ich.

Bolesław chwycił go za ramiona i zakręcił nim jak piórkiem.

— Bjornar, druhu! Pobiliśmy cesarza! Rozumiesz? Cały jego sojusz! Bawarsko-czesko-lucicki! Ha! Pobiliśmy ich! Wojna wygrana! A o skarby się nie bój.

— Wiem, wiem. Książę Bolesław docenia swych wojów. Żołd zawsze na czas.

— Żołd żołdem, Bjornarze, ale teraz, gdy pokonaliśmy Henryka, gdy jego wojsko długo się po tej wojnie nie podniesie, my ruszymy zapełnić skarbiec.

— Dokąd? Czy zdążę rozsiodłać konia, czy lepiej nie próbować?

— Zdążysz, zdążysz. Dam wam chwilę odpocząć. A potem ruszamy na Kijów. Na najbogatsze z miast w tej części świata.

— A jeśli kniaź Jarosław nie trzyma Sławki w Kijowie? — Bjornar spojrzał na niego spod oka.

— To najpierw zdobędziemy Kijów, a potem odbijemy moją córkę.

— Tak właśnie myślałem. Najpierw… łupy. Dla wojska.

Bolesław się odwrócił. Nie chciał, by przyjaciel, z którym jest od dzieciństwa, który zna go lepiej niż ktokolwiek, patrzył na niego teraz. Bał się, że ma na twarzy wypisane, co myśli. Nie, nie co myśli, co czuje. A on, odkąd wpadł na pomysł, że sposobem na wydostanie Sławy z rąk Jarosława jest małżeństwo z jego siostrą, o niczym innym nie myślał. Po śmierci Emnildy żadnej kobiety nie pragnął jak tej raz w życiu widzianej

dziewczyny. Modrookiej w sukniach o barwie paproci i mchów. Ona znaczyła dla niego Kijów. Pożądał jej jak bajecznie bogatej stolicy Wschodu.

ŚWIĘTOSŁAWA z Duszą na smyczy i topornikami Hardej przemierzała zaułki Londynu. Jej przewodnikiem najczęściej był Godwine. Ciekawiło ją wszystko. Gdy mieli więcej czasu, szli oglądać pozostałości rzymskich pałaców na wzgórzu.

— Tę uliczkę wybrukowali Rzymianie, ale lata lecą i nawet bruk się wykruszył — opowiadał Godwine, gdy pięli się na szczyt.

Podobnie jak zamek królewski mieścił się w dawnym, nieco zrujnowanym pałacu, tak w innych swe siedziby mieli możni. Dziury w ceglanych ścianach łatano niedbale, ale gdy zmrużyła oczy, mogła wyobrazić sobie miniony blask tych budowli. Z upodobaniem dręczyła swego przewodnika, by wynajdował dla niej stare, rzymskie, marmurowe kolumny i posągi. Lubiła dotykać ich chłodnej, żyłkowanej powierzchni. Gładzić przedmioty, które trwają, choć ich świetność minęła. Co zostanie po nas? — myślała wtedy.

Sprawiało jej przyjemność patrzenie ze szczytu wzgórza albo z wieży zamkowej na leżący poniżej Londyn. Z wysokości wydawał się barwną, lśniącą mozaiką, taką samą, jaką odkryła na ścianie jednej z komnat zamku.

Jeśli nie udawali się na wzgórze, zaczynali spacer od mieszczącego się naprzeciw zamku małego, murowanego kościoła Dziewicy Maryi, wyłożonego starymi, rzymskimi płytami. Potem szli od murowanej bramy miasta, zwanej Billingsgate, poprzez ciągnące się wzdłuż Tamizy zaułki tkaczek, kramy flamandzkich i niemieckich kupców, po ulicę Chlebową, gdzie Godwine zawsze kupował jej ciepłe, chrupiące bułki. I dalej ulicą Mleczną, tam Dusza dostawała miskę śmietanki, a potem ulicą Króliczą, gdzie Godwine szedł przodem i z góry płacił kupcom za to, co z kramów

porwała rysica. Przechodzili przez rzeźnickie jatki — Bogu dzięki, Dusza była już pełna i leniwa — przekraczali wielki i krzykliwy Targ Miejski, gdzie po równo chętnie dokarmiała bezpańskie psy i niczyje dzieci. Obchodzili katedrę Świętego Pawła, którą podziwiała, ale nie lubiła. Wciąż mieli kłopoty z biskupem Londynu.

— Elfwig — odezwał się Godwine — gra na uczuciach mieszkańców relikwiami zamordowanego przez armię Thorkela arcybiskupa Aelfheaha. Lubi powoływać się na kości męczennika.

— Nie mam pojęcia, jak rozegrać batalię z biskupem — szczerze przyznała Świętosława.

— Gdybym mógł radzić królowej… — zaczął ostrożnie Godwine.

— Możesz — zachęciła i machnęła ręką.

— …sugerowałbym wykorzystanie Ethelnotha, spowiednika króla Knuta.

— Bardzo brzydko jest wykorzystywać ludzi Kościoła. — Świętosława się zaśmiała.

— Królowa wie, co mam na myśli. Spór między duchownymi z Canterbury i hierarchą Londynu. Ethelnoth jest przełożonym wspólnoty klasztoru benedyktynów pod wezwaniem Świętego Augustyna w Canterbury. Arcybiskup Lyfing również z oddaniem służy królowi Knutowi. Warto by Canterbury nagrodzić jakąś wspaniałą relikwią. — Godwine uśmiechnął się elegancko.

— Nadzwyczaj grzeczna szelma z ciebie, Godwinie! — Świętosława się zaśmiała. — Sugerujesz kradzież relikwii Aelfheaha z londyńskiej katedry?

— Gdzieżbym śmiał, królowo! Nie kradzież, a uroczyste przeniesienie w inne miejsce.

Wiedziała, że to niezła myśl. Jednym posunięciem można było zaskarbić sobie dozgonną wdzięczność Canterbury i odebrać biskupowi Londynu

święte kości, którymi grał ponad miarę.

Szli dalej drogą, którą lubiła, aż dotarli do murów miejskich i bramy.

— …która pamięta czasy rzymskie? — upewniła się, a Godwine skinął głową.

Przeszli nad nieużywaną zarośniętą fosą.

— Tu będzie ciekawy kościół, pani — wskazał na niewielką bryłę budynku nieopodal lśniącej ciemną powierzchnią wody rzeczki Fleet. — Najstarsi mieszkańcy nazywają go „świątynią oblubienicy”.

— Saint Bride? — nie była pewna, czy dobrze zrozumiała swego towarzysza.

— Świętej Bridget z Kildare, pani. Towarzyszki i uczennicy świętego Patryka.

Przyjrzała się budowli i pokręciła głową.

— Nie wygląda na tak stary, jak mówisz. Mur owszem, nadkruszony, ale dach równiutki, nic się nie zapada.

— Duńczycy go odbudowali przed stu laty…

— To miło z ich strony — uśmiechnęła się.

— …bo starszy kościół zrujnowali, gdy zdobywali miasto — dokończył Godwine.

Mruknęła. Nie może się czuć winna za wszystkie duńskie inwazje na Londyn. Ważne, że naprawili, co zepsuli.

— Spójrz, królowo — Godwine wskazał na nierówny chodnik z czerwonych i brunatnych płytek, który biegł u wschodniej ściany kościoła, okalając ją, niczym niewielkie podwórko.

— Ta ściana jest inna — zauważyła.

— Jedyna, która zachowała się po pożarze. Pochodzi z dawnej rzymskiej willi, w której modlili się chrześcijanie. Ich dom stał się zalążkiem pierwszego kościoła pod wezwaniem Świętej Bridget, bo święta odwiedziła

Londyn w czasie swych licznych wędrówek. Wtedy też, jak głosi legenda, modliła się przy tutejszym źródle i odtąd woda, która w nim płynie, zaczęła słynąć z cudów.

— Uzdrawia? — zaciekawiła się Świętosława. — Jak źródło świętego Patryka?

— Owszem — uśmiechnął się Godwine — zwłaszcza duszę. Ponoć daje szczęście w miłości, dlatego tutejsi czerpią wodę ze źródła i podają na weselnych ucztach.

Nie powstrzymała się i podeszła do źródełka ukrytego w cembrowinie. Szemrało cichą, niepozorną strużką. Przykucnęła, wystawiła palec, by obmyła ją kropla wody, i schowała go natychmiast.

Godwine pomyśli, że mam pstro w głowie. Stara królowa, a interesuje ją miłosne źródło.

Jej towarzysz jak zwykle miał twarz nieskończenie uprzejmą niezależnie od tego, co myślał. Wskazał na tyły kościoła.

— Kiedyś był tu rzymski cmentarz, ale nagrobki zniszczył czas i mieszkańcy ułożyli z nich murek po przeciwnej stronie świątyni, choć, jak widać, i on się już kruszy. Czasami przy kościele można spotkać natchnionych mnichów, kaznodziejów i pielgrzymów, którzy przemierzyli najdalsze kraje. Tych, co wracają z Ziemi Świętej i Rzymu. Święta Bridget wędrowała po świecie i oni, wracając z podróży, przychodzą modlić się przy jej ołtarzu.

Dusza pociągnęła smycz i Świętosława poszła za nią, nie słuchając Godwine’a. Na murze z nadgryzionych upływem czasu płyt nagrobnych wygrzewał się chudy pielgrzym w poszarpanym szarym habicie. Pewnie był niemłody, sądząc po żylastych, pokrytych plamami dłoniach. Siedział niczym stary kocur, z podwiniętymi pod siebie nogami, kapturem

zarzuconym na twarz, aż po podbródek, i głową zwróconą ku promieniom słońca.

Czciciel Jasności — pomyślała i nie śmiała mu przeszkodzić. U stóp murku stała drewniana miseczka pielgrzyma, w niej parę miedziaków. Nie pilnował ich, całkowicie pochłonięty promieniami. Wysupłała z sakiewki monetę i wrzuciła do jego miski. Nawet nie drgnął, choć dźwięk srebra wyraźnie odbił się od miedziaków.

— Och, od jednego srebrnika lepsze jest trzydzieści! — Zaśmiała się z sarkazmem i wróciła do Godwine'a. Poszli dalej przez kładkę w stronę dużego targu na duńskim osiedlu w Aldwych, zwanym Starym Targiem. Po drodze zeszli w stronę rzeki, by popatrzeć na łodzie cumowane w przylegających do domów kanałach. Przystawała, rozmawiając z mieszkającymi tam od lat Dunami. Każda rodzina była z czasów innej inwazji.

— Aldwych to spokojna dzielnica kupców i rzemieślników, ale chyba czas na nas, pani — łagodnie zawrócił w stronę murów miejskich Godwine. — Dzisiaj w starym, rzymskim amfiteatrze odbywa się zebranie radców londyńskich — powiedział. — Chciałabyś, pani, zobaczyć?

— Chciałabym posłuchać — odpowiedziała z uśmiechem, gdy weszli w obręb murów przez bramę — ale najchętniej tak, by nie wiedzieli, że jestem królową.

W tej samej chwili z zaułka uniósł się dźwięk, od którego stanęło jej serce. Krzyk sokołów. Dusza zastrzygła uszami i pociągnęła ją za sobą.

— Pani! — krzyknął Godwine i ruszył za nimi, ale Wielki Ulf już był za jej plecami.

Mężczyzna o wyglądzie żeglarza niósł klatkę z parą sokołów.

— Norweskie? — spytała go rozgorączkowana Świętosława.

— Nie, pani. Islandzkie.

— Ćwiczone do polowania?

— A jakże.

— Kupuję!

— Nie są na sprzedaż, pani.

— Ja nie pytam, czy są, czy nie. Ja je od ciebie kupuję — oświadczyła twardo. — Godwinie! Zapłać za sokoły, bo ja ostatniego srebrnika wrzuciłam pielgrzymowi do miski.

— Mogę po niego wrócić — zaproponował Wielki Ulf. — Było tam też nieco miedziaków.

Godwine wysupłał srebro z sakiewki i wcisnął w garść zdumionemu żeglarzowi. Ten podrapał się za uchem i powiedział:

— Gdyby nie to, że u nas na Islandii jest taki poemat O królowej i dwóch rysiach, sokołów bym nie oddał. Ale mam słabość do tej pieśni. Sigrida Storråda pędzi złotym zaprzęgiem ciągnionym przez dwa dzikie koty — wyrecytował i westchnął. — Ty, pani, masz tylko jednego dzikiego kota…

— Człowieku! Mówisz do… — zaczął Godwine, ale Świętosława go szturchnęła i zamilkł.

— Bardzo dziękuję, Islandczyku — powiedziała grzecznie. — Idziemy.

Wielki Ulf niósł klatkę, a ptaki biły skrzydłami o pręty.

— Dlaczego nie chciałaś, pani, sprawić przyjemności temu nieborakowi? — zapytał Godwine, gdy oddalili się nieco. — Byłby dumny, że sprzedał ptaki królowej Sigridzie.

— Wiersz o zaprzęgu dwóch kotów to tylko jeden z wielu, które krążą po wyspach — odpowiedziała wymijająco.

— Nie rozumiem — Godwine pokręcił głową.

Wielki Ulf odwrócił się do nich i mrugnął.

— Jest i taki o wyskubanym sokole, którego królowa oddała — powiedział i nim zdążyła zaprotestować, przypomniał go sobie. — Sokół

bez płaszcza z piór. Bezbronny i nagi. Prezent odesłany nie w porę. Niech nikt nie waży się wchodzić w drogę Sigridzie. Gniew królowej to sztorm, który szarpie żagle. Jakoś tak to szło.

— To po co kupiłaś, pani, sokoły? — zatrwożył się Godwine. — Twój strażnik żartuje?

— Oczywiście — uspokoiła go Świętosława. — To co z tym amfiteatrem? Idziemy podsłuchiwać rajców?

— Wobec tego musimy okryć cię jakimś szaroburym płaszczem i odprowadzić do zamku twojego rysia…

— Rysicę — poprawiła go.

— Naturalnie, wybacz mi, pani. To wielka różnica. Królowa nie chadzałaby na smyczy z chłopcami.

— Chadzałaby, Godwinie, gdyby żyli.

— Jestem bardzo ciekaw, ale nie śmiałbym prosić o opowieść.

— Daleko ten amfiteatr?

Wilczan oddał jej swój płaszcz, a ona mu Duszę, by wrócił z nią do zamku. Odesłała też toporników i klatkę z parą sokołów. Tylko Wielki Ulf im towarzyszył. Ujęła Godwine’a pod ramię. Lubiła tego młodzieńca, bo był inny niż wszyscy, których znała. Pełen umiaru i taktu. Wydawało jej się zawsze, że na kogoś takiego wyrósłby Knut, gdyby nie musiał być królem. Szli na północny wschód od katedry, gdy nie mówiąc wszystkiego, opowiedziała mu o Wrzasku i Zgrzycie.

— Jesteś jedyną osobą, jaką znam, pani, o dwojgu różnych oczach. Czuję się zaszczycony, że poznałem tę historię.

— Jako mały chłopiec też byłeś taki grzeczny? — chciała się dowiedzieć.

— Moja dobra pani matka nie żyje, nie mam kogo zapytać. — Rozłożył ręce z rozbrajającym uśmiechem. — Zwykle radni Londynu spotykają się w

piątki, ale dowiedziałem się, że tym razem wyjątkowo będzie to czwartek.

— Thuresday — powtórzyła w zamyśleniu. — Dzień Thora. Czy to nie dziwne, że chrześcijańscy mieszkańcy królestwa dni tygodnia wciąż nazywają imionami starych bogów?

— Siła przyzwyczajeń — odpowiedział z uśmiechem. — Nasz dawny król, Alfred, ten, który podzielił królestwo, chciał nazwać dni tygodnia imionami świętych, ale lud nic sobie z tego nie robił i tak zostało. Jesteśmy na miejscu. Te kamienne ławy wybudowali Rzymianie w czasach, gdy Londyn leżał na obrzeżach imperium, a dzisiaj siedzą na nich i debatują londyńscy radni. To tu zapadały decyzje, jak bronić się przed najazdami wikingów, jaka część danegeldu przypadnie na Londyn…

— Mam się tym wzruszyć czy poczuć winna? — Uszczypnęła go. — Niedoczekanie, Godwinie. Co tu się odbywało za czasów rzymskich?

— Pojedynki gladiatorów, pokazy dzikich zwierząt. To samo co dzisiaj, tylko bez radnych.

— Czy widzisz to co ja? — zapytała, wskazując na Streonę wychodzącego przeciwległym wyjściem.

— Tak, pani. Spójrz tam — dyskretnie pokazał na dolne ławy amfiteatru. — To Brithric.

— Do tej pory nikt z nas nie widział go nawet w dalekim otoczeniu Pająka — zauważyła.

— Ani jednego, ani drugiego nie powinno tutaj być. To nie zgromadzenie szlachetnie urodzonych panów, ale miejski wiec. Wielki Ulfie? — Godwine odwrócił się niespokojnie. — Pchnij sługę, żeby czym prędzej zawrócił Wilczana i toporników. Mogą nam się przydać.

— O czym mówią? — zapytała.

Poznała tutejszy język, ale gdy mówiono szybko i niewyraźnie, gubiła się.

— O mennicy londyńskiej, pani… Wycofajmy się, żeby Brithric nas nie zauważył.

Zeszli na dół. W wąskim przejściu prowadzącym z amfiteatru na uliczkę panował tłok. Jakiś kulawy żebrak hałaśliwie kłócił się z przekupką. Godwine był poruszony.

— Nie przypuszczałem, że macki Streony sięgają najbogatszych mieszczan — powiedział. — Jest bardziej pazerny, niż ktokolwiek przypuszczał.

— Chodźmy do króla. — Pociągnęła go za ramię.

Czas przejąć pajęczynę — pomyślała zimno.

W tej samej chwili w ciżbie kręcących się ludzi przemknęła jej wysoka sylwetka w szarym habicie i kapturze zarzuconym na twarz. Obejrzała się, chcąc mu się przyjrzeć. Uciekając na oślep przed przekupką, kulawy żebrak rzucił się w ich stronę i puściła ramię Godwine’a. Dostrzegła kostur żebraka tuż przed swą twarzą. Poczuła gorąco, jakby już trafił ją kijem w policzek, i wtedy zasłonił ją sobą Wielki Ulf. Odwrócił się błyskawicznie, chwycił Świętosławę i uniósł, przytulając do siebie jak dziecko. Odruchowo zarzuciła mu ramiona na szyję. Słyszała przestraszony krzyk Godwine’a:

— Pani!

Ulf wynosił ją z ludzkiej ciżby. Po kilku długich susach poczuła, że jej druh się zachwiał.

— Jestem ciężka — powiedziała wprost do jego szerokiej piersi.

— Nie — szepnął i opadł na jedno kolano.

Puściła go i wstała. Dobiegał ją krzyk Godwine’a:

— Straże!

— Ulfie? — Pochyliła się nad nim. — Chryste Panie! Masz nóż w plecach… Co mam robić? Wyjąć go?

Wielki Ulf klęczał, oddychając ciężko. Wokół nich zbierał się tłum gapiów.

— Nie — sapnął. — Nie wyjmuj, bo się wykrwawię.

Padła na kolana przy nim. Klęczeli naprzeciw siebie. Patrzyła w jego twarz, z której odpływały wszelkie barwy. Na łysą, pokrytą bliznami czaszkę. Na oczy zachodzące mgłą.

Dobiegli do nich zawróceni z drogi do zamku topornicy Hardej i Godwine. Wstrzymała ich ruchem dłoni.

— Odsuńcie ten tłum — półgłosem rozkazał Godwine, rozumiejąc, co się dzieje.

Wściekli topornicy przepchali tarczami ludzi tak, że po chwili w zaułku opustoszało i zapanowała cisza. Świętosława przysunęła się na kolanach bliżej Ulfa. Po jej twarzy płynęły łzy. Pochyliła się do jego pasa i wyjęła z pochwy miecz. Po raz pierwszy poczuła ciężar żelaza, które broniło jej od tylu lat. Wsadziła klęczącemu wielkoludowi miecz w dłonie, a on się wsparł na jego rękojeści.

— Umieram na kolanach przed moją panią — powiedział z trudem.

— Umierasz z mieczem w dłoni — powiedziała przez łzy — a ja klęczę przy tobie, Wielki Ulfie. Masz jakieś życzenie?

— Mam — poruszył ustami i skonał.

Godwine go przytrzymał, by Wielki Ulf się nie przewrócił. Nie wstając z kolan, Świętosława pocałowała swego stróża w usta. Wstała dopiero po chwili, gdy dotarł do nich Wilczan.

— Zabiłem fałszywego żebraka — powiedział, patrząc z bólem na Ulfa. — Mógł być każdym, ale nie kaleką, którego udawał. Uciekał rączo jak zając. Gdyby nie jakiś mnich w kapturze, nie dałbym rady go złapać.

— Mnich ci pomógł? Gdzie on jest? — zapytał Godwine.

— Trup? Leży przy rynsztoku.

— Pytam o mnicha.

— Nie wiem. Zniknął.

— Topornicy, Godwinie, Wilczanie — wezwała ich do siebie, gdy czekali na wóz, który miał zabrać ciało Ulfa. — Zakazuję wam mówienia komukolwiek, co się stało.

— Nawet królowi? — zapytał Godwine, unosząc brwi.

— Nikomu. Nie wyprawimy pogrzebu. Znajdź miejsce, gdzie ciało Wielkiego Ulfa zaczeka do pochówku.

— Pani, plotki się rozniosą.

— Wiem o tym — powiedziała twardo. — Ale tylko ten, kto stoi za tym…

— …zamachem — nazwał zajście po imieniu Godwine i dokończył: — wie o tym, że Ulf zginął.

Świętosława skinęła głową. Wóz przyjechał, topornicy Hardej przenosili ciało Ulfa.

— Miałam ich dwóch — powiedziała cicho. — Wilkomira i Wielkiego Ulfa. Czułam się bezpiecznie między dwoma wilkami. Twój ojciec popłynął do Polanii…

— Póki nie wróci, weź **jego** szczenię — powiedział Wilczan i stanął za jej plecami.

KNUT zaprosił na ucztę po Bożym Narodzeniu wielu swych możnych. Emma z wyraźnym ciążowym brzuszkiem asystowała mu, póki miała siły. Potem odprowadził królową do komnat, prosząc swe siostry, by dotrzymały Emmie towarzystwa, i powrócił do ucztujących.

Jego matka z rysicą przy nogach siedziała na swym tronie, a wartę przy jej boku pełnił Wilczan. Thorkel, earl Essexu, i Erik, earl Northumbrii, zajmowali miejsca po przeciwnych stronach stołu. Earl Mercii, Eadric Streona, między nimi. Spowiednik Knuta, Ethelnoth, i jego brat, zarządca

londyńskiego zamku, Ethelweard, zajęci rozmową siedzieli na uboczu. Obok nich starzy wodzowie, Ragn z Wysp i Uddorm z Viborga, raczyli się pieczoną kuropatwą. Northman pił z Jorunem. Brithric z Godwine'em. Bracia Eilif i Ulf z Hranim. Skuli recytował poemat:

Milkliwy i myślący
ma być syn królewski,
w boju mężny,
w rozkazach nieugięty.

— Piękne są te wasze północne pieśni — pochwalił Streona. — Takie proste, a przenikliwe.

Godwine przepijający do kompana zaśmiał się z jakiegoś żartu Brithrica i na chwilę uniósł dłoń, rozczapierzając palce. Knut zobaczył, że na ten widok jego matka pobladła, a Wilczan nieznacznie zacisnął szczęki.

— Skuli! — zawołała królowa. — Wyrecytuj pieśń angielską.

— Pieśń Pierwszą czy Pieśń Drugą?

— Pierwszą, skaldzie! — twardo powiedziała matka i okręciła smycz wokół nadgarstka.

Po wielkiej bitwie na wściekłym wrzosowisku
posoka wsiąkała w kamienie.
Tajemniczy Mąż odwrócił los boju,
niech będzie mu chwała,
zmienił Przeznaczenie.
Ten, który zjawiał się zawsze niczym Duch Opatrzności,
i pod tym imieniem zapamiętał go skald.

Zgromadzeni pili w milczeniu, wsłuchując się w każde ze słów Skulego. Knut z uśmiechem kiwał głową. Streona rozparł się na ławie i popijał wino,

zadowolony, że na wspomnienie męża, co odwrócił bieg bitwy na wrzosowisku, spojrzenia większości powędrowały ku niemu.

Gdzież byłby dzisiaj Jasny Król?
Gdzież złożyłby swą głowę?
Gdyby nie Ducha Opatrzności
rady i czyny skromnie ukryte?

Streona natarczywym ruchem upierścienionej dłoń przywołał sługę i kazał sobie dolać. Pił łapczywie.

Kto czuwał nad sojuszem królów dwóch
zawartym na wyspie w rwącym nurcie rzeki?
Kto jego umów dochował?
Duch. Opatrzności Duch.
A dzisiaj zamiast królestw dwóch
jest jedno, a potężne.
Jasnego Króla władztwo.
Kogo nagrodzić — pyta król…

— Ducha Opatrzności! — ryknął pokraśniały Streona, uderzając kielichem w stół, aż wino się rozlało. — I jego pomocne duszki!

— Mów! — Jego matka, królowa, łaskawie się uśmiechnęła. — Mamy nagrodę dla Ethelwearda za język Eadwiga. Dla Northmana za sojusz na wyspie. Dla kogo jeszcze?

— Dla Brithrica! — poprosił Streona. — Za… pomoc.

— W wyprowadzeniu srebra z królewskiej mennicy — grzecznie powiedział Godwine i odstawiając kielich, z którego przed chwilą pił z Brithrikiem, złapał go od tyłu za szyję.

W tej samej chwili Jorun wytrącił kielich z dłoni Northmana i przytrzymał go w żelaznym uścisku. Ethelnoth, spowiednik Knuta, wykopnął ławę spod swego brata i zarządca londyńskiego zamku, Ethelweard, znalazł się na posadzce, gdzie dopadli go Ragn z Uddormem. A Thorkel i jarl Erik przytrzymali zaskoczonego Streonę.

— Skuli! Wiersz! — powietrze przeciął ostry krzyk Świętosławy.

Skuli wyrecytował drżącym głosem:

Sigrid Dumna, Sigrid Nieugięta,
do której świetlistej siedziby
ze skalistych grani bagnistym szlakiem
wytrwale bieżą zalotnicy…

— Nie ten! — przerwała mu matka. — Pieśń Druga!

— Wybacz, pani… — Skald się zaczerwienił.

Duch Opatrzności czy Duch Zły? — zapytał król sam siebie.
Przysięgły brat, czy chce, czy nie, jest w krwawym kręgu wróżdy.
To święte prawo wzywa go, by pomścił śmierć Edmunda.

Knut stał pośrodku wielkiej kamiennej sali. Patrzył, jak jego ludzie prowadzą ku niemu czterech skrępowanych zdrajców. Ich zmieszane twarze wskazywały, że pojmanie było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali.

— Ethelweardzie, jesteś oskarżony o okaleczenie Eadwiga w celu ukrycia prawdy o śmierci króla Edmunda. Northmanie, jesteś oskarżony o nieustanne podburzanie przeciw mej władzy w Northumbrii. Brithricu, twoją przewiną jest umniejszanie dochodu królewskiego skarbu poprzez oszustwa na wadze srebra w londyńskiej mennicy oraz podburzanie przeciw mnie możnych Essexu…

Stojący przy Knucie Godwine dotknął jego ramienia i dokończył:

— Oraz przygotowanie i przeprowadzenie zamachu na królową Sigridę Storrådę.

Knut zmarszczył brwi.

Jego matka wstała z tronu i z rysicą na smyczy podeszła do Brithrica.

— O jakim zamachu mówi Godwine? — zapytał Knut. — Przed ucztą mieliśmy pewność, że Brithric brał udział w zmowie i wyprowadzał srebro z mennicy. O czym nie wiem?

— Wybacz, synu — powiedziała. — Mennica to jedno, a zamach, w którym Wielki Ulf zginął, ratując mnie, to drugie.

— Królu, nie mieliśmy pewności, kto za tym stał — powiedział przepraszająco Godwine. — Dlatego zatailiśmy zamach i śmierć strażnika królowej. Dopiero gdy chwilę temu Brithric zapytał mnie, czy Wilczan jest lepszym stróżem pani, niż był Wielki Ulf, zyskaliśmy przekonanie, że ten, kto pyta o Ulfa w czasie przeszłym, wie, iż powinien był zginąć.

— Nie daruję ci śmierci mego druha — powiedziała jego matka do Brithrica i nie po raz pierwszy w jej różnobarwnych oczach dostrzegł groźbę.

— A ja nie przepuszczę targnięcia się na mą matkę — wycedził Knut i zwrócił się do earla Mercii. Pająka. Kundla. Stajennego, który przez tyle lat z ukrycia rozstawiał piony na planszy do gry o królestwo.

— Eadricu Streono, na tobie ciąży najstraszliwsze oskarżenie. O doprowadzenie do śmierci króla Edmunda, syna Ethelreda.

— Ależ… królu… ależ… — wyjąkał Streona.

Świętosława minęła Brithrica obojętnie, jakby już go nie było, i podeszła do earla Mercii. Jej wielka kocica warknęła, wyrwała się do przodu, a potem przycupnęła i nasikała przy nogach Streony.

— Nawet moja Dusza się tobą brzydzi — powiedziała zimno królowa.

— Ethelnocie, mój spowiedniku — odezwał się Knut. — Nie przenoszę winy brata na ciebie, bo mam pewność, że nie miałeś z nią nic wspólnego. Na dowód mego zaufania mianuję cię od dzisiaj mym kapelanem.

Pobladły Ethelnoth skinął głową.

— Leofwinie! Wiem, że byłeś lojalnym i wiernym sojusznikiem Edmunda, skrzywdzonym ongiś przez Streonę. I ciebie nie winię za zdradę twego syna, Northmana. W dowód tego, że jeden kąkol w łonie rodziny nie zatruwa jej całej, drugiego z twych synów, wiernego nam Leofrica, mianuję jednym z earlów Mercii w miejsce usuniętego Streony. Karą za zdradę króla jest śmierć. Ty, Eadricu Streono, zdradziłeś wielu królów, dlatego wyrok na tobie będzie wykonany natychmiast, a poćwiartowane ciało spocznie w nurcie Tamizy na przestrogę każdemu zdrajcy.

— Topornicy Hardej! — zawołała królowa. — Czyńcie powinność w imię Boże! Skuli, Pieśń Druga, bo nie chcę słyszeć krzyków tchórza.

Przysięgły brat, czy chce, czy nie, jest w krwawym kręgu wróżdy.
To święte prawo wzywa go, by pomścił śmierć Edmunda.

ASTRYDA z trudem podniosła się z ławy.

— Leszko! — krzyknęła, ale jej głos słaby i cichy ledwie zaszeleścił.

Jakby jeż szedł pod stertą liści — pomyślała i zachciało jej się z siebie śmiać.

Stuknęła kosturem w podłogę i po trzecim razie jej sternik przylazł.

— Wołała?…

— Leszko, wyprowadź mi łódź.

— Nie! — Wstrząsnął się. — Nie zrobię tego!

— Zrobisz — powiedziała. — Zawsze robisz, co każę… — Zakaszlała i potem nie mogła złapać oddechu.

— Ale nie to… nie to…

— Leszko — westchnęła ciężko. — Mówienie sprawia mi większą trudność niż ruch… więc nie kłóć się ze mną, bo sama wyprowadzę łódź…

Wysmarkał się w rękaw, kiwnął głową i wyszedł bez słowa. Po chwili zjawiła się Busla. Jej obwisłe policzki drgały lekko.

— Na pewno nie chcesz kogoś do towarzystwa? — spytała.

— Z pewnością nie ciebie — ofuknęła ją Astryda. — Gadanie mnie męczy.

— Weź chociaż dzban. — Wyjęła ze skrzyni zalepiony woskiem dzban z winem.

— Jakie to?

— Złote styryjskie.

— Może być. I nie odprowadzaj mnie na przystań. Nie lubię pożegnań. No, czas na mnie.

Podniosła się z ławy. Busla owinęła jej ramiona płaszczem i wetknęła w jedną rękę dzban, a w drugą kostur.

— Bywaj — powiedziała jej Astryda i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Na przystani lekko wiało, słona woń od morza wdarła się w jej nozdrza. Do wiosny jeszcze daleko, ale Bałtyk już budził się po krótkiej, lekkiej zimie. W porcie było puściutko, tylko jej „Słona Siostra” kolebała się na wodzie. Leszko stał przy pomoście z zaciętą, obrażoną miną. Międlił w paluchach brudną linę.

— Jak się tak krzywisz, widać ci każdą dziurę po zębie — powiedziała do niego i nieoczekiwanie pocałowała Leszka w siwy, niechlujny zarost na policzku. — No, żegnaj mój przyjacielu, ale pomóż mi najpierw wsiąść.

Gdy pokład pod stopami zabujał nią, nieoczekiwanie odzyskała werwę. Odstawiła dzban, odrzuciła kostur i chwyciła za ster. Leszko odcumował „Siostrę” i krzyknął:

— Ostatni rejs wolińskiej pani!

Odwróciła się na chwilę, by na niego spojrzeć. Płakał i rozmazywał łzy jak dziecko. Najtrudniej było wypłynąć ze zdradzieckiego ujścia Dziwny na pełne morze. Czuła, jak pot spływa jej po plecach, drżą z wysiłku kolana i ramiona.

Jeszcze chwila, zaraz odpoczniesz — uspokajała oddech, wychodząc z ujścia na Bałtyk. — Nareszcie…

Ostatnim wysiłkiem drętwiejących ramion zwinęła żagiel i ustawiła „Słoną Siostrę” w dryf. Opadła na poszycie i długą chwilę nie mogła się ruszyć. Gdy wreszcie wyrównała bicie serca, jeszcze raz zmusiła mięśnie do wysiłku i sięgnęła po dzban. Ledwie udało jej się odłupać woskowy czop, nie mogła utrzymać noża w zmarzniętych dłoniach i poraniła się, otwierając wino. Otarła krew o płaszcz. Uniosła dzban, ale ręce jej się trzęsły i oblała się.

Jak tak dalej pójdzie, to nie zdołam się upić i pójdę na dno trzeźwa — pomyślała.

Wymarzyła sobie, że gdy odpłynie wystarczająco daleko od brzegu i ustawi łódź w dryf, nadejdzie sztorm i raz-dwa zatopi „Słoną Siostrę” wraz z nią. Zerknęła w niebo. Na razie nic nie zapowiadało burzy, ale to był dobry czas na nawałnice.

Pożyjemy, zobaczymy — powiedział w jej pamięci Dalwin, ale ona była tu właśnie dlatego, że już nie chciała żyć.

Zdradziłam, a czuję się zdradzona — pomyślała, naciągając mocniej na piersi płaszcz. — Zdradzona, opuszczona, rozżalona starucha. Oto ja. Córka wielkiego księcia Mieszka, co miała pecha i urodziła się nie z tej matki, co trzeba, i nie w porę. Ech!

Gdyby nie to, że Mieszko krótko po jej narodzinach przyjął chrzest, gdyby nie ślub z Dobrawą, nie musiałby odsuwać ich od siebie.

Wszystkie byłybyśmy równe. Geira, ja, Świętosława. Równe sobie. A tak? Podzielił nas na lepsze i gorsze, tańsze i droższe!

Pociągnęła z dzbana i zaśmiała się wściekle.

„Moja najdroższa córka”. Tak mawiał tylko o niej jednej, o Hardej. A ona? Przyjęła to, a jakże. Podobało się jej. Ile razy bez mrugnięcia powieką, bez cienia rumieńca powiedziała o kimś przy mnie: „To tylko przyrodni brat”. Tylko! Tylko. Przyrodnia siostra. Gorsza, co? Ach, Harda! Myślałaś tylko o sobie. Patrzyłaś na mnie i nie widziałaś, jakbym była powietrzem. Traktowałaś mnie jak jedną ze swych zaufanych sług. Nie widziałaś, że kocham Olava? Że to ja przywiozłam go na dwór ojca? Nie. Dla ciebie liczyło się tylko to, co czujesz ty. I nie zawahałaś się prosić mnie o pomoc, by móc go odzyskać! Ale Bitwa Trzech Królów potoczyła się inaczej. Tak. Byłam tam. Bałam się zdrady Sigvalda i popłynęłam „Słoną Siostrą” na pomoc. Ale Olav kazał mi stać z boku i zbierać rannych. Wyławiałam ich niczym rozprute ryby…

Przed oczyma zamajaczył jej tamten widok. Wstrząsnął nią dreszcz. Ale już wspomnienia pogalopowały dalej, do tej chwili, gdy Dusza przebita strzałą padła, a Olav stanął na burcie „Długiego Węża” z zakrwawionym Vigim przy boku. „Nie dostaniesz mnie!” — krzyknął. Widziała i słyszała wszystko. A potem nakrył się tarczą i skoczył w toń, a ona złapała się za serce i krzyknęła z całych sił: „Nieee!”. I to był ten jeden jedyny raz, gdy wyznała głośno, że nie chce bez niego żyć. Chciała skoczyć w wodę za nim, skończyć ze sobą, ale stała, jakby skamieniały jej nogi. Nie mogła się ruszyć. Stała i stała. Widziała, jak jarl Erik przejmuje „Długiego Węża”, statek pełen trupów. Okręt umarłych. Za jej plecami, na pokładzie „Słonej Siostry” jęczeli ranni i wtedy go zobaczyła. Myślała, że to zwidy, majaki, mary. Ale nie. Płynął pod wodą ku niej, a za nim ciągnęła się słaba smuga gęstej krwi. „Leszko! — zawołała. — Pomóż mi. Wyciągnijmy go”. W

jednej chwili odzyskała siły i rzuciła się ku burcie. Wynurzył głowę. Był siny, ale żył. „Olav — jęknęła do niego. — Tylko ty mogłeś to przepłynąć”. Wyciągnęli go z Leszkiem na pokład. Stracił przytomność. Nie mogli go rozebrać, a spod kolczugi płynęła krew. Nigdy nie działała tak sprawnie i trzeźwo, nigdy nie miała tylu sił co wtedy. Z zimna kostniały jej palce; umiała je rozgrzać, by wsunąć dłoń pod kolczugę, wymacać ranę i zatamować krew. Potem okryła go wszystkim, co miała na łodzi, i Leszko ruszył. Bała się, że nie dopłynie z nim na Wolin. Zacumowali w nieznanej żeglarzom i kupcom zatoczce przy skalistym brzegu Rugii. Wiedziała, że musi go ukryć, że jeśli ktoś z rannych zrozumie, że Olav przeżył, wiadomość rozniesie się prędzej czy później. Miała tam przyjaciół z osady pracującej dla arkońskich kapłanów. Pomogli jej. Użyczyli chaty. Leszka z resztą rannych odesłała na Wolin, pod opiekę Busli. I została z nim. Wydobyła jego ciało z oków kolczugi. Grzała go swym ciepłem. Przemywała rany. Tak, należał do niej. Był jej. Nie wiedziała, czy wyjdzie z tego, ale te krótkie chwile, kiedy go pielęgnowała, były najpiękniejszymi w jej życiu. Miłość i lęk, ale ukochany był w jej rękach. W jej. Poznała każdy skrawek jego ciała. Każdą bliznę, wypukłość, wklęśnięcie. Na lewej łopatce nosił niewolnicze piętno, wyraźny czarnosiny znak jak odcisk kurzej stopy. Całowała to znamię jak każdą inną z jego blizn. Była suką, która lizała jego rany. Pieściła uda, łydki, brzuch, piersi. Jeśli zasypiała, to tylko na chwilę, a potem budziła się i rozcierała, rozmasowywała go. Widziała, jak dzień po dniu rośnie mu broda, zarastają policzki. Dotykała tego jasnego zarostu opuszką palca. Od jej ciągłych dotknięć i pieszczot zaczęła w nim krążyć krew. Rany się zasklepiły. Nie, nie był zdrów, ale najgorsze minęło. I wreszcie pewnego poranka otworzył oczy.

Musiała go zostawić pod opieką miejscowych, wrócić na Wolin, zająć się tamtymi, których zwieźli z Øresundu. I przywieźć dla Olava lepsze zioła.

„Tym, co tu mam, cię nie wyleczę” — powiedziała i odpłynęła. Krążyła między Wolinem i Arkoną przez rok. Najważniejszy rok jej życia. Świętosława wzywała. Bolesław wzywał. Miała gdzieś ich wezwania. W końcu żyła dla siebie, ten jeden jedyny raz żyła własnym życiem. Lecz Olav się zmienił. Ta bitwa go zmieniła. Był milczący, zamyślony. Im bardziej dochodził do sił, tym bardziej odsuwał się od niej. Aż wreszcie któregoś razu, gdy przypłynęła, nie poznała go. Obciął swe długie, białe włosy i ogolił głowę. Olav łysy. Wiedziała, że to jakiś znak, ale nie chciała go rozpoznać. Pokłócili się. „Moje życie należy do Boga” — powiedział jej. „Do Boga?! — wściekła się. — To ja cię uratowałam, a nie jakiś bóg! Ja! To mnie zawdzięczasz życie, które odzyskałeś!”. I mnie je oddaj — chciała dodać, ale nie miała śmiałości, bo spojrzał na nią tymi jasnymi oczami tak, jakby była obca. Wtedy poczuła przerażający chłód. „Chcesz odejść?” — zrozumiała w jednej chwili. „Odejść?”. W jej ciele zadrgała tęsknota. Chciała, by cofnął się czas. By znów był nieprzytomny, a ona mogła pieścić jego ciało zupełnie jej oddane i bezbronne. „Tak, Astrydo, chcę odejść” — powiedział, a w jego głosie nie zabrzmiała nawet nuta smutku. Nic. Jakby nie posiadał żadnych uczuć. Przebiegła jej przez głowę jakaś dawna opowieść o topielcach przywróconych do życia; że oni już nie są ludźmi. „Jestem ci wdzięczny, że mnie uzdrowiłaś. Ale byłbym ci tak samo wdzięczny, gdybyś pozwoliła mi umrzeć z ran”. Nie rozumiała tego, co do niej mówił. „Jeśli wolą Bożą było, żebym przeżył, resztę swych dni muszę podarować Panu. Poddać się tej woli. Chcę dotrzeć do Ziemi Świętej, stanąć na wzgórzu Golgoty, poczuć ból ukrzyżowania i siłę zmartwychwstania”. Była pewna, że serce jej pęknie. Ale zamiast tego znów wyszła z niej Astryda. Pomocna, miłosierna siostra. I znalazła mu miejsce na statku kijowskich kupców, którzy wzięli go na pokład i zabrali do Nowogrodu. Chwilę wcześniej, gdy płynęli z Arkony na Wolin, patrzyła

na niego. Szczupły, wysoki, łysy. Wziął ster „Słonej Siostry”. Byli sami, ona i on, ale niczego to nie zmieniało. Już był nieobecny. Na Wolinie tylko Dalwin i Leszko byli wtajemniczeni. Nikt go nie rozpoznał, nikt nie przypuszczał, nikt nie wiedział. Nim wyruszył, odpiął z płaszcza zapinkę i podał jej jak zapłatę. Ryba rozszarpywana przez dwa orły. Odpływając z wolińskiego portu, skinął jej głową i założył kaptur.

Raz o mało się nie złamała. Przy Świętosławie. Harda zawinęła w drodze z Roskilde, gdy pod przebraniem mniszki pojechała zobaczyć swe dzieci. Upiły się. Gdy usłyszała ból siostry rozpaczającej po śmierci Olava, chciała jej powiedzieć: „On żyje”. Na szczęście ugryzła się w język.

Tak, kłamałam przez tyle lat — pomyślała zawzięcie. — Najpierw oszukałam Hardą, bo wierzyłam, że Olav zostanie ze mną. Myślałam, naiwna jak dziewczę, że w końcu robię coś dla siebie. Nie dla niej. Nie dla ojca. Nie dla brata. Dla mnie. A potem co miałam powiedzieć? Uratowałam go, ale odpłynął w siną dal? No co? Wyłowiłam go z morza dwa razy i ani razu dla siebie… — załkała wreszcie. — Zdradziłam, a czuję się zdradzona. Oszukałam i to ja jestem oszukana…

Przechyliła dzban. Wino było zimne jak lód. Zakołysało łodzią.

Upiłam się — pomyślała. — Czas na dno.

Wspomnienia ją prześladowały. Choćby to: Siedziały we dwie w jej wielkim łożu, przy nich skrzynia z winami. Piły na umór. Opłakiwały tego samego mężczyznę, choć głośno mogła robić to tylko Harda. Gadała o Radzimie Gaudentym i Wojciechu: „Prawdziwy brat to by nie opuścił rodzonego w potrzebie, co? Nie zdradził… Astrydo? Pomyśl, siostro! Mogłabyś mnie zdradzić?”…

— Mnie… mnie… mnie… nie… — Pijana Astryda powtórzyła teraz głośno to samo, co wtedy.

Cała Harda. „Ja, mnie, najdroższa córka, najważniejsza, najcenniejsza”.

— A niech cię, Harda! — zawyła Astryda, unosząc głowę.

Pociemniało jej przed oczami, a w twarz uderzył wiatr. Łodzią zakołysało porządnie.

— Nadciąga mój sztorm! — Chciała krzyknąć, ale z jej piersi wydobył się tylko chrapliwy, starczy szept. — „Słona Siostro” — zawołała do masztu swej łodzi i odpowiedziała jak do Hardej: — Kochana. Ostra. Tak dobra. Tak zła.

Wstała, kierowana nagłym impulsem. Przytrzymała się masztu. Do wnętrza łodzi wdzierały się fale, miała wody po kolana.

Chcę umrzeć na stojąco — pomyślała i nagle znów siostra stanęła jej przed oczami. A przy niej Olav. Oboje powiedzieli do niej to samo: „Astrydo, ochrzcij się, bo życie po śmierci bez ciebie będzie nieznośne”.

— Ha! — wrzasnęła, a podmuch omal jej nie przewrócił wraz z łodzią. — To jedyna rzecz, jakiej dla was nie zrobiłam! Jedyna!… A jedyne spełnione marzenie w moim życiu to śmiertelny sztorm!

I nagle, nie wiedzieć czemu, zaczęła się śmiać. Śmiać. Fala nakryła łódź, okręciła nią i Astryda puściła maszt.

Niczego nie można utrzymać na siłę — pomyślała i choć jej płuca wypełniały się słoną, lodowatą wodą, wciąż chciało jej się śmiać. Gdzieś w oddali usłyszała potężny grzmot.

Perun pierdolnął w Bałtyk jak nic! — krzyknął jej dziad Dalwin i wyciągnął ku niej wielką dłoń. — Poznałem cię, córuś, bo pierwszy wpadł w głębinę pusty dzban po winie, wiedziałem, że zaraz za nim będziesz ty. I co słyszę? Moja Astryda śmieje się spod fal. Śmieje się ze wszystkich…

I do wszystkich, Dalwinie — odpowiedziała i przytuliła go.

BOLESŁAW jechał na czele hufców zbrojnych na Kijów, starając się nie myśleć o Predsławie. Właśnie się ożenił. Zawarł pokój z cesarzem Henrykiem, doskonały tryumfalny pokój na własnych zasadach, ale

pieczętowała go nowa żona. Oda. Tak, nosiła to samo imię, co ich macocha, przez Hardą przezywana Księżną Sopel Lodu. Była młoda, ładna i była córką jego przyjaciela, margrabiego Miśni, Ekkeharda. Od jego zabójstwa zaczęła się ta trwająca szesnaście lat wojna i na małżeństwie z jego córką została zakończona.

Henryk po paskudnej porażce wysłał do niego posłów z prośbą o pokój. Próbował sztuczek z zaproszeniem do Magdeburga, ale zrezygnował i schowawszy gdzieś cesarski honor, przystał na układy tak, jak zażyczył sobie Bolesław. W Budziszynie. Jako rzecznicy pokoju ze strony cesarza wystąpili ci, którym najmocniej na nim zależało. Zięć Bolesława, margrabia Miśni, Herman, graf saski Teodoryk, arcybiskup magdeburski Geron i biskup Arnulf.

Cesarz nie miał wyjścia, musiał dać mu to, o co Bolesław walczył: Milsko i Łużyce. Nie jako cesarskie lenno, jak wcześniej, lecz na własność. Wreszcie mógł włączyć te ziemie w krąg Polanii! Dodatkowo Henryk dał mu hufiec ciężkiej jazdy na wojnę z Rusią, tak jak to uczynił pięć lat temu po pokoju w Merseburgu. Tym samym pogrzebał swój cesarski sojusz z kniaziem Jarosławem, sojusz, który miał rozedrzeć Polanię, a rozbił i kniazia, i cesarza. Oczywiście, tym razem mowy nie było, że Bolesław ma się odwdzięczyć tym samym.

„Chwała Bogu na wysokości — powiedział po wszystkim arcybiskup Geron — że ta wyniszczająca nas wojna wreszcie znalazła kres”. „Chwała Najwyższemu — Arnulf się przeżegnał — że więcej nie będzie nas plamić sojusz z czcicielami bałwanów”. „Bogu niech będą dzięki — dorzucił Teodoryk — że nie będę słuchał nowego płaczu wdów i sierot po naszych dzielnych wojach”.

Nieco jeńców Bolesław obiecał wypuścić w darze ślubnym. Jak kiedyś pan ojciec za swoją Odę — pomyślał wówczas i zastanawiał się, jaka

będzie jego.

Była ładna, dobrze wychowana i miła. Nie bała się go, bo wychowano ją niemal w kulcie „księcia Bolza, brata krwi stryja Guncelina”. Najdziwniejsze, że młoda, śliczna dziewczyna podana dojrzałemu, wyposzczonemu mężczyźnie powinna smakować, a nie smakowała. Nic do niej nie miał. Ładnie pachniała, ładnie się poruszała, miała nawet kocie oczy swego ojca. Cóż, okazało się, że to nie wystarczy.

Z ulgą opuścił alkowę i zawołał do swych wojsk to, co ostatnio wołał najczęściej:

— Na koń! Z Bogiem w bój!

Tym razem ciągnęło za nim naprawdę wielkie wojsko. Dziesięć polańskich hufców pancernych. Trzy tysiące jego najlepiej wyszkolonych, doświadczonych wojów. Takich, co na skórzanych kaftanach mają głęboko odciśnięte ślady kolczug. Ciężkozbrojnych, którzy walczyli z nim od Łaby, Sali i Muldy. Wełtawy i Odry. Tych, co byli z Wilkomirem na polach pod Ashingdon.

Do tego lojalnie przysłany przez Henryka hufiec niemiecki, trzystu pancernych pod wodzą grafa Zygfryda, syna Hodona. Tak, tego Hodona, którego jego ojciec i stryj Czcibor rozgromili pod Cedynią. Pod Krakowem dołączyli do nich Madziarzy. Pięciuset świetnych węgierskich jeźdźców króla Stefana. Pięciuset wąsatych zbójów, których wiódł książę Honta. A nad Sanem czekali na nich Pieczyngowie, dzika, szybka, lekka jazda.

Bolesław przemknął przez Polanię jak wicher, w dwa tygodnie. Sojusznicy dołączali stopniowo, ale dzięki genialnemu zmysłowi Zarada nie powodowało to żadnych przestojów, po prostu dołączali do niego jak do watahy kolejne wilki. Ostatni, z podkulonym ogonem, przyciągnął Światopołk, którego kniaź Jarosław pognał z Brześcia. Spotkali się z nim nieopodal obwarowanego grodu Wołyń, nad Bugiem.

Bolesław nie zamienił z zięciem ani słowa. Posłał Daniłę.

— Książę Światopołk mówi… — zaczął Daniła, gdy wrócił, ale Bolesław mu przerwał.

— Księciem to on może będzie, a może nie. Na razie jest nim tylko z urodzenia. Mówiłeś mu, że jeśli Sławce włos z głowy…

— Mówiłem.

— Dobra, co dalej?

— Światopołk mówi, że najsilniejsze oddziały Jarosława to jego Waregowie. I ruska jazda, szybka, bitna, ostra. Mówi, że Jarosław powołał pod broń pół Rusi, ale…

— …ale obaj wiemy, że Światopołk zmyśla. Pół Rusi to czarne mrowie, słyszelibyśmy już tutaj dudnienie końskich kopyt. Posłałeś zwiad na przeprawę na Bugu?

— Posłałem, mój książę.

— I?

— Posłałem przed chwilą. Przypomnę, żeśmy ledwie stanęli, by pomówić ze Światopołkiem. Ale moi zwiadowcy śmigli, wiedzą, że książę czekać nie znosi…

— Ach, Daniła, tyś niegłupi! Im jestem starszy, tym mniej lubię czekanie, jakbym się bał, że Pani Śmierć przyjdzie za wcześnie. Spieszy mi się, świat taki szeroki…

— Mój książę zdąży go zdobyć, jak w dwa tygodnie z takim wojskiem przejechał z Polanii… Cesarz Henryk to by dopiero, oglądając widoczki, stępa sobie jechał na zgromadzenie panów wojennych nad Łabę.

— Dlatego cesarz przegrał. — Bolesław się zaśmiał pełną piersią.

Zwiadowcy zameldowali, że Jarosław rozbił obóz nad Bugiem i czeka, aż dołączą do niego pozostałe siły.

— Doskonale! — krzyknął Bolesław. — My nie będziemy czekać. Z Bogiem w bój! — I pierwszy ruszył na wschód.

Nie musiał krzyczeć „na koń”, bo nikt z jego zbrojnych nie zdążył zsiąść. Po chwili kopyta rozbryzgiwały mokry, nadrzeczny piach. Tym razem jechał na Złotym. Czerwonego zajeździł, okazało się, że ogier nie był aż tak wytrzymały, jak się zapowiadał. Złoty parsknął radośnie, czując wodę, i Bolesław wjechał w łagodny zjazd przy brodzie, by wierzchowiec się napił, a on rozejrzał.

Po drugiej stronie rzeki, jak okiem sięgnąć, ciągnął się obóz Jarosława. Namiot wielkiego księcia znaczył proporzec ze złotym tryzubem. Obrócił się do swoich i przywołał Zarada. Jego ciemnooki przyjaciel wciąż nosił ten sam szyszak, z czarnym pękiem końskiego włosia. Powgniatany, obity, ale przynoszący szczęście. Bolesław też nie miał serca do paradnych hełmów, zbytnio zdobionych mieczy i poobszywanych kamieniami tunik. Wolał skórę, futro, żelazo. Wciąż drzemał w nim duch koczownika; nawet strzemiona miał misterniej zdobione niż naszyjnik. Poza złotym krzyżem z jednym rubinem w środku, symbolizującym krew Zbawiciela, nie nosił ozdób, gdy nie musiał. Wystarczyła mu świadomość, że ma ich pełne skrzynie. Niech tam sobie leżą i nie przeszkadzają mu na wojnie.

— Zarad, ile czasu trzeba, żeby nasze tyły stanęły nad Bugiem?

Zarad odwrócił się i świsnął jakiś sygnał na kościanym gwizdku, który nosił na szyi. Po chwili odpowiedział mu inny gwizd.

— Już są, Bolz. Już stoją za twymi plecami.

— Gotowi?

— Skoro są, to gotowi.

— No dobra. To sprowokujemy Ruś! — Mówiąc to, wjechał na Złotym w Bug.

Po drugiej stronie zrobiło się zamieszanie. Wyjechał mu naprzeciw bogato ubrany mężczyzna.

Jarosław? — pomyślał.

— To wojewoda kijowski — podpowiedział Daniła, dojeżdżając do księcia.

— Hej, ty! Kniaź lacki! — zawołał wojewoda. — My utoczym twojej krwi! My przebodziem twój brzuch! My rozdrapiem twoje flaki i ryby w Bugu będą je żreć!

— Pijany? — spytał Bolesław Daniłę.

— Może być. — Jego Rusin kiwnął głową. — Nie znam nikogo, kto by na trzeźwo ciebie lżył.

Bolesław się odwrócił. Za jego plecami stało cztery tysiące ludzi. I krzyknął do nich:

— Wojewoda kijowski mnie lży! Chcecie słuchać, czy idziecie ze mną wepchnąć mu jego obelgi w gardło?

— My z tobą! — zagrzmiało.

— Z Bogiem w bój! — wrzasnął i pierwszy ruszył przez Bug.

— Zaczekaj na Orle Skrzydła! — zawył za nim Zarad, ale Bolesław nie chciał na nic czekać.

„O co ci chodzi? — Stanęła mu przed oczyma Harda w ostatnim dniu przed wyjazdem do Roskilde. — O córkę czy o Ruś?”.

O wszystko — odpowiedział jej tak jak wtedy. — Mnie zawsze chodzi o wszystko!

Widział popłoch, jaki zapanował na drugim brzegu. Słyszał wydawane w panice rozkazy: „Stawaj, stawaj! Na koń, na koń!”.

— Daniła! — krzyknął, nie odwracając się. Brzuch Złotego połaskotała woda. — Jak się nazywa ten wojewoda?

— Błud!

Pod kopytami ogiera stuknęła skała. Był na brodzie, już głębiej nie będzie. Złoty zaczynał wychodzić z wody. Bolesław wyjął miecz z pochwy. Jeszcze dwadzieścia końskich skoków i będą na brzegu. Widział, że jego straż przyboczna zwana Orle Skrzydła już go dogania, już niemal zrównuje się z nim. Pierwszy wyskoczył na brzeg. Złoty potrzebował tylko chwili, by strząsnąć z ogona wodę.

— Błud! — zawył Bolesław. — No chodź! Chcę rozpruć twój brzuch! Błud, tchórzu! Stań!

Słyszał swe hufce z ciężkim odgłosem kopyt wychodzące na brzeg. I zawołanie powtarzane z ust do ust: „Z Bogiem w bój! Z Bogiem w bój!”, choć im dalej, tym bardziej brzmiało jak „Bugiem w bój!”.

Rozpędzał Złotego, by wjechać w ruskie hufce. I wpadł pomiędzy nie, tnąc. Celnie. Nie na oślep. Po jego bokach już gnała książęca straż. Nie próbowali zajeżdżać mu drogi, by osłonić jego pierś. Nienawidził tego. Jechali jak dwa rozłożone orle skrzydła, po jego prawicy i lewicy. Najlepsi z najlepszych. Synowie jego pierwszych wojów. Bjornara, Zarada, Ciechana, Ostrowoda, Stojgniewa, Derwana, Borzywoja, wąsatego kasztelana Pragi; kiedyś chłopcy od dziecka chowani przy drużynie, dzieciaki, co strzelały z łuku, nim dobrze nauczyły się mówić. Dzisiaj mężczyźni, którzy znali wszystkie komendy wojskowe po polsku, niemiecku, czesku, węgiersku, rusku, duńsku i angielsku. Wojowie, co mogli nie spać trzy noce i walczyć. Nie jeść dwa dni i bronić. Jego niezawodni, jego Orle Skrzydła. Brakowało synów Jaksy, ale redarski wilk zamienił się w mnicha, ojca Jana, i nie miał dzieci. No i dobrze — mściwie pomyślał Bolesław — nie ma co mnożyć rodów przeklętych. I nie było przy nim Mieszka. Syna zostawił w Poznaniu jako namiestnika księstwa.

Pierwszy szereg obrony padł, przeszli przez niego, jakby rozrąbywali suche drewno wzdłuż włókien. Uniósł się w strzemionach na chwilę.

— Ostry! — wrzasnął.

Odpowiedział mu dźwięk kościanej piszczałki dobywający się spod szczęku mieczy.

Jest! Widzę go! — uradował się Bolesław, patrząc, jak Ostry odrywa się od szeregów walczących i bokiem mknie w stronę namiotu wielkiego księcia. Lekki oszczep poszybował w górę i tak! Przebił chorągiew z tryzubem. Sztandar Kijowa padł na spadzisty dach namiotu. Rusini zawyli. Ostry zawrócił gwałtownie i połączył się z głównymi siłami. Wjeżdżali w drugi szereg. W Waregów Jarosława. Najemnych wikingów. Nareszcie mógł poczuć, że walczy. Skrzyżował miecz z wysokim, okutym w żelazo hełmu, który na tarczy miał splątanego gada. Osłaniał się nim skutecznie, jakby wiedział, gdzie padnie cios.

Znam tego gada — przeszło przez głowę Bolesława, gdy ciął. — To wąż Ynglingów, takiego nosił Olav Tryggvason. Czy to?… Nie, on nie żyje! Zginął w Øresundzie.

Znalazł lukę między tarczą a kolczugą. Pchnął w odsłonięte ciało. Przeciwnik zawył krótko i upadł na końską szyję. Hełm zsunął mu się z białych, długich włosów, które zachodziły posoką. Bolesław pojechał dalej. Dostrzegł wojewodę kijowskiego, który walczył z synem Bjornara.

— Daj mi go! — ryknął. — Chcę nakarmić nim ryby w Bugu! Błud, no chodź!

Przejął go w pół sztychu od rudego chłopaka Bjornara i przeciął od barku w dół.

— Kniaź… — syknął tamten, nie wierząc, że to koniec.

— Pod kopyta! — ryknął Bolesław, patrząc, jak nieżywy wojewoda spada z siodła. — Złoty, zdepcz go!

Okręcił się w siodle i wiedziony instynktem odwrócił w bok. Na czas, bo nadjeżdżający z lewej Wareg z długim toporem zamachnął się na niego.

Bolesław zdążył osłonić się tarczą. Usłyszał zgrzyt ostrza po żelaznym umbie i Złoty skoczył ku kolejnemu przeciwnikowi. Pchnął okutego w kolczugę barczystego wojownika w odsłonięty bok i nie zdołał wyciągnąć miecza. Przeciwnik spadł z konia od siły jego ciosu. Bolesław puścił miecz, by nie dać się pociągnąć wraz z nim. Wyszarpnął czekający przy siodle na swą kolej topór. Zacisnął palce na stylisku, bo już widział, że jedzie na niego jakiś szaleniec.

Aż żal niszczyć takie cudo! — pomyślał, patrząc na zdobiony złotem ruski hełm.

I zamachnął się w niego. Ostrze topora trafiło w nosal hełmu i ześlizgując się po nim, odrąbało brodę. Napastnik zawył krótko i runął na ziemię.

Bolesław się rozejrzał. Widział obnażone zęby wierzchowców. Konie tratujące rannych.

— Jarosławie! Chodź do mnie! Jak kniaź z kniaziem skrzyżujmy miecze! — wył, widząc, jak szereg ruskich wojsk topnieje. — Jarooosław! Jarooosław, ty tchórzu!

Okręcił się konno. Wokół niego leżały tylko skrwawione trupy. Nieliczne konie bez jeźdźców gnały, dziko rżąc po pobojowisku. Usłyszał gwizd Zarada, po chwili jego druh był przy nim.

— Nasze straty małe. Jarosław rozgromiony. Zabrał nie więcej niż dwa hufce i ucieka.

— Na Kijów?

— Nie, na północny wschód.

— Do Nowogrodu?

— Tak sądzę… Rozbiliśmy ich doszczętnie i on już nie wierzy w szanse obrony. On już oddał Kijów, bo kto go będzie bronił, skoro wielki kniaź zmyka.

— Zostaw garstkę, która zbierze naszych poległych i łupy. Przeformuj szyki i gnamy na Kijów.

Znów nie musiał krzyczeć „na koń”, bo znów nikt nie zdążył zsiąść.

W trzy tygodnie dojechali znad Bugu nad Dniepr. Złoty przeżył, nie padł jak poprzednie jego konie.

Rozmnożę cię — marzył, głaszcząc go po szyi. — Znajdę dla ciebie najpiękniejszą klacz i po kres swych dni będę ujeżdżał wasze źrebce.

Kijów się nie bronił. Zwiad, który Daniła puszczał na wszystkie strony, mówił to samo: „Wielki kniaź Jarosław przerażony pognał na północ, do Nowogrodu. Chce uciekać za morze”. Pamiętał wszystko, co o Kijowie opowiadał mu ponad trzydzieści lat temu Olav. Ale pamiętał też każdą z opowieści Daniły, kupców, Brunona z Kwerfurtu. Mimo to miasto, które otworzyło przed nim swe bramy, go olśniło. Bowiem jego uroda przewyższała każdą z opowieści.

— Panie! Wielki lacki kniaziu! — zawołał białobrody mnich w złotem strojnym płaszczu, stojąc w bramie z ikoną tronującego Chrystusa w dłoniach. Osłaniał nią głowę jak tarczą.

— Mówisz do Bolesława, księcia Polanii, mnichu! — skarcił go syn Zarada, jego prawe skrzydło.

— Kniaziu Bolesławie! — poprawił się duchowny. — Wyjmij miecz i uderz w podwoje bramy Kijowa. Ja mówię: miasto nie będzie się bronić. Ale ja mówię: uderz, a zdobędziesz.

Wolą być jak dziewica, która broni dostępu do łona, niż wyjść na nierządnicę, co rozkłada nogi — pomyślał brutalnie Bolesław i spełnił prośbę mnicha.

Wyjął miecz i dotknął nim rzeźbionego sklepienia bramy. Złoty zarżał.

— Ściągać to! — rozkazał Bolesław, ostrzem miecza wskazując na wiszące po obu stronach bramy chorągwie ze złotym tryzubem.

Jego chorążowie już podawali sztandary. Patrzył, jak piastowski orzeł wzlatuje nad miastem.

— Gdzie kniaź Jarosław? — spytał.

— Nie ma go w Kijowie — powiedział mnich. — Poszedł na wojnę z tobą i nie wrócił. Porzucił swój Kijów, porzucił!

— Kim ty jesteś?

— Anastazy z cerkwi dziesięcinnej. Prepozyt metropolitalnej katedry.

— Anastazy, prowadź!

Duchowny zaintonował pieśń i ruszył przodem, pieszo. Gdy tylko przekroczyli bramę, zewsząd dołączyli do niego mnisi, czerńcy. Każdy niósł świecę lub ikonę. Śpiewali za swym prepozytem ten sam grecki psalm. Przez mgnienie pożałował, że nie ma przy nim Mieszka. Syn przynajmniej wiedziałby, o czym śpiewają.

Złoty szedł godnie. Szybko dostosował krok do powolnej kolumny prowadzących ich mnichów. Bolesław chciwie rozglądał się po Kijowie. Dom na domu, wszystkie drewniane, jeden zdawał się wychodzić krużgankiem z drugiego. Co rusz widział okrągłą i złoconą kopułę cerkwi, w każdej jednej biły dzwony. Nie mógł ich zliczyć, po stu przestał. Miasto wypełniało się ich dźwiękiem. Minęli rynek, drugi, trzeci.

— Będzie ich osiem — szepnął Daniła.

Z zaułków patrzyli na niego mężczyźni, kobiety i dzieci. Niektórzy padali wschodnim zwyczajem do kopyt jego konia. Inni tylko kłaniali się w pas, gdy przejeżdżał obok. Odwrócił się. Nie wstawali z ukłonu. Czekali, aż przejedzie całe jego wojsko.

Wreszcie dotarli przed książęcy dwór. Wielki i niczym najlżejsza koronka wycięty w drewnie. Zdobny krużgankami wspartymi na palach. Już od wjazdu służki strojne niczym damy rozkładały pod kopytami jego konia złotem przetykaną materię.

Złoty kroczy po złocie — przeszło mu przez myśl.

Na podwórcu czekał na niego orszak kobiet. Przebiegł je wzrokiem. Nie znalazł wśród nich córki ani pięknej, modrookiej Predsławy. Przed nim stanął Anastazy.

— Oto witają cię, wielki książę, pierwsze kobiety Rusi. Żona Jarosława, Anna, jego macocha, Allogia, i siostry jego z różnych matek zrodzone.

— Gdzie moja córka?! — ryknął. — Gdzie moja Sława?!

Poczuł pustkę.

Przed szereg dam wyszła najstarsza z nich, Allogia. Ciemne, skośne oczy lśniły pod kołpakiem z soboli. Po obu stronach jej skroni zwieszały się na złotych łańcuszkach półksiężycowe zawieszki. Wiekowa dama skłoniła się przed nim, a służki pomogły jej się wyprostować.

— Kniaziu, wielki kniaziu — zaszemrała śpiewnie — Sławkę, Sławeńkę trzyma nasz Jarosław przy sobie. Krzywdy jej nie zrobi, w złotym wozie wiezie, włos z głowy pięknej twej nie spadnie. Ale on jej nie wyda. On ją trzyma, bo wie, żeś po nią przybył.

— Chcę Sławy! — wrzasnął, a jego głos odbił się od drewnianych krużganków.

— Przyjmij od nas Predsławę — zaśpiewała Allogia. — Mą córkę zrodzoną z Wladimira. Mą piękną córkę.

W tej samej chwili drzwi na krużganku się otworzyły i naprzeciw Bolesława stanęła ona. Zielona, mchowo-paprociowa panna. Nie była dzieckiem. Była kobietą w pełni swego piękna. Na złotych włosach miała zdobne kamieniami czółko. Suknie zielone. Od spodu ciemne, z góry jaśniejsze. Skłoniła się mu, rozkładając ramiona na boki.

— Predsława… — szepnął.

— Siostra Jarosława, córka Wladimira i moja córka — przedstawiła ją Allogia.

Predsława drobnym, tanecznym krokiem zbiegła schodami na dziedziniec. Stanęła przed Złotym i znów się pokłoniła, a potem uniosła głowę.

— Jeśli wielki kniaź woli którąś z mych młodszych sióstr — powiedziała głosem, który odbił się w jego trzewiach jak dzwon — może wybrać każdą. Ja staję przed tobą, bo wiem, że wielki kniaź prosił o mą rękę Jarosława, lecz on odmówił. Ja nie odmawiam. Ja oddaję. Jego nie ma, uciekł przed twoją potęgą. Przed twym mieczem i wojskiem.

Chryste! — pomyślał Bolesław. — Wziąłem za żonę Odę!

Zeskoczył z grzbietu Złotego po tylu dniach bitew, galopu i znoju. Ujął za rękę Predsławę i powiedział:

— Prowadź, dziewczyno.

A ona powiodła go do alkowy. Jego okute buty dotknęły podeszwami miękkich futer rozesłanych na podłodze. Jej drobne palce pomogły mu zdjąć hełm, kolczugę, pas, skórzany kaftan, koszulę. Poprowadziła go do łoża.

— Mój wielki kniaź chce wina z zamorskich krain? — spytała. — Albo ruskiego miodu?

— Nie — szepnął. — Dziewczyno ze snów, chcę tylko ciebie.

I posiadł ją, jakby znów na grzbiecie Złotego wjeżdżał w nurt Bugu. Jakby znów łamał szyk Jarosława. Pokonywał szeregi jego armii i przekraczał rzeźbioną bramę Kijowa. A Predsława oddała mu swą dziewiczą krew z westchnieniem jak z ulgą. Oplotła go białymi ramionami. Wonnością wschodu. I biorąc ją, dopełnił wzięcia Kijowa.

— Ruś jest moja! — krzyknął, szczytując.

— I ja twoja — jęknęła Predsława.

ŚWIĘTOSŁAWA po krwawym Bożym Narodzeniu potrzebowała oczyszczenia. Jej syn znalazł je w klasztorze benedyktynów w Canterbury,

ale kobiety nie miały do niego wstępu, więc nie mogła jechać tam, by ukoić swe serce.

— Mamy wiele pięknych kościołów, moja pani. — Godwine dotrzymywał jej towarzystwa. — Opactwo w Westminsterze na pewno ci się spodoba.

Skrzywiła się.

— To może klasztory świątobliwych przeorysz? — podpowiedział, a ona poczuła, że jego uprzejmość ją męczy. Nie sądziła, by wizyta w klasztorze mogła jej pomóc. Nagłe odwiedziny jomswikinga, teraz szacownego earla Essexu, ożywiły ją.

— Jorun mówi, że nie czujesz się dobrze, pani — powiedział Thorkel wprost.

— Znalazł się znawca dusz! — Wzruszyła ramionami.

— Wiesz, Harda, co mawiał twój mąż? — zapytał Jorun.

— Który? — odpowiedziała zaczepnie.

— Z panią nie jest źle — wtrącił się Wilczan. — Żądli.

— Sven mawiał, że na smutki najlepszy jest pokład pod stopami — ciągnął niewzruszony Jorun. — Poza tym dusił się w Londynie…

— Bo za dużo pił — stwierdziła, a po chwili zapytała: — To dokąd popłyniemy?

Jomswiking i Jorun zmierzyli się wzrokiem i powiedzieli równo:

— Twierdza Bamburgh.

Popłynęli „Nidhogiem”, łodzią Thorkela. Łysy jomswiking sam stał za sterem. Dusza unosiła łeb i chwytała w nozdrza wiatr, a kiedy wpłynęli na Morze Północne, Świętosława zrobiła to, o czym marzyła: wyjęła z włosów szpile i puściła je na wiatr. Za jej plecami stanął Jorun.

— Sven robił to samo co ty. Nigdy nie pojmę, dlaczego wam nie wyszło. Byliście stworzeni dla siebie. Ty i on.

— Nie kochałam go — powiedziała szczerze. — Ale dzisiaj, gdy patrzę na Knuta, szanuję Rudego.

— Dobre i to. Choć, szczerze mówiąc, Knut to twój syn.

— Sama go nie spłodziłam.

— Może gdyby Sven okazał ci więcej…

— Daj spokój, Jorunie. Dobry z ciebie przyjaciel. — Położyła dłoń na jego żylastej ręce.

Zacisnął palce i płynęli, gapiąc się w fale, które rozpruwał „Nidhog”.

Bamburgh od setek lat stał na skalnym występie, o który rozbijały się wściekłe wody. Gdy dopływali, był przypływ. Wyniosła twierdza kłuła ponure, deszczowe niebo ostrzami wież omiatanych wiatrem. Nim do niej dotarli, suknie Świętosławy były mokre. Po jej lewej stronie szedł Thorkel, po prawej Jorun, za nimi Ragn i Uddorm, starzy wodzowie. I Wilczan.

— Tymi schodami wjechali do zamkowej sali konno dwaj królowie — chropawym głosem powiedział Jorun. — Olav i Sven. Mur naprawiono — wskazał ramieniem załataną ścianę — ale tamtej nocy, kiedyśmy zdobyli Bamburgh, tu była wielka wyrwa. A oni siedli na wysokich krzesłach, położyli nogi na ławie i pijąc, gapili się na morze.

Serce Świętosławy biło jak oszalałe, gdy Jorun znalazł dwa trony. Usiadła na jednym z nich. Spuściła Duszę ze smyczy; rysica biegała i obwąchiwała kąty. Wilczan rozpalił ogień.

— Wszyscyśmy się upili — ciągnął wspomnienia Jorun. — Varin, przyboczny króla Olava, i ja zagraliśmy w porównania. Pijany Varin krzyczał wtedy: „Mój drogi król ma włosy jak czyste srebro, a twój jak zwykły miedziak!”. Wojowie skandowali: „Sre-bro! Mie-dziak”, a ja powiedziałem, że to można lepiej porównać. No, nie pamiętam, co wtedy wymyśliłem, ale krzyczano: „Pło-ną-cy lód! Pło-ną-cy lód!”. Tak było, Harda.

On nie wie — pomyślała Świętosława. — Jorun nic nie wie. Pływa teraz na wodach wspomnień.

— To było świetnie przemyślane, królowo — powiedział Thorkel, siadając obok niej.

— Ale nie udałoby się bez ciebie. Ani bez jarla Erika. Ani bez Godwine’a, Lyfinga i Ethelnotha — powiedziała szczerze.

Po egzekucji Streony i jego ludzi przejęli pajęczynę powiązań i serią szybkich posunięć ją rozbili. Knut nie powołał w miejsce Streony jednego earla Mercii, lecz podzielił godność na kilku ludzi, mieszając Anglików z Duńczykami. Uhonorował w ten sposób Hraniego, swego wiernego sternika, i Eilifa, syna jarla Thorgilsa z Jelling, o którym wiedzieli, że trzeba go trzymać przy sobie, by wężooki jarl nie jątrzył. Wykroili część Mercii dla Leofwine’a, ojca skazanego na śmierć Northmana, na spółkę z drugim synem, Leofrikiem.

— Dzieląc władzę, nie dopuszczacie, by wyrósł wam przy boku ktoś z potęgą Streony — powiedział Thorkel.

— Boisz się o swoje wpływy, co? — zaczepnie spytał Jorun. — Że twój Essex będzie następny do podziału?

Thorkel wzruszył ramionami.

— Wyglądam, jakbym się bał? — Odwrócił się do Świętosławy i powiedział: — Mistrzowskim ruchem było pozyskanie Emmy.

— Wiem. — Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Knut jest mądrzejszy niż Sven, gdy ten przypłynął wziąć ciebie za żonę — powiedział jomswiking.

— Emma nie jest Hardą Panią — wtrącił się Jorun, wyjmując bukłak z miodem.

— Chcesz mnie obrazić? — spytała, wyciągając rękę po trunek.

— Nie. — Pociągnął łyk i dał jej miód.

Thorkel się zaśmiał i powiedział:

— Emma w posagu wniosła Knutowi dwóch arcybiskupów, Wulfsdana i Lyfinga.

— Prawda — potwierdziła Świętosława. — Lyfing współpracował z moim synem, ale od dnia koronacji i ślubu dopiero zaczął pracować dla niego. I to ona przełamała nieufność Wulfsdana i przekonała starego uparciucha, by stworzył kodeks praw dla króla Knuta. Za to ty, Thorkelu, stworzyłeś świętego męczennika! — Świętosława zaśmiała się nagle.

— Nie chciałem jego śmierci — ponuro odpowiedział jomswiking. — Wierzcie mi lub nie, ale robiłem, co mogłem, by zapobiec mordowi na arcybiskupie Aelfheahu.

Jorun fuknął niedowierzająco.

— Najważniejsze, że dzięki Godwine’owi, Ethelnothowi i Lyfingowi udało się wywieźć kości męczennika z Londynu. Biskup Elfwig protestował, wierni protestowali, a relikwie już w Canterbury.

— Stary Elfwig straci na znaczeniu bez tych kości. — Jorun wzruszył ramionami.

— Dobrze radzisz synowi — powiedział Thorkel. — Wyniesienie Aelfheaha jako świętego pokazało, że król szanuje krew, która się przelała, nim wstąpił na tron.

— Którą przelali twoi ludzie — kwaśno skwitował Jorun. — I przez którą o mały włos nie zginąłby Sven!

— Dajcie spokój! — przecięła budzący się swar. — Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem!

— W kogo? — zapytali jednocześnie.

Rysica długim susem znalazła się przy niej.

— Zastąpiliśmy zdrajców swoimi ludźmi — powiedziała. — Rozbiliśmy pajęczynę Streony. Bądźmy dla siebie dobrzy, bo nie zbudujemy królestwa

na nieufności.

Wiedziała, że gdyby nie Thorkel i jego Drapieżna Ławica, nie zdobyliby Anglii. Jarl Erik z Lade był równie silny, ale to bojowa sprawność jomswikinga i jego znajomości wśród możnych przeważyły rozgrywkę. Thorkel i Jorun milczeli urażeni.

Omiotła wzrokiem pustą zamkową salę.

— Znałam jednego świętego męczennika — odezwała się po chwili, myśląc o Brunonie z Kwerfurtu. — Oni niosą w sobie światło.

— Przed czy po śmierci? — zaczepnie spytał Jorun.

Nie odpowiedziała. Po chwili odezwał się Thorkel:

— Ja też widziałem męczennika przed śmiercią. I tak jak ty widziałem blask bijący od niego. Ale to nie był wyniesiony na ołtarze Aelfheah, tylko król Norwegii, Olav Tryggvason.

Serce Świętosławy przyspieszyło, lecz się nie odezwała. Jorun też nic nie powiedział, tylko podał Thorkelowi miód. Jomswiking przechylił bukłak i kontynuował:

— Gdy wpłynął do Øresundu, pomyślałem, że chce zagrać z nami w hnefatafl. To głupie, bo obrońcy króla mogą wygrać na planszy do gry, ale nie wtedy, gdy przeciw jednemu wojsku staje tylu wrogów. On nie wiedział, że mój brat, jarl Jomsborga, Sigvald, zdradzi. Ja też nie znałem prawdy. Sądziłem, że płynę na bój przy boku Olava. Gdy Sig dał rozkaz, że wbijamy mu nóż w plecy, byłem przeciwny. I wtedy zobaczyłem łódź wolińskiej pani.

— „Słoną Siostrę”? — zapytała.

— Tak. Sigvald powiedział, że to łódź wroga, i zrozumiałem, że on i jego żona stoją po dwóch różnych stronach. Ale nie pozwoliłem atakować „Słonej Siostry”.

— Dlaczego Sigvald zdradził? — zadała pytanie, które tkwiło w niej przez tyle lat.

— Nie wiem — powiedział jomswiking, kręcąc głową. — Mój brat zawsze chciał być najważniejszy. Chciał mieć wpływ na wszystko. Może wydawało mu się, że on jeden przesądzi o wojnie trzech królów? — Thorkel westchnął ciężko. — Wasz ojciec źle zrobił, łącząc Astrydę z Sigvaldem. Twoja siostra była kimś wyjątkowym i nie umiała obdarzyć uczuciem przegranego.

— Kochałeś ją — zrozumiała w jednej chwili.

— Kocham — powiedział i na jego ogorzałe policzki wyszedł rumieniec. — Dlatego ci służę.

— Nie mogłeś jej tego powiedzieć? — skarciła jomswikinga.

— Nie śmiałem. Jorunie, daj ten miód! — wściekł się.

Świętosławie wydało się, że stoi przed rzymską mozaiką w jednej z dolnych komnat londyńskiego zamku. Że patrzy na barwne płytki, które ktoś przed wiekami ułożył w jasny wzór. Wiele z nich odpadło, zostawiając puste, szare miejsca. Teraz, po opowieści Thorkela, układała na nich brakujące wzory.

— Co znaczy „Nidhog”? — spytała.

— Kąsający lęk. Wąż pożerający ciała umarłych. — Przechylił bukłak i upił. — Druga, ostateczna śmierć. Po niej tylko pustka. Nicość grająca w głębinie.

— Oddaj miód! — zażądał Jorun.

Gdy wracali z Bamburghu, złapał ich sztorm. Wilczan błagał, by schowała się pod namiotem rozpiętym pomiędzy burtami „Nidhoga”.

— Za nic w świecie! — krzyczała, trzymając się dziobnicy. — Niech mnie morze pochłonie!

Wilczan nie czekał, aż to się stanie. Siłą oderwał ją od burty i zawlókł do namiotu. Zdążyła usłyszeć rozkaz Thorkela:

— Kładziemy maszt!

A potem był już tylko wściekły huk fal.

Rankiem morze się uspokoiło. Stała mokra, zziębnięta i sina u stewy dziobowej. Czuła się nikim. Niczym. Ale gdy zza ciężkich, ołowianych chmur wyszło słońce, wystawiła do niego twarz, by osuszyło ją ze słonych kropel.

— Pani! — wrzasnął Wilczan. — Widzisz to?

Przetarła oczy.

Daleko przed nimi olbrzymie, ołowiane cielsko wynurzyło się z fal.

— Wieloryb! — krzyknął Thorkel.

Chciała zawołać „gońmy go”, ale pomyślała, że to nieskończenie głupie.

Dorośnij — upomniała się w duchu — lada dzień przyjdzie na świat twój kolejny wnuk.

Wspomnienie wieloryba było przy niej, gdy wrócili do Londynu.

Odwiedziła synową.

— Jak się czujesz, Emmo? Mówią, że urodzisz na Wielkanoc.

— Arcybiskup Lyfing modli się dzień w dzień o królewskiego syna — odpowiedziała z uśmiechem królowa. — Muszę czuć się dobrze, by nie zakwestionować skuteczności jego modłów.

— A Wulfsdan? — spytała o arcybiskupa Yorku.

— Och, ten nie ma czasu na leżenie krzyżem. Pracuje z Knutem nad nowym kodeksem praw. Mój mąż chciałby ogłosić go jak najszybciej, pewnie jeszcze przed narodzinami dziecka.

— Mam dla was prezent, Emmo — powiedziała Świętosława. — Kupiłam parę islandzkich sokołów ćwiczonych do polowań.

— Sokołów? — zdziwiła się Emma.

— Urodzisz i będziesz musiała jak najszybciej odzyskać siły. Jazda konna dobrze ci zrobi. Mój syn jeszcze nie polował z sokołami. — Mrugnęła do niej.

— Ja też — odpowiedziała Emma. — Czy dasz mi kilka lekcji, nim sama nauczę Knuta?

— Jesteśmy umówione — obiecała Świętosława i wyszła.

Wieczorem siedziała sama na tronie, z Duszą przy nodze, i patrzyła w ogień.

Królestwo Anglii pod rządami mego syna jest niczym pole leżące latami odłogiem, na które przybył gospodarz. Zaczyna kwitnąć — pomyślała. — To piękne, patrzeć na to, gdy ja przekwitam.

— Skuli! — zawołała skalda. — Wyrecytuj, już można.

Skuli zachłysnął się i powiedział:

Sigrid Dumna, Sigrid Nieugięta,
do której świetlistej siedziby
ze skalistych grani bagnistym szlakiem
wytrwale bieżą zalotnicy…

— Nie to, głuptasie! Już wyrosłam z krwawych łaźni. Mówiłeś, że masz gotowy poemat o angielskim tronie.

— Wybacz, pani. — Skald się zaczerwienił. — Ale ciągle mówiłaś, że nie chcesz go słuchać.

— Już mogę. — Przymknęła powieki.

A teraz, gdy ciężkie walki ostatnio zostały stoczone,
możemy osiąść, pani, w pięknym Londynie.

Gdy skończył, poszła do swej komnaty, kazała Ylvie otworzyć skrzynię i wyjąć ostatni podarunek Astrydy. Patrzyła na niego długo i zamknęła w

dłoni.

DUDUC czekał, aż wierni opuszczą kościół Świętej Bridget po mszy Wieczerzy Pańskiej i rozejdą się do domów na własne, skromne wieczerze. Rozpoczęło się święte Triduum Paschalne, dwudzieste trzecie w jego kapłaństwie. Dobrze liczył, pamiętał każde, nie zapomniał żadnego.

Najświętsze dni w roku, mój Boże — pomyślał. — Tajemnica Twej śmierci i Zmartwychwstania, Panie, a ja muszę je spędzać wśród tych beczących owiec.

Tak, wiedział, że Pan jest pasterzem, a wierni jego owczarnią, ale co z tego, skoro nie czuł ze swymi parafianami żadnej duchowej więzi? Był samotny, nikt tu nie chciał z nim dzielić tajemnic Boskiego wcielenia. Jego owce chciały spowiedzi, rozgrzeszenia, jak najlżejszej pokuty…

— Z Bogiem, z Bogiem, Anno — ponaglił ostatnią z wychodzących kobiet i wyszedł na placyk przed kościołem. Zaszurał kosturem po chodnikowej mozaice. Kruszy się — pomyślał z niesmakiem.

— Jeszcze tylko wody wezne — pisnęła parafianka i wyjęła spod płaszcza dzbanek.

— A po co ci ona? — mruknął Duduc.

— Nie mnie, ojcze — zawstydziła się kobiecina. — Dla córki biere…

Na zapowiedzi lepiej daj — pomyślał, a na głos dodał:

— Ja ci tam wody nie żałuję. Niech święta Bridget prowadzi. — Zrobił znak krzyża za umykającą Anną.

Wciągnął haust chłodnego wieczornego powietrza.

Miał tylko jedno oko, a w nim wzrok słaby jak u kury, ale słuch dobry. Usłyszał, że ktoś zeskakuje z muru okalającego kościół.

— Kto tam? — zapytał niechętnie. Byleby nie jakiś spóźnialski do spowiedzi.

— Pielgrzym — odpowiedział mu głos i z zapadającego zmierzchu wyszedł wysoki, chudy i barczysty, zakapturzony człowiek.

— A, to ty. — Duduc skinął mu głową. — Od dawna przesiadujesz u mnie… U Świętej Bridget — poprawił się. — Wiesz, że siedzisz na starych nagrobkach?

— Dobrze, że nie w grobie — chropawym głosem odrzekł pielgrzym i zrzucając kaptur z głowy, dodał: — przyciąga mnie to miejsce. — Przeciągnął potężną, żylastą dłonią po łysej czaszce.

— Daleko podróżowałeś?

— Daleko, ojcze. Byłem w Ziemi Świętej.

Duduc poczuł nagłą ciekawość.

— Dzisiaj Wielki Czwartek — zagaił.

— Tak. Czas Ostatniej Wieczerzy. — Przybysz skinął głową.

— Zatem przyjmij me zaproszenie. Zjedzmy razem skromny posiłek jak ongiś nasz Mistrz.

— Przyjmę wszystko, co stawia przede mną Pan — odpowiedział pielgrzym i być może się uśmiechnął, ale tego kapłan nie mógł być pewien.

Duduc poruszał się z trudem; szurając, poprowadził gościa do swej chałupy za kościołem.

— Jak cię zwą? — spytał, rozniecając ogień.

— Arabowie mówili na mnie Ghareeb. To znaczy Obcy.

— Siadaj, Ghareeb — wskazał mu miejsce przy wąskim stole.

Na niezbyt czystych deskach blatu stanęły dwa kielichy i bochen chleba. Nic więcej.

— Wieczerzajmy w imię naszego Pana, skromnie jak On i apostołowie — zaskrzeczał Duduc.

— Z wolą Jego na wieki wieków. Amen.

Przełamali się chlebem, popili go winem.

— Skąd pochodzisz, Duducu? — zapytał Obcy.

— Znikąd. — Gospodarz zakaszlał i otarł usta z lepkich okruchów chleba. — Z Viken w Norwegii. Dawno temu byłem tam, gdy szalony król Olav Tryggvason chrzcił ziemie. Wtedy poznałem naukę Pana. Król ruszył na północ, a ja, porażony chrztem jak ogniem, wypłynąłem do Anglii, by się douczyć… Ech, młodość! Ciekawiło mnie wszystko. Pismo… Przede wszystkim chciałem poznać święte pisma. Przyjęli mnie mnisi w Canterbury. O, powiem ci, Ghareeb, mówili, że mam talent i jestem pojętny. A potem zesłali do brudnego Londynu — zachichotał. — Objąłem kościół Świętej Bridget i prowadzę duszyczki swe jak stado durnych owiec. Wiesz, pielgrzymie? Czasami tęsknię za krwawymi dniami Olava. Za chrztem z miecza. Ogniem z iskry. Bożym gniewem i piekłem, którym szalony król nas straszył. W tym była moc. A teraz? Ja tu wiernym opowiadam o duchowej wspólnocie świętych Bridget i Patryka, o tym, jak te dusze błogosławione żyły ku chwale Pana, a oni co? Nic tylko wody ze źródła chlapnąć, jakby to miało sprawy wszystkie za nich cudownie rozwiązać. Tkaczki zdradzają mężów. Żeglarze zdradzają żony. Piekarze oszukują na mące, kowale zaniżają jakość żelaza, a każde z nich liczy jak kupiec, żeby pokuta za ciężko nie wyszła. Boże, co za nuda!

— Pan stawia przed nami zadania — odpowiedział Obcy.

— Jutro, jak co roku od tysiąca lat niemalże — zacharczał Duduc — Pan nasz umrze na krzyżu. Powiedz, pielgrzymie, jak wygląda Ziemia Święta? Czy to cud świata, jak mawiają niektórzy?

— Nie, Duducu. Ziemia Święta wygląda jak każda inna.

Duduc zaniósł się kaszlem, poczuł lęk i spytał:

— Chcesz powiedzieć, że to, w co wierzymy, nie istnieje?

— Nie to mówię — zaprzeczył gość. — Przybyłem do Jerozolimy w rok po tym, jak kalif Al-Hakim bi-Amr Allah zburzył świątynię, którą

zbudowano na Wzgórzu Czaszki. Mówię tylko, że wtedy, gdy tam dotarłem, świątynia była takim samym gruzowiskiem jak most londyński przed trzema laty. Lecz nie w tym rzecz, jak co wygląda. Rzecz w tym, co pod gruzami widzimy.

— Amen. — Duduc zakaszlał i wzniósł kielich. — Świętujemy Wieczerzę Pańską tak samo skromnie, jak ją opisano w Piśmie. Nie jesteś Judaszem? — zaśmiał się.

— Nawet jeśli, to Pan i tak dał mi miejsce przy swoim stole — odpowiedział Obcy.

KNUT na wielkie zgromadzenie w Oksfordzie zaprosił możnych z całego królestwa. Przy jego boku stanął Wulfsdan, arcybiskup Yorku.

— Arcybiskupi i biskupi! Panowie moi, możni… Oto nastał czas rozstrzygnięcia.

Spojrzeli po sobie niepewnie, zaszemrali.

Niewielu z nich wie, co powiem za chwilę — pomyślał. — Wtajemniczyłem tylko tych, którym ufam jak sobie.

— Piękna Dania, z której pochodzę, i piękna Anglia, w której z Bożej łaski i dzięki waszemu wsparciu jestem dzisiaj królem, powinny zawrzeć wieczysty pokój. Czas wojen i niepokojów dobiegł końca. Wielka armia, z którą przypłynąłem tu przed trzema laty, mogłaby już odpłynąć do domu.

Odpowiedziały mu radosne pomruki.

Wojsko wygrywa bitwy, ale kiepsko spisuje się w czasie pokoju — myślał i przesuwał wzrok po twarzach swych starych i nowych wodzów. — Dzielni wojownicy się nudzą, piją i nietrudno o zaczepki, gwałty i rozruchy. Część z nich założyła rodziny i zaczęła wieść spokojne życie osadników. Ale nie wszyscy. Wziął wdech i oznajmił:

— Proponuję, by królestwo wypłaciło duńskiej armii ostatni danegeld, a ja zostawię przy sobie tylko osobistą drużynę i rozpuszczę flotę do domów,

będąc gwarantem tego, że nie powróci w celach wojennych. Jako król stanę się więc zakładnikiem pokoju.

Zapanowała konsternacja. Angielscy możni szemrali gniewnie: „Danegeld!”. Ale wiedział, że bez tego jego wojsko nie odpłynie. Od chwili, gdy stał się królem, jego ludzie nie mogli łupić i rabować.

— Pomyślcie o tym jak o ostatnim podarunku — zasugerował arcybiskup.

I zadziałało. Siedemdziesiąt dwa tysiące funtów srebra. Największy danegeld w historii!

— No cóż, trzeba osłodzić twym ludziom pożegnanie z piękną Anglią — dyplomatycznie podsumował Godwine i zapytał szeptem: — Ile łodzi stanowi osobistą drużynę, która zostaje z naszym królem?

— Czterdzieści. — Knut się uśmiechnął.

Godwine zamrugał. Tak. Z taką flotą zaczynał przed laty swe harce Thorkel, nim zebrał całą Drapieżną Ławicę w sile pięćdziesięciu łodzi.

— Zważywszy na to, że mój król przypłynął do Anglii ze stu dziewięćdziesięcioma łodziami — taktownie odpowiedział Godwine — to rzeczywiście zostaje z nim wyłącznie osobista drużyna.

— Wieszczę ci wielką przyszłość na dworze, mój drogi Godwinie. — Knut się roześmiał.

Spełnił ze zgromadzonymi toast za pomyślny rejs powrotny floty do Danii, Norwegii i Szwecji, wszedł na podwyższenie i przemówił:

— Czas wojny już minął, ale zadaniem króla jest nie tylko gwarantowanie pokoju, ale i stanowienie prawa, które pozwoli wszystkim mieszkańcom królestwa na spokojne patrzenie w przyszłość. Oto na prośbę moją i królowej Emmy szlachetny Wulfsdan, arcybiskup Yorku, przygotował nowy zbiór praw, który chcemy dzisiaj ogłosić i zaprzysiąc na chwałę królestwa.

Wulfsdan wyszedł i powagą swego autorytetu zaczął czytać kodeks.

Uspokojona dzieckiem, które rosło w jej brzuchu, Emma oddała Knutowi wielkie usługi, kierując uwagę Wulfsdana na to, by w kodeksie powiązać panowanie Knuta z rządami dobrego króla Edgara, podkreślając ciągłość dynastii. W tym świetle stawał się kontynuatorem tego, co w jej przeszłości było najlepsze, i twórcą nowego prawa.

Ile lat będę walczył z piętnem najeźdźcy? — myślał, patrząc po twarzach zebranych i słuchając wzniosłego głosu Wulfsdana.

— …zakazujemy sprzedaży jeńców chrześcijańskich w niewolę, ponieważ życie ludzkie nie może być dla nikogo przedmiotem zysku…

Rozmaicie się mogło ułożyć między nimi. Wiedział, że Emma wciąż porównuje się z Elfgifu, dopytuje o młodszą rywalkę.

Czy jeszcze rywalkę? — zastanowił się Knut. — Nie spotkałem się z Elfgifu od dnia, gdy ją odprawiłem. Ale nigdy nie porzucę swych synów. Dotrzymam słowa, nie wprowadzę ich na tron angielski, jeśli Emma da mi syna. Ale czy go urodzi?

To pytanie tętniło mu w głowie coraz natrętniej, bo o ile przez pierwsze miesiące ciąży Emma czuła się świetnie i towarzyszyła mu nieustannie, o tyle ostatnie dni zaczęły przynosić wątpliwości. Była słaba, źle znosiła trudy swego stanu i coraz rzadziej opuszczała alkowę. W podróży do Oksfordu nie mogła wziąć udziału. Czasami w bezsenne noce, gdy wpatrywał się w ciemny, połyskliwy nurt Tamizy, myślał, że Bóg dał mu już tak wiele, iż Jego łaska może się w każdej chwili skończyć. Pojmując za żonę Emmę, w imię nienarodzonego dziecka rzucił na szalę los Svena i Haralda. Wzdrygnął się.

— …Bóg, dając koronę i władzę, otacza swą łaską i ochroną króla Anglii Knuta I — kończył czytać Wulfsdan. — A z króla łaska ta spływa na cały kraj i jego poddanych. Amen.

— Czy chcecie żyć według tak zapisanego prawa? — spytał.

— Tak!

— Zatem przysięgnijmy wierność królowi i przyjmijmy kodeks — zawołał arcybiskup Wulfsdan.

Nazajutrz, gdy Knut razem z dworem opuszczał Oksford, kierując się do Westminsteru, Godwine trzymający mu strzemię powiedział:

— Królu, podziwiałem cię na polu bitwy pod Ashingdon, choć wtedy walczyliśmy po przeciwnych stronach. Byłem z ciebie dumny, kiedy pomściłeś Edmunda. Jedno i drugie wystarczyło, bym uznał cię za swego władcę. Ale wczoraj, w chwili gdy ogłosiłeś, że oto król zaczyna budować, a nie tylko zdobywać królestwo, oddałem ci nie tylko serce, ale i duszę. Jeszcze nigdy nie czułem się tak wzniośle, mój królu.

— Jedź u mego boku, przyjacielu — odpowiedział Knut i zaczekał, aż Godwine wsiądzie na konia.

Knut miał dwa ulubione miejsca w Anglii: Canterbury i Winchester. U benedyktynów z klasztoru pod wezwaniem Świętego Augustyna, jak i w katedrze pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła w Canterbury modlił się przed ogłoszeniem kodeksu praw w Oksfordzie. Cisza klasztoru dodawała mu sił. Teraz, gdy kodeks został zaprzysiężony i przyjęty, gdy dał dowód, że chce być Knutem Prawym, chciał podziękować Bogu w katedrze w Winchesterze przy grobowcu świętego Swituna.

Kiedy przed nią stanął i spojrzał na dwie wyniosłe wieże Old Minster na tle ołowianego nieba, pomyślał: Baszty Boga. I jego myśl powędrowała ku drewnianej świątyni w Roskilde.

Uświadomił sobie, że we wnętrzu tej katedry zmieściłoby się z pięćdziesiąt duńskich kościołów.

— Królu! — powitał go jego spowiednik, Ethelnoth. — Gratuluję Oksfordu.

— Bez Wulfsdana nic bym nie osiągnął.

— Ale arcybiskup walczy po twojej stronie. Mówią, że wysyłasz go do Rzymu. Prawda to?

— Plotki! — Knut się zaśmiał. — Powtarzają i mylą arcybiskupów. Pojedzie Lyfing. Wiesz, Ethelnocie, ilekroć staję pod tą katedrą, nogi mi się uginają w kolanach przed potęgą Bożego dzieła.

— Zbudowali ją ludzie — cicho odpowiedział spowiednik.

— Ale kierowała nimi chęć uczczenia Pana. Odyn i Thor, Perun i Trzygłów, bogowie moich pradziadów, nie pchali wyznawców do budowania tak wspaniałych świątyń.

— Po czasie bogów wojny nastał czas Boga pokoju. — Ethelnoth się skłonił i pchnął wielkie wrota katedry.

Szli w ciszy, słysząc zwielokrotniony echem potężnego wnętrza odgłos własnych kroków. Z wysoko umieszczonych półowalnych okien sączyły się promienie słoneczne. Wirował w nich kurz. Świece osadzone w wielkich, żelaznych świecznikach dawały mniej światła niż to, które płynęło z góry.

Skierowali się do ołtarza świętego Swituna.

— Wiesz, panie — szeptem powiedział Ethelnoth — że święty biskup kazał się pochować nie w katedrze, lecz przed nią? Nawet po śmierci nie wyzbył się pokory, pragnąc, aby wierni deptali po jego ziemskich szczątkach. Gdy po latach rozbudowywano katedrę, przeniesiono jego grób, ale uszanowano wolę.

— Chcesz powiedzieć, że stoimy teraz na kościach świętego?

— Tak.

Knut poczuł dreszcz i uklęknął na chłodnych kamieniach posadzki.

Emma wspomniała mu, że święty Switun był nauczycielem dawnych angielskich królów, a teraz to on jest władcą.

— Panie — modlił się szeptem. — Dałeś mi tak wiele, że pozwól, iż to, co jest oznaką ziemskiego panowania, oddam Tobie. Ty odkupiłeś nasze winy i na krzyżu pokonałeś śmierć. Nie jestem godzien nosić złota, skoro Ty zwyciężyłeś przez cierń. — Mówiąc to, zdjął z głowy koronę i położył u stóp ołtarza.

— Amen — powiedział Ethelnoth, otarł łzy i podał Knutowi ramię, gdy ten wstawał z kolan.

— Ufunduję kościół na miejscu bitwy pod Ashingdon — odezwał się do spowiednika. — Nie jako wotum dziękczynne za zwycięstwo, ale jako miejsce modlitwy za poległych. I nie tak wielki jak to winchesterskie cudo!

Uniósł głowę. Drewniane, malowane złotem i czerwienią kasetony połyskiwały ciemną barwą. Na chór równym, cichym krokiem wchodzili zakonnicy. Diakon wysokim tonem zaczął śpiewać psalm.

— Seksta — powiedział Ethelnoth i wyszli z półmroku kamiennych murów na jasność dnia. Knut zmrużył oczy.

— Wyszło słońce — powiedział.

— Królu, królu! — Ku nim biegł Godwine. — Królu! Radosne wieści! Królowa Emma szczęśliwie urodziła syna!

Knut zachłysnął się radością, chwycił lekkiego, szczupłego Godwine’a i wysokiego Ethelnotha i uniósł ich obu, kręcąc się w koło.

— Boże, jesteś wielki w swych dziełach! — jęknął Ethelnoth.

— Jak nazwiesz syna, panie? — wysapał Godwine.

Odstawił ich na ziemię, myśląc szybko. Mam już Svena i Haralda…

— To będzie Hardeknut!

ŚWIĘTOSŁAWA prowadzona instynktem albo tropem Duszy skierowała się do kościoła Świętej Bridget za murem rzymskim, tuż przy rzeczce Fleet. Spojrzała na cembrowinę okalającą święte źródło, na rozpadający się murek z płyt nagrobnych. Mnicha pielgrzyma nie było, tylko jego drewniana

miska stała pod murkiem. Pusta. Ale nie było też słońca. Nad Londynem wisiały ołowiane, deszczowe chmury. Weszła do wnętrza.

— Jest tu kto? — spytała.

— To zależy, kto pyta — odpowiedział jej zachrypnięty głos starca. — Kupców rybnych obsługuję we wtorki, nierządnice w piątki.

— A królowe? — spytała kpiąco.

— Ma poczucie humoru! — Starzec zakaszlał i wyszedł z głębi świątyni. — Królowe tu nie bywają, dla wielkich dam jest katedra i biskupy.

Był stary, zgięty wpół. Wspierał się na kosturze, którym badał drogę przed sobą, a każdy krok sprawiał mu trudność. Z łysej czaszki sterczało kilka pasm siwych włosów, a jedyne oko miał zaropiałe. W miejscu drugiego zabliźnioną skórę. Wyglądał upiornie.

Jednooki jak Odyn. W sam raz dla mnie — pomyślała, zaciskając dłoń na smyczy. — I prawie ślepy. Nie wie, z kim ma do czynienia. I dobrze.

— Wyspowiadasz mnie, ojcze? — zapytała.

— Rachunek sumienia zrobiła? — Chrząknął.

— Jesteś jedynym kapłanem u Świętej Bridget?

— A co, liczyłaś na kogoś lepszego? — odrzekł zaczepnie.

— Mur na zewnątrz się sypie. Trzeba to naprawić — powiedziała.

— Paniusia z kotkiem przyszła udzielać mi rad? — Skrzywił się. — To może datek zostawi?

— Zostawię — przyrzekła. — I proszę o spowiedź, ojcze.

— Nie licz na to, że datek umniejszy pokutę. Jestem surowym spowiednikiem.

— Tym lepiej. — Skinęła głową.

Starzec pokuśtykał do ławy przy ścianie. Usiadł ciężko, rękawem otarł pot z czoła. Uklęknęła przy nim i zaczęła.

— Spowiadam się z tego, że zawsze chciałam więcej, że nie rozumiałam granic. Że przesuwałam linię horyzontu dalej i dalej…

— Przestań, dziewczyno — wycharczał starzec. — To nie są grzechy. Nie kpij przed Bogiem.

— Ale nakazujecie nam pokorę…

— To wyspowiadaj się z pychy, a nie z odwagi! — krzyknął na nią. — Nie myl grzechów, bo Pan nasz pomyśli, że się chwalisz.

— Często szłam po omacku. W gąszczu intryg musiałam podejmować szybkie decyzje. Mogłam skrzywdzić nieostrożnym osądem, ale powodowała mną nie chęć zemsty, lecz ochrony syna… Dlaczego milczysz? — zaniepokoiła się.

— Bo gadasz jak z księgi, a ja czekam na konkrety. Grzechy, przewiny, nieprawości… no, pospiesz się, bo usnę albo dobije mnie kaszel.

— Nie znoszę kochanki mego syna — wyznała. — Choć jest matką moich wnuków. Drażni mnie, że zasłania się dziećmi, jakby jej łono było święte, a wszystko, co z niego wyjdzie, błogosławione. Młode kobiety patrzą na siebie przez pryzmat sterczących piersi…

— O! Znalazła się ta, która nie była młoda. He, he — zarechotał wstrętnie. — Od razu urodziła się stara… Łatwo oceniasz, co? Kochanka zdrożna rzecz. Bóg prosi, by kobieta i mężczyzna zawarli związek w Jego imię, przed ołtarzem. Ale nie tobie oceniać, lecz Bogu. Co tam jeszcze? Kradłaś? Źle życzyłaś bliźnim, niech zgadnę. Do mleka naplułaś sąsiadce?

— Nie. Nie, ojcze. Nic nie ukradłam. Źle życzyłam tylko złym ludziom.

— O, proszę! Jaka to mądra. Sama wiedziała, kto dobry, kto zły! Ty się z pychy spowiadaj, paniusiu z kotkiem.

— Dobrze, ojcze. Czułam pychę nie raz i nie raz byłam harda.

— No, i to są jakieś grzechy… — Zakaszlał. — Ale jak to mówią, milczący i pokorny to ma być syn królewski, ale nie matka.

Poznał mnie? — pomyślała z trwogą. — Nie, tak tylko powiedział.

— Jest coś jeszcze, ojcze.

— Mów, mów.

Jak to ująć, by nie wyszło dosłownie, a jednak wyznać winę? — zastanowiła się.

— Życzyłam śmierci.

— Komu?

— Dwóm niewinnym chłopcom.

— Kozę ci ukradli? Dzieciaka pobili?

Urodzili się nie w porę — pomyślała o obu synach Edmunda odesłanych z Anglii. I o dwóch mieczach, które dała Wilkomirowi, by przekazał razem z nimi. Wiedziała, że i Olof, i Bolesław zrozumieją żelazne przesłanie. Czuła je na sumieniu, jak głaz. Każdego dnia pamiętała, że skazała te dzieci na śmierć.

— No, czego nic nie mówi? — ponaglił ją kapłan.

— Matka wiele potrafi wziąć na siebie dla syna — odpowiedziała wymijająco.

— Ale nie zapominaj, kobieto, że na krzyżu umierał Syn, a Matka to stała pod krzyżem. Trzeba znać swoje miejsce!

— Znam je, ojcze — szepnęła.

I dlatego to zrobiłam — pomyślała ciężko.

— Jeśli dokonałaś nieprawości dla dobra swego syna, to kto wie, może Bóg ci przebaczy? — zaskrzeczał polubownie.

— A ty? — żachnęła się. — Nie możesz mnie rozgrzeszyć w imię Jego?

— Mogę. — Wzruszył ramionami. — Pan na krzyżu przebaczył łotrowi, bo ten żałował za grzechy. I tak łotr został pierwszym świętym. Miłość Pana jest nieskończona.

Nakreślił znak krzyża w powietrzu.

— A pokuta? — upomniała się. — Miałeś być surowym spowiednikiem.

— Ano tak. Dobrze, żeś mi przypomniała, choć pewnie za chwilę pożałujesz. — Kiwnął głową i zachichotał. — Od tej chwili porzuć wszystko, co kiedyś było dla ciebie ważniejsze od Boga.

— Przysięgam, że tak właśnie zrobię — szepnęła i przeżegnała się.

Kapłan uniósł sękatą, pokrytą plamami dłoń. W pierwszej chwili nie zrozumiała. Dopiero w drugiej, gdy natarczywie podsunął rękę ku jej twarzy, pojęła. I pocałowała tę dłoń, mówiąc:

— Dziękuję, ojcze.

Chrząknął i dodał znużonym, sennym głosem:

— Idź, pomódl się u stóp świętej Bridget. Oblubienicy. Ty wiesz, że ona i święty Patryk darzyli się przyjaźnią tak wielką, jakby mieli jedno wspólne serce? Moi parafianie nic tylko by wodę ze świętego źródła pili na każdą okazję, a nie zakiełkuje w nich myśl, że miłość to nie obściskiwanie i płodzenie dzieci. Miłość to mistyczna tajemnica Boga, którą czasami pokazują nam święci. Takie dusze jak tych dwoje spotykają się raz na tysiąc lat, nie częściej...

Wydało jej się, że zasnął w pół słowa.

Wstała z kolan, odwiązała od paska sakiewkę i położyła przed ołtarzem świętej Bridget. Wystarczy tego na naprawę muru, choć spowiednik nie zwrócił uwagi na mieszek na ołtarzu, pochrapywał na ławie.

Wyszła z kościoła. Dusza miauknęła. Ołowiane chmury gdzieś odbiegły. Ostre promienie wiosennego słońca przebiły się przez jej powieki. Zmrużyła oczy. Gdy je odsłoniła, zobaczyła go i coś w niej drgnęło.

Takie dusze spotykają się raz na tysiąc lat, nie częściej — zaszeptał w jej głowie głos spowiednika.

Z głową zakrytą kapturem siedział na murze. Wyznawca Jasności.

Jednak przed chwilą przysięgała porzucić wszystko, co było ważniejsze od Boga, więc odpięła z płaszcza broszę ze skrzynki Astrydy. Ryba rozszarpywana przez dwa orły. Na srebrnej łusce kropla starej, zaschniętej krwi. Oddała jej ostatni pocałunek i myśląc: Panie, nie jestem Ciebie godna, wrzuciła do drewnianej miski mnicha pielgrzyma.

— Zostań z Bogiem — szepnęła do niego.

— I z tobą na wieki. Panu niech będą dzięki — odpowiedział jej pielgrzym.

Nawa królów

Zrazu była ciemność i pomyślała o niej „wiekuista”. Potem słyszała przyciszone głosy. Westchnienia. Szloch. Kobieta szeptała psalm, ale zachłysnęła się płaczem i nie skończyła. Świętosława chciała jej pomóc. Mówiła z uporem „amen, amen”, ale jej usta nie przenosiły dźwięku.

Ciążyła jej ta nieskończona modlitwa jak niedomknięte drzwi. Przed nią był mrok, a za nią śmiertelny rozgardiasz. I światło wielkiej woskowej świecy, które niemiłosiernie kłuło ją w powieki. Jakaś część jaźni skwitowała drwiąco: Gdybym nie kazała się posadzić do umierania na tronie, tylko położyła, jak przystoi damie, gromnica by mnie teraz nie raziła.

Ale stało się i nic na to nie mogła poradzić. Do jej uszu dobiegła pieśń:

W ciemności idziemy,
w ciemności do źródła Twego życia.

Nie wiedziała, czy pieśń śpiewają na tym, czy już na tamtym świecie. Głosy, które słyszała, był zniekształcone, jakby ktoś zatkał jej uszy woskiem.

Tylko pragnienie jest światłem,
tylko pragnienie jest światłem w ciemnościach, o Panie.

Skończcie z tym — myślała. — Pozwólcie mi umrzeć. No już, przecież nie zawrócę w pół drogi. Poczuła złość na żywych, że wtrącają się do śmierci. Przeciągają na swoją stronę, jakby jej życie mogło należeć do nich.

I wtedy usłyszała przeciągłe zawodzenie rysicy. Moja Dusza wyje — pomyślała i w tej samej chwili skowyt zatrzasnął drzwi do świata żywych. Wokół niej zapanował mrok. Odetchnęła z ulgą. Lepszy mrok niż trwanie między światami. Rysica miauknęła niespokojnie.

— Jesteś tu? — zapytała Świętosława.

Kocica dotknęła mokrym pyskiem jej dłoni i ruszyła przed siebie po omacku.

— Pani, Harda Pani… — szeptały ściany głosami, które znała, choć coś podpowiadało jej, że nie powinna się z nimi witać. Zacisnęła usta, ale nie zatkała uszu.

— Sigrida Storråda… królowa wdowa na tronie…

— Czy w łaźni jest napalone?

— Harald, pan z Opplandu, i Wsiewołod z Gardarike pytają, czy w łaźni jest napalone!

— Ja płonę!

— To mają być porządne przeprosiny! — ryknął tuż nad jej głową Wsiewołod. — Gorące!

— Zginąłem za jeden włos, co spadł z głowy twego synalka… sss…

Wydłużyła krok i wyszeptała, nie zatrzymując się:

— Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie.

— Chciałaś przejąć pajęczynę, a kazałaś zarąbać Pająka. — Nieoczekiwanie zachichotał następny głos.

— Wieczny odpoczynek — powiedziała twardo i szła dalej.

— Nie kpij! — gniewnie warknął za nią Streona. — Zesłałaś mnie w wieczny mrok.

— Moja ty… jeszcze będziesz moja… wszystko robiłem dla ciebie, a ty? Wbiłaś mi miecz w piersi. Piorunową stal.

Włosy na głowie jej się zjeżyły, gdy poznała jarla Birgera.

— Odpoczywaj w pokoju — powiedziała, nie przystając nawet na krok.

— Moja ty… — nie ustępował. — Odpocznę, gdy legniesz ze mną. — Jego szept ją gonił i w jednej chwili się zmienił. Birger mówił jej własnym głosem, jakby skradł jej mowę:

— Połóż się. Pokażę ci, jak królowa okazuje wdzięczność.

Nie przyspieszyła, krzyknęła:

— Nie wódź nas na pokuszenie!

— Wreszcie tu jesteś. Jesteś… — słyszała ten głos wszędzie. Nad sobą i pod stopami. Z boków, ze ścian.

Jestem królową i nie mogę się bać — opanowała strach.

— Zostań z Bogiem — rzuciła z mocą i Birger zamilkł.

To piekło czy jego przedsionek? — pomyślała. — A może przepastna gardziel czyśćca?

W tej samej chwili wpadła do wody. Płynęła przez gęstą, zimną ciecz, a Dusza płynęła równo z nią, parskając. Nagle coś dotknęło jej boku. Z wody wyłonił się obrzmiały topielec. Drugi, trzeci. Zabici w walce, z odrąbanymi ramionami, dziurami po włóczniach.

— Loki zamieszał w Øresundzie! — Nieboszczyk rzygnął lepką cieczą.

Dotarło do niej, że to zwłoki z Bitwy Trzech Królów. Zachłysnęła się wodą i natychmiast ją wypluła.

Nie pij z rzeki umarłych — przemknęło jej przez myśl.

Wielkie dłonie, z których oblazła skóra, wczepiły się w jej płaszcz sinymi paznokciami. Wyszarpnęła się. Naprzeciw płynął topielec najeżony strzałami. Przez puste oczodoły przepływały śliskie węże.

Nidhog — pomyślała. — Kąsający lęk. Wąż pożerający ciała nieboszczyków.

Trup bez głowy chaotycznie uderzał wodę ramionami w zardzewiałej kolczudze. Dusza warknęła. Z pędzli futra na jej uszach kapały ciemne krople. Świętosława poczuła, że ma w ustach coś, co ją dławi. Drętwiejącymi z zimna palcami sięgnęła do warg i wyjęła monetę. Denar z krzyżem na rewersie. Płynęła ku niej nowa fala wzdętych ciał. Nie oglądając się, rzuciła obola za siebie. Rzeka wyschła w jednej chwili i Dusza wybiegła na brzeg. Świętosława wstała i próbowała wykręcić ciężki

od wody płaszcz. Usłyszała szemrzący cicho śpiew, jakby dwa, może trzy głosy sączyły się z oddali:

Rozpal ogień, który nigdy nie zagaśnie, w naszych ciemnościach, o Panie.

Rozpal ogień, który nie zgaśnie w naszych ciemnościach.

I wtedy dostrzegła przed sobą plamy światła. Rysica truchtem ruszyła ku nim i jak młody kot próbowała je złapać. Skąd padały? Znikąd. Po prostu pełzały po ścianach jak słoneczny promień wdzierający się do chałupy przez dymnik. Świętosława szła do nich, czując, jak mokry kraj sukni klei się jej do nóg, i gdy dotarła bliżej, usłyszała, że każda z nich to głos. Nie śpiew, który cicho sączył się przed chwilą, ale modlitwa rozjaśniająca ciemność. Było ich wiele; nowe, jeszcze pulsujące żarliwym uniesieniem, i stare, niespłowiałe modlitwy sprzed lat.

Modlitwy są wieczne — pojęła i przysunęła się do jednej z nich. Od razu rozpoznała głos.

— Boże Wszechmogący. Jeśli prośby grzesznika, zaprzańca i zdrajcy mogą coś znaczyć w Twych uszach, to przyjmij je. Modlę się o nieśmiertelną duszę królowej Sigridy Storrådy. Zachowaj ją, Słodki Panie, od ognia piekielnego, prowadź ku światłu płynącemu z Objawionego Słowa. Ku życiu wiecznemu i światłości wiekuistej. Amen.

Modlił się za nią zdrajca Ion. Ion, którego skazała na poniżenie, obrożę i smycz; którego odesłała do klasztoru, odpuszczając mu winy, gdy przed laty zrozumiała, że to nie on ją zdradził, ale w roli Judasza postawił go Pan. Dawny gniew z niej wyparował.

Stała w mroku i czuła płynące po policzkach łzy. Otarła oczy i w tym samym momencie zapanowała jasność.

Rozpal ogień, który nie zagaśnie w naszych ciemnościach, o Panie!

Szepczące głosy po raz ostatni powtórzyły refren i Świętosława ruszyła ku jasności. Światło potężniało, jakby chciało ją wchłonąć, wessać w siebie. Poczuła się oczyszczona i lekka.

Modlitwa zdrajcy wyprowadziła mnie z czyśćca — pomyślała z wdzięcznością.

Jej suknia i płaszcz, które jeszcze przed chwilą były ciężkie od wody trupiej rzeki, wyschły w jednej chwili. Stąpała po kamieniach lśniących niczym polerowany marmur, słyszała stuk swych butów i chrobot pazurów Duszy. Posadzka nagle się urwała i Świętosława zatrzymała się nad przepaścią. Jęknęła w zachwycie.

Znajdowała się we wnętrzu potężnej wieży. Spojrzała w dół, zobaczyła otwartą nawę katedry w Winchesterze i trwające nabożeństwo żałobne. Gdy uniosła głowę, dostrzegła wijące się w górę piętra we wszystkich odcieniach skrzącej się jasności. Jedno nad drugim i kolejne, następne, jakby budowla nie miała końca. Srebrne, złote, pulsujące blaskiem. Każde z nich było kolejnym królestwem.

Z dołu dobiegła ją woń kadzidła i chór śpiewający litanię do wszystkich świętych.

— Dusza! Biegniemy na pogrzeb? — zawołała i spiralnymi schodami ruszyły w dół.

Zatrzymała się nad poziomem kamiennego sklepienia Old Minster, na krużganku, tuż przy zwieńczeniu potężnej kolumny. Tam, w dole, arcybiskup sprawował liturgię, intonując pieśń pogrzebową.

Boże mój, Boże mój Wieczny,
Święty, zmiłuj się nad nią!
Ty, który jesteś Ojcem miłosierdzia,
okaż jej łaskę w Twej dobroci.

— To Lyfing? — Przyjrzała się kapłanowi z niedowierzaniem. — Ależ mu się poprawił głos po spotkaniu z papieżem w Rzymie. Jak dzwon. — Pokręciła głową z podziwem. — Widać błogosławieństwo Ojca Świętego, jakie przywiózł dla Knuta, spłynęło i na arcybiskupa. Zobaczyła swą trumnę i odetchnęła z ulgą.

— Bogu dzięki! Zamknięta!

Na wieku chorągiew. Piastowski orzeł dzierżący smoka w pazurach.

Dlaczego dopiero teraz czuję, że to niestosowne? — pomyślała. — Jak jakaś barbarzynka, co przyleciała i porwała. Zawstydziła się. Uniosła głowę i na krużganku po przeciwnej stronie wieży zobaczyła połyskliwą postać z arcybiskupim pastorałem w dłoni. To Aelfheah — westchnęła — poprzednik Lyfinga, męczennik, który padł ofiarą bestialstwa armii Thorkela.

Aelfheah z naprzeciwka dawał jej jakieś znaki, wskazując na chorągiew okrywającą trumnę.

— Co mam zrobić? — zapytała go. — Spruć?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami. Poczuła chłodny powiew. Otwarte kamienne okno za jej plecami.

— Panie! — pomodliła się. — Czy człowiek ma prawo odczuwać skruchę po śmierci?

W odpowiedzi podmuch wiatru wpadł do winchesterskiej katedry i poderwał róg chorągwi na jej trumnie, zaginając go tak, że zakrył smoka i zostawił orła.

Jak dobrze, że Wszechmogący ma poczucie humoru — pomyślała z wdzięcznością.

Zobaczyła Knuta.

— Jaki on piękny, Duszo. To już nie jest Syn Królowej. To Król.

Jasnowłosy, bez korony na głowie, bo ta lśniła przy bocznym ołtarzu świętego Swituna. Przy nim Emma, ukradkiem chwyta go za rękę. On ściska palce żony i kciukiem wędruje w głąb jej dłoni.

— Ona jest w ciąży! — odkryła Świętosława, patrząc na profil królowej. — Niech to będzie dziewczynka, Boże! — zapragnęła, choć czuła, iż nie należy mieć pragnień tu, gdzie jest.

„Chciałabym dziewczynkę” — pisnęła w jej wspomnieniu Heidi Kózka.

I zobaczyła małego Hardeknuta na rękach Godwine’a. Hardeknuta, co miał jedno oko niebieskie, a drugie zielone. Malec się okręcił i zza pleców Godwine’a jej pomachał. Przesłała mu całusa dłonią i schowała się.

Nie powinni mnie widzieć na moim pogrzebie — pomyślała.

Godwine się odwrócił, patrząc, komu Hardeknut kiwa. A on skłonił głowę, grzeczny jak zawsze. Dostrzegła w jego źrenicach łzy.

— Jesteś dużym chłopcem — skarciła go z wysokości. — Nie maż się. Ach! — jęknęła, bo dopiero teraz dostrzegła klęczącego przy jej trumnie Wilczana z nagim mieczem w dłoni.

I wodzów. Joruna, który stał prosto jak włócznia, ze strzechą siwych włosów wchodzących mu do oczu. Umył łeb! — przebiegło jej przez myśl. Thorkela Wysokiego. Starego Uddorma, który ryczał jak bóbr. Ragna z Wysp, co raz po raz wycierał oczy wierzchem dłoni. Thorgilsa z Jelling rozglądającego się po zgromadzonych z uśmieszkiem.

— Ciesz się, ciesz. Kiedyś ty przepłyniesz rzekę umarłych i sam nie wiesz, kto cię złapie za rękaw — wyszeptała.

Diakoni śpiewający żałobną pieśń zafałszowali nagle i pomyślała, że nawet po śmierci trzeba panować nad sobą.

— Zwłaszcza po śmierci! — przestrzegł ją Wielki Ulf, stając przy jej ramieniu.

— Przez całą wieczność — dorzucił Wilkomir, dołączając do nich.

Poczuła tak wielką radość, że pisnęła jak dziecko.

— Znowu razem!

— Bądź lepsza po śmierci, niż byłaś za życia. — Wilkomir się skrzywił.

— Bądź taka sama. Nie zmieniaj się — zażądał Wielki Ulf i się uśmiechnął.

Znów miał ząb na przedzie, choć odkąd go znała, był wyłamany. Jego łysa czaszka lśniła niczym tafla jeziora w pogodny dzień.

— Chcesz czekać, aż złożą cię do grobu, czy ruszamy? — zapytał.

— Chodźmy! — powiedziała i nie miała pojęcia, dokąd pójdą.

Pięli się spiralnymi schodami wokół wieży. Usłyszała śpiew. Pijackie głosy. Szczęk oręża. Tubalny głos Erika i złośliwy śmiech Svena.

— Co to jest? — zapytała.

— Walhalla, pani — odpowiedział Wielki Ulf.

Weszła na kamienną platformę i zobaczyła olbrzymie dworzysko o wielu otwartych wrotach. Na rozległym podwórcu wojownicy w lśniących kolczugach pojedynkowali się na miecze i topory. Stal grała, ale nie płynęła krew. Ściany dworu wyłożono włóczniami o gładkich, jesionowych drzewcach i lśniących ostrzach. Sklepienie było murem złotych tarcz. Trwała uczta poległych, grały okute czarne rogi, strumieniami płynął miód.

— Takie rzeczy tylko po śmierci! — Zaśmiała się.

Erik Segersäll i Sven Widłobrody, dwaj wrogowie, dwaj mężowie, łysy i rudy, przepijali do siebie z rogów i śmiali się.

— Erik! — wrzasnęła. — Sven!

Nie zwrócili na nią uwagi, jakby była powietrzem. Wilkomir skwitował krótko:

— To nie twoje zaświaty. Nie pchaj się, pani, gdzie cię nie proszą.

— Sven był ochrzczony! — zaprotestowała.

— No i co z tego? — spytał kąśliwie Wilkomir. — Musiałby jeszcze uwierzyć, żeby woda chrztu obmyła jego duszę.

— O rany! — jęknęła, przerywając jego mądrości.

Arnora, plemienna królowa o srebrzystych włosach zaplecionych w warkocze, siedziała na tronie w Walhalli strojna w naszyjniki i brosze. To do Arnory przepijali jej mężowie. A ona śmiała się tak głośno, że zagłuszyła wściekły zgiełk, z jakim wpadli do Walhalli berserkowie. Wojownicy bestie. Przemienieni w szale bitewnym w jaszczury, wilki, niedźwiedzie i dzikie psy. Przez wrota płynął ciągły strumień gości. Widziała jomswikingów z kwadratowym wilczym pyskiem na tarczach. Między nimi piękną, jasnowłosą Vali. Melkorkę i Heidi Kózkę, co w rogu długiej ławy piły miód i chichotały wściekle. Heidi szturchała Melkorkę łokciem w bok.

— Idziemy dalej, pani? — spytał Wielki Ulf.

— Tak — powiedziała wzruszona, że widzi ich wszystkich.

Przeskakiwała stopnie i nagle poczuła wiatr, jakby skrzydło sztormu podcięło jej nogi. Wilkomir przytrzymał ją za ramię.

— Ona cię nie widzi — przestrzegł.

Zobaczyła swą siostrę Astrydę trzymającą ster łodzi. Płynęła pod pełnym wiatru żaglem, w poprzek fal, piła wino i śmiała się. Jej piękne włosy odzyskały barwę żywicy, a płaszcz na ramionach spływał wodą. Na pokładzie miała swego dziada, Dalwina, i całą wolińską załogę. Leszko

nachylał się do jej ucha i szeptał coś, czego Świętosława nie mogła usłyszeć.

Poczuła żal. Marzyła o tym, że w zaświatach spotka się z siostrą. A potem ulgę, bo miała pewność, że Astryda jest u siebie.

Ruszyli dalej i gdy przeskoczyła kilka stopni, usłyszała głos Duszy.

— Nareszcie!

Padły sobie w ramiona, stęsknione.

— Opowiadaj! — poprosiła Świętosława.

— Powoli — uspokajała ją Dusza. — Mamy całą wieczność.

Dopiero teraz dostrzegła, że Duszka trzyma w ręku smycz.

— Wrzask i Zgrzyt! — krzyknęła radośnie Świętosława, tarmosząc dwa wielkie łby.

Rysica podeszła do nich i obwąchała kocury. Świętosława odpięła smycz od obroży i trzy rysie skoczyły schodami w górę.

— Dasz się poprowadzić do Domu Piastów? — zapytała Dusza, chwytając ją za rękę.

Poszły w górę, ponad zasłonę z leśnej mgły. W nozdrza wdarła się woń żywicy, starodrzewu, dymu z ognisk. Mijały piętra kącin ukrytych na mokradłach, gdzieś zza zakrętów schodów wyglądały rzezane w drewnie posągi Trzygłowów, chichotały wiły, rusałki, wąpierze, aż wreszcie mgły zrzedły i wyszły na polanę. Polanię.

W rozległym niebiańskim palatium powitała ją matka. Słodka Dobrawa w ciemnoniebieskiej sukni i naszyjniku z bursztynów. Przy jej skroniach podzwaniały srebrne kabłączki. Pokłoniła się rodzicielce. W brzuchu Dobrawy kwiliło nienarodzone niemowlę. Pogłaskała je przez matczyną suknię.

— Nie dałam rady donosić — wyjaśniła z troską.

— Chłopiec czy dziewczynka? — zapytała Świętosława.

— No co ty? Skąd mam wiedzieć, skoro się nie narodziło? Idź wyżej, córeczko. Ojciec na ciebie czeka. — Pokazała jej stojący o kilka stopni dalej tron. — Tylko nie dokuczaj macosze! — przestrzegła ją.

— Ona tutaj? — zdziwiła się, ale zamilkła pod karcącym spojrzeniem Wilkomira.

Książę Mieszko siedział na tronie z jastrzębiem na ramieniu. Obok niego Oda.

Lód też może być piękny — pomyślała Świętosława na jej widok i skinęły sobie głowami, jak damy.

Przysiadła u stóp ojca. Przesunął palcami po jej włosach. Nie poczuła ciepła, tylko muśnięcie.

— Dzieci są wyzwaniami rodziców — powiedział.

— Ja byłam twoim? — spytała.

— Nie doceniłem cię — przyznał.

— Przestań, nie było cesarza na wydaniu!

Zaśmiał się.

— Dobrze się spisałaś, Harda — powiedział po chwili. — Lepiej, niż sądziłem. Bałem się, że wszystko stracisz przez ten język, a ty wprowadziłaś krew Piastów do nawy królów.

— Daj spokój, ojcze. — Machnęła dłonią, nienawykła do komplementów z jego ust.

— Nie — zaprotestował ostro i jego ciemne oczy zalśniły. — Powiem ci, a ty wysłuchaj mnie spokojnie chociaż po śmierci. Nie wierzyłem w Boga, gdy zdecydowałem się na chrzest. Wiedziałem, po co to robię, i czułem, że postępuję słusznie. Stawiałem Panu warunki. „Daj mi zwycięstwo nad wrogami i syna”. To nie była wiara, lecz targ. I w chwili chrztu, gdy wraz z Jego wodą wtargnęła we mnie jasność, byłem wstrząśnięty. A potem Wszechmocny spełnił każde z mych pragnień, jakby wiedział, że jestem

dzieckiem, które trzeba nagradzać. Ale w dzień bierzmowania, wiesz, minęło trochę czasu od chrztu, stawałem do sakramentu dojrzale, jak mężczyzna, nie chłopiec. Wierzyłem i pragnąłem wejść w kolejny krąg wtajemniczeń. Tamten dzień… — poruszył palcami w powietrzu, jakby łapał cień — twoja matka w ciąży… Patrzyłem na pełgające po półkolistej ścianie kaplicy płomienie świec i miałem wrażenie, że unoszą się w powietrzu i suną ku mnie jak świetlisty, ognisty znak. Płomienna korona. Zostałem bierzmowany i Bóg dotknął mnie czubkiem swego palca. Dobrawa zaczęła rodzić i na świat przyszłaś ty. — Ojciec westchnął, a jego spiczasta broda przebiła powietrze. — Bolesław urodził się po zwycięstwie nad grafem Wichmanem. Ty w dzień sakramentu. On do korony doszedł mieczem. Ty…

— Przez małżeństwo, które zaplanowałeś.

— Oboje wiemy, że twoja droga mogła się skończyć wraz ze śmiercią Erika — przeciął dyskusję. — A ty poszłaś dalej.

— Robiłam to, co powiedziałeś. Przesuwałam horyzont.

— Dokonałaś tego, o czym ja marzyłem. Zostałaś namaszczona na królową. Jako pierwsza. Nie mój pierworodny, a ty. Widzisz, co masz na skroniach? — żachnął się. — Znak świętego oleju. Płomienną koronę, którą zobaczyłem w dzień twych narodzin.

Mimowolnie dotknęła skroni. Po chwili odrzekła z namysłem:

— Wiesz, mnie też największe wyzwanie rzuciło moje dziecko, mój syn. Myślałam, że wszystko wiem, wszystko umiem, a kiedy stanęłam na angielskim brzegu, zrozumiałam, jak bardzo się mylę.

— Nie popełniłaś moich błędów, córko.

— Skąd wiesz? Patrzyłeś na mnie z góry?

Nie odpowiedział. Spojrzał na nią i uśmiechnął się smutno.

— Idź, dziecko. Czekają na ciebie.

Dusza poprowadziła ją do pałacu żywo przypominającego katedrę w Canterbury. W smudze światła zawirował pył. Między potężnymi kolumnami latały srebrnobiałe gołębie. Marmur pod jej nogami ustąpił piaskowcowi, a po chwili na kamiennych płytach zakwitł barwny gobelin ze złotoskrzydłym smokiem Wessexu.

— To nawa angielskich królów — szepnęła Dusza.

Wyszli na jej spotkanie. Alfred zwany Wielkim, choć był drobny i smukły. Na jego ramionach lśnił płaszcz łudząco podobny do tego, który Knut włożył w dniu koronacji. Edward Starszy. Elfweard, Althestan o pięknych szarych oczach. Edred, Edwin, Ethelred. Były i ich królowe. Elgiva, Elfida, Eadla, Edith, Elfgifu. Jasnowłose i rude. Wysokie i bladolice. Strojne w zapinki, pierścienie i brosze.

— Angielskie srebro — Elgiva uśmiechnęła się do niej — jest najpiękniejsze na świecie.

— Królowa o tym dobrze wie — powiedział Ethelred i mrugnął. — Santaslaue przyszła po danegeld? A jeśli tak, to który? Z czasów jej męża Svena? Ukochanego Olava? Czy może ten, który wziął jej syn Knut?

— Daj spokój. — Alfred Wielki się uśmiechnął. — W wieczności srebro nie ma żadnego znaczenia. Liczą się przymioty ducha. Gdzie twoje dobre wychowanie, praprawnuku?

— Wybacz, pani — przeprosił Ethelred.

— Nic nie szkodzi — odrzekła. — Też mam z tym kłopoty.

Dostrzegła Edmunda Żelaznobokiego z szyją obwiązaną szalem. Skinął jej głową, jak przed laty na wyspie. Z lękiem wypatrywała jego synków.

— Nie szukaj żywych między umarłymi — powiedział surowo i złagodził głos. — Knut dotrzymał przysięgi. Pomścił mnie.

— Santaslaue — odezwał się Alfred Wielki. — Spoczniesz z nami, matko króla?

Spojrzała dalej, za przeznaczone sobie miejsce, i zobaczyła pusty tron.

Kiedyś siądzie na nim Knut — pomyślała i spytała Duszy:

— Powinnam tu zostać?

— A nie chcesz zobaczyć, co jest dalej? Idź za mną.

Weszły na drewniany krużganek. Yggdrasil. Jesion, święte drzewo życia. W rzeźbę jego korony wpleciony krzyż. Wrota się otwarły i zobaczyła nawę duńskich królów. Wyszedł naprzeciw niej teść, którego nie poznała za życia. Harald zwany Sinozębym.

Przydomek z tych, co widać — westchnęła, uśmiechając się do siwowłosego, barczystego starca.

Siedział na wykutym w kamieniu tronie. Za jego plecami był głaz, który widziała w Danii. Ostrym ściegiem drapieżnych run wyryte słowa: „Temu, który ochrzcił”.

— Świętosławo — odezwał się Harald uroczyście. — Królowo duńska, zajmij swój tron. — Szerokim gestem zaprosił ją, by usiadła.

Przy jej boku zjawiła się śliczna, ruda jak Sven królowa Tove.

— Nareszcie mogę cię uściskać! My, Słowianki, powinnyśmy się trzymać razem — powitała ją ciepło jak matka. — Ciężko mieć za męża wikinga, co? — zaśmiała się.

— Powiem ci, co jest gorsze — odrzekła Świętosława, odwzajemniając jej uścisk. — Dwóch!

Zachichotały jak dziewczyny. Harald chrząknął. Tove zdążyła jej szepnąć do ucha:

— Starał się, Pan mu zaufał, ale nigdy nie wiedziałam, czy odróżniał Trójcę Świętą od trzech…

— Umiem liczyć! — przerwał żonie Harald. — Nie ośmieszaj mnie przed synową! Pani — zwrócił się wprost do niej — gdyby nie ty, nasza

krew nie popłynęłaby do nawy angielskich królów. Dałaś Svenowi popalić i ruszył na Anglię! — Teść zaśmiał się tubalnie.

— Przeceniasz mnie, Haraldzie. Sven to urodzony drapieżnik.

— Ale Knut jest inny. — Tove uśmiechnęła się promiennie. — To prawdziwie chrześcijański król. Udał nam się ten chłopiec. Twój syn. Nie mogę się doczekać, kiedy umrze, tak bardzo chcę go poznać!

— Pozwólcie, że was opuszczę — powiedziała Świętosława. — Ja też jeszcze nie przywitałam się ze wszystkimi w wieczności.

Wrzask, Zgrzyt i rysica biegły przodem. Dusza poprowadziła ją odkrytym krużgankiem w bok. Najpierw owionęła ją wilgotna bryza. Potem poczuła sól. I zobaczyła go.

On jeden był taki, jakim go widziała ostatnio. Nie pięknym i młodym. Żylasty, chudy, wysoki. Z ogoloną głową, ogorzałą twarzą, pociętą siecią zmarszczek. W pielgrzymim habicie stał przed nią Olav Tryggvason.

— Jaką mnie widzisz, Olavie? — spytała i zadrżał jej głos. — Starą i brzydką?

— Starą — przytaknął.

Odetchnęła z ulgą.

— Gdzie Tyra?

— W sali samobójców — odpowiedział. — Zagłodziła się na śmierć.

— Ktoś mi o tym mówił. — Świętosławie kołatało się po głowie wspomnienie. — Nie policzono tego w poczet umartwienia?

— Pan słucha — upomniał ją za plecami Wilkomir.

Wiem — pomyślała. — Nic nie rozumiesz. Ja się boję.

— Mężów Hardej też tu nie ma — zachęcająco powiedział Wielki Ulf.

— Przejdziemy się? — spytał Olav i miała wrażenie, że głos mu drży.

— To my zaczekamy. — Ulf zatrzymał Wilkomira i Duszę. — Zaczekamy.

Wspierał się na sękatym kosturze. Szli w górę i usłyszała jego ciężki oddech. Przystanął na chwilę, otarł czoło wierzchem dłoni, potem ruszył. Gdy postąpiła za nim, z wnętrza wieży zaczął się sączyć anielski śpiew.

Jeśli ktoś miłości nie ma, wszystko stracił i przebywa pośród śmierci mrocznych cieni.

— Paulin z Akwilei — powiedział Olav, odchrząkując.

— Myślałam, że anioł — odpowiedziała i zarumieniła się.

Popatrzył jej w oczy i skinął głową. Odwrócił się i ruszyli schodami dalej.

Wreszcie stanęli na drewnianym ganku, przed rzeźbionymi wrotami. Przejechał po nich dłonią, mówiąc:

— Jeszcze nie skończyłem.

Z boku leżała garść strużyn, kilka dłut.

— Sam to zrobiłeś? — spytała, wpatrując się w wyrzeźbionych kochanków.

Kiwnął głową.

Dotknęła rzeźbień. Przesunęła dłonią po smukłej sylwetce mężczyzny, wzdłuż jego wyciągniętych ramion.

Olav oparł się plecami o wrota i dotknął kobiety, którą wyrzeźbił. Przeciągnął palcem po jej ręce. Oboje zatrzymali dłonie, jak wyrzeźbieni kochankowie, nie mogąc się dotknąć.

Głos dośpiewał:

Miłość oddalonych łączy w sobie, a niezgoda może zerwać więź wśród bliskich.

— Jeszcze nie skończyłem — powtórzył Olav.

— Co będzie tu, nad nimi? — Dotknęła płaszczyzny nieruszonego dłutem drewna pomiędzy kochankami.

Nie odpowiedział. Pchnął drzwi.

Po tamtej stronie panowała zimowa noc. Bezkresna połać śniegu i pulsujące nad nią nieziemskim światłem niebo. Ciemność przecinały złote kręgi. Zielone spirale jarzyły się zjawiskową poświatą. Lśnił chłodny róż. Środkiem lodowej pustyni biegł ku nim biały pies.

— To zorza polarna — powiedział Olav. — Zawsze chciałem ją z tobą zobaczyć.

— I spełniło się — odpowiedziała olśniona. — Mroźny oddech Boga.

— To jest mój „tamten świat”.

— Warto było umrzeć, by spotkać cię po śmierci — wyszeptała i przylgnęła do niego.

— Nie żałuję — odrzekł i zagarnął ją w ramiona. — W życiu byśmy ze sobą nie wytrzymali.

Tyle razy pragnęła go w myślach. Przyzywała. Pożądała. Goniła za nim. Uciekała przed nim. A teraz wszystkie pragnienia uleciały, a on jest.

— Nie chcę od wieczności nic więcej — powiedziała, a w jej głowie odbił się echem głos spowiednika, który rozgrzeszał ją w imię Boże: Takie dusze spotykają się raz na tysiąc lat.

Biały pies wbiegał na stopnie ganku, otrząsając ogon ze śniegu.

— To Vigi — przedstawił go Olav.

— Mogę go dotknąć? — spytała miękko.

— A jednak ludzie zmieniają się po śmierci! — Roześmiał się.

W tej samej chwili za ich plecami zjawiła się Dusza.

— Świętosławo, już czas.

— Na co? — zdziwiła się.

— Twój brat do nas idzie, powinnaś go przyjąć.

— W Domu Piastów jest matka i ojciec, nawet Oda. — Świętosława się ociągała, nie chcąc porzucać zorzy i Olava.

— Twój brat zasłużył na nawę królów, a tam tylko ty możesz go przyjąć. — Dusza się uśmiechnęła.

— Idź — powiedział Olav. — Dokończę rzeźbić drzwi.

Zbiegła za Duszą w dół wieży. Tam, gdzie wcześniej była nawa westminsterskiej świątyni, otworzyła się kamienna nawa katedry w Poznaniu.

— A co z moim pogrzebem? — zdziwiła się zmianą. — Już mnie pochowali?

— Na ziemi minęło kilka lat — odpowiedziała Dusza. — Nie przejmuj się, przywykniesz, że tu inaczej płynie czas.

Zobaczyła wielobarwny tłum ludzi wypełniających kościół. Trumna brata była wielka; w małej by się przecież nie zmieścił. U jej szczytu wartę pełnił wyprostowany Kalmir, trzymając włócznię świętego Maurycego. Obok niego Stojgniew z mieczem świętego Piotra. Piastowski orzeł kładł się na trumnie jedwabiem, jakby piórami chciał okryć Bolesława. Przy katafalku stał ogier o złotej, lśniącej maści. Koń z siodłem bez jeźdźca.

— Ecce Agnus Dei! — zawołał kapłan i dwa rzędy pancernych stojące ukosem po obu stronach trumny uklęknęły ze szczękiem żelaza, jakby przecinały ciżbę.

— Orle Skrzydła — powiedział Wilkomir. — Jego straż przyboczna.

Zagrzmiał huragan pieśni i skądś wiedziała, że to słowa świętego Grzegorza z Nareku.

Niech Twój rozbłyśnie dzień, niech nadejdzie Twe zmiłowanie.

Niech wreszcie wstanie Twój dzień, ocalenie przyniesie nam.

Mieszko II w królewskiej koronie na głowie stanął w nogach trumny i złamał miecz Bolesława. Obok niego ubrany w prosty, czarny kaftan i wysokie buty do konnej jazdy książę mnich Bezprym uderzył gołą pięścią w tarczę ojca. A złotowłosy Otto, najmłodszy z bratanków, zadął w jego róg.

— Nie żyje król! — zakrzyknął biskup.

— Nie żyje król! Nie żyje król! — wyskandowali wojowie z Orlich Skrzydeł, uderzając rękawicami w piersi.

Bjornar i Zarad, obaj starzy, wyprostowali przygarbione plecy i po raz ostatni gwizdnęli na kościanych piszczałkach. Ogier Bolesława się spłoszył. Wierzgnął, ale Bezprym dotknął jego szyi i koń się uspokoił.

Dwie kobiety płakały przy trumnie, podtrzymując się wzajemnie.

— Mój brat miał dwie żony? — zdziwiła się.

— Miał więcej — przypomniał jej Wilkomir.

— Wiem, ale nigdy naraz.

— Jedna to kochanka, Predsława, księżniczka kijowska. A druga to Oda z Miśni, ślubna pani.

Na środek katedry wyszedł Omold skald i wyrecytował:

Pan mieczy, książę bitwy, możny władca walki
przeskoczył srebrną wstęgę Bugu i ostrze swego miecza
zanurzył w trzewiach wroga.
Wypruł je, sinym tropem jelit…

Predsława uderzyła w spazmatyczny lament.

— Ale trochę przesadzili. „Jelita”? Niestosowna jest taka poezja w kościele — usłyszała gdzieś z góry głos, który nią wstrząsnął.

Uniosła wzrok. Naprzeciw niej, po drugiej stronie wieży, stał na krużganku arcybiskup Radzim Gaudenty.

— W zaświatach nie wolno zrzędzić — syknęła do niego.

— Ani się złościć. — Pogroził jej palcem. — Widzisz, królowo? Trzech synów za trumną i wiesz, co z tego będzie… Gdzie klucz? — zapytał ostro. — Gdzie mój klucz?

Zrobiło jej się gorąco. Dotknęła piersi. Był tam, zawieszony na srebrnym łańcuszku.

— Panie Boże, wybacz! Na śmierć zapomniałam… Dałam się pochować z kluczem od relikwii Wojciecha… Tak mi przykro, Panie.

— Coś narobiła! Wstyd! Potępienie! — jęknął arcybiskup Gaudenty i w tej samej chwili zamilkł, bo w nawie biskupiej pojawili się Jordan, Unger i Reinbern. Ponad nim święty Bruno z Kwerfurtu i święty Wojciech. Skłoniła się przed męczennikami. Święty Wojciech machnął ręką na jej skruchę.

— Świętość nie w kościach siedzi, dziecko — szepnął na pocieszenie.

Gaudenty zniknął.

Pod nimi, w katedrze poznańskiej, Omold dostał głos:

Król Polanii, Pierwszy Król
Bolesław sławą wielki.
Pan mieczy, książę bitwy, możny władca walki.
Nieustraszony, Chrobry,
ten, co koronę świętą żelazem zdobył,
krwią okupił, honorem zasłużył,
opuszcza nas w żałobie.
Płaczcie! Łkajcie! Lamentujcie!
Czas żalu, czas smutku, gęstej smugi cienia.

Skomlą samotne wilki, gniazdo puste, wypalony ogień, popiół i dym…

Zobaczyła nieżyjącą Emnildę i Duszana, którzy niewidoczni dla zgromadzonych wokół trumny przyszli po Bolesława. Może tylko ogier jej brata ich dostrzegł, bo znów zatańczył niespokojnie, aż kopyta zagrały na kamiennej posadzce katedry.

— Umknie w połowie liturgii? — zdziwiła się.

— A ty doczekałaś do końca własnego pogrzebu? — odpowiedział pytaniem Wilkomir. — Czmychnęłaś jeszcze przed komunią.

Czekała, aż pokłoni się rodzicom w Domu Piastów. Na próg odprowadził go Mieszko z ognistookim jastrzębiem na ramieniu; Oda taktownie została w środku.

— Bywajcie! — powiedział ojciec i pozdrowił ich oboje uniesieniem dłoni. — Idźcie tam, dokąd ja nie sięgnąłem.

— Bolesławie — wyciągnęła do niego rękę — witaj w kręgu namaszczonych.

Potrząsnął włosami o barwie bursztynu. Na jego czole, tak jak na jej skroniach, nie było złotej korony, lecz świetlisty znak oleju pomazańców bożych. Ogniste znamię władców.

Brat i siostra, trzymając się za ręce, poprzedzani przez Duszana i Duszę, jako pierwsi wkroczyli do piastowskiej nawy królów.

Zobaczyła wyniosłe, kamienne palatium. Surowe i piękne. Głęboką purpurę jedwabiu zdobiącego główną ścianę. Miała wrażenie, że materia się porusza. Spojrzała uważniej i zrozumiała: w niciach osnowy i wątku płynęła krew, pulsując niczym żywa sieć żył i tętnic.

Przed nimi pyszniły się dwa królewskie trony. Usłyszeli szum potężnych skrzydeł. Majestatyczny biały orzeł wylądował, rozstawiając złote szpony tak, że stał na oparciach obu tronów. Rozprostowywał olbrzymie skrzydła i wznosząc łeb ku światłu, krzyczał głośno. Krzyczał tak jak oni do siebie

całe życie. Drapieżnik witał dwoje drapieżników. I wtedy dostrzegli, że za ich ogromnymi tronami majaczyły kolejne.

— Będą następcy! — Bolesław się uśmiechnął. — Zobacz, ten chyba czeka na mego Mieszka. Ale za kolejnym mgła… — zdziwił się.

— Jesteś pierwszy w piastowskiej nawie królów — powiedziała uroczyście.

Ścisnął jej dłoń.

— A ty co? Zasiądziesz na czterech tronach?

— Będę latać po piętrach. — Roześmiała się i spoważniała w jednej chwili. — Nie, bracie. Stąd mój ród. Kiedyś wracałam do Polanii jako wygnana królowa. Teraz powracam tam, skąd wyszłam. Wybieram Dom Piastów.

Bolesław chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

— Chyba nie zdążymy się pokłócić, nim przyjdą kolejni? — Szturchnęła go lekko w bok. — Olav powiedział, że ludzie zmieniają się po śmierci.

— Nie wiem, czy aż tak bardzo. — Pokręcił głową. — No, wybieraj, Harda. Który twój?

— Siedziałam na tylu, że pozwolę tobie wybrać. Jesteś starszy. Wiesz co? Chcę ten.

Wrzask i Zgrzyt jak za życia rozparły się u stóp tronu, ledwie na nim usiadła. Rysica Dusza pokręciła łbem zdezorientowana. Z gracją zajęła miejsce pośrodku.

— Widziałem się z Henrykiem — zagadnął.

— Z kim?

— Z cesarzem Henrykiem. Zmarł przede mną.

— Ale po mnie? — zastanowiła się. — Tak, po mnie. No i co?

— Niektórych śmierć uszlachetnia.

— A Ottona III widziałeś?

— Powitał mnie.

— Zmyślasz! — Uderzyła go w łokieć. — Wszystko widziałam, Emnilda po ciebie wyszła, nie Otto.

— Żałuję, że nie ma jej tu z nami — zasępił się. — Marzyłem o wiecznym życiu z nią.

— Ale przynajmniej możesz się z Emnildą spotykać! Ja swoich widzę, ale oni mnie nie. Ot, siła chrztu.

— Wiesz, co ci powiem, Harda? Ty to nawet po śmierci wyszłaś na swoje. Erik i Sven w Walhalli, Tyra u samobójców, a ty w końcu masz Olava dla siebie.

— I tak, i nie. — Zamyśliła się, wspominając, że Olav czegoś jeszcze nie wyrzeźbił na swych wrotach. Otrząsnęła się. — Po tobie zostaną ślady na ziemi. Wybiłeś monety ze swym imieniem, a ja? Co zostanie po mnie?

— Pieśni skaldów, siostro — powiedział i mrugnął.

— O rany — zmartwiła się.

Zmieniła temat, żeby o tych strofach nie myśleć.

— Dokonałeś tego, Bolz — pochwaliła go. — Koronowałeś się!

— Mówisz to, aby przypomnieć, że byłaś pierwsza? Chcesz być lepsza ode mnie nawet po śmierci?

— W życiu! — Roześmiała się i pocałowała brata w policzek.

Lśnił złotą rosą.

W tej samej chwili przestrzeń przed nimi się otworzyła. Zobaczyli Polanię z lotu ptaka. Od jasnych plaż i sinych fal Bałtyku po białe wierzchołki gór. Potężne królestwo.

Od autorki

Na żadną ze swoich książek nie czekałam tak długo jak na powieść o Świętosławie. Pomysł powstał jeszcze przed *Grą w kości* i fermentował we mnie równolegle z „Północną Drogą”. To przecież moje wymarzone terytorium łowieckie — Piastowie i wikingowie w jednej opowieści, i do tego bohaterka — kobieta. Ci, którzy znają moje poprzednie książki, wiedzą, że wciskałam wspomnienie Świętosławy do każdej niemal powieści. Wierzcie mi, dzień, w którym postanowiłam, że piszę, był moim prywatnym, osobistym świętem!

Dlaczego teraz? Dlaczego nie napisałam zwieńczenia trylogii „Odrodzone Królestwo”, o które się upominacie? No cóż, pomyślałam sobie, że Władzio na koronę czekał do siedemdziesiątki, to i my damy radę jeszcze trochę poczekać. A przecież ten rok jest szczególny: obchodzimy 1050. rocznicę chrztu Polski, więc uznałam, że warto dodać swoją, powieściową wersję do tylu różnych głosów. W *Hardej* i *Królowej* chrzty wyglądają tak odmiennie — od Mieszka przez Olava Tryggvasona i jego misjonarską pasję do postawy nieugiętej wobec nowej wiary, jak Erik, lub koniunkturalnej, jak Sven. Nawet jeśli za niektórymi wyborami stoi polityka, to i tak realizują je ludzie z krwi i kości.

Pomysł na *Hardą* miałam gotowy od dawna, zręcznie spisany w epizody. Ale gdy nastał ten dzień i oto mogłam zacząć snuć jej opowieść, uznałam, że ten pomysł sprzed lat jest dobry, ale nie najlepszy. Dlaczego? Bo był jednogłosem i nie pozwalał mi naświetlić wielowymiarowości historii. Zatem przebudowałam stworzoną w głowie konstrukcję i postanowiłam dać

głos nie tylko Świętosławie, ale także mężczyznom jej życia, po to, by obejrzeć ich relacje z wielu stron. Potem o swą opowieść dopomniała się Astryda, a jak wiecie po finale *Królowej*, wersja siostry ma swoje prawa, by wybrzmieć. Skoro zaś głos dostała siostra, to jak może zabraknąć wielkiego brata, Bolesława? No a Mieszko? Przecież na początku był Mieszko. I tak wielogłos z jednej planowanej powieści zrobił dwie!

Harda zaczyna się przed chrztem Mieszka, a kończy mniej więcej w roku 997. Akcja *Królowej* finiszuje po roku 1018 z epilogiem po 1025. Sześćdziesiąt lat niesamowitej historii Europy! Powstanie państwa polskiego, początki silnej Rusi Kijowskiej, miotanie się Czech między Wieletami a cesarstwem, dwie odrębne koncepcje tego ostatniego. Do tego wyprawy wikingów, którzy na naszych oczach zmieniają się z łupieżców w „chrześcijańskich władców" (no, prawie). Światy pogan i chrześcijan przenikają się wzajemnie; władcy zmieniają wiarę, ale wielu z nich sądzi, że wciąż jeszcze mają wybór. W obu tych opowieściach mogłam podróżować od Poznania przez Kijów, Merseburg, Rzym do imperiów wikińskich — Danii, Szwecji, Norwegii (dla uproszczenia przyjęłam nazewnictwo współczesne) i wreszcie Anglii. Ale ta szalona podróż była możliwa tylko dzięki losom mej bohaterki.

W postaci Świętosławy, córki Mieszka, wszystko jest niezwykłe. Zacznijmy od imienia. W historii Polski przyjęło się uznawać, że miała na imię Świętosława, choć żaden z kronikarzy nie nazwał jej po imieniu. Dla nich pozostała jedynie „córką Mieszka i siostrą Bolesława". Skąd zatem to święte imię? Z angielskiego *Liber vitae* z New Minster w Winchesterze (1031 rok), gdzie jedna z dobrodziejek kościoła to siostra króla Knuta, Santslaue. Uznano, iż córka mogła odziedziczyć imię po matce i zrekonstruowano je jako „Świętosława" (choć w świetle nowszych badań możliwe brzmienia to Stanisława i Sędzisława). Myśląc o mojej bohaterce,

zastanawiałam się, co począć, i ostatecznie postanowiłam zachować utrwalone w pamięci pokoleń imię.

W tradycji skandynawskiej, za pośrednictwem sag islandzkich, została utrwalona jako Sigrida Storråda (Dumna), a w duńskiej pojawia się czasem jako Gunhilda. Sama zmiana imienia po ślubie była w owym czasie czymś zupełnie naturalnym. Jej wnuczka Ingegerda po zaślubinach z kniaziem kijowskim Jarosławem Mądrym zostanie Ireną, a gdy przed śmiercią przyjmie śluby zakonne, wraz z nimi zmieni imię na Anna (święta Anna Nowogrodzka). O wiele ważniejsze jest dociekanie, czy słynna bohaterka sag, Sigrida Storråda, to rzeczywiście nasza Świętosława. A zapewniam, że wyłania się z nich jako postać co najmniej kontrowersyjna. Pali zalotników, spiskuje i doprowadza do wielkiego konfliktu zbrojnego, który przebudował skandynawską scenę polityczną. I, co budzi największe zdziwienie, jest zagorzałą poganką. Bardzo wnikliwą analizę źródeł przeprowadził Rafał T. Prinke [1], dochodząc do wniosku, że Świętosława, córka Mieszka, i Sigrida Dumna to dwie różne kobiety. Przegadałam z Rafałem godziny i oboje z szacunkiem odeszliśmy do własnych narożników, ale każdemu, kto chce poszerzać wiedzę o Piastównie, polecam jego tekst.

Dlaczego uważam, że przekazy historyczne i sagi opowiadają o jednej i tej samej damie, choć różnie ją nazywają? Ano dlatego, że Thietmar z Merseburga, najlepiej poinformowany z kronikarzy epoki (niemal rówieśnik Świętosławy), wyraźnie pisze, iż Knuta i Haralda, synów Svena, króla Danii, urodziła córka Mieszka i siostra Bolesława. A Adam z Bremy, na podstawie informacji wnuka Svena, dodaje jej wcześniejsze losy, informując, iż Erik, król Szwecji, podbił Danię, wypędzając z niej Svena, a po śmierci Erika Sven powrócił i „poślubił wdowę po Eriku, matkę Olofa, a ona urodziła mu Knuta”. Kilkukrotnie później nazywa Knuta i Olofa

szwedzkiego braćmi. Można by jeszcze rozważać, czy owa córka Mieszka była jednocześnie córką Dobrawy (mogła wszak pochodzić z „pogańskich żon”), ale tu dla mnie sprawę zamyka przywołany wyżej Thietmar z Merseburga, nazywający Piastównę „siostrą Bolesława”. Jak wiadomo, Kronika Thietmara stanowi najbogatsze źródło do czasów Chrobrego, bo sam kronikarz tyleż Bolesława podziwia, co nienawidzi. Gdyby miał powód, by mu dokuczyć („przyrodnia siostra”, „córka nałożnicy Mieszka” etc.), nie omieszkałby tego zrobić.

A zatem mamy taki kronikarski obraz: córka Mieszka, siostra Bolesława zostaje najpierw żoną Erika szwedzkiego, rodzi mu syna Olofa. Po śmierci męża, jako królowa wdowa, ma szansę poszaleć, jak to opisują sagi, a następnie wychodzi za mąż za głównego przeciwnika swojego męża, króla Danii, Svena Widłobrodego, któremu rodzi dwóch synów — Knuta i Haralda, a następnie córki. Po bitwie pod Svoldr (1000) zwanej też bitwą w Øresundzie i Bitwą Trzech Królów zostaje przez męża oddalona do kraju swego brata, Bolesława, a następnie, po śmierci Svena (1014), synowie Knut i Harald „sprowadzili matkę z kraju Słowian” [2]. Czy matka towarzyszyła Knutowi w podboju Anglii? Skoro były z nim siostry, a przynajmniej jedna, wspomniana już dobrodziejka kościoła w Westminsterze, Santslaue, to dlaczego nie matka? Nie tylko moją uwagę przykuł sposób przejęcia władzy przez Knuta, łudząco podobny do tego, co zrobił Sven Widłobrody ze Świętosławą po śmierci króla Szwecji, Erika. Zwraca na to uwagę biograf Knuta, Jakub Morawiec. Czy to wyraźna podpowiedź, iż matka mogła towarzyszyć synowi w rozpisanej na wiele akordów operacji przejęcia władzy w Anglii? Według mnie tak, jak najbardziej. Dodatkowo, wielką inspiracją dla mnie był przytoczony przez Jakuba Morawca [3] anonimowy poemat dedykowany jakiejś ważnej pani

(Świętosławie?) i zwieńczony słowami: „Teraz, gdy ciężkie walki ostatnio zostały stoczone, możemy osiąść, pani, w pięknym Londynie”.

Wrócę jeszcze jednym zdaniem do królowej Sigridy Storrådy z sag islandzkich. Jestem wielbicielką sag; zazdroszczę Skandynawom, że w XII–XIII wieku na Islandii spisano te dziesiątki nieprawdopodobnych historii. Znam dyskurs na temat historyczności sag, zresztą o panującym w nich galimatiasie może się przekonać każdy czytelnik. Jedno nie podlega dyskusji: lepiej mieć zawiłe opowieści o własnych przodkach, niż nie mieć ich wcale. Bo nawet jeśli gołym okiem widać, że w niektórych z nich władcy są portretowani na herosów i biorą udział w wojnach i bitwach, w jakich naprawdę nie mogli brać udziału, to jednak opowieść przekazuje nam dużo z ducha epoki. Dla nas, Polaków, powinno być ważne, że ów „Burizleif, potężny król Vinlandu” pojawia się w sagach często i zwykle z przydomkiem „potężny”. Skoro taki przekaz zachował się w XII–XIII wieku, gdy spisywano sagi, to znaczy, że pamięć Bolesława musiała przedrzeć się do ówczesnej kultury popularnej. Mówiąc wprost: na islandzkich dworach plotkowano o Chrobrym. To samo z Sigridą Storrådą. W jej przypadku, ale i wobec innych moich bohaterów również opisanych w sagach (Olava Tryggvasona, Svena Widłobrodego, Sigvalda, Haralda Sinozębego, Geiry, Astrydy i nawet psa Vigi), traktowałam sagi nie jako przekaz dosłowny, ale jako źródło inspiracji.

Skąd powieściowy pomysł na siostry Świętosławy? Z sag właśnie. Zacznijmy od tego, że sagi islandzkie stapiają w jedną postać Mieszka i Bolesława Chrobrego pod wspólnym imieniem „Burysław” albo „Burizleif” — potężny konung Vinlandu — czyli król Słowiańszczyzny. To tam jest opowieść o jego trzech córkach: Astrydzie, Geirze i Gunhildzie (oraz o ciekawej intrydze małżeńskiej). Zawsze ciekawiło mnie, dlaczego nasi kronikarze wspominający o siedmiu pogańskich żonach Mieszka

odprawionych po ślubie z Dobrawą milczą o dzieciach z tych związków. Nie było ich? Mieszko wszedł w fazę płodną dopiero jako małżonek Dobrawy? Trudno uwierzyć. Skorzystałam z legendy i dałam Świętosławie siostry, o których istnieniu wspomniały sagi. Według sagi o Olavie Tryggvasonie [4] szczególną rolę w losach norweskiego króla odegrała nie jego żona, Geira, ale Astryda, żona jarla Sigvalda, stąd i moje natchnienie.

Kolejną rzeczą, z której chcę się wytłumaczyć, jest inna interpretacja losów Bezpryma. Nie wymyśliłam jej sama, zainspirowała mnie praca profesora Błażeja Śliwińskiego [5]. I tym, którzy chcą rozszerzać horyzonty, gorąco polecam tę książkę.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na pewien szczegół ważny z naszego, polskiego punktu widzenia. Bolesław Chrobry koronował się dopiero w 1025 roku, podnosząc kraj do pozycji królestwa. Zatem przez całą akcję *Hardej* i *Królowej* Mieszko i Bolesław są książętami, natomiast trzej występujący w niej północni władcy (Sven, Erik, Olav) tytułują się „królami”, dzięki czemu Świętosława, jako ich żona, jest także królową. Zachowałam w powieści tę zwyczajową tytulaturę, choć należy pamiętać, że nie oznacza ona wyższości skandynawskich królów wobec słowiańskiego księcia, lecz inne standardy. Po prostu opowieść rozgrywa się w takim momencie historii, gdy królowie Północy nie ubiegają się jeszcze o wejście do rodziny państw chrześcijańskich, w której trzeba spełnić wiele restrykcyjnych procedur, by móc dokonać obrzędu koronacji.

W obu powieściach skąpo nam przekazana przez kronikarzy prawda historyczna miesza się z fikcją. W moim przypadku bardzo często jest to fikcja również historyczna, przekazana współczesnym przez autorów sag. Opowieści o Torem Jeleniu i czarodziejach Północy wydają się dzisiaj czystą fantasy, ale zapewniam, iż tak właśnie spisano dzieje chrztu Północy.

Bohaterowie historyczni mieszają się z fikcyjnymi, w zależności od tego, ile wieści z tamtych czasów zostawili nam kronikarze. I tak, o ile angielscy możni z okresu zdobywania przez Knuta korony są autentyczni (tak, tak, Eadric Streona też), o tyle na temat otoczenia dworskiego Bolesława Chrobrego nie wiemy nic, więc jego przyboczni, siłą rzeczy, musieli powstać w mojej wyobraźni. Podobnie z wodzami Erika, Svena i Olava — tu jedynie potężny Rognvald, Thorgils z Jelling wraz z synami oraz biskupi: Sigurd, Odinkarr Starszy i Młodszy zostali utrwaleni przez historię. Także skaldowie Skuli i Hallfred są postaciami autentycznymi, ale Omold już został przeze mnie wymyślony.

Można tak w nieskończoność rozdzielać włókna faktów od fikcji, ale chcę wskazać czytelnikom raczej tropy do własnych poszukiwań, a nie wzór na odczytanie powieści.

W akcję *Królowej* wplotłam historię Bodzi, która znana jest dzięki odkryciu niesamowitego cmentarzyska pod Włocławkiem przez profesora Andrzeja Buko i archeologów z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN. Powieściowy Złoty Gród czerpie pełnymi garściami z artefaktów znalezionych w Bodzi, ale interpretacja tego, jak się tam znalazły, jest oczywiście moim powieściowym zmyśleniem.

Podobnie rzecz się ma z historią niezwykłego grodziska, powieściowej Mojry — Mory, czyli Moraczewa, w którą wplotłam inspirującą legendę o złotym okręcie Lesira, Lestka — Piasta, jako że uczeni od lat zastanawiają się, skąd przodkowie Mieszka wzięli kapitał na zbudowanie wielkich grodów. Rozmach tej wczesnopiastowskiej inwestycji najtrafniej ujmuje określenie profesora Tomasza Jasińskiego, że to skala porównywalna do budowy piramid. I nie można mieć pewności, że nasi przodkowie zbili taki kapitał wyłącznie na handlu niewolnikami, bo znaleziska monet z tego

okresu nie są aż tak liczne, a arabskich nie znaleziono, by potwierdziły skalę tego zjawiska.

Historycy, którzy pomagali mi w pracy (o nich w Podziękowaniach), nieraz musieli jęknąć ze zgrozą, ale przy całym moim poszanowaniu źródeł i dążeniu do „historyczności” nie zapominam, że piszę powieść, a zatem „dwóm bogom służę”, i czasami bożek fabuły wysuwał się przed bożka faktów. W obu powieściach w wielu miejscach zdać się musiałam nie na źródła (o życiu prywatnym władców nie mówią wiele), lecz na własną wyobraźnię i wizję. To zresztą w ich tworzeniu jest najciekawsze — wplatanie żywej tkanki w kościec suchych faktów. Mam pełną świadomość, że nie ma jednego „wzoru” na Świętosławę i każdy z jej miłośników, i przeciwników, widzieć może ją w odmienny sposób. Dla mnie jest właśnie taką: Hardą Królową, która na smyczy prowadzi dwa rysie.

Książkę zadedykowałam wszystkim bezimiennym księżniczkom piastowskim. Władczyniom, mniszkom, żonom, matkom. Dziewczynom oznaczonym w biogramach dynastii smutnym „N.N.”. Świętosława jak nikt inny potrafi zabrać głos za Was wszystkie.

[1] R.T. Prinke, Świętosława, Sygryda, Gunhilda. Tożsamość córki Mieszka I i jej skandynawskie związki, „Roczniki Historyczne” LXX, 2004.

[2] A. Campbell (red.), Encomium Emmae Reginae, London 1949.

[3] J. Morawiec, Anonimowy poemat Lidsmannaflokkr i problem jego odbiorcy. Ślad pobytu córki Mieszka I, matki Knuta Wielkiego, w Anglii?, „Studia Źródłoznawcze” nr 47/2010.

[4]Saga o Olafie Tryggvasonie, Oddr Snorrason, tłumaczenie i opracowanie A. Waśko, Kraków 2013.

[5] B. Śliwiński, Bezprym. Pierworodny syn pierwszego króla Polski (986 — zima/wiosna 1032), Kraków 2014.

Podziękowania

Podziękowania są najprzyjemniejszym rozdziałem powieści. Oznaczają, że praca dobiegła końca i mogę wrócić do tych, którzy mi pomogli, nie po to, by zadręczać ich kolejnymi pytaniami, ale by uhonorować ich udział. Jestem szczęściarą, grono ludzi wspierających moją pisarską robotę rozrasta się z roku na rok i jedyne, czego się teraz obawiam, to że o kimś zapomnę.

Na początku wspomnę o dwóch, którzy od dawna namawiali mnie do stworzenia powieściowej wersji losów Świętosławy. To profesor Przemysław Urbańczyk, z którym pracowałam przy *Grze w kości*, i doktor Jakub Morawiec, który pomagał mi przejść przez meandry sag przy *Trzech młodych pieśniach*. Biografię Knuta, *Knut Wielki. Król Anglii, Danii i Norwegii (ok. 995–1035)* autorstwa Jakuba Morawca, gorąco polecam wszystkim, którzy po lekturze *Hardej* i *Królowej* zapragną dowiedzieć się więcej o losach najwybitniejszego z synów Świętosławy. Dodam jeszcze, że Jakub jest naprawdę świetnym znawcą sag islandzkich, z czego również mogłam korzystać przy pracy nad powieścią. Zaś liczne publikacje profesora Urbańczyka (od *Zdobywców północnego Atlantyku* przez *Trudne początki Polski*, *Władzę i politykę we wczesnym średniowieczu*, aż po *Mieszka I Tajemniczego*) wyróżnia to, co i mnie zawsze interesuje — spojrzenie na dzieje początków Polski nie tylko przez pryzmat Wschód–Zachód, ale także przez jej północną politykę. Przemku, Jakubie, dziękuję Wam najserdeczniej!

Pomocą służyli mi również profesorowie Tomasz Jurek i Tomasz Jasiński, obaj wybitni mediewiści i genialni gawędziarze. Oprócz nich pani

Anna Waśko, autorka przekładu sagi o Olavie Tryggvasonie, profesor Daniel Bagi z Uniwersytetu w Peczu (choć o węgierskich wątkach w życiorysie Chrobrego trudno coś niepodważalnego powiedzieć), a także profesor Andrzej Nowak. I Rafał T. Prinke, bo chociaż różnimy się w interpretacji postaci Sigridy Storrådy, to każdą z naszych rozmów uważam za nadzwyczaj rozwijającą.

Wspierali mnie też niezawodni ludzie z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu — dr Tomasz Ratajczak, świetny znawca nie tylko architektury średniowiecznej, i dr Remigiusz T. Ciesielski, zafascynowany Brunonem z Kwerfurtu i Pięcioma Męczennikami. Inspiracją w pracy były też dla mnie świetne filmy Zdzisława Cozaca o początkach państwa polskiego — od *Wyspy władców* i *Miasta zatopionych bogów* (o dziejach Wolina — Jomsborga) przez *Ukryte gniazdo dynastii*do najnowszego, o chrzcie Polski.

Jak zawsze mogłam liczyć na przyjaciół. Niezawodny Michał Ostrowski „Ostry” pomagał mi uporać się z łowną i dziką zwierzyną, Piotr Wojcieszek „Wołodar” ze sztormem, Monika Zamachowska z ziołami i leczeniem, Przemysław Michalak z końskim krokiem, a Pati Osińska z Morą/Moraczewem. Dziękuję też Agnieszce Książyńskiej, czeskiemu druhowi Jaro Petrinie, Vindze Sylvii Raichelt Rasmussen, Marcie Petryk i Magdzie Mikulskiej.

Mojemu wydawcy, Tadeuszowi Zyskowi, za wyszukiwanie źródeł i motywów, o których nie miałam pojęcia; aranżację świetnych spotkań w Brzostkowie, gdzie przysłuchując się opowieściom profesorów, złapałam niejedną inspirację. Za nieustanną wymianę myśli, ścieranie się, spór. Za to, że od lat wchodzimy w każdą powieść razem, ramię w ramię. Wciąż doceniam to, że potrafimy się we dwójkę z Piastów cieszyć, że obchodzą nas równie mocno jak współczesność (a może bardziej?). Ach, gdyby

książki „pisały się” tak szybko, jak szybko potrafimy je z Tadeuszem wymyślać i obgadywać, zapełnilibyśmy wielką bibliotekę. Ale najbardziej cenię swego wydawcę za niesłabnący entuzjazm do wspólnych przedsięwzięć!

Dziękuję braciom Zyskom: Tomkowi za wszystkie uwagi i genialny nos do źródeł angielskich, Tobiaszowi, który cierpliwie mierzył się z materią okładek, Andrzejowi za wielką pomoc nawet w rzeczach małych i Adamowi, bo niełatwo jest promować autorkę, która nigdzie nie chce jeździć.

Dziękuję mojemu redaktorowi, Bogusiowi Jusiakowi, z którym spotkałam się po latach przerwy, a mamy już „wspólne” książki na koncie. I całemu świetnemu zespołowi Wydawnictwa Zysk i S-ka! Po prostu lubię z Wami pracować, pisać, promować i sprzedawać książki.

Wreszcie, dziękuję wszystkim przyjaciołom i czytelnikom, którzy na tę książkę czekali i którzy mają (jeszcze) do mnie cierpliwość. Moim córkom — Julii, pierwszej czytelniczce, Kalinie, która narysowała mi rysie Świętosławy, bym zapamiętała, jakie oczy ma Wrzask, a jakie Zgrzyt. I Dariuszowi, który wprowadził do naszego domu wikingów. Ma w głowie całe wzornictwo epoki i na każde moje jęknięcie w stylu „gdzieś widziałam, ale nie pamiętam gdzie” wydobywał mi zdjęcie poszukiwanego artefaktu. Poza tym odbyliśmy wspólnie wiele podróży śladami Olava Tryggvasona, Svena, Erika, Świętosławy i Ottona III, gdy przez lata przygotowywałam się do napisania tej powieści.

Korony Rody Królestwa

Legenda drzew genealogicznych

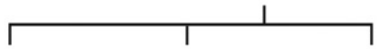

potomstwo i/lub linia dziedziczenia (według starszeństwa – od lewej do prawej)

związki małżeńskie i konkubinaty

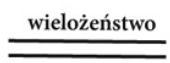

inne relacje i opisy związków zachodzących między postaciami

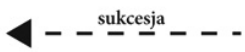

Opisy postaci historycznych uporządkowano według ich występowania na drzewie genealogicznym, od góry do dołu i od lewej do prawej.

Polska

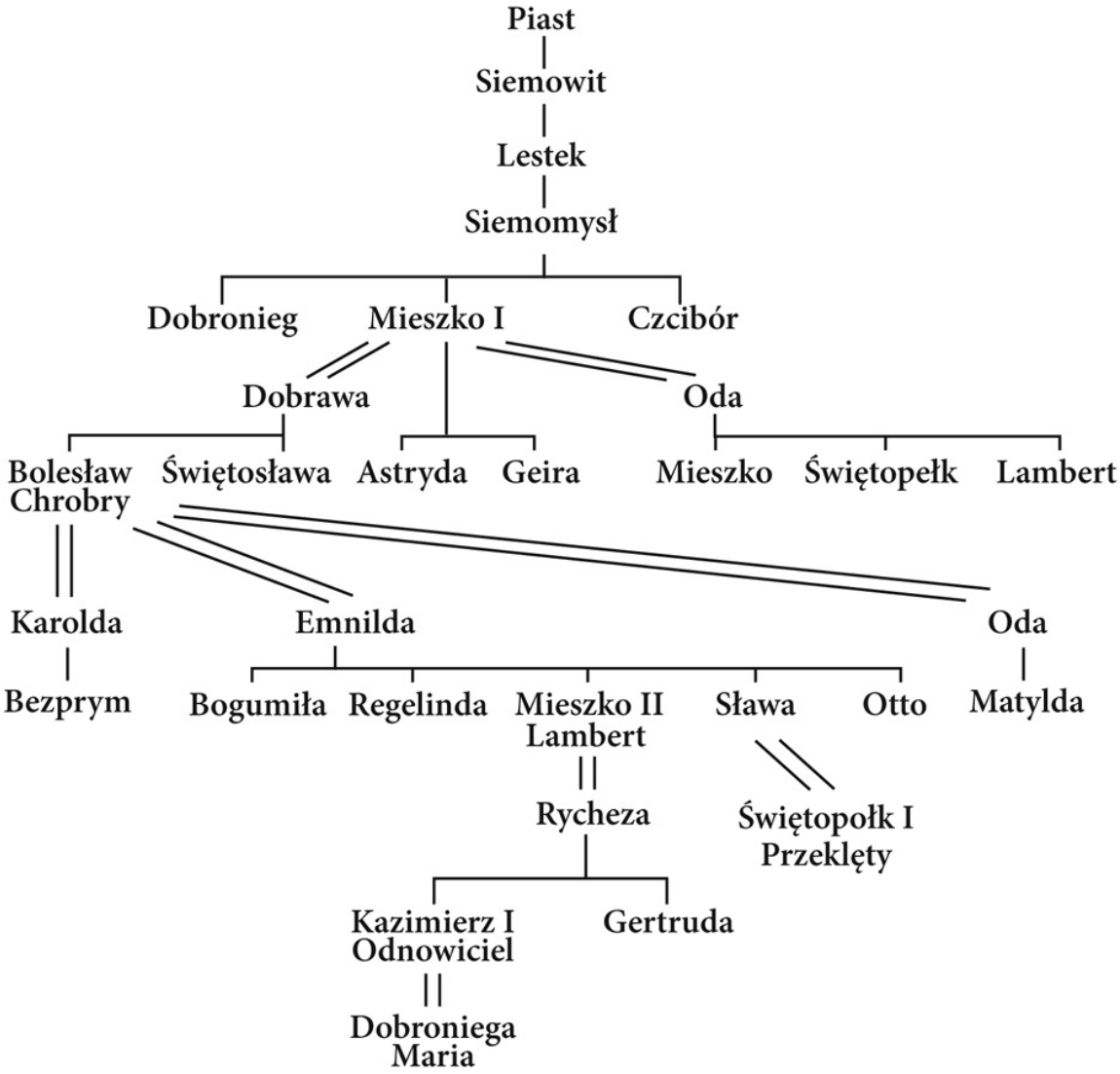
Piast
Siemowit
Lestek
Siemomysł
Dobronieg
Mieszko I
Czcibór
Dobrawa
Oda
Bolesław Chrobry
Świętosława
Astryda
Geira
Mieszko
Świętopełk
Lambert
Karolda
Emnilda
Oda
Bezprym
Bogumiła
Regelinda
Mieszko II Lambert
Sława
Otto
Matylda
Rycheza
Świętopołk I Przeklęty
Kazimierz I Odnowiciel
Gertruda
Dobroniega Maria

Piast	Legendarny założyciel dynastii Piastów
Siemowit	Piastowski książę (IX wiek)
Lestek	Piastowski książę (IX wiek)
Siemomysł	Piastowski książę (do ok. 950)
Dobronieg	Starszy brat Mieszka I, zginął w walkach z Geronem i Wichmanem
Mieszko I	Książę Polski (960–992), pierwszy ochrzczony władca Polski
Czcibor	Młodszy brat Mieszka I, walczył u boku Mieszka pod Cedynią i przeciw Wichmanowi
Dobrawa	Pierwsza żona Mieszka I, księżniczka z rodu Przemyślidów
Oda	Druga żona Mieszka I, córka Ditricha z marchii północnej
Bolesław Chrobry	Książę Polski (992–1025), pierwszy król Polski (1025), książę Czech (1003–1004)
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Astryda	Przyrodnia siostra Świętosławy i Bolesława, żona Sigvalda, jarla Jomsborga
Geira	Przyrodnia siostra Świętosławy i Bolesława, żona Olava Tryggvassona
Mieszko	Po śmierci ojca wygnany z kraju przez Bolesława Chrobrego
Świętopełk	Zmarł w dzieciństwie
Lambert	Po śmierci ojca wygnany z kraju przez Bolesława Chrobrego
Karolda	Druga żona Bolesława Chrobrego, Węgierka

Emnilda	Trzecia żona Bolesława Chrobrego, księżniczka słowiańska
Oda	Czwarta żona Bolesława Chrobrego, margrabianka miśnieńska
Bezprym	Książę Polski (1031–1034)
Bogumiła	Królewna polska (imię nadane nieznanej córce Bolesława Chrobrego przez autorkę)
Regelinda	Margrabina miśnieńska
Mieszko II Lambert	Król Polski (1025–1031)
Sława	Królewna polska (imię nadane nieznanej córce Bolesława Chrobrego przez autorkę)
Otto	Książę dzielnicowy
Matylda	Królewna polska
Rycheza	Żona Mieszka II Lamberta, córka palatyna reńskiego, wnuczka Ottona II, siostrzenica Ottona III
Świętopołk I Przeklęty	Kniaź turowski, wielki kniaź kijowski
Kazimierz I Odnowiciel	Książę Polski (1034–1058)
Gertruda	Żona Izjasława I, wielkiego księcia kijowskiego
Dobroniega Maria	Żona Kazimierza I Odnowiciela, księżniczka kijowska, księżna polska

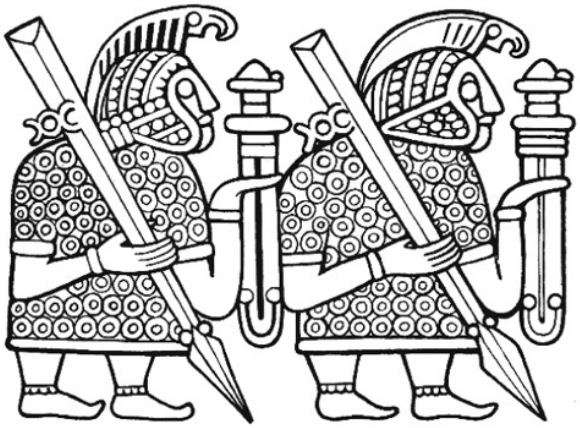

Szwecja

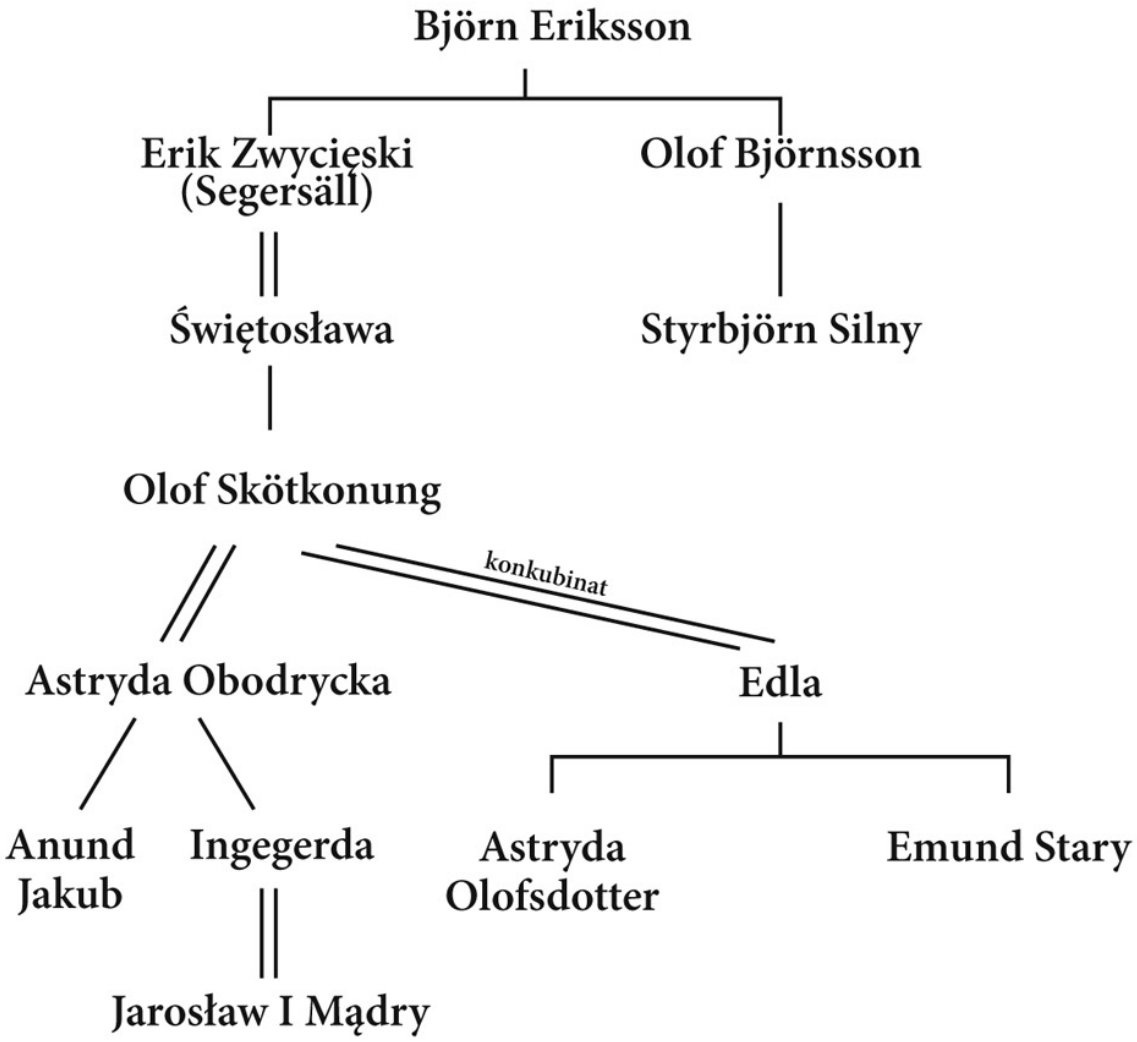
Björn Eriksson
Erik Zwycięski (Segersäll)
Olof Björnsson
Świętosława
Styrbjörn Silny
Olof Skötkonung
konkubinat
Astryda Obodrycka
Edla
Anund Jakub
Ingegerda
Astryda Olofsdotter
Emund Stary
Jarosław I Mądry

Björn Eriksson	Król Szwecji (882–932)
Erik Zwycięski (Segersäll)	Król Szwecji wespół z bratem Olofem (970–995), po jego śmierci wygrał walkę o tron z bratankiem Styrbjörnem
Olof Björnsson	Król Szwecji wespół z bratem Erikiem (970–975)
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Styrbjörn Silny	Pretendent do tronu Szwecji po śmierci swojego ojca, pokonany przez Erika pod Fyrisvellir
Olof Skötkonung	Król Szwecji (995–1022), pierwszy ochrzczony władca tego kraju
Astryda Obodrycka	Królowa Szwecji
Edla	Konkubina króla Szwecji
Anund Jakub	Król Szwecji (1021–1050)
Ingegerda	Żona wielkiego kniazia kijowskiego, święta Kościoła prawosławnego
Astryda Olofsdotter	Królowa Norwegii
Emund Stary	Król Szwecji (1050–1060)
Jarosław I Mądry	Kniaź rostowski (987–1010), wielki kniaź kijowski (1016–1054, z przerwami)

Dania

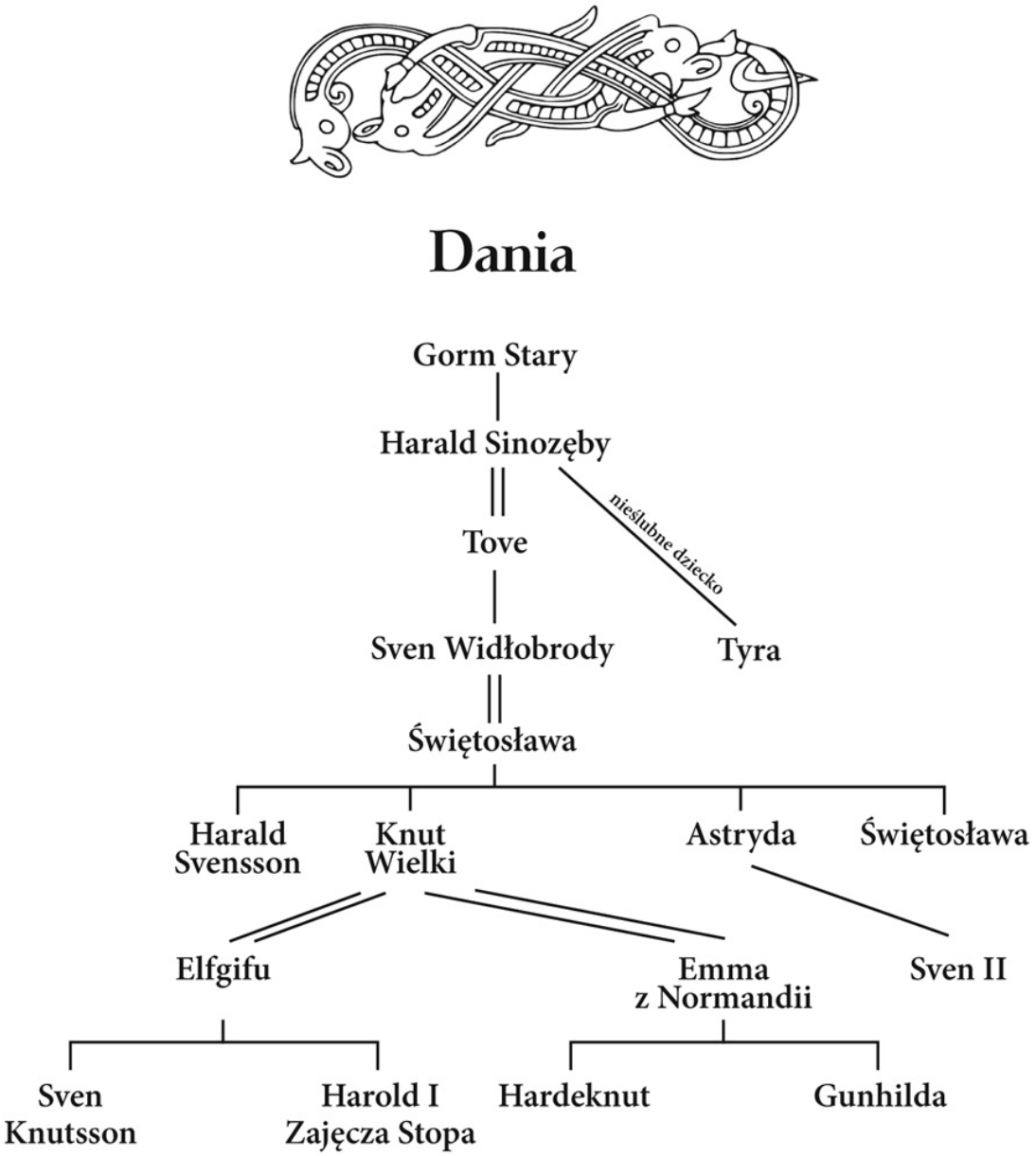
Gorm Stary
Harald Sinozęby
nieślubne dziecko
Tove
Sven Widłobrody
Tyra
Świętosława
Harald Svensson
Knut Wielki
Astryda
Świętosława
Elfgifu
Emma z Normandii
Sven II
Sven Knutsson
Harold I Zajęcza Stopa
Hardeknut
Gunhilda

Gorm Stary	Pierwszy król Danii
Harald Sinozęby	Król Danii (958–987) i Norwegii (974–985), pierwszy ochrzczony władca Danii
Tove	Księżniczka słowiańska i królowa duńska, córka księcia Obodrytów
Sven Widłobrody	Król Danii (987–1014), Anglii (1013–1014) i Norwegii (987–995 i 1000–1014)
Tyra	Żona Olava Tryggvassona
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Harald Svensson	Regent Danii (1013), później król Danii (1014–1018). Po śmierci ojca odmówił Knutowi korony Danii, ale wspomógł brata w podboju Anglii. Zmarł bezpotomnie
Knut Wielki	Brał udział w zdobyciu Anglii przez Svena Widłobrodego. Po śmierci ojca został królem Anglii (1016–1035), a po odejściu brata – Danii (1018–1035), a później także Norwegii (1028–1035). Współrządził Anglią do czasu śmierci Edmunda Żelaznobokiego, a po objęciu pełni władzy poślubił wdowę po swym rywalu, Emmę z Normandii
Astryda	Żona jarla Ulfa, regenta Danii z nadania Knuta. Ulf został później zamordowany przez swojego mocodawcę i Astryda poślubiła księcia Normandii, Robert II Dobrego, który się z nią jednak szybko rozwiódł
Świętosława	Królewna duńska
Elfgifu	Żona króla Anglii, córka ealdormana Yorku, królowa-regentka Norwegii (1030–1035)
Emma z Normandii	Córka Ryszarda I Nieustraszonego, królowa Anglii przy boku Ethelreda Bezradnego, a po jego śmierci – Knuta Wielkiego

Sven II	Król Danii (1047–1074) po śmierci Hardeknuta. Koronę wywalczył po pięcioletnich walkach z Magnusem I Dobrym, jednocześnie tracąc tron angielski na korzyść Edwarda Wyznawcy
Sven Knutsson	Wraz z matką zarządzał Norwegią (1030–1035). Był niepopularnym władcą, którego przegonił z kraju Magnus I Dobry
Harold I Zajęcza Stopa	Król Anglii (1037–1040). Przydomek zyskał dzięki niezwykłym zdolnościom myśliwskim
Hardeknut	Regent, a później król Danii (1035–1042) i Anglii (1040–1042). Po śmierci ojca nie wrócił do Anglii, przez co utracił tamtejszą koronę na korzyść Harolda I Zajęczej Stopy. Zamierzał odzyskać ją zbrojnie, jednak nagła śmierć Harolda unieważniła jego plany
Gunhilda	Żona króla Niemiec, Henryka III. Niedługo po ślubie Gunhilda wstąpiła do klasztoru

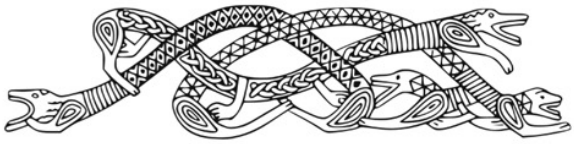

Norwegia

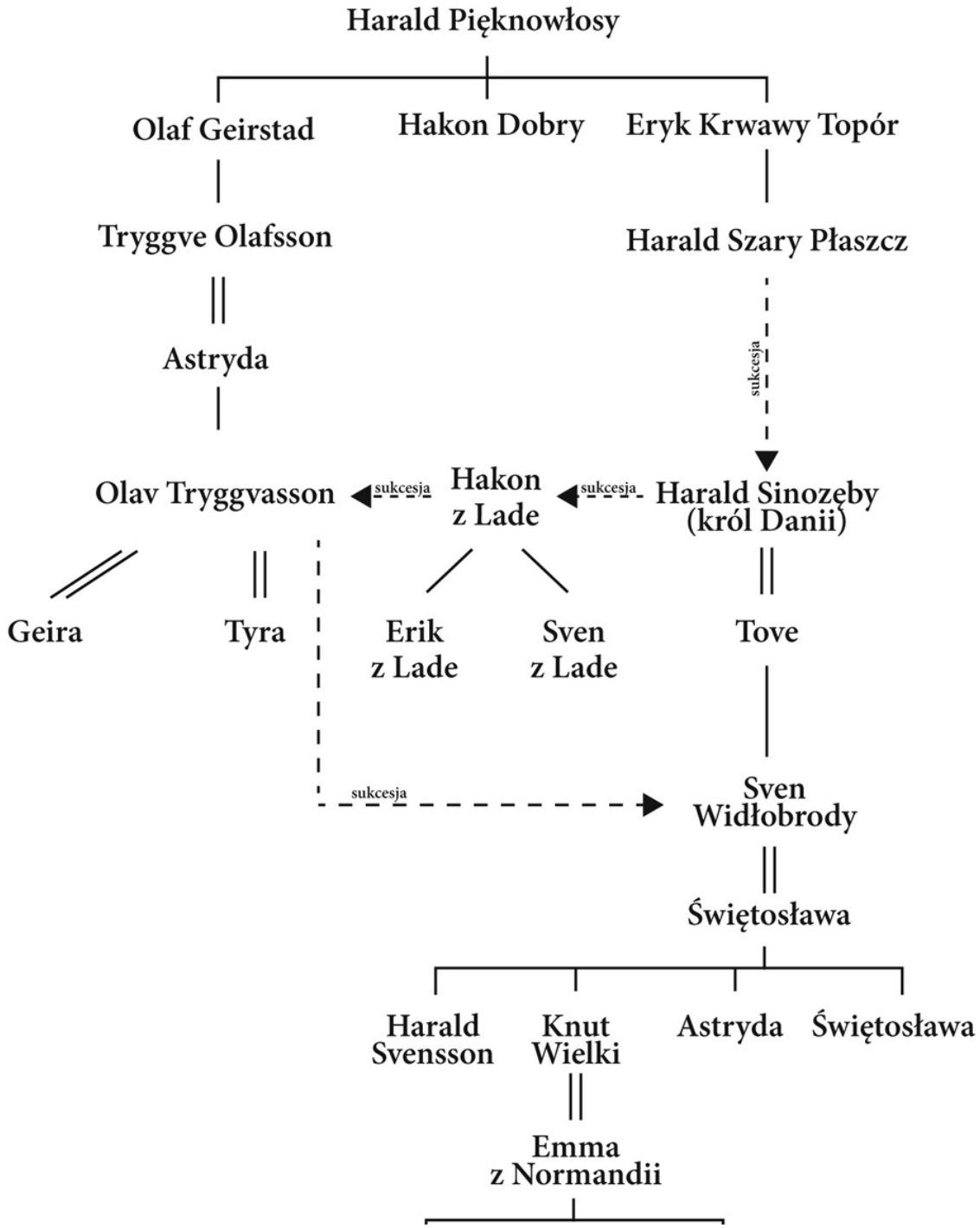
Harald Pięknowłosy
Olaf Geirstad
Hakon Dobry
Eryk Krwawy Topór
Tryggve Olafsson
Harald Szary Płaszcz
Astryda
sukcesja
Olav Tryggvasson
sukcesja
Hakon z Lade
sukcesja
Harald Sinozęby (król Danii)
Geira
Tyra
Erik z Lade
Sven z Lade
Tove
sukcesja
Sven Widłobrody
Świętosława
Harald Svensson
Knut Wielki
Astryda
Świętosława
Emma z Normandii

	|
Hardeknut	Gunhilda

Harald Pięknowłosy	Król Norwegii (872–930), zjednoczył kraj, abdykował na rzecz syna
Olaf Geirstad	Król Vingulmark i Vestfold
Hakon Dobry	Król Norwegii (934–960/961), nieślubny syn Haralda, początkowo na dworze angielskim, przejął tron po obalonym Eryku
Eryk Krwawy Topór	Król Norwegii (930–934) i Northumbrii (947–954), jego okrucieństwo skłoniło możnowładców do ściągnięcia nieślubnego syna Haralda, Hakona, z Anglii
Tryggve Olafsson	Król Viken
Harald Szary Płaszcz	Król Norwegii (961–976)
Astryda	Królowa Viken
Olav Tryggvason	Pogrobowy syn króla Viken, król Norwegii (995–1000)
Hakon z Lade	Jarl Lade, de facto władca norweski (976–995)
Harald Sinozęby	Król Danii (958–987) i Norwegii (974–985), pierwszy ochrzczony władca Danii. Rządy w Norwegii pełnił jego wasal, jarl Hakon Sigurdsson
Geira	Przyrodnia siostra Świętosławy i Bolesława, żona Olava Tryggvassona
Tyra	Żona Olava Tryggvassona
Erik z Lade	Jarl Lade, earl Northumbrii
Sven z Lade	Jarl Lade

Tove	Księżniczka słowiańska i królowa duńska, córka księcia Obodrytów
Sven Widłobrody	Król Danii (987–1014), Anglii (1013–1014) i Norwegii (987–995 i 1000–1014)
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Harald Svensson	Regent Danii (1013), później król Danii (1014–1018)
Knut Wielki	Król Anglii (1016–1035), Danii (1018–1035) i Norwegii (1028–1035)
Astryda	Królewna duńska
Świętosława	Królewna duńska
Emma z Normandii	Królowa Anglii, wcześniej żona Ethelreda Bezradnego
Hardeknut	Król Danii (1035–1042) i Anglii (1040–1042)
Gunhilda	Królowa Niemiec

Ruś

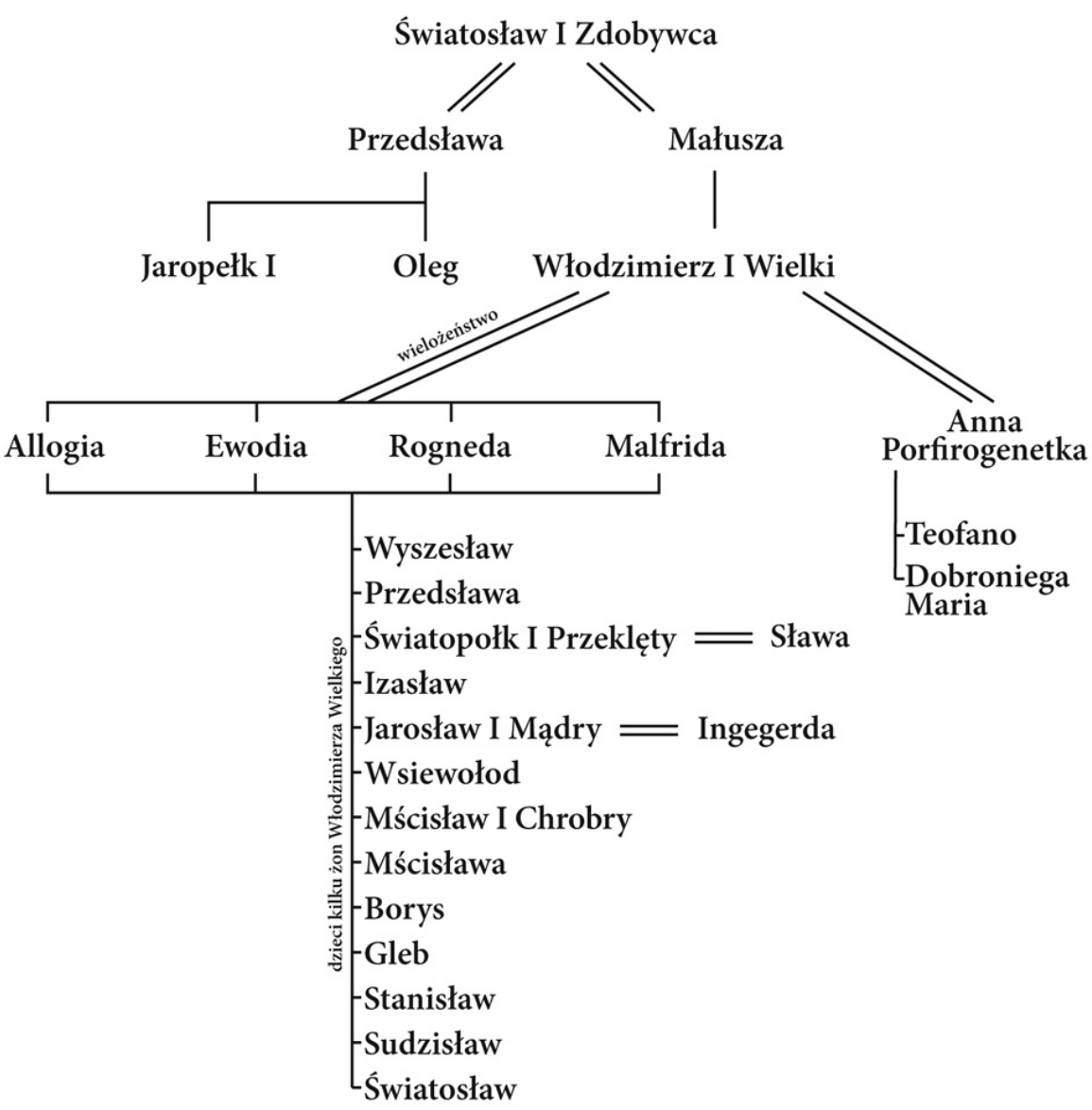
Światosław I Zdobywca
Przedsława
Małusza
Jaropełk I
Oleg
Włodzimierz I Wielki
wielożeństwo
Allogia
Ewodia
Rogneda
Malfrida
Anna Porfirogenetka
Teofano
Dobroniega Maria
dzieci kilku żon Włodzimierza Wielkiego
Wyszesław
Przedsława
Światopołk I Przeklęty
Sława
Izasław
Jarosław I Mądry
Ingegerda
Wsiewołod
Mścisław I Chrobry
Mścisława
Borys
Gleb
Stanisław
Sudzisław
Światosław

Światosław I Zdobywca	Kniaź Rusi Kijowskiej (945–972)
Przedsława	Żona kniazia kijowskiego Światosława I
Małusza	Konkubina kniazia kijowskiego Światosława I
Jaropełk I	Kniaź Rusi Kijowskiej (972–978)
Oleg	Kniaź Drewlan (969–977)
Włodzimierz I Wielki	Kniaź Rusi Nowogrodzkiej (969–977 i 979–988), później też Kijowskiej (978–1015), młodszy brat Jaropełka
Allogia	Żona Włodzimierza I Wielkiego
Ewodia	Żona Włodzimierza I Wielkiego
Rogneda	Żona Włodzimierza I Wielkiego, kniaziówna połocka
Malfrida	Żona Włodzimierza I Wielkiego
Anna Porfirogenetka	Żona Włodzimierza I Wielkiego, córka cesarza bizantyjskiego
Wyszesław	Kniaź nowogrodzki (988–1010)
Predsława	Konkubina Bolesława Chrobrego
Światopołk I Przeklęty	Kniaź turowski, wielki kniaź kijowski
Sława	Królewna polska (imię nadane nieznanej córce Bolesława Chrobrego przez autorkę)
Izjasław	Kniaź połocki (989–1001)
Jarosław I Mądry	Kniaź rostowski (987–1010), wielki kniaź kijowski (1016–1054, z przerwami)
Ingegerda	Żona wielkiego księcia kijowskiego, święta Kościoła prawosławnego
Wsiewołod	Kniaź wołyński

Mścisław I Chrobry	Kniaź tmutarakański (988–1036), kniaź czernihowski (1026–1036)
Mścisława	Kniaziówna kijowska, od 1018 na dworze Bolesława Chrobrego
Borys	Wraz z bratem Glebem pierwszy święty Rusi Kijowskiej
Gleb	Wraz z bratem Borysem pierwszy święty Rusi Kijowskiej
Stanisław	Kniaź smoleński (988–1015)
Sudzisław	Kniaź pskowski (1014–1036)
Światosław	Kniaź Drewlan (990–1015)
Teofano	Żona posadnika z Nowogrodu
Dobroniega Maria	Żona Kazimierza I Odnowiciela, księżna polska

Święte Cesarstwo Rzymskie

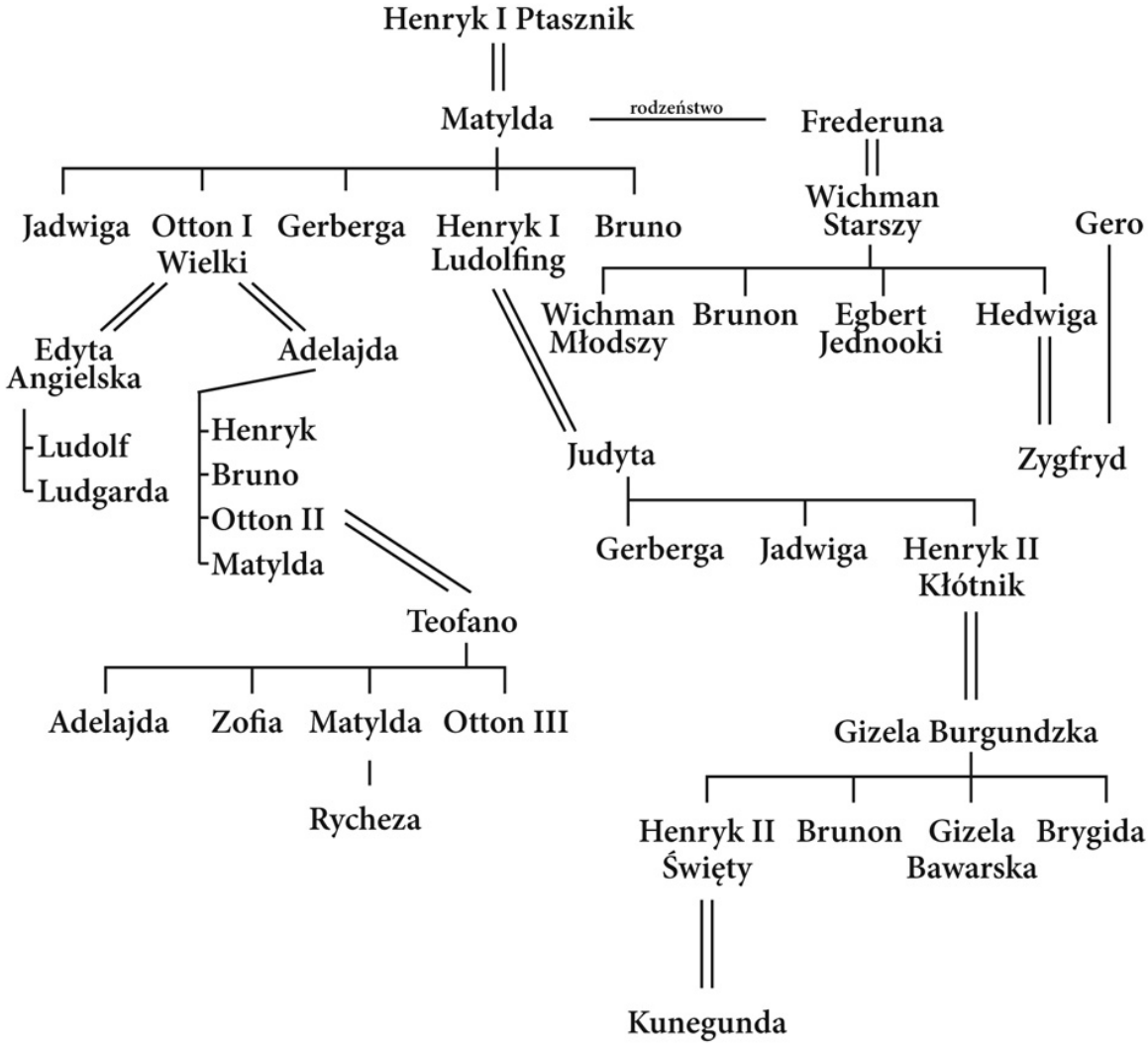

Henryk I Ptasznik	Książę Saksonii (912–936), król Niemiec (919–936)
Matylda	Druga żona Henryka I Ptasznika, święta
Frederuna	Siostra królowej Matyldy
Jadwiga	Księżna Francji
Otton I Wielki	Książę Saksonii (936–961), król Niemiec (936–973) i cesarz (962–973)
Gerberga	Księżna Lotaryngii
Henryk I Ludolfing	Książę Bawarii
Bruno	Arcybiskup Kolonii, święty
Judyta	Księżna bawarska
Wichman Starszy	Zbuntowany graf z rodu Billungów, spowinowacony z Matyldą
Edyta Angielska	Królewna angielska, pierwsza żona Ottona I
Adelajda	Królewna burgundzka, druga żona Ottona I
Wichman Młodszy	Graf z rodu Billungów, banita, na rozkaz Gerona najeżdżał ziemie Mieszka I
Brunon	Biskup Verden
Egbert Jednooki	Graf Astfalii
Hedwiga	Żona Zygfryda, syna margrabiego Gerona
Ludolf	Książę Szwabii
Ludgarda	Księżna Lotaryngii
Henryk	Zmarł w dzieciństwie
Bruno	Zmarł w dzieciństwie

Otton II	Król Niemiec (973–983), cesarz (980–983)
Matylda	Opatka w Kwedlinburgu
Gero	Margrabia marchii wschodniej (937–965)
Teofano	Księżniczka bizantyjska, regentka Ottona III
Zygfryd	Syn margrabiego Gerona, poległ w bitwie
Adelajda	Opatka m.in. w Kwedlinburgu
Zofia	Opatka w Gandersheim i Essen
Matylda	Żona palatyna Lotaryngii
Otton III	Król Niemiec (983–1002), cesarz (996–1002)
Gerberga	Opatka klasztoru w Gandersheim
Jadwiga	Księżna szwabska
Henryk II Kłótnik	Książę bawarski (955–976) i (985–995)
Gizela Burgundzka	Księżna bawarska
Rycheza	Matka Kazimierza I Odnowiciela, córka palatyna reńskiego, wnuczka Ottona II, siostrzenica Ottona III
Henryk II Święty	Książę Bawarii (995–1005), król Niemiec (1002–1024), król Włoch (1004–1024), Święty Cesarz Rzymski (1014–1024). Święty Kościoła katolickiego
Brunon	Biskup Augsburga
Gizela Bawarska	Królowa Węgier
Brygida	Księżniczka bawarska
Kunegunda	Królowa Niemiec, później cesarzowa Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Święta Kościoła katolickiego

Anglia

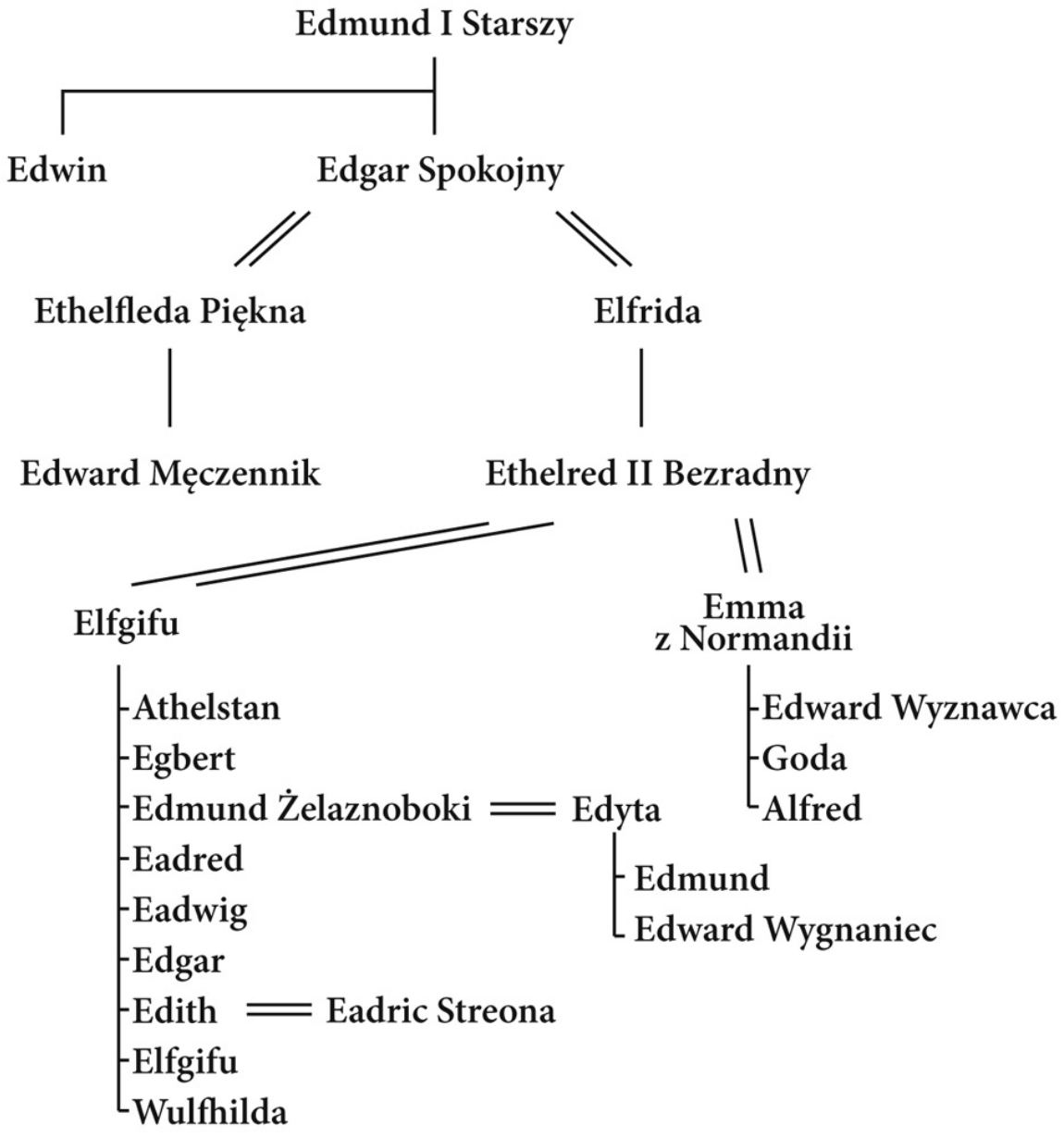
Edmund I Starszy
Edwin
Edgar Spokojny
Ethelfleda Piękna
Elfrida
Edward Męczennik
Ethelred II Bezradny
Elfgifu
Emma
z Normandii
Athelstan
Egbert
Edmund Żelaznoboki
Edyta
Eadred
Eadwig
Edgar
Edith
Eadric Streona
Elfgifu
Wulfhilda
Edward Wyznawca
Goda
Alfred
Edmund
Edward Wygnaniec

Edmund I Starszy	Król Anglii (939–946)
Edwin	Król Anglii (955–959)
Edgar Spokojny	Król Anglii (959–975), młodszy brat Edwina
Ethelfleda Piękna	Pierwsza żona Edgara Spokojnego, zwana też Sprawiedliwą
Elfrida	Druga żona Edgara, pierwsza koronowa królowa Anglii
Edward Męczennik	Król Anglii (975–978), męczennik i święty
Ethelred II Bezradny	Król Anglii (978–1013 i 1014–1016)
Elfgifu	Królowa Anglii, córka earla Northumbrii
Emma z Normandii	Królowa Anglii, późniejsza żona Knuta Wielkiego
Athelstan	Królewicz angielski
Edward Wyznawca	Król Anglii (1042–1066)
Egbert	Królewicz angielski
Goda	Hrabina Véxin, a później Boulogne
Edmund Żelaznoboki	Król Anglii (1016)
Edyta	Żona króla Anglii Edmunda Żelaznobokiego
Alfred	Królewicz angielski
Eadred	Królewicz angielski
Edmund	Królewicz angielski
Eadwig	Królewicz angielski
Edward Wygnaniec	Królewicz angielski
Edgar	Królewicz angielski

Edith	Hrabina Mercii, żona Eadrica Streony
Eadric Streona	Ealdorman Mercii (1007–1017)
Elfgifu	Hrabina Northumbrii
Wulfhilda	Hrabina Anglii Wschodniej

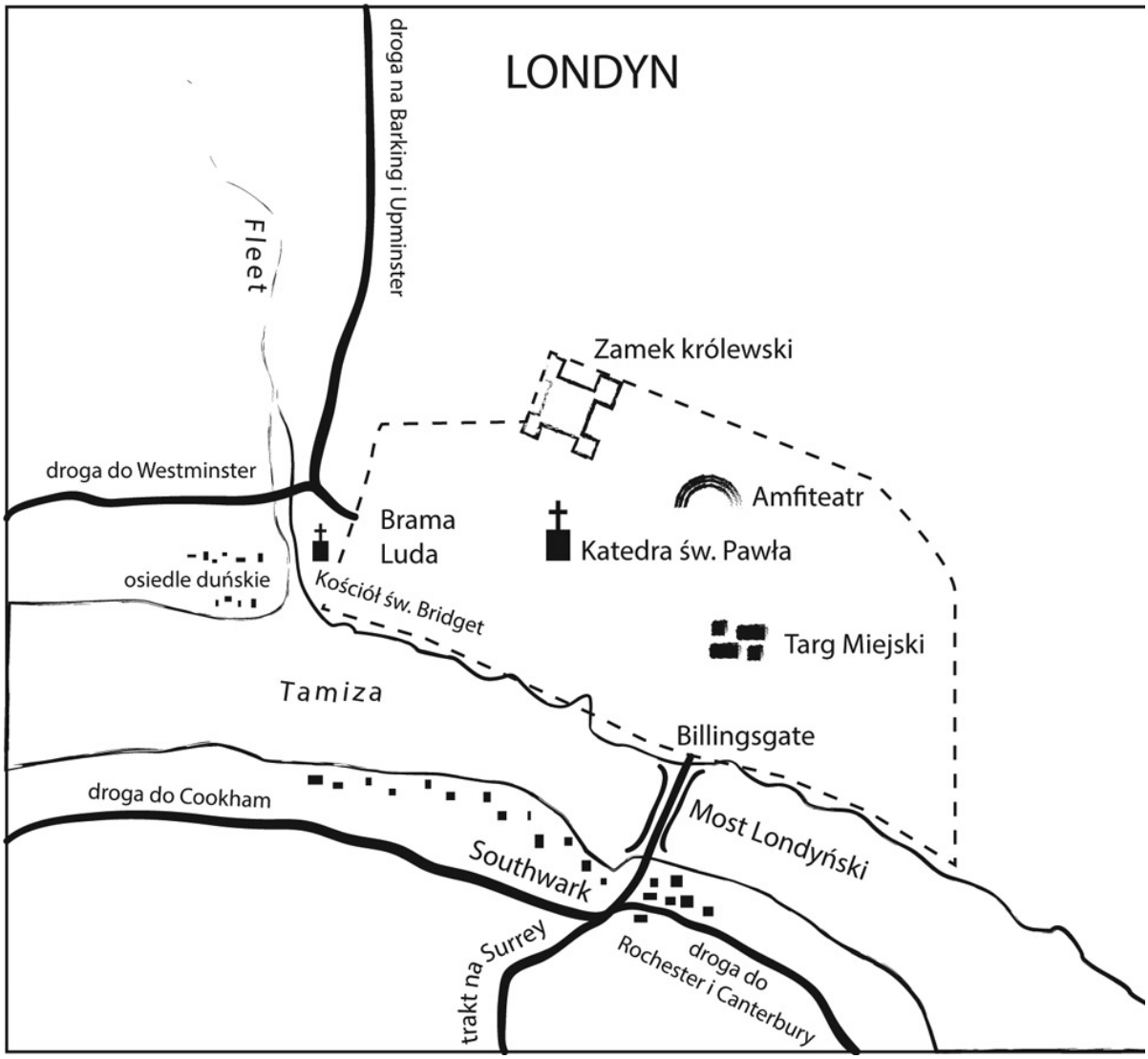
LONDYN
droga na Barking i Upminster
Fleet
Zamek królewski
droga do Westminster
Amfiteatr
Brama
Luda
Katedra św. Pawła
osiedle duńskie
Kościół św. Bridget
Targ Miejski
Tamiza
Billingsgate
droga do Cookham
Most Londyński
Southwark
trakt na Surrey
droga do
Rochester i Canterbury